

Anglia, rok 1537. Król Henryk VIII buntuje się przeciw władzy papieskiej i ogłasza głową Kościoła anglikańskiego. Aby umocnić nową wiarę musi zlikwidować najsilniejsze źródło katolicyzmu klasztor. W kraju wybuchają zamieszki, i walki o klasztorną ziemię, mnożą się egzekucje. Thomas Cromwell, kanclerz, a zarazem wikariusz generalny, deleguje do wszystkich konwentów komisarzy, którzy mają przeprowadzić kontrolę i dać królowi pretekst do rozwiązania zakonów. W klasztorze benedyktynów w Scarnsea wydarzenia wymykają się spod kontroli. Komisarz królewski, Robin Singleton, zostaje brutalnie zamordowany; zabójca ucina mu głowę. Znika bezcenna święta relikwia - dłoń złodzieja ukrzyżowanego razem z Chrystusem.

Cromwell posyła do Scarnsea swojego podwładnego, garbatego prawnika Matthew Shardlake'a, gorliwego zwolennika nowego porządku, który wraz ze swoim asystentem Markiem ma za zadanie wyjaśnić okoliczności zbrodni. Wkrótce po ich przybyciu w klasztorze dochodzi do kolejnych morderstw. Shardlake znajduje zwłoki młodej dziewczyny, byłej służącej. Trop prowadzi do Marka Smeatona, domniemanego kochanka niedawno straconej za cudzołóstwo królowej Anny Boleyn...

## **C.. SANSOM**

# **KOMISARZ**

Z angielskiego przełożyła

IZABELA MATUSZEWSKA

Tytuł oryginału: DISSOLUTION

Grupie pisarzy:

Janowi Lukę'owi, Mary, Mike'owi B., Mike'owi H. Rozowi, Williamowi,

a szczególnie Tony'emu, który był naszym natchnieniem.

Oraz Caroline.

## Rozdział pierwszy

Gościłem naonczas w Surrey, w sprawach zleconych mi przez biuro lorda Cromwella, kiedy nadeszło wezwanie. Ziemie rozwiązane go klasztoru nadano w nagrodę członkowi parlamentu, którego wsparcia potrzebował wikariusz generalny, a tymczasem zaginął gdzieś tytuł własności do części lasów. Odnalezienie ich nie przedstawiało dla mnie szczególnych trudności, przyjąłem przeto następnie zaproszenie owego pośła, abym spędził kilka dni z jego rodziną. Cieszyłem się zatem krótkim wypoczynkiem, obserwując opadające ostatnie jesienne liście, zanim przyjdzie mi powrócić do Londynu i swoich obowiązków. Sir Stephen mieszkał w pięknym nowym domu z cegły, o miłych dla oka proporcjach, zaoferowałem się więc, że go dlań narysuję, zdążyłem jednak zrobić ledwie kilka wstępnych szkiców, gdy przybył jezdny.

Posłaniec jechał z Whitehall przez całą noc i stanął w Surrey o świcie. Rozpoznałem w młodzieńcu jednego z osobistych gońców lorda Cromwella i pełen złych przeczuć złamałem kanclerską pieczęć na liście. Pismo wysłał Grey, sekretarz Cromwella, z wiadomością, że wikariusz generalny życzy sobie widzieć się ze mną jak najszybciej w Westminsterze.

Niegdyś myśl o spotkaniu z moim mocodawcą, piastującym teraz tak wysoki urząd, przejęłaby mnie dreszczykiem radosnego podniecenia, jednakże tego ostatniego roku zaczęły mnie nużyć polityczne rozgrywki, prawne manipulacje, ludzkie niego-dziwości i niekończąca się sieć podstępów. Martwiło mnie też wielce, że imię lorda Cromwella, w tych dniach bardziej niż królewskie, siało wśród ludzi postrach. W Londynie mówiło się, że rzesze żebraków pierzchają, gdzie pieprz rośnie, na samą wzmiankę o nim. Nie taki świat pragnęliśmy zbudować my, młodzi reformatorzy, kiedyśmy spotykali się w domach i toczyli niekończące się dysputy przy wieczerzy. Razem z Erazmem wierzyliśmy niegdyś, że wiara i miłosierdzie wystarczą, by zatrzeć różnice religijne między ludźmi; tymczasem przed nastaniem tej wczesnej zimy 1537 roku wybuchły w kraju bunt, mnożyły się egzekucje i chciwe walki o ziemie klasztorne.

Niewiele tej jesieni padało, drogi były w dobrym stanie, tak więc pomimo ułomności, która nie pozwala mi na szybką jazdę konno, stanąłem w Southwark już wczesnym popołudniem. Mój poczciwy, stary ogier Chancery po miesiącu spędzonym w wiejskim zaciszu niespokojnie wietrzył zapachy i nasłuchiwał miejskiego zgiełku. Ja również. Zbliżając się do Mostu Londyńskiego, odwróciłem głowę od długich pali, gdzie sterczały nabite głowy ludzi straconych za zdradę stanu; wokół nich krążyły stada mew i wydziobywały strzępy mięsa. Zawsze byłem dość delikatnej konstrukcji psychicznej i nie znoszę nawet widoku szczutego psami niedźwiedzia.

Na moście tłoczyła się jak zwykle wielka ciżba ludzi, wielu kupców chodziło w żałobie po śmierci królowej Jane, która dwa tygodnie temu zmarła na gorączkę poporodową. Ze sklepów, stojących ciasno tak blisko wody, że wyglądały, jakby w każdej chwili mogły się przechylić i runąć do rzeki, handlarze zachwalali na głos swoje towary. Na wyższych piętrach kobiety zdejmowały rozwieszoną bieliznę, albowiem chmury coraz bardziej zaciemniały niebo na zachodzie. Zapewne winna była temu moja melancholia, że ich głosy, nawoływania i głośnie plotkowanie przywiodły mi na myśl wrony kraczące na ogromnym drzewie. Westchnąłem i upomniałem się w duchu, że powinienem skupić się na swych obowiązkach. W dużej mierze to właśnie dzięki patronatowi lorda Cromwella, mając zaledwie trzydzieści pięć lat, byłem właścicielem prosperującej praktyki prawniczej, jak również

pięknego nowego domu. Ponadto pracując dla niego, pracowałem dla reformy, co musiało być miłe Bogu. W tych czasach bowiem byłem jeszcze pełen wiary. Sprawa, w której mnie wezwano, musiała być ważna, gdyż zwykle zlecenia od lorda Cromwella otrzymywałem za pośrednictwem Greya, samego kanclerza zaś i wikariusza generalnego, którym go w tym czasie mianowano, nie widziałem od dwóch lat. Potrząsnąłem cuglami i pokierowawszy Chancery'ego przez ciżbę podróżnych i handlarzy, złodziejasków i niedoszłych dworzan, zanurzyłem się w ten wielki londyński gulasz.

Jadąc przez Ludgate Hill, zobaczyłem stragan, na którym piętrzyły się góry jabłek i gruszek, a ponieważ zgłodniałem w podróży, zsiadłem z konia, aby kupić trochę owoców. Kiedy tak stałem i karmiłem Chancery'ego jabłkiem, mą uwagę ściągnął tłumek mniej więcej trzydziestu ludzi tłoczących się przed tawerną i szemrzących z ożywieniem. Uznałem, że to pewnie jakiś kolejny terminator czyta nowy przekład Biblii, a nie rozumiejąc z tego, co czyta, nic zgoła, postradał rozum i został kolejnym prorokiem. Jeśli tak, lepiej, aby miał się na baczności przed konstablami.

Na obrzeżach zgromadzonej gawiedzi dostrzegłem kilka lepiej odzianych osób. Rozpoznałem wśród nich Williama Peppera, prawnika z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów, stojącego w towarzystwie młodzieńca w jaskrawym kaftanie z rozcięciami. Zaciekawiony poprowadziłem ku nim Chancery'ego po brukowanej ulicy, starając się omijać z daleka cuchnący rynsztok. Kiedy się zbliżyłem, Pepper odwrócił się w moją stronę.

— O, Shardlake! Brakowało mi widoku twej osoby prze-mykającej po sądowych korytarzach w tym trymestrze. Gdzieżeś to się podziewał? — Odwrócił się do swego towarzysza. — Pozwól, że ci przedstawię Jonathana Mintlinga, świeżo dyplomowanego nowego, szczęsnego członka naszego sądu. Jonathanie, poznaj Matthew Shardlake'a, najbystrzejszego garbusa w angielskim sądownictwie.

Skloniłem się młodemu człowiekowi, ignorując niegrzeczną aluzję Peppera do mojej ułomności. Nie tak dawno temu pokonałem go w sądzie, a prawnicze języki są zawsze skore do szukania zemsty.

— Co się tu dzieje? — spytałem.

Pepper wybuchnął śmiechem.

— Powiadają, że jakaś kobieta w tawernie ma ptaka przywiezionego z Peru, który potrafi konwersować równie swobodnie jak każdy Anglik. Ma go właśnie zaprezentować.

Ulica opadała nieco w kierunku tawerny, tak więc pomimo mego mizernego wzrostu widziałem dobrze wejście do gospody. W drzwiach stanęła otyła niewiasta w poplamionej tłuszczem sukni, z żelazną żerdzią osadzoną na trójnogu. Na poprzeczce siedział najprzedziwniejszy ptak, jakiegom w życiu widział. Wielkością przewyższał największe wrony, dziób miał krótki, groźnie na końcu zakrzywiony, upierzenie zaś czerwono-złote i tak jaskrawe, że na zakurzonej, szarej ulicy aż biło w oczy. Tłum zbił się ciasniej pod drzwiami.

— Cofnąć się! — krzyknęła kobieta przenikliwym głosem. — Tabitha nie będzie z nikim gadać, jak się będzie przepychać.

— Posłuchajmy, jak gada!

— Hola! Żądam zapłaty za swój trud! — zawołała jejmość zuchwale. — Tabitha przemówi, jeśli każdy rzuci jej pod nogi ć wierćpensówkę!

— Ciekawym, cóż to za sztuczka — zadrwił Pepper, ale przyłączył się do tłumu i rzucił monetę pod trójnog.

Starucha wybrała pieniądze z błota, a potem odwróciła się do ptaka. — Tabitha — rozkazała następnie — powiedz: „Niech żyje król Henryk! Msza za biedną królową Jane!”.

Zdawało się, że ptaszysko nie zwraca na nią uwagi, tylko przestępuje z nogi na nogę i łypie na tłum szklanymi ślepiami. Aż nagle zawołało głosem nader podobnym do swojej właścicielki:

— Niech żyje król Henryk! Msza za biedną królową Jane!

Ci, którzy stali z przodu, cofnęli się przestraszeni, a gęszcz

rąk czym prędzej nakreślił w powietrzu znak krzyża. Pepper gwizdnął.

— I co ty na to, Shardlake?

— Sam nie wiem. Gdzieś tu musi być haczyk.

— Jeszcze raz — zażądał któryś odważniej szy z gapiów. — Jeszcze!

— Tabitha! Powiedz: „Śmierć papieżowi! Śmierć biskupowi Rzymu!”.

— Śmierć papieżowi! Biskupowi Rzymu! Niech żyje król Henryk!

Stwór rozczapierzył skrzydła, aż kilka osób krzyknęło z cicha. Zauważyłem, że zwierzęciu obcięto pióra w połowie długości, aby nie uciekło. Nigdy więcej nie będzie mogło latać. Tabitha zanurzyła zakrzywiony dziób w pierzu na piersi i zaczęła się czyścić.

— Przyjdźta jutro na schody pod Świętym Pawłem — krzyknęła baba — to usłyszycie jeszcze więcej! Opowiedzta wszystkim, że Tabitha, gadający ptak z krainy Peru, będzie tam o dwunastej. Przybyła z kraju, gdzie w wielkim mieście na drzewach gadają setki takich ptaków!

To rzekłszy, zatrzymując się jeno, aby podnieść z ziemi kilka monet, które przedtem przeoczyła, stara jejmość podniosła żerdź z ptakiem i znikła w środku, zwierzę trzepotało rozpaczliwie połamanymi skrzydłami, aby zachować równowagę.

Tłum zaczął się rozchodzić, mrużąc z ożywieniem. Wziąłem Chancery'ego za uzdę i ruszyłem z powrotem wąską uliczką pod górę, Pepper ze swym młodym towarzyszem szli obok mnie. Mój znajomy nieco stracił na swej zwykłej arogancji.

— Słyszałem, że wiele cudów przywożą z owego Peru, które podbili Hiszpanie. Zawsze uważałem, że nie można wierzyć w połowę tych bajeczek opowiadanych o Indiach, ale to... och, Przenajświętsza Panienko!

— To jakaś sztuczka — orzekłem. — Nie widziałeś, jakie oczy miał ten ptak? Nie było w nich ani krztyny rozumu. Przestał gadać, żeby sobie czyścić pióra.

— Ale wszak gadał, panie — odezwał się Mintling. — Przecie na własne uszy słyszeliśmy.

— Można gadać nic z tego nie rozumieć. Ptak pewnie powtarza za babą słowa, które słyszy, tak jak pies przybiega na wołanie pana. Słyszałem, że sójki też potrafią takie rzeczy.

Dojechaliśmy do końca ulicy się zatrzymaliśmy! Pepper uśmiechnął się szeroko.

— No cóż, prawda to, że ludzie w kościele odpowiadają na łacińskie słowa księży, chociaż ni w ząb nie rozumieją, co one znaczą.

Wzruszyłem ramionami. Taki sentyment wobec łacińskich mszy nie zaliczał się jeszcze do ortodoksji, a ja nie zamierzałem dać się wciągnąć w dysputę. Skłoniłem się.

— Obawiam się, że muszę was opuścić. Jestem umówiony na spotkanie z lordem Cromwellem w Westminsterze.

Na chłopcu zrobiło to ogromne wrażenie, Pepper starał się nie dać tego po sobie poznać. Wsiadłem na Chancery'ego uśmiechając się cierpko, wmieszałem się na powrót w tłum. Prawnicy są największymi plotkarzami, jakich Bóg stworzył na ziemi, nie zaszkodzi moim interesom, jeśli Pepper rozpowie w sądzie, że miał prywatną audiencję u kanclerza. Moja radość nie trwała wszakże długo, albowiem wkrótce na zakurzoną drogę jęły spadać pierwsze wielkie krople nim dojechałem do końca Fleet Street, lało już jak z cebra, a wicher zaciął mi deszczem prosto w twarz. Nałożyłem kaptur płaszcz

trzymając go mocno pod szyją jechałem dalej przez nawałnicę.

Nim dojechałem do Pałacu Westminsterskiego, deszcz zamienił się w ulewę bił we mnie gęstymi płachtami wody. Minąłem paru jeźdźców, którzy podobnie jak ja kulili się w fałdach płaszczy, wymieniłem z nimi kilka uwag o tym, jak wszyscy przemokliśmy do suchej nitki.

Król opuścił Westminster kilka lat temu przeniósł się do nowego pałacu w Whitehall. Od tamtej pory w Westminsterze mieściły się głównie sądy, sąd do spraw majątku likwidowanych klasztorów utworzono niedawno, aby zajmował się sprawami ziem pozostałych po kilku niewielkich konwentach zlikwidowanych przed rokiem. Miał tu również swą siedzibę lord Cromwell oraz świta jego urzędników mnożąca się niczym grzyby po deszczu. Tak więc było to bardzo ruchliwe miejsce.

Zwykle na dziedzińcu roiło się od ludzi: odziani na czarno prawnicy debatowali o jakichś pergaminach, urzędnicy królewscy toczyli spory lub spiskowali w ustronnych miejscach, dzisiaj wszakże deszcz zagonił wszystkich do budynków dziedziniec pałacu świecił pustkami. Tylko przed wejściem do sądu do spraw klasztorów kuliło się kilku biednie odzianych ludzi przemokniętych do suchej nitki — to mnisi z rozwiązanych zakonów przybyli ubiegać się o świeckie parafie, które im przyobiecano w ustawie. Widać urzędnik dokądś wyszedł, kto wie, może to właśnie pan Mintling tym się zajmował. Jeden z zakonników, mężczyzna o dumnym obliczu, cały czas miał na sobie habit cystersów. Z jego kaptura kapąły krople wody. Strój ten nie przysporzy mu przychylności w gabinetach lorda Cromwella, pomyślałem.

Dawni zakonnicy mieli zwykle zastraszone miny, ta grupa wszakże spoglądała ze zgrozą ku miejscu, gdzie tragarze rozładowywali dwa wielkie wozy składając ich zawartość na sterty pod murem, przeklinali deszcz, który wlewał im się do oczu ust. W pierwszej chwili pomyślałem, że ludzie ci przywieźli drewno na opał, gdy jednak zatrzymałem Chan-cery'ego, dostrzegłem, że wyjmują z

wozów szkatułki o szklanych frontach, drewniane gipsowe rzeźby, wielkie, bogatozdobione krzyże. Musiały to być relikwie, obrazy posąжки ze zlikwidowanych klasztorów. Przywiezione z miejsc, gdzie otaczano je bałwochwalczą czcią, zrzucone na dziedziniec straciły wreszcie swą boską władzę, którą zwolennicy reformacji tacy jak ja starali się ukrócić. Stłumiłem w sobie odruch litości skinąłem ponuro głową w kierunku grupki mnichów, a następnie pokierowałem Chancery'ego ku wewnętrznej bramie.

W stajni osuszyłem się ręcznikiem, który dostałem od koniuszego, wszedłem do pałacu. Przedłożyłem list od lorda Cromwella strażnikowi, który wyprowadził mnie z publicznej części budynku powiódł przez labirynt wewnętrznych korytarzy, cały czas dzierżąc wysoko wzniesioną lśniąca pikę.

Minąwszy ogromne drzwi, przy których stało dwóch innych strażników, znaleźliśmy się w długiej, wąskiej komnacie, rozświetlonej mnóstwem świec. Niegdyś była to sala balowa, teraz wszakże od jednego końca do drugiego stały w niej rzędy biur, przy których siedzieli odziani na czarno urzędnicy przesiewali góry korespondencji. Natychmiast zbliżył się do mnie starszy urzędnik — niski krępy, z palcami poczerniałymi od inkaustu.

— Pan Shardlake? Szybko przybyłście, waszmość.

Zdziwiło mnie, skąd ów człowiek mnie znał, ale zaraz się domyśliłem, że kazano mu po prostu wyglądać garbusa.

— Pogoda była dla mnie łaskawa, aż do tej pory.

Popatrzyłem w dół na swe przemoczone rajtuzy.

— Jego wielbność wikariusz generalny kazał mi was przyprowadzić, gdy tylko się zjawicie.

Powiódł mnie w głąb sali, wzdłuż rzędów stołów, gdzie pisarze szeleścili papierami. Płomienie świec zamigotały wzbudzone naszym przejściem. Uprzytomniłem sobie w tamtej chwili, jaką rozległą sieć kontroli nad krajem uprzął mój mocodawca. Pod jego rozkazami działali komisarze oraz lokalni sędziowie pokoju, a każdy dysponował własną grupą infor-zdobione krzyże. Musiały to być relikwie, obrazy posąжки ze zlikwidowanych klasztorów. Przywiezione z miejsc, gdzie otaczano je bałwochwalczą czcią, zrzucone na dziedziniec straciły wreszcie swą boską władzę, którą zwolennicy reformacji tacy jak ja starali się ukrócić. Stłumiłem w sobie odruch litości skinąłem ponuro głową w kierunku grupki mnichów, a następnie pokierowałem Chancery'ego ku wewnętrznej bramie.

W stajni osuszyłem się ręcznikiem, który dostałem od koniuszego, wszedłem do pałacu. Przedłożyłem list od lorda Cromwella strażnikowi, który wyprowadził mnie z publicznej części budynku powiódł przez labirynt wewnętrznych korytarzy, cały czas dzierżąc wysoko wzniesioną lśniąca pikę.

Minąwszy ogromne drzwi, przy których stało dwóch innych strażników, znaleźliśmy się w długiej, wąskiej komnacie, rozświetlonej mnóstwem świec. Niegdyś była to sala balowa, teraz wszakże od jednego końca do drugiego stały w niej rzędy biur, przy których siedzieli odziani na czarno urzędnicy przesiewali góry korespondencji. Natychmiast zbliżył się do mnie starszy urzędnik — niski krępy, z palcami poczerniałymi od inkaustu.

— Pan Shardlake? Szybko przybyłście, waszmość.

Zdziwiło mnie, skąd ów człowiek mnie znał, ale zaraz się

domyśliłem, że kazano mu po prostu wyglądać garbusa.

— Pogoda była dla mnie łaskawa, aż do tej pory.

Popatrzyłem w dół na swe przemoczone rajtuzy.

— Jego wielbność wikariusz generalny kazał mi was przyprowadzić, gdy tylko się zjawicie.

Powiódł mnie w głąb sali, wzdłuż rzędów stołów, gdzie pisarze szeleścili papierami. Płomienie świec zamigotały wzbudzone naszym przejściem. Uprzytomniłem sobie w tamtej chwili, jaką rozległą sieć kontroli nad krajem uprządnął mój mocodawca. Pod jego rozkazami działali komisarze oraz lokalni sędziowie pokoju, a każdy dysponował własną grupą informatorów, każdy gotów donosić o najdrobniejszych przejawach niezadowolenia lub zdrady, które poddawano następnie najsurowszemu śledztwu, a kary z roku na rok wymierzano coraz surowsze. Doszło już do jednego buntu przeciwko reformom religijnym; kolejny mógłby wstrząsnąć w posiadach całym królestwem.

Urzędnik zatrzymał się przed wielkimi drzwiami na końcu sali. Przykazał mi zaczekać, a sam zapukał wszedł, kłaniając się nisko.

— Przeszedł pan Shardlake, wasza miłość.

W przeciwieństwie do poprzedniej sali komnata lorda Cromwella tonęła w półmroku, tylko jeden mały kinkiet ze świecami, przymocowany do ściany nad biurkiem, rozpraszał popołudniowy mrok. Większość ludzi piastujących tak wysoki urząd ozdobiłaby ściany najbogatszymi draperiami, tymczasem w gabinecie kanclerza od podłogi aż po sufit piętrzyły się setki szuflad, na każdym wolnym kawałku podłogi stały stoły kufiy, a wszystkie zarzucone sprawozdaniami spisami. W wielkim kominku płonęły z trzaskiem grube polana.

Z początku nie widziałem w komnacie żywej duszy, dopiero po chwili zauważyłem krępą sylwetkę kanclerza stojącego przy stole w głębi sali. Trzymał w ręku szkatułkę oglądał jej zawartość z brwiami zmarszczonymi pogardliwie, z szerokimi ustami o cienkich wargach wygiętymi w dół ponad wąską, długą brodą. Kształt dolnej części jego twarzy przywiódł mi na myśl wielką pułapkę, która w każdej chwili gotowa była się otworzyć połknąć człowieka w całości naraz. Obejrzał się na mnie jego oblicze przeobraziło się z tą charakterystyczną dlań płynną łatwością, uśmiechnął się życzliwie uniósł dłoń na powitanie. Ukłoniłem się najniżej, jak mogłem, krzywiąc się, bo kości zeszywniały mi po długiej jeździe wierzchem.

— Matthew, podejdź tu do mnie. — Jego głęboki, szorstki głos zabrzmiał serdecznie. — Dobrze się spisałeś w Croydon. Cieszę się, że ten węzeł został wreszcie rozplątany. — Dziękuję, wasza miłość.

Zbliżając się, zauważyłem, że spod jego szaty oblamowanej futrem wystaje czarna koszula. Kanclerz uchwycił moje spojrzenie.

— Słyszałeś, że królowa nie żyje?

— Tak, panie. To wielki smutek.

Wiedziałem, że po egzekucji Anny Boleyn lord Cromwell związał swój los z rodem Jane Seymour.

Mruknął z niezadowoleniem.

— Król nie ma teraz głowy do innych spraw.

Spojrzałem na stół. Ku memu zdziwieniu stały na nim

w ogromnej liczbie wszelkiej wielkości relikwiarze, srebrne złote, wysadzone drogimi kamieniami. Za wiekowymi szybkami na aksamitnych poduszczkach spoczywały kawałki materiału kości. Przeniosłem wzrok na szkatułę, którą lord Cromwell nadal trzymał w ręku, zobaczyłem w niej dziecięcą czaszkę. Wyjął ją potrząsnął, aż zagrzechotały zęby tkwiące luźno w szczęce. Uśmiechnął się ponuro.

— To cię powinno zainteresować. Relikwie przywiezione specjalnie, aby poddać je mojej uwadze. — Postawił relikwiarz na stole wskazał palcem łacińską inskrypcję. — Spójrz na to.

— Barbara sanctissima — przeczytałem.

Przyjrzałem się czaszce. W gołej kości tkwiło jeszcze kilka

przyklejonych włosów.

— Czaszka świętej Barbary — oznajmił Cromwell, klepiąc dłonią szkatułę. — Młoda dziewczica zamordowana przez ojca poganina za czasów rzymskich. Z klasztoru kluniackiego w Leeds. Najświętsza relikwia. — Następnie schylił się wziął do ręki srebrną szkatułę wysadzaną prawdopodobnie opalami. — To z kolei czaszka świętej Barbary przywieziona z klasztoru żeńskiego w Boxgrove w Lancashire. — Zaśmiał się cierpko. — Powiadają, że w Indiach żyją dwugłowe smoki. My mamy dwugłowych świętych.

— Dobry Boże.

Zajrzałem do obydwu relikwiarzy.— Ciekawym, do kogo należały te czaszki.

Jeszcze raz zaśmiał się krótko poklepał mnie serdecznie.

— Ha! Oto cały mój Matthew, niezmordowanie szukający odpowiedzi na wszelkie pytania. Właśnie tego badawczego umysłu teraz potrzebuję. Mój człowiek z Yorku utrzymuje, że zdobienia na złotej szkatule są rzymskie, ale tak stopnieje ona w piecach Tower wraz ze wszystkimi innymi, a czaszki pójdą do gnoju. Ludzie nie powinni czcić kości.

— Dużo ich.

Spojrzałem za okno, gdzie deszcz zalewał strumieniami dziedziniec, a mężczyźni nieprzerwanie wyładowywali szkatuły z wozów. Lord Cromwell również podszedł do okna przez dłuższą chwilę patrzył na podworec. Naszła mnie myśl, że choć mój mecenas był teraz parem, uprawnionym przeto do chodzenia w szkarłacie, ubierał się nadal tak samo jak ja — w czarną szatę płaską czarną czapkę urzędników państwowych. Czapka jednakowoż była z jedwabnego aksamitu, a szata podbita futrem bobrowym. Zauważyłem też, że długie brązowe włosy przyprószyła siwizna.

— Muszę nakazać, aby pownoszono te rzeczy do środka, żeby wyschły — powiedział. — Kiedy następnym razem spalimy papieskiego zdrajcę, każę położyć to drewno na jego stos. — Odwrócił się



uśmiechnął do mnie ponuro. — Niech ludzie zobaczą, że w ogniu z ich heretyckich obrazków będą wrzeszczeć nie mniej od innych Bóg też nie wyskoczy z płomieni. — Znowu oblicze mu się odmieniło, tym razem sposępniał. — No, chodźże tu, usiądź. Mamy sprawę.

Zasiadł za biurkiem wskazał mi niedbałym ruchem krzesło stojące naprzeciwko niego. Skrzywiłem się, bo plecy mnie bolały okrutnie.

— Widać, żeś zmęczony, Matthew.

Przyjrzał mi się wielkimi brązowymi oczami. Tak samo jak twarz wyraz tych oczu nieustannie się zmieniał, teraz stały się zimne.

— Troszeczkę. Mam za sobą długą podróż. Zerknąłem na biurko zarzucone dokumentami, na niektórych w świetle świec błyszczą królewska pieczęć. Kilka mniejszych złotych szkatułek posłużyło za przyciski do papieru.

— Bardzo dobrze się spisałeś w sprawie tych aktów własności — rzekł kanclerz. — Bez nich sprawa w sądzie kanclerskim ciągnęłaby się latami.

— Miał je u siebie były szafarz klasztoru. Zabrał je, kiedy zlikwidowano opactwo. Najwyraźniej miejscowi wieśniacy chcieli zagarnąć tę ziemię na błonia. Sir Richard podejrzewał jakiegoś miejscowego rywala, ale postanowiłem zacząć od szafarza, jako że on ostatni miał pieczęć nad dokumentami.

— Bardzo dobrze. To był logiczny wniosek.

— Wytropiłem go w miejscowym kościele, gdzie został proboszczem. Szybko wyznał, że ma dokumenty w końcu mi je oddał.

— Pewnie wieśniacy przekupili byłego klechę. Oddałeś go w ręce sprawiedliwości?

— Szafarz nie wziął dla siebie żadnych pieniędzy. Mniemam, że chciał jeno pomóc miejscowym. Ziemia tam uboga. Uznałem, że lepiej nie podburzać ludzi.

Twarz lorda Cromwella stężała.

— Matthew, ten człowiek popełnił przestępstwo. Źle, żeś go nie zaaresztował, choćby dla przestrogi. Mam nadzieję, że nie mięknie ci serce. W dzisiejszych czasach potrzeba mi twardych ludzi na służbie. — Twarz mu niespodziewanie zaszła gniewem, pamiętałem te jego porywcze humory jeszcze z dawnych lat, kiedy się dopiero poznaliśmy. — To nie Utopia Thomasa More'a, to nie naród niewinnych dzikusów czekających jeno na Słowo Boże, by dopełniło się ich szczęście, to królestwo przemocy pogrążone w zepsuciu zdeprawowanego Kościoła.

— Wiem o tym.

— Papiści chwycą się wszelkich metod, aby nam przeszkodzić w zbudowaniu chrześcijańskiej wspólnoty, więc, na Chrystusa, ja użyję wszelkich metod, aby ich pokonać. — Przykro mi, jeśliś zboczył w osądach.

— Niektórzy twierdzą, żeś miękki — ciągnął cicho. — Powiadają, że brakuje ci zapału boskiej żarliwości, a kto wie, może lojalności.

Lord Cromwell potrafił wpić w swego rozmówcę wzrok nie mrugając powiekami, wpatrywać się weń tak długo, aż ten poczuł przymus, aby spuścić oczy. Kiedy się po chwili z powrotem nań spojrsało, jego surowe brązowe oczy nadal świdrowały człowieka na wskroś. Starąłem się zachować dla siebie wszystkie wątpliwości, które mnie trawiły, zmęczenie, z całą pewnością nikomu się z nich nie zwierzyłem.

— Wasza miłość, jestem wrogiem papieżstwa dzisiaj tak samo jak przed laty. — Wyrzekając te słowa, nie mogłem się powstrzymać od myśli o wszystkich, którzy przede mną musieli złożyć tę deklarację, gdy kanclerz poddawał badaniu ich lojalność. Przeszedł mnie lęk, wziąłem głęboki oddech, aby się uspokoić, miałem nadzieję, że tego nie zauważył. Po chwili skinął powoli głową.

— Mam dla ciebie zadanie odpowiednie dla twych zdolności. Może od niego zależeć cała przyszłość reformacji.

Pochylił się do przodu, wziął do ręki małą szkatułkę podniósł ją do oczu. Wewnątrz, na środku bogato rzeźbionej srebrnej kolumnienki, leżała szklana fiolka zawierająca czerwony proszek.

— To krew świętego Pantaleona żywcem obdartego ze skóry przez pogan. Z Devon. Powiadają, że w dzień tego świętego proszek zamienia się z powrotem w płyn. Co roku setki głupców pielgrzymowały, aby ujrzeć ten cud, szli na klęczkach, byle dostąpić tego zaszczytu. Ale spójrz tylko. — To rzekłszy, odwrócił szkatułkę na drugą stronę. — Widzisz tę dziurkę z tyłu? W ścianie, gdzie stała relikwia, wywiercili drugi taki otwór. Mnich wsuwał pipetę napelniał fiolkę wodą zabarwioną na czerwono. I proszę, święty proszek, czy raczej umbra palona, zamienia się w płynną krew!

Pochyliłem się dotknąłem palcem otworu.

— Ja także słyszałem o takich oszustwach. — Tym właśnie stoją klasztory: oszustwem, bałwochwalstwem, chciwością potajemną służbą biskupowi Rzymu. — Odwrócił relikwiarz, a wtedy maleńkie czerwone płatki jęły przesypywać się w fiolce z góry na dół. Klasztory są jak wrzód na łonie tego królestwa ja go z niego wydrę.

— Początek został uczyniony. Pomniejsze klasztory zlikwidowano.

— To jeno drasnęło powierzchnię, ale przynajmniej przysporzyło pieniędzy, dość, żeby zaostriżyć apetyt króla na większe klasztory, gdzie kryje się prawdziwe bogactwo. Dwieście z nich ma w posiadaniu jedną szóstą majątku królestwa.

— Naprawdę aż tyle?

Kanclerz skinął głową.

— Tak. Ale po buncie z zeszłej zimy, kiedy to dwadzieścia tysięcy protestujących mnichów rozbiło obozy nad Donem żądało zwrotu klasztorów, muszę działać ostrożniej. Król nie chce więcej likwidować opactw siłą, ma rację. Potrzebuję, aby poddały się dobrowolnie, Matthew.

— Ale oni nigdy...

Kanclerz uśmiechnął się cierpko.

— Jest wiele sposobów, żeby zabić wieprza, Matthew. A teraz słuchajże mnie uważnie. To poufna informacja. — Pochylił się do mnie mówić dalej cicho z naciskiem. — Kiedy dwa lata temu zleciłem inspekcję klasztorów, dopilnowałem, aby starannie spisywano wszystko, co może się przyczynić do ich zamknięcia. — Wskazał głową rzędy szufladek na ścianach. — Wszystko tu jest: sodomia, cudzołóstwo, kazania, które są jawną zdradą stanu, potajemnie wyprzedawany majątek. A mam jeszcze całe mnóstwo informatorów ukrytych w klasztorach. — Uśmiechnął się złowieszczo. — Dawno już mogłem posłać na szubienicę dziesiątki opatów, ale ja czekam na lepszą sposobność, przykręcam śrubę, wysyłam coraz to nowe, surowe nakazy, których muszą przestrzegać. Boją się mnie jak ognia.

Uśmiechnął się po raz wtóry, po czym nagle podrzuciłrelikwiarz w powietrze, złapał odstawił z powrotem między papiery.

— Udało mi się nakłonić króla, aby zezwolił mi wybrać kilkanaście klasztorów nałożyć na nie szczególne restrykcje. Wysłałem tam starannie dobranych ludzi, aby złożyli opatom propozycję wyboru: albo emerytura, szczególnie hojna dla przełożonych, w zamian za dobrowolne rozwiązanie konwentu, albo proces. Lewes za głoszenie kazań przeciw racji stanu; Titchfield, skąd przeor wysłał mi odpowiednio dobrane informacje o braciszkach; Peterborough. Kiedy za sprawą mych nacisków kilka klasztorów dobrowolnie podda się rozwiązaniu, pozostałe zrozumieją, że sprawa jest przegrana, pokornie pójdą za ich przykładem. Uważnie śledziłem, jak postępują negocjacje wszystko szło dobrze aż do wczoraj. — Wziął z biurka list. — Słyszałeś może o klasztorze w Scarnsea?

— Nie, wasza miłość.

— Bo też nie było powodu, abyś słyszał. Ma tam siedzibę zakon benedyktynów, w starym zamulonym porcie nad kanałem, na granicy Kentu Sussex. To siedlisko występku nie od wczoraj, mamy dowody ich dawnych grzeszków, a teraz tamtejszy sędzia pokoju, który jest moim człowiekiem, donosi mi, że opat wyprzedaje ziemię za bezcen. W ubiegłym tygodniu wysłałem tam Robina Singletona.

— Znam Singletona — rzekłem. — Stawałem przeciw niemu w sądzie. To człek silnego charakteru. — Zawahałem się. — Jednakowoż chyba nie najlepszy prawnik.

— To prawda, ale mnie potrzebny był właśnie jego silny charakter. Mieliśmy niewiele konkretnych dowodów w tej sprawie, chciałem, aby spróbował wydobyć coś z mnichów na miejscu. Wysłałem z nim specjalistę od prawa kanonicznego, starego reformatora z Cambridge, niejakiego Lawrence'a Good-hapsa. — Wyłowił ze sterty papierów list podał mi go. — To nadeszło wczoraj rano od Goodhapsa.

List napisano maczkiem na kartce wyrwanej z księgi rachunkowej.

Wasza Miłość

Piszę ten list w pośpiechu wyślę go przez posłańca z miasta, albowiem nie ośmieliłbym się zaufać nikomu w tym okropnym miejscu. Pan Singleton został haniebnie zamordowany w samym środku klasztoru, a uczyniono to w najbardziej odrażający sposób. Znalezione go dziś rano w kuchni w kałuży

krwi, a jego głowa leżała odcięta obok. Musiał to uczynić jakiś wielki wróg Waszej Miłości, wszyscy jednak wypierają się tego bezecnego czynu. Zbezczeszczono również kościół skradziono relikwię — dłoń złodzieja ukrzyżowanego z naszym Zbawicielem. Powiadomiłem sędziego Copyngera razem zaprzysięgliśmy opata, że będzie milczał. Obawiamy się, aby pogłoski o tym wydarzeniu nie przedostały się poza mury klasztoru.

Proszę o pomoc, Wasza Miłość, wskazówki, co mam dalej czynić.

Lawrence Goodhaps

- Zamordowano komisarza?
- Na to wygląda. Pocziwina Goodhaps jest przerażony.
- Przecie jednak, jeśli to mnich uczynił, ściągnąby na klasztor natychmiastową klęskę.

Lord Cromwell skinął głową.

- Wiem. Musi to być jakiś klasztor szaleniec, który jako żywo bardziej nas nienawidzi, niż się lęka. Ale rozumiesz, jakie to rodzi implikacje. Chcę uczynić precedens z samorozwiązania się tych klasztorów. Prawo Anglii jej zwyczaje opierają się na precedensach.
- Wszak mamy tu do czynienia z zupełnie innym precedensem.
- Właśnie. Uderzono w królewski majestat, to dosłownie. Staruszek Goodhaps dobrze zrobił, że nakazał zachować całą historię w tajemnicy. Pomyśl tylko, jaką pożywką stałoby się to dla wszelkich fanatyków szaleńców w całym kraju, gdyby wieść o tym czynie wydostała się na zewnątrz.
- Czy król wie?

Kanclerz popatrzył na mnie surowo.

- Gdybym mu powiedział, jego gniew miałby niewyobrażalne skutki. Wysłałby żołnierzy kazał powiesić opata na jego dzwonnicy. Wniwecz by to obróciło wszelkie moje strategiczne wysiłki. Ta sprawa musi zostać rozwiązana szybko w największej tajemnicy.

Domyślałem się już, dokąd cała rzecz zmierza. Poruszyłem się na krześle, ponieważ bolały mnie plecy.

- Chcę, abyś tam pojechał, Matthew, natychmiast. Daję ci wszelkie pełnomocnictwa komisarza wikariusza generalnego. Otrzymujesz prawo wydawania rozkazów dostępu wszędzie, gdzie tylko potrzebujesz.
- Wasza miłość, czy nie jest to zadanie stosowniejsze dla doświadczonego komisarza? Nigdy nie prowadził spraw państwowych z zakonnikami.
- Uczyłeś się u nich. Znasz ich obyczaje. Moi komisarze to ludzie budzący respekt, ale nie słyną z finezji, a ta sprawa wymaga delikatnej ręki. Możesz mieć zaufanie do sędziego Copyngera. Nigdy go nie spotkałem, ale wymienialiśmy listy wiem, że to niezłomny reformator. Nikt inny w mieście nie powinien wiedzieć o tym, co się wydarzyło. Na szczęście Singleton nie miał rodziny, więc nie będą nas niepokoić krewni.

Wziętem głęboki oddech.

— Co wiemy o tym klasztorze?

Cromwell otworzył wielką księgę. Rozpoznałem Com-pertę — raport z wizytacji w klasztorach sporządzony dwa lata temu cytowany przed parlamentem w co bardziej soczystych fragmentach.

— To wielki romański kompleks, bogaty w ziemie piękne zabudowania. Mieszka tam ledwo trzydziestu mnichów co najmniej sześćdziesiąt sług. Dogadzają sobie, typowi benedyk-tyni. Według komisarza, który przeprowadzał inspekcję, kościół pęka w szwach od ozdób świętych figur. Mają też relikwię — dłoń złodzieja ukrzyżowanego razem z Chrystusem, przybitą do kawałka drewna, rzekomo jego krzyża. Ludzie pielgrzymują do niej z daleka, powiadają, że leczy kalectwo.

Mimowolnie spojrział na mój garb, jak to zwykle czynią ludzie, kiedy ktoś wspomina o kalectwie.

— To pewnie ta relikwia, o której wspominał Goodhaps.

— Tak. Moi wysłannicy trafili w Scarnsea na siedlisko sodomitów, jak to się często zdarza w tych szcurzych norach. Poprzedniego przeora, który był głównym winowajcą, usunięto. Według nowych Artykułów Wiary sodomia jest karana śmiercią, to dobry punkt zaczepienia. Kazałem Singletonowi sprawdzić, jak się pod tym względem sprawy mają, a także przedsięwziąć wyprzedzić ziem, o której pisał mi Copynger.

Rozmyślałem przez chwilę.

— To skomplikowana sprawa mająca kilka warstw.

Lord Cromwell skinął głową.

— Właśnie dlatego potrzebuję rozumnego człowieka. Wysłałem już do twojego domu pełnomocnictwa zlecenie, a także odpowiednie fragmenty Comperty. Chcę, żebyś wyruszył w drogę jutro z samego rana. Ten list ma już trzy dni, a tobie podróż może zająć drugie tyle. Weald o tej porze roku zamienia się w bagnisko.

— Aż do dzisiaj mieliśmy suchą jesień. Myślę, że dojadę tam w dwa dni.

— To dobrze. Nie bierz żadnych służących, nie mów o tym nikomu poza Markiem Poerem. Nadal u ciebie mieszka?

— Tak. Doglądał mych spraw pod moją nieobecność.

— Chcę, aby ci towarzyszył. Mówiono mi, że ma tęgi umysł, a tobie może się też przydać para silnych rąk.

— Ale wasza miłość, to może być niebezpieczne. Poza tym, aby być szczerym, Mark nie przejawia zbytnej żarliwości religijnej, nie zrozumie, o co w tej sprawie chodzi.

— Nie musi rozumieć, póki pozostaje lojalny robi, co mu

każesz. Ponadto ta sprawa może mu dopomóc w powrocie do sądu po tym skandalu, który wywołał.

— Mark postąpił jak głupiec. Powinien był wiedzieć, że człowiek o jego pozycji nie może się nawet zbliżyć do córki rycerza. — Westchnąłem. — Jest jeszcze młody.

Lord Cromwell burknął.

— Gdyby król się o tym dowiedział, kazałby go wychłostać. Okazał mało wdzięczności za to, że znalazłeś mu pracę.

— To było ważne zobowiązanie rodzinne, wasza miłość.

— Jeśli dobrze się spisze w tej misji, może poproszę Richa, aby przywrócił go na dawne stanowisko — dodał z naciskiem.

— Dziękuję, wasza miłość.

— Teraz muszę jechać do Hampton. Spróbuję przekonać króla, że powinien wrócić do spraw państwowych. Matthew, dopilnuj, aby nawet słowo o tej sprawie nie poszło w świat. Musisz cenzurować listy wysyłane z klasztoru.

Podniósł się okrążył biurko, a kiedy ja wstałem, otoczył mnie ramieniem, co było widomym znakiem przychylności kanclerzy.

— Znajdź winowajcę jak najszybciej, ale przede wszystkim po cichu. — Uśmiechnął się, po czym wziął do ręki złotą szkatułkę. W środku leżała inna fiołka, mała, pękata, z gęstym, białym płynem, który spływał po szklanych ściankach naczynia. — A przy okazji, co o tym myślisz? Może udałoby ci się wykombinować, jak to działa, bo ja nie umiem.

— A cóż to takiego?

— Stało w klasztorze żeńskim w Bilston przez sto lat. Jest to rzekomo mleko Najświętszej Marii Panny.

Wydałem okrzyk obrzydzenia. Cromwell wybuchnął śmiechem.

— Najbardziej mnie zdumiewa to, jak oni sobie wyobrażali, że ktoś to mleko zdobył od Marii Panny. Musiało być niedawno wlane, bo jeszcze nie wyschło. Spodziewałem się znaleźć jakiś otwór, tak jak w tym poprzednim, ale niczego takiego nie widać. Wygląda na szczelnie zamknięte. Co o tym myślisz? Jąłem oglądać szkatułkę szukać jakiejś maleńkiej dziurki, ale na próżno. Obmacałem skrzyneczkę, czy nie ma ukrytych zawiasików, aż wreszcie pokręciłem głową.

— Nie umiem odgadnąć, jak to działa. Wygląda, jakby było szczelnie zamknięte.

— Szkoda, chciałem je pokazać królowi, ubawiłby się.

Odprowadził mnie do wyjścia, a potem otworzył drzwi, cały

czas otaczając mnie ramieniem, tak aby urzędnicy mogli widzieć, że jestem w łaskach. Gdy wychodziłem z komnaty, moje oko padło znowu na dwie wyszczerzone czaszki. Migotliwe światło igrało na martwych oczodołach, a ja, czując na ramieniu dłoń swego mocodawcy, musiałem dokonać wielkiego wysiłku, aby stłumić dreszcz.

## Rozdział drugi

Deszcz litościwie przestał padać, kiedy opuściłem Westminster. W nadciągającym zmierzchu powoli jechałem w stronę domu. Słowa lorda Cromwella napawały mnie lękiem. Zdałem sobie sprawę, że bardzo przywykłem do łask kanclerza, zmroziła mnie sama myśl o odprawieniu, jednakże bardziej jeszcze przeraziło mnie jego wypytywanie o moją lojalność. Muszę bardziej zważać na to, co mówię na terenie sądów.

Tego roku kupiłem nowy dom przy Chancery Lane — szerokim trakcie noszącym imię dworu jego wysokości oraz mego konia. Był to piękny kamienny budynek z przeszklonymi oknami, a kosztował mnie prawdziwy majątek. Otworzyła mi drzwi gospodyni Joan Woode, miła, żwawa niewiasta, która pracowała u mnie od kilku lat. Powitała mnie ciepło; nierzadko traktowała mnie jak syna, co nie było mi niemiłe, choć niekiedy nadużywała swej pozycji.

Dokuczał mi głód, więc pomimo wczesnej pory kazałem przygotować kolację, po czym udałem się do salonu. Byłem bardzo dumny z tego pokoju, niemałym kosztem zleciłem namalowanie na ścianach leśnej scenerii w stylu klasycznym. W kominku płonął ogień, a obok niego na stołku siedział Mark. Osobliwy przedstawiał widok. Zdjął był z siebie koszulę, odsłonił białą, muskularną pierś przyszywał sobie do kołnierza bogato rzeźbione guziki z agatu. Tuzin igieł, każda z płożącym się za nią wąsem białej nici, tkwiło wbitych w jego sączek, który zgodnie z najnowszą modą był ogromny. Musiałem bardzo się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem.

Mark uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju: szeroko, odsłaniając zdrowe, lecz trochę za duże zęby.

— Doszły mnie wieści, że wasza miłość wraca. Posłaniec od lorda Cromwella przywiózł jakiś pakunek powiedział, że przyjeżdżacie. Wybaczcie, że nie wstaję, ale nie chciałbym, aby mi się któraś z tych igieł wymknęła.

Chociaż twarz mu się uśmiechała, oczy patrzyły na mnie z rezerwą. Skoro byłem u lorda Cromwella, niechybnie rozmawialiśmy o jego skandalicznym wybryku.

Chrząknąłem. Zauważyłem, że ostrzygł swe brązowe włosy. Król Henryk, który nosił ostatnimi czasy krótkie fryzury, aby ukryć łysinę, nakazał, aby wszyscy mężczyźni na dworze obcięli włosy, co rzecz jasna stało się natychmiast powszechnie panującą modą. Mark dobrze wyglądał w tym nowym stylu, ja jednak pozostałem przy dawnym, który lepiej pasował do moich kanciastych rysów.

— Nie mogłeś polecić Joan, aby to zrobiła za ciebie?

— Była zajęta, czyniła przygotowania na wasz powrót.

Wziąłem do ręki księgę leżącą na stole.

— Widzę, żeś studiował mojego Machiavellego.

— Wasza miłość powiedział, że mogę go poczytać dla rozrywki.

Z westchnieniem usiadłem na swoim wyłożonym poduszkami fotelu.

— I jak ci się podobał?

— Nie bardzo. Doradza swemu księciu okrucieństwo podstępny.

— Uważa, że to konieczne dla skutecznych rządów. Jego zdaniem klasyczni pisarze, nawołując do cnoty, ignorują realia życia, „bowiem człowiek, który pragnie zawsze wszędzie bogato rzeźbione guziki z agatu. Tuzin igieł, każda z płóciącym się za nią wąsem białej nici, tkwiło wbitych w jego sączek, który zgodnie z najnowszą modą był ogromny. Musiałem bardzo się powstrzymać, aby nie wybuchnąć śmiechem.

Mark uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju: szeroko, odsłaniając zdrowe, lecz trochę za duże zęby.

— Doszły mnie wieści, że wasza miłość wraca. Posłaniec od lorda Cromwella przywiózł jakiś pakunek powiedział, że przyjeżdżacie. Wybaczcie, że nie wstaję, ale nie chciałbym, aby mi się któraś z tych igieł wymknęła.

Chociaż twarz mu się uśmiechała, oczy patrzyły na mnie z rezerwą. Skoro byłem u lorda Cromwella, niechybnie rozmawialiśmy o jego skandalicznym wybryku.

Chrząknąłem. Zauważyłem, że ostrzygł swe brązowe włosy. Król Henryk, który nosił ostatnimi czasy krótkie fryzury, aby ukryć łysinę, nakazał, aby wszyscy mężczyźni na dworze obcięli włosy, co rzecz jasna stało się natychmiast powszechnie panującą modą. Mark dobrze wyglądał w tym nowym stylu, ja jednak pozostałem przy dawnym, który lepiej pasował do moich kanciastych rysów.

— Nie mogłeś polecić Joan, aby to zrobiła za ciebie?

— Była zajęta, czyniła przygotowania na wasz powrót.

Wziąłem do ręki księgę leżącą na stole.

— Widzę, żeś studiował mojego Machiavellego.

— Wasza miłość powiedział, że mogę go poczytać dla rozrywki.

Z westchnieniem usiadłem na swoim wyłożonym poduszkami fotelu.

— I jak ci się podobał?

— Nie bardzo. Doradza swemu księciu okrucieństwo podstępny.

— Uważa, że to konieczne dla skutecznych rządów. Jego zdaniem klasyczni pisarze, nawołując do cnoty, ignorują realia życia, „bowiem człowiek, który pragnie zawsze wszędzie wytrwać w dobrem, paść koniecznie musi między tylu ludźmi, którzy nie są dobrymi”\*.

Mark urwał zębami kawałek nici.

— To gorzkie twierdzenie.

— Machiavelli był zgorzkniałym człowiekiem. Napisał swoją książkę po tym, jak go skazali na tortury Medyceusze. Potem jednemu z nich zadedykował swe dzieło. Lepiej nie opowiadaj nikomu, żeś je czytał, kiedy wrócisz do Westmin-steru. Nie jest ono tam mile widziane.

Na tę uwagę Mark podniósł oczy.



— Czy to znaczy, że będę mógł wrócić? Czyżby lord Cromwell...

— Niewykluczone. Porozmawiamy o tym przy wieczerzy. Zdrożony jestem chciałbym trochę odpocząć.

Podniosłem się z fotela opuściłem salon. Nie zaszkodzi młodzikowi, że go potrzymam nieco w niepewności.

Joan w istocie nie marnowała czasu, w moim pokoju płonął ogień, łóżko z piernatem zostało postane, na biurku stała zapalona świeca, a obok leżał mój największy skarb — najnowsze, świeżo zatwierdzone wydanie Biblii w języku angielskim. Kojąco podziałał na mnie jej widok, spoczywającej w centralnym miejscu pokoju, jasno oświetlonej, przyciągającej wzrok. Otworzyłem ją przebiegłem palcami po gotyckiej czcionce, której błyszcząca powierzchnia lśniła w świetle świecy. Obok Biblii leżała paczuszka z dokumentami. Wyjąłem sztylet przeciąłem pieczęć, twardey wosk pokruszył się na czerwone kawałki posypał na biurko. W środku znalazłem list z pełnomocnictwem, napisany energiczną ręką lorda Cromwella, oprawiony tom Compertry oraz dokumenty dotyczące inspekcji w Scarnsea.

Stałem czas jakiś przy oknie przez szybkę w kształcie

rombu patrzyłem na swój ogród, na trawnik otoczony murem, pogrążony w ciszy wieczoru. Pragnąłem tu pozostać, w ciepłym, wygodnym wnętrzu mego domu, podczas gdy na świecie nadchodziła zima. Westchnąwszy, położyłem się na łóżku, czułem, jak mięśnie w mych zmęczonych plecach drgają, rozluźniając się z wolna. Nazajutrz czekał mnie kolejny dzień w siodle, a z każdym upływającym rokiem te długie podróże stawały się dla mnie coraz bardziej bolesne.

Kalectwo zaczęło mnie dopadać, gdy miałem trzy lata. Stopniowo coraz bardziej pochylałem się do przodu na bok żaden aparat nie mógł tego powstrzymać. Kiedy skończyłem pięć lat, byłem już prawdziwym garbusem tak pozostało aż po dziś dzień. Jakże zazdrościłem chłopcom dziewczętom z gospodarstwa, którzy biegali bawili się, podczas gdy ja dyrdałem za nimi niczym krab ku powszechnym szyderstwom. Często wyplakiwałem się Bogu za tę niesprawiedliwość.

Ojciec mój hodował owce gospodarzył na sporym kawałku gruntu ornego pod Lichfield. Smuciło go bardzo, że nie przejmę po nim gospodarki, albowiem byłem jedynym dzieckiem, jakie mu zostało. Niemoc dawała mi się we znaki tym dotkliwiej, że ojciec ani razu w swoim życiu nie poczynił mi wyrzutów za moje niedołęstwo; powiedział kiedyś po prostu, że kiedy się zestarzeje nie będzie już mógł dłużej obrabiać ziemi ani oporządzać zwierząt, wyznaczy zarządcę, który zajmie się gospodarstwem w moim imieniu.

Miałem szesnaście lat, kiedy zjawił się zarządca. Pamiętam, że zduśliłem w sobie silne uczucie niechęci, kiedy pewnego letniego dnia próg naszego domu przekroczył William Poer — wielki, ciemnowłosy mężczyzna o czerstwej, szczerzej twarzy silnych dłoniach ścisnął mi rękę w szorstkim, męskim geście. Przedstawiono mi jego żonę — bladolicą, ładną niewiastę, Marka, który wtenczas był krzepkim, potarganym brzdącem trzymając się spódnicy matki, z brudnym kciukiem w buzi wlepiął we mnie oczy.

Zapadła już wówczas decyzja, że mam pojechać do Londynu, aby uczyć się na prawnika w sądzie. Była to dalekowzroczna myśl, jeśli pragnęło się zapewnić synowi niezależność finansową, a on miał choć krztynę rozumu, aby się nadawać do pobierania nauk. Ojciec mój rzekł, że nie tylko mogę w tej

dziedzinie zarobić godziwe pieniądze, ale że pomoże mi to w przyszłości mieć oko na poczynania mego nadzorca w gospodarstwie. Wierzył, że pewnego dnia powrócę do Lichfield, ale tak się nie stało.

Przybyłem do Londynu w 1518 roku, tym samym, w którym Marcin Luter rzucił wyzwanie papieżowi, przybijając swe tezy do drzwi kościoła w Wittenberdze. Pamiętam, jak trudno mi było z początku przywyknąć do hałasu, tłumów przede wszystkim nieustającego smrodu stolicy. Wkrótce jednak wśród osób, które ze mną mieszkały uczyły się, znalazłem dobre towarzystwo. Był to okres ożywionych sporów, prawnicy występowali przeciwko wszechwładzy sądów kościelnych. Opowiedziałem się za tymi, którzy uważali, że sądy królewskie pozbawia się prerogatyw, boć przecie jeśli ludzie sprzeczą się o znaczenie jakiejś umowy lub obrzucają się oszczerstwami, to jakaż w tym sprawa archidiacona? I nie była to wcale zwyczajna, cyniczna walka o interesy, Kościół przypominał wielką ośmiornicę, rozpościerającą swe macki w każdej sferze życia państwa, a wszystko dla zysku z lekceważeniem autorytetu Pisma Świętego. Czytałem Erazma zacząłem dostrzegać swą młodzieńczą niewolę w poddaństwie wobec Kościoła w całym nowym świetle. Miałem własne powody do rozgoryczenia niechęci, zwłaszcza wobec zakonników, a teraz ujrzałem, że były one słuszne.

Ukończyłem szkoły, zacząłem zawierać znajomości niebawem znalazłem pracę. Niespodziewanie odkryłem u siebie talent do dysput sądowych, dzięki czemu wielu co bardziej uczciwych sędziów pożądało mojej współpracy. Pod koniec

lat dwudziestych, właśnie kiedy konflikt króla z papieżem

o unieważnienie ślubu z Katarzyną Aragońską przerodził się w społeczny ruch, przedstawiono mnie Thomasowi Cromwellowi, którego wówczas był jeno prawnikiem, szybko jednak wspinał się coraz wyżej w służbie kardynała Wolseya.

Poznałem go za pośrednictwem towarzystwa dyskusyjnego reformatorów, które spotykało się w londyńskiej gospodzie, potajemnie, jako że wiele ksiąg, które czytaliśmy, było zakazanych. Jął mi zlecać prace, które otrzymywał z ministerstw,

i tak z wolna wkroczyłem na swą przyszłą drogę, w ślad za Cromwellem, który niebawem zastąpił kardynała Wolseya, został kanclerzem, wikariuszem generalnym przez cały czas utrzymywał w tajemnicy przed monarchą swój religijny radykalizm.

Z czasem coraz częściej korzystał z mej pomocy w kwestiach prawnych, gdyż pomagając tym, którzy cieszyli się jego łaskami, prządl potężną sieć popleczników. Wkrótce ugruntowała się moja pozycja jako jednego z „ludzi Cromwella”. Tak więc kiedy cztery lata temu ojciec napisał do mnie, pytając, czy mógłbym znaleźć jakąś posesję synowi Williama Poera w jednym z rozległych ministerstw, którymi zarządzał mój mocodawca, mogłem to uczynić bez trudu.

Mark zaplanował swój przyjazd do Londynu na kwiecień 1533 roku, aby obejrzeć koronację królowej Anny Boleyn. Był zachwycony wielką ceremonią na cześć kobiety, którą niedługo później kazano nam uważać za wiedźmę cudzołożnicę. Mark miał wtedy szesnaście lat, tyle samo co ja, kiedy przyjechał na południe. Nie był zbyt wysoki, ale za to postawny, z gładkiej, niemal anielskiej twarzy podobny do matki, ale duże błękitne oczy, z których wyzierała czujna inteligencja, były jego cechą charakterystyczną.

Przyznaję, że kiedy zjawił się w moim domu, chciałem, aby jak najszybciej z niego zniknął. Nie miałem ochoty działać in loco parentis wobec goło wąsa, który bez cienia wątpliwości będzie zaraz trzaskał drzwiami śmieci na podłogę kłóregotwarz oraz postura budziły we mnie wszystkie smutne wspomnienia domu. Wyobrażałem sobie, że mój biedny ojciec wołałby jego mieć za syna zamiast mnie.

Wszelako z jakiegoś powodu moja chęć pozbycia się go z domu z czasem ziałała. Mark nie był takim wiejskim prostakiem, jak się spodziewałem, przeciwnie, miał spokojne, pełne godności szacunku obejście, wykazywał też dobre maniere przynajmniej w stopniu podstawowym. Kiedy popełnił gafę w zakresie ubrania lub etykiety przy stole, co często mu się z początku zdarzało, drwił potem dobrodusznie z samego siebie. Powiadano, że jest sumienny w pracy na swym stanowisku młodszego urzędnika, najpierw w Ministerstwie Skarbu, a następnie w sądzie do spraw majątku likwidowanych klasztorów. Pozwalałem mu wychodzić wracać, kiedy zechce, a jeśli odwiedzał z towarzyszami karczmy lub domy rozpusty, to nigdy nie wracał pijany ani nie zachowywał się hałaśliwie.

Jakoś wbrew sobie nabrałem doń upodobania często wykorzystywałem jego lotny umysł, aby wypróbować na nim co trudniejsze zagadnienia z dziedziny prawa lub zagadki, z którymi się zmagalem. Jeśli miał jakąś wadę, to było nią lenistwo, zwykle jednak wystarczyło kilka ostrych słów, aby go przywrócić do porządku. Przystałem myśleć z niechęcią, że ojciec mój mógłby go chcieć za syna, a zacząłem żałować, że nie jest moim potomkiem. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek będę miał dzieci, gdyż biedna Kate zmarła w czasie zarazy w 1534 roku, chociaż po prawdzie było to nieuzasadnione przypuszczenie, ponieważ gdyby Kate przeżyła, z pewnością wyszłaby za innego. Po dziś dzień nosiłem jednak pierścień żałobny z trupią główką.

Godzinę później Joan zawołała mnie na kolację. Na stole stał wyśmienity kapłon z marchwią rzepą. Mark siedział skromnie na swoim miejscu, ubrany z powrotem w koszulę kaftan z delikatnej brązowej wełny. Spozrzegłem na kamizelijeszczę więcej guzików z agatu. Zmówiłem modlitwę oderwałem nogę kurczaka.

— Zatem — zacząłem — wydaje się, że lord Cromwell może cię przywrócić na stanowisko w sądzie. Najpierw chce, abyś mi pomógł wykonać zadanie, które mi zlecił, a potem zobaczy.

Pół roku temu Mark flirtował z damą dworu królowej Jane. Dziewka miała zaledwie szesnaście lat, za mało na piastowanie takiej funkcji na dworze, ale popchnęli ją tam ambitni krewni. No ściągnęła na nich hańbę. Jęła wyprawiać się na wycieczki po całym Whitehallu Westminsterze, aż w końcu zawędrowała do Westminster Hall, między urzędników prawników. Tam mała swawolnica poznała Marka rzecz skończyła się w pustym gabinecie. Potem obudziła się w niej skrucha, więc opowiedziała o wszystkim dworkom, a od nich sprawa w stosownym czasie dotarła do szambelana. Młódkę spakowano odesłano do domu, a Mark przerażony oszołomiony, nie ochłonałszy z miłosnego ognia, trafił prosto w ogień przesłuchań wyższych urzędników dworskich. Chociaż zły byłem na głupiego młokosa, żal mi się go zrobiło, a bałem się o niego, bo był przecie jeszcze bardzo młody. Poprosiłem lorda Cromwella o wstawiennictwo, wiedziałem bowiem o jego pobjaźliwości wobec tego rodzaju wybryków.

— Dziękuję waszej miłości — rzekł Mark. — Wstydy mi bardzo z powodu tego, co się stało.

— Masz szczęście. Ludzie o naszej pozycji nieczęsto otrzymują drugą szansę, a już na pewno nie po czymś takim.

— Wiem. Jenó że... ona zachowywała się zuchwale. — Uśmiechnął się nieśmiało. — A wszak... jestem tylko człowiekiem z krwi kości.

— To było zwykłe, głupie dziewczę. Mogłeś jej zrobić dziecko.

— Gdyby do tego doszło, poślubiłbym ją, oczywiście, acz nie wiem, czyby nam nasze urodzenie na to pozwoliło. Mam swój honor, wasza miłość. Włożyłem do ust kawałek kurczaka machnąłem na chłopaka nożem. Stara śpiewka.

— A jakże, honor masz, jeno rozwagi za grosz. Różnica urodzenia waży na wszystkim. Przecież od lat pracujesz w służbie państwowej, sam dobrze wiesz, jak się sprawy mają. Pochodzimy z gminu winniśmy wiedzieć, gdzie nasze miejsce. Owszem, zdarza się, że ludzie niskiego urodzenia, tacy jak Cromwell Rich, zachodzą wysoko w królewskiej służbie, ale to dlatego tylko, że nasz łaskawy władca raczył ich wynieść. I w każdej chwili może ich strącić z tych wyżyn. Gdyby szambelan powiedział o twoim wybryku królowi zamiast lordowi Cromwellowi, siedziałbyś teraz w Tower, wychłostany tak, że nie zapomniałbyś tego do końca życia. Bałem się wtedy, że tak to się skończy.

Prawdą jest, że ów skandal kosztował mnie wiele nieprzespanych nocy, chociaż nigdy mu tego nie mówił.

Wyglądał na przybitego. Obmyłem palce w miseczce.

— Miejmy nadzieję, że tym razem sprawa przycichnie — rzekłem łagodniejszym tonem. — A jak tam interesy? Przygotowałaś akt przeniesienia własności Fetter Lane?

— Tak, wasza miłość.

— Spojrzę na niego po kolacji. Mam też do przejrzania trochę innych dokumentów. — Odłożyłem serwetę popatrzyłem na Marka poważnie. — Jutro wyjeżdżamy na południe.

Wyjaśniłem mu, na czym polega nasze zadanie, zataiłem jednak polityczną wagę tej sprawy. Mark wytrzeszczył na mnie oczy, kiedy usłyszał o morderstwie, widziałem, jak wraca doń lekkomyślne, młodzieńcze podniecenie.

— To może być niebezpieczne — ostrzegłem go. — Nie mamy pojęcia, co tam się dzieje, musimy być gotowi na najgorsze.

— Wyglądacie na zatroskanego, wasza miłość.

— To wielka odpowiedzialność. Poza tym, szczerze mówiąc, wolałbym zostać w domu, niż podróżować do Sussex. Za Wealdem rozciąga się już jeno pustkowie. — Westchnąłem. — Jednakże wzorem Izajasza musimy iść walczyć za Syjon. — Jeśli wam się uda, lord Cromwell sownie was wynagrodzi.

— Tak. Poza tym pozostanę w łaskach.

Na te słowa Mark spojrział na mnie zaskoczony. Uznałem, że lepiej zmienić temat.

- Nigdy przedtem nie byłeś w klasztorze, co?
- Nigdy.
- Uczyłeś się w świeckiej szkole, nie dostałeś wątpliwego przywileju kształcenia przez zakonników. Niewielu z nich zna łacinę na tyle dobrze, aby czytać starożytne księgi, z których uczą się. Mój zysk, że miałem szczyptę wrodzonego rozumu, inaczej pozostałbym tak samo niepiśmienny jak Joan.
- Naprawdę w zakonach panuje takie zepsucie, jak powiadają? — spytał Mark.
- Widziałeś przecie Czarną Księgę fragmenty raportów z inspekcji, handlują nimi w mieście.
- Większa część Londynu ją czytała.
- Tak, ludzie uwielbiają opowieści o rozpustnych mnichach.

Przerwałem, kiedy Joan wniosła sos do deseru.

- Ale rzeczywiście są zdemoralizowani — ciągnąłem, kiedy gosposia wyszła. — Reguła benedyktyńska zaleca życie poświęcone pracy modlitwie, w odizolowaniu od świata zaspokajającym jeno najważniejsze potrzeby. Mimo to mnisi mieszkają na ogół w wielkich gmachach, z rzeszą służących na skinienie, żyją z olbrzymich dochodów z ziem, które są własnością klasztoru. Zżera ich zepsucie wszelkiego sortu.
- Podobno kartuzjańscy zakonnicy żyli bardzo skromnie śpiewali hymny, kiedy ich prowadzono na Tyburn, aby im wypruć wnętrzności.
- Prawda to, że kilka zakonów żyje uczciwie. Nie zapominaj jednak, że kartuzi zginęli, ponieważ nie chcieli uznać króla za głowę Kościoła. Wszyscy mnisi chcą powrotu papieża, a teraz wygląda na to, że jeden z nich uciekł się nawet do zabójstwa. — Westchnąłem. — Przykro mi, że zostałeś w to wplątany. — Człowiek honoru nie powinien się lękać niebezpieczeństwa.
- Każdy człowiek powinien się lękać niebezpieczeństwa. Bierzesz nadal lekcje fechtunku?
- Tak, wasza miłość. Mistrz Green mówi, że szybko robię postępy.
- To dobrze. Wszędzie, gdzie drogi mniej uczęszczane, roi się od zuchwałych żebraków

Mark milczał przez chwilę patrzył na mnie zamyślony.

- Wasza miłość, jestem bardzo wdzięczny za to, że będę mógł powrócić na swoje stanowisko w Westminsterze, ale... chciałbym, aby to miejsce nie było takim rynsztokiem. Połowa ziem przechodzi w ręce Richarda Richa jego świty.
- Przesadzasz. To całkiem nowy urząd, wiadomą jest rzeczą, że osoby stojące u władzy wynagradzają tych, którzy ofiarowują im swą lojalność. Na tym polega dobra władza. Marku, marzysz o idealnym świecie. Ponadto powinieneś uważać na to, co mówisz. Czyżbyś znowu czytał Utopię More'a? Jeszcze dzisiaj cytował mi ją Cromwell.

— Utopia daje nadzieję na poprawę ludzkiej kondycji. Włosi przyprawiają tylko człowieka o rozpacz.

Dźgnąłem go palcem w kaftan.

— No cóż, jeśli chcesz być jak utopianie, powinieneś zamienić te fikuśne stroje na włosiennicę. A przy okazji, cóż to za wzór widnieje na tych guzikach?

Mark zdjął kaftan podał mi go nad stołem. Na każdym guziku misternie wyrzeźbiono maleńkie postacie: mężczyznę z mieczem otaczającego ramieniem kobietę, a obok nich stojącego jelenia.

— Kupiłem je bardzo tanio na rynku St. Martin. Agaty są fałszywe.

— Ach, rozumiem. Ale co oznaczają te obrazki? Już wiem, wierność, to przez jelenia. — Oddałem Markowi bezrękaw-nik. — Nudzi mnie ta moda na alegoryczne zdobienia, które ludzie muszą odgadywać. Na świecie jest wystarczająco dużo prawdziwych łamigłówek. — Wszak wasza miłość sam maluje.

— Ilekroć znajduję na to czas, owszem. Ale staram się na swój skromny sposób ukazywać ludzi takich, jacy są, niczym mistrz Holbein. Sztuka powinna rozjaśniać tajemnice naszej egzystencji, zamiast przesłaniać je jeszcze bardziej.

— Czyżbyś, panie, nigdy nie nosił takich fantazji w czasach swej młodości?

— Nie było wówczas takiej mody. Może zdarzyło mi się raz czy dwa. — Nasunęły mi się na myśl słowa Biblii. Przytoczyłem je z niejakim smutkiem. — Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce\*. No, muszę iść na górę, mam mnóstwo rzeczy do przestudiowania. — Dźwignąłem się ciężko, a Mark podszedł do mnie, aby mi pomóc.

— Poradzę sobie — rzekłem z irytacją, krzywiąc się z bólu, który przeszywał mi plecy. — Obudź mnie skoro świt. I każ Joan przygotować dobre śniadanie.

Wziąłem świecę wszedłem po schodach na piętro. Czekały mnie łamigłówki bardziej skomplikowane niż wzory rzeźbione na guzikach każda pomoc, jaką mogłem uzyskać, studiując uczciwe angielskie słowo drukowane, była mi wielce potrzebna.

\* i Kor (13;11). Cytaty zaczerpnięte z Biblii Tysiąclecia.

## Rozdział trzeci

Wyruszyliśmy nazajutrz o świcie, drugiego listopada, w Zaduszki. Dobrze spałem po wieczornej lekturze obudziłem się nieco lepiej usposobiony. Poczułem dreszcz podniecenia. Byłem kiedyś uczniem zakonników, potem zostałem wrogiem wszystkiego, co reprezentowali. Teraz miałem się zagłębić w sam środek ich pełnego tajemnic, zdemoralizowanego życia.

Na przemian upomnieniami, to znów łagodną zachętą ponaglałem Marka do pośpiechu podczas śniadania, a potem do wyruszenia w drogę. W nocy pogoda się zmieniła, wschodni wiatr niósł suche, szczypiące powietrze, na drodze zamarzały błotniste koleiny. Zimno wyciskało nam łzy z oczu, kiedyśmy wyruszyli opatuleni grubymi futrami, z dłońmi w ciepłych rękawicach kapturami płaszczy

podróżnych naciągniętymi głęboko na twarze. pasa wisił mi sztylet, który zwykle nosiłem tylko dla ozdoby, lecz tego ranka naostrzyłem go na osetce kuchennej. Mark miał przypięty miecz — klingę długości dwóch stóp, z londyńskiej stali, ostrą jak brzytwa, kupioną za oszczędności, jakie poczynił na lekcje fechtunku.

Dłońmi złożonymi w kołyskę pomógł mi wsiąść na Chan-cery'ego, ponieważ samemu trudno mi było wspiąć się na siodło. Potem sam dosiadł swego krzepkiego deresza, Rudo-nogiego, wyruszyliśmy na koniach obładowanych ciężkimi sakwami, w które spakowaliśmy ubrania moje papiery. Mark wyglądał, jakby na wpół spał jeszcze, zdjął kaptur podrapał się po zmierzwionej czuprynie, krzywiąc się, bo wiatr targał mu bezlitośnie włosy.

— Chryste Panie, ależ ziąb.

— Za dużo wygodnego życia pędził w ciepłych urzędach — rzekłem. — Trzeba, żeby krew ci się trochę zagęściła.

— Myślicie, że złapie nas śnieg?

— Mam nadzieję, że nie. To by nas zatrzymało w podróży na wiele dni.

Przejeżdżaliśmy przez Londyn, który się właśnie budził ze snu, potem wjechaliśmy na Most Londyński. Popatrzyłem w dół rzeki, dalej jeszcze, niż wznosiło się groźne cielsko. Tower, zobaczyłem karawelę zakotwiczoną przy Wyspie Psów. Ciężki dziób wysokie maszty majaczyły ledwo widoczne w miejscu, gdzie szara woda zlewała się z szarym niebem. Wskazałem palcem okręt rzekłem do Marka:

— Ciekawym, skąd przybył ten statek.

— W dzisiejszych czasach ludzie podróżują do miejsc, o których naszym ojcom się nawet nie śniło.

— I przywożą stamtąd prawdziwe dziwa. — Pomyślałem

o osobliwym gadającym ptaku. — Nowe dziwa może nowe oszustwa.

Jechaliśmy dalej mostem. Na drugim końcu, przy palach leżała roztrzaskana czaszka. Ptaki wydziobały z niej mięso

i spadła ze słupa, będzie tu leżeć czekać, aż jej kawałki pozbierają jacyś łowcy pamiątek albo wiedźmy szukające amuletów. Najpierw czaszki świętej Barbary w komnacie Cromwella, a teraz ten relikw doczesnego sądu. Z niepokojem pomyślałem, że to może jakiś niedobry znak, ale zaraz szybko skarciłem się w duchu za takie przesady.

Przez dłuższy czas droga wiodąca z Londynu na południe była całkiem dobra, biegła przez pola, które żywiły stolicę, teraz jednak leżały brązowe nagie. Niebo nabrało barwy mleka pogoda się ustabilizowała. W południe zatrzymaliśmy się na obiad niedaleko Eltham, potem wjechaliśmy na wzgórze North Downs ujrzeliśmy rozpościerające się przed nami stare lasy Wealdu, nagie wierzchołki, tylko gdzieniegdzie upstrzone zielenią ciągnęły się aż po zamglony horyzont.

Węższa teraz droga biegła między stromymi, zadrzewionymi skarpami, przykryta opadłymi liśćmi. Co jakiś czas odbiegały w bok ledwo widoczne dróżki prowadzące do pobliskich osad. Z rzadka mijał nas

jakiś powóz. Późnym popołudniem dotarliśmy do niewielkiego miasteczka targowego, Tonbridge, skręciliśmy na południe. Rozglądaliśmy się bacznie za rozbójnikami, ale dostrzeżliśmy tylko stadko jeleni skubiących coś na ścieżce. Kiedyśmy wyjechali zza zakrętu, płochliwe stworzenia wdrapały się na skarpę znikły w lesie.

Zapadał zmierzch, kiedy zza drzew dobiegło nas bicie dzwonu kościelnego. Minęliśmy kolejny skręt znaleźliśmy się na jedynej drodze biegnącej przez ubogą wioskę, która składała się prawie wyłącznie z chałup zbudowanych z plecionki obrzuconej gliną, pokrytych strzechami, poza tym okazałego romańskiego kościoła gospody stojącej tuż przy świątyni. We wszystkich oknach kościoła paliły się świece, przez kolorowe witraże przesączał się soczysty blask. Dzwon nie cichł ani na moment.

— Msza za dusze zmarłych — zauważył Mark.

— Tak, wszyscy mieszkańcy są pewnie w kościele, modlą się za dusze czyścicowe.

Jechaliśmy niespiesznie drogą, a po obu stronach z drzwi chałup wyglądały na nas małe, jasnowłose dzieci. W obejściach krzątali się nieliczni dorośli, a z otwartych drzwi świątyni dochodziły odgłosy odprawianej mszy.

W tych czasach Zaduszki były jednym z największych świąt w kalendarzu. We wszystkich kościołach parafianie zbierali się na mszach modlitwami starali się pomóc duszom swych bliskich przejść pokutę czyścicową. Odebrano już ceremoniom tym aprobatę królewską, wkrótce mają zostać całkowicie zakazane. Niektórzy twierdzili, że okrucieństwem było pozbawienie ludzi pociechy wypominków, jednakże większą pociechę przynosi myśl, że dusze krewnych trafiły zgodnie z wolą Boga albo do nieba, albo do piekła, niż wiara, że cierpią męki ból w czyścicu, kto wie, może wieki całe.

Zsiedliśmy ciężko z koni przed gospodą przywiązaliśmy wierzchowce do żerdzi. Budynek niewiele się różnił od pozostałych chałup, był jeno większy: plecionka obrzucona tynkiem, który łuszczył się miejscami, nakryta wysoką strzechą, u dołu sięgającą aż do okien pierwszego piętra.

W gospodzie na okrągłym palenisku płonął ogień, starym zwyczajem pośrodku izby, dym uchodził zarówno do komina nad paleniskiem, jak do sali jadalnej. Kilku brodatych starców grających w kości wytrzeszczało na nas ciekawie oczy w półmroku. Podszedł do nas gruby jegomość w fartuchu, a idąc, baczny okiem mierzył nasze kosztowne futra. Zapytałem

o nocleg posiłek, na co karczmarz zaoferował nam jedno

i drugie za sześć pensów. Z trudem starając się zrozumieć jego niewyraźną, gardłową gwarę, utargowałem dwa pensy. Potem upewniłem się, że jedziemy dobrą drogą do Scarnsea, zamówiłem grzane piwo usiadłem przy kominku, a Mark poszedł sprawdzić, czy dobrze oporzędzono nasze konie.

Ucieszyłem się, kiedy wrócił, bo już mi się uprzykrzyło siedzieć beczynn timer, czując na sobie wzrok ciekawskich staruchów. Skinąłem im uprzejmie, ale wtedy oni odwrócili głowy w drugą stronę.

— Jakoś nieprzyjaźnie patrzy tym ludziom z oczu — szepnął Mark.

— Niewielu widują tu podróżnych. Poza tym wierzą pewnie, że garbusy sprowadzają nieszczęście. No cóż, większość ludzi tak myśli. Mało to razy widziałem, jak żegnają się na mój widok, nie bacząc nawet, żem elegancko odziany?



Zamówiliśmy kolację. Podano nam tłusty gulasz barani ciężkie piwo. Mark burczał, że ta owca dawno się już ze światem rozstała, a tymczasem w trakcie naszego posiłku weszła do gospody grupa wieśniaków ubrana w swoje najlepsze stroje. Widać msza zaduszna właśnie się skończyła. Usiedli razem przy stoliku jęli gawędzić ponuro. Od czasu do czasu oni również posyłali nam ciekawskie, lecz nieprzyjazne spojrzenia.

Zauważyłem, że w kącie izby siedzi trzech mężczyzn, których miejscowi chłopci także ostentacyjnie ignorują. Mieli jakiś nieokrzesany wygląd, obdarte ubrania nieporządne brody. Przyglądali nam się uważnie, lecz nie gapili się tak otwarcie jak miejscowi, tylko spoglądali ukradkowo, z ukosa.

— Widzi pan tego jegomościa? — wyszeptał Mark. — Przysięgłbym, że te łachmany to dawny mnisi habit.

Największy z mężczyzn, brzydal ze złamanym nosem, miał na sobie złachmanioną sukmanę z grubej czarnej wełny teraz ja również zauważyłem, że na plecach wisi benedyktyński kaptur. Podszedł do nas karczmarz, aby napełnić nam kufle. Jako że on jedyny w gospodzie okazywał nam uprzejmość, odezwałem się do niego półgłosem:

— Powiedzcie nam, panie karczmarzu, kim są tamci trzej jegomoście?

— Pachołki z klasztoru, co tu był onegdaj, ale go rozwiązali. Jaśnie wielmożny pan wie, jako to jest, król mówi: zamknąć zakony, no to mnisi dostają gdzie indziej ciepłą posadkę, a służbę wyrzucają na bruk. Ci trzej żebrzą tu od roku, od zamknięcia klasztoru. Nie ma dla nich pracy. Widzi pan tego chudego? Już mu uszy obcięli. Lepiej na nich uważać.

Obejrzałem się za siebie spostrzegłem, że jeden z mężczyzn, szczupły, z szopą żółtych włosów na głowie, nie miał uszu, tylko dziury otoczone blizną — kara za fałszerstwo. Zapewne wdał się w jakiś miejscowy proceder strugania monet; z tak uzyskanego złota robiono kiepskie fałszyfikaty.

— I wpuszczacie ich tu? — spytałem.

— A co oni winni, że ich wyrzucili? — burknął karczmarz. — Jako setki innych. światem rozstała, a tymczasem w trakcie naszego posiłku weszła do gospody grupa wieśniaków ubrana w swoje najlepsze stroje. Widać msza zaduszna właśnie się skończyła. Usiedli razem przy stoliku jęli gawędzić ponuro. Od czasu do czasu oni również posyłali nam ciekawskie, lecz nieprzyjazne spojrzenia.

Zauważyłem, że w kącie izby siedzi trzech mężczyzn, których miejscowi chłopci także ostentacyjnie ignorują. Mieli jakiś nieokrzesany wygląd, obdarte ubrania nieporządne brody. Przyglądali nam się uważnie, lecz nie gapili się tak otwarcie jak miejscowi, tylko spoglądali ukradkowo, z ukosa.

— Widzi pan tego jegomościa? — wyszeptał Mark. — Przysięgłbym, że te łachmany to dawny mnisi habit.

Największy z mężczyzn, brzydal ze złamanym nosem, miał na sobie złachmanioną sukmanę z grubej czarnej wełny teraz ja również zauważyłem, że na plecach wisi benedyktyński kaptur. Podszedł do nas karczmarz, aby napełnić nam kufle. Jako że on jedyny w gospodzie okazywał nam uprzejmość, odezwałem się do niego półgłosem:

— Powiedzcie nam, panie karczmarzu, kim są tamci trzej jegomoście?

— Pachołki z klasztoru, co tu był onegdaj, ale go rozwiązali. Jaśnie wielmożny pan wie, jako to jest, król mówi: zamknąć zakony, no to mnisi dostają gdzie indziej ciepłą posadkę, a służbę wyrzucają na bruk. Ci trzej żebrzą tu od roku, od zamknięcia klasztoru. Nie ma dla nich pracy. Widzi pan tego chudego? Już mu uszy obcięli. Lepiej na nich uważać.

Obejrzałem się za siebie spostrzegłem, że jeden z mężczyzn, szczupły, z szopą żółtych włosów na głowie, nie miał uszu, tylko dziury otoczone blizną — kara za fałszerstwo. Zapewne wdał się w jakiś miejscowy proceder strugania monet; z tak uzyskanego złota robiono kiepskie falsyfikaty.

— I wpuszczacie ich tu? — spytałem.

— A co oni winni, że ich wyrzucili? — burknął karczmarz. — Jako setki innych. Po tych słowach, czując może, że powiedział za dużo, czym prędzej nas zostawił odszedł.

— To chyba odpowiedni moment, aby udać się na spoczynek — rzekłem, biorąc ze stołu świecę.

Mark pokiwał głową, wychylił resztę piwa ruszyliśmy w stronę schodów. Kiedy mijaliśmy byłych służących z klasztoru, mój płaszcz otarł się przypadkiem o szatę tego wielkiego.

— Oho, Edwin, będziesz miał pecha — zachrypiał na głos jego towarzysz. — Musisz teraz dotknąć karta, żeby się go pozbyć.

I wszyscy trzej ryknęli śmiechem. Poczułem, że Mark się odwraca, więc szybko położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Nie, Marku — szepnąłem. — Nie chcę tu żadnych kłopotów. Chodźmy na górę.

Prawie siłą wepchnąłem go po rozklekotanych drewnianych schodach, a potem do pokoju pod strzechą, gdzie na rozkładanych łóżkach czekały nasze bagaże, a kiedy weszliśmy, słychać było, jak zadomowione szczury rozbiegły się na wszystkie strony. Usiedliśmy ściągnęliśmy buty.

Mark był zły.

— Czemu mamy znosić obelgi tych jołopów?

— Wjechaliśmy na wrogie terytorium. Większość mieszkańców Wealdu nadal jest papistami, ksiądz w tutejszym kościele prawdopodobnie co niedziela każe wiernym modlić się o śmierć króla powrót papieża.

— Myślałem, że wasza miłość nigdy nie był w tych stronach.

Wyciągnął nogi na gruby żelazny przewód komina, który

biegł pośrodku pokoju z dołu aż po dach był jedynym źródłem ciepła w izbie.

— Uważaj na odmrozenia. Ja tu nigdy nie byłem, ale od czasu tamtego buntu na północy lord Cromwell w każdym hrabstwie opłaca swoich ludzi, którzy mu wysyłają raporty, co się u nich dzieje. Mam w sakwie ich kopie.

Mark odwrócił się do mnie.

— Czy waszej miłości to nie męczy, że w rozmowie z każdym nieznanym zastanawia się, czy to wróg, czy nie wróg czy tego, co powie, nie można czasem uznać za zdradę stanu? Kiedyś było inaczej.

— To najgorszy okres. Z czasem sytuacja się poprawi.

— Kiedy pozamyka się klasztory?

— Tak, ponieważ wtenczas nic już nie stanie reformom na przeszkodzie. A także dlatego, że wówczas lord Cromwell zdobędzie dość pieniędzy, aby zapewnić królestwu bezpieczeństwo uczynić coś dobrego dla ludu. Ma wielkie plany.

— Ciekawe, czy kiedy ludzie z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów dostaną swoje nagrody, wystarczy chociaż na nowe płaszcze dla tych wieśniaków na dole.

— Wystarczy, Marku, wystarczy — odparłem z przekonaniem. — Wielkie klasztory strzegą nieprzebranych bogactw. A wiesz, ile z tego rozdają biednym, chociaż głoszą obowiązek dobroczynności? Widywałem tłumy nędzarzy tłoczących się pod bramami klasztorów w dzień jałmużny w Lichfield: dzieci w łachmanach przepychały się kopały, byle dostać marne parę groszy, które mnisi wydawali przez kratę w bramie. W takie dni wstyd mi było, że uczę się w ich szkole. Teraz w każdej parafii będą szkoły jak należy, utrzymywane z królewskiego skarbcza.

Mark nie wyrzekł na to ani słowa, jeno uniósł z powątpiewaniem brwi.

— Na rany Chrystusa — burknąłem, bo mnie nareszcie rozzłościł jego sceptycyzm. — Zabierz nogi z tego komina, bo cuchną gorzej niżli owca.

Wgramolił się na łóżko wlepił oczy w strzechę.

— Modłę się, żebyście mieli rację, wasza miłość. Ale pracując w sądzie zajmującym się majątkami klasztorów, zwątpiłem w ludzką dobroczynność.

— Nawet w grudowatym cieście tkwi boski zaczyn, ale jego działanie jest powolne. Lord Cromwell jest jego częścią, chociaż to surowy pan. Miej wiarę, Marku — dodałem łagodnie.

W owej chwili jednak, kiedym wypowiadał te słowa, stanęłami w pamięci okrutna przyjemność, z jaką lord Cromwell mówił o spaleniu księdza razem z jego świętymi wizerunkami, widziałem, jak potrząsa szkatułą zawierającą dziecięcą czaszkę.

— Wiara przenosi góry? — zapytał po dłuższej chwili Mark.

— Na Krzyż Pański! — warknąłem. — Za moich czasów to młodzi mieli wielkie idee, a starzy trącili cynizmem. Za bardzo jestem zmęczony, aby się dalej z tobą spierać. Dobranoc.

Jąłem się rozbierać, niechętnie z wahaniem, gdyż nie lubię obnażać przed ludźmi swej ułomności. Mark jednakże z wielkim taktem odwrócił się, kiedyśmy zdejmowali ubrania wdziewali koszule. Położyłem się ciężko do łóżka zgasiłem palcami świecę.

Odmówiłem modlitwy, ale przez długi czas leżałem w ciemności, nie śpiąc nasłuchując miarowego oddechu Marka chrobotania szczurów w słomie strzechy, które zaczęły znowu wychodzić na środek izby podkradać się do komina, gdzie było najcieplej.

Zbagatelizowałem wieczorne zajście w gospodzie, niemniej spojrzenia, jakimi wieśniacy obrzucali mój garb, jak również przytyk jednego z klasztornych posługaczy sprawiły mi znajomy ból. Poczułem go w samych trzewiach straciłem do reszty poprzedni zapach. Przez całe życie starałem się zbywać takie obelgi, chociaż kiedy byłem młody, nierzadko wzbierał we mnie niepohamowany gniew miałem ochotę krzyknąć. Dość się napatrzyłem na kaleki, których umysł uległ takiemu samemu wypaczeniu jak ciało pod przytłaczającym ciężarem zniewag drwin: łypali groźnie na świat spod zmarszczonych brwi, obrzucali ohydnyimi przekleństwami dzieci, które krzyczały za nimi na ulicy. Lepiej było nie zwracać na nie uwagi żyć dalej, jak Pan Bóg dozwolił.

Pamiętam wszelako jedną sytuację, kiedym nie zdzierzył. Tamta chwila zaważyła na całym moim życiu. Miałem piętnaście lat chodziłem do szkoły katedralnej w Lichfield. Jakostarszy uczeń służyłem czasami do niedzielnych nabożeństw. Było to wspaniałe przeżycie po całym tygodniu ślęczenia nad księgami zmagania się w pocie czoła z greką łaciną, nader nędznie wykładaną przez brata Andrzeja, grubego zakonnika ze słabością do trunków.

Katedra była zawsze pięknie oświetlona; przed ołtarzem, rzeźbami wspaniałym malowidłem na ścianie tęczowej migotały świece. Wołałem te dni, kiedy nie musiałem służyć do mszy, tylko mogłem siedzieć razem z innymi wiernymi. Ksiądz odprawiał nabożeństwo po łacinie, którą zaczynałem już trochę rozumieć, wierni odpowiadali echem na jego słowa.

Teraz, kiedy dawne msze odeszły w przeszłość, trudno jest wyrazić tajemnicę, którą głosiły — kadzidło, wznoszące się łacińskie kadencje, dźwięk dzwonka, gdy podnoszono chleb wino, a wszyscy wierzyli, że w ustach kapłana przeistoczyły się w prawdziwe ciało krew Chrystusa.

Przez ostatni rok moje myśli coraz bardziej przepełniała boska żarliwość. Kiedym patrzył na twarze wiernych, pełne spokoju .pobożnego szacunku, widziałem Kościół jako wielką wspólnotę łączącą żywych umarłych, przemieniającą wszystkich ludzi, choćby na kilka godzin, w posłuszne stado pod opieką Wielkiego Pasterza. Czułem się powołany, by służyć temu stadu; jako kapłan mógłbym pełnić funkcję przewodnika dla mych towarzyszy, zyskać ich szacunek.

Wkrótce brat Andrzej rozwiął moje złudzenia. Pewnego dnia, drżąc na całym ciele od doniosłości tego, co miałem do powiedzenia, poprosiłem go o rozmowę w małym gabinecie na tyłach szkolnej sali. Brat Andrzej siedział przy biurku w habicie uwalanym inkaustem jedzeniem z zaczerwienionymi oczami studiował jakiś pergamin. Zacinając się, oświadczyłem, że czuję powołanie do stanu duchownego chciałem, aby rozpatrzono moją gotowość do przyjęcia święceń kapłańskich.

Spodziewałem się, że zacznie mnie wypytywać o moją wiarę, tymczasem on bez namysłu machnął lekceważąco tłustą dłonią. — Chłopcze — powiedział — czy ty naprawdę nie rozumiesz, że nie możesz zostać księdzem? Marnujesz tylko mój czas.

Ściągnął brwi ze złością. Nie ogolił się, biały zarost pokrywał szronem jego tłuste, czerwone policzki.

— Nie rozumiem, bracie Andrzeju. Dlaczego?

Westchnął, a ja poczułem na twarzy jego przesycony trunkiem

oddech.

— Panie Shardlake, wie pan chyba z Księgi Rodzaju, że Bóg stworzył nas na swoje podobieństwo, tak czy nie?

— Naturalnie.

— Aby służyć Kościołowi, trzeba odpowiadać temu wizerunkowi. Człowiek z widoczną ułomnością, nawet utykający, a co dopiero z takim wielkim garbem jak twój, nie może zostać księdzem. Jak mógłbyś się podawać za pośrednika pomiędzy zwykłą grzeszną ludzkością a boskim majestatem, skoroś pośledniejszy od nich posturą?

Poczułem się, jakby mnie nagle zatopiono w bryle lodu.

— To nie może być prawda. To okrutne.

Brat Andrzej spurpurowiał na twarzy.

— Podważasz odwieczne nauki najświętszego Kościoła, pętaku?! — ryknął. Ośmielasz się prosić o święcenia kapłańskie! Chcesz być księdzem? Jakim księdzem?! Chyba heretyków lollardów!

Popatrzyłem na niego, na jego brudny habit nieogoloną twarz poczerwieniałą od gniewu.

— Więc powinienem wyglądać jak ty, bracie?! — wybuchnąłem bez namysłu.

Mnich porwał się z krzesła z wściekłym rykiem grzmotnął mnie w ucho.

— Wynoś się stąd, ty garbaty chamie!

Wybiegłem z pokoju; w głowie mi huczało. Był za gruby, aby mnie gonić (rok później zmarł na atak serca), uciekłem z katedry ciemnymi uliczkami, w poczuciu wielkiego osamotnienia, powlokłem się w stronę domu. Nieopodal naszego gospodarstwa usiadłem na przełazie popatrzyłem na wiosenny zachód słońca, płodna zieleni zdawała się drwić sobie ze mnie. Czułem, że skoro Kościół mnie nie chce, nie mam dokąd iść, jestem samotny opuszczony.

Wtedy, kiedy tak siedział tam w zapadającym zmierzchu, przemówił do mnie Chrystus. Nie potrafię inaczej tego nazwać. Usłyszałem w głowie głos, przemawiał we mnie, ale nie był to mój głos.

— Nie jesteś opuszczony — powiedział.

I niespodziewanie ogarnęło mnie wielkie ciepło, mą duszę przepętniły uczucia miłości spokoju. Nie wiem, jak długo tam siedziałem, oddychając głęboko, lecz ta chwila odmieniła moje życie. Sam Chrystus pocieszył mnie wbrew słowom Kościoła, który miał być jego domem. Nigdy przedtem nie słyszałem tego głosu chociaż klęczałem, modląc się tego wieczoru, a także przez następne tygodnie lata, nie usłyszałem go nigdy więcej. Może otrzymujemy ten dar tylko raz na całe życie, a wielu nie otrzymuje go nawet raz.

Wyruszyliśmy o brzasku, zanim mieszkańcy wioski się zbudzili. Nadal byłem w ponurym nastroju, więc niewiele rozmawialiśmy. Srogi mróz ubielił drogę drzewa, na szczęście jednak, kiedy wyjeżdżaliśmy z wioski z powrotem na wąski gościniec biegnący między wysokimi, zalesionymi skarpami, śnieg nadal nie padał.

Jechaliśmy cały ranek wczesne popołudnie, aż nareszcie lasy rzedyły znaleźliśmy się pośród pól uprawnych, nieco dalej przed sobą ujrzeliśmy zbocza South Downs. Ruszyliśmy drogą pod górę, gdzie pasły się chuderlawe owce. Ze szczytu ujrzeliśmy w dole morze przetaczające się łagodnymi szarymi falami. Na lewo między niskimi wzgórzami torowała sobie drogę rzeka, po czym minąwszy rozległe bagniste tereny, podatna na morskie pływy, mieszała się z jego wodami. Na granicy mokradł leżało nieduże miasto, a milę od niegorożległy teren otoczony wysokim murem, z zabudowaniami ze starego, żółtego kamienia, z ogromnym romańskim kościołem niewiele mniejszym od katedry.

— Klasztor w Scarnsea — oznajmiłem.

— „Pan Bóg przeprowadził nas bezpiecznie przez nasze zgryzoty” — zacytował Mark.

— Obawiam się, że czeka nas ich jeszcze niemało — odrzekłem.

Poprowadziliśmy zdrożone konie w dół wzgórza, a w tej samej chwili od strony morza wiatr przyniósł pierwsze płatki śniegu.

#### Rozdział czwarty

Ostrożnie sprowadziliśmy konie ze wzgórza na gościniec wiodący do miasta. Zwierzęta były niespokojne, płoszyły się, bo płatki śniegu muskały im pyski. Na szczęście, kiedy wjechaliśmy do Scarnsea, przestało padać.

— Czy zajedziemy najpierw do sędziego? — zapytał Mark.

— Nie, jeszcze dzisiaj musimy dotrzeć do klasztoru. Gdyby znowu złapał nas śnieg, przyszłoby nam tu nocować.

Jechaliśmy główną, brukowaną ulicą Scarnsea, gdzie balkony najwyższych pięter starych budynków wisały nad ulicą. Trzymaliśmy się jednej strony, aby nie narazić się na potoki uryny z opróżnianych nocników. Tynki drewniane ściany większości domów spróchniały lub przegniły, a ze sklepików nęcza aż biła w oczy. Kilka mijanych osób obrzuciło nas obojętnymi spojrzeniami.

Dotarliśmy na rynek. Z trzech stron otaczały go takie same rozpadające się budynki, z czwartej ciągnęło się szerokie, kamienne nabrzeże. Kiedyś przylegało do morza, teraz jednak opływało je tylko bagnisko porośnięte trzcinami — ponure pustkowie rozciągające się pod szarym niebem wydzielające zapachy soli zgnilizny. W błocie wydrążono wąski kanał, lecz na tyle szeroki, aby zmieściła się w nim jedna łódź. Biegł długą wstęgą w kierunku stalowego przestworu morza od-dalonego milę od nabrzeża. Na bagnisku stało kilka osłów związanych jedną liną, a obok nich grupa mężczyzn umacniała brzeg kanału kamieniami z koszy przywiązanych do grzbietów zwierząt.

Na rynku musiało się niedawno odbywać widowisko, bo na drugim końcu grupka niewiast gawędziła przy miejskich dybach, wokół których ziemię pokrywała miazga zgniłych warzyw owoców. Na stołku, z nogami zakutymi w dyby siedziała otyła niewiasta w średnim wieku, pośledniego stanu, w ubraniu

usmarowanym rozbitymi jajami gruszkami. Na głowę nasadzono jej trójkątną czapkę z nabazgranym słowem „sekutnica”. Wyglądała teraz na całkiem zadowoloną, kiedy brała kufel z piwem od jednej z kobiet, ale twarz miała posiniaczoną opuchniętą, a podbite oczy ledwo mogła otworzyć. Na nasz widok uniosła kufel wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Na plac przybiegła grupka małych dzieci ze starymi, zgniłymi kapustami w rękach, ale kobiety je odgoniły.

— Uciekajcie! — zawołała jedna gardłową, chłopską gwarą. — Jejmość Thomasowa dostała już nauczkę zostawi swego męża w spokoju. Za godzinę będzie wolna. Starczy tego!

Dzieci odbiegły, ale z bezpiecznej odległości wykrzykiwały jeszcze obelgi.

— Mają tu dość łagodne obyczaje, jak widzę — zauważył Mark.

Pokiwałem głową. W Londynie dość powszechne jest, że ludzi zakutych w dyby obrzuca się ostrymi kamieniami, które często wybijają pokutnikom zęby, a nierzadko oko.

Wyjechaliśmy z miasta skierowaliśmy się do klasztoru. Gościniec biegł wzdłuż mokradeł porośniętych trzciną stojących bagiennych rozlewisk. Nie mogłem się nadziwić, że przez takie cuchnące grzęzawiska biegną w ogóle jakieś drogi.

— Scarnsea było kiedyś bogatym portem morskim — powiedziałem. — Te bagniska powstawały przez dziesiątki lat ze szlamu z piasku. Nic dziwnego, że miasto podupało, w tym kanale ledwo mieści się łódź rybacka. — Z czego oni żyją?

— Z połowu ryb uprawy ziemi. A także, jak sądzę, z przemytu z Francji. Ludzie tu muszą płacić klasztorowi za dzierżawę gruntu utrzymywać te leniwe trutnie. Port w Scarnsea darowano w nagrodę jednemu z rycerzy Wilhelma Zdobywcy, a ten przekazał ziemię benedyktynom kazał tu wybudować klasztor. Naturalnie za pieniądze z angielskich podatków.

Z kierunku klasztoru doszło nas donośne bicie dzwonów, dźwięk rozchodził się daleko w czystym, nieruchomym powietrzu.

— Zobaczyli, że nadjeżdżamy — powiedział Mark ze śmiechem.

— Musieliby mieć sokoli wzrok. Chyba że to jeden z ich-niejszych cudów. Na rany Chrystusa, ależ te dzwony są głośnie.

Bicie nie ustało jeszcze, kiedy podjechaliśmy pod mury. Przeszywający dźwięk rozsadał mi czaszkę. Byłem bardzo zmęczony, plecy bolały mnie coraz mocniej, w miarę jak przybywało dnia, tak że pochylałem się już nisko na szerokim grzbiecie "Chancery'ego. Gdy jednak wjeżdżaliśmy do klasztoru, wyprostowałem się w siodle, aby wywołać od razu odpowiednie wrażenie. Dopiero teraz mogłem należycie ocenić ogrom tego miejsca. Mury, obłożone krzemieniem, sięgały na wysokość otaczały teren od drogi aż do samej granicy bagien. Przed nami wznosiła się romańska brama ze stróżówką właśnie kiedyśmy patrzyli w tamtą stronę, na drogę wyjechał wóz załadowany beczkami ciągnięty przez dwa szajry. Ściągnęliśmy cugle powóz minął nas z głośnym terkotem, a woźnica uchylił czapki na powitanie, po czym oddalił się w stronę miasta.

— Piwo — zauważyłem.

— Puste beczki? — zapytał Mark.

— Skądże — odrzekłem. — Pełne. Klasztorny browar ma monopol na zaopatrywanie miasta w piwo. Dzięki temu dyktują ceny. To prawo nadano im, kiedy fundowano klasztor.

— Więc jeśli się kto upije, to poświęconym piwem, tak?

— To powszechny proceder. Fundatorzy dbali o dobrobytmnichów w zamian za modlitwy za ich dusze. Wszyscy byli zadowoleni, z wyjątkiem tych, którzy za to płacili. Chwała Bogu, ucichły wreszcie te dzwony. — Wziąłem głęboki oddech. — A teraz posłuchaj, Marku. Nie odzywaj się ani słowem postępuj za moim przykładem.

Podjechaliśmy pod bramę, nad którą widniały wyrzeźbione postaci zwierząt heraldycznych. Furta była zamknięta. Podniosłem głowę w oknie stróżówki zauważyłem twarz spoglądającą na nas z góry, która szybko znikła. Zsiadłem z konia jąłem walić w bramę. Po niedługiej chwili otworzyły się drzwi ukazał się w nich wysoki, krzepki człowiek z głową łąsą jak jajo, w utyłtany skórzany fartuchu. Łypnął na nas nieprzyjaźnie.

— Czego chcecie?

— Jestem królewskim komisarzem. Proszę zaprowadzić nas do opata — rzekłem chłodno.

Furtian spojrział na nas podejrzliwie.

— Nie oczekujemy królewskiego komisarza. To zamknięty klasztor. Macie jakieś papiery?

Sięgnąłem za pazuchę podsunąłem mu pod nos dokumenty.

— Klasztor Świętego Donatusa Dominującego w Scarnsea jest siedzibą benedyktynów. Nie jesteście zakonem klauzurowym, ludzie mogą wchodzić tu wychodzić za zgodą opata. A może źle trafiliśmy? — dodałem ironicznie.

Gbur rzucił mi ponure spojrzenie, potem przeniósł wzrok na dokument, ale było oczywiste, że nie umie czytać, więc oddał mi go.

— Wzbogaciliście pergamin o kilka plam, człowieku. Jak was zwą?

— Bugge — wymamrotał. — Każę wielmożnych panów zaprowadzić do opata.

Odsunął się od bramy, abyśmy mogli wprowadzić konie. Znaleźliśmy się w przestronnym przejściu pod kolumnami, które podtrzymywały bramę.

— Zaczekajcie tu, proszę. Skinąłem głową, a wtedy on zostawił nas samych odszedł.

Zrobiłem kilka kroków wyjrzałem na dziedziniec. Przed nami stał wielki klasztorny kościół o ciężkiej konstrukcji z białego kamienia, który wszelako pożółkł już z wiekiem. Zbudowany był z francuskiego wapienia, na modłę romańską— z szerokimi oknami, nie jak to preferuje najnowsza moda, gdzie wysokie wąskie okna łuki strzelają prosto ku niebu. Za sprawą swego ogromu — trzystu stóp długości dwóch wież wysokich na sto — kościół robił wrażenie wielkiej, przyczajonej potęgi sięgającej korzeniami głęboko w ziemię.

Po lewej stronie pod murem stały budynki gospodarcze — stajnie, warsztat kamieniarski, browar. Na podwórku ludzie uwijali się wokół czynności, które dobrze znałem z Lichfield: handlarze służący



biegali we wszystkie strony, załatwiali sprawy z zakonnikami odzianymi w czarne habity. Zauważyłem, że szaty benedyktynów uszyte są z delikatnej wełny, a spod spodu wystają buty z przedniej skóry. Po piaskowym podwórku zasłanym słomą biegało mnóstwo psów, które ujadły obsikiwały mury gdzie popadnie. Jak we wszystkich miejscach podobnych do tego dziedzińca bardziej tętnił życiem interesami, niż koł ciszą klasztornego odosobnienia.

Na prawo od kościoła stał budynek właściwego klasztoru, gdzie mieszkali modlili się mnisi, a jeszcze dalej, pod murem, zauważyłem wolno stojący jednopiętrowy budynek, a przed nim ładny ogródek z ziołami, gdzie rośliny rosły na równiutkich grządkach, a każda opatrzona była oddzielną etykietką. Domyśliłem się, że mieści się tam infirmeria.

— No jak ci się podoba klasztorny przybytek? — spytałem Marka.

Chłopak zamachnął się nogą na psa, który podchodził do nas z sierścią zjeżoną na karku. Kundel odskoczył ją na nas zaciekle ujadać.

— Nie spodziewałem się, że może być taki duży. Wygląda, jakby mógł pomieścić ze dwustu ludzi w czas oblężenia.— Dobra robota. Zbudowano go z myślą o stu mnichach stu służących. Teraz, jeśli wierzyć Compercie, te wszystkie budynki, ziemie miejscowe monopole utrzymują trzydziestu mnichów z sześćdziesięcioma ludźmi służby. Prawdziwie kraina mlekiem miodem płynąca.

— Zauważyli nas, wasza miłość — mruknął cicho Mark.

W rzeczy samej ujadanie psa ściągnęło na nas powszechną

uwagę na podwórku, ludzie obrzucali nas nieprzyjawnymi spojrzeniami, a zaraz szybko odwracali oczy szeptali jeden do drugiego. Pod murem kościoła sterczał wysoki, szczupły zakonnik wsparty na kuli nie odrywał od nas wzroku. Jego biały habit z długim szkaplerzem z przodu odróżniał się wyraźnie od gładkiej czerni benedyktynów.

— Kartuz, jeśli się nie mylę.

— Myślałem, że klasztor kartuzjański zamknięto, a połowę mnichów stracono za zdradę.

— Bo tak było. Nie mam pojęcia, co on tutaj robi.

Usłyszałem chrząknięcie przy swoim ramieniu — to stróż

wrócił, wiodąc ze sobą przysadzistego, mniej więcej czterdziestoletniego zakonnika z pierścieniem brązowych włosów przetykanych siwizną wokół wygolonej tonsury czerstwą, rumianą twarzą o surowych rysach złagodzonych jedynie obwisłymi mięśniami twarzy świadczącymi o wygodnym trybie życia. Na piersi jego habitu widniała naszywka z kluczem symbolizująca piastowane stanowisko. Za nim stał bardzo zdenerwowany rudowłosy młodzieniec w szarej szacie nowicjusza.

— W porządku, Bugge — odezwał się nowo przybyły z szorstkim, szkockim akcentem — wracaj do swoich obowiązków.

Stróż odwrócił się niechętnie.

— Jestem brat Mortimus z Kelso, tutejszy przeor.

— Gdzie opat?

— Obawiam się, że nie ma go obecnie w klasztorze. Pod jego nieobecność zarządzam codziennymi sprawami Świętego Donatusa. — Przeszył nas czujnym spojrzeniem. — Przybyliście może w odpowiedzi na wiadomość doktora Goodhapsa? Nie uprzedzono nas o waszym przyjeździe, obawiam się, że nie mamy przygotowanych pokoi.

Cofnąłem się o krok, bo odstręczył mnie smród bijący od brata Mortimusa. Z czasów mej własnej edukacji u mnichów wiedziałem, z jakim uporem trzymają się starego przesądu, że mycie jest niezdrowe, kąpią się jeno sześć razy w roku.

— Lord Cromwell wysłał nas niezwłocznie. Jestem komisarz Matthew Shardlake, wikariusz generalny wyznaczył mnie do zbadania sprawy opisanej w liście przez doktora Goodhapsa.

Skłonił się.

— Witam panów w klasztorze Świętego Donatusa. Proszę wybaczyć maniery naszego stróża, ale reguła klasztorna wymaga, abyśmy w miarę możliwości odsuwali się od świata.

— Przyjeżdżamy w bardzo pilnej sprawie — oznajmiłem szorstko. — Powiedzcie nam, bracie przeorze, czy to prawda, że Robin Singleton nie żyje?

Zakonnik zrobił zasmuconą minę przeżegnał się.

— Prawda, panie komisarzu. Zabity przez nieznanego napastnika. To okropna zbrodnia.

— Wobec tego muszę jak najrychlej zobaczyć się z opatem.

— Zaprowadzę panów do jego domu. Powinien niebawem wrócić. Modłę się, abyście rzucili nieco światła na to, co tu się wydarzyło. Krew przelana na poświęconej ziemi, nie koniec na tym. — Pokręcił głową, a po chwili odwrócił się zupełnie innym głosem warknął na chłopaka, który wytrzeszczał na nas oczy.

— Whelplay! Zaprowadź konie do stajni!

Nowicjusz wydawał się ledwie dzieckiem, szczupły, słabowity, wyglądał raczej na szesnaście niż osiemnaście lat, które trzeba ukończyć, aby rozpocząć nowicjat. Zdjąłem z konia sakwę z dokumentami, dałem ją do niesienia Markowi, a chłopiec odprowadził nasze wierzchowce w stronę stajni. Oddaliwszy się kilka kroków, odwrócił się, aby popatrzeć na nasz daleka, pośliznął się na psich odchodach z głuchym dudnieniem runął plecami w błoto. Konie zakręciły się spłoszone, a na całym podwórku wybuchły salwy śmiechu. Przeor Mortimus z gniewu aż poczerwieniał. Podeszedł do młodzieńca, który dźwigał się właśnie na nogi, popchnął go tak mocno, że biedaczysko drugi raz wylądował na ziemi, tym razem w psich nieczystościach, czym wzbudził jeszcze większą wesołość gapiów.

— Rany boskie, Whelplay, co z ciebie za niezdara! — krzyknął przeor. — Chcesz, żeby konie królewskiego komisarza zerwały się biegały luzem po podwórku?

— Ależ skąd, bracie przeorze — odparł młodzieniec drżącym głosem. — Błagam o wybaczenie.

Podszedłem do nich, jedną ręką uchwyciłem wodze Chan-cery'ego, a drugą wyciągnąłem, aby pomóc chłopcu wstać, unikając jeno psiego gówna na jego szacie.

— Konie łatwo się płoszą w takim zamieszaniu — powiedziałem łagodnie. — Nie martw się, chłopcze, taki wypadek może się przytrafić każdemu. — Wręczyłem mu wodze, a on, zerknąwszy z lękiem na poczerwieniałe od gniewu oblicze przeora, odwrócił się powiódł konie w stronę stajni. Odwróciłem się do mnicha. — A teraz proszę nas poprowadzić do domu opata.

Szkot spiorunował mnie spojrzeniem. Twarz mu nabiegła krwią, aż przybrała fioletową barwę.

— Z całym szacunkiem, panie komisarzu, ale to ja jestem odpowiedzialny za utrzymywanie dyscypliny w klasztorze. Król wprowadził wiele zmian w naszym życiu, nasi młodszy bracia muszą być w szczególny sposób uczeni posłuszeństwa.

— Czyżbyście napotkali kłopot z przekonaniem braci, by przestrzegali nowych zarządzeń lorda Cromwella?

— Nie, panie komisarzu, nie mamy kłopotów, jeśli pozwala mi się stosować odpowiednią dyscyplinę.

— Za potknięcie się na psich odchodach? — zapytałem głosem niczym miód. — Czyż nie lepiej byłoby zastosować

odpowiednią dyscyplinę wobec psów nie pozwalając, aby biegały samopas po całym podwórku?

Przeor szykował się już wszcząć ze mną dyskusję, lecz nagle wybuchnął chrapliwym śmiechem.

— Macie rację, panie komisarzu, jeno że opat nie pozwala zamykać psów, bo chce, aby były w dobrej formie, gotowe w każdej chwili do polowania.

Obserwowałem, jak w czasie mówienia twarz mnicha powoli powraca do uprzedniego, czerwonego koloru. Pomyślałem, że musi to być człek pobudliwy, o cholerycznym temperamencie.

— Na polowanie? Hm, ciekawym, co by na to powiedział święty Benedykt.

— Opat kieruje się własnymi zasadami — powiedział przeor znacząco.

Poprowadził nas obok rzędu budynków gospodarczych. W oddali dostrzegłem już ładny dwupiętrowy dom usytuowany w samym środku różanego ogrodu. Taka siedziba byłaby bardzo na miejscu nawet na Chancery Lane w Londynie. Kiedy mijaliśmy stajnie, przez otwarte wrota zauważyłem nowicjusza prowadzącego Chancery'ego do boksu. Młodzieniec odwrócił się posłał mi dziwne, uważne spojrzenie. Poszliśmy dalej obok browaru, kuźni, gdzie czerwone światło błyszczało bardzo kusząco w ten zimny dzień. Następny w rzędzie stał okazały budynek, gdzie przez otwarte drzwi widać było kamienne bloki, rzeźbione bogato zdobione. Przed wejściem rozstawiono warsztat na kozłach, na nim leżały rozłożone plany, a obok siwobrody mężczyzna w kamieniarskim fartuchu, z rękami złożonymi na piersi patrzył na dwóch kłócących się zawzięcie zakonników.

— T-to absolutnie wykluczone, bracie — oświadczył stanowczo starszy mnich.

Był to niski, okrągły mężczyzna około czterdziestu lat z kręconą grzywką czarnych włosów pod tonsurą, okrągłym, bladym obliczem surowymi, ciemnymi oczami. Jego krótkie, grube palce zamachały nad rozłożonymi planami.— Jeśli użyjemy kamienia z Caen, wydamy na to wszystkie nasze trzyletnie przychody.

- Nie da się tego zrobić taniej — oznajmił kamieniarz. — Jeśli ma być zrobione jak należy.
- Musi być zrobione jak należy — rzekł z emfazą drugi zakonnik głębokim, dźwięcznym głosem.
- W przeciwnym razie popsujemy całą symetrię kościoła, odróżniająca się okładzina będzie się rzucała w oczy. Jeśli się nie zgadzasz, bracie szafarzu, będę zmuszony powiadomić o tym opata.
- A róbże sobie, co chcesz, nic ci z tego nie przyjdzie.

Na nasz widok przerwał, obrzucił nas groźnym spojrzeniem

guzikowatych oczu, po czym pochylił twarz nad planami. Drugi mnich dochodził wieku średniego, był wysoki, mocnej budowy, o przystojnych rysach twarzy, podkreślonych głębokimi bruzdami, żółtych włosach sterzących niesfornie pod tonsurą niczym słomiana strzecha. Jego duże, przejrzyste niebieskie oczy spoczęły przeciągle na Marku, który odwzajemnił spojrzenie ostentacyjnie chłodno. Potem zakonnik ukłonił się przeorowi, a ten odpowiedział mu ledwo widocznym skinieniem głowy.

- Ciekawe — mruknąłem do Marka. — Można by pomyśleć, że nic się w tym miejscu niezwykłego nie zdarzyło, że żadna groźba nad nimi nie wisi. Rozprawiają o renowacji kościoła, jakby miał tu stać na wieczność.
- Widzieliście, wasza miłość, jak ten mnich na mnie spojrział?
- Owszem. To też było wielce interesujące.

Wzdłuż muru kościoła zbliżaliśmy się do domu opata, kiedy zza przypory wyłoniła się niespodziewanie postać w białej szacie. Był to ów kartuz, któregośmy widzieli uprzednio na podwórku. Przeor szybko zastąpił mu drogę.

- Żadnych awantur, bracie Jeromie! — zawołał ostro. — Wracaj do swoich modlitw!

Kartuz ominął przeora, nie zwracając nań uwagi, jeśli nie liczyć jednego pogardliwego spojrzenia, które mu posłał. Za-uważyłem, że powłóczy prawą nogą gdyby nie kula, którą trzymał mocno pod pachą, prawdopodobnie nie mógłby w ogóle chodzić. Zniekształcone lewe ramię zwiślało mu bezwładnie wzdłuż boku, a dłoń sterczała wygięta nienaturalnie w bok. Miał około sześćdziesięciu lat, żylaste ciało, szczupłe, blade oblicze, a jego tonsurę okalały zmierzwiłe włosy jeszcze bielsze od poplamionego, poprzecieranego habitu. Patrzył rozgorączkowanym wzrokiem, jakby chciał wniknąć człowiekowi do samej duszy. Podszedł do mnie zaskakująco żwawo, omijając wyciągnięte ramię przeora.

- Pan jesteś wystannikiem lorda Cromwella? — zapytał drżącym od emocji głosem.
- Owszem.
- Wiedz zatem, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

— Mateusz, rozdział dwudziesty szósty, wers pięćdziesiąty drugi — odrzekłem. — Co pan chcesz przez to powiedzieć? — Pomyślałem o tym, co tu się ostatnio zdarzyło. — Czyżby to było wyznanie?

Mnich wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Nie, garbusie, to Słowo Boże, najświętsza prawda.

Przeor" złapał kartuza za zdrowe ramię dość brutalnie, ale tamten wyrwał mu się oddalił, kuśtykając.

— Proszę, nie zwracajcie, panowie, na niego uwagi. — Tym razem przeor pobladł na twarzy, popękane żyłki wystąpiły mu na policzki. — Ma pomieszaną w głowie — dodał zacisnął wargi.

— Któż to jest? Co w waszym klasztorze robi kartuzjański zakonnik?

— To starzec na emeryturze. Przyjęliśmy go, aby wyświadczyć przysługę jego kuzynowi, który w tych okolicach posiada ziemię. Zrobiliśmy to z miłosierdzia litości nad jego kalectwem.

— Z jakiego klasztoru pochodzi?

Przeor milczał chwilę z wahaniem.

— Jest znany jako Jerome z Londynu. Wytrzeszczyłem na niego oczy.

— Z tego klasztoru w Londynie, gdzie przeor Houghton z połową zakonników odmówili złożenia ślubów posłuszeństwa królowi zostali straceni?

— Brat Jerome w końcu złożył przysięgę. Po tym, jak lord Cromwell zastosował pewne... środki nacisku. — Spojrzał na mnie znacząco. — Rozumie pan?

— Posłano go na męki?

— Naj okrutniej sze. Postradał przez nie rozum. Wszelako zasłużył sobie na nie swoim nieposłuszeństwem, nieprawdą? A teraz tak się nam odwdzięcza za miłosierdzie. Ale już ja mu powiem do słuchu.

— Co miał na myśli, cytując Pismo Święte?

— Bóg jeden raczy wiedzieć. Mówiłem, że to człek szalony. Odwrócił się, a my ruszyliśmy za nim, przez drewnianą

furtkę weszliśmy do ogrodu opata, gdzie w plątaninie nagich, kolczastych gałęzi sterczało kilka bladych zimowych róż. Obejrzałem się za siebie, ale kaleki mnich zniknął. Dreszcz mnie przeszedł na wspomnienie tych pałających oczu.

Rozdział piąty

Na pukanie przeora drzwi otworzył nam gruby mężczyzna w niebieskim stroju służącego. Popatrzył na nas z niepokojem.

— Przybyli wysłannicy wikariusza generalnego w pilnej sprawie do przełożonego. Czy zastaliśmy opata?

Służący ukłonił się nisko.

— Ach, chodzi o to okropne zabójstwo. — Przeżegnał się żarliwie. — Nie uprzedzono nas o przybyciu jaśnie wielmożnych panów. Opat Fabian jeszcze nie wrócił, ale spodziewamy się go lada chwila. Proszę do środka.

Wprowadził nas do przestronnego holu o ścianach z wymalowanymi scenami z łowów.

— Wielmożni panowie zechcą poczekać w salonie.

— Gdzie jest doktor Goodhaps?

— W swojej izbie na górze.

— Zatem najpierw pójdziemy z nim porozmawiać.

Przeor skinął głową na służącego, który poprowadził nas

szerokimi schodami na piętro. Przeor zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami głośno zapukał. W środku coś zaskomlało, a po chwili usłyszeliśmy zgrzyt klucza przekręcanego w zamku drzwi uchyliły się odrobinę. Przez szczelinę wyrzała na nas niespokojnie szczipła twarz zwieńczona zmierzwionymi białymi włosami.— A, to przeor Mortimus — zapiszczał starzec. — Trzeba to tak zaraz bić na alarm? Przestraszyliście mnie.

Przez twarz Mortimusa przemknął przelotny, drwiący uśmiech.

— Naprawdę? Wybaczcie, doktorze. Jesteśmy już teraz bezpieczni, panie Goodhaps. Lord Cromwell przysłał nam nowego emisariusza.

— Doktor Goodhaps? — spytałem. — Jestem komisarz Matthew Shardlake. Przybywam od lorda Cromwella w odpowiedzi na wasz list.

Starzec patrzył na nas przez chwilę, po czym wreszcie otworzył drzwi wpuścił nas do środka. Była to bardzo przyzwoita, wygodna izba z łóżkiem z baldachimem wspartym na czterech kolumnach, pulchnymi poduszkami na podłodze oknem wychodzącym na ruchliwy podwórzec. Na podłodze leżało również kilka książek, taca z dzbanem napełnionym winem cynowymi kielichami. W kominku płonęły polana obydwaj z Markiem od razu skierowaliśmy się w tamtą stronę, bośmy przemarzli do szpiku kości. Odwróciłem się do przeora, który stał w progu przyglądał nam się ciekawie.

— Dziękuję, bracie. Bądźcie tak dobrzy powiadomcie mnie, kiedy wróci opat.

Mortimus ukłonił się wyszedł.

— Zaryglujcie drzwi, na rany Zbawiciela — zapiszczał starzec, załamując ręce.

Przedstawiał żaloszny widok: białutkie włosy miał potargane, czarną szatę urzędniczą pogniecioną poplamioną. Z jego oddechu czuć było, że nie żałował sobie wina.

— Więc mój list dotarł do namiestnika? Chwała Najwyższemu! Bałem się, że go przechwycą. Ilu was przyjechało?

— Tylko my dwaj. Pozwolicie, że spocznę? — zapytałem, siadając ostrożnie na poduszkach.

Poczułem cudowną ulgę w plecach, kiedym złożył swój ciężar na grubych poduchach. Doktor Goodhops dopiero teraz zauważył moje kalectwo odwrócił się do Marka, który odpinał od pasa ciężki miecz.

— Czy ów młodzieniec jest rycerzem? Obroni nas?

— Jeśli zajdzie taka konieczność. Więc uważacie, doktorze, że coś nam grozi?

— Po tym, co się tu wydarzyło... jesteśmy we wrogim gnieździe, komisarzu Shardlake.

Widząc, jaki jest przerażony, uśmiechnąłem się, aby go podnieść na duchu. Nerwowego świadka trzeba uspokajać niczym płochliwego konia.

— Nie denerwujcie się. Mocnośmy zdrożeni, będziemy wdzięczni za kapkę wina, a w tym czasie opowiedzcie nam, co się dokładnie zdarzyło.

— Och Boże, Przenajświętsza Panienko, krew...

Uniosłem dłoń.

— Zaczynjcie, proszę, od początku, od samego przyjazdu.

Nalał nam wina usiadłszy na łóżku, jął mierzwić ręką

szopę siwych włosów.

— Nie' chciałem tu przyjeżdżać — westchnął. — Pracowałem ciężko w winnicy w Cambridge, oddałem się na usługi reformacji, gdy tylko się rozpoczęła. Za stary jestem do takich zadań jak to tutaj, ale Robin Singleton był moim uczniem, poprosił, abym mu pomógł oczyścić to miejsce przeżarte grzechem zmusić klasztor do dobrowolnego rozwiązania się. Potrzebował specjalisty od prawa kanonicznego. Rozumiecie, panie komisarzu, że nie mogłem odmówić żądaniu samego wikariusza generalnego — dodał z urazą.

— Zaiste, to niełatwe — zgodziłem się. — Więc przybyliście tu... kiedy? Przed tygodniem?

— Tak. Mieliśmy bardzo męczącą podróż.

— Jak przebiegały negocjacje?

— Jak po grudzie. Spodziewałem się tego. Singleton wpadł tutaj, ciskając gromy na to siedlisko grzechu występku grzmiąc, że powinni z wdzięcznością przyjąć ofertę emerytury, którą im składa. Niestety, opata Fabiana to zupełnie nie zainteresowało, za bardzo polubił odgrywanie ziemianina, tyranizowanie królewskich urzędników zarządców. Jest synem zwykłego dostawcy okrętowego.

Wychylił kielich napełnił sobie następny. Trudno było się dziwić bezradnemu, staremu człeczynie, że szuka pokrzepienia w trunku.

— Szczwany lis z tego ojca Fabiana. Wiedział, że po buntach na północy Cromwell będzie się wzdrygał likwidować następne klasztory siłą. Komisarz kazał mi znaleźć coś w księgach prawnych, czym moglibyśmy nastraszyć opata. Mówiłem mu, że to strata czasu, ale Robin Singleton nie nadawał się na dyplomata, do wszystkiego chciał dojść krzykiem siłą. Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie — dodał, chociaż jak przystało na dobrego reformatora, nie przeżegnał się.

— To prawda, co mówicie — zgodziłem się — chyba że wykryje się inne naruszenie prawa. Mówiono, jak słyszałem, o sodomii kradzieży. Za obydwa grozi kara śmierci.

Goodhaps westchnął.

— Tym razem lord Cromwell został źle poinformowany. Miejscowy sędzia jest dobrym reformatorem, ale jego raporty na temat wyprzedazy ziem za bezcen nie trzymają się kupy. W księgach nie znalazłem nic podejrzanego.

— A doniesienia o występnych praktykach?

— Nic. Opat utrzymuje, że po inspekcji przeprowadzili surową reformę. Poprzedni przeor sam zachęcał do tych grzesznych czynków, ale został wydalony razem z kilkoma największymi winowajcami jego miejsce zajął ten szkocki prostak.

Opróżniłem kielich, ale nie poprosiłem o więcej. Byłem bardzo zmęczony po podróży, pod wpływem ciepła wina oczy zaczęły mi się zamykać, a musiałem zachować jasny umysł jeszcze przez kilka godzin.

— Co myślicie o braciszkach? Wzruszył ramionami.

— Tacy sami oni wszyscy: leniwi kontenci z siebie. Grają w karty, polują, wszędzie tu włóczą się psy. Mnisi odprawiają msze po łebkach, ale przestrzegają królewskich zaleceń, pilnują liturgii po angielsku, nie wpuszczają na teren klasztoru rozwiązłych kobiet. Ten czerstwy przeor dba o dyscyplinę, robi z siebie na pokaz wielkiego reformatora, ale ja żadnemu z nich nie ufam. Starsi zakonnicy to przebiegła hałastra, w głębi duszy przesiąknięta starymi herezjami. Ukrywają się z tym, rzecz jasna z wyjątkiem tego kartuzjańskiego kaleki, ale on nie należy do tutejszej braci.

— Ach tak, brat Jerome. Spotkaliśmy go.

— To nie wiecie, kim on jest?

— Kim?

— Krewnym królowej Jane, Panie świeć nad jej duszą. Odmówił złożenia przysięgi posłuszeństwa królowi, ale nie mogli go postać na śmierć jak pozostałych kartuzów, bo to by było kłopotliwe. Torturami wymusili na nim złożenie ślubów, a potem dali emeryturę ukryli tutaj. Inny jego krewny ma tu w okolicy majątek. Sądziłem, że w biurze lorda Cromwella wiedzą o tych sprawach.

Skłoniłem głowę.

— Dokumenty często giną, zapewne również w jego urzędzie.

— Inni zakonnicy nie lubią brata Jerome'a, bo ich wyzywa, zarzuca im lenistwo moralną miękkość. Nie wolno mu opuszczać klasztoru.



— Komisarz Singleton rozmawiał zapewne z wieloma mnichami, aby odkryć, co tu się dzieje. Podejrzewam, że wielu z tych, którzy byli zamieszani w tamten skandaliczny proceder sodomii, nadal tu przebywa.

— Może taki wysoki z jasnymi włosami? — wtrącił Mark.

Goodhops wzruszył ramionami.

— Brat Gabriel, zakrystian. Owszem, należał do nich. A wy-

gląda normalnie, prawda? Rosły, chłop na schwał. Tylko czasem ma w oczach coś dzikiego. Singleton przyciskał ich do muru, ale wszyscy zaklinali się, że są teraz czyści jak aniołki. Zlecił mi, abym z kilkoma porozmawiał, wypytał o szczegóły ich życia. Jestem uczonym, nie nawykłem do takich zadań.

— Domyślam się, że komisarz Singleton nie zaskarbił sobie tutaj sympatii. Znałem go, krewki był to człek.

— Oj, prawda. Przez to szorstkie obejście nigdzie nie zjednywał sobie przyjaciół. Ale on o to nie dbał.

— Opowiedzcie mi, jak zginął.

Staruszek skulił ramiona jakby zapadł się w siebie.

— Przestał naciskać mnichów. Kazał mi sporządzić listę sposobów, w jakie klasztor może złamać prawo kanoniczne. Chwytał się każdej metody. Całymi dniami grzebał w księgach rachunkowych archiwum. Coraz bardziej się niepokoił, bardzo chciał coś znaleźć dla lorda Cromwella. Niewiele go widywałem w ostatnich dniach, przeglądał sprawozdania szafarza.

— Czego właściwie szukał?

— Czego się dało. Jak powiedziałem, imał się każdego sposobu. Ale miał duże doświadczenie z tymi włoskimi księgami, gdzie wszystko zapisuje się dwa razy.

— Księgowość podwójna. Znał się zatem na rachunkach, tylko nie na prawie?

— Tak. — Westchnął. — Ostatniego wieczoru zjawił się na wieczerzy w pogodniejszym nastroju. Jedliśmy jak zawsze sami. Oznajmił, że udaje się do swojego pokoju, aby przestudiować jakąś nową księgę, którą wydobyl od szafarza. Samego szafarza nie było tamtej nocy w klasztorze. To znaczy wtedy, kiedy to się stało.

— Czy to taki mały grubas z czarnymi oczami? Widzieliśmy kogoś takiego na podwórku. Wykłócał się o pieniądze.

— Tak, to on. Brat Edwig. Pewnie kłócił się z zakrystianem o plany remontu. Podoba mi się ten szafarz, bardzo praktyczny człowiek. Nie szasta pieniędzmi. Przydałby się nam ktoś takiw kolegium. W sprawach prowadzenia klasztoru przeor Mor-timus brat Edwig działają ręką w rękę trzymają wszystko w ryzach.

Pociągnął łyk wina.

— Co się stało później?

— Pracowałem jeszcze przez jakiś czas, a po godzinie zmówiłem modlitwy poszedłem spać.

— I zasnęliście?

— Tak. Zbudziłem się nagle o piątej. Usłyszałem jakieś krzyki, a potem walenie do drzwi. O, tak jak przed chwilą robił to przeor Mortimus. — Wzdrygnął się. — Na korytarzu kręciło się kilkunastu mnichów z opatem. Fabian był wstrząśnięty, przerażony do nieprzytomności. Powiedział mi, że komisarz nie żyje, że ktoś go zabił że mam natychmiast tam iść. Ubrałem się zszedłem z nimi na dół. Panował wielki rwetes, wszyscy gadali rozgorączkowani coś o zamkniętych drzwiach krwi, słyszałem też, jak ktoś pomstował, że to kara boska. Przyniesli pochodnie poszliśmy korytarzem przez dormitoria do kuchni. Było okropnie zimno ciemno te niekończące się korytarze, a wszędzie przerażeni mnisi służący zbici w grupki. Potem otworzyli drzwi do kuchni. Wielki Boże!

Tym razem zaskoczony zauważyłem, że przeżegnał się szybko.

— Unosił się tam ten zapach — wybuchnął urywanym śmiechem — jak w rzeźni. Wszędzie paliły się świece, poustawiali je na długich stołach, na kredensach, gdzie się dało. Wszedłem w coś przeor odciągnął mnie na bok. Podniosłem nogę zobaczyłem, że się lepi. To była kałuża jakiejś ciemnej cieczy, nie wiedziałem, co to jest. A potem w środku tej kałuży zobaczyłem Robina Singletona, leżał na brzuchu, umazany tym czymś. Wiedziałem, że stało się coś niedobrego, ale z początku nie mogłem się rozeznąć co. W końcu zrozumiałem: komisarz nie miał głowy! Zacząłem się rozglądać dojrzałem jego głowę wlepiającą we mnie oczy spod maślnicy. Dopierowtenczas pojąłem, że ta kałuża, w której stanąłem, to była krew. — Zamknął oczy. — Dobry Boże, jak ja się przeraziłem. — Otworzył je z powrotem, wypił wino do dna sięgnął znowu po dzban, ale ja nakryłem go dłonią.

— Na razie wystarczy, doktorze Goodhaps — powiedziałem łagodnie. — Mówcie dalej, proszę. Czy napłynęły mu do oczu.

— Pomyślałem, że oni go zabili. Od razu przyszło mi do głowy, że przeprowadzili na nim egzekucję, a teraz kolej na mnie. Patrzyłem im w twarze, szukałem tego, który trzyma topór. Wszyscy mieli takie ponure miny. Kartuz też tam był, uśmiechał się tak przerażająco zawołał: Do mnie należy pomsta, Ja wymierzają zapłatę\*.

— Naprawdę tak powiedział?

— Tak. Wtedy opat warknął na niego: „Cicho bądź”, podszedł do mnie. „Doktorze Goodhaps — powiedział — musicie nam rzec, co czynić”. Wtenczas zrozumiałem, że oni wszyscy są tak samo przerażeni jak ja.

— Czy mogę coś powiedzieć? — wtrącił się Mark.

Kiwnąłem głową.

— Ten kartuz nie mógłby uciąć człowiekowi głowy. Do tego trzeba siły dobrej równowagi.

— To prawda — zgodziłem się. — Masz rację, Marku. — Odwróciłem się z powrotem do staruszka. — Co pan powiedział opatowi?

— Nalegał, byśmy powiadomili świeckie władze, ale ja wiedziałem, że pierwszy powinien się o tym zdarzeniu dowiedzieć lord Cromwell. Domyśliłem się, że ta tragedia może mieć polityczne konsekwencje. Opat powiedział, że furtian Bugge spotkał Singletona w czasie swojego nocnego obchodu niespełną godzinę wcześniej. Singleton powiedział mu ponoć, że idzie się spotkać z jednym z braci.

— O tej godzinie? Czy powiedział z którym?

\* Rz (12; 19).— Nie. Najwyraźniej Singleton potraktował go dość ostro.

— Rozumiem. Co dalej?

— Przykazałem mnichom zachować ścisłe milczenie. Oznajmiłem, że żaden list nie powinien opuścić klasztoru bez mojej zgody, a sam wysłałem wiadomość przez posłańca z miasta.

— Postąpiliście bardzo rozsądnie, panie Goodhaps, pańskie rozumowanie było bez zarzutu.

— Dziękuję. — Przetarł oczy rękawem. — Bałem się okropnie. Wróciłem do swojego pokoju więcej nie wychodziłem. Przykro mi, panie Shardlake, ale ta sprawa przerosła moje siły. Powinienem był przeprowadzić śledztwo, ale... ale jestem zwykłym uczonym.

— No cóż, teraz już jesteśmy na miejscu. Powiedzcie mi, kto znalazł zwłoki.

— Infirmarz, brat Guy. Czarny mnich. — Wzdrygnął się. — Mówił, że w infirmerii leży chory braciszek, więc poszedł do kuchni po mleko. Otworzył najpierw kluczem drzwi z dziedzińca do korytarza, a potem wszedł do kuchni. Stał w kałuży krwi od razu podniósł alarm.

— Więc kuchnia jest w nocy zamykana na klucz?

Skinął głową.

— Tak, żeby mnisi służący nie objadali się, kiedy im przyjdzie ochota. Zakonnicy myślą tylko o napychaniu sobie brzuchów, sami się przekonacie, że prawie wszyscy obrastają tłuszczem.

— To znaczy, że morderca miał klucz. Ten fakt, jak również spotkanie, o którym wspominał stróż, wskazują, że mordercą był ktoś z klasztoru. Napomknął pan jednak w swoim liście, że zbezczeszczone również kościół. Czyżby skradziono jakąś relikwię?

— Tak. Staliśmy wtedy wszyscy w kuchni, kiedy któryś z mnichów przyniósł wiadomość, że... — przełknął ślinę — że na ołtarzu zabito w ofierze koguta. Potem zauważyli, że zginęła relikwia ukrzyżowanego złodzieja. Zakonnicy twierdzą,

że to ktoś z zewnątrz przyszedł zbezczeszczyć kościół wykraść relikwię, natknął się na komisarza, który wyprawił się właśnie na jedną ze swych nocnych wycieczek, więc go zabił.

— Ale jak człowiek z zewnątrz mógłby się dostać do kuchni?

Goodhaps wzruszył ramionami.

— Może przekupił służącego dorobił klucz. Tak uważa opat, chociaż z całego personelu klasztornego tylko kucharz ma klucze do kuchni.

— A ta relikwia? Czy to było coś bardzo cennego?

— Odrażające! Dłoń przybita gwoździem do kawałka deski. Była zamknięta w złotym relikwiarzu wysadzonym drogimi kamieniami, prawdziwymi szmaragdami, zdaje się. Podobno leczyła złamane powykręcane kości, ale tak naprawdę to tylko jeden z wielu falsyfikatów, żeby nabierać głupców. — Na moment w jego głosie zapłonęła reformatorska żarliwość. — Mnisi bardziej się przejmują kradzieżą relikwii niż "morderstwem Singletona.

— A jakie jest pańskie zdanie? — spytałem. — Kto mógł to zrobić?

— Nie wiem, co o tym myśleć. Mnisi gadają, że czciciele diabła wkradli się do kościoła, żeby ukraść relikwię. Ale oni nas nienawidzą, to się tu czuje. Panie komisarzu, czy skoro już przyjechaliście, mogę wrócić do domu?

— Jeszcze nie. Może wkrótce.

— No cóż, przynajmniej nie jestem sam.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili do środka wetknął głowę służący.

— Wrócił opat, jaśnie wielmożny panie.

— Doskonale. Marku, pomóż mi, proszę, kości mi zesztyniały.

Wstałem, wspierając się na chłopaku, a potem się otrzepałem.

— Dziękuję, doktorze Goodhops, jeszcze będziemy mieli sposobność porozmawiać. A swoją drogą, co się stało z księgami rachunkowymi, które studiował komisarz?— Zabrał je z powrotem szafarz. — Starzec potrząsnął siwą czupryną. — Do czego to doszło? Chciałem jeno ujrzeć zreformowany kościół, a dożyłem czasów, w których dzieją się takie rzeczy! Bunty, zdrada, morderstwa. Czy człowiek może coś poradzić na to całe zło?

— Może przynajmniej wyjaśniać zagadki, które są jego własnym dziełem — odpartem stanowczo. — Wierzę w to mocno. Marku, pójdźmy na spotkanie z pocziwym opatem.

## Rozdział szósty

Służący powiódł nas z powrotem na dół, po czym wprowadził do obszernej komnaty, w której ściany ozdobiono starymi, lecz nadal pięknymi flamandzkimi gobelinami. Okna wychodziły na duży zadrzewiony cmentarz, gdzie kilku służących zgrabiło ostatnie jesienne liście.

— Jego wielmożność przebiera się ze stroju jeździeckiego, niebawem do panów dołączy.

To rzekłszy, ukłonił się wyszedł, my zaś ulokowaliśmy się przy kominku grzaliśmy sobie tyły.

Naczelne miejsce w komnacie zajmowało ogromne biurko zarzucone stertą pergaminów papieru, za nim stał wyściełany fotel, a przed nim stołki. Na mosiężnej tacy leżała bryła wosku, a na niej spoczywała wielka pieczęć opactwa. Obok przygotowano dzban z winem srebrne kielichy. Za biurkiem ścianę zasłaniały rzędy półek z książkami.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że opaci żyją w takim dostatku — zauważył Mark.

— A jakże. Mają małe gospodarstwa. Pierwotnie mieszkali razem z innymi braćmi, ale kiedy wiele stuleci temu Korona obłożyła ich gospodarstwa podatkami, opatom przyznano oddzielne dochody, całkiem niezależne od klasztoru. Teraz żyją w dostatku, a większość prac związanych z nadzorowaniem codziennych spraw zakonu pozostawiają przeorom.

— Dlaczego król nie zmieni prawa tak, aby można było obłożyć opatów podatkiem?

Wzruszyłem ramionami.

— Dawniej królowie potrzebowali poparcia opatów w Izbie Lordów. A teraz... no cóż, wkrótce to już nie będzie miało znaczenia.

— Czyli właściwie klasztorem zarządza na co dzień ten szkocki gbur?

Wszedłem za biurko przyjrzałem się księgom. Zauważyłem drukowany zestaw statutów angielskich.

— Wygląda na takiego, który lubi tyranizować ludzi, prawda? Widać było, że to znęcanie się nad nowicjuszem sprawia mu uciechę.

— Ten chłopiec wyglądał bardzo niezdrowo.

— Tak. Ciekawym, czemu nowicjusza przydzielono do tak niewdzięcznych zajęć stosownych raczej dla służby.

— Sądziłem, że mnichom zaleca się poświęcać część czasu na pracę fizyczną.

— To rzeczywiście element reguły benedyktyńskiej. Ale od setek lat żaden benedyktyn nie splamił się prawdziwie ciężką pracą. Wszystko robi za nich służba. Nie tylko gotuje i oporządza konie, ale dogląda ognia, ściela zakonnikom łóżka, czasem pomaga im się nawet ubierać kto wie co jeszcze.

Wziąłem do ręki pieczęć obejrzałem ją w świetle przy ogniu. Zrobiono ją ze stali hartowanej. Pokazałem Markowi wizerunek świętego Donatusa w stroju rzymskim, pochylającego się nad człowiekiem leżącym na sakwie proszącym o coś wyciągniętą dłonią. Był to pięknie wykonany grawerunek, z misternie wypracowanymi fałdami szat.

— Święty Donatus wskrzeszający zmarłego. Przeczytałem o nim przed wyjazdem w moich Żywotach świętych.

— Potrafił wskrzeszać umarłych? Jak Chrystus Łazarza?

— Podobno napotkał zmarłego, którego niesiono do grobu. Jakiś człowiek beształ wdowę, mówiąc, że jej nieżyjący mąż był mu winien pieniądze. Błogosławiony Donatus nakazał nieboszczykowi ożyć uregulować rachunki. Wtedy tamten wstał przekonał wszystkich, że spłacił swój dług. Potem znowu położył się martwy do grobu. Pieniądze, pieniądze jeszcze raz pieniądze. Ci ludzie nie mówią o niczym innym.

Na korytarzu rozległy się kroki, drzwi się otworzyły do komnaty wszedł wysoki, postawny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Spod habitu wystawały rajtuzy z wełnianego aksamitu buty ze srebrnymi klamerkami. Twarz miał szczerą, rumianą, z rzymskim nosem przypominającym dziób.

Gęste brązowe włosy nosił długie, a niewielki wygolony krąg na czubku głowy stanowił symboliczne ustępstwo na rzecz klasztornych reguł. Ruszył ku nam z uśmiechem.

— Jestem opat Fabian. — Maniery miał prawdziwie pat-rycjuszowskie, głos głęboko arystokratyczny, jednak pod tą szlachetną powłoką dopatrzyłem się zamaskowanego niepokoju. — Witam panów w Scarnsea. Pax vobiscum.

— Matthew Shardlake, komisarz wikariusza generalnego.

Nie dodałem zwyczajowej formułki „z wami”, nie miałem

ochoty dać się wciągnąć w tę łacińską pompę.

Opat skinął powoli głową. Głęboko osadzone niebieskie oczy szybko omiotły moją postać od góry do dołu od dołu do góry, po czym rozszerzyły się odrobinę na widok pieczęci w mym ręku.

— Błagam was o ostrożność, panie komisarzu. Ta pieczęć musi widnieć odcisnięta na każdym prawnym dokumencie. Nigdy nie opuszcza tej komnaty. Nikt poza mną nie powinien się nią posługiwać.

— Jako królewski komisarz mam prawo dostępu do każdej rzeczy w tej instytucji.

— Och, naturalnie, naturalnie. — Nie odrywał wzroku od mych rąk, kiedy odkładałem pieczęć na biurko. — Musicie panowie być głodni po długiej podróży, zaraz każę podać jadło.

— Dziękujemy, może później.— Żałuję, że musieliście panowie czekać, ale miałem do załatwienia pilną sprawę z zarządcą naszych majątków w Rye-over. Mamy nadal mnóstwo pracy z księgowaniem plonów. Może wina?

— Odrobinę.

Nalał mi trunku, po czym odwrócił się do Marka.

— Mogę zapytać, kim jest ów młodzieniec?

— Mark Poer, mój sekretarz asystent.

Opat uniósł brwi.

— Panie komisarzu, mamy do omówienia sprawę ogromnej wagi. Chciałbym zasugerować, aby zostało to przedsięwzięte w największej tajemnicy. Chłopiec może się udać do kwater, które kazałem już dla was przygotować.

— Nie, mój panie opacie. Lord Cromwell zażądał ode mnie osobiście, abym zabrał ze sobą pana Poera. Zostanie z nami, dopóki sam nie zdecyduję inaczej. Czy chcecie obejrzeć moje pełnomocnictwo?

Mark wyszczerzył zęby do Fabiana, który poczerwieniał na twarzy, ale skłonił głowę.

— Jak pan komisarz sobie życzy.

Wsunąłem dokumenty do upierścienionej dłoni.

— Rozmawiałem z doktorem Goodhapsem — oznajmiłem.

Fabian złamał pieczęć na liście. Jego twarz zastygła w napięciu, a czubek nosa zadarł się nieco do góry, jakby z papieru uniósł się zapach samego lorda Cromwella. Wyrząłem przez okno do ogrodu, gdzie służący rozpalali ognisko z liści. Cienki, biały palec dymu unosił się ku szaremu niebu. Zaczynało zmierzchać.

Opat dumał przez chwilę, po czym położył pełnomocnictwo na biurku. Splótł dłonie pochylił się do przodu.

— To morderstwo to najokropniejsza rzecz, jaka się wydarzyła w tym Domu Bożym. W połączeniu ze zbezczeszczeniem naszego kościoła przyprawiło mnie o... o wstrząs.

Skinąłem głową.

— Wstrząsnęło ono również lordem Cromwellem. Wikariuszgeneralny nie życzy sobie rozgłaszania tego, co się tu zdarzyło. Czy zachowaliście tę sprawę w tajemnicy?

— Jak najściślej. Zapowiedziałem zakonnikom służącym, że jeśli choć słowo na ten temat wydobędzie się poza mury klasztoru, będą za to odpowiadać osobiście przed urzędem wikariusza generalnego.

— To dobrze. Proszę, aby przedkładano mi wszelką korespondencję, jaka przychodzi do klasztoru. Żaden list nie może również opuścić tych murów bez mojego zatwierdzenia. Domyślam się, że obecność komisarza Singletona nie była tu mile widziana.

Opat westchnął powtórnie.

— Cóż mogę rzec? Dwa tygodnie temu otrzymałem list od lorda Cromwella, w którym informował mnie, że wysyła komisarza, by ten przedyskutował ze mną jakieś niesprecyzowane kwestie. Po przybyciu komisarz Singleton wprawił mnie w zdumienie, oświadczając, że mam oddać klasztor w ręce króla. — Spojrzał mi w oczy wyzywająco zarazem niespokojnie. — Podkreślił, że życzy sobie, abym to zrobić dobrowolnie jest zdecydowany doprowadzić do tego za wszelką cenę. Przeplatał obietnice wynagrodzenia finansowego mglistymi groźbami aluzjami do rzekomych złych obyczajów, dodam, że zupełnie bezpodstawnymi. Akt przekazania, który mi przedłożył do podpisu, brzmiał doprawdy zdumiewająco. Miałem w nim przyznać, że żyliśmy tutaj, praktykując fałszywą religijność celebrując puste łacińskie ceremonie. — W jego głosie zabrzmiała urażona nuta. — W naszych nabożeństwach przestrzegamy ściśle zaleceń samego wikariusza generalnego, a każdy brat złożył przysięgę posłuszeństwa królowi wyrzekł się władzy papieża.

— Naturalnie — odrzekłem. — W przeciwnym razie konsekwencje byłyby znacznie surowsze.

Zauważyłem, że w widocznym miejscu na habicie opat nosi odznakę pielgrzyma. Musiał odwiedzać sanktuarium Matki Bożej w Walsingham. Ale przecież król także tam kiedyś był. Wziął głęboki oddech.

— Odbyliśmy z komisarzem Singletonem kilka dyskusji skupionych głównie wokół kwestii, że wikariusz generalny nie ma prawa nakazać moim mnichom mnie, abyśmy opuścili konwent, doktor Goodhaps, który jest znawcą prawa kanonicznego, nie odważył się tego kwestionować.

Nie odpowiedziałem, jako że opat miał bez wątpienia rację.

- Chciałbym wrócić do sprawy zabójstwa okoliczności, w jakich zostało popełnione — rzekłem.
- To obecnie dużo bardziej paląca kwestia.

Skinął posępnie głową.

- Cztery dni temu, po południu odbyliśmy z komisarzem Singletonem kolejną długą, obawiam się, bezowocną dysputę. Więcej tego dnia go nie widziałem. Zajmował pokoje w tym domu, ale on doktor Goodhaps jadali oddzielnie. Położyłem się spać jak zwykle. O piątej nad ranem zbudził mnie brat Guy, nasz infirmarz. Wpadł do mojej sypialni powiedział, że znalazł w kuchni zwłoki komisarza Singletona leżące w wielkiej kałuży krwi. Obcięto mu głowę. — Twarz opata wykrzywiła się z niesmaku. — Rozlew krwi na poświęconej ziemi jest czynem odrażającym. A potem, kiedy zakonnicy przyszli na jutrznię, znaleźli to, co zrobiono w kościele na ołtarzu.

Urwał, na czole między brwiami utworzyła mu się głęboka bruzda. Ujrzałem, że jest bardzo mocno poruszony.

- A cóż to było?
- Znowu krew, czarnego koguta, który leżał również z odciętą głową przed ołtarzem. Obawiam się, że mamy do czynienia z czarną magią, panie komisarzu.
- O ile mi wiadomo, straciliście relikwię.

Opat przygryzł wargę.

- Wielką relikwię Scarnsea. Świętą wyjątkową: dłoń złodzieja, który cierpiał razem z Chrystusem, przybitą do fragmentu krzyża. Brat Gabriel zauważył jej zniknięcie przed południem tego samego dnia. — Rozumiem, że była bardzo cenna. Złota szkatuła wysadzana szmaragdami, tak?
- Tak, ale mnie jest droższa jej zawartość. Na samą myśl, że rzecz o tak świętej mocy mogła trafić w ręce jakiejś wiedźmy...
- To nie wiedźma obcięła głowę królewskiemu komisarzowi.
- Niektórzy nasi mnisi również się temu dziwią. Nie mamy w naszej kuchni narzędzi, którymi można by strącić człowiekowi głowę z karku. To niełatwy wyczyn.

Pochyliłem się do przodu położyłem dłoń na kolanie, aby ulżyć plecom, ale wyglądało to nieco wyzywająco.

- Nie byliście w najlepszych stosunkach z komisarzem Singletonem. Powiadacie, że zwykł jadać wieczerzę w swoim pokoju?

Opat Fabian rozłożył ręce.

- Jako emisariusz wikariusza generalnego korzystał w naszym przybytku z wszelkich wygod. Z własnego wyboru nie chciał dzielić ze mną posiłków. Ale chciałbym powtórzyć to jeszcze raz — podniósł nieco głos — jego śmierć jest mi bardzo przykra, to morderstwo budzi we mnie odrazę. Chciałbym urządzić nieszczęsnym szczątkom komisarza chrześcijański pochówek. Moi bracia są



bardzo niespokojni z powodu niepochowanych zwłok, boją się jego ducha. Doktor Goodhops upierał się, aby pozostawiono je do zbadania.

— To bardzo rozsądna decyzja. Obejrzenie zwłok będzie moim pierwszym zadaniem.

Opat spojrział na mnie uważnie.

— Zamierzacie zbadać tę zbrodnię, nie włączając władz świeckich?

— Tak, to jak najszybciej. Jednakże oczekuję pełnej współpracy pomocy z pańskiej strony.

Rozłożył szeroko ramiona.

— Naturalnie. Ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, od czego moglibyście zacząć. Wydaje się, że to przedsięwzięcie

przerasta siły jednego człowieka, zwłaszcza jeśli, jak sądzę, sprawca przyjechał z miasta.

— Czemu tak sądzicie? Powiedziano mi, że stróż spotkał komisarza Singletona w nocy że szedł na umówione spotkanie. Słyszałem również, że aby otworzyć drzwi do kuchni, potrzebny jest klucz.

Fabian pochylił się z powagą.

— Panie komisarzu, to Dom Boży, poświęcony chwale Chrystusa. — Skłonił głowę, wymawiając imię Pańskie. — Nic podobnego nie wydarzyło się w tym przybytku przez czterysta lat jego istnienia. Wszelako w grzesznym świecie poza tymi murami jakiś szaleniec lub, co gorsza, człek oddający cześć siłom nieczystym mógł wtargnąć na teren klasztoru z bluźnierczymi myślami. Według mnie zbezczeszczenie ołtarza świadczy o tym dobitnie. Sądzę, że komisarz Singleton zaskoczył złoczyńcę, kiedy szedł na swoje spotkanie. Jeśli zaś chodzi o klucz, to tamtego popołudnia komisarz zażądał go od przeora Mor-timusa.

— Rozumiem. Czy domyśla się pan, z kim zamierzał się spotkać tej nocy?

— Sam chciałbym to wiedzieć. Niestety, zabrał tę informację do grobu. Panie komisarzu, nie wiem, jakież to brutalny szaleniec krąży w tych dniach po mieście, ale z pewnością nie brakuje tam złoczyńców. Połowa mieszkańców macza palce w przemyśle wełny do Francji.

— Poruszę tę kwestię jutro rano, kiedy spotkam się w mieście z tamtejszym sędzią pokoju Copyngerem.

Opat zmrużył oczy. Najwyraźniej ta wieść go nie uradowała.

— Więc sędzia zostanie wtajemniczony?

— Tak, ale nikt poza nim. Proszę mi powiedzieć, jak długo jesteście tu opatem?

— Czternaście lat. Czternaście spokojnych lat, aż do dzisiaj.

— Ale wszak dwa lata temu mieliście kłopoty, nieprawdaż? Podczas wizytacji.

Poczerwieniał na twarzy. — Rzeczywiście, zdarzyło nam się drobne potknięcie. Poprzedni przeor... doszło u nas do pewnych niemoralnych praktyk. To się zdarza nawet w najświętszych miejscach.

- Niemoralnych występnych.
- Ówczesny przeor został usunięty, wymierzono mu karę suspensy. Ów człowiek był przebiegłym łotrem ukrywał swoje postęпки w najgłębszej tajemnicy. Wszakże teraz, dzięki przeorowi Mortimusowi, przywróciliśmy bogobojną dyscyplinę. Nawet komisarz Singleton nie mógł tego zakwestionować.

Skinąłem głową.

- Zatrudniacie sześćdziesiąt osób służby.
- Mamy do utrzymania ogromny kompleks budynków.
- I mieszka tu... ilu? Trzydziestu mnichów?
- Panie komisarzu, nie wierzę, aby któryś z moich służących, nie mówiąc już o braciach służących Bogu, mógł popełnić taki czyn.
- Nie można z góry odrzucać żadnych ewentualności. W końcu komisarz Singleton przyjechał tu, aby pertraktować na temat rozwiązania klasztoru. I pomimo emerytur, hojnie zaoferowanych zakonnikom przez jego wysokość, mogli się wśród nich znaleźć tacy, którym nie w smak było porzucać dotychczasowe życie.
- Nie poinformowałem braci o celu wizyty komisarza Singletona. Wiedzą jedynie, że przybył tu jako wysłannik wikariusza generalnego. Kazałem przeorowi Mortimusowi powiedzieć konfratrom, że mamy kłopot z tytułem własności jednego z naszych majątków ziemskich. Zrobiłem to na wyraźne żądanie komisarza Singletona. Tylko moi najwyżsi urzędnicy znali prawdziwy powód.
- Kto dokładnie?
- Poza przeorem Mortimusem brat Gabriel, zakrystian, nasz szafarz brat Edwig oraz infirmarz, brat Guy. Żyją w naszym klasztorze od lat z wyjątkiem brata Guya, który dołączył do nas w zeszłym roku. Od czasu morderstwa krążą wśród bracinajróżniejsze pogłoski na temat celu wizyty komisarza, ja jednak konsekwentnie pozostałem przy pierwotnej wersji na temat aktu własności.
- To dobrze, na razie pozostaniemy przy tych ustaleniach, choć w stosownym czasie powrócę do kwestii rozwiązania klasztoru.

Opat milczał, a kiedy się ponownie odezwał, dobierał słowa bardzo starannie.

- Panie komisarzu, nawet w tych budzących grozę okolicznościach muszę upomnieć się o swoje prawa. W akcie rozwiązującym pomniejsze konwenty stwierdzano wyraźnie, że w większych klasztorach panuje ład. Nie ma podstaw prawnych, aby żądać samorozwiązania konwentu, jeżeli nie doszło w nim do poważnego naruszenia nakazów królewskich, a nie doszło. Słyszałem pogłoski, że wikariusz generalny żąda likwidacji innych opactw, ale muszę wam powtórzyć to samo, co rzekłem komisarzowi Singletonowi: powołam się na ochronę, jaką daje mi prawo.

Zacisnąwszy usta, oparł się na krześle, czerwony na obliczu, przyparty do muru, lecz zarazem wyzywający.

- Macie, jak widzę, kolekcję statutów.
- Wiele lat temu studiowałem prawo w Cambridge. Jesteście komisarzem, prawnikiem, rozumiecie, że podstawą istnienia społeczeństwa jest przestrzeganie prawa.
- To prawda, wszelako prawo się zmienia, wydaje się nowe ustawy nowe wciąż będą wychodzić.

Popatrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu. Wiedział równie dobrze jak ja, że dopóki w kraju panują niepokoje, nikt nie uchwali ustaw likwidujących siłą następne klasztory.

Przerwałem milczenie.

— Chciałbym teraz obejrzeć zwłoki komisarza Singletona, które, jak sami wspomnieliście, winny jak najszybciej otrzymać chrześcijański pochówek. Proszę również, aby ktoś mnie oprowadził po klasztorze, ale to chyba zostawimy na jutro, bo zmrok już zapada.

— Naturalnie. Szczątki pana Singletona spoczywają w miejscu, które, jak sądzę, pan komisarz również uzna za najstosowniejsze: pod opieką infirmary. Każę was do niego zaprowadzić. Pragnę jeszcze raz podkreślić, że uczynię wszystko, co leży w mej mocy, aby wam dopomóc, jakkolwiek obawiam się, że podjęliście się beznadziejnego zadania.

— Jestem wam wdzięczny, bracie opacie.

— Przygotowałem dla panów pokój gościnny na górze.

— Dziękuję, ale wolałbym mieszkać bliżej miejsca, gdzie doszło do zabójstwa. Czy macie izby gościnne w infirmerii?

— Owszem, uważam jednak, że królewski emisariusz powinien korzystać z gościnności opata.

— Mimo to poproszę o pokój w infirmerii — powiedziałem stanowczo. — Będę potrzebował kompletu kluczy do wszystkich pomieszczeń na terenie klasztoru.

Opat uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Ależ... zdaje pan sobie sprawę, ile to kluczy? Ile tu jest drzwi?

— Nie wątpię, że dużo. Musicie wszakże mieć cały komplet.

— Ja mam jeden, przeor furtian. Ale wszystkie są w ciągłym użytku.

— Potrzebuję całego zestawu. Nalegam, abyście mi to umożliwili.

Wstałem, ze wszystkich sił powstrzymując się, aby nie krzyknąć z bólu, jaki przeszywał mi plecy. Mark podążył za mną. Opat wyglądał na bardzo stropionego, kiedy podniósł się również poprawił szaty.

— Każę zaprowadzić panów do infirmary.

Wyszliśmy za nim do holu, gdzie Fabian uklonił się odszedł

pospiesznie. Wydałem policzki.

— Myśli wasza miłość, że da nam te klucze? — zapytał Mark.

— Tak. Boi się Cromwella jak ognia. Na rany Chrystusa, ten człowiek zna swoje prawa. Jeśli w istocie jest niskiegopochodzenia, tak jak twierdzi Goodhaps, to urząd opata w tym klasztorze jest dla niego wszystkim.

— Mówił jak człek wysoko urodzony.

— Język można sobie przyswoić. Ludzie czynią wielkie wysiłki, aby to osiągnąć. W mowie lorda Cromwella pozostało niewiele śladów gwary biedoty londyńskiej, a u ciebie niewiele słychać chłopskiej wymowy.

— Opatowi nie przypadła do gustu wiadomość, że nie zamieszkamy w jego domu.

— Doktor Goodhaps również będzie rozczarowany. Nic na to nie poradzę. Nie chcę siedzieć pod okiem opata, z dala od reszty mnichów. Powinienem zamieszkać w samym sercu tego miejsca lub przynajmniej najbliżej, jak się da...

Wkrótce zjawił się przeor Mortimus, niosąc w ręku ogromny pęk kluczy na żelaznym pierścieniu. Było ich ponad trzydzieści, niektóre wielkie ozdobne, wykonane przed wiekami. Wręczył mi je z powściągliwym uśmiechem.

— Zaklinam was, byście go nie zgubili. To jedyny zapasowy komplet w klasztorze.

Podąłem klucze Markowi.

— Noś je przy sobie, dobrze? Więc jednak znalazł się zapasowy komplet kluczy?

Przeor nie odpowiedział na moje pytanie.

— Proszono mnie, abym zaprowadził was do infirmerii. Brat Guy już czeka.

Wyszliśmy za nim z domu opata ruszyliśmy z powrotem obok warsztatów, których drzwi okna pozamykano po zmroku. Noc zapadła bezksiężycowa zimniej sza niż dotąd. Zmęczenie sprawiło, że ziąb przeszywał mnie do szpiku kości. Minęliśmy kościół, skąd dochodził monotony śpiew — piękna, misterna polifonia przy akompaniamencie muzyki organowej w niczym nieprzypominająca fałszującego zawodzenia, które pamiętałem z Lichfield.— Kto jest waszym kantorem? — spytałem.

— Brat Gabriel, nasz zakrystian, jest również muzykiem. To człek wszechstronnie utalentowany.

Uchwyciłem ironiczną nutę w jego głosie, kiedy wypowiadał te słowa.

— Czy godzina nie jest za późna na nieszpory?

— Odrobinę. Wczoraj był dzień zaduszny, zakonnicy stali w kościele cały dzień.

Pokręciłem głową.

— Wszystkie klasztory układają sobie teraz własny porządek dnia, o ileż łatwiejszy niż ten, który ułożył święty Benedykt.

Przeor skinął poważnie głową.

— Lord Cromwell ma rację, mówiąc, że mnichom trzeba przykręcać śruby. Zrobię, co w mojej mocy, aby nasz klasztor sprostał najsurowszym wymogom.

Podążaliśmy za przeorem wzdłuż muru dormitorium, po czym weszliśmy do dużego ogrodu ziołowego, który widziałem już wcześniej. Z bliska infirmeria okazała się większa, niż się wydawało z daleka. Przeor przekręcił żelazny pierścień w ciężkich drzwiach weszliśmy za nim do środka.

Otworzył się przed nami przestronny hol będący zarazem salą chorych. Łóżka, porozstawiane w luźnych rzędach po obydwu stronach, w większości były puste. Przypomniało mi to, jak bardzo przeredziły się szeregi benedyktynów — tylko w czasach swej największej liczebności, przed wielką zarazą, mógł zakon potrzebować tak wielkiego szpitala. Jeno trzy łóżka były zajęte, wszystkie przez chorych w podeszłym wieku. Na pierwszym opasły, rumiany mnich zajadał suszone owoce, przyglądając się nam ciekawie. Człek na drugim łóżku w ogóle nie patrzył w naszą stronę, jego oczy były mlecznobiałe, przesłonięte kataraktą. Na trzecim łóżku leżał starzec z pomarszczoną twarzą mamrotał coś na wpół przytomnie. Pochylała się nad nim osoba w białym kornecie niebieskiej szacie służących, ocierała mu czoło ściereczką. Zdumiał mnie widok niewiasty w tym klasztorze. Na drugim końcu sali przy stoliku obok niewielkiego ołtarza sześciu mnichów z rękami zabandażowanymi po puszczeniu krwi grało w karty. Popatrzyli na nas nieufnie. Kobieta wyprostowała się odwróciła do nas, a wtedy zobaczyłem, że jest wysoka młoda. Miała zapewne dwadzieścia parę lat, kształtną, pełną figurę szczerą twarz o silnych rysach, z wysokimi kośćmi policzkowymi. Nie była piękna, lecz jej uroda przyciągała uwagę. Podeszła do nas, przyjrzała się nam inteligentnymi, ciemnoniebieskimi oczami dopiero w ostatniej chwili skromnie spuściła wzrok.

— Nowy komisarz króla przybył spotkać się z bratem Guyem — oznajmił rozkazującym tonem przeor. — Mają tu zamieszkać, trzeba im przygotować pokój. — On młoda niewiasta wymienili spojrzenia, w których przemknął ledwie zauważalny wyraz niechęci. Potem służąca skinęła głową. — Oczywiście, bracie.

Odeszła znikła w drzwiach za kapliczką. Nosiła się z godnością, wręcz statecznie, zupełnie inaczej, niż mają w zwyczaju przemykać młode służki.

— Niewiasta na terenie klasztoru? — spytałem. — To niezgodne z zaleceniami wikariusza generalnego.

— Jak wiele zakonów, otrzymaliśmy dyspensę na zatrudnianie pomocnic w infirmerii. Troskliwa kobieca dłoń jest czasem niezastąpiona w sprawach medycznych. Choć wątpię, czy doświadczylibyście wiele troskliwości z rąk tej zuchwałej dziewczki. Obnosi się z manierami nieprzystającymi jej pozycji, infirmarz traktuje ją zbyt pobłaźliwie.

— Brat Guy?

— Brat Guy z Malton. Jeno że nie z Malton, jak się sami przekonacie.

Wróciła dziewczyna.

— Zaprowadzę panów do gabinetu brata infirmarza.

Mówiła z miejscowym akcentem, głosem łagodnym nieco

chropawym. — No to ja was zostawiam — rzekł przeor.

I ukloniwszy się, wyszedł.

Dziewczyna zlustrowała Marka, ten bowiem wystroił się na tę podróż w najlepsze szaty pod płaszczem oblamowanym futrem nosił niebieski kaftan na żółtej tunice, spod której wystawał u dołu wielki sączek. Oczy niewiasty prześliznęły się następnie na jego twarz. Niejedna białogłowa spoglądała na Marka zalotnie, wszelako wyraz twarzy tej kobiety różnił się od innych: w jej oczach uchwyciłem niespodziewany smutek. Mark uśmiechnął się do niej ujmująco, aż rumieniec wystąpił dziewczynie na policzki.

Uczyniłem gest ręką.

— Prowadź, proszę.

Poszliśmy za nią wąskim, ciemnym korytarzem z drzwiami po obydwu stronach. Jedne stały otworem kiedy rzuciłem okiem do środka, zobaczyłem starego mnicha siedzącego na łóżku.

— Alice, to ty? — zapytał płacząco, kiedy przechodziliśmy.

— Tak, bracie Paulu — odrzekła łagodnie. — Zaraz do ciebie przyjdę.

— Znowu dostałem dreszczy.

— Przyniosę ci grzanego wina.

Starzec uśmiechnął się pokrzepiony, a dziewczyna poprowadziła nas dalej zatrzymała się przed innymi drzwiami.

— To gabinet brata Guya.

Otarłem się rajtuzami o kamienny dzban stojący przed drzwiami ze zdziwieniem stwierdziłem, że jest ciepły. Pochyliłem się, aby zajrzeć do środka. Dzbany wypełnione były gęstą, ciemną cieczą. Powąchałem ją odskoczyłem jak oparzony, a potem popatrzyłem wstrząśnięty na kobietę.

— Co to jest?

— Krew, panie. Infirmarz puszcza braciom krew przed zimą. Przechowujemy ją do podlewania ziół w ogrodzie, bo dzięki temu lepiej rosną.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Zdawało mi się, że zakonnikom nie wolno przelewać krwi, nawet infirmarzom. Czy nie powinien tego robić miejscowy cyrulik?

— Brat Guy ma pozwolenie jako wykwalifikowany medyk. Mówi, że tam, skąd pochodzi, przechowywanie krwi jest powszechną praktyką. Prosił, abyście panowie zechcieli chwilę zaczekać, gdyż zaczął właśnie zabieg z bratem Timothyem musi go dopilnować.

— Dobrze, dziękuję bardzo. Na imię ci Alice?

— Tak, panie. Alice Fewterer.

— Powiedz, Alice, swemu panu, że będziemy tu czekać. Nie pozwolimy, aby jego pacjent wykrwawił się na śmierć.

Dziewczyna się ukloniła odeszła, stukając drewnianymi obcasami na kamiennych płytach podłogi.

— Udatna dziewczka — zauważył Mark.

— Zaiste. Dziwne to miejsce dla niewiasty. Jak zauważyłem, bardzo ją rozbawił widok twego saczka, co mnie zresztą wcale nie dziwi.

— Nie lubię puszczenia krwi — rzekł Mark, aby zmienić temat. — ' Raz mi to robiono przez kilka dni potem byłem słaby jak kocię. Mówią jednak, że to przywraca równowagę humorów.

— Bóg mnie uczynił melancholikiem nie sądzę, aby puszczenie krwi mogło to zmienić. No dobrze, zobaczymy, co tu mamy.

Wziąłem od Marka pęk kluczy jąłem je oglądać po kolei, wyężając wzrok w słabym świetle lamp wiszących na ścianie, aż znalazłem właściwy, oznaczony napisem „Inf”. Włożyłem go do zamka drzwi się otworzyły.

— Czy nie powinniśmy poczekać, wasza miłość? — zapytał Mark.

— Nie mamy czasu na kurtuazję — odrzekłem, biorąc ze ściany lampę. — Mamy szansę dowiedzieć się czegoś o człowieku, który znalazł ciało.

Izba, do której weszliśmy, była mała, pobielona bardzo schludna, przesycona intensywnym ziołowym zapachem. Le-

żanki dla chorych przykryto czystymi, białymi prześcieradłami. Na ścianach wisały pęczki ziół na przemian z nożami służącymi cyrulikom, po jednej stronie zauważyłem również skomplikowany astrologiczny wykres, a naprzeciwko wielki hiszpański krzyż z figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Z pięciu ran białego, alabastrowego ciała kapały krople krwi. Pod wysokim oknem stało biurko infirmarza, a na nim leżały papiery starannie poukładane w niewielkie sterty przyciśnięte pięknymi kamieniami. Popatrzyłem na notatki diagnozy medyczne wypisane po angielsku łacinie.

Szedłem wzdłuż półek, przyglądając się słoikom flaszeczkom starannie opatrzonym łacińskimi podpisami. Uniosłem pokrywę sporawej misy, w środku wiły się czarne, oślisze pijawki, poruszone nagłym blaskiem światła. Było tu wszystko, czego się można spodziewać: suszony nagietek na gorączkę, sproszkowane myszy na ból ucha.

Na końcu najwyższej półki stały trzy księgi: drukowane tomy Galena Paracelsusa, obydwie po francusku. Trzecia księga, oprawna w piękną, zdobioną skórę, napisana była ręcznie dziwnymi spiczastymi zawijasami.

— Spójrz na to, Marku.

Zajrzał mi przez ramię.

— Jakiś kodeks medyczny?

— Nie mam pojęcia.

Przez cały czas nasłuchiwałem odgłosu kroków, a jednak nie dobiegł mnie nawet szmer aż podskoczyłem, kiedy za naszymi plecami rozległo się dyskretne chrząknięcie.

— Błagam, nie upuście tej książki — usłyszałem czyjś głos mówiący z osobliwym akcentem. — To dla mnie przedmiot wielkiej wagi, choć może przez innych mało ceniony. Zapewniam, że ta arabska książka medyczna nie figuruje na królewskiej liście pozycji zakazanych.

Obaj z Markiem obróciliśmy się na pięcie. Patrzył na nas spokojnie wysoki, pięćdziesięcioletni mnich o szczupłej, ascetycznej twarzy głęboko osadzonych oczach. Moje nie-zmierne zdumienie wzbudziło jego oblicze — brązowe niczym najciemniejsza dębina. Widywałem ciemnoskórych mężczyzn w Londynie w okolicach portu, nigdy jednak dotąd taka istota nie patrzyła mi prosto w oczy.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście mi ją zwrócili, panie — powiedział łagodnie, lekko sepleniąc, uprzejmie, lecz stanowczo. — Mój ojciec otrzymał ją w prezencie od ostatniego emira Granady.

Oddałem mu książkę, a on ukłonił się z gracją.

— Panowie Shardlake Poer, jak mniemam?

— Owszem. Brat Guy z Malton?

— Tak, to ja. Macie, panowie, klucz do mego gabinetu? Zwykle pod moją nieobecność wchodzi tu tylko Alice. Nie chciałbym, aby ktoś namieszał mi w ziołach miksturach, proszę zrozumieć, niewłaściwa dawka niektórych z tych substancji może zabić człowieka.

Jego oczy przebiegały po półkach. Zarumieniłem się na twarzy.

— Uważałem, aby niczego nie dotykać.

Skłonił się.

— To dobrze. Czym mogę służyć wysłannikowi jego wysokości?

— Chcemy dostać tu pokój. Czy macie izby gościnne?

— Naturalnie. Alice już ją przygotowuje. Jednakże większa część tego korytarza jest zajęta przez starszych braci. Nierzadko wymagają oni pielęgnacji w ciągu nocy, co może wam zakłócać sen. Zwykle goście wolą mieszkać w domu opata.

— Zostaniemy tutaj.

— Jak sobie życzycie, panie komisarzu. W czym mogę jeszcze pomóc?

Mówił jak najgrzeczniej, z pełnym szacunkiem, a jednak coś w jego pytaniach sprawiało, że czułem się jak niemądry pacjent, któremu kazano wymienić objawy choroby. Pomimo swej osobliwej powierzchowności był to bez wątpienia człek o silnej osobowości. — Jak słyszałem, macie pod swoją pieczęć zwłoki poprzedniego komisarza.

— Tak. Leżą w krypcie na świeckim cmentarzu.



— Chcielibyśmy je obejrzeć.

— Oczywiście. Czy przedtem życzycie sobie obmyć się odpocząć po podróży? Zjecie wieczerzę razem z opatem?

— Nie. Myślę, że będziemy jadać w refektarzu razem z pozostałymi zakonnikami. Najpierw jednak odpoczniemy godzinkę. Ta księga... — dodałem. — Jesteście z urodzenia Maurem?

— Pochodzę z Malagi, teraz to teren Kastylii, kiedy jednak się urodziłem, miasto to należało do emiratu Granady. Kiedy w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim roku Granada przeszła pod panowanie Hiszpanii, moi rodzice przyjęli chrzest, ale życie nie było dla nas łatwe. Gdy nadarzyła się okazja, wyjechaliśmy do Francji. W Louvain żyło nam się lepiej, to miasto wielu nacji.

Uśmiechnął się lekko, ale jego oczy nie przestały obserwować nas czujnie.

— Studiował pan medycynę w Louvain? — zapytałem zdumiony, była to bowiem najbardziej renomowana szkoła w Europie. — Powinien pan służyć na dworze szlacheckim lub królewskim, a nie w klasztorze ukrytym na prowincji.

— Zapewne, niestety jako hiszpański Maur muszę się liczyć z pewnymi ograniczeniami. Przez długie lata przeskakiwałem z jednego stanowiska na drugie niczym piłeczka tenisowa waszego króla Henryka. — Ponownie się uśmiechnął. — Pięć lat spędziłem w Malton w Yorkshire. Zachowałem w imieniu jego nazwę, kiedy przyjechałem tu dwa lata temu. I jeśli wierzyć pogłoskom, wkrótce znowu przyjdzie mi ruszać w drogę.

Przypomniałem sobie, że brat Guy należał do owych nielicznych zakonników, którzy znali prawdziwy powód wizyty Singletona w klasztorze. Skinął w zadumie głową w odpowiedzi na moje milczenie. — Zaprowadzę panów do przygotowanego pokoju, a za godzinę wrócę, abyście mogli zbadać ciało komisarza Sing-letona. Biedakowi należy się już chrześcijański pochówek. — Przeżegnał się westchnął. I tak trudno będzie duszy zamordowanego znaleźć odpoczynek bez spowiedzi ostatniego namaszczenia. Módlmy się do Boga, aby nikogo z nas nie spotkał taki koniec.

## Rozdział siódmy

Izba, jaką nam udostępniono w infirmerii, była niewielka, lecz dość wygodna, ze ścianami obitymi drewnem świeżym, słodko pachnącym sitowiem na podłodze. Rozpalono już ogień w kominku ustawiono przed nim dwa krzesła. Kiedy brat Guy wprowadził nas do środka, Alice układała właśnie ręczniki przy dzbanie z gorącą wodą. W ciepłe bijącym od płonących polan jej twarz obnażone ramiona nabrały zdrowych rumieńców.

— Pomyślałam, że zechcą się panowie umyć — oznajmiła z uprzedzającą grzecznością.

Uśmiechnąłem się do niej.

— To bardzo zacnie z twojej strony.

— Nadałoby się coś na rozgrzanie — wypalił Mark, szczerząc do niej zęby.

Niewiasta spuściła głowę, a brat Guy przeszył młodzieńca surowym spojrzeniem.

— Dziękuję ci, Alice — powiedział. — To już wszystko.

Dziewczyna ukloniła się wyszła.

— Mam nadzieję, że będzie tu panom wygodnie. Wysłałem opatowi wiadomość, że zjecie wieczerzę w refektarzu.

— Będzie nam tu bardzo dobrze. Dziękujemy za wasze starania, bracie infirmarzu.—

Gdybyście czegoś potrzebowali, Alice wam usłuży. — Rzucił Markowi jeszcze jedno karcące spojrzenie. — Proszę jednak, byście zachowali w pamięci, że ma ona wiele obowiązków przy chorych starych mnichach. A także, że jest ona jedyną niewiastą w tym przybytku, jeśli nie liczyć kilku starych kucht. Ponadto znajduje się pod moją kuratelą.

Markowi rumieńce wystąpiły na twarz. Ukloniłem się.

— Będziemy o tym pamiętać, bracie.

— Dziękuję, panie komisarzu. Wobec tego zostawiam was samych.

— Stary, czarny giez — burknął Mark, kiedy za bratem Guyem zamknęły się drzwi. — Jeno na nią zerknąłem, a jej to całkiem przypadło do gustu.

— Jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo tej dziewczyny — rzekłem krótko.

Mark popatrzył na wysokie łóżko, spod którego wysuwała się na kółkach drewniana prycza dla sługi. Wyciągnął ją popatrzył ponuro na twardą deskę przykrytą cienkim słomianym materacem. Potem zdjął kaftan usiadł.

Podszedłem do dzbana ochlapałem twarz ciepłą wodą, pozwalając, aby strugi spływały na szyję. Byłem wyczerpany, w głowie jak w kalejdoskopie wirowały mi twarze obrazy widziane w ciągu ostatnich godzin. Stęknąłem.

— Chwała Bogu, w końcu jesteśmy sami. — Usiadłem na krześle. — Na Mękę Pańską, cały jestem obolały.

Mark popatrzył na mnie z troską.

— Dokuczają wam plecy?

Westchnąłem.

— Będzie lepiej, kiedy się porządnie wyśpię.

— Jesteście pewni, wasza miłość? Mają tu bandaże, mógłbym przygotować wam gorące okłady.

— Nie! — warknąłem. — Powiedziałem, że nic mi nie będzie.

Nie znosiłem, kiedy ludzie patrzyli na moje zdeformowane plecy. Jeno swojemu medykowi na to pozwalałem, a to dopierowtenczas, kiedy ból był szczególnie dotkliwy. Ciarki mnie przeszły na samą myśl, że na moim garbie spoczęłoby spojrzenie Marka, pełne litości, a może obrzydzenia. Dźwignąłem się na nogi, podszedłem do okna wyjrzałem na pogrążony w mroku teren na tyłach klasztoru. Po

niedługiej chwili się odwróciłem. Mark patrzył na mnie z mieszaniną urazy i niepokoju. Uniósłem dłoń ze skrucą.

— Przepraszam, nie powinienem być się unosić.

— Nie chciałem nic złego.

— Wiem o tym. Jestem po prostu zmęczony martwię się.

— Czym się wasza miłość martwi?

— Lord Cromwell pragnie jak najszybciej zakończyć tę sprawę, a ja się lękam, czy zdołam sprostać tym oczekiwaniom. Liczyłem... sam nie wiem, że znajdę tu między mnichami niepoczytalnego fanatyka, którego wzięto już pod klucz, a jak nie, to przynajmniej jakiś wyraźny trop wskazujący na winowajcę. Goodhops w niczym nam nie pomoże, boi się własnego cienia. A ci zakonnicy, z którymi mieliśmy dzisiaj do czynienia, nie wyglądają na tępaków dających się łatwo zastraszyć. Na dokładkę mamy obłąkanego kartuza, który sieje zamęt plotki o adeptach czarnej magii z pobliskiego miasta. Boże, cóż za mętlik. W dodatku opat Fabian świetnie zna swoje prawa, nic dziwnego, że Singleton miał z nim trudności.

— Przecież nie możecie działać więcej, niż leży w ludzkiej mocy.

— Lord Cromwell inaczej patrzy na te sprawy.

Położyłem się na łóżku zapatrzyłem w sufit. Zwykle, kiedy

zaczynałem borykać się z nową sprawą, czułem przyjemne podniecenie, tymczasem tutaj nie potrafiłem dostrzec nic, czego bym się mógł uchwycić, żadnej nici, która powiodłaby mnie przez ów gigantyczny labirynt.

— To ponure miejsce — stwierdził Mark. — Ciemne, kamienne korytarze, mroczne przejścia. Wszędzie może się czaić morderca.

— Tak. Pamiętam, kiedy byłem w szkole, jak te wszystkie korytarze zdawały się nie mieć końca, jaki lęk budziły, kiedy posyłano mnie ze zleceniem. Drzwi, których nie wolno mi było otwierać... — Szukałem jakiejś myśli, która by podniosła nas obu na duchu. — Wszelako tym razem jednak mam upoważnienie, które pozwoli nam wejść wszędzie, gdzie zapagniemy. Klasztor to miejsce jak każde inne, niebawem odnajdziemy właściwą drogę.

Mark milczał, a jego głęboki oddech powiedział mi, że mój młody towarzysz zasnął. Uśmiechnąłem się cierpko zamknąłem na chwilę oczy, a następną rzeczą, jaką usłyszałem, było głośne pukanie do drzwi okrzyk przestraszonego Marka wyrwanego gwałtownie ze snu. Podniosłem się niespodziewanie wypoczęty orzeźwiony tą niezamierzoną drzemką. Otworzyłem drzwi. Na korytarzu stał brat Guy, świeca, którą trzymał w ręce, rzucała przedziwne cienie na jego zatroskaną, brązową twarz. Patrzył na mnie z powagą.

— Jesteście gotowi na oględziny zwłok?

— Och, bardziej gotowy nikt z nas nie będzie.

Sięgnąłem po płaszcz.

W holu infirmerii Alice przyniosła bratu Guyowi lampkę. Infirmarz wdział na habit ciepłą szatę poprowadził nas ciemnym, wysoko sklepionym korytarzem.

— Najszybciej będzie przejść przez wewnętrzny dziedziniec — oznajmił otworzył drzwi, z których powiało lodowate powietrze.

Dziedziniec, otoczony z trzech stron skrzydłami, w których mieściły się cele zakonników inne pomieszczenia klasztorne, a z czwartej przez kościół, przedstawiał nadspodziewanie urokliwy widok. W wielu oknach migotały światła.

Dookoła biegły krużganki, w których dawno temu mnisi oddawali się studiom przy osłoniętych biurkach, poustawianych rzędami wzdłuż przejścia, wystawieni na wiatr zimno, jednak w dzisiejszych, nadmiernie pobłażliwych czasach służyły tylko spacerów rozmów. Pod jedną z kolumn stał lawaterz, ozdobna, kamienna misa do umywania rąk, z maleńkiej fontanny dochodziło delikatne pluskanie. Łagodny blask witraży w oknach kościoła układał na kamiennych płytach dziedzińca wielobarwne wzory. Ujrzałem w powietrzu dziwne drobinki tańczące w świetle dziwiłem im się przez chwilę, zanim zrozumiałem, że to śnieg zaczął znowu prószyć.

— Słyszałem, że to wy znaleźliście zwłoki — rzekłem do infirmarza.

— Tak. Razem z Alice doglądaliśmy brata Augusta, trawiła go gorączka bardzo cierpiał. Chciałem mu podać gorące mleko, więc poszedłem do kuchni.

— Czy drzwi do kuchni są zawsze zamykane na klucz?

— Oczywiście. Inaczej służący, a także z przykrością muszę to rzec, niektórzy zakonnicy, sięgaliby po jedzenie, ilekroć nasłaby ich chęćka. Mam klucze, ponieważ często muszę korzystać z kuchni w nagłych potrzebach.

— Była wówczas piąta, tak?

— Zegar wybił piątą jakiś czas wcześniej.

— Czy rozpoczęła się już jutrznia?

— Nie, jutrznię odprawia się u nas dość późno. Zwykle około szóstej.

— Reguła świętego Benedykta zaleca ją na długo przed świtem.

Brat Guy uśmiechnął się łagodnie.

— Święty Benedykt spisał swą regułę dla Włochów, nie dla ludzi, którzy żyją w angielskim klimacie doświadczają tutejszych zim. Odmawiamy modlitwę Bóg ją słyszy. Przejdziemy teraz przez kapitułarz.

Otworzył następne drzwi znaleźliśmy się w dużej komnacie o ścianach bogato zdobionych scenami biblijnymi. Porozstawiano tu stołki wyściełane krzesła, a przed ogniem płonącym w kominku stał długi stół. W ciepłej sali unosił się nieświeży zapach ludzkich ciał. Dookoła siedziało około dwudziestu zakonników, niektórzy rozmawiali, inni czytali, kilku grało

przy stole w karty. Przy łokciu każdego mnicha stał okazały kryształowy kielich napełniony zielonym płynem z wielkiej flaszki z francuskim likierem, która stała na stole karcianym. Rozejrzałem się za kartuzem, ale nigdzie wśród czarnych habitów nie zauważyłem białej szaty; nie było również nigdzie owego sodomity z rozczochranymi włosami ani przeora Mor-timusa szafarza.

Właśnie jakiś młody mnich o pociągłej twarzy rzadkiej brodzie przegrał partię w karty, jak można było wnosić z jego rozdrażnionej miny.

— Winien nam jesteś już szylinga, bracie — oznajmił jego wysoki, wymizerowany towarzysz.

— Musicie poczekać, aż dostanę zaliczkę.

— Koniec z zaliczkami, bracie Athelstanie. — Pulchny zakonnik o twarzy oszpeconej brodawkowatą naroślą na policzku pogroził mu palcem. — Brat Edwig mówił, że przez te zaliczki wydajesz wszystkie swoje pieniądze, zanim je zarobisz...

Przerwał, na mój widok wszyscy mnisi poderwali się na nogi ukłonili. Jeden z nich, człek młody, ale tak otyły, że nawet na ogolonej głowie tworzyły mu się fałdy złogi tłuszczu, strącił swój kielich na podłogę.

— Septimucie, ty niedojdo!

Jego sąsiad trącił go mocno łokciem, a tamten obrócił się popatrzył na niego mętnym wzrokiem ludzi ograniczonych. Tymczasem wystąpił zakonnik z oszpeconą twarzą ukłonił się jeszcze raz ze służalczą gorliwością.

— Jestem brat Jude, wasza miłość, tutejszy jałmużnik.

— Matthew Shardlake, komisarz królewski. Widzę, że spędzają bracia przyjemny wieczór.

— Odrobina relaksu przed nieszporama. Napijcie się, panie komisarzu, trochę owego doskonałego likieru? Dostaliśmy go z jednego z naszych siostrzanych klasztorów we Francji.

Potrząsnąłem głową.

— Czekają na mnie obowiązki — odrzekłem surowo. —

Dawniej w waszym zakonie koniec dnia czczono wielkim milczeniem.

Brat Jude zawahał się nad odpowiedzią.

— To było dawno temu, w czasach przed wielką zarazą. Od tamtej pory świat chyli się ku upadkowi.

— Uważam, że angielskiemu światu bardzo dobrze się wiedzie pod rządami króla Henryka.

— Ależ tak, tak — odparł pospiesznie — nie chciałem powiedzieć, że...

Dołączył do nas wysoki, chudy mnich, którego siedział przy stole karcianym.

— Pan komisarz raczy wybaczyć bratu Jude'owi, mówi bez zastanowienia. Jestem brat Hugh, prowizor. Wiemy, że winniśmy nieustannie poprawiać swój żywot. Z radością przyjmujemy wszelkie napomnienia królewskiego komisarza.

To rzekłszy, spojrział groźnie na swego towarzysza.

— Dobrze, to ułatwi mi zadanie. Chodźmy, bracie infir-marzu, zwłoki komisarza Singletona nie powinny tak długo czekać.

Naprzód wystąpił niepewnie otyły młody mnich.

— Wybacz mi moją niezgrabność, jaśnie wielmożny panie. Cierpię okrutne bóle, a to przez wrzód na nodze.

Popatrzył na nas ze zboląłą miną. Brat Guy położył mu dłoń na ramieniu.

— Gdybyś przestrzegał diety, jaką ci zaleciłem, Septimusi, twoje biedne nogi nie musiałyby dźwigać takiego ciężaru. Nic dziwnego, że odmawiają ci posłuszeństwa.

— Jestem jeno słabym ciałem, bracie. Potrzebuję mięsa.

— Czasami żałuję, że sobór laterański zniósł zakaz spożywania mięsa. A teraz wybacz nam, Septimusi, idziemy do krypty. Zapewne ucieszy cię wiadomość, że komisarz Singleton zostanie wkrótce złożony w grobie na wieczny spoczynek.

— Bogu niech będą dzięki. Boję się nawet zbliżyć do cmentarza. Niepochowane ciało, niewyspowiadany człowiek...

— Tak, tak. Idź już, godzina niesporów się zbliża. Brat Guy łagodnie odsunął Septimusa na bok wyprowadził nas przez następne drzwi z powrotem na dwór. Przed nami rozciągał się płaski teren usiany nagrobkami. Tu ówdzie w mroku majaczyły białe, widmowe kształty grobów rodzinnych. Brat Guy nałożył na głowę kaptur habitu, aby osłonić się przed śniegiem, który padał coraz gęściej.

— Musi pan wybaczyć bratu Septimusowi — powiedział. — To biedna, niemądra istota.

— Nic dziwnego, że dokuczają mu nogi — zauważył Mark — skoro dźwigają taki ciężar.

— Mnisi stoją w zimnym kościele całymi godzinami, dzień w dzień, pewna ochronna warstwa tłuszczu nie jest niezdrowa w takich okolicznościach. Od długiego stania robią się żylaki. To niełatwe życie. A biedny Septimus nie potrafi się powstrzymać od objadania.

Zadrzałem z zimna.

— To nie jest pogoda na pogawędkę na dworze.

Trzymając lampę wysoko, brat Guy poprowadził nas między

nagrobkami. Spytałem go, czy tamtego ranka, kiedy wszedł do kuchni, drzwi były zamknięte na klucz.

— Tak — odrzekł. — Wszedłem przez drzwi prowadzące z dziedzińca, które zawsze zamykamy w nocy na klucz, a potem krótkim korytarzem do kuchni. Samo wejście do niej jest otwarte, ponieważ

ten korytarz to jedyna droga, aby się tam dostać. Otworzyłem drzwi pośliznąłem się, omal nie upadłem, a kiedy poświeciłem sobie pod nogi, zobaczyłem bezgłowe ciało.

— Doktor Goodhops też mówił, że się pośliznął. To znaczy, że krew jeszcze nie zakrzepła.

Infirmary zastanawiał się chwilę.

— W istocie, była na wpół płynna.

— Wniosek z tego, że zbrodnię popełniono niedługo przedtem.

— Najwyraźniej.

— Ale nie widzieliście nikogo w drodze do kuchni?

— Nie.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że mój umysł znów pracuje jak dawniej. Myśli galopowały niepowstrzymanie.

— Ten, kto zabił Singletona, musiał być uwalany krwią zostawiać ślady na ziemi.

— Nikogo nie widziałem, ale przyznaję, że nie miałem głowy do szukania śladów, tak byłem wstrząśnięty. Rzecz jasna, potem kiedy poderwano braci na nogi, ślady krwi zostawiali wszyscy, którzy wchodzili do kuchni.

Myślałem chwilę.

— Następnie morderca mógł pójść do kościoła, zbecześcić ołtarz ukraść relikwię. Czy wy albo ktoś inny widzieliście ślady biegnące przez dziedziniec lub w samym kościele?

Brat Guy obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

— W kościele przelano krew, uznaliśmy, że ślady pochodzą od koguta, którego zabito w ofierze. A co do dziedzińca, to przed świtem zaczęło padać, deszcz nie ustawał przez cały dzień. Musiał zmyć wszelkie ślady.

— Co zrobiliście po znalezieniu zwłok?

— Naturalnie poszedłem prosto do opata. Jesteśmy na miejscu.

Zaprowadził nas do największej krypty z wszechobecnego tu żółtego wapienia wzniesionej na niewielkim wzgórku. Wchodziło się do niej przez masywne drewniane drzwi, na tyle tylko szerokie, aby dało się przez nie wnieść trumnę.

Zamrugłem, aby strzepnąć z rzęs płatki śniegu.

— No to miejmy to już za sobą.

Brat Guy wyjął klucz z zamka, a ja wziąłem głęboki oddech bezgłośnie pomodliłem się do Boga, aby dał siły mnie memu wrażliwemu żołądkowi.

Musieliśmy się pochylić, żeby wejść do niskiej, pobielonej komory. W krypcie panował przenikliwy ziąb, lodowaty wiatr wpadał do środka przez małe zakratowane okienka. W powietrzu unosił się cierpki, mdlący zapach charakterystyczny dla wszystkich grobowców. W bladym świetle lampki niesionej przez brata Guya ujrzałem, że pod wszystkimi ścianami stoją kamienne sarkofagi z wyrzeźbionymi postaciami zmarłych splatającymi dłonie w błagalnych gestach. Większość mężczyzn miała na sobie pełne zbroje z minionych wieków.

Brat Guy odstawił kaganek splótnięty ramiona, wsunął dłonie w długie rękawy habitu, aby się ogrzać.

— Krypta rodziny Fitzhugh — oznajmił. — To fundatorzy naszego klasztoru, jej członków chowano tu do momentu, kiedy ostatai z nich zginął w wojnach domowych zeszłego wieku.

Niespodziewanie ciszę rozdarł metaliczny szczęk. Aż podskoczyłem w miejscu, brat Guy również wytrzeszczył oczy. Odwróciwszy się, zobaczyłem Marka pochylającego się, aby podnieść z kamiennej posadzki pęk kluczy.

— Bardzo przepraszam — mruknął. — Myślałem, że są mocno przyczepione.

— Na rany Chrystusa, ty niezdaro — warknąłem do chłopaka. — Nogi się pode mną zatrzęsły.

Na środku komory stał duży metalowy świecznik ze świecami łojowymi, brat Guy odpałił je od swojej lampki komorę krypty wypełnił żółty blask, a on powiódł nas na drugi koniec krypty, do sarkofagu z gładkim kamiennym wiekiem pozbawionym inskrypcji.

— To jedyna trumna, która nie ma stałego użytkownika nie będzie miała. Ostatni spadkobierca rodziny poległ pod Bosworth razem z królem Ryszardem Trzecim. — Uśmiechnął się ze smutkiem. — Sic transit gloria mundi.

— Tu leży Singleton? — spytałem.

Guy kiwnął głową.

— Od czterech dni, ale w chłodzie ciało powinno zachować się w dobrym stanie.

Wzięłem jeszcze jeden głęboki oddech.

— A więc zdejmijmy wieko. Marku, pomóż bratu infima-rzowi. Obaj wytężyli siły, aby przenieść wieko na sąsiedni sarkofag. Z początku nie chciało drgnąć, w końcu jednak ustąpiło. Prawie natychmiast po krypcie rozszedł się okropny fetor. Mark cofnął się o krok zmarszczył nos z obrzydzeniem.

— Chyba jednak nie jest w najlepszym stanie — mruknął.

Brat Guy zajrzał do środka się przeżegnał. Zrobiłem krok

do przodu chwyciłem się krawędzi sarkofagu.

Zwłoki owinięto białym wełnianym płótnem, spod którego wystawały tylko stopy łydki, białe jak alabaster z długimi, pożółkłymi paznokciami. Z szyi wyciekło trochę wodnistej krwi, a większa kałuża znacznie ciemniejsza widniała pod głową postawioną pionowo obok ciała. Spojrzałem na twarz Robina Singletona, którego pokonałem niegdyś w sali sądowej w walce na spojrzenia. Był on



szczupłym, trzydziestoparoletnim mężczyzną o czarnych włosach długim nosie. Zauważyłem ciemną szczecinę na białych policzkach poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła od widoku głowy spoczywającej na zakrwawionym kamieniu zamiast na ludzkiej szyi. Usta były niedomknięte, pomiędzy warg wystawały koniuszki zębów. Szeroko otwarte ciemnoniebieskie oczy zaszyły śmiertelną mgłą. Spod powieki wypełził mały, czarny robak, przeszedł po gałce ocznej znikł pod drugą powieką. Przełknąłem ślinę odwróciłem się do zakratowanego okna, aby wciągnąć w płuca zimne, nocne powietrze. Zmagając się z żółcią podchodzącą mi do gardła, zmusiłem drugą część umysłu, aby uporządkowała to, co widziałem. Usłyszałem, jak podchodzi do mnie Mark.

— Nic wam nie jest, wasza miłość?

— Oczywiście, że nie.

Odwróciłem się. Brat Guy stał całkiem spokojnie z rękami splecionymi na piersi patrzył na mnie w zadumie. Mark pobladł nieco, ale wrócił do sarkofagu, aby jeszcze raz popatrzeć na przerażające zwłoki.

— No cóż, Marku, czy możesz coś powiedzieć o tym, w jaki sposób zginął ten człowiek? — zapytałem.

Młodzieniec wzruszył ramionami. — Tak jak słyszeliśmy, strącono mu głowę z karku.

— Na pewno nie zmarł na febrę. Ale czy potrafimy orzec coś więcej na podstawie tego, co widać w trumnie? Na początek zaryzykowałbym twierdzenie, że napastnik był co najmniej średniego wzrostu.

Brat Guy spojrział na mnie z zaciekawieniem.

— Skąd to wiecie?

— Po pierwsze, Singleton był dość wysokim mężczyzną.

— Trudno to ocenić, widząc ciało bez głowy — zauważył Mark.

— Spotykałem go w sądzie. Miał nade mną tę przewagę, że musiałem wyciągać szyję, aby na niego patrzeć. — Zmusiłem się, aby podejść jeszcze raz zajrzeć do trumny. — Zwróćcie uwagę, jak równo została odcięta. Spoczywa na kamieniu idealnie prosto. Jeśli zarówno ofiara, jak napastnik stali, kiedy Singleton został zaatakowany, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, niższy mężczyzna musiałby uderzyć od dołu do góry, pod kątem, a wntczas szyja byłaby przecięta na ukos.

Brat Guy pokiwał głową.

— Prawda. Na Przenajświętszą Panienkę, macie oko godne medyka.

— Dziękuję. Wolałbym jednak nie musieć oglądać takich widoków. Byłem kiedyś świadkiem, jak obcinano człowiekowi głowę pamiętam... — szukałem odpowiedniego słowa — mechanikę tego procesu. — Odwzajemniłem zaintrygowane spojrzenie infirmarza wbiłem sobie paznokcie w skórę dłoni na wspomnienie dnia, który bardzo chciałbym zapomnieć. — A skoro już o tym mowa, to zwróćcie uwagę na to czyste cięcie, głowę strącono jednym mocnym uderzeniem. To niezwykle trudne, nawet jeśli ofiara leży na pniu katowskim.

Mark jeszcze raz popatrzył na głowę stojącą obok ciała.

— To prawda, władanie toporem to trudna sztuka. Ale może Singleton się schylał? Na przykład, żeby podnieść coś z podłogi. Albo zmuszono go, aby się pochylał.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedział Mark. — To słuszna uwaga. Tylko gdyby się schylał, kiedy go zabito, znalezione zwłoki byłyby również zgięte. Brat Guy będzie zapewne pamiętał, czy tak było.

Spojrzałem nań pytająco.

— Leżał wyprostowany — odrzekł infirmarz po namyśle. — Wszyscyśmy się dziwili, bo przecież niezwykle trudno jest obciąć człowiekowi głowę. Nie da się tego zrobić zwykłym narzędziem, nawet największym nożem. Dlatego właśnie niektórzy nasi bracia obawiają się sił nieczystych.

— Jaka broń mogła odciąć głowę stojącego mężczyzny? — myślałem na głos. — Sądzę, że to nie topór, jego ostrze jest za grube. Do tego trzeba by ostrej, tnącej klingi, na przykład miecza. Co ty na to, Marku? Wszak jesteś fechtmistrem.

— Myślę, że macie rację. — Roześmiał się nerwowo. — Tylko koronowane głowy oraz ludzie szlacheckiej krwi mają prawo do egzekucji mieczem.

— Właśnie dlatego, że ostra głownia zapewnia szybki koniec.

— Jak Anna Boleyn — zauważył Mark.

Brat Guy uczynił znak krzyża.

— Królowa wiedźma — rzekł cicho.

— To właśnie o niej pomyślałem — odparłem łagodnie. — Tę właśnie jedyną egzekucję widziałem na własne oczy. Tak jak Anna Boleyn.

Rozdział ósmy

Czekaliśmy przed wejściem do krypty, aż brat Guy zamknie drzwi na klucz. Śnieżyło coraz gęściej, grube płatki, wirując, opadały na ziemię. Ziemię przykrywała już biała powłoka.

— Mieliśmy szczęście, że nie złapała nas ta śnieżycy w drodze — rzekł Mark.

— Nie wiem za to, jak się stąd wydostaniemy, jeśli nie przestanie padać. Przyjdzie nam wracać statkiem.

Dołączył do nas brat Guy. Popatrzył na mnie poważnie.

— Panie komisarzu, chcielibyśmy urządzić jutro pogrzeb. To zdjęłoby nam ciężar z piersi pozwoliło jego duszy znaleźć wieczny odpoczynek.

— Gdzie go pochowacie? Nie miał żadnej rodziny.

— Na naszym świeckim cmentarzu, za waszym pozwoleniem.

Skinąłem głową.

- Zgoda. Dość już widziałem, mam ten obraz wyryty w pamięci aż za dobrze.
- Jestem pod wrażeniem tego, ile udało wam się wyczytać z wyglądu jego zwłok.
- To jedynie domysły.

Stojąc blisko brata Guya, poczułem ledwie uchwytny zapach, jakby drzewa sandałowego. Z pewnością pachniał dużo lepiej niż jego współbracia.

- Zatem powiadomię opata, że można poczynić stosowne przygotowania — rzekł z ulgą.

Nagle zagrzmiał dzwon kościelny, tak głośno, że aż drgnąłem przestraszony.

- Nigdy nie słyszał tak donośnych dzwonów. Wcześniej już zwróciłem na to uwagę.
- Są za duże jak na naszą dzwonnice, ale mają ciekawą historię. Wisiały przedtem w starej katedrze w Tuluzie.

- Czemu je tu przeniesiono?

— Odbyły długą drogę. Katedra została zniszczona podczas arabskiego najazdu osiemset lat temu, a dzwony zabrano jako łupy wojenne. Odnaleziono je na powrót w Salamance, w Hiszpanii, kiedy odzyskano miasto dla chwały Chrystusa. Scarnsea otrzymało je w darze, kiedy ufundowano tu klasztor.

- I tak uważam, że lepiej by wam posłużyły skromniejsze instrumenty.
- Przywykliśmy do ich brzmienia.
- Wątpię, aby mnie się to kiedyś udało.

Uśmiechnął się nieznacznie przelotnie.

- Musicie złożyć winę na mych arabskich przodków.

Doszlśmy na dziedziniec dokładnie w chwili, gdy mnisi

wychodzili procesją z kościoła. Widok ten wywarł na mnie silne wrażenie, które pamiętam żywo do dziś, wiele lat po tych wydarzeniach. Przez stary kamienny dziedziniec otoczony krągankami szło podwójnym rzędem prawie trzydziestu benedyktynów w czarnych habitach, w kapturach nasuniętych na głowy, z dłońmi ukrytymi w szerokich rękawach, które chroniły przed śniegiem, opadającym niby bezgłośnie kurtyna, pokrywającym ich milczące postaci, a całą tę scenę oświetlał blask padający z okien kościoła. Piękny to był widok poruszył mnie do głębi.

Brat Guy zaprowadził nas z powrotem do naszej izby obiecał, że wkrótce wróci, aby nas zaprowadzić do refektarza. Otrzepaliśmy płaszcze ze śniegu, po czym Mark wysunął swoje łóżko na kółkach położył się, nie zwlekając.

- Jak ten człowiek z mieczem mógł zabić komisarza Singletona? Przyczał się na niego uderzył od tyłu?

Zacząłem rozpakowywać sakwę podróżną, układać dokumenty księgi.

- Mogło tak być. Ale co Singleton robił w kuchni o czwartej nad ranem?
- Może umówił się tam na spotkanie z tym zakonnikiem, o którym wspominał furtian?
- Tak, to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Ktoś zwabił komisarza do kuchni, może pod pretekstem przekazania ważnych informacji, tam go zabił. Albo raczej wykonał egzekucję. Nad całą tą zbrodnią wisi atmosfera egzekucji. Przecie dużo łatwiej byłoby go dźgnąć zwyczajnie nożem w plecy.
- Zdaje mi się, że to był twardy człęk, choć niełatwo to rzec na podstawie głowy stojącej na dnie sarkofagu.

Roześmiał się trochę zbyt hałaśliwie, co mi uprzytomniło, że na mego młodego pomocnika również podziałał widok w krypcie.

- Robin Singleton należał do gatunku prawników, jakich nie znoszę. Uznawał w życiu niewiele praw, a te, które zdecydował się uznać, nader źle przyswajał. Torował sobie drogę zastraszaniem podstępami, które niekiedy łagodził złotem wciśniętym w odpowiednim czasie w odpowiednią dłoń. Mimo to nie zasługiwał na tak okropną śmierć.
- Zapomniałem, że wasza miłość był w zeszłym roku na egzekucji królowej Anny Boleyn — powiedział Mark.
- Chciałbym ja o tym zapomnieć.
- Przynajmniej posłużyło to wam w zdobyciu pożytecznej wiedzy. Pokiwałem ze smutkiem głową, a potem uśmiechnąłem się cierpko.
- Pamiętam swego preceptora z czasów, gdym dopiero zaczynał uczyć się praktyki sądowej. Był to sierżant Hampton zapoznawał nas ze sztuką gromadzenia dowodów. Miał ulubione powiedzenie: „Jakie okoliczności są w każdym śledztwie najważniejsze?”. I odpowiadał sobie sam: „Żadne! Wszystkie okoliczności są równie ważne. Wszystko należy zbadać z każdej możliwej strony”.
- Och, niechże wasza miłość tak nie mówi. Siedzielibyśmy tu całą wieczność. — Przeciągnął się jęknął. — Mógłbym przespać dwanaście godzin, nawet na tych starych dechach.
- Nie możemy jeszcze iść spać. Chcę się przyjrzeć naszym braciszkom podczas kolacji. Jeśli mamy do czego dojść, musimy poznać tych ludzi. Chodź, nie ma odpoczynku dla ludzi wezwanych na służbę lorda Cromwella.

To rzekłszy, kopnąłem wysuwaną pryczę, która ze stęknięciem wjechała z powrotem pod łóżko.

Brat Guy powiódł nas do refektarza mrocznymi korytarzami, a potem po schodach na piętro. Weszliśmy do wspianej sali ze sklepieniem wspartym na grubych filarach. Mimo wielkiej przestrzeni panowało tu przyjemne ciepło, a to głównie dzięki ścianom obitym tkaninami oraz matom z sitowia, którymi wyłożono podłogę. W jednym kącie stał duży, pięknie rzeźbiony pulpit. Kinkiety ze świecami łożowymi rzucały ciepły blask na dwa stoły nakryte elegancką zastawą. Pierwszy stół, na sześć miejsc, stał tuż przy kominku, drugi, znacznie dłuższy, nieco dalej. Wokół mrowili się posługacze roznoszący

dzbany z winem srebrne wazy, z których unosiły się bogate zapachy. Przyjrzałem się sztukom ułożonym na stole przy kominku.

— Srebrne — zauważyłem do brata Guya. — Zastawa również.

— To stół dla dostojników. Siedzą przy nim osoby zajmujące najwyższe urzędy w klasztorze. Zwyczajni mnisi jedzą z cynowych naczyń.

— Zwyczajni ludzie jedzą z drewnianych — zauważyłem, kiedy do refektarza wpadł opat Fabian. Służący przerwali pracę, aby się uklonić, otrzymali w zamian łaskawe skinienie głowy. — A opat pewnikiem posila się ze złotych — mruknąłem do Marka.

Fabian podszedł do nas, uśmiechając się powściągliwie.

— Nie uprzedzono mnie, że chcecie jadać w refektarzu. Kazałem przygotować w mojej kuchni pieczeń wołową.

— Dziękuję, ale usiądziemy do wieczerzy ze wszystkimi.

— Jak sobie życycie, panowie. — Westchnął. — Sugerowałem doktorowi Goodhapsowi, aby się do was przyłączył, ale stanowczo odmawia opuszczania swojej izby.

— Czy brat Guy poinformował was, że wyraziłem zgodę na pochowanie komisarza Singletona?

— Tak. Ogłoszę to przed wieczerzą. Dziś przypada moja kolej czytania Pisma Świętego. Po angielsku, rzecz jasna, zgodnie z zaleceniami królewskimi — dodał z powagą.

— To dobrze.

W wejściu zaczął się ruch do refektarza jęli wchodzić mnisi. Do stolika dostojników podeszli jasnowłose zakrystian, brat Gabriel oraz szafarz Edwig, którychśmy już wcześniej widzieli. Szli w milczeniu tworzyli osobliwą parę: wysoki blondyn z głową lekko sklonioną niski, pulchny szatyn maszerujący obok tamtego pewnym siebie krokiem. Dołączył do nich przeor, dwaj urzędnicy klasztorni, których poznałem w kapitularku, oraz brat Guy. Pozostali zakonnicy stanęli przy dużym stole. Stary kartuz rzucił mi jadowite spojrzenie. Opat pochylił się nad stołem.

— Dowiedziałem się o niestosownym zachowaniu brata Jerome'a. Proszę o wybaczenie. Jego śluby nakazują, aby spożywał posiłek w milczeniu.

— Jak rozumiem, sprowadzono go tu na żądanie członka rodziny Seymourów.

— Naszego sąsiada, sir Edwarda Wentwortha. Jednak żądanie, byśmy go przyjęli, przyszło do nas najpierw z biura lorda Cromwella. — Spojrzał na mnie z ukosa. — Wikariuszowi generalnemu zależało, aby zamknąć Jerome'a w ustronnym miejscu. Jako daleki krewny królowej Jane był dość kłopotliwy.

Pokiwałem głową.

— Jak długo tu jest?

Opat popatrzył na pochmurną twarz Jerome'a.

— Osiemnaście długich miesięcy.

Omiotłem wzrokiem zgromadzonych zakonników, którzy zerkali na mnie niespokojnie niczym na osobliwego jakiego zwierza, co wtargnął niespodzianie brutalnie w ich cichą wspólnotę. Zwróciło mą uwagę, że większość z nich była ludźmi w średnim wieku lub starszymi, zauważyłem zaledwie kilka młodych twarzy jeno trzech mnichów w szatach nowicjuszy. Jeden z najstarszych mnichów, z trzęsącą się głową, przeżegnał się szybko, kiedy mi się przyglądał.

W pewnej chwili wzrok mój ściągnęła postać stojąca niepewnie przy drzwiach. Rozpoznałem w niej owego nowicjusza, który prowadził nasze konie do stajni. Przeszł powął niezręcznie z nogi na nogę, chowając coś za plecami. Przeor Mortimus podniósł na niego wzrok.

— Simonie Whelplayu! — warknął. — Nie skończyłeś pokuty, nie zjesz dzisiaj wieczerzy. Stań w tamtym kącie.

Chłopiec spuścił głowę udał się w kąt refektarza najbardziej oddalony od ognia. Wyjął ręce zza pleców, a wtedy zobaczył, że trzyma w nich spiczastą czapkę z wymalowaną literą „”. Czerwieniąc się, włożył ją na głowę. Pozostali mnisi ledwie rzucili nań okiem.

— „”? — spytałem.

— „” jak maleficium — odrzekł opat. — Niestety, młodzieniec ów nie przestrzegał reguły. Usiądźcie, proszę.

Zajęliśmy z Markiem miejsca obok brata Guya, opat tymczasem poszedł do pulpitu, gdzie leżała przygotowana Biblia. Z zadowoleniem stwierdziłem, że jest angielska, nie zaś Wulgata z jej błędami translatorskimi przeinaczeniami w ewangeliach.

— Bracia — odezwał się opat donośnie. — Wszystkimi nami głęboko wstrząsnęły ostatnie wydarzenia. Cieszę się, że mogę powitać wśród nas przedstawiciela wikariusza generalnego, komisarza Shardlake'a, który przybył, aby zbadać okoliczności śmierci komisarza Singletona. Będzie z wami rozmawiał proszę, abyście udzielili mu wszelkiej pomocy, na jaką zasługuje wysłannik lorda Cromwella.

Spojrzałem nań surowo, słowa te bowiem miały dwuznaczną wymowę.

— Pan komisarz wyraził zgodę na pochowanie zwłok zmarłego, tak więc nabożeństwo żałobne odbędzie się pojutrze zaraz po jutrzni. — Przy stołach rozszedł się pomruk zadowolenia ulgi. — Dzisiaj czytamy Apokalipsę świętego Jana, rozdział siódmy: Potem ujrzałem czterech aniołów stojących na czterech narożnikach ziemi.

Zdumiało mnie, że opat wybrał akurat Apokalipsę, była to bowiem część Biblii preferowana przez reformatorów z gatunku owych żarliwych kaznodziejów, którzy ze wszystkich sił pragnęli ogłosić światu, że przeniknęli myślą tajemnicę mroczną symbolikę. Czytany fragment wyliczał tych, którzy ocaleni zostaną przed dniem Sądu Ostatecznego. Brzmiało to jak wyzwanie rzucone mi w twarz, a utożsamiające ich mniszą społeczność z biblijnymi sprawiedliwymi.

— I rzekł do mnie: To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku optukali swe szaty w krwi Baranka je wybielili\*.

— Amen — zakończył donośnie, po czym zamknął Biblię wyszedł z wielką powagą z refektarza, bez wątpienia na czekającą nań w jego jadalni pieczeń wołową.

Na ten sygnał jak na komendę wybuchł w refektarzu gwar rozmów, podczas gdy sześciu służących zaczęło roznosić zupę — gęsty, warzywny bulion, dobrze przyprawiony wy-

\* Ap. (7; 14).śmienity. Nie jadłem niczego od śniadania, więc skupiłem całą uwagę na swojej misce z jedzeniem, dopiero po chwili zerknąłem na nowicjusza Whelplaya stojącego niczym posąg w półmroku. Za jego plecami, za oknem prószył śnieg. Odwróciłem się do przeora, który siedział naprzeciwko mnie.

— Czy ów nowicjusz nie dostanie ani kropelki tej pysznej zupy?

— Nie. Jeszcze przez cztery dni. W ramach pokuty ma stać w kącie refektarza przez cały czas trwania posiłku. Należy mu się nauczka. Uważa pan komisarz, żem zbyt surowy?

— Ile on ma lat? Nie wygląda nawet na osiemnaście.

— Ma prawie dwadzieścia, chociaż nie widać tego po jego mizernej posturze. Przedłużono mu nowicjat, miał kłopoty z opanowaniem łaciny, jest za to uzdolniony muzycznie, pomaga bratu Gabrielowi. Simon Whelplay musi się nauczyć posłuszeństwa. Został ukarany między innymi za unikanie nabożeństw w języku angielskim. Kiedy wymierzam nieposłusznym karę, daję im dobrą lekcję, taką, żeby zapamiętali dobrze winowajcy, wszyscy inni.

— B-b-b... bardzo słusznie, bracie przeorze — przemówił szafarz, kiwając energicznie głową. Popatrzył na mnie, a zimny uśmiech przemknął przez jego pucołowate oblicze. — Jestem brat Edwig, panie komisarzu, szafarz.

Włożył srebrną łyżkę do miski błyskawicznie ją opróżnił.

— Jesteście zatem odpowiedzialni za zarządzanie pieniędzmi zakonu?

— Jak również za p-p-pobieranie oraz pilnowanie, aby wydatki nie przewyższały dochodów — dodał.

Nawet jąkanie nie zatarło nuty samozadowolenia w jego głosie.

— Zdaje się, żem widział was na dziedzińcu, kiedyście dyskutowali o robotach budowlanych z jednym z konfratrów, mam rację?

To powiedziawszy, spojrzałem na wysokiego, jasnowłosego zakonnika, który pożerał wówczas Marka tak pożądlwym wzrokiem. Siedział teraz prawie dokładnie naprzeciwko niego od pewnego czasu zerkał nań ukradkowo, unikając wszakże patrzenia mu w oczy. Zauważył za to moje spojrzenie, więc skłonił się nad stołem, aby się przedstawić.

— Jestem Gabriel z Ashford, panie komisarzu, zakrystian oraz kantor. Zajmuję się kościołem, biblioteką, a także muzyką. Musimy pełnić kilka funkcji jednocześnie, ponieważ nasze szeregi mocno stopniały.

— Zaiste. Sto lat temu mielibyście zapewne dwa razy więcej współbraci. Czyżby kościół wymagał napraw?

— W rzeczy samej. — Pochylając się do mnie z ożywieniem, brat Gabriel potrzącił infirmarza, który o mały włos nie wylał zupy. — Widział pan komisarz nasz kościół?

— Jeszcze nie. Zamierzam go obejrzeć jutro.

— Mamy najpiękniejszą świątynię w stylu romańskim na całym południowym wybrzeżu. Liczy sobie ponad czterysta lat. Z powodzeniem mogłaby iść w zawody z najwspanialszymi romańskimi klasztorami benedyktyńskimi w Normandii. Ale od dachu aż do ziemi biegnie w murze szpetne pęknięcie. Wymaga naprawy, do której powinno się użyć kamienia z Caen, aby pasował do wnętrza...

— Bracie Gabrielu — przerwał mu szorstko przeor — komisarz Shardlake ma ważniejsze sprawy na głowie niż podziwianie architektury. Poza tym kościół może mu się wydać zbyt bogato ozdobiony — dodał znacząco.

— Ależ chyba nowe nauki nie patrzą krzywym okiem na piękną architekturę?

— Owszem, jeśli zachęca wiernych, aby czcili budynki bardziej niżli Boga — odrzekłem. — Albowiem byłoby to bałwochwalstwo.

— Ależ nic podobnego nie miałem na myśli — zapewnił mnie gorliwie brat Gabriel. — Chciałem rzec jedynie, że w każdej wielkiej budowlu oko powinny przyciągać idealne proporcje, jedność linii...

Brat Edwig skrzywił się z sarkazmem.

— To, co chce p-p-powiedzieć brat Gabriel, oznacza, że aby zadowolić jego estetyczne fantazje, klasztor powinien zbankrutować, sprowadzając wielkie bloki wapienia aż z Francji. Chciałbym wiedzieć, jak zamierza przewieźć je przez bagna.

— Czyżby zakon nie posiadał bogatych rezerw pieniężnych? — spytałem. — Czytałem, że dochody z waszych ziem sięgają ośmuset funtów rocznie. Nieustannie również rosną opłaty za dzierżawy, o czym wiedzą najlepiej ubodzy, którzy ponoszą coraz większe koszta.

Kiedy mówiłem, powrócili służący zaczęli ustawiać na stołach talerze z parującymi karpiami wazy pełne warzyw. Zauważyłem wśród służby jedną kobietę — staruchę z zakrzywionym nosem, pomyślałem, że Alice musi się czuć osamotniona, jeśli takie ma tu jeno niewieście towarzystwo. Odwróciłem się z powrotem do szafarza, który przelotnie zmarszczył brwi.

— Ziemię trzeba było ostatnio sprzedać, z r-r-różnych powodów. A suma, jakiej żąda brat Gabriel, to więcej niż cały nasz pięcioletni budżet na remonty. Proszę wziąć karpia, są wyśmienite, złowione dziś rano w naszym stawie rybnym.

— Ale z pewnością można pożyczyć pieniądze a konto corocznych nadwyżek z dochodów, które wszak z pewnością macie.

— Dziękuję panu komisarzowi, oto słowo w słowo moja argumentacja — rzekł z zadowoleniem brat Gabriel.



Szafarz zmarszczył czoło jeszcze bardziej. Odłożył łyżkę zaczął wymachiwać tłustymi dłońmi.

— Roztropna rachunkowość nie powinna dozwalać na takie ubytki w przyszłych dochodach, wasza miłość. Odsetki zżerają je potem jak myszy. Opat zaleca politykę zrównoważonego b-b-b... b-b-b...

Twarz mu poczerwieniała, kiedy z podekscytowania zaciął się na dobre.

— Budżetu — dokończył za niego przeor z kwaśnym uśmiechem. Podał mi karpia zaczął z zapalem kroić na plasterki własnego. Brat Gabriel spiorunował go wzrokiem upił łyk białego wina.

Wzruszyłem ramionami.

— Naturalnie to wasza sprawa.

Brat Edwig odstawił kielich.

— P-przepraszam, jeśli się zanadto uniosłem. To zadawniony spór między mną a bratem zakrystianem.

Jego twarz znowu rozciął ten sam martwy uśmiech odsłaniający równe, białe zęby. Skinąłem poważnie głową na znak, że rozumiem, po czym odwróciłem wzrok w stronę okna, gdzie w powietrzu nadal wirowały płatki śniegu. Napadała już całkiem gruba warstwa. Od okna mocno ciągnęło chociaż z przodu czułem ciepło bijące od kominka, plecy mi marzły. Nowicjusz obok okna zakastał. Jego głowa tonęła w mroku, ale zauważyłem, że nogi trzęsą mu się z zimna pod habitem.

Niespodziewanie ciszę przerwał chrypliwy głos.

— Głupcy! Nie będzie żadnych nowych budowli! Nie wiecie, że świat zmierza ku zagładzie? Narodził się Antychryst! — Jerome uniósł się nieco przy swojej ławie. — Tysiąc lat służby bożej w domach modlitwy dobiega końca! Niebawem nic nie pozostanie, puste budynki cisza, cisza, a szatan wypełni ją swym rykiem!

Jego głos przybierał na sile, tak że na koniec kartuz krzyczał już prawie, wpijając pałające oczy we wszystkich biesiadników. Mnisi odwracali odeń głowy. Brat Jerome, chcąc się obrócić, stracił równowagę upadł na ławę z twarzą wykrzywioną od bólu.

Przeor Mortimus podniósł się z miejsca grzmotną dłońią w stół.

— Na rany Chrystusa! Bracie Jeromie, opuść tę salę idź do swojej celi, dopóki opat nie zdecyduje, co z tobą uczynić. Zabrać go stąd!

Sąsiedzi złapali kartuza pod ramiona, podnieśli go na nogi czym prędzej wyprowadzili z refektarza. Kiedy zamknęły

się za nimi drzwi, zakonnicy, którzy całą tę scenę obserwowali z zapartym tchem, jak jeden mąż odetchnęli głośno z ulgą. Odwrócił się ku mnie przeor Mortimus.

— Raz jeszcze przepraszam w imieniu wszystkich konfrat-rów. — Po sali rozszedł się zgodny pomruk. — Wybaczcie, proszę, albowiem człek ten jest szalony.

— Ciekawym, kogo nazywał Antychrystem. Mnie? Nie, zapewne raczej lorda Cromwella lub może jego wysokość.

— Ależ skądże, panie komisarzu.

Przy stole dostojników rozległy się niespokojne szemrania. Przeor Mortimus ściągnął cienkie usta.

— Gdyby to ode mnie zależało, jutro Jerome zostałby wyprawiony za bramę, żeby wykrzykiwał swoje szaleństwa na ulicach, póki go nie wtrąca do Tower lub, co bardziej prawdopodobne, przytułku dla obłąkanych, bo tam jest jego miejsce. Opat go tu trzyma, bo chce zachować względy jego kuzyna, sir Edwarda. Słyszał pan o koligacjach Jerome'a ze świętej pamięci królową? — Skinąłem głową. — Ale tym razem przebrał miarkę. Trzeba go stąd wyrzucić.

Uniosłem dłoń pokręciłem głową.

— Nie potraktuję poważnie bredzenia tego szaleńca. — Poczuję, że wszystkim siedzącym przy stole wyraźnie ulżyło po tych moich słowach. Zniżyłem znowu głos, aby mogły mnie słyszeć jeno osoby siedzące przy mniejszym stole. — Życzę sobie, aby na razie nie odsyłano nigdzie brata Jerome'a, niewykluczone, że będę chciał go przesłuchać. Czy taką samą przemową uraczył komisarza Singletona?

— Tak — odrzekł otwarcie przeor. — Gdy tylko zjawił się na dziedzińcu, Jerome naskoczył nań, nazwał go krzywo-przysiężą kłamcą. Pan komisarz nie pozostał mu dłużny, wyzywając go od rzymskich bękartów.

— Krzywoprzysięzca kłamca. To konkretniejszy zarzut niż obelgi, jakimi obrzucił mnie. Ciekawe, co miał na myśli.

— Bóg jeden raczy wiedzieć, co szaleńcom roi się w głowach. Brat Guy pochylił się nad stołem.

— Może jest szaleńcem, panie komisarzu, ale nie mógłby zamordować człowieka. Leczyłem go. Łamano go kołem, lewe ramię wyrwano mu ze stawu, więzadła zostały w strzępach. Niewiele lepiej jest z jego prawą nogą, jak pan widział, z trudem utrzymuje równowagę. Ledwo się porusza, a co dopiero mówić

o władaniu bronią obcięciu człowiekowi głowy. Leczyłem kiedyś ludzi skazanych na męki, ale to było we Francji, nigdy przedtem nie spotkałem się z torturami ludzi w Anglii. Jak słyszałem, to dość nowy obyczaj.

— Prawo zezwala na stosowanie tortur w okresach największego zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju — odparłem urażony. Napotkałem rozczarowany zasmucony wzrok Marka. — Zawsze to jednak jest fakt godzien pożałowania — dodałem z westchnieniem. — Wracając jednak do nieszczęsnego Singletona, może brat Jerome jest zbyt niedołąźny, aby popełnić taką zbrodnię, wszelako mógł mieć współnika.

— O nie, panie, skądże, na pewno nie — rozległ się chór głosów.

Na twarzach klasztornych urzędników wyczytałem jedynie strach niepokój, którego nie można było połączyć z morderstwem, zdradą okrutną karą grożącą za jedno drugie. Jednakże ludzie, dumałem, zdolni są maskować swe prawdziwe myśli.

Brat Gabriel znowu pochylił się nad stołem, a na jego czole niepokój wrył głębokie bruzdy.

— Panie komisarzy, nikt z nas nie podziela przekonań brata Jerome'a. Jest nam tu zakałą, pragniemy jeno żyć w pokoju

i modlitwie, lojalni wobec króla posłuszni takim formom kultu, jakie on zaleca.

— Teraz przynajmniej brat Gabriel przemawia w imieniu nas wszystkich — podsumował głośno szafarz. — Mogę tylko dodać „amen”.

Po którym nastąpił chór zgodnych „amen” przy całym stole.

Skinąłem głową.

— Mimo to komisarz Singleton nie żyje. Więc kto go zamordował, waszym zdaniem? Bracie szafarzu? Bracie przeorze?

— L-ludzie z zewnątrz — orzekł Edwig. — Komisarz szedł, żeby się z kimś spotkać, złapał ich na gorącym uczynku... więdźmy, czcicieli diabła... Włamali się, aby zbecześcić kościół skraść relikwię, trafili na biednego Singletona, więc go zabili. Ten, z kim miał się spotkać, na pewno wystraszył się tumultu.

— Komisarz Shardlake wyraził przypuszczenie, że zabójstwa dokonano za pomocą miecza — poinformował brat Guy. — Wątpliwe, aby tacy ludzie mieli ze sobą broń, obawialiby się, że zostaną złapani.

Zwróciłem się do brata Gabriela, który westchnął ciężko zmierzwił dłonią kręczone kędziory pod linią tonsury.

— Niepowetowana strata dłoni ukrzyżowanego złodzieja to prawdziwa tragedia... najświętsza relikwia z Golgoty naszego Zbawiciela... wzdragam się na samą myśl, do jakich ohydnych celów używają jej teraz złodzieje.

Twarz miał ściągniętą. Przypomniała mi się czaszka, którą widziałem w gabinecie lorda Cromwella, nie po raz pierwszy pojąłem potężną moc relikwii.

— Czy wiadomo wam o jakichś więdźmach lub czcicielach diabła przebywających w okolicy? — spytałem.

Przeor pokręcił głową.

— Kilka zielarek mieszka w mieście, ale to zwyczajne staruchy, co to bełkoczą jakieś zaklęcia nad swoimi specyfikami, które tam pichcą.

— Kto to może wiedzieć, jakie niegodziwości knuje szatan na tym grzesznym świecie? — rzekł cicho brat Gabriel. — Chroni nas przed nim nasze świętobliwe życie, na tyle, na ile wszelki człowiek może być od niego bezpieczny, ale poza tymi murami...

Wzdrygnął się.

— Więc są jeszcze służący — rzekłem. — Sześćdziesiąt osób dla was pracuje. — Tylko kilkunastu mieszka w klasztorze — odparł przeor. — Dobrze zamykamy wrota na noc, a teren obchodzi sprawdza Bugge ze swoim pomocnikiem, pod moim baczynym okiem.

— Ci, którzy mieszkają w klasztorze, to w większości starzy, wierni służący — dodał brat Gabriel.  
— Czemu któryś z nich miałby zabić tak ważnego gościa?

— A dlaczego miałby to zrobić mnich albo któryś z tutejszych mieszkańców? No cóż, przekonamy się. Jutro rozpocznę przesłuchania.

Popatrzyłem na rząd skonsternowanych twarzy.

Weszli służący, aby zebrać nasze talerze zastąpić je miseczkami z deserem. Panowało milczenie, dopóki nie wyszli. Szafarz wziął łyżkę włożył ją do parującej potrawy.

— Ach, marmolada na gorąco. — Westchnął. — Wymarzona, rozgrzewająca potrawa na mroźną noc.

Wtem w kącie pokoju rozległ się głośny hurgot. Wszyscy drgnęli odwrócili się w stronę, gdzie ukarany nowicjusz osunął się na podłogę. Brat Guy poderwał się z okrzykiem oburzenia tylko habit wzbijał się wokół niego, kiedy biegł do Simona Whelplaya leżącego na rogoży. Ja również wstałem podążyłem za nim, podobnie brat Gabriel oraz rozgniewany przeor. Młodzieniec był blady jak płótno. Kiedy brat Guy delikatnie uniośł mu głowę, jęknął zamrugał oczami.

— Już dobrze. Zemdlełeś. Uderzyłeś się gdzieś?

— W głowę. Przepraszam...

W kącikach oczu chłopaka zalśniły łzy, chuda pierś zadrgała nowicjusz jął szlochać żałośnie. Przeor Mortimus prychnął. Zdumiałem się, widząc gniew w ciemnych oczach infirmarza.

— Nic dziwnego, że chłopak płacze, bracie przeorze! Kiedy ostatnio zjadł porządny posiłek? Przecież ten biedak to sama skóra kości!

— Dostawał chleb wodę, jak brat dobrze wie, jest to pokuta zapisana w regule świętego Benedykta...

Brat Gabriel odwrócił się doń z wściekłością. — Nie było intencją naszego świętego patrona, aby jego sługi boże morzono na śmierć! Na twoje żądanie tyrał w stajniach jak wół, a potem kazałeś mu godzinami sterczeć na zimnie bez ruchu.

Płacz Simona zamienił się niespodziewanie w gwałtowny atak kaszlu, blada twarz nabrała barwy fioletowej młodzieniec zaczął z trudem łapać oddech. Brat Guy nastawił ucha nasłuchiwał świszczącego dźwięku dobywającego się z jego piersi.

— Ma w płucach pełno żółci. Trzeba go natychmiast zaprowadzić do infirmerii.

Przeor prychnął po raz drugi.

— Czy to moja wina, że z młodzika takie chuchro? Zleciłem mu pracę, żeby go wzmocnić. Właśnie tego mu trzeba...

W refektarzu zagrzmiał donośny głos brata Gabriela:

— Czy brat Guy ma waszą zgodę, aby zaprowadzić Simona do infirmerii, przeorze, czy mam się udać do opata Fabiana?

— A zabierzcie tego niedojdę — warknął przeor. Poszedł z powrotem do stołu. — Słabeusze! Chuchra mięczaki. Przez nich koniec nadejdzie nas wszystkich.

Potoczył wyzywającym spojrzeniem po refektarzu, podczas gdy brat Gabriel infirmarz wyprowadzili z sali szlochającego, kaszlącego nowicjusza. Brat Edwig odchrząknął.

— Bracie przeorze, -myślę, że możemy już odmówić modlitwę. Czas już p-prawie na kompletę.

Przeor zmówił pospieszną modlitwę dziękczynną, po której mnisi powstali, ci przy długim stole czekali, aż wyjdą wyżej rangą zakonnicy. Kiedy przekroczyliśmy próg refektarza, brat Edwig pochylił się do mnie powiedział przymilnie:

— Przykro mi, panie komisarzu, że dwukrotnie zakłócono wam posiłek. T-t-to rzecz godna pożałowania. Proszę o wybaczenie.

— Nic nie szkodzi. Im lepiej poznaję życie w Scarnsea, tym więcej światła mogę rzucić na swoje dochodzenie. A skoro o tym mowa, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał brat jutrobyć do mojej dyspozycji razem ze wszystkimi aktualnymi księgami rachunkowymi. Chciałbym omówić z bratem pewne kwestie, które wynikły ze śledztwa komisarza Singletona.

Wyznaję, że z pewną satysfakcją obserwowałem zakłopotaną minę na obliczu szafarza. Skinąłem głową podszedłem do Marka, który wyglądał przez okno. Nie przestawało padać, śnieg pokrywał bielą każdy skrawek powierzchni, tłumiał odgłosy, rozmazywał obrazy zgarbionych postaci w kapturach spieszących przez dziedziniec w stronę kościoła na kompletę, ostatnie nabożeństwo tego dnia. Znowu rozdzwoniły się dzwony.

## Rozdział dziewiąty

Kiedyśmy powrócili do swojego pokoju, Mark znowu położył się na łóżku. Chociaż jednak byłem tak samo strudzony jak on, musiałem uporządkować swoje spostrzeżenia po tym, co się wydarzyło przy wieczery. Ochlapałem twarz wodą z dzbana, po czym poszedłem usiąść przy ogniu. Przez okno dochodził nikły odgłos śpiewu.

— Słyszysz? — rzekłem. — To mnisi śpiewają na komplecie. Modlą się do Boga na koniec dnia, aby miał w opiece ich dusze. No co myślisz o tej świątobliwej społeczności Scarnsea?

Mark jęknął.

— Za bardzo zmęczonym, żeby myśleć.

— No dalej, postaraj się. Pierwszy raz jesteś w klasztorze. Jakże ci się tu podoba?

Dźwignął się niechętnie na łokcie, a na jego twarzy odmalował się wyraz namysłu. Cienie rzucone przez płomyki świec wydobyły na jego gładkim obliczu pierwsze, delikatne linie. Pewnego dnia, pomyślałem, w tych miejscach utworzą się zmarszczki bruzdy, tak jak u mnie.

— To miejsce pełne sprzeczności. Z jednej strony ich życie wydaje się biec z dala od świata. Czarne habity, modlitwy... Brat Gabriel powiedział, że są chronieni przed grzesnym światem, a wszak pamięta wasza miłość, jak ten pies na mnie patrzył? W dodatku żyją w takim dostatku... Ciepłe kominki, ściany wykładane tkaninami, przednie jedzenie, nie wiem, czy kiedy jadłem lepsze. I grają w karty jak w pierwszej lepszej tawernie.

— Tak, to prawda, święty Benedykt byłby tak samo oburzony ich wygodnym życiem jak lord Cromwell. Opat Fabian używa rozrywek niczym wielmoża. I po prawdzie jest wielmożą, jak większość opatów.

— Wydaje mi się, że przeor go nie lubi.

— Przeor Mortimus przedstawia siebie jako zwolennika reformacji przeciwnika łatwego życia. Nie wątpię, że daje swym podwładnym w kość. I mam wrażenie, że robi to z przyjemnością.

— Przypomina niektórych moich nauczycieli.

— Nauczyciele nie doprowadzają swych uczniów do stanu załamania. Większość rodziców miałaby co nieco do powiedzenia na temat tego, jak traktował tego chłopca. Jak widzę, nie mają tu mistrza nowicjatu, a do wychowania młodzieży nie wystarczy boskie powołanie. Mortimus sprawuje nad nimi władzę absolutną.

— Infirmarz starał się pomóc temu chłopcu. Sprawia wrażenie dobrego człowieka, chociaż wygląda, jakby go pieczono na rożnie.

Kiwnąłem głową.

— Brat Gabriel również okazał życzliwość temu choremu biedakowi. Zagroził przeorowi, że wezwie opata. Nie wydaje mi się, aby opat Fabian przejmował się zanadto dobrem nowicjuszy, ale jeśli przeor w swym upodobaniu do brutalnych metod posuwa się za daleko, opat powinien hamować jego zapędy, inaczej może dojść do skandalu. W każdym razie poznaliśmy już wszystkich pięciu braci, którzy znali prawdziwy cel wizyty Singletona. Opat Fabian, przeor Mortimus, brat Gabriel, brat Guy oczywiście szafarz...

— B-b-brat Edwig — dopowiedział Mark.

Uśmiechnąłem się.

— Pomimo ułomności języka ten człowiek ma tu ogromną władzę.

— Robi na mnie wrażenie ośliszej gadziny.

— Przyznaję, we mnie również nie wzbudził sympatii. Nie powinniśmy jednak dać się zwodzić pozorom. Największy oszust, jakiegom spotkał w życiu, miał najbardziej rycerskie maniery, jakie można sobie wyobrazić. Poza tym szafarza nie było w klasztorze, kiedy zamordowano Singletona.

— Tylko po co ktoś z nich miałby zabijać komisarza? Wszak to daje lordowi Cromwellowi jeszcze więcej powodów do zamknięcia klasztoru.

— Może motyw był bardziej osobisty. Może Singleton coś odkrył? Mieszkał tu kilka dni. Może był bliski zdemaskowania jakiegoś poważnego przestępcy?

— Doktor Goodhops mówił, że tego dnia, kiedy został zamordowany, studiował księgi rachunkowe.

Kiwnąłem głową.

— Tak. Właśnie dlatego chcę je obejrzeć. Jednakowoż wróćmy do sposobu, w jaki go zabito. Jeśli ktoś chciał mu zamknąć usta, nieporównanie łatwiej byłoby mu wbić nóż w plecy. I po cóż bezcześcić kościół?

Mark pokręcił głową.

— Ciekawe, gdzie morderca ukrył miecz, jeśli to właśnie miecz był narzędziem zbrodni. No relikwię. I ubrania. Wszak musiały być zakrwawione.

— W tym labiryncie są zapewne tysiące kryjówek. — Myślałem przez chwilę. — Z drugiej strony większość pomieszczeń jest stale używana.

— Może w budynkach gospodarczych na głównym dziedzińcu? W warsztacie kamieniarskim albo browarze.

— Możliwe. Musimy mieć oczy szeroko otwarte, kiedy będziemy obchodzić te miejsca, rozglądaj się bacznie szukaj możliwych kryjówek. Mark westchnął.

— Zbrodniarz mógł zakopać ubranie miecz. A nie uda nam się znaleźć świeżo rozkopanej ziemi, jeśli śnieg nie przestanie sypać.

— To prawda. Zacznę jutro od przesłuchania zakrystiana szafarza, tych dwóch braterskich przeciwników. Ty zaś porozmawiaj z tą służką Alice.

— Brat Guy ostrzegł mnie, żebym się do niej nie zbliżał.

— Rzekłem: porozmawiaj jeno, nic więcej. Nie chcę zatargu z bratem Guyem. Umiesz sobie radzić z niewiastami. Ta wygląda na bystrą pewnie zna niejednego sekret tego przybytku.

Mark poruszył się niespokojnie.

— Nie chciałbym, aby pomyślała, że... nadskakuję jej, aby wydobyć z niej informacje.

— Przyjechaliśmy tu po to, żeby zdobywać informacje. Nie ma najmniejszego powodu udawać, że jest inaczej. Jeśli ujawni coś, co nam pomoże, dopilnuję, aby ją odpowiednio wynagrodzono. Młoda kobieta nie powinna gnuśnieć zamknięta między zgorzkniałymi mnichami.

Mark uśmiechnął się do mnie.

— Widzę, że waszej miłości też przypadła do gustu. Zauważyliście te jej świetliste oczy?

— No cóż, z pewnością nieprzeciętna to dziewczka — odparłem wymijająco.

— Nadal wydaje mi się wielce niestosowne wyłudzać od niej informacje przymilnymi gadkami.

— Musisz przywyknąć do wyłudzenia od ludzi informacji, jeśli chcesz pracować w służbie prawa.

— Tak, wasza miłość — odparł Mark bez przekonania. — Jeno że... nie chciałbym jej narażać na niebezpieczeństwo.

— Ja również. Ale wszyscy możemy się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Mark milczał.

— Czy opat może mieć rację, mówiąc o tych wiedźmach

wyznawcach diabła? Zbzczeszczenie kościoła zdaje się to potwierdzać.

Pokręciłem głową.

— Im dłużej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to morderstwo zostało starannie zaplanowane. Niewykluczone nawet, że kościół zbzczeszczono tylko po to, aby zwrócić podejrzenia w inną stronę. Oczywiście opat wolałby, aby sprawcą okazał się ktoś z zewnątrz.

— Żaden chrześcijanin nie odważyłby się na taki czyn w kościele, nieważne, katolik czy reformator.

— Masz rację, cała ta historia jest odrażająca.

Westchnąłem zamknąłem oczy. Poczułem, jakby twarz mi

się zapadała ze zmęczenia. Tego dnia byłem już niezdolny do myślenia. Uniosłem powieki zobaczyłem Marka obserwującego mnie bacznie ze swego posłania.

— Wasza miłość powiedział, że zwłoki komisarza Singletona przywiodły mu na myśl egzekucję Anny Boleyn.

Skinąłem głową.

— Do dziś mnie dręczy to wspomnienie.

— Wszystkich zaskoczyło, jak szybko doszło do jej upadku. Chociaż ludzie jej nie lubili.

— Podobno jej głowa usiłowała przemówić po odcięciu.

Podniosłem dłoni.

— Nie wolno mi o tym rozmawiać, Marku. Byłem tam obecny jako oficjalny wysłannik. Masz rację, chodźmy spać.

Poczuł się rozczarowany, ale nie odezwał się ani słowem. Dołożył kilka polan do ognia położyliśmy się do łóżek. Ze swojego miejsca widziałem za oknem padający śnieg, wirujące płatki podświetlał blask z dalekiego okna. Pomimo późnej pory jacyś zakonnicy jeszcze nie spali. Z drugiej strony dawno już minęły czasy, gdy mnisi kładli się do łóżek o zmroku, aby wstać na modlitwę w środku nocy.

Chociaż bardzo byłem zmęczony, kręciłem się w łóżku przewracałem z boku na bok, albowiem mój umysł nie mógł zaznać spokoju. Myślałem o Alice. Każdemu z nas coś w tym miejscu groziło, lecz



młoda, samotna niewiasta jest bardziej narażona na niebezpieczeństwo niż inni. Podobało mi się, że dziewczyna miała charakter, przypominała mi Kate.

Chociaż z całego serca pragnąłem zasnąć, prawie wbrew własnej woli cofnąłem się pamięcią o trzy lata. Kate Wyndham była córką kupca bławatnego, którego wspólnik oskarżył przed sądem kościelnym o oszustwa księgowe pod pretekstem, że umowa jest odpowiednikiem przysięgi złożonej przed Bogiem. W rzeczywistości wspólnik ów spokrewniony był z archidiakonem, który miał wielkie wpływy wśród sędziów. Udało mi się przenieść sprawę do ławy królewskiej, gdzie została odrzucona. Wdzięczny kupiec, wdowiec, zaprosił mnie do swego domu na obiad. Wtedy to poznałem jego jedyną córkę.

Kate miała wielkie szczęście, jej ojciec był zwolennikiem kształcenia kobiet w większym zakresie, niż wymagały tego rachunki domowe, ona zaś była niewiastą o niezwykle żywym umyśle. Miała słodką twarzyczkę w kształcie serca gęste brązowe włosy spadające na ramiona. Była pierwszą białogłową, z którą mogłem rozmawiać jak równy z równym. Ubóstwiała rozprawiać o różnych aspektach prawa, o sądach, a nawet

o Kościele, albowiem doświadczenia jej ojca uczyniły z nich obojga gorących zwolenników reformacji. Owe wieczorne dysputy przy kolacji z nią jej ojcem, a potem także popołudniami, kiedy zabierałem Kate na spacerunki poza miasto, były najpiękniejszym okresem mego życia.

Wiem, że widziała we mnie jedynie przyjaciela, stało się to nawet przyczynkiem do żartów między nami, że rozmawiałem z nią tak swobodnie jak z mężczyzną, z czasem jednak załęgła mi się w głowie myśl, czy ta znajomość nie mogłaby rozkwitnąć w coś więcej. Bywałem już zakochany, nigdy jednak nie posunąłem się do oświadczenia, lękając się, że przez swą zdeformowaną postać mogę się spotkać jedynie z odmową

i że lepiej będzie poczekać do czasu, aż dorobię się stosownego

majątku, który mógłbym ofiarować przyszłej żonie jako rekompensatę za mizerną posturę. Kate jednak mogłem ofiarować inne rzeczy, które potrafiła właściwie ocenić: ciekawe rozmowy, braterstwo, krąg wspaniałych przyjaciół.

Po dziś dzień się zastanawiam, co by się mogło zdarzyć, gdybym ujawnił swe uczucia wcześniej, zamiast zwlekać z nimi do chwili, gdy było już za późno. Pewnego wieczoru zaszedłem do Kate niezapowiedziany zastałem ją siedzącą w towarzystwie syna wspólnika jej ojca Piersa Stackville'a. Z początku nie tknęło mnie żadne złe przeczucie, chociaż przystojny jak sam szatan młody Stackville nie mógł się wykazać żadnymi osiągnięciami poza żałośnie wymuszoną szarmanckością. Po chwili jednak spostrzegłem, że Kate rumieni się kokieteryjnie, że chichocze niemądrze, słysząc jego prostackie wypowiedzi. W mgnieniu oka moja Kate przeistoczyła się w głupiutką gęś. Od tamtej pory nie umiała rozmawiać o niczym innym jak tylko o tym, co powiedział lub zrobił Piers, wzdychając przy tym robiąc maślane oczy, których widok ranił mi serce.

W końcu ujawniłem przed nią swe uczucia, a zrobiłem to nader głupio niezdarnie, jękając się niezgrabnie szukając słów. Najgorsze ze wszystkiego było jej całkowite zaskoczenie.

— Matthew, sądziłam, że pragniesz tylko mojej przyjaźni, nigdy nie słyszałam od ciebie ani słowa na temat miłości. Okazuje się, że wiele rzeczy przede mną ukrywałeś.

Spytałem ją, czy jest już za późno

— Gdybyś spytał mnie o to chociaż pół roku temu... kto wie — powiedziała ze smutkiem.

— Wiem, że moja postura nie może wzbudzać namiętności.

— Ależ jesteś dla siebie zbyt surowy! — zaprotestowała z niespodziewanym zapałem. — Masz ładną, męską twarz dworne maniery, przykładasz zbyt dużą wagę do swych pochylonych pleców, zupełnie jakbyś tylko ty jeden ze wszystkich mężczyzn cierpiał na tę przypadłość. Za bardzo się nad sobą użalasz, Matthew, przemawia przez ciebie duma.

— Zatem...Kate potrząsnęła głową, łyż stanęły jej w oczach.

— Już za późno. Kocham Piersa. Ma poprosić tatę o moją rękę.

Powiedziałem dość szorstko, że on nie jest dla niej dość dobry, że zanudzi się przy nim na śmierć, ale ona odrzekła na to, że wkrótce będzie miała dzieci prawdziwy dom, o który będzie musiała dbać, czyż nie jest to właściwa rola dla kobiety wyznaczona jej przez Boga. Zdruzgotany opuściłem jej dom.

Nigdy więcej jej w życiu nie zobaczyłem. Tydzień później na miasto niczym huragan spadła epidemia potów. Setki ludzi kładły się do łóżek, trzęsąc się pocąc, dwa dni później umierały. Choroba uderzała w równym stopniu w ludzi wysoko urodzonych, jak w tych z nizin społecznych zabrała zarówno Kate, jak jej ojca. Pamiętam ich pogrzeb, który urządziłem jako wykonawca testamentu starego Wyndhama: drewniane skrzynie opuszczane powoli do grobu. Kiedym patrzył na Piersa Stackvill'a, stojącego nad trumną z twarzą spustoszoną przez cierpienie, pojąłem, że kochał Kate nie mniej niż ja. Skinął mi głową z milczącym zrozumieniem, a ja odpowiedziałem mu tym samym gestem oraz słabym, smutnym uśmiechem. Dziękowałem Bogu, że udało mi się przynajmniej uwolnić od fałszywej doktryny o czystości, w której Kate musiałaby dalej znosić ból cierpienie. Wiedziałem, że jej czysta dusza musi zostać zbawiona spoczając w pokoju.

Łzy napływają mi do oczu, kiedy piszę te słowa, podobnie jak owej pierwszej nocy w Scarnsea. Pozwoliłem im płynąć po twarzy, powstrzymując się jednak od szlochu, aby Mark się nie zbudził nie zobaczył mej wstydlivej słabości. Płacz

mnie oczyścił dopiero wtedy zapadłem w sen.

W nocy jednak powrócił inny koszmar. Od wielu miesięcy nie męczyły mnie sny o egzekucji królowej Anny, ale widok zamordowanego Singletona odświeżył te okropne wspomnienia.\*

Znów znalazłem się na Tower Green w jasny wiosenny poranek jako jedna z wielu osób zebranych wokół usłanego słomą szafotu. Stałem na samym przedzie tłumu — lord Cromwell nakazał wszystkim swym podwładnym, aby byli świadkami upadku królowej. On sam również stał nieopodal, w pierwszym rzędzie. Niegdyś wyłynął jako stronnik Anny Boleyn, teraz przygotował akt oskarżenia o cudzołóstwo, który doprowadził do jej egzekucji. Stał, marszcząc surowo czoło niczym ucieleśnienie gniewu sprawiedliwych.

Ziemię wokół pnia usłano grubą warstwą słomy, obok, w ponurym, czarnym kapturze, ze splecionymi ramionami stał kat sprowadzony specjalnie z Francji. Rozglądałem się za mieczem, który miał na prośbę królowej zapewnić jej litościwie szybki koniec, nigdzie go jednak nie widziałem. Spuściłem z

szacunkiem głowę, albowiem obecni byli najwyżsi dostojnicy kraju: lord kanclerz Audley, sir Richard Rich, księżę Suffolk.

Staliśmy niczym posągi, nikt w pierwszym rzędzie nie rozmawiał, chociaż z tyłu dochodził gwar głosów. Na Tower Green rośnie jabłoń, która obsypana była naonczas kwieciami, a w jej gałęziach śpiewał kos, nie bacząc na tłum zgromadzonych ludzi. Patrzyłem na ptaka zazdrościłem mu wolności.

Zauważyłem zamieszanie, a po chwili pojawiła się królowa w towarzystwie dam dworu, kapelana w komży oraz strażników w czerwonych płaszczach. Była chuda wymizerowana, kościste ramiona zwisały pod białym płaszczem, włosy miała wysoko upięte. Idąc w stronę pnia katowskiego, oglądała się ciągle za siebie, jakby oczekiwała, że lada chwila zjawi się posłaniec z królewskim ułaskawieniem. Spędziwszy dziewięć lat w samym sercu dworu, powinna była wiedzieć, że nikt nie zatrzyma tego zainscenizowanego spektaklu. Kiedy podeszła bliżej, jej wielkie brązowe oczy, otoczone ciemnymi obwódkami, rozglądały się nerwowo wokół szafotu, sądzę, że podobnie jak ja szukała miecza.

W moim śnie nie ma długich wstępów, nie ma modlitw, nie ma przemowy wygłoszonej przez królową z szafotu, błagającą modlitwę za życie króla. W moim śnie Anna Boleyn zwrócona twarzą do tłumu od razu klęka zaczyna się modlić. Znowu słyszę jej ciche, chrapliwe krzyki:

— Jezu, ocal moją duszę! Panie Boże, zlituj się nad moją duszą!

Potem nagle kat się pochyła podnosi wielki miecz, który leżał ukryty w słomie. Ach, więc tam był, myślę, a chwilę później kulę się, z gardła wydiera mi się krzyk, kiedy oręż śmiga w powietrzu szybciej, niżli oko może nadążyć, a głowa królowej odpada w strumieniach krwi. Znowu ogarniają mnie nudności, zamykam oczy, kiedy przez tłum przebiega głośny pomruk przzerwany odosobnionym „hurra!”. Podnoszę powieki na dźwięk słów: „Tak giną wszyscy wrogowie króla”, ledwo zrozumiałych przez francuski akcent kata. Słoma jego ubranie sąbroczone krwią, która tryska jeszcze z ciała, on zaś podnosi ociekającą głowę.

Papiści opowiadają, że w tamtej chwili w kościele w Dover świece z"apłonęły samoistnie. W całym kraju krążyły inne równie niemądre legendy, mogę jednak poświadczyć, że oczy w odciętej głowie królowej biegały szaleńczo po tłumie, a wargi poruszały się, jak gdyby chciały przemówić. Ktoś w ciżbie za moimi plecami krzyknął przeraźliwie, ja zaś usłyszałem szelest, gdy ludzie w swych najlepszych strojach z bufiastymi rękawami zaczęli się żegnać. Trwało to niespełna pół minuty, nie pół godziny, jak opowiadano później, po czym twarz królowej znieruchomiła. Jednak ja we śnie przeżywałem na nowo każdą sekundę, modląc się, aby te upiorne oczy znieruchomiły. Kat wrzuca głowę królowej do skrzyni, która służy za trumnę,

i ten głuchy odgłos wyrывa mnie ze snu. Obudziłem się usłyszałem pukanie do drzwi.

Leżałem, dysząc ciężko, pot na moim ciele stygł szybko w lodowatym powietrzu. Pukanie się powtórzyło, a po nim rozległ się nagły głos Alice:

— Panie Shardlake! Panie komisarzu!

Był środek nocy, ogień w palenisku ledwo się tlił, w izbie

panowało przejmujące zimno. Mark jęknął poruszył się na swoim posłaniu.

— O co chodzi? — zawołałem.

Serce mi jeszcze waliło po okropnym koszmarze, głos mi drżał.

— Brat Guy prosi, abyście do niego przyszli.

— Zaczekaj!

Wstałem z łóżka zapaliłem świecę od żarzącego się w kominku polana. Mark podniósł rozczochraną głowę zamrugał.

— Co się dzieje?

— Nie wiem. Zostań tu.

Wciągnąłem rajtuzy otworzyłem drzwi. Na korytarzu stała Alice w białym fartuchu na sukience.

— Bardzo przepraszam, panie, ale Simon Whelplay jest ciężko chory chce z wami rozmawiać. Brat Guy powiedział, że powinnam was obudzić.

— Dobrze.

Poszedłem za dziewczyną przeraźliwie zimnym korytarzem. Nieco dalej ujrzałem otwarte drzwi, zza których dochodziły głosy infirmary drugiej osoby, która żałośnie pojękiwała. Zajrzałem do środka. Na łóżku szpitalnym leżał nowicjusz, twarz mu błyszczała od potu, mamrotał coś w gorączce, oddychał ciężko chrapliwie. Brat Guy siedział na brzegu łóżka ocierał mu czoło ściereczką, którą zanurzał w miednicy.

— Co mu dolega?

Nie potrafiłem ukryć w głosie zdenerwowania, albowiem ludzie, którzy zachorowali na poty, tak właśnie skręcali się charczeli jak Simon.

Infirmary popatrzył na mnie z powagą.

— Krew w płucach. Nic dziwnego, skoro stał tyle czasu na zimnie, bez jedzenia. Ma silną gorączkę, ale ciągle powtarza, że chce z wami rozmawiać. Nie uspokoi się, póki was nie zobaczy.

Podszedłem do łóżka, ale nie chciałem się zanadto zbliżyć,

aby nie wdychać wyziewów jego gorączki. Młodzieniec wpił we mnie zaczerwienione oczy.

— Panie komisarzu — wychrypiął. — Przysłano pana tutaj, aby wymierzył pan sprawiedliwość?

— Tak. Przyjechałem zbadać okoliczności śmierci komisarza Singletona.

— On nie był pierwszym zamordowanym — wysapał. — Nie pierwszym. Wiem o tym.

— Co to znaczy? Kto jeszcze zginął?

Jego wychudzonym ciałem wstrząsnęły spazmy okropnego kaszlu, w piersi słychać było bulgoczącą flegmę. Opadł wyczerpany na poduszkę przeniósł wzrok na Alice.

— Biedaczka, taka dobra dziewczyna. Ostrzegałem ją, że to niebezpieczne miejsce...

Rozpłakał się, chrapliwy szloch wywołał kolejny atak kaszlu, jakby chciał rozedrzeć jego ciało na strzępy. Odwróciłem się do Alice.

— O czym on mówi? — spytałem surowo. — Przed czym cię ostrzegał?

Na twarzy Alice odmalowało się zdziwienie.

— Ja też tego nie rozumiem, panie komisarzu. Nigdy przed niczym mnie nie ostrzegał. Przed dzisiejszym dniem prawie z nim nie rozmawiałam.

Popatrzyłem na brata Guya, który wydawał się zaintrygowany w tym samym stopniu jak my. Przyjrzał się chłopcu z troską.

— On jest naprawdę ciężko chory, powinniśmy go zostawić, aby odpoczął.

— Nie. Muszę mu zadać jeszcze kilka pytań. Czy macie pojęcie, co on chciał powiedzieć?

— Nie, panie komisarzu. Wiem tyle samo co Alice.

Podszedłem bliżej do łóżka pochyliłem się nad młodzieńcem.

— Simonie Whelplayu, wyjaśnij mi, proszę to, co powiedziałaś. Alice twierdzi, że przed niczym jej nie ostrzegałeś...

— Alice to dobra dziewczyna — wychrypiął. — Miła łagodna. Trzeba ją ostrzec...Znowu się rozkaślał, a wtedy brat Guy stanowczo wszedł pomiędzy nas.

— Muszę was poprosić, abyście wyszli, panie komisarzu. Sądziłem, że ta rozmowa przyniesie mu ulgę, ale on majaczy w gorączce. Muszę mu dać miksturę na sen.

— Proszę, przez miłość bliźniego. Przecie widzicie, jaki jest chory.

Odsunąłem się od chłopca, który z wyczerpania zapadł w otępienie.

— Czy bardzo z nim źle? — spytałem.

Infirmarz ściągnął usta.

— Albo gorączka wkrótce minie, albo go zabije. Nie powinno się go było tak traktować — dodał gniewnie. — Złożyłem skargę do opata, rankiem przyjdzie go odwiedzić. Przeor Mortimus posunął się tym razem za daleko.

— Muszę się dowiedzieć, co on miał na myśli. Przyjdę jutro, ale chcę, aby mnie natychmiast poinformowano, gdyby jego stan się pogorszył.

— Oczywiście. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę przygotować mu zioła...

Skinąłem głową wyszedłem. Uśmiechnąłem się do Alice, aby ją podnieść na duchu.

— Dziwna historia — rzekłem. — Naprawdę nie wiesz, o czym on mówił? Najpierw twierdził, że cię ostrzegał, a potem, że dopiero musi to zrobić.

— W ogóle z nim nie rozmawiałam. Kiedyśmy go tu przynieśli, spał, a potem dostał gorączki chciał się widzieć jeno z panem komisarzem.

— Co mogło znaczyć, że Singleton nie był pierwszy?

:— Jak mi Bóg miły, nie wiem, panie.

W głosie dziewczyny brzmiał niepokój. Odwróciłem się do niej przemówiłem łagodnie:

— Alice, czy masz wrażenie, że coś ci grozi?

— Nie, panie komisarzu. — Zarumieniła się, a mnie zaskoczyły gniew pogarda, które nagle odbiły się na jej obliczu. — Spotygam się od czasu do czasu z pewnymi propozycjami ze strony niektórych mnichów, ale radzę sobie z nimi z pomocą brata Guya własnej roztropności. To jeno znikome uciążliwości, nie żadna groźba.

Skinąłem głową. Po raz kolejny uderzyła mnie siła charakteru tej młodej niewiasty.

— Czujesz się tu nieszczęśliwa? — spytałem po cichu.

Wzruszyła ramionami.

— Mam tu swoje obowiązki. A także dobrego opiekuna.

— Alice, jeśli mogę ci w czymś pomóc lub jeśli chciałabyś mi o czymś powiedzieć, proszę, przyjdź do mnie. Nie chcę myśleć, że coś ci może grozić.

— Dziękuję, panie, jestem wam bardzo wdzięczna.

Powiedziała to z pewną rezerwą, nie miała powodu ufać

mi bardziej niż zakonnikom. Może jednak przed Markiem się otworzy. Odwróciła się z powrotem do chłopca, który zaczął się rzucać w gorączce ściągać z siebie okrycie.

— Dobrej nocy, Alice.

Dziewczyna próbowała uspokoić gorączkującego nowicjusza nie podniosła nawet głowy, odpowiadając.

— Dobrej nocy, panie komisarzu.

Wracając do izby zimnym korytarzem, zatrzymałem się przy oknie zobaczyłem, że w końcu przestało padać. Głęboka, nieskazitelna warstwa śniegu błyszczała w świetle księżyca w pełni. Patrząc w dal na białe pustkowia zakłócone czarnymi sylwetkami starych budowli, czułem się jak złapany w pułapkę, jakbym stał samotnie w pustych pieczarach na dalekim księżycu.

Rozdział dziesiąty

Kiedym się zbudził, w pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie jestem. Leżałem w obcym pokoju wypełnionym niezwykle jasnym, jakby wyługowanym światłem. Bardzo powoli jąłem sobie wszystko przypominać ostrożnie usiadłem. Mark, który zasnął na powrót, zanim wróciłem do izby po nocnej rozmowie z nowicjuszem, teraz był już na nogach, rozpałił ogień golił się, stojąc w samych rajtuzach przy dzbanie z parującą wodą. Za oknem jasne światło odbijało się od śniegu tu ówdzie poznanego śladami ptasich łap.

— Dzień dobry, wasza miłość — rzekł mój towarzysz, marszcząc się na swe odbicie w starym mosiężnym lustrze.

— Która to godzina?

— Minęła dziewiąta. Infirmarz powiedział, że śniadanie czeka na nas w jego kuchni. Domyślił się, że będziemy zmęczeni, pozwolił nam spać.

Odrzuciłem z siebie okrycie.

— Nie mamy czasu do trwonienia na spanie! Kończ migiem to golenie wkładaj koszulę.

Jąłem się ubierać.

— Wasza miłość się nie ogoli?

— Będą musieli mnie ścierpieć nieogolonego. — Przytłoczył mnie ogrom pracy, która na mnie czekała. — Pospiesz się, chcę się wreszcie porządnie przyjrzeć temu przybytkowi przesłuchać zakonników. Ty zaś musisz znaleźć okazję, aby pociągnąć za język pannę Alice. Potem rozejrzyj się po klasztorze, poszukaj miejsc, gdzie można by ukryć miecz. Musimy się z tym uporać jak najszybciej, mamy teraz nowe zmartwienie.

Sznurując rajtuzy, opowiedziałem mu o swej nocnej wizycie u Whelplaya.

— To znaczy, że ktoś inny został jeszcze zamordowany? Jezu. Ten węzeł supła się z godziny na godzinę coraz bardziej.

— Tak, wiem. A my mamy bardzo mało czasu, żeby go rozsuptać. Chodź.

Ruszyliśmy korytarzem w stronę infirmerii. Brat Guy siedział przy biurku mrużąc oczy, studiował swą arabską księgę.

— O, widzę, żeście już wstali — rzekł ze swym łagodnym akcentem.

Niechętnie zamknął wolumin zaprowadził nas do małej izdebki, gdzie na hakach wisiało jeszcze więcej ziół. Zaprosił nas do stołu położył przed nami chleb, ser oraz postawił dzban słabego piwa.

— Jak się miewa wasz pacjent? — spytałem, jedząc.

— Chwała Bogu, rano mu się poprawiło. Gorączka spadła teraz śpi głęboko. Później przyjdzie go odwiedzić opat.

— Niech mi brat opowie historię nowicjusza Whelplaya.

— Jest synem drobnego chłopca spod Tonbridge. — Brat Guy uśmiechnął się smutno. — Należy do tych, których natura uczyniła zbyt łagodnymi na ten świat, zbyt wrażliwymi. To miejsce przyciąga takie dusze, myślę, że trafiają tu z woli Boga.

— Bezpieczne schronienie przed światem?

— Tacy ludzie jak brat Simon służą Bogu światu swymi modlitwami. Czyż to nie lepsze dla nich niż życie pośród ciągłych szyderstw poniewierania, jakie nierzadko spotyka ich za murami? Tymczasem w obecnych okolicznościach trudno powiedzieć, że znalazł schronienie.

Popatrzyłem nań poważnie.

— Zaiste, znalazł tu szyderstwa poniewierania. Po śniadaniu chciałbym, abyście mnie zaprowadzili do kuchni, gdzie znaleźliście zwłoki komisarza. Obawiam się, że za dużo czasu straciliśmy.

— Naturalnie. Ale nie powinienem zbyt długo zostawiać pacjentów bez opieki.

— Wystarczy pół godziny. — Dopitem ostatni łyk piwa wstałem, owijając się płaszczem. — Pan Poer zostanie w infirmerii, kazałem mu wypocząć przez ranek. Prowadź, bracie.

Przeszliśmy przez salę chorych, gdzie Alice doglądała starego mnicha. Chyba nigdy w życiu nie widział tak starego człowieka, leżał na łóżku oddychał z wielkim wysiłkiem. Trudno było sobie wyobrazić większy kontrast niż ten, który zachodził między nim jego pulchnym sąsiadem siedzącym na łóżku grającym w karty. Niewidomy pacjent siedział na krześle spał.

Infirmary otworzył drzwi wejściowe, ale cofnął się, kiedy spiętrzony śnieg wpadł do środka przez próg.

— Powinniśmy nałożyć kalosze — oznajmił — inaczej może się to skończyć zanokcicą.

Przeprosił mnie odszedł. Wyjrzałem na dwór. Z mych ust unosiły się kłęby pary. Niebo było błękitne, powietrze mroźne nieruchome, na ziemi leżał lekki, puszysty śnieg typowy dla takiej surowej pogody, zarazem ogromnie trudny do pokonywania pieszko. Wziąłem ze sobą laskę, ponieważ nie trzymając się pewnie na nogach z powodu kalectwa, łatwo mogłem się przewrócić. Po chwili wrócił brat Guy z grubymi skórzanymi kaloszami.

— Zalecam, aby wydawano je braciom, którzy pracują na dworze.

Zasznurowaliśmy kalosze wyszliśmy na śnieg sięgający nam niemal do kolan. Twarz infirmary zdawała się jeszcze ciemniejsza na tle wszechobecnej bieli. Drzwi do kuchni były niedaleko, zauważyłem, że główny budynek przylega do infirmerii. Zapytałem, czy istnieje między nimi jakieś bezpośrednie przejście. — Kiedyś było — odparł brat Guy. — Zamknięto je w czasach czarnej śmierci, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy. Nigdy później ich już nie otwarto. Uważam, że to była rozsądna decyzja.

— Wczoraj wieczorem, kiedym zobaczył tego gorączkującego chłopca, przestraszyłem się, że cierpi na śmiertelne poty. Widziałem tę chorobę, jest straszna. Wywołują ją niezdrowe wyziewy miasta.



- Dzięki boskiej łasce nie doświadczyłem w życiu srogiej zarazy. Najczęściej zmagam się ze skutkami długiego stania podczas modlitw w zimnym kościele. I ze starością naturalnie.
- Macie chyba jeszcze jednego pacjenta, który jest w ciężkim stanie. Mówię o tym starcu.
- Brat Francis ma dziewięćdziesiąt cztery lata. Jest taki stary, że zamienił się jakby na powrót w dziecko. Teraz dostał drżączki, myślę, że zbliża się koniec jego długiej pielgrzymki.
- A Co dolega grubemu mnichowi?
- Żyłaki z owrzodzeniem, jak u brata Septimusa, tylko gorsze. Osuszyłem je teraz odpoczywa. — Uśmiechnął się łagodnie. — Zapewne czeka mnie niełatwe zadanie, żeby go postawić z powrotem na nogi. Pacjenci niechętnie opuszczają infirmerię. Brat Andrew zapuścił tu korzenie na stałe. Ślepotą dopadła go w podeszłym wieku, boi się teraz wychodzić, opuściła go pewność siebie.
- Ilu macie panie starych mnichów pod opieką?
- Dwunastu. Zakonnicy często bywają długowieczni. Czterech moich podopiecznych przekroczyło osiemdziesiątkę.
- Nie dotykają ich ciężary trudy życia, z jakimi boryka się większość ludzi.
- A może pobożność modlitwy wzmacniają ciało tak jak duszę. Jesteśmy na miejscu.

Przeprowadził mnie przez mocne dębowe drzwi. Zgodnie z tym, co mówił wczoraj, krótki korytarz wiódł do kuchni. Drzwi były otwarte, usłyszałem głosy brzęk naczyń. Kiedyśmy się zbliżali, doszedł nas bogaty zapach pieczonego chleba.

W środku sześciu służących przygotowywało posiłek. Kuchnia była duża, czysta praktycznie urządzona.

- Gdzie leżały zwłoki, kiedyście weszli tamtej nocy do kuchni?

Brat Guy podszedł kilka kroków, służący obserwowali go z zaciekawieniem.

- Przy tym dużym stole. Ciało leżało na brzuchu zwrócone nogami w stronę drzwi. Głowa odtoczyła się aż tutaj.

To rzekłszy, wskazał żelazną kadź z napisem „masło”. Podążyłem wzrokiem za jego ręką, to samo uczynili służący. Jeden się przeżegnał.

- To znaczy, że ledwo przeszedł przez drzwi, kiedy został zaatakowany — myślałem na głos.

Obok miejsca, gdzie upadł, stał kredens, morderca mógł się za nim ukryć, a kiedy Singleton go minął, wyskoczył powalił komisarza na ziemię. Zrobiłem kilka kroków machnąłem w powietrzu laską, aż służący odskoczył przestraszony w tył.

- Jest tu wystarczająco dużo miejsca, żeby zabójca mógł wziąć porządny zamach. Myślę, że tak to właśnie przebiegło.

- Z ostrą bronią silną ręką, owszem, to możliwe — zgodził się po namyśle infirmarz.

-- Musiałby to być człek wprawiony we władaniu bronią, nawykły do robienia ciężkim mieczem. —  
Rozejrzałem się po służących. — Kto tu jest kuchmistrem?

Naprzód wystąpił brodaty człek w poplamionym fartuchu ukłonił się.

- Ralph Spenlay, jaśnie wielmożny panie.
- Jesteście głównym kucharzem macie klucz do kuchni?
- Tak, panie.
- I drzwi na dziedziniec są jedyną drogą, którą można się tu dostać?
- Tak, panie.
- Czy drzwi kuchni również zamyka się na klucz?
- Nie ma potrzeby, panie. Wejść można tylko z dziedzińca.
- Kto jeszcze ma klucze do tych drzwi?

W środku sześciu służących przygotowywało posiłek. Kuchnia była duża, czysta praktycznie urządzona.

- Gdzie leżały zwłoki, kiedyście weszli tamtej nocy do kuchni?

Brat Guy podszedł kilka kroków, służący obserwowali go z zaciekawieniem.

- Przy tym dużym stole. Ciało leżało na brzuchu zwrócone nogami w stronę drzwi. Głowa odtoczyła się aż tutaj.

To rzekłszy, wskazał żelazną kadź z napisem „masło”. Podążyłem wzrokiem za jego ręką, to samo uczynili służący. Jeden się przeżegnał.

- To znaczy, że ledwo przeszedł przez drzwi, kiedy został zaatakowany — myślałem na głos.

Obok miejsca, gdzie upadł, stał kredens, morderca mógł się za nim ukryć, a kiedy Singleton go minął, wyskoczył powalił komisarza na ziemię. Zrobiłem kilka kroków machnąłem w powietrzu laską, aż służący odskoczył przestraszony w tył.

- Jest tu wystarczająco dużo miejsca, żeby zabójca mógł wziąć porządny zamach. Myślę, że tak to właśnie przebiegło.

- Z ostrą bronią silną ręką, owszem, to możliwe — zgodził się po namyśle infirmarz.

- Musiałby to być człek wprawiony we władaniu bronią, nawykły do robienia ciężkim mieczem.
- Rozejrzałem się po służących. — Kto tu jest kuchmistrem?

Naprzód wystąpił brodaty człek w poplamionym fartuchu ukłonił się.

- Ralph Spenlay, jaśnie wielmożny panie.
- Jesteście głównym kucharzem macie klucz do kuchni?

- Tak, panie.
- I drzwi na dziedziniec są jedyną drogą, którą można się tu dostać?
- Tak, panie.
- Czy drzwi kuchni również zamyka się na klucz?
- Nie ma potrzeby, panie. Wejść można tylko z dziedzińca.
- Kto jeszcze ma klucze do tych drzwi?\*
- Infirmarz, opat przeor. I furtian, pan Bugge, oczywiście, ponieważ patroluje w nocy teren. Nikt więcej. Mieszkam w klasztorze, rano otwieram drzwi, a wieczorem zamykam. Jeśli ktoś chce dostać klucz, przychodzi do mnie. Ludzie rozkradliby wiktuały, nieważne, że to na stół braci zakonnych. Czasami rano widywałem na ten przykład brata Gabriela, jak się kręcił po korytarzu, jakby czekał, żeby coś zwędzić, kiedy się ino odwrócimy. A przecie to dostojnik...
- A co się dzieje, kiedy jesteście chorzy albo wyjeżdżacie z klasztoru, a ktoś chce wejść do kuchni?
- Musi poprosić pana Bugge'a albo przeora. — Uśmiechnął się. Ale nikt nie lubi chodzić ani do jednego, ani do drugiego, jeśli nie musi.
- Dziękuję, panie Spenlay, bardzo mi pan pomógł.

Wyciągnąłem rękę nabrałem trochę słodkiego sosu z misy.

Kucharz spojrział na mnie stropiony.

- Bardzo dobrze. Nie będę już was dłużej trudził, bracie infirmarzu — oznajmiłem. — Spotkam się teraz z szafarzem. Zechcicie mi wskazać jego biuro.

Ruszyłem we wskazanym kierunku, brodząc w śniegu, który trzeszczał mi pod butami. Na całym terenie klasztoru było dzisiaj spokojniej ciszej, psy pozamykano, ludzie chronili się pod dachem. Im dłużej nad tym rozmyślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że jeno prawdziwy fechmistrz mógłby mieć tyle śmiałości, aby podejść do Singletona od tyłu odciąć mu głowę. Nie mogłem sobie przedstawić w tej roli żadnej z osób, które tu spotkałem. Opat, owszem, był postawnym mężczyzną, także brat Gabriel, wszelako fechtunek jest sztuką dla szlachciców, nie zakonników. Kiedym myślał o bracie Gabrielu, przypomniało mi się, co powiedział kucharz. Dziwiłem się, albowiem zakrystian nie sprawiał na mnie wrażenia człowieka, który kręciłby się wokół kuchni, aby kraść jedzenie.

Rozejrzałem się po ośnieżonym dziedzińcu. Droga do Londynu była na pewno nieprzejezdna. Nie należała do przyjemnych myśli, że teraz utknęliśmy tu jak w pułapce razem z mordercą. Zauważyłem, że choć czynię to nieświadomie, idąc, trzymam się środka dziedzińca, aby uniknąć z daleka ciemnych załomów. Dreszcz mnie przeszedł. Niesamowite uczucie wywoływała ta samotna wędrówka w białej ciszy, wzdłuż wysokich murów, z ulgą więc ujrzałem furtiana, który z pomocą innego jeszcze służącego przekopywał ścieżkę przed bramą.

Kiedym podszedł bliżej, Bugge podniósł twarz zaczerwienioną od wysiłku. Jego towarzysz, przysadzisty młodzieniec z obliczem oszpeconym brodawkami, uśmiechnął się nerwowo ukłonił. Obaj pracowali w pocie czoła od dłuższego czasu, cuchnęli więc okropnie z daleka.

— Dzień dobry, panu komisarzowi.

Powiedział to przymilnym tonem, widać nakazano mu surowo, aby odnosił się do mnie z szacunkiem.

— Okrutnie zimno.

— Prawda, panie. Znowu wczesna zima tego roku.

— Skoro się spotkaliśmy, chciałbym was zapytać o nocne obchody.

Bugge pokiwał głową, opierając się na szufli.

— Każdej nocy David albo ja obchodzimy cały teren dwa razy — o dziewiątej wpół do czwartej. Sprawdzamy wszystkie drzwi.

— A bramy? Zamykacie je w nocy na klucz?

— Codziennie o dziewiątej. I otwieramy o dziewiątej rano, po prymie. Nawet pies się nie prześliznie do środka, kiedy bramy są zamknięte.

— Ani kot — dodał chłopak.

Patrzył na mnie bystro, może był szpetny, ale niegłupi.

— Koty potrafią się wspinać, ludzie także.

Oczy furtiana błysnęły buńczucznie.

— Nie po murach wysokich na dwanaście stóp. — I wszędzie wokół klasztoru mury są zdrowe?

— Jeno z tyłu trochę pokruszone, ale tam wychodzi się prościutko na bagno. Nikt by się tam nie zapuścił, a już na pewno nie w nocy. Niejeden już tam zrobił fałszywy krok zapadł się razem z głową.

— Podniósł dłoń uczynił nią gest, jakby pchał w dół. — Bul, bul, bul po sprawie.

— Skoro nikt nie może się dostać do środka, to po co obchodzicie teren?

Pochylił się do mnie blisko. Cofnąłem się, odrzucony okropnym odorem, ale on tego nie zauważył.

— Ludzie są grzeszni, panie komisarzu, nawet tutaj — uderzył w poufny ton. — Za poprzedniego przeora to panowały tu takie obyczaje, że ho, ho! Jak nastał przeor Mortimus, od razu kazał patrolować teren meldować o każdym, kto w nocy włóczy się poza celą. No to robię tak, jak kazał, bez żadnych przywilejów.

Uśmiechnął się wielce z siebie zadowolony.

— Czy tej nocy, kiedy zamordowano komisarza Singletona, widzieliście coś, co by świadczyło, że ktoś obcy wdarł się na teren klasztoru?

Bugge pokręcił głową.

— Nic, wasza miłość. Mógłbym przysiąc, że między wpół do czwartej a wpół do piątej wszystko było jak trzeba, sam robiłem wtenczas obchód. Sprawdziłem drzwi prowadzące z dziedzińca do kuchni były zamknięte. Ale widziałem komisarza.

To mówiąc, kiwnął głową z dumną powagą.

— Tak, słyszałem o tym. Gdzie to było?

— Przechodziłem przez wewnętrzny dziedziniec między krużgankami, niedaleko kuchni, kiedy zauważyłem, że coś się rusza, zawołałem. To był właśnie pan komisarz, zupełnie ubrany.

— Co tam robił o tej porze?

— Powiedział, że idzie się z kimś spotkać. — Uśmiechnął się rad, że ma tak pilnego słuchacza. — Powiedział też, że

gdybym zobaczył jakiegoś z braci, który by twierdził, że idzie na spotkanie z komisarzem, to mam go puścić.

— Która wtedy była godzina?

— Pewnie kwadrans po czwartej. Kończyłem właśnie obchód.

Wskazałem głową wielki gmach za naszymi plecami.

— Czy kościół również zamykacie na noc?

— O nie, wasza miłość, nigdy. Ale obszedłem go jak zwykle przed wejściem na dziedziniec wszystko było w najlepszym porządku. Potem, o wpół do piątej, wróciłem do domu. Przeor dał mi mały zegarek — dodał z dumą. — Zawsze sprawdzam, która jest godzina. Zostawiłem Davida na straży poszedłem się przespać. Obudził mnie raban krzyki

o piątej.

— A więc komisarz Singleton miał się spotkać z jednym z zakonników. Wszystko zdaje się zatem wskazywać na to, że zbrodni dopuścił się któryś z mnichów.

Bugge milczał z wahaniem.

— Powiedziałem jeno, że nikt się nie mógł włamać do środka, to wszystko, co wiem.

— Zgadza się, że to mało prawdopodobne. — Kiwnąłem głową. — Dziękuję, Bugge, bardzo mi pomogłeś.

Wsparłem się na lasce, odwróciłem odszedłem, zostawiając obu mężczyzn przy pracy.

Wróciłem po własnych śladach do miejsca, gdzie zielone drzwi wskazywały wejście do izby rachunkowej. Wszedłem bez pukania znalazłem się w pokoju, który przypominał mi mój świat: bielone ściany z półkami, na których stały księgi rachunkowe, każda pusta powierzchnia pokryta rejestrami

i rachunkami. Przy biurkach siedzieli dwaj mnisi: jeden, star-szawy z kaprawymi oczami, liczył monety, drugi, młody, brodaty — ten sam, który poprzedniego wieczoru przegrał w karty — marszczył brwi nad księgą z rachunkami. Za nimi

stała skrzynia z największym zamkiem, jaki w życiu widziałem. Bez wątpienia musiały tam spoczywać pieniądze klasztoru.

Kiedym wszedł, obaj mnisi poderwali się na równe nogi.

— Dzień dobry — rzekłem. Z mych ust unosił się mglisty obłok, albowiem pokój był nieogrzewany. — Szukam brata szafarza.

Młodszy zakonnik zerknął w stronę wewnętrznych drzwi.

— Brat Edwig rozmawia z opatem...

— Tam?

Podszedłem do drzwi, nie bacząc na dłoń uniesioną na znak protestu. Otworzyłem je ujrzałem przed sobą schody prowadzące na półpiętro z oknem, z którego rozpościerał się widok na ośnieżony krajobraz. Naprzeciwko słychać było głosy dochodzące zza następnych zamkniętych drzwi. Zatrzymałem się przed wejściem nasłuchiwałem chwilę, ale nie mogłem zrozumieć ani słowa, nacisnąłem więc klamkę wszedłem.

Opat mówił właśnie do brata Edwiga bardzo poirytowanym tonem. "

— Powinniśmy zażądać więcej. Nie wypada, abyśmy godzili się na mniej niż trzysta, nasza pozycja...

— P-potrzeba nam tych pieniędzy w szkatule niezwłocznie, wasza dostojność. Jeśli godzi się zapłacić za tę ziemię w go-towiźnie, p-powinniśmy ją przyjąć!

Pomimo jąkania w głosie szafarza słychać było żelazną niezłomność. Opat obejrzał się zakłopotany.

— O, pan komisarz...

— To prywatna rozmowa, panie komisarzu — oznajmił szafarz, któremu twarz nagle zapalała gniewem.

— Obawiam się, że w tym klasztorze nie ma dla mnie prywatnych spraw. Gdybym pukał czekał na zaproszenie przed każdymi drzwiami, kto wie, co bym mógł przeoczyć.

Brat Edwig opamiętał się w mgnieniu oka przeistoczył na powrót w potulnego urzędnika wymachującego z roztargnieniem rękami.

— N-n-naturalnie, proszę o wybaczenie. R-rozmawialiśmy

o finansach klasztoru, o ziemi, którą musimy sprzedać, aby pokryć k-koszty remontów -mat...

Znowu się zarumienił, nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej.

— Materii, która nie ma związku z pańskim śledztwem — dokończył z uśmiechem opat.

— Bracie szafarzu, chciałbym przedyskutować z bratem pewną sprawę.

Zająłem miejsce przy dębowym biurku z licznymi szufladami — jedynym meblu, jaki znajdował się w tej niewielkiej izbie, jeśli nie liczyć kolejnych półek na książki rachunkowe.

— Jestem do pańskiej dyspozycji.

— Doktor Goodhops powiedział mi, że w dniu, kiedy popełniono morderstwo, komisarz Singleton studiował księgę z rachunkami z pańskiego biura. Oraz że później ta księga znikła.

— Nie znikła, tylko przyniesiono ją z powrotem do mojego biura.

— Może zechce mi brat wyjaśnić, co to była za księga.

Zastanawiał się przez chwilę.

— Nie pamiętam, zdaje mi się, że rachunki z infirmerii. Prowadzimy oddzielne księgi dla każdego działu: zakrystii, infirmerii tak dalej, a także główną księgowość całego klasztoru.

— Domyślam się, że skoro komisarz Singleton brał księgi z pańskiego biura, musiał to brat sobie notować.

— Z p-p-pewnością bym to uczynił — zmarszczył z rozdrażnieniem brwi — gdyby komisarz Singleton nie brał stąd rzeczy bez mojej wiedzy, nie informując o tym ani mnie, ani mojego asystenta. Cały dzień potem szukaliśmy ksiąg, które zabrał.

— To znaczy, że nie ma wykazu pozycji, które komisarz brał do przeglądania?

Szafarz bezradnie rozłożył ręce.

— -jak mogłem robić taki wykaz, skoro pan komisarz sam się obsługiwał? Przykro mi...Kiwnąłem głową.

— Czy teraz w księgowości wszystko jest na swoim miejscu?

— Chwała Bogu, tak.

Podniosłem się.

— To dobrze. Proszę przynieść mi do pokoju w infirmerii wszystkie księgi rachunkowe z ostatnich dwunastu lat. Aha, te z poszczególnych działów także.

— Wszystkie księgi? — Szafarz nie mógłby się bardziej zdumieć, gdybym mu kazał zdjąć habit paradować nago po śniegu. — Ależ to nam bardzo zakłóci wszystkie prace rachunkowe w klasztorze...

— Poradzimy sobie z przejrzaniem ich w jedną noc, najwyżej dwie.

Szafarz najwyraźniej zamierzał się dalej spierać, ale wtrącił się opat Fabian.

— Bracie Edwigu, powinniśmy okazać pomoc panu komisarzowi. Dostarczymy księgi jak najszybciej, mości Shardlake.

— Będę zobowiązany. A teraz inna sprawa — zwróciłem się bezpośrednio do opata. — Zeszłej nocy odwiedziłem w infirmerii owego nieszczęsnego chłopca, nowicjusza Whelplaya.

Fabian z powagą skinął głową.

— Tak, obaj z bratem Edwigiem zamierzamy udać się do niego jeszcze przed południem.

— Mam do przeliczenia wydatki na jałmużnę z ostatniego miesiąca — mruknął szafarz.

— Mimo to jako najstarszy urzędnik po bracie Mortimucie musisz mi towarzyszyć — westchnął opat. — Ponieważ brat Guy złożył skargę...

— I to skargę wielkiej wagi — dodałem. — Ten młodzieniec omal nie wyzionął ducha...

Opat Fabian uniósł dłoń.

— Pan komisarz może być spokojny, zbadam tę sprawę bardzo starannie.

— Czy mogę spytać, co takiego właściwie uczynił ten chłopiec, że zasłużył sobie na tak dotkliwą karę?

Ramiona opata stężały.

— Szczerze mówiąc...

— Tak, proszę o szczerłość.

— Chłopcu nie podobają się nowe porządki, zwłaszcza kazania w języku angielskim. Jest bardzo przywiązany do łacińskich nabożeństw pieśni. Boi się, że niebawem cała liturgia, łącznie z pieśniami, będzie po angielsku.

— To dość niezwykle troski u kogoś tak młodego.

— Ów młodzieniec jest bardzo umuzykalniony, pomaga bratu Gabrielowi w pracy przy mszałach, jednakże często wyraża poglądy, na które nie pozwala jego pozycja. Otwarcie zabierał głos w kapitule, chociaż jako nowicjusz nie powinien...

— Mam nadzieję, że nie były to wypowiedzi tchnące zdradą stanu, jak brata Jerome'a?

— Panie komisarzu, żaden z moich braci nie odważyłby się wypowiedzieć słów, które choćby otarły się o zdradę stanu — zapewnił energicznie opat. — Brat Jerome nie należy do naszej wspólnoty.

— Niech będzie. Zatem Simona Whelplaya odesłano do pracy w stajniach o chlebie wodzie. To surowa kara.

Opat zarumienił się po same uszy.

— To nie była jego jedyna przewina.

Myślałem przez chwilę.



— Powiadacie, że Simon pomaga bratu Gabrielowi. Z tego, co mi wiadomo, zakrystian ma dość niechlubną przeszłość.

Opat zaczął nerwowo miętosić rękaw habitu.

— Simon Whelplay wyznał na spowiedzi pewne swe cielesne żądze wobec brata Gabriela. Jednakże były to tylko grzeszne myśli, panie komisarzu, brat Gabriel nie miał nawet o nich pojęcia. Jest całkowicie czysty od czasu... tamtych kłopotów sprzed dwóch lat. Przeor Mortimus ma baczenie na te sprawy.

— Nie macie w klasztorze mistrza nowicjuszy, prawda? Zbyt mało ludzi przyjmuje dziś śluby.

— Od czasu wielkiej zarazy z pokolenia na pokolenie coraz bardziej maleje liczba wyświęcanych zakonników we wszyst-

kich konwentach — rzekł bardzo rzeczowym tonem opat. — Wszelako teraz, gdy życie religijne doświadczy odnowy pod przewodnictwem jego wysokości, być może klasztory odżyją, więcej ludzi wybierze życie...

Zastanawiałem się, czy opat naprawdę daje wiarę temu, co mówi, wbrew wszystkiemu, co przemawiało przeciwko tej nadziei. Słyszając pewien błagalny ton w jego głosie, doszedłem do wniosku, że to możliwe, on naprawdę wierzył, że klasztory mogą przetrwać. Zerknąłem na szafarza, który wziął jakiś dokument ze swojego biurka studiował go uważnie, nie biorąc udziału w rozmowie.

— Kto wie, co przyniesie nam przyszłość. — Odwróciłem się ku drzwiom. — Jestem panom wielce zobowiązany. Teraz muszę na nowo stawić czoło żywiołom, aby obejrzeć kościół porozmawiać z bratem Gabrielem.

To rzekłszy, zostawiłem opata patrzącego za mną z niepokojem szafarza pogrążonego w swej podwójnej księgowości.

Przechodząc przez dziedziniec, poczułem krępujący ucisk, który powiedział mi, że muszę się udać do wygódki. Poprzedniego wieczoru brat Gabriel pokazał mi latrynę, można było do niej dojść wygodnie przez infirmerię, a następnie mały placyk.

Wróciłem więc do sali infirmeryjnej, a niebawem znalazłem się na małym, zamkniętym z trzech stron terenie na tyłach budynków klasztornych. W oddali zauważyłem niewielki strumień, którego nurt skierowano tak, by płynął przez łąźnię przylegającą do infirmerii, a następnie przez latrynę, w ten sposób nawadniał oczyszczał obydwie pomieszczenia. Podziwiałem geniusz budowniczych tego opactwa, niewiele bowiem budowli, nawet w samym Londynie, miało takie udogodnienia, a ja sam nieraz już myślałem, co się stanie, kiedy dół kloaczny w moim ogrodzie, głęboki na dwadzieścia stóp, w końcu się wypełni.

Po placyku, który częściowo zamieciono ze śniegu, biegały kurczęta. Z prymitywnego chlewiku wyglądało kilka świń. Właśnie Alice karmiła zwierzęta, wlewając do koryta pomyje, które przyniosła w wiadrze. Podszedłem do dziewczyny, potrzeby mego ciała mogły jeszcze chwilę poczekać.

— Widzę, Alice, że masz tu rozliczne obowiązki: chorzy, starcy świniaki.

Dziewczyna uśmiechnęła się grzecznie.

— Owszem, panie, praca służki nigdy nie ma końca.

Zajrzałem do chlewu, zastanawiając się, czy dałoby się coś

ukryć pod słomą błotem, zaraz jednak doszedłem do wniosku, że te brązowe, włochate stwory szybko by to wykopały. Zakrwawione szaty pewnie zostałyby pożarte, ale nie miecz ani relikwiarz. Rozejrzałem się po podwórzu.

— Widzę tylko kury, nie trzymacie w ogóle kogutów?

Alice pokręciła głową.

— Nie, panie, biednego Jonasa zabito na ołtarzu. A piękny to był ptak. Zawsze mi się chciało śmiać, kiedy patrzyła, jak się puszy przechadza dumnym krokiem.

— W istocie, to komiczne zwierzęta. Nadymają się paradują niczym królowie wśród poddanych.

Uśmiechnęła się.

— Taki właśnie był. Kiedy się zbliżałam, patrzył na mnie wyzywająco tymi swoimi chytrymi ślepiami. Trzepotał gniewnie skrzydłami skrzeczał, ale wszystko jeno na pokaz, wystarczyło podejść o jeden krok za daleko, a odwracał się brał nogi za pas.

Ku memu zdumieniu jej błękitne oczy zaszyły łzami, zwiesiła głowę. Widać miała serce miękkie męzne zarazem.

— Zbezczeszczenie ołtarza było zaiste niegodziwym czynem — orzekłem.

— Biedny Jonas.

Potrząsnęła głową wzięła głęboki oddech.

— Powiedz mi, Alice, kiedy zauważyłaś, że Jonas zniknął?

— Tamtego ranka, gdy odkryto zbrodnię.

Ponownie rozejrzałem się po podwórzu.

— Nie ma tu innego wejścia jak tylko z infirmerii albo z latryny, prawda?

— Tak, panie.

Kiwnąłem głową. Kolejny dowód na to, że zabójca nie przyszedł z zewnątrz że dobrze znał rozkład klasztoru. Poczułem ścisnienie w trzewiach, które upomniało mnie, abym dłużej się nie ociągał. Przeprosiłem Alice niechętnie pospieszyłem do latryny.

Nigdy przedtem nie byłem w klasztornej latrynie. W szkole w Lichfield wiele żartowano na temat tego, co wyczyniają tam mnisi, jednakże latryna w Scarnsea wyglądała zwyczajnie. Pomieszczenie o kamiennych, pozbawionych dekoracji ścianach tonęło w półmroku, albowiem okna umieszczono bardzo wysoko. Wzdłuż jednej ściany ciągnęła się długa deska z rzędem okrągłych otworów, z kolei po przeciwnej stronie stały trzy zamykane kabiny dla wyższych urzędników. Ruszyłem w ich stronę. Minąłem kilku zakonników siedzących na wspólnej desce, między innymi młodego mnicha z biura

szafarza. Jego sąsiad podniósł się z ławy skłonił trochę niezręcznie, poprawiając habit, a następnie zwrócił się do swego towarzysza.

— Zamierzasz tu spędzić cały ranek, Athelstanie?

— Daj mi siedzieć, ile chcę, dobrze? Dostałem kolki.

Wszedłem do kabiny, zarygnowałem drzwi z ulgą zająłem

miejsce. Skończywszy, siedziałem jeszcze jakiś czas nasłuchiwałem wody pluskającej w strumieniu pode mną. Znowu pomyślałem o Alice. Jeśli zamkną klasztor, dziewczyna nie będzie miała co ze sobą począć. Zastanawiałem się, co mógłbym dla niej uczynić, może znalazłbym jej jakieś zajęcie w Londynie. Napawało mnie smutkiem, że taka młoda niewiasta musi żyć zamknięta w tym miejscu. Pewnie jej rodzina jest bardzo biedna. Poczułem chęć, aby ująć ją pod ramię natchnąć słowami pociechy. Pokręciłem głową nad swą słabością — to po tym wszystkim, co nagadałem Markowi!

Coś mnie wyrwało z zadumy. Podniosłem głowę wstrzymałem oddech: ktoś się skradał pod drzwiami mojej kabiny, słyszałem delikatne kroki, odgłos stąpania skórzanych podeszew po kamiennej podłodze. Serce załomotało mi w piersi, rad byłem, że jakiś instynkt kazał mi trzymać się z dala od wejścia. Zawiązałem rajtuzy podniosłem się bezszelestnie, sięgając jednocześnie po sztylet. Pochyliwszy się, przyłożyłem ucho do drzwi. Słyszałem czyjś oddech po drugiej stronie, nieznajomy stał dokładnie pod drzwiami mojej kabiny.

Przygryzłem wargę. Tamten młody mnich pewnie już dawno wyszedł, najprawdopodobniej w latrynie nie było teraz nikogo poza mną tajemniczym przybyszem. Przyznaję, że strach mnie obleciał na myśl, że być może za drzwiami czyha na mnie zabójca, tak jak czyhał na komisarza Singletona.

Kabina otwierała się na zewnątrz. Najostrożniej, jak mogłem, odciągnąłem rygiel, potem cofnąłem się ze wszystkich sił kopnąłem drzwi. Rozległ się krzyk brat Athelstan odskoczył w tył stał, wymachując rękami, aby się nie przewrócić. Z ulgą zobaczyłem, że nie dzierży w dłoniach żadnego oręża. Kiedym się zbliżył do niego ze sztyletem uniesionym wysoko, oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki.

— Co tu robicie? — warknąłem. — Słyszałem, jak skradaliście się pod drzwiami!

Przełknąłem ślinę, grdyka podrygiwała mu nerwowo.

— Nie chciałem nic złego, wasza miłość! Właśnie miałem zapukać, przysięgam.

Był biały jak ściana. Opuściłem broń.

— Po co? Czego chcecie?

Obejrzał się niespokojnie w stronę drzwi prowadzących do dormitorium.

— Muszę z panem komisarzem porozmawiać w tajemnicy. Kiedym zobaczył, jak wchodzić, postanowiłem zaczekać, aż zostaniemy sami.

— O co chodzi?

— Nie tutaj, proszę — powiedział natarczywie. — Ktoś mógłby nas zobaczyć. Czy moglibyśmy się spotkać za kilka minut przy browarze? To budynek koło stajni. Teraz nikogo tam nie będzie.

Przyjrzałem mu się, wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

— Dobrze, ale przyjdę ze swoim asystentem.

— Oczywiście, panie komisarzu... — powiedział urwał, bo w drzwiach dormitorium pojawiła się chuda sylwetka brata Jude'a.

Chyłkiem pospieszył do drzwi. Jałmużnik, który zapewne wyszedł, aby zrobić sobie przerwę od wymyślania kolejnych obfitych posiłków dla braci konfratrów, popatrzył na mnie dziwnie ukłoniwszy się, wszedł do kabiny. Usłyszałem stuk przesuwanego rygielka. Stojąc tak pośrodku pustej latryny, uprzytomniłem sobie, że drzę jak osika.

## Rozdział jedenasty

Wziąłem kilka głębokich oddechów, aby się uspokoić, czym prędzej wróciłem do infirmerii. Mark siedział przy stoliku w kuchni, Alice wróciła już z podwórza rozmawiała z nim, zmywając naczynia. Zachowywała się swobodnie, sprawiała wrażenie odprężonej, znikła bez śladu rezerwa, którą okazywała w rozmowach ze mną. Poczułem ukłucie zazdrości.

— Dają ci tu wychodne? — zapytał ją Mark.

— Pół dnia na tydzień. Jeśli jest spokojnie, brat Guy pozwala mi niekiedy wyjść na cały dzień.

Obejrzeni się na mnie, kiedy wszedł spieszonym krokiem do kuchni.

— Marku, muszę z tobą porozmawiać.

Poszedł za mną do naszej izby, gdzie opowiedziałem mu o swoim spotkaniu z bratem Athelstanem.

— Chodź ze mną weź ze sobą miecz. Athelstan nie wygląda groźnie, to człek podobny z wyglądu do wydry, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Na podwórku Bugge ze swym pomocnikiem dalej odgarniali śnieg. Mijając stajnię, rzuciłem okiem do środka przez otwarte drzwi. Stajenny składał siano na stos, podczas gdy konie obserwowały go uważnie, a z ich pysków w mroźnym powietrzu unosiły się gęste kłęby pary. To nie była robota dla tak słabowitego młodzieńca jak Whelplay.

Pchnąłem drzwi browaru ogarnęło mnie miłe ciepło. W sąsiednim pomieszczeniu palił się równym płomieniem ogień, do suszarni na górze prowadziły schody. Wokół stało pełno beczek kadzi, ale nigdzie nie widziałem żywej duszy. Coś zatrzepotało mi nad głową, aż podskoczyłem przestraszony, lecz gdybym spojrział w górę, ujrzałbym jeno kury siedzące na grzędach między krokwiemi.

— Bracie Athelstanie — zawołałem głośnym szeptem.

Gdzieś za naszymi plecami rozległ się głuchy łomot, Mark

sięgnął ręką do miecza, a zza beczek wyłoniła się koścista postać asystenta szafarza. Podeszedł do nas ukłonił się.

— Dziękuję, że przyszliście, panie komisarzu.

— Mam nadzieję, że naprawdę ważny powód skłonił was do niepokojenia mnie w wygodce. Czy jesteśmy tu sami?

— Tak, wasza miłość. Piwowar wyszedł, czeka, aż chmiel wyschnie.

— Czy te kury nie psują piwa? Wszędzie pełno ich nieczystości.

Mnich uśmiechnął się niezręcznie, skubiąc rzadką bródkę.

— Piwowar mówi, że to dodaje trunkowi pikanterii.

— Wątpię, żeby ludzie w mieście byli tego samego zdania.

Brat Athelstan podszedł bliżej, wpatrując się we mnie przenikliwie.

— Wasza miłość, znacie zalecenia lorda Cromwella, które mówią, że każdy zakonnik może się udać ze skargą prosto do przedstawicieli wikariusza generalnego zamiast do swego opata?

— Tak, znam. Chcecie złożyć skargę?

— Raczej donieść o pewnej sprawie. — Wziął głęboki oddech. — Wiem, że lord Cromwell zbiera informacje o wszelkich nieprawościach, do których dochodzi w klasztorach. Słyszałem, że informatorzy dostają nagrodę.

— Jeśli informacja okaże się cenna.

Przyjrzałem mu się. W swojej pracy często miewałem do

czynienia z informatorami donosicielami, a nigdy to odrażające plemię tak się nie mnożyło jak w tych właśnie czasach. Czyżby to z Athelstanem miał się spotkać Singleton owej nieszczęsnej nocy, kiedy go zabito? Nie. Domyśliłem się, że młody zakonnik po raz pierwszy odgrywał tę rolę. Pragnął nagrody, owszem, ale bał się zarówno.

— Pomyślałem... pomyślałem, że każda informacja o nie-prawościach, które się przydarzyły w naszym klasztorze, pomoże waszej miłości wykryć zabójcę komisarza Singletona.

— Co mi macie do powiedzenia?

— Starszym zakonnikom, znaczy dostojnikom klasztornym, nie podobają się nowe zarządzenia lorda Cromwella. Nabożeństwa w języku angielskim, surowe zasady życia, słyszałem, jak ze sobą rozprawiali w kapitularni. Siedzą szepcząc do siebie, zanim spotkają się z innymi braćmi.

— I co takiego słyszeliście?

— Słyszałem, jak mówili, że nowe zalecenia narzucają siłą ludzi, którzy nie dbają o życie innych. Opat, infirmarz, zakrystian mój zwierzchnik, brat Edwig, wszyscy oni uważają tak samo.

— A przeor Mortimus?

Athelstan wzruszył ramionami.

— Przeor płynie z prądem.

— Nie on jeden. Bracie Athelstanie, czy słyszeliście, aby któryś z dostojników mówił, że papież powinien powrócić, lub wypowiadał się przeciwko rozwodowi naszego króla? A może krytykował lorda Cromwella?

Mnich milczał z wahaniem.

— Nie, ale... ale mogę zeznać, że słyszałem, jeśli to wam pomoże.

Wybuchnąłem śmiechem.

— I ludzie mają wam uwierzyć, kiedy będziecie przestępować z nogi na nogę wbijać wzrok w podłogę? Nie sądzę.

Znów zaczął skubać brodę.

— Jeśli mógłbym się waszej miłości na coś przydać —ś

czynienia z informatorami donosicielami, a nigdy to odrażające plemię tak się nie mnożyło jak w tych właśnie czasach. Czyżby to z Athelstanem miał się spotkać Singleton owej nieszczęsnej nocy, kiedy go zabito? Nie. Domyśliłem się, że młody zakonnik po raz pierwszy odgrywał tę rolę. Pragnął nagrody, owszem, ale bał się zarówno.

— Pomyślałem... pomyślałem, że każda informacja o nie-prawościach, które się przydarzyły w naszym klasztorze, pomoże waszej miłości wykryć zabójcę komisarza Singletona.

— Co mi macie do powiedzenia?

— Starszym zakonnikom, znaczy dostojnikom klasztornym, nie podobają się nowe zarządzenia lorda Cromwella. Nabożeństwa w języku angielskim, surowe zasady życia, słyszałem, jak ze sobą rozprawiali w kapitulniku. Siedzą szepczą do siebie, zanim spotkają się z innymi braćmi.

— I co takiego słyszeliście?

— Słyszałem, jak mówili, że nowe zalecenia narzucają siłą ludzi, którzy nie dbają o życie innych. Opat, ihfirmarz, zakrystian mój zwierzchnik, brat Edwig, wszyscy oni uważają tak samo.

— A przeor Mortimus?

Athelstan wzruszył ramionami.

— Przeor płynie z prądem.

— Nie on jeden. Bracie Athelstanie, czy słyszeliście, aby któryś z dostojników mówił, że papież powinien powrócić, lub wypowiadał się przeciwko rozwodowi naszego króla? A może krytykował lorda Cromwella?

Mnich milczał z wahaniem.

— Nie, ale... ale mogę zeznać, że słyszałem, jeśli to wam pomoże.

Wybuchnąłem śmiechem.

— I ludzie mają wam uwierzyć, kiedy będziecie przestępować z nogi na nogę wbijać wzrok w podłogę? Nie sądzę.

Znów zaczął skubać brodę.

— Jeśli mógłbym się waszej miłości na coś przydać — 162

wybąkał — albo lordowi Cromwellowi, z przyjemnością zostanę jego poplecznikiem.

— Czemuż to, bracie Athelstanie? Nie jesteście kontenci z pobytu tutaj?

Oblicze mu pociemniało. Była to twarz słabego, niezadowolonego człowieka.

— Pracuję w biurze szafarza, pod zwierzchnictwem brata Edwiga. To surowy pan.

— Co to znaczy? Co takiego robi?

— Każe mi tyrać jak jakiemuś wołu. Niech no tylko marnego grosza zabraknie w księgach, to do cna uprzykrza człowiekowi życie, każe rachować wszystko od początku. Popełniłem drobny błąd teraz trzyma mnie nad księgami dzień noc. Szczęściem wyszedł na chwilę, w przeciwnym razie nie ośmieliłbym się spędzić tyle czasu poza biurem.

— Tak więc — rzekłem — ponieważ twój zwierzchnik każe cię surowo za błędy, gotów jesteś ściągnąć kłopoty na głowy brata Gabriela innych, donieść na nich lordowi Cromwellowi, licząc, że będzie ci się łatwiej żyło?

Spojrzał na mnie zdumiony.

— Ale czyż lord Crowell nie życzy sobie, aby zakonnicy donosili mu o wszystkim? Pragnę mu jedynie pomóc.

Westchnąłem.

— Przyjechałem tu, aby zbadać zabójstwo komisarza Singletona, bracie Athelstanie. Jeśli wiecie coś o tej sprawie, chętnie was wysłucham. W przeciwnym razie marnujecie tylko mój czas.

— Przepraszam.

— Możecie już iść.

Wydawało się, jakby zamierzał jeszcze coś powiedzieć, lecz rozmyślił się czym prędzej opuścił szopę. Kopnąłem beczkę roześmiałem się ze złością.

— Boże, cóż za odrażająca gadzina! W każdym razie nic nam to nie dało.

— Nie są warci tych kłopotów, które sprawiają — orzekł

Mark odskoczył jak oparzony, bo odchody kury kapnęły mu na kaftan.

— Są jak te kury, nie baczą, kogo obrzucają swymi nieczystościami. — Zacząłem chodzić po browarze tam z powrotem. — A tak się przeraziłem, kiedy go usłyszałem pod drzwiami kabiny w latrynie. Jużem myślał, że to morderca przyszedł mnie ukatrupić.

Mark spojrzał na mnie poważnie.

— Przyznaję, że ja nie lubię chodzić po tym miejscu w pojedynkę. Człowiek zaczyna się tu bać własnego cienia. Może lepiej trzymać się razem, wasza miłość?

Pokręciłem głową.

— Nie, nie, za dużo mamy do roboty. Wracaj do infirmerii, wydaje mi się, że dobrze sobie radzisz z Alice.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Opowiada mi o swoim życiu.

— To dobrze. Ja idę spotkać się z bratem Gabrielem, może on opowie mi co nieco o swoim. Pewnie nie miałeś jeszcze czasu zwiedzić klasztoru?

— Nie, wasza miłość.

— No to zrób to. Weź kalosze od brata Guya. — Popatrzyłem nań poważnie. — I bądź ostrożny.

Zatrzymałem się przed kościołem. Patrząc, jak jeden z kuchennych brnie ciężko po śniegu w przemoczonych, marnych rajtuzach, poczułem wdzięczność wobec brata Guya za jego kalosze. Służący nie dostawali kaloszy, bo byłoby to zbyt kosztowne, brat Edwig by tego nie przeżył.

Obejrzałem fasadę kościoła. Wokół wielkich drewnianych wrót, wysokich na dwadzieścia stóp, wykrzywiały pyski rzeźbione kamienne gargulce potwory, które miały za zadanie odstraszać złe duchy. Choć zniszczone po czterystu latach, nadal wyglądały jak żywe. Kościół klasztorny, podobnie jak wielkie katedry, miał budzić podziw w ludziach świeckich jako wspiana namiastka niebios. W tak bogatej oprawie wezwania do modlitw za dusze bliskich pokutujące w czyścisku obietnice cudownych ozdowień za sprawą świętych relikwii zyskiwały nieporównanie więcej doniosłości. Pociągnąłem za drzwi wśliznąłem się do środka, gdzie w ogromnej przestrzeni każdy odgłos odbijał się donośnym echem.

Wielkie sklepienie łuki nawy wznosiły się ponad sto stóp nad moją głową, wsparte na czerwono-czarnych kolumnach, podłogę zaś tworzyły niebieskie żółte płyty. Wzrok przybysza przyciągała jednak natychmiast wysoka kamienna ściana tęczowa, bogato ozdobiona namalowanymi postaciami świętych. Nad nią, oświetlone jasno świecami, stały posągi świętego Jana, Najświętszej Pani i Pana naszego. Na drugim końcu kościoła wielkie okno z witrażami w geometryczne, pomarań-czowo-żółte wzory zaprojektowano specjalnie tak, aby wpuszczało do wnętrza poranne światło ze wschodu zalewało nawę łagodnym, umbrowym blaskiem tonującym kalejdoskop barw roztaczającym atmosferę świętej tajemnicy. Nie można było zaprzeczyć, że budowniczowie tego przybytku znali się na swoim fachu jak mało kto.

Ruszyłem powoli w głąb nawy. Wzdłuż ścian stały pomalowane posągi świętych oraz małe relikwiarze, w których na satynowych poduszkach spoczywały dziwaczne przedmioty. Przed nimi płonęły świece, a po kościele chodził służący wymieniał te, które się wypaliły, na nowe. Zatrzymałem się, aby zajrzeć do naw bocznych z małymi ołtarzykami rzeźbami oświetlonych



migoczącymi płomykami. Przyszło mi do głowy, że w tych bocznych kapliczkach z odgrodzonymi ołtarzami, posągami katafalkami można było z powodzeniem ukryć różne przedmioty.

W kilku nawach bocznych mnisi odprawiali prywatne msze. Wielu co bogatszych ludzi, przerażonych katuszami czekającymi na nich w czyścicu, skłonnych było odebrać żonom dzieciom sporą część majątku, byle tylko mnisi odprawiali za nich msze przed nadejściem Sądu Ostatecznego. Zastanawiałem się, ile dni odpuszczenia czyścicowego warta była tutejsza msza, czasem obiecywano sto, czasem tysiąc. Rzecz jasna nieszczęśnicy pozbawieni stosownych środków skazani byli na cierpienie w pełnym wymiarze wyznaczonym im przez Boga. My, reformatorzy, nazywaliśmy to czyścicem-dusigroszem. Łacińskie śpiewy wzbudziły we mnie gniewne zniecierpliwienie.

Zatrzymałem się przy ścianie tęczowej podniosłem głowę. Mgiełka mojego oddechu rozwiła się w żółtawym powietrzu, w kościele było bowiem niewiele cieplej niż na dworze. Na szczyt ściany po obu stronach prowadziły schody. Z ich szczytu dookoła kościoła biegł wąski parapet odgrodzony poręczą. Nad parapetem ściany skłaniały się łagodnym łukiem w kierunku wielkiego sklepienia nawy głównej. Po lewej stronie mą uwagę zwróciło wielkie pęknięcie z widocznymi plamami wilgoci biegnące od sklepienia niemal do samej podłogi. Przypomniałem sobie, że romańskie kościoły katedry w rzeczywistości wcale nie były takie solidne, na jakie wyglądały; mury mogły mieć nawet dwadzieścia stóp grubości, lecz przestrzeń pomiędzy blokami kosztownego kamienia pokrywającego wewnętrzne zewnętrzne ściany zwykle wypełniano zwyczajnym tłuczniem.

Wokół rozstępu zarówno kamienne bloki, jak tynk między nimi były odbarwione, a na podłodze widniał pod nim kopczyk pokruszonego tynku. W ścianie nad parapetem, we wnękach rozmieszczonych w równych odstępach stały posągi świętego Donatusa pochylonego nad zmarłym mężczyzną dokładnie w tej samej pozycji co na pieczęci klasztoru.

Z niszy, przez którą biegło pęknięcie, usunięto rzeźbę, odbarwioną podobnie jak ściany, ułożono ją na parapecie. Zobaczyłem tam doprawdy zdumiewającą konstrukcję z lin bloków: liny przymocowane były do ściany nad półką, a z drugiej strony pięły się w pustkę nad nawą nikły w ciemnej otchłani dzwonnicy, gdzie zapewne umocowano ich drugi koniec. Z lin zwisał wielki drewniany kosz, w którym mogło się z powodzeniem zmieścić dwoje ludzi. Domyśliłem się, że konstrukcja z lin bloków służyła do przesuwania kosza transportowania w nim posągu. Było to wielce pomysłowe rozwiązanie, ale niebezpieczne, do przeprowadzenia stosownych napraw dużo lepiej posłużyłoby rusztowanie. Szafarz jednak miał rację, odpowiednia renowacja kościoła musiała pochłonąć ogromne sumy, w przeciwnym razie pod wpływem mrozu wody szczelina mogła się tylko powiększać, aż w końcu zagroziłaby zniszczeniem całej budowli. Wyobraźnia sama podsuwała przerażający obraz kościoła zawalającego się na głowy wiernych.

Poza cichym szmerem modlitw dochodzących z bocznych kapliczek w świątyni panowała cisza. Po chwili jednak doszedł mnie odgłos rozmowy, ruszyłem więc w stronę, skąd dobiegał dźwięk, czyli ku otwartym drzwiom, za którymi migotało światło świec. Rozpoznałem głęboki głos brata Gabriela.

— Mam wszelkie prawo, aby się o niego dopytywać — mówił podniesionym głosem.

— Jak będziesz się ciągle kręcił koło infirmerii, ludzie znowu zaczną gadać — odpowiedział przeor swoim chrapliwym głosem.

Po chwili pokazała się jego czerstwa, rumiana twarz, ściągnięta w surowym grymasie. Drgnął przestraszony na mój widok.

— Szukam zakrystiana. Chcę, aby mi pokazał kościół.

Przeor wskazał głową otwarte drzwi.

— Tam znajdziecie brata Gabriela. Ucieszy się, że go ktoś w tym zimnie oderwie od biurka. Dzień dobry.

Uklonił się szybko poszedł dalej, w całym kościele rozbrzmiewały jego kroki.

Zakrystian siedział w małym gabinecie pełnym książek przy stoliku zarzuconym nutami. Zauważyłem też figurę Najświętszej Marii Panny ze złamanym nosem, opartą o ścianę, jakby była pijana. Nadawała temu zimnemu, pozbawionemu okien pomieszczeniu przygnębiającą atmosferę. Brat Gabriel pochylał się nad stolikiem w grubym płaszczu narzuconym na czarny habit. Na jego pobrużdżonej twarzy odbijał się niepokój, na swój sposób było to silne oblicze, pociągłe, z wyraźnie zarysowanymi kośćmi, lecz ciasno ściągnięte kąciki ust wyginały się ku dołowi, a pod oczami tworzyły się worki. Na mój widok wstał zmusił się do uśmiechu.

— W czym mogę wam pomóc, panie komisarzu?

— Chciałbym, aby oprowadził mnie brat po kościele. A także pokazał mi miejsce, gdzie dokonano zbezczeszczenia.

— Jeśli sobie tego życzyacie — odparł niechętnie, ale bez protestów wstał zaprowadził mnie z powrotem do kościoła.

— Zajmujecie się muzyką, a także utrzymaniem kościoła, prawda?

— Tak. Jak również biblioteką. Mogę ją wam pokazać, jeśli chcecie.

— Chętnie, dziękuję bardzo. Rozumiem, że nowicjusz Whel-play pomagał wam w pracy przy muzyce, tak?

— Zanim wysłano go, żeby zamarzał w stajniach — odrzekł z goryczą brat Gabriel. Zaraz jednak wziął się w garść ciągnął łagodniejszym tonem: — Jest bardzo uzdolniony, choć może nieco zbyt egzaltowany. — Spojrzał na mnie niespokojnie. — Wybaczone mi, proszę, wiem, że mieszkacie w infirmerii. Wicie może, jak on się czuje?

— Brat Guy uważa, że wyzdrowieje.

— Chwała Bogu. Biedny głuptas. To rzekłszy, przeżegnał się.

Oprowadzając mnie po kościele, nieco się rozchmurzył. Opowiadał z ożywieniem o historii to jednej, to drugiej rzeźby, o szczegółach architektonicznych lub mistrzowskim wykonaniu jakiegoś witrażu. Widać było, że znajduje w słowach pocieszenie zapomnienie, a zdawał się nie zważać na to, że jako reformator mogę nie pochwalać rzeczy, które opowiada. Wszystkim tym umocnił we mnie wrażenie człowieka raczej naiwnego, całkowicie oderwanego od rzeczywistości. Wszelako tacy ludzie łatwo popadają w fanatyzm, co z kolei skłoniło mnie po raz

kolejny do spostrzeżenia, że brat Gabriel jest jednak potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał długie, delikatne palce, ale także grube, mocne nadgarstki, dzięki którym z łatwością mógłby władać mieczem.

— Przez całe życie byliście mnichem? — spytałem.

— Przyjąłem śluby, gdy miałem dziewiętnaście lat. Nie znam innego życia. I nie chcę poznać.

Zatrzymał się przed dużą wnęką z pustym cokolem przykrytym czarną tkaniną, wokół którego stało poukładanych mnóstwo lasek, kul innych przedmiotów służących kalekom. Zauważyłem ciężki aparat na szyję, jaki zakłada się garbatym dzieciom, aby wyprostować im plecy. Sam taki nosiłem, niestety na próżno.

Brat Gabriel westchnął.

— Tutaj stała dłoń ukrzyżowanego złodzieja. To okropna strata, ta relikwia uleczyła wielu nieszczęśników.

Mówiąc to, jak łatwo przewidzieć, spojrzął na moje plecy, zaraz potem odwrócił wzrok wskazał ręką ustawioną stertę lasek.

— Te wszystkie rzeczy pozostawili tu ludzie, których w ciągu wielu lat uleczyła nasza relikwia. Przeszli ich potrzebować, więc z wdzięczności składali je w darze.

— Jak długo tu stała?

— Przywieźli ją z Francji mnisi, którzy założyli klasztor Świętego Donatusa w tysiąc osiemdziesiątym siódmym roku. Przedtem przez kilka stuleci przechowywano ją we Francji, a jeszcze wcześniej w Rzymie.

— Zapewne szkatuła przedstawiała dużą wartość. Słyszałem, że była ze złota wysadzana szmaragdami.

— Ludzie chętnie płacili, aby móc jej dotknąć. Bardzo ich rozczarowały nowe przepisy, które zakazały wystawiania relikwii za pieniądze.

— Wyobrażam sobie, że była również sporych rozmiarów.

Pokiwał głową.

— W bibliotece mamy ilustrację, jeśli życzyście sobie ją obejrzeć.\*

— Tak, dziękuję. Kto pierwszy zauważył, że relikwia zniknęła?

— Ja. Ja również znalazłem zbezczeszczone ołtarz.

— Opowiedzcie mi to, proszę, dokładnie.

Usiadłem na wystającym murku przypory. Plecy nie dokuczały mi już tak jak wczoraj, ale wolałem ich nie nadwerężyć.

— Wstałem jak zwykle przed piątą zacząłem przygotowywać kościół do jutrzni. W nocy zostawiamy tylko kilka płonących świec przed posągami, więc kiedyśmy weszli do kościoła z moim asystentem, bratem Andrew, w pierwszej chwili niczego nie zauważyliśmy. Weszliśmy do chóru. Andrew zapalił świece w stallach, a ja pootwierałem księgi do porannych modlitw. Kiedy świece zapłonęły, brat Andrew dostrzegł na podłodze ślady krwi od razu mnie zawołał. Ślady prowadziły — Gabriel wzdrygnął się westchnął — do prezbiterium. Tam na stole leżał czarny kogut z poderżniętym gardłem. Niechaj Bóg się nad nami zmiłuje, czarne pióra poplamione krwią położono na samiuteńkim ołtarzu, a po obu stronach zapalono świece, jakby na znak jakiegoś satanistycznego szyderstwa.

Przeżegnał się szybko.

— Pokażcie mi to miejsce.

Zawahał się.

— Kościół ponownie konsekrowano, ale nie wydaje mi się, aby stosowne było przywoływanie tych wydarzeń przed ołtarzem.

— Mimo to muszę wiedzieć...

Niechętnie zaprowadził mnie przez drzwi w ścianie tęczowej do stalli w chórze. Przypomniała mi się uwaga Goodhapsa, że mnisi bardziej byli poruszeni zbezczeszczeniem kościoła niż śmiercią Singletona.

W chórze stały dwa rzędy bogato zdobionych, drewnianych ław, poczerniałych od starości zwróconych do siebie przodem. Brat Gabriel wskazał palcem kamienne płyty podłogi.

— Tędy biegły ślady krwi, prowadziły w tamtym kierunku.

Podążyłem za nim przez prezbiterium z ołtarzem głównym

przykrytym białą tkaniną przed pięknie rzeźbioną ścianą oł-

tarzową, po której pięły się złote liście. W powietrzu unosił się intensywny zapach kadzidła. Gabriel wskazał dwa ozdobne świeczniki stojące po obu stronach miejsca, gdzie podczas mszy kapłan stawia kielich patenę.

— Tu leżał.

Uważałem, że msza święta powinna być prostą ceremonią, odprawioną w dobrej angielszczyźnie, tak aby wierni mogli rozmyślać o swoim związku z Bogiem, zamiast zachwycać się przepychem kościoła kwiecistą łąciną. Może za sprawą tych refleksji, a może z powodu tego, co tu się wydarzyło, patrząc na bogato przyozdobiony ołtarz w przymglonym blasku świec, poczułem nagle, jakby gdzieś tu czaiło się zło, tak silne, że aż zadrżałem na całym ciele. Nie było to bynajmniej przeczucie jakiegoś powszedniego przestępstwa czy ukradkowych, drobnych grzeszków, lecz najczystszej zła, które tkwiło w całej tej historii. Obok mnie twarz zakrystiana przepełniał smutek.

— Dwadzieścia lat jestem zakonnikiem — powiedział. — W najciemniejsze, najmroźniejsze zimowe dni wstawałem, aby przygotować ołtarz do jutrzni, a choćby największy ciężar spoczywał na mej duszy, pierzchał na widok pierwszego słonecznego promienia wpadającego przez to wschodnie

okno. Wypełnia ono człowieka nadzieją na światłość Boga Najwyższego. Ale od tamtej pory nie potrafię kontemplować ołtarza, aby nie przychodziło mi na myśl wspomnienie tego, com wtedy widział. To było dzieło szatana.

— To było dzieło rąk ludzkich, bracie Gabrieliu — rzekłem cicho — a ja odnajdę jego sprawcę.

Wróciłem do chóru usiadłem w ławie, gestem zapraszając mego towarzysza, aby mi towarzyszył.

— Co zrobiliście, kiedyście ujrzeli skutki tego ohydnego czynu?

— Powiedziałem, że muszę sprowadzić przeora. Ale w tej samej chwili otworzyły się boczne drzwi jeden z braci przybiegł nam oznajmić, że znaleziono zamordowanego komisarza. Wyszliśmy z kościoła wszyscy razem. — I wtedy zauważyliście, że znikła relikwia?

— Nie, to dopiero później. Około jedenastej przechodziłem obok kapliczki ujrzałem, że jest pusta. Ale bez wątplenia jedno drugie nastąpiło w tym samym czasie.

— Możliwe. Obaj weszliście do kościoła tym samym bocznym wejściem, które prowadzi do dormitorium. Czy drzwi te zamyka się w nocy na klucz?

— Oczywiście. Otworzyłem je, wchodząc.

— A więc ten, kto przyszedł zbeczczyć ołtarz, musiał wejść głównymi drzwiami, które zostają na noc otwarte, tak?

— Tak. To jedna z naszych zasad: każdy sługa, przybysz czy mnich może wejść do kościoła zawsze, gdy tego potrzebuje.

— A wy przyszliście tuż po piątej. Jesteście tego pewni?

— Robię to od ośmiu lat.

— Zatem intruz działał prawie po ciemku, kiedy rozlewał krew koguta prawdopodobnie kradł również relikwię. Zarówno akt zbeczczenia, jak zabójstwo Singletona nastąpiły pomiędzy czwartą piętnaście, kiedy to Bugge spotkał komisarza na dziedzińcu, a piątą, kiedy wy przyszliście do kościoła. Ktokolwiek to był, działał szybko, a to znaczy, że znał rozkład kościoła.

Gabriel spojrzał na mnie bystro.

— Zaiste, macie rację.

— Mieszkańcy miasta nie uczestniczą w mszach odprawianych w klasztorach, a kiedy goście przyjeżdżają na specjalne uroczystości lub przychodzą się modlić przy relikwiach, nie mają prawa wstępu za ścianę tęczową, mam rację?

— Tak. Tylko zakonnicy mogą wchodzić do chóru przed ołtarz.

— A więc tylko zakonnicy znają porządek dnia w klasztorze budowę kościoła. Zakonnicy oraz służący, którzy tu pracują... tak jak ten człek wędrujący po nawie zapalający świece.

Zakrystian popatrzył na mnie poważnie.

- Geoffrey Walters ma siedemdziesiąt lat jest głuchy. Wszyscy służący pracują tu od lat. Znam ich bardzo dobrze jest dla mnie nie do pomyślenia, aby któryś z nich mógł uczynić coś podobnego.
- A więc pozostają zakonnicy. Opat Fabian oraz pański przyjaciel szafarz utrzymują, że sprawca przyszedł z zewnątrz. Ja jednak muszę się z nimi nie zgodzić.
- Możliwe, że naprawdę do klasztoru dostali się ludzie z miasta — rzekł z głębokim namysłem brat Gabriel.
- Proszę mówić dalej.
- Któregoś ranka tej jesieni widziałem o świcie światła na bagnach. Moja cela w dormitorium wychodzi na tamtą stronę. Myślę, że znowu zaczęli tam uprawiać swój proceder przemysłowy.
- Opat wspominał mi o przemysłowcach. Sądziłem jednak, że na bagnach jest zbyt niebezpiecznie, aby ktoś próbował się przez nie przeprawić.
- Przemysłowcy znają ścieżki biegnące niedaleko wzniesienia, na którym stoją ruiny kościoła zbudowanego przez założycieli klasztoru." Wychodzi na rzekę, można więc tam załadować łodzie wełną przemycaną do Francji. Opat co jakiś czas wysyła skargi do władz miejskich, ale oni się tym nie interesują. Domyślam się, że niektórzy tamtejsi dostojnicy ciągną zyski z tego handlu.
- To znaczy, że ktoś, kto zna te drogi, mógł się dostać do klasztoru tamtej nocy, a potem się wymknąć?
- Niewykluczone. Mur od strony bagna jest uszkodzony.
- Powiedzieliście o tych światłach na bagnie opatowi?
- Nie. Jak już wspominałem, opat przestał wierzyć, że skargi coś wskórają. Po zabójstwie komisarza Singletona byłem zbyt przybity, aby myśleć jasno, ale teraz... — Twarz jego zapłonęła entuzjazmem. — Może to jest właśnie odpowiedź. Ci ludzie to przestępcy, a wszak jeden grzech może prowadzić do następnego, do bezbożnych czynów...
- Rzecz jasna dla mieszkańców klasztoru korzystnie byłoby znaleźć winowajcę poza jego murami.

Brat Gabriel obrócił się do mnie z surową miną zastygłą na twarzy.

- Zapewne wy, panie komisarzu, widzicie w naszych modlitwach naszym poświęceniu dla świętych relikwii głupie obrzędy ludzi, którzy żyją beztrudno łatwo, podczas gdy świat po drugiej stronie murów jęczy cierpi.

Uczyniłem wymijający ruch głową, a wtedy Gabriel jął mówić z niespodziewaną powagą.

- Poświęcamy nasze życie wierze modlitwom, aby zbliżyć się do Chrystusa, do jego światła uciec jak najdalej od grzesznego świata. Każda modlitwa, każde nabożeństwo jest próbą zbliżenia się do niego, każdy posąg każdy rytuał każda szybka w witrażu ma nam przypominać o jego chwale odciągać od niegodziwości świata.
- Widzę, że w to wierzycie, bracie Gabrieli.

— Wiem, że żyje nam się łatwiej niż powinno, że nasze wygodne ubrania obfite stawy odbiegają od tego, co zalecał święty Benedykt. Jednakże nasz cel się nie zmienił.

— Poszukiwanie jedności z Bogiem?

Odwrócił się przeszył mnie przenikliwym wzrokiem.

— To nie jest łatwe. Ludzie, którzy tak twierdzą, są w błędzie. Grzesznym rodzajem ludzkim targają niskie namiętności, słucha on podszeptów diabła. Niech pan nie sądzi, że mnisi są od nich wolni. Czasem mi się zdaje, że im goręcej pragniemy zbliżyć się do Boga, tym zacieklej diabeł kusi nasze umysły do niegodziwości. I tym usilniej musimy się z nim zmagać.

— Czy przychodzi bratu na myśl ktoś, kogo diabeł kusił do zabójstwa? — spytałem spokojnie. — Proszę pamiętać, że przemawiam w imieniu wikariusza generalnego, a za jego pośrednictwem Najwyższej Głowy Kościoła, jego wysokości króla Anglii.

Zakrystian popatrzył mi prosto w oczy.

— Nie przychodzi mi na myśl nikt spośród naszych braci, kto mógłby popełnić taki czyn. Gdybym kogoś podejrzewał, poinformowałbym o tym opata. Powiedziałem już, że moim zdaniem sprawcą był człowiek spoza klasztoru.

Skinąłem głową.

— Wszelako doszły mnie informacje o poważnych grzechach, do których dochodziło w tym miejscu, czyż nie? Mam na myśli skandal za czasów poprzedniego przeora. A przecie drobne grzechy mogą wieść do cięższych.

Twarz mu poczerwieniała.

— Wielki krok dzieli te grzechy od zbrodni, którą tu popełniono w zeszłym tygodniu. Poza tym tamte sprawy to przeszłość.

Wstał raptownie odszedł kilka kroków. Podniosłem się ja, stanąłem obok niego. Twarz miał pochmurną, a czoło, pomimo chłodu, zrosił mu pot.

— Nie całkiem, jak słyszałem. Opat powiedział mi, że kara, jaką wyznaczono Simonowi Whelplayowi, po części spowodowana była pewnymi uczuciami, którymi darzył drugiego mnicha. Ściśle mówiąc, was, bracie Gabrielu.

Obrócił się gwałtownie.

— To jeszcze dziecko! — oznajmił z wielkim poruszeniem. — Nie ponoszę winy za grzeszne myśli, które kołatały mu się w. biednej głowie. Nie miałem nawet o nich pojęcia, póki nie wyznał prawdy przeorowi Mortimusowi, inaczej osobiście położyłbym im kres. Owszem, grzeszyłem z innymi mężczyznami, ale wyznał swe przewiny, żałuję ich nigdy więcej do tych praktyk nie powrócił. Zatem, panie komisarzu, poznaliście całą moją historię. Wiem, że w biurze wikariusza generalnego uwielbia się takie opowieści.

— Usiłuję dociec prawdy, bracie zakrystianie. Nie nękałbym was dla zwykłej rozrywki.

Zamierzał chyba jeszcze coś dodać, ale się powstrzymał zamiast tego wziął głęboki oddech.

— Czy życzyście sobie obejrzeć teraz bibliotekę?

— Tak, proszę.

Zawróciliśmy w głąb nawy.

— Przy okazji — odezwałem się po dłuższej chwili milczenia — zauważyłem znaczne pęknięcie w ścianie kościoła. Naprawa wymaga ogromnej pracy. Przeor nie chce się zgodzić na takie wydatki?

— Nie chce. Brat Edwig upiera się, że wydatki na wszelkie renowacje muszą się mieścić w granicach rocznych dochodów klasztoru. To ledwie wystarczy na prowizoryczne łatanie, aby uszkodzenie się nie rozprzestrzeniło.

— Rozumiem.

Zastanawiałem się, czemu wobec tego opat brat Edwig rozprawiali tyle o pieniądzach ze sprzedaży ziemi.

— Ci rachmistrze księgowi zawsze uważają, że najlepsze jest to, co najtańsze — ciągnąłem filozoficznie. — Gotowi ściubić, oszczędzać, aż wszystko wokół nich się zawali.

— Brat Edwig uważa, że oszczędzanie pieniędzy to święty obowiązek — rzekł z goryczą Gabriel.

— Ani on, ani przeor nie sprawiają wrażenia ludzi przejętych dobroczynnością.

Zakrystian spojrzał na mnie bacznie, ale nie odezwał się już ani słowem, tylko wyprowadził mnie z kościoła.

Kiedyśmy wyszli na dwór, oczy aż mi się zaskliły od zimnego światła. Słońce stało już wysoko świeciło jasno, choć nie grzało. W śniegu wydeptano więcej ścieżek, zakonnicy służący krzątali się już przy swych codziennych sprawach, czarne habity mrowiły się na białym podwórzu.

Część klasztoru wydzielona na bibliotekę przylegała do kościoła była zaskakująco duża. Przez wysokie okna do środka wlewało się światło oświetlało rzędy półek zastawionych księgami. Przy stołach siedzieli jeno jeden nowicjusz, który skrobał się po głowie nad wielkim otwartym tomiszczem, oraz stary zakonnik pilnie przepisujący w kącie jakiś manuskrypt.

— Niewiele osób studiuje tu księgi — zauważyłem.

— Biblioteka często świeci pustkami — przyznał z żalem zakrystian. — Jeśli ktoś potrzebuje zaczerpnąć wiedzy z jakiejś księgi, zwykle zabierają do swojej celi. — Podszedł do starego mnicha. — Jak postępuje praca, Stephenie?

Starzec zmrużył na nas oczy. — Powoli, bracie Gabrieliu.

Spojrzałem na jego stolik, mnich kopiował starą Biblię. Litery ilustracje starej księgi tworzyły misterne wzory, jaskrawe kolory nie straciły nic ze swojej żywości pomimo upływu wieków. Dzieło starca wyglądało przy tamtej żałośności: litery niezgrabne nierówne, kolory jarmarczne. Brat Gabriel poklepał go po ramieniu.



— Nec aspera terrent, bracie — powiedział, po czym odwrócił się do mnie. — Pokażę panu ilustrację dłoni ukrzyżowanego złodzieja.

Powiódł mnie po kręconych schodach na wyższe piętro, gdzie stały następne, niezliczone półki wypełnione starymi woluminami. Na wszystkich leżała gruba warstwa kurzu.

— Oto nasze zbiory. Niektóre księgi skopiowano z greckich rzymskich dzieł w czasach, gdy kopiowanie było kwitnącą sztuką. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu przy tych wszystkich biurkach na dole siedzieliby bracia pracowicie przepisywali kolejne prace. Jednakże od czasu gdy w użycie wszedł druk, nikt nie chce czytać ilustrowanych ksiąg, wszyscy zadowolają się tanimi, brzydkimi wydaniem, gdzie proste litery tłoczą się jedna przy drugiej.

— Może drukowane księgi nie są tak piękne jak manuskrypty, ale dzięki nim Słowo Boże dociera do wszystkich ludzi.

— Zastanawiam się jeno, czy wszyscy oni potrafią je zrozumieć? — odparł ze swadą zakrystian.  
— W dodatku pozbawione ilustracji, sztuki, która stymuluje nasz nabożny podziw cześć dla Najwyższego?

Wziął z półki stary wolumin otworzył go, pokaszując od kurzu, który się wzbił z kart. Namalowane małe stworzenia tańczyły figlarnie między wersami greckiego tekstu.

— To podobno kopia zaginionego dzieła Arystotelesa O komedii, mimo to ten trzynastowieczny włoski tekst jest naprawdę piękny.

Zamknął ją odwrócił się do ogromnego tomiszcza, które leżało na półce pod zrolowanymi planami. Wyjął rulony, więcwziąłem jeden, aby mu pomóc, lecz jakże się zdumiałem, kiedy on wyrwał mi go gwałtownie z ręki.

— Nie! Proszę tego nie ruszać.

Uniosłem brwi, a on się zarumienił.

— Przepraszam, ale... ale zakurzycie sobie ubranie.

— Co to jest?

— Stare plany klasztoru. Murarz czasem do nich zagląda.

Wyjął księgę, która leżała pod spodem. Była tak ogromna, że z trudem przetargał ją na biurko. Ostrożnie przewracał karty.

— To ilustrowana historia skarbów klasztoru spisana dwieście lat temu.

Ujrzałem kolorowe podobizny posągów, którym widział w kościele, a także innych przedmiotów, jak na przykład pulpitu stojącego w refektarzu. Wszystkie opatrzone wymiarami łacińskim komentarzem. Na środkowych stronach widniała namalowana duża prostokątna szkatuła wysadzana kosztownymi kamieniami. Za szklaną ścianką na fioletowej poduszce spoczywał kawałek ciemnego drewna z ludzką dłonią przybitą do niego gwoździem. Ciało było stare zwiędłe, przez skórę wyzierały ścięgnięta kości. Z

podanych wymiarów wynikało, że szkatułka miała dwie stopy długości, stopę szerokości stopę wysokości.

— Więc to są te szmaragdy — domyśliłem się. — Ogromne. Ktoś mógł ukraść relikwiarz wyłącznie dla samego złota klejnotów.

— Tak, chociaż chrześcijanin, który uczyniłby coś takiego, utraciłby swą nieśmiertelną duszę.

— Wydawało mi się zawsze, że złodziejom ukrzyżowanym razem z Chrystusem przywiązano dłonie do krzyża, aby przedłużyć ich cierpienie. Tak przynajmniej pokazują to malowidła religijne.

Gabriel westchnął.

— Nikt tego tak naprawdę nie wie. Ewangelie mówią, że nasz Pan umarł pierwszy, ale to dlatego, że był już wcześniej męczony. — Oto przykład zwodniczej siły malowideł posągów — orzekłem. — Mamy tu również do czynienia z pewną ironią losu, czyż nie?

— Co macie na myśli?

— Ta dłoń należała do złodzieja. Teraz jego szczątki, które ludzie przychodzili oglądać za pieniądze, dopóki ów proceder nie został zakazany jako przejaw lichwy, również zostały skradzione.

— Może jest to ironia losu — odparł cicho brat Gabriel — lecz dla nas to nieszczęście.

— Czy jeden człowiek dałby radę unieść szkatułę?

— Podczas procesji wielkanocnej niosły ją dwie osoby. Silny mężczyzna mógłby ją zapewne dźwignąć w pojedynkę, ale niezbyt daleko by z nią zaszedł.

— Na przykład na bagna?

Kiwnął głową.

— To możliwe.

— Zatem najwyższa pora, abym rzucił okiem na to miejsce. Zechciecie mi wskazać drogę?

— Oczywiście. W tylnej części muru jest brama.

— Dziękuję, bracie. Macie wspaniałą bibliotekę.

Wyprowadził mnie z powrotem na zewnątrz wskazał ręką

commentar.

— Proszę iść ścieżką. Miniecie sad staw rybny, a potem zobaczycie bramę. Śnieg tam leży grubo.

— Mam kalosze. No cóż, z pewnością spotkamy się przy wieczerzy. Będziecie mogli znowu zobaczyć mego młodego asystenta.

Uśmiechnąłem się nieszczerze. Zakrystian spleonął rumieńcem spuścił głowę.

— Ach, tak, doprawdy...

— Dziękuję bratu za pomoc szczerą. Życzę miłego dnia.

Skinąłem mu głową odszedłem. Kiedy się obejrzałem, brat

Gabriel szedł powoli w stronę kościoła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Rozdział dwunasty

Minąłem warsztaty, po czym przez furtkę wyszedłem na świecki cmentarz. Za dnia wydawał się znacznie mniejszy niż w nocy. Spod śniegu wystawały nagrobki tutejszych mieszkańców, którzy zapłacili za pochówek przy klasztorze, oraz przybyszów zmarłych w jego murach. Zauważyłem jeszcze trzy duże kamienne grobowce rodzinne podobne do krypty rodziny Fitzhugh, w której byłem zeszłego wieczoru. Po drugiej stronie cmentarza rzędy drzew owocowych wyciągały ku niebu nagie ramiona.

Doszedłem do wniosku, że taki grobowiec mogłyby być niezłą kryjówką. Brnąc przez głęboki śnieg w stronę najbliższej krypty, odpiąłem od pasa pęk kluczy, który dostałem od opata, przebierając zgrabiętymi palcami, znalazłem właściwy.

Sprawdziłem po kolei wszystkie krypty, ale nie znalazłem niczego ukrytego pomiędzy białymi marmurowymi sarkofagami. Kamienne podłogi pokrywała gruba warstwa kurzu żaden ślad nie wskazywał, aby ktoś tam wchodził przez ostatnie lata. Jedna należała do szlacheckiego rodu Hastingsów; znałem to nazwisko o prastarych korzeniach, linię wygasłą podczas wojen domowych. Mimo to pamięć o pogrzebanych w tym miejscu nie zaginie, pomyślałem, przypomniawszy sobie mnichów odprawiających prywatne msze, przetrwa jako na-

zwiska zapamiętane wyśpiewywane każdego dnia w pustej nawie kościoła. Pokręciłem głową zawróciłem w stronę sadu, gdzie na szkieletach drzew krakały wygłodniałe wrony. Potykając się o cmentarne kamienie, rad byłem, że wziąłem ze sobą laskę.

Przez furtkę wyszedłem do sadu zacząłem krążyć między drzewami przygniecionymi grubą warstwą śniegu. Dookoła panowały cisza bezruch. W tym miejscu, na otwartej przestrzeni, mogłem wreszcie swobodnie pomyśleć.

Dziwne odnosiłem wrażenie, po tylu latach przestąpiwszy znowu próg klasztoru. Jako uczeń w Lichfield byłem nic nieznaczącym małym garbuskiem. Do Scarnsea przyjechałem jako komisarz lorda Cromwella, obdarzony władzą, jaką nie dysponował nigdy żaden świecki urzędnik nad klasztorze czy kościołem. Mimo to tak samo jak wtedy czułem się samotny, wyobcowany, nie lubiany. Różnica była ta jeno, że tym razem wszyscy się mnie bali, musiałem jednakże używać swej władzy nad wyraz ostrożnie, bo kiedy ludzie się boją, zamykają się niczym małże w muszli.

Przygnębiła mnie rozmowa z bratem Gabrielem. Człęk ten żył przeszłością, w świecie malowanych ksiąg, prastarych pieśni, gipsowych posągów. Domyślałem się, że szukał w tym świecie schronienia przed nieustannymi pokusami. Stanęła mi przed oczami udręka na jego twarzy, kiedym wypomniał mu jego przeszłość. Spotkałem w swej karierze wielu chełpliwych kłamców, przewrotnych łotrów przyznaję, że nierzadko z przyjemnością podczas przesłuchań obserwowałem ich rzednące miny, kiedym obalał w gruzy te gmachy kłamstw. Dręczenie wspomnieniami wstydlivych grzeszków kogoś takiego jak brat Gabriel, człowieka o delikatnej godności, którą aż nadto łatwo można było urazić, nie

należało do przyjemności. W końcu sam wiedziałem lepiej niż inni, co to znaczy być pogardzanym wyrzutkiem.

Pamiętam, jak wyszydzony przez inne dzieci za to, że nie mogłem uczestniczyć w ich grach zabawach, błagałem ojca,

aby zabrał mnie ze szkoły katedralnej kazał uczyć w domu. Odpowiadał, że jeśli pozwoli mi uciec od świata, nigdy już doń nie powrócę. Był surowym mężczyzną, nieskłonny do współczucia, a cechy te nasiliły się po śmierci mej matki, która zmarła, kiedy miałem dziesięć lat. Może słusznie postąpił, lecz tego ranka zastanawiałem się, czy w istocie lepiej mi się wiezie, skoro ów sukces w wielkim świecie przywiódł mnie w takie miejsce jak to, które nie przynosi nic poza złymi wspomnieniami.

Minąłem rząd gołębników, za którymi widać już było wielki staw zarośnięty trzcinami. Wykopano go dawno temu, aby hodować w nim ryby na potrzeby klasztoru. Wpadał doń wąski strumień, który wcześniej przepływał przez niewielki przepust pod murem na tyłach klasztoru. Nieopodal zobaczyłem dużą drewnianą bramę. Klasztory zwykle budowano nad strumieniami, aby wykorzystać nurt wody do splukiwania nieczystości. Dawni mnisi byli doskonałymi hydraulikami, prawdopodobnie jakaś konstrukcja kierowała ścieki tak, aby nie zanieczyszczały stawu rybnego. Stałem oparty na lasce przyglądając się temu widokowi, zbeształem się za ponure myśli. Przyjechałem tu, aby odkryć sprawcę morderstwa, a nie rozczulać się nad własną smutną przeszłością.

Uczyłem pewien postęp, choć niewielki. Wydawało mi się nieprawdopodobne, aby zbrodnię popełnił człowiek z zewnątrz. Chociaż jednak pięciu wyższych urzędników klasztornych znało cel wizyty Singletona w Scarnsea, trudno mi było sobie wyobrazić, aby któryś z nich przepełniony nienawiścią zamordował komisarza tym samym naraził opactwo na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Z drugiej strony każdy z nich przedstawiał niemałe wyzwanie dla kogoś, kto chciał ich poznać na wylot, a co najmniej jednym z nich, bratem Gabrielem, targały wewnętrzne rozterki, by nie rzec katusze.

Od początku rozważałem możliwość, że Singletona zamordowano, ponieważ odkrył tajemnicę któregoś z zakonników. Nadal wydawało się to prawdopodobne, choć trudno byłopogodzić ten motyw z dramatycznymi okolicznościami jego śmierci. Westchnąłem. Zastanawiałem się, czy nie przyjdzie mi w końcu przesłuchiwać po kolei każdego mnicha służącego w klasztorze do reszty podupałem na duchu, myśląc, ile to może potrwać. Z największą radością opuściłbym to przekłete, groźne gmaszysko jak najszybciej, ponadto lord Cromwell oczekiwał na wyniki mego dochodzenia. Niestety, jak to trafnie ujął Mark, mogłem działać tylko tyle, ile leży w ludzkiej mocy. W następnej kolejności muszę sprawdzić, czy ktoś spoza klasztoru mógł się dostać na jego teren od strony bagna. „Wszystkie okoliczności”, mruczałem pod nosem, brnąc przez śnieg. Muszę sprawdzić wszystkie okoliczności.

Doszedłem do stawu pochyliłem się nad gładką taflą. Powierzchnię pokrywała cienka warstwa lodu, ale słońce stało już prawie nad głową, udało mi się więc dojrzeć zamglony kształt wielkiego karpia śmigającego w zarośniętej trzcinami wodzie.

Kiedy się wyprostowałem, coś jeszcze przyciągnęło mój wzrok — niewyraźny żółtawy błysk na dnie jeziora. Zaintrygowany pochyliłem się jeszcze raz. Z początku nie mogłem zobaczyć tego, co wcześniej zwróciło mą uwagę, jużem sądził, że była to jeno zwodnicza gra światła, ale po chwili

ujrzałem to znowu. Przyklęknąłem. Dłonie kłuły mnie od lodowatego śniegu, a ja usiłowałem przebić wzrokiem zamrażającą toń. Bez wątplenia coś tam leżało — na dnie stawu migotała żółta plama. Relikwiarz był ze złota, wiele drogocennych mieczy ma pozłacaną rękojeść. Warto było to sprawdzić. Zadrżałem. Nie miałem ochoty stawić teraz czoło lodowatej głębinie, ale mogę wrócić tu później z Markiem. Podniosłem się, otrzepałem ubranie ze śniegu, owinąłem się szczelniej płaszczem ruszyłem w stronę bramy.

Zauważyłem, że w kilku miejscach mur był naprawiany z grubsza nierówno. Odpiąłem od paska pęk kluczy znalazłem pasujący do starego, ciężkiego zamka. Furta otworzyła się ze skrzypieniem. Wyszedłem na wąską dróżkę, która biegła wzdłuż ogrodzenia, a jej brzeg opadał stromo ku linii, gdzie zaczynało się grzędawisko. Nie zdawałem sobie sprawy, że podchodziło aż tak blisko, w wielu miejscach ścieżka się urywała, zalana przez bagnistą wodę podmywającą mur tak, że trzeba go było wielokrotnie odbudowywać. Od strony zewnętrznej robiono to jeszcze bardziej niedbale, do tego stopnia, że gdzieś zwinny człowiek mógłby się nawet wdrapać po tej nierównej powierzchni.

— A niech to piekło pochłonie — burknąłem do siebie, albowiem teraz nie mogłem wykluczyć nawet tej możliwości.

Rozejrzałem się po bagnisku. Przykryte śniegiem, spod którego wystawały miejscami gęste kępy trzciny zamrażające bajora stojącej wody, ciągnęło się jakieś pół mili aż do szerokiego pasa rzeki błękitnego nieba odbijającego się w jej niezamrażonej wodzie. Po drugiej stronie teren znów się wznosił ku porośniętemu lasem horyzontowi. Wszystko zastygło w bezruchu, jedynym znakiem życia były dwa ptaki unoszące się na wodzie. Kiedym tak patrzył, wzbiły się w powietrze, zanosząc swe smutne krzyki ku zimnemu niebu.

W połowie drogi między mną a rzeką wznosił się spory pagórek niczym wyspa pośrodku bagiennego morza. Na jego szczycie stały dość niskie ruiny. O nich to zapewne wspominał brat Gabriel: miejsce, gdzie osiedlili się pierwsi zakonnicy. Zciekawiony, mocno dzierząc w dłoni laskę, ostrożnie postawiłem jedną stopę obok ścieżki. Ku memu zdziwieniu grunt pod śniegiem okazał się twardy. Oderwałem od ziemi drugą nogę zrobiłem następny krok, znów poczułem pod stopą pewne oparcie. Była to jednak tylko cienka warstwa zamrażającej, zbitej trawy, która nagle pękła z trzaskiem mój but zapadł się z chlupotem w miękkie grzędawisko. Krzyknąłem wypuściłem z ręki laskę. Poczułem, jak gęste błoto wciąga powoli moją stopę, jak muł lodowata woda wlewają mi się do kalosza pełzną po łydce.

Zamachałem rękami, żeby nie stracić równowagi; przeraziłem się na myśl, że mógłbym się przewrócić wpaść twarzą w błoto. Lewą nogą stałem na twardym gruncie, zebrałem wszystkie siły zacząłem wyciągać stopę, przejęty grozą, czy pod moją drugą nogą cienka warstwa oparcia nie pęknie nie zapadnę się w jakąś niepojętą otchłań. Na szczęście jednak grunt wytrzymał pocąc się ze strachu wysiłku, przerażająco powoli wyciągnąłem ubłoconą stopę. Z trzęsawiska wydobywały się bulgoty odgłosy zasysania, a wraz z nimi odrażający, kloaczny odór. Cofnąłem się z walącym sercem ciężko usiadłem na ścieżce. Moja laska leżała w bagnie, lecz ani mi w głowie było ją odzyskiwać. Patrząc na swą nogę, oblepioną czarnym mułem, kląłem w duchu na własną głupotę. Warto byłoby zobaczyć minę lorda Cromwella, gdyby się dowiedział, że jego starannie dobrany komisarz, który stawia czoło groźnym tajemnicom Scarnsea, o mały włos nie utopił się w cuchnącym mokradle.

— Ty pusta mózgownico — rzekłem do siebie na głos.

Usłyszałem za sobą jakiś odgłos odwróciłem się gwałtownie.

W otwartej bramie stał brat Edwig w ciepłym płaszczu narzuconym na habit. Patrzył na mnie zdumiony.

— P-panie komisarzu, nic wam nie jest?

Rozglądał się po otaczającym nas pustkowiu domyśliłem się, że słyszał, jak gadam sam do siebie.

— Nic. — Podniosłem się świadom, że przedstawiam dość żałosny widok cały ochlapany błotem.  
— Miałem drobny wypadek, omal nie wpadłem do bagna.

Edwig pokręcił głową.

— Nie powinniście tu przychodzić, to bardzo niebezpieczne.

— Teraz już wiem. Ale co wy tu robicie, bracie szafarzu? Czyżby brakowało pracy przy księgach rachunkowych?

— Odwiedzałem z opatem chorego nowicjusza. Chciałem się przewietrzyć. Czasem tu przychodzę na spacer, kiedy chcę w spokoju pomyśleć.

Przyjrzałem mu się z zaciekawieniem. Nie należał do ludzi, których mógłbym sobie wyobrazić, jak wałęsają się po zaśnieżonych sadach dla ćwiczeń fizycznych.

— Lubię stąd patrzeć na rzekę, to działa bardzo uspokajająco.

— Pod warunkiem że się uważa, gdzie się stawia stopy.

— N-no tak. Pomóc wam wrócić, panie komisarzu? Cali jesteście w błocie.

Zaczynałem się trząść z zimna.

— Poradzę sobie. Ale rzeczywiście powinienem już wracać.

Ruszyliśmy z powrotem w stronę klasztoru. Szedłem jak najszybciej, czułem, jakbym zamiast nogi miał bryłę lodu.

— Jak się czuje nowicjusz?

Edwig pokręcił głową.

— Wygląda na to, że wraca do zdrowia, ale z tymi gorączkami, co idą z piersi, to nigdy nic nie wiadomo. Sam się takiej nabawiłem zeszłej zimy, przez dwa tygodnie nie mogłem potem wrócić do ksiąg.

— Co myślicie o traktowaniu Simona Whelplaya przez przeora?

Jeszcze raz niecierpliwie potrząsnął głową.

— To trudna sprawa. Musimy utrzymywać dyscyplinę.

— Ale czyż nie powinno się chronić przed wiatrem świeżo ostrzyżonych owiec?

— L-ludziom potrzebne jest poczucie pewności, muszą wiedzieć, że za zły postępek czeka ich kara. — Popatrzyl na mnie. — Wy tak nie uważacie, panie komisarzu?

— Niektórym ta nauka przychodzi trudniej niż innym. Mówiono mi, abym nie chodził na bagno, a jednak poszedłem.

— Ale to był błąd, a nie grzech, wasza miłość. A jeśli komuś trudno przychodzi nauka, tym bardziej powinien dostać surową nauczkę. Ten chłopak jest chorowity, mógł zapaść na gorączkę nawet bez kary — rzekł szafarz lodowato.

Uniosłem brwi.

— Widzicie świat w czarno-białych barwach, bracie szafarzu. Edwig sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Oczywiście, świat jest czarno-biały. Grzech cnota. Bóg szatan. Ustanowiono dla nas reguły musimy ich przestrzegać.

— Teraz reguły ustanawia król, a nie papież.

Spojrzał na mnie poważnie.

— Oczywiście, p-panie komisarzu, my musimy je respektować.

Pomyślałem, że zupełnie co innego mówił o szafarzu innych brat Athelstan.

— O ile mi wiadomo, nie było was w klasztorze tamtej nocy, kiedy zamordowano komisarza Singletona?

— T-to prawda. P-pojechałem do naszego majątku w Win-chelsea. Miałem zastrzeżenia do tego, jak prowadzi rachunki nasz tamtejszy zarządca. Pojechałem, aby zbadać tę sprawę na miejscu. Nie było mnie przez trzy noce.

— I co tam odkryliście?

— Obawiałem się, że z-zarządca nas oszukuje, ale okazało się, że to tylko zwykłe błędy. Mimo to go zwolniłem. Jeśli ktoś nie umie p-porządnie prowadzić rachunków, to na nic mi się nie przyda.

— Pojechaliście sami?

— Wziąłem ze sobą jednego z moich pomocników, brata Williama, tego, którego pan komisarz widział w pokoju księgowym. — Obrzucił mnie chytrym spojrzeniem. — A tej nocy, kiedy zabito komisarza Singletona, Panie, świeć nad jego duszą — dodał pobożnie — nocowałem w domu zarządcy.

— Widzę, że macie dużo obowiązków — zauważyłem. — Dobrze przynajmniej, że pomagają panu asystenci. Ten starszy mnich młodzieniec, prawda?

Spojrzał na mnie surowo.

— Tak, to prawda, chociaż z chłopaka niewielki pożytek.

— Doprawdy?

— Za grosz nie ma głowy do liczb. Kazałem mu szukać ksiąg, których żądaliście. Niebawem powinniście je dostać. Pośliznął się, a ja złapałem go za ramię.

— Dziękuję, panie komisarzu. O, Przenajświętsza Panienko, co za bieda z tym śniegiem!

Przez resztę drogi brat Edwig skupił się już tylko na tym, gdzie stawia nogi, aż do samego klasztoru prawie nie zamieniliśmy słowa. Rozstaliśmy się na dziedzińcu, brat Edwig wrócił do swych ksiąg, ja zaś skierowałem kroki z powrotem do infirmerii. Musiałem coś zjeść. Rozmyślałem o szafarzu: bezduszny urzędnik, opętany na punkcie odpowiedzialności za pieniądze klasztoru prawdopodobnie nieczuły na żadne inne sprawy, niemniej również oddany zakonowi. Czy uciekłby się do przestępstwa, aby chronić jego interesy, czy też nie przekroczyłby tej granicy między białym a czarnym? Był odstręczającą postacią, ale jak powiedziałem Markowi poprzedniego wieczoru, nie czyniło to zeń mordercy bardziej niż sympatia, jaką czułem do brata Gabriela, czyniła go niewinnym. Westchnąłem. Niełatwo o obiektywizm w tym przygnębiającym miejscu.

W sali chorych panowała cisza. Chory starzec leżał cichutko w łóżku, niewidomy mnich spał na fotelu, a łóżko otyłego zakonnika stało puste. Czyżby bratu Guyowi udało się go przekonać, że pora opuścić szpital? Ogień trzaskał w kominku jakby na powitanie, więc podszedłem doń skwapliwie, aby się chwilę ogrzać.

Podczas gdy stałem patrzyłem, jak parują moje mokre rajtuzy, skądś w infirmerii doszły mnie osobliwe odgłosy — pomieszane, urywane hałasy, krzyki, wołania brzęk tłuczonych naczyń. Dźwięki się zbliżyły. Patrzyłem osłupiały, jak z hukiem otwierają się drzwi do jednej z izb do sali chorych wpada kłębowisko szamoczących się osób: Alice, Mark, brat Guy, a w środku szczupła postać w białej koszuli nocnej, która na moich oczach odepchnęła od siebie pozostałych odeszła, chwiejąc się na nogach. Rozpoznałem Simona Whelplaya, ale Pośliznął się, a ja złapałem go za ramię.

— Dziękuję, panie komisarzu. O, Przenajświętsza Panienko, co za bieda z tym śniegiem!

Przez resztę drogi brat Edwig skupił się już tylko na tym, gdzie stawia nogi, aż do samego klasztoru prawie nie zamieniliśmy słowa. Rozstaliśmy się na dziedzińcu, brat Edwig wrócił do swych ksiąg, ja zaś skierowałem kroki z powrotem do infirmerii. Musiałem coś zjeść. Rozmyślałem o szafarzu: bezduszny urzędnik, opętany na punkcie odpowiedzialności za pieniądze klasztoru prawdopodobnie nieczuły na żadne inne sprawy, niemniej również oddany zakonowi. Czy uciekłby się do przestępstwa, aby chronić jego interesy, czy też nie przekroczyłby tej granicy między białym a czarnym? Był odstręczającą postacią, ale jak powiedziałem Markowi poprzedniego wieczoru, nie czyniło to zeń mordercy bardziej niż sympatia, jaką czułem do brata Gabriela, czyniła go niewinnym. Westchnąłem. Niełatwo o obiektywizm w tym przygnębiającym miejscu.

W sali chorych panowała cisza. Chory starzec leżał cichutko w łóżku, niewidomy mnich spał na fotelu, a łóżko otyłego zakonnika stało puste. Czyżby bratu Guyowi udało się go przekonać, że pora opuścić szpital? Ogień trzaskał w kominku jakby na powitanie, więc podszedłem doń skwapliwie, aby się chwilę ogrzać.



Podczas gdy stałem patrząc, jak parują moje mokre rajtuzy, skądś w infirmerii doszły mnie osobliwe odgłosy — pomieszane, urywane hałasy, krzyki, wołania brzęk tłuczonych naczyń. Dźwięki się zbliżyły. Patrzyłem osłupiały, jak z hukiem otwierają się drzwi do jednej z izb do sali chorych wpada kłębowisko szamoczących się osób: Alice, Mark, brat Guy, a w środku szczupła postać w białej koszuli nocnej, która na moich oczach odepchnęła od siebie pozostałych odeszła, chwiejąc się na nogach. Rozpoznałem Simona Whelplaya, alebył teraz jakby zupełnie innym człowiekiem niż ów ludzki wrak, którego widział w łóżku poprzedniej nocy. Twarz miał purpurowofioletową, oczy wytrzeszczone, a w kąciку ust spienioną ślinę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego z jego gardła wydobywał się jeno charkot odgłos z trudem łapanego powietrza.

— Wielkie nieba, co tu się dzieje? — spytałem Marka.

— Postradał rozum!

— Rozdzielmy się! Trzeba go złapać! — zawołał brat Guy.

Z ponurą miną skinął głową do Alice, która zrobiła kilka

kroków w bok rozpostarła ramiona. Infirmarz Mark poszli za jej przykładem razem ruszyli na Simona, który zatrzymał się toczył dookoła dzikim wzrokiem. Zbudził się niewidomy zakonnik z otwartymi ustami przekrzywił niespokojnie głowę na wszystkie strony.

— Co się dzieje? — pytał roztrzęsiony. — Bracie Guyu?

Wtedy stało się coś okropnego. Zdało mi się, że Whelplay

mnie zauważył natychmiast pochylił się w przód, naśladowując mój skrzywiony krok. Co więcej, wyciągnął przed siebie ręce zaczął nimi machać tam z powrotem, a zarazem jakby potrząsać szyderczo palcami. To maniera, którą zwykłem przejawiać, kiedy jestem bardzo podekscytowany, tak przynajmniej opowiadali mi koledzy z sądu. Skąd wszakże mógł o tym wiedzieć Simon Whelplay? Natychmiast cofnąłem się we wspomnieniach do owych szkolnych czasów, o których rozmyślałem, kiedy to okrutne dzieciaki przedrzeźniały moje ruchy, wyznają, że patrząc na zataczającego się Simona, zgiętego w pół gestykulującego gwałtownie, włosy zjeżyły mi się na karku.

Przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości krzyk Marka.

— Pomóż nam, wasza miłość! Na litość boską, złap go, bo nam ucieknie!

Z sercem walącym w piersi rozpostarłem ramiona na boki ruszyłem w stronę nowicjusza. Kiedym się zbliżył, zajrzałem mu w oczy aż się przeraziłem tego widoku: źrenice miały dwa razy większe niż normalnie, patrzył wokół dziko nieprzytomnie, nawet kiedy zataczał się z tym szyderczym, drwiącym gestem. Przypomniało mi się, co brat Gabriel mówił

o szatańskich siłach z grozą doszedłem do przekonania, że chłopiec został opętany.

Kiedyśmy zbliżaliśmy się do niego we czworo, Simon niespodziewanie dał susa w bok zniknął za niedomkniętymi drzwiami.

— Jest w łaźni! — zawołał brat Guy. — Stamtąd nie ma wyjścia. Uważajcie, bo podłoga tam śliska!

To rzekłszy, wbiegł do środka, a tuż za nim Alice. Mark

i ja popatrzyliśmy po sobie, po czym podążyliśmy za nimi.

W łaźni panował półmrok, tylko przez wysokie okno, na wpół zasypane śniegiem, wpadało do środka mleczne światło. Było to niewielkie kwadratowe pomieszczenie z podłogą wyłożoną kafkami wanną wpuszczoną w podłogę na samym środku, głęboką na jakieś cztery stopy. W jednym kącie stały szczotki noże do skrobania, a w powietrzu unosił się dojmujący, stęchły zapach niemytego ciała. Usłyszałem szum płynącej wody spojrzawszy w dół, zobaczyłem, że strumień przepływa przez przepust na dnie wanny. Simon Whelplay kulił się w dalekim kącie łaźni, drżąc w swej białej koszuli. Stałem przy drzwiach, gdy tymczasem brat Guy podchodził doń z jednej strony, a Alice z Markiem z drugiej. Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

— Chodź, Simonie, to ja, Alice. Nie zrobimy ci krzywdy.

Podziwiałem nieustraszoną tę młodą niewiastę, niewiele

kobiet odważyłoby się podejść z takim spokojem do mężczyzny, który wyglądał tak przerażająco jak Simon Whelplay.

Młodzieniec odwrócił się, twarz mu się wykrzywiła w udreżonym grymasie, tak że z trudem można go było rozpoznać. Przez chwilę patrzył na Alice niewidzącym wzrokiem, po czym jego oczy powędrowały do Marka. Wskazał na niego kościstym, chudym palcem zawołał chrypliwym, łamiącym się głosem, zupełnie odmienionym:— Nie podchodź do mnie! Tyś sługą szatana w tym jaskrawym odzieniu! Widzę je, diabły roją się w powietrzu gęsto jak pyłki kurzu! Są wszędzie!

Zakrył oczy dłońmi, zachwiał się raptem upadł do przodu, prosto do wanny. Usłyszałem trzask kości, kiedy z całej siły uderzył ramieniem o płytki na dnie. Potem znieruchomiał, jeno lodowata woda strumienia obmywała jego rozciągnięte ciało.

Brat Guy zszedł do wanny. Staliśmy dookoła, kiedy odwrócił nowicjusza twarzą do góry. Oczy nieszczęśnika uciekły do tyłu, białka odbijały się upiornie na tle sonej jeszcze twarzy. Infirmarz przyłożył mu dłoń do szyi, a po chwili westchnął głośno. Podniósł na nas oczy.

— Nie żyje.

Wstał przeżegnał się. Alice jęknęła rozdzierająco, po czym padła Markowi na pierś wybuchła oszalałym, spazmatycznym szlochem..

Rozdział trzynasty

Brat Guy Mark ostrożnie wyciągnęli ciało nowicjusza z wanny zanieśli je na korytarz. Infirmarz trzymał Simona pod ramiona, a poblady Mark za gołe, białe stopy. Ruszyłem za nimi razem z Alice, która po pierwszym gwałtownym wybuchu odzyskała spokój.

— Co się dzieje? — Niewidomy mnich poderwał się z fotela machał przed sobą rękami. Strach odbijający się na jego obliczu przejmował litością. — Bracie Guyu? Alice?

— Wszystko w porządku, bracie — odparła uspokajająco dziewczyna. — Zdarzył się wypadek, ale nie musisz się niczego obawiać.

Znów pomyślałem o godnym podziwu opanowaniu, jaki wykazywała ta młoda niewiasta.

Ciało ułożono w gabinecie infirmary pod hiszpańskim krucyfiksem. Brat Guy z zastygłą twarzą przykrył je prześcieradłem.

Wziąłem głęboki oddech. Byłem oszołomiony, to nie tylko z powodu szoku spowodowanego śmiercią nowicjusza. Wrażenia wywołane tuż przedtem wstrząsnęły mną do głębi. Echa dziecięcych katuszy mają potężną moc, zwłaszcza gdy zostaną przywołane w tak niewytłumaczalnych wstrząsających okolicznościach.— Bracie Guyu — rzekłem — nigdy przed wczorajszym dniem nie spotkał tego chłopca, a jednak kiedy mnie ujrzał, wydawało się, jakby... ze mnie drwił, jakby naśladował moją zgarbioną posturę ... pewne gesty, które czasem wykonuję w sądzie, wymachując rękami. To zaprawdę sprawiało wrażenie jakichś d-diabelskich sztuczek.

Przeklinałem siebie w duchu za to, że jąkam się niczym szafarz.

Przez dłuższą chwilę brat Guy przyglądał mi się uważnie.

— Przychodzi mi na myśl pewne wytłumaczenie, ale obym się mylił.

— Jakie wytłumaczenie, mówcie jaśniej, proszę.

— Muszę się nad tym zastanowić — odparł sucho brat Guy. — Na razie trzeba powiadomić opata.

— Dobrze. — Chwyciłem się rogu stolika, bo nogi zaczęły się pode mną trząść tak, że nie mogłem nad nimi zapanować. — Zaczekamy w kuchni.

Alice zaprowadziła nas z Markiem do małego pokoiku, gdzie zjedliśmy śniadanie.

— Nic wam nie jest, wasza miłość? — spytał niespokojnie Mark. — Drżycie na całym ciele.

— Nic, nic.

— Mam napar z ziół, który przynosi ciału ulgę w chwilach wstrząsu — rzekła Alice. — Waleriana z tojadem. — Mogę wam zagrzać, panie, jeśli chcecie.

— Dziękuję. — Alice nadal trzymała się bardzo dzielnie, ale policzki dziwnie jej błyszczały, tak że wyglądały niemal jak sińce. Zmusiłem się do uśmiechu. — Tobą również wstrząsnęło to, co się stało. To rozumiałe. Wyglądało, jakby sam diabeł wstąpił w tego nieszczęsnego młodzieńca.

Zdumiałem się, widząc, że twarz jej zapłonęła gniewem.

— Nie boję się diabłów, panie, chyba że takich ludzkich potworów jak te, które dręczyły biednego Simona. Zniszczono mu życie, zanim się jeszcze zaczęło, tacy nieszczęśnicy zasługują, aby ich opłakiwać. — Umilkła, czując, że jak na

służkę trochę się zapędziła. — Przyniosę naparu — rzekła szybko wyszła.

Spojrzałem na Marka, unosząc brwi.

— Wygadana dziewczka.

— Wiedzie ciężkie życie.

Zacząłem obracać na palcu żałobny pierścień.

— Nie ona jedna na tym padole łez.

Zerknąłem na mego młodego towarzysza. Zadurzył się, pomyślałem.

— Rozmawiałem z nią, tak jak sobie wasza miłość życzył.

— Opowiedz mi więc — zachęciłem go.

Sam potrzebowałem oderwać myśli od wspomnień tego, co tu się wydarzyło.

— Mieszka tu osiemnaście miesięcy. Pochodzi ze Scarnsea, jej ojciec umarł młodo, wychowywała ją matka zielarka.

— Zatem wiemy już, skąd czerpała swą wiedzę.

— Miała wyjść za mąż, ale jej luby zginął w wypadku przy wyrębie lasu. W mieście brakuje pracy, udało jej się zatrudnić jako pomoc u aptekarza w Esher, którego znała jej matka.

— A więc sporo podróżowała. Tak myślałem, że z niej niespokojny duch, nie wygląda na zwykłą wieśniaczkę.

— Całkiem dobrze zna te okolice. Wypytywałem ją o bag-nisko. Mówi, że jeśli się zna odpowiednie ścieżki, można się przez nie przeprowadzić. Pytałem, czyby nas przeprowadziła. Zgodziła się.

— Tak, to by nam mogło pomóc.

Zrelacjonowałem mu to, com usłyszał od brata Gabriela o przemytnikach, a potem opowiedziałem o swojej wyprawie na bagno przygodzie, która mnie spotkała. Pokazałem mu ubłoconą nogę.

— Jeśli naprawdę wiodą tamtędy ścieżki, nasz przewodnik musi być bardzo ostrożny. Na rany Chrystusa, cóż za dzień pełen wstrząsających wydarzeń.

Moja dłoń na stole drżała, nie mogłem tego powstrzymać.

r

Mark również był blady. Przez dłuższą chwilę milczeliśmy, aż w końcu zapragnąłem przerwać ciszę.

— Zdaje się, że mieliście dłuższą pogawędkę. Jak Alice tu trafiła?

— Zmarł aptekarz, u którego pracowała. Był w podeszłym wieku. Wróciła do Scarnsea, ale wkrótce potem umarła jej matka. Ziemia, na której stał ich dom, była dzierzawiona właściciel zażądał jej zwrotu. Dziewczyna nie wiedziała, co ze sobą począć. Wtedy ktoś jej powiedział, że infirmarz w klasztorze szuka świeckiego pomocnika. Nikt w mieście nie chciał u niego pracować, nazywają go tu czarnym goblinem, ale ona nie miała wyjścia.

— Odniosłem wrażenie, że nie darzy nadmiernym szacunkiem naszych świętych braciszków.

— Mówi, że wielu z nich to lubieżnicy, nie przestają jej napastować, próbują jej dotykać. Jest tu jedyną młodą kobietą. Zdaje się, że nawet sam przeor jej się naprzykrzał.

Uniosłem brwi.

— Widzę, że ta młódka naprawdę nie owija w bawełnę.

— Jest rozgoryczona gniewna. Przeor zaczął ją napastować, gdy tylko tu przyjechała.

— Rzeczywiście zauważyłem, że go nie lubi. Fuj, co za hipokryta, wymierza innym kary za grzeszne myśli, a sam napastuje służki. Czy opat o tym wie?

— Powiedziała o tym infirmarzowi brat Guy sprawił, że Mortimus zaprzestał swych natręctw. Opat rzadko się wtrąca w takie sprawy. Popiera żelazną dyscyplinę przeora zostawia mu wolną rękę. Chyba wszyscy mnisi się go boją, ci, którzy byli winni sodomii, zbyt są przerażeni, aby folgować swym niskim żądom.

— I właśnie widzieliśmy skutki tej dyscypliny.

Mark przeciągnął dłonią po czole.

— To prawda — zgodził się posępnie.

Przez chwilę rozmyślałem w milczeniu.

— Alice wykazała się brakiem lojalności, mówiąc takie

rzeczy asystentowi komisarza. Czy ona jest zwolenniczką reformacji?

— Raczej nie. Ale nie widzi powodu, aby miała trzymać w tajemnicy postęпки tych, którzy ją nękają. To niewiasta

o silnych uczuciach, lecz czystych. Nie jest zuchwała ani złośliwa. Bardzo ciepło mówi o bracie Guyu. Wiele ją nauczył

i chroni ją przed tymi, którzy się jej naprzykrzają. Poza tym jest przywiązana do tych starych, nieszkodliwych ludzi, których pielęguje.

Popatrzyłem na swego młodego asystenta w zadumie.

— Bacz, abyś nie wykazał zbyt dużo sentymentu do tej dziewczyny — rzekłem cicho. — Lord Cromwell życzy sobie zamknięcia tego klasztoru, może się zdarzyć, że będziemy musieli znów pozbawić ją domu.

Mark zmarszczył czoło.

— To by było okrutne. Poza tym ona nie jest dziewczęciem, ma dwadzieścia dwa lata, to dorosła kobieta. Czy nic nie można dla niej uczynić?

— Mógłbym spróbować. — Myślałem przez chwilę. — A więc infirmarz ją chroni. Ciekawe, czy ona odwzajemniłaby się mu tym samym.

- Wasza miłość chce powiedzieć, że brat Guy może mieć jakieś sekrety?
- Nie wiem. — Wstałem podszedłem do okna. — Mam mętlik w głowie.
- Mówiliście, wasza miłość, że ten nowicjusz was przedrzeźniał — powiedział z wahaniem Mark.
- Ty nie miałeś takiego wrażenia?
- Nie mam pojęcia, skąd miałby wiedzieć...

Przełknąłem ślinę.

- ...jak gestykuluje, kiedy przemawiam w sądzie? Ja również nie wiem.

Stałem bez ruchu patrzyłem przez okno, obgryzając paznokieć kciuka, dopóki nie zobaczyłem brata Guya wracającego w towarzystwie opata przeora. Wszyscy trzej przeszli szybko

koło okna, wzniesając małe chmury śniegu. Kilka chwil później usłyszeliśmy głosy dochodzące z pokoju, gdzie leżały zwłoki. Znowu rozległy się kroki trzej zakonnicy weszli do kuchni. Siedząc, przyglądałem się wszystkim po kolei. Brązowa twarz brata Guya nie wyrażała niczego, czerwone oblicze Mortimusa było pełne gniewu, ale strachu. Opat sprawiał wrażenie, jakby się zapadł w siebie, potężny ów człek skurczył się poszarzał.

- Panie komisarzu — rzekł cichym głosem — przykro mi, że był pan świadkiem tej okropnej sceny.

Wziąłem głęboki oddech. W tamtej chwili miałem ochotę raczej skulić się gdzieś w kącie, niż reprezentować autorytet władzy przed tymi żalosnymi ludźmi. Nie miałem jednak wyboru.

- To prawda — odparłem — zamieszkałem w infirmerii, aby znaleźć tu ciszę i spokój podczas prowadzenia śledztwa, tymczasem napotykałem na głodzonego, zmarzniętego nowicjusza, który najpierw omal nie umiera wskutek gorączki, aby w końcu" postradać do reszty zmysły w tym szaleństwie zginąć.

- Złe go opętało! — odezwał się przeor cierpkim, surowym głosem bez cienia sarkazmu. — Zatrzymał swój umysł, aż w końcu dał do niego przystęp szatanowi. Spowiadałem go, wyznaczyłem mu pokutę, aby go umartwić, ale było za późno. Baczcie na potęgę diabła. — Ściągnął usta spojrzał na mnie wrogo. — Szatan czai się wszędzie, a spory między chrześcijanami odwracają naszą uwagę od tego, czego winniśmy się strzec.

- Chłopiec mówił, że widzi w powietrzu tyle diabłów co drobinek kurzu — zauważyłem. — Sądzicie, że mówił prawdę?

- Panie komisarzu, nawet najbardziej zagorzali reformatorzy nie podają w wątpliwość, że świat jest pełen szatańskich sprawek. Czyż nie mówi się, że sam Luter rzucił Biblię w diabła we własnym pokoju?

- Takie przywidzenia może wywołać również gorączka mózgu.\*

Spojrzałem na brata Guya, który skinął głową.

— Zaiste — przyznał opat. — Kościół wie o tym od stuleci. Musimy przeprowadzić pełne badanie.

— Och, co tu badać? — wybuchnął gniewnie przeor. — Simon Whelplay otworzył duszą przed diabłem, szatan go opętał kazał mu rzucić się do wanny, aby się zabił jako te wieprze gerezańskie skaczące z urwiska. Dusza jego jest już w piekle, chociażem starał się go uratować.

— Nie sądzę, aby zmarł wskutek upadku — odezwał się brat Guy.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— I skąd to niby brat wie? — spytał przeor pogardliwym tonem.

— Ponieważ nie uderzył się w głowę — odparł spokojnie infirmarz.

— Więc jak...

— Tego jeszcze nie wiem.

— Tak czy inaczej — odezwałem się surowo, patrząc na przeora — zbytnią dyscypliną doprowadzono go na skraj wyczerpania.

Przeor spojrział na mnie wyzywająco.

— Wikariusz generalny życzy sobie, aby w klasztorach zaprowadzono porządek. I ma rację, bo dawna rozwiązłość narażała dusze na niebezpieczeństwo. Jeśli w wypadku Simona Whelplaya moje metody zawiodły, to jeno dlatego, że nie były dość surowe albo grzech przeżarł już jego serce na wskroś. Ale ja powiem to samo co lord Cromwell: tylko żelazną dyscypliną można zreformować zakony. Nie żałuję tego, co zrobiłem.

— Co wy na to, bracie opacie.

— Możliwe, że tym razem posunąłeś się nieco za daleko w swej surowości, Mortimusię. Bracie Guyu, ty, ja przeor spotkamy się później, aby przedyskutować tę sprawę. Utworzymy komisję śledczą. Tak, tak, komisję.

To słowo jakby go podniosło na duchu. Brat Guy westchnął głęboko.

— Najpierw muszę zbadać jego biedne szczątki.

— Dobrze — zgodził się opat. — Zrób to, proszę. — Powoli wracała mu pewność siebie. Odwrócił się do mnie. — Komisarzu Shardlake, był u mnie brat Gabriel. Przypomniał sobie, że kilka dni przed śmiercią komisarza Singletona widział światła na bagnach. Sądzę, że miejscowi przemytnicy mogą być odpowiedzialni za tę zbrodnię. To ludzie bezbożni: jeśli ktoś łamie przykazania prawa, to wystarczy mu uczynić tylko jeden krok dalej, aby złamać przykazania boskie.

— Wiem o tych światłach, wyszedłem dzisiaj, aby spojrzeć na te mokradła. Poruszę jutro tę sprawę z sędzią pokoju, to jeden z tropów w moim śledztwie.

— Sądzę, że to jest odpowiedź.

Przemilczałem to stwierdzenie, a po chwili opat ciągnął:

— Proponuję, aby na razie powiedzieć braciom, że Simon zmarł wskutek choroby. Jeśli pan komisarz się zgodzi.

Zastanawiałem się nad propozycją Fabiana. Mnie również zależało, aby nie wzbudzać w klasztorze dodatkowej paniki.

— Niech tak będzie.

— Muszę napisać list do jego rodziny. Powiem im to samo...

— Zaiste, lepsze to, niż pisać, że zdaniem przeora ich syn smaży się w piekle — warknąłem, bo poczułem nieprzepatą odrazę do nich obydwu.

Przeor otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale opat nie dopuścił go do słowa.

— Chodź, Mortimusi, czas na nas. Musimy wydać rozporządzenia, aby wykopano następny grób.

To rzekłszy, ukłonił się wyszedł, a zanim podążył Mortimus, rzuciwszy mi ostatnie, groźne spojrzenie.

— Bracie Guyu, jak myślicie, co zabiło tego chłopca?

— Zamierzam się tego dowiedzieć. Muszę go otworzyć. — Pokręcił głową. — To niełatwe zadanie, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z kimś, kogo się znało. Ale trzeba to zrobić jak najszybciej, póki ciało jest jeszcze ciepłe.

Skłonił głowę zamknął oczy w cichej modlitwie, potem wziął głęboki oddech.

— Wybaczcie mi.

Kiwnąłem głową infirmarz wyszedł. Słyszałem jego ciche kroki oddalające się w stronę gabinetu. Obaj z Markiem siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Na jego policzki z wolna powracały kolory, mimo to nigdy go przedtem nie widział tak bladego. Ja również czułem się oszołomiony, na szczęście przestałem się chociaż trząść. Pojawiła się Alice z kubkiem parującego napoju.

— Przygotowałam wam napar, panie.

— Dziękuję.

— W holu stoją dwaj bracia z wielką stertą ksiąg rachunkowych.

— Co? A tak. Marku, czy możesz dopilnować, aby zanieśli je do naszego pokoju?

— Dobrze, wasza miłość.

Kiedy otworzył drzwi, od strony gabinetu infirmarz dobiegł mnie odgłos piłowania. Kiedy zatrzasnął je za sobą, z ulgą zamknąłem oczy. Upiłem łyk naparu, który przyniosła Alice. Miał ciężki, piżmowy smak.

— Dobrze robi na wstrząśnięty umysł, panie. Reguluje humory.



— To bardzo pocieszające, dziękuję.

Dziewczyna stała dalej z dłońmi splecionymi przed sobą.

— Panie, chciałabym przeprosić za swe poprzednie słowa. To dlatego, że byłam wstrząśnięta.

— Nic się nie stało. Wszyscy byliśmy zdenerwowani.

Milczała niepewnie.

— Pewnie uważacie, że to dziwne, co mówiłam: że nie boję się sztuczek diabelskich po tym, co widziałam.

— Nie. Wielu z nas zbyt pochopnie pragnie się dopatrywać ręki diabła w każdym złu, którego nie rozumie. Taka była również moja pierwsza reakcja na to, com widział, myślę jednak, że brat Guy zna inne wytłumaczenie. Bada teraz... ciało. Przeżegnała się.

— Mimo to — ciągnąłem — nie wolno nam zamykać oczu na dzieła szatana na tym świecie.

— Myślę, że... — urwała.

— Mów śmiało. Możesz być ze mną szczerą. Usiądź, proszę.

— Dziękuję.

Usiadła wpiła we mnie spojrzenie bystrych błękitnych oczu. Patrzyły bardzo czujnie. Zauważyłem też, że ma czystą, zdrową skórę.

— Uważam, że diabeł działa na świecie poprzez złe uczynki ludzi, chciwość, okrucieństwo ambicję. Rzadko opętuje człowieka, aby przywieść go do szaleństwa.

Pokiwałem głową.

— Tak ja uważam, Alice. Dość się naogładałem w sądzie tych przywar. I to nie tylko wśród oskarżonych. Ludzie, którzy je przejawiali, byli aż nadto zdrowi na umyśle.

Niespodziewanie przed oczami stanęła mi jak żywa twarz lorda Cromwella. Zamrugąłem aby odpędzić ten obraz.

Alice kiwnęła smutno głową.

— Takie zło spotyka się na każdym kroku. Czasem mi się zdaje, że żądza pieniędzy władzy zamienia ludzi w ryczące lwy, które szukają, co jeszcze mogłyby pożreć.

— Dobrze powiedziane. Wszelako nie mogę pojąć, gdzie tak młoda niewiasta spotkała tyle zła. Chyba nie w tym przybytku?

— Obserwuję świat rozmyślałam o tym, co widzę. — Wzruszyła ramionami. — Może trochę bardziej niż przystoi kobiecie.

— Ależ nie, Alice. Bóg dał niewiastom rozum tak samo jak mężczyznom.

Uśmiechnęła się cierpko.

— Niewielu znaleźlibyście tu ludzi, którzy by się z wami zgodzili, panie.

Pociągnąłem następny łyk mikstury. Poczułem, jak rozgrzewa odpęza me zmęczone mięśnie.—

To bardzo dobre. Pan Poer mówił mi, że znasz się na sztukach leczniczych.

— Dziękuję. Moja matka była znachorką. — Twarz jej pociemniała na chwilę. — Niektórzy ludzie w mieście łączą tę sztukę z czarną magią, ale ona tylko gromadziła wiedzę. Przejęła ją od swojej matki, która z kolei zaczerpnęła ją od swojej. Aptekarz często zasięgał jej rady.

— A potem u niego pracowałaś, prawda?

— Tak. Wiele mnie nauczył. Ale umarł, więc musiałam wrócić do domu.

— Tylko po to, aby go wkrótce stracić.

Ściągnęła usta.

— Umowa dzierżawy wygasła wraz ze śmiercią mojej matki. Właściciel ziemi zburzył nasz dom, a ziemię ogrodził dla owiec.

— Przykro mi. Ziemie grodzone na pastwiska niszczą angielską wieś. To przedmiot wielkiej troski lorda Cromwella.

Przyjrzała mi się ciekawie.

— Znać go, panie? Lorda Cromwella?

Skinąłem głową.

— Tak. Służę u niego od dawna.

Patrzyła na mnie długo badawczo, z zaciekawieniem, po czym spuściła wzrok siedziąca w milczeniu, z dłońmi na kolanach. Miała spracowane dłonie, ale nadal całkiem kształtne.

— Wstąpiłaś tu na służbę po śmierci matki? — spytałem.

Uniosła głowę.

— Tak. Brat Guy jest dobrym człowiekiem. Mam... mam nadzieję, że nie bierzecie mu za złe jego niezwyklego wyglądu, panie. Niektórzy tak.

Potrząsnąłem głową.

— Nie. Moim zadaniem jest zaglądać głębiej niżli w kolor skóry, inaczej marny byłby ze mnie pożytek jako komisarza. Chociaż przynaję, że przeżyłem szok, kiedym go ujrzał po raz pierwszy.

Wybuchnęła śmiechem, błysnęły jej równiutkie białe zęby.

— Ja też. Myślałam, że to twarz wyrzeźbiona w drewnieożyła. Wiele tygodni minęło, zanim nauczyłam się widzieć w nim takiego samego człowieka jak wszyscy inni. Wiele się od niego nauczyłam.

— Może pewnego dnia będziesz mogła wykorzystać tę wiedzę. W Londynie jest wiele aptekarek, ale to najczęściej wdowy, a ty niewątpliwie wyjdiesz za mąż.

Wzruszyła ramionami.

— Może kiedyś.

— Mark powiedział mi, że miałaś narzeczonego, który umarł.

— Tak — odrzekła powoli. Jej oczy znowu ożyły czujnie. — Pan Poer wiele wam o mnie powiedział.

— No cóż, musisz zrozumieć, że naszym zadaniem jest dowiedzieć się jak najwięcej o osobach, które tu mieszkają.

Uśmiechnąłem się do niej pokrzepiająco, a w każdym razie miałem nadzieję, że tak to wyszło. Alice wstała podeszła do okna. Kiedy się odwróciła, widać było, że podjęła jakąś decyzję, bo ramiona miała napięte.

— Panie komisarzu, czy jeśli o czymś wam powiem, zachowacie to w tajemnicy? Bo ja potrzebuję tej pracy...

— Tak, Alice, masz na to moje słowo.

— Pomocnicy brata Edwiga powiedzieli, że przynieśli wam wszystkie księgi, o które prosiliście.

— Owszem.

— To nieprawda. Nie przynieśli księgi, którą miał u siebie komisarz Singleton tamtej nocy, gdy zginął.

— Skąd wiesz?

— Ponieważ wszystkie księgi, które przynieśli, są brązowe, a ta, którą studiował komisarz, miała niebieską oprawę.

— Jesteś tego pewna?

Zawahała się.

— Zachowacie to dla siebie, panie, jeśli powiem?

— Obiecuję. Chciałabym, abyś mi ufała, Alice.

Nabrała powietrza.

— Po południu tego dnia, gdy zabito komisarza, byłam

w mieście po różne sprawunki do infirmerii. Kiedym wracała, przed drzwiami izby rachunkowej minęłam komisarza Singletona brata Athelstana.

— Asystenta szafarza?

— Tak. Pan komisarz trzymał w rękach dużą niebieską księgę krzyczał na Athelstana. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby zniżyć głos, kiedy przechodziłam. — Roześmiała się trochę zgryźliwie. — W końcu jestem tylko służką.

— Co takiego mówił?

— Zawołał: „I myślał, że ją przede mną ukryje w szufladzie?”. Pamiętam dokładnie te słowa. Brat Athelstan wykrztusił coś, że komisarz nie ma prawa myszkować po prywatnym gabinecie szafarza pod jego nieobecność, a komisarz na to, że ma prawo myszkować wszędzie, a ta księga rzuca nowe światło na tegoroczne rachunki klasztoru.

— I co na to odparł brat Athelstan?

— Nic. Był bardzo wystraszony, wyglądał jak zbity pies. Komisarz oświadczył, że zamierza przestudiować dokładnie tę księgę, a potem odszedł. Pamiętam jego triumfalną minę. Brat Athelstan stał tam przez chwilę, potem mnie zobaczył. Posłał mi groźne spojrzenie wchodząc do środka, walnął drzwiami.

— I więcej niczego na ten temat nie słyszałaś?

— Nie, panie. Wieczór już wtedy zapadał. Następne, co usłyszałam, to to, że komisarz nie żyje.

— Dziękuję ci, Alice, to mi może bardzo pomóc. — Przerwałem przyjrzałem jej się uważnie. — Przy okazji, pan Poer wspominał mi, żeś miała pewne kłopoty z przeorem.

Na jej oblicze powrócił zuchwały wyraz.

— Na początku, kiedy zaczęłam tu pracować, próbował wykorzystać moją podległość jako służki. Ale to już zamknięta sprawa.

Kiwnąłem głową.

— Umiesz rozmawiać bardzo otwarcie, podziwiam cię za to, Alice. Jeśli przyjdzie ci do głowy coś, co mogłoby pomóc mi w dochodzeniu, proszę, abyś do mnie przyszła. Jeśli potrzebujesz ochrony, mogę ci ją zapewnić. Zajmę się sprawą tej księgi, ale nie wspomnę nikomu, że dowiedziałem się o niej od ciebie.

— Dziękuję, panie. Teraz zechciejcie mi wybaczyć, powinnam pomagać bratu Guyowi.

— To ponure zajęcie dla młodej niewiasty.

Wzruszyła ramionami.

— Należy do moich obowiązków. Przywykłam do widoku zwłok. Moja mama zajmowała się przygotowaniem zmarłych do pochówku.

- Masz więcej charakteru niż ja, Alice.
- Życie pozbawiło mnie delikatności — odrzekła z niespodziewaną goryczą.
- Nie to chciałem powiedzieć.

Uniosłem dłoń, aby zaprotestować, a wtedy potrąciłem ramieniem kubek o mało nie strąciłem go na podłogę, lecz Alice, która podchodziła z powrotem do stołu, błyskawicznie wyciągnęła rękę, złapała naczynie ustawiła je z powrotem.

- Dziękuję. Wielkie nieba, ależ masz szybką rękę.
- Brat Guy ciągle coś upuszcza. A teraz wybaczone mi, panie, ale muszę już iść.
- Naturalnie. Dziękuję, że powiedziałaś mi o księgach. — Uśmiechnąłem się. — Wiem dobrze, że królewski komisarz budzi zwykle lęk u ludzi.
- Wy jesteście inni, panie.

Popatrzyła na mnie poważnie, po czym odwróciła się szybko wyszła z pokoju.

■

Powoli dokończyłem swój napar, który rozgrzewał mnie przyjemnie we wnętrzu. Myśl, że Alice mi ufa, również napełniała mnie pokrzepiającym ciepłem. Gdybym ją poznał w innych okolicznościach gdyby nie była służką...

Zacząłem się zastanawiać nad jej ostatnimi słowami. Co

miała na myśli, mówiąc, że „inni”? Zapewne maniere Singletona skłoniły ją do wniosku, że wszyscy komisarze to napastliwi tyrani. Zdawało mi się jednak, że w jej głosie wyczułem coś jeszcze. Nie podejrzewałem, aby mogła czuć do mnie pociąg tego rodzaju, jaki ja czułem do niej, co właśnie sobie uświadomiłem. Uprzytomniłem sobie również, że zdradziłem przed nią wszystko, co mi przekazał Mark. Może mu przestać ufać. Przestraszyłem się, czując, że sprawiło mi to drobną przyjemność. Zmarszczyłem brwi, albowiem zazdrość jest grzechem śmiertelnym. Czym prędzej zwróciłem myśli ku temu, co mi powiedziała na temat księgi rachunkowej. Zapowiadało się to na wielce obiecujący trop w moim śledztwie.

Niebawem zjawił się Mark. Kiedy otworzył drzwi, z ulgą stwierdziłem, że odgłos piłowania umilkł.

- Pokwitowałem odbiór ksiąg, wasza miłość. Osiemnaście ogromnych tomów. Strasznie się naburczeli, jak to im utrudni pracę.
- A niech ich zaraza. Czyś wychodząc zamknął, drzwi na klucz?
- Tak, wasza miłość.
- Zauważyłeś może, czy któraś z ksiąg ma niebieską oprawę?
- Wszystkie są brązowe.

Kiwnąłem głową.

— Chyba wiem, czemu szafarz tak się dawał we znaki młodemu Athelstanowi. Czeką nas jeszcze jedna rozmowa z bratem Edwigiem, to może się okazać bardzo ważne...

Przerwałem, bo do kuchni wszedł infirmarz. Twarz miał ściągniętą poblądłą. Pod pachą trzymał poplamiony fartuch, który wrzucił do kosza w kącie.

— Panie komisarzu, czy możemy porozmawiać na osobności?

— Oczywiście.

Wstałem ruszyłem za nim. Bałem się, czy nie zaprowadzi mnie do sali ze zwłokami, ale na szczęście wyszedł na dwór. Słońce zaczynało zachodzić rzucało różowy blask na biały ogród z ziołami. Brat Guy stawiał uważnie kroki między roślinami, dopóki nie doszedł do dużego, ośnieżonego krzewu.

— Wiem już, co zabiło biednego Simona nie było to opętanie przez demona. Ja także zauważyłem, jak jego ciało się skręcało, jak wymachiwał rękami, ale to nie miało nic wspólnego z wami. Te spazmy są typowym objawem, podobnie jak utrata głosu wizje.

— Typowym objawem czego?

— Zatrucia jagodami z tego krzewu. — Potrząsnął gałązkami, na których wisało kilka szerniałych, uschniętych liści.

— Belladonna, śmiertcionośna psianka, jak ją nazywają w tych okolicach.

— Chcecie powiedzieć, że Simon został otruty?

— Belladonna ma słaby, lecz charakterystyczny zapach. Używam jej od lat, więc dobrze go znam. Znalazłem ją we wnętrzościach Simona, jak również w jego miodzie pitnym, który stał. koło łóżka.

— Jak to się stało? Kiedy?

— Z całą pewnością dziś rano. Objawy nadchodzą bardzo szybko. To moja wina, gdybym nie odstąpił jego łóżka lub kazał zostać przy nim Alice...

Przeciągnął dłonią po czole.

— Nie mogliście wiedzieć, co się stanie. Kto jeszcze był z nim sam na sam?

— Brat Gabriel odwiedził go wczoraj późno w nocy, po tym, jak udaliście się na spoczynek, a potem znowu dziś rano. Był bardzo zdenerwowany, pozwoliłem mu się pomodlić przy łóżku chłopca. Potem przyszli szafarz opat.

— Tak, zapowiadali, że się tu wybierają.

— Dzisiaj rano, kiedy przyszedłem go zbadać, zastałem również przeora Mortimusa.

— Przeora?

— Stał przy łóżku patrzył na chłopca z góry. Miał bardzo zatroskaną minę. Sądziłem, że trapi się następstwami swojej zbyt surowej dyscypliny. — Ściągnął usta. — Sok z belladonny jest słodki, a jej zapach zbyt słaby, aby go poczuć w miodzie.

— Stosuje się go jako lekarstwo na niektóre dolegliwości, prawda?

— W małych ilościach pomaga zwalczać zaparcia, ma też inne zastosowania. Trzymam w infirmerii niewielki zapas, dość często ją zalecam. Wielu zakonników przechowuje ją również u siebie, na własny użytek, jej właściwości są powszechnie znane.

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Wczoraj w nocy Simon zaczął mi coś mówić. Powiedział, że przed komisarzem Singletonem ktoś już zginął. Zamierzałem go wypytać o tę sprawę dzisiaj rano, kiedy się obudzi. — Spojrzałem surowo na infirmarza. — Czy wy lub Alice powiedzieliście komuś o tym, co usłyszałem od Whelplaya?

— Ja nie. Alice z całą pewnością również. Ale chłopak mógł majaczyć w gorączce, kiedy go odwiedzali inni.

— I jeden z nich uznał, że trzeba mu zamknąć usta.

Brat Guy przygryzł wargę ciężko pokiwał głową.

— Biedny dzieciak — rzekłem. — A ja myślałem jeno o tym, że mnie przedrzeźnia.

— Rzeczy rzadko są takie, jakimi się wydają.

— W tym miejscu jeszcze mniej niż gdzie indziej. Czemu przyszliście z tym najpierw do mnie zamiast do opata?

Infirmarz spojrzał na mnie ponuro.

— Ponieważ opat był jedną z osób, które go odwiedzały. Reprezentujecie władzę, panie komisarzu, wierzę, że chcecie odkryć prawdę, nawet jeśli nie zgadzamy się w wielu kwestiach na temat religii.

Kiwnąłem głową.

— Na razie proszę nikomu nie mówić o tym, co mi ujawniliście. Muszę starannie przemyśleć dalsze postępowanie.

Spojrzałem na niego, aby sprawdzić, jak przyjął te polecenia, ale on tylko skinął ze znużeniem głową. Spojrzał w dół na moją nogę oblepioną błotem. — Czyżby spotkała pana przygoda? — spytał.

— Wpadłem do bagna, na szczęście udało mi się wydostać samemu.

— Teren jest tam bardzo zdradliwy.

— Mam wrażenie, że w całym klasztorze nie ma miejsca, gdzie mógłbym bezpiecznie stąpać. Wróćmy do środka, bo my dostaniemy gorączki. — Wszedłem pierwszy do infirmerii. — Jakie to dziwne: moje błędne podejrzenia, że nowicjusz się ze mnie naigrywa, doprowadziły do odkrycia prawdy o jego śmierci.

— Przynajmniej przeor nie będzie mógł się dłużej upierać, że Simon poszedł do piekła.

— Tak. Zapewne poczuje się rozczarowany.

Chyba że to on jest zabójcą, pomyślałem, ale w takim wypadku sam już o tym wie. Zazgrzytałem zębami. Gdybym nie pozwolił Alice bratu Guyowi odgonić się wczoraj wieczorem od łóżka Simona, nie tylko znałbym całą jego historię, nie tylko poznałbym ważny trop w śledztwie, ale może jemu samemu uratowałoby to życie. Teraz mam do rozwikłania dwa zabójstwa, a jeśli nowicjusz miał rację, to kto wie, czy nie trzy.

## Rozdział czternasty

Miałem nadzieję, że tego popołudnia pojedę do Scarnsea, ale było już za późno. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca brnąłem przez śnieg w stronę domu opata, aby porozmawiać z Goodhapsem. Starzec znowu zapijał się w samotności w swojej izbie. Nie powiedziałem mu, że Simon Whelplay został zamordowany, tylko że był ciężko chory. Goodhapsa to mało obeszło. Spytałem go, co wie o księdze rachunkowej, którą Singleton studiował tuż przed śmiercią. Odparł, że komisarz poinformował go jedynie, iż znalazł w rachunkowości jeszcze jedną księgę sądzi, że okaże się ona bardziej pożyteczna. Dość opryskliwie dodał, że Robin Singleton nie dzielił się z nim swoją wiedzą, wykorzystywał go jedynie do szperania w książkach. Zostawiłem go więc sam na sam z jego kielichem.

Zerwał się zimny, ostry wiatr, który przeszywał mnie niczym lodowate ostrze, kiedym wracał do infirmerii. Okropne, dudniące dzwony zaczęły wzywać na nieszpory, a ja nie mogłem się opędzić od myśli, że każda osoba, która ma jakieś informacje, jest w niebezpieczeństwie: stary Goodhaps, Mark, ja. Whelplay zginął z czyjejś bezwzględnej, zimnej wyrachowanej dłoni jego zabójstwo nie wyszłoby nawet na jaw, gdybym nieświadomie nie naprowadził infirmarza na trop belladonny. Może mieliśmy do czynienia z fanatykiem, ale na pewno fanatyk ów nie działał pod wpływem impulsu. Może właśnie w tej chwili knuł, aby dosypać mi trucizny do kolacji albo strącić głowę z karku jak Singletonowi? Zadrzałem owinąłem się szczelniej płaszczem wokół szyi.

Księgi ułożono w stertach na podłodze w naszym pokoju. Mark siedział patrzył w ogień. Nie zapalił jeszcze świec, ale blask ognia połyskiwał niespokojnie na jego zasępionym obliczu. Z rozkoszą skorzystałem z okazji, aby usadowić wygodnie swoje biedne kości w ciepłe.

— Marku — rzekłem — mamy nową tajemnicę. — Opowiedziałem mu, co odkrył brat Guy. — Całe życie strawiłem na odkrywaniu tajemnic, ale te tutaj wydają się mnożyć z dnia na dzień nabierać złowieszczej mocy. — Potarłem czoło. — Czuję się winny śmierci tego chłopca. Gdybym go wczoraj wieczorem trochę bardziej przycisnął, gdybym się uparł... A dzisiaj kiedy biedak tak się skręcał cierpiał, ja myślałem jeno o tym, że mnie przedrzeźnia.

Patrzyłem ponuro przed siebie przytłoczony wyrzutami sumienia.

— Przecie nie mogliście wiedzieć, co się stało, wasza miłość — odparł niepewnie Mark.

— Byłem zmęczony, pozwoliłem się od niego odciągnąć. Lord Cromwell podkreślał, że czas jest w tej sprawie na wagę złota. A tu proszę, minęły cztery dni, a my nie dość, że nie znaleźliśmy odpowiedzi, to jeszcze mamy kolejną zbrodnię.

Mark wstał zapalił świece od ognia. Rozzłościłem się nagle na siebie: powinienem dodawać chłopcu odwagi, a nie poddawać się rozpacz. Jeno że śmierć tego nowicjusza tak mnie przybiła. Miałem nadzieję, że jego dusza znajdzie wieczny odpoczynek w Bogu. Modliłbym się za niego, gdybym wierzył, że modlitwy za zmarłych mogą coś wskórać.



— Nie załamujcie rąk, wasza miłość — powiedział niezręcznie Mark, stawiając świecznik na stole. — Mamy do zbadania tę nową sprawę z szafarzem, może to nas posunie co nieco do przodu.

— Edwiga nie było w klasztorze, kiedy popełniono zbrodnię. Ale masz rację — zmusiłem się do uśmiechu — nie poddam się. Nawet bym się nie ośmielił, wszak to zadanie zlecił lord Cromwell.

— Skorzystałem z okazji, żeby się rozejrzeć po innych zabudowaniach, kiedy wy byliście w kościele. Mieliście rację, że tam ciągle coś się dzieje. Stajnie, kuźnia, spiżarnia, wszystko jest w ciągłym użytku. Nie znalazłem żadnego miejsca, gdzie można by bezpiecznie ukryć duży przedmiot.

— Trzeba sprawdzić boczne kapliczki w kościele. Zauważyłem też coś ciekawego, kiedy szedłem na bagna. — I opowiedziałem mu o żółtym przedmiocie błyszczącym na dnie stawu. — To dobre miejsce, aby się pozbyć dowodu zbrodni.

— W takim razie powinniśmy je zbadać. Widzi, wasza miłość? Mamy kilka tropów. Prawda zwycięży.

Roześmiałem się głucho.

— Och, Marku, widać, żeś mało czasu spędził w sądach królewskich, skoro tak mówisz. Ale masz rację, podnosząc mnie na duchu. — Pociągnąłem za nitkę sterczącą z narzuty na fotelu. — Poddaję się melancholii. Od kilku miesięcy nie najlepiej się czułem, a to miejsce pogarsza jeno nastrój. Widać mam mocno zaburzoną równowagę humorów, za dużo czarnej żółci w narządach. Może powinienem zasięgnąć porady u brata Guya.

— W tym miejscu trudno o pogodę ducha.

— To prawda. A przyznaję, że lękam się również niebezpieczeństw. Rozmyślałem o tym, idąc przez podwórzec. Kroki za moimi plecami, świst miecza w powietrzu...

Podniosłem wzrok na Marka, na jego zatroskane młodzieńcze oblicze. Zdałem sobie sprawę, jaki ciężar spadł na jego młodą głowę. — Tak, wiem, to miejsce mrozi krew w żyłach: cisza, którą nagle rozdzierają dzwony, aż człowiek podskakuje niczym konik polny.

— Cóż, musimy być czujni. Rad jestem, że się nie wzdragasz przyznać do lęku. Strach to dobra, męska rzecz, lepsza niżli młodzieńcza brawura. Ja zaś nie powinienem dawać do siebie przystępu melancholii. Muszę się dziś wieczór pomodlić o hart ducha. — Spojrzałem nań z nagłym zaciekawieniem. — O co się będziesz modlił?

Wzruszył ramionami.

— Porzuciłem nawyk wieczornej modlitwy.

— To nie powinien być jeno zwykły nawyk, Marku. Nie obawiaj się jednak, nie zamierzam ci robić wykładu o modlitwach. — Dźwignąłem się na nogi, znów mnie bolały strudzone plecy. — Chodź, trzeba nam się ocucić przyjrzeć tym księgom rachunkowym. Potem, po kolacji, pójdziemy się rozprawić z bratem Edwigiem.

Zapaliłem więcej świec położyliśmy księgi na stole. Kiedy otworzyłem pierwszą ukazały nam się rzędy liczb nierównego pisma, Mark popatrzył na mnie z powagą.

— Wasza miłość, czy Alice może być w niebezpieczeństwie przez to, co wam powiedziała? Skoro Simona Whelplaya zamordowano, gdyż chciał wam wyjawić jakiś sekret, to ją może spotkać to samo.

— Wiem. Dlatego im szybciej zapytam szafarza o tę brakującą księgę, tym lepiej. Obiecałem Alice, że zachowam jej udział w tajemnicy.

— To bardzo dzielna kobieta.

— I nader intrygująca, he?

Zarumienił się zaraz szybko zmienił temat.

— Brat Guy powiedział, że Simona odwiedziły cztery osoby?

— Tak, są to zarazem czterej wysocy urzędnicy, którzy znali cel wizyty komisarza Singletona w klasztorze. Oni brat Guy.

— Ale to brat Guy powiedział, że Simona Whelplaya otruto. — Mimo to powinienem być ostrożny nie obdarzać go pełnym zaufaniem. — Uniosłem dłoń. — No, zabierzmy się do tych rachunków. Miałeś do czynienia z klasztorną księgowością?

— Naturalnie. Często zlecano mi ich kontrolę.

— To dobrze. Zatem przejrzyj te księgi powiedz mi, czyś zauważył w nich coś niezwykłego. Może wydatki, które wydają się zbyt wysokie, albo niezgodność w rachunkach. Najpierw jednak zamknij drzwi na klucz. Dobry Boże, robię się nerwowy jak stary Goodhaps.

Zabraliśmy się do pracy. Było to ogromnie żmudne zadanie. Księgowość podwójna z jej niekończącymi się bilansami jest znacznie trudniejsza do sprawdzania niż zwykłe spisy, jeśli ktoś nie jest z zawodu rachmistrzem, jednakże podczas tych pobieżnych oględzin nie zauważyłem niczego niezwykłego. Dochody klasztoru z ziemi oraz monopolu piwowarskiego były pokaźne; skromne wydatki na pensje jałmużny równoważyły ogromne sumy wydawane najedzenie ubrania, szczególnie w gospodarstwie opata. Z wycień wynikało, że w chwili obecnej zakon ma do dyspozycji pięćset funtów nadwyżki, suma spora, lecz nie zawrotna, powiększona przez niedawną sprzedaż ziemi.

Pracowaliśmy, dopóki w mroźnym powietrzu nie zagrzmiał dźwięk dzwonów wzywający na wieczerzę. Wstałem przeszedłem się po pokoju, przecierając oczy. Mark przeciągnął się stęknął.

— Wszystko wygląda tak, jak można by się spodziewać. To bogate opactwo, mają więcej pieniędzy, niż widywałem podczas kontroli w mniejszych klasztorach.

— Tak, to prawda. Za tymi bilansami kryje się dużo złota. Ciekawym, co też mogło być w tej księdze, którą znalazł Singleton. Może to wszystko aż za bardzo się zgadza, może te liczby spisano tylko na użytek audytorów, a prawdę skrywa zupełnie inna księga. Jeśli szafarz oszukuje króla, jest to poważne przestępstwo. — Z hukiem zatrzasnąłem wolumin, który studiowałem. — Chodźmy przyłączyć się do naszej

świętej trzódki. — Popatrzyłem na Marka poważnie. — Pamiętaj, aby jeść jeno to, co podadzą na wspólnych talerzach.

Idąc przez dziedziniec w kierunku refektarza, mijaliśmy mnichów, którzy kłaniali nam się w pas. Jeden z nich, czyniąc to, pośliznął się upadł, albowiem wiele stóp przemierzało teraz dziedziniec udeptany śnieg tworzył śliską powierzchnię. Mijając fontannę, zauważyłem, że strumień wody zamarł w powietrzu sterczał z wylotu niczym stalaktyt.

Wieczera przebiegała w posępnej atmosferze. Brata Jero-me'a nie było, zapewne zamknięto go gdzieś na polecenie przeora. Opat Fabian wszedł na mównicę ogłosił z powagą, że nowicjusz Whelplay zmarł na gorączkę, co wywołało przy stołach okrzyki zdumienia błagania do Boga o zmiłowanie. Nie uszły mej uwagi nienawistne spojrzenia rzucane w stronę przeora, szczególnie przez trzech nowicjuszy siedzących razem na końcu stołu. Usłyszałem nawet pewnego mnicha, grubego jegomościa o smutnych, kaprawych oczach, jak przeklina ludzi bez miłosierdzia spogląda gniewnie na Mortimusa, który siedział prosto, patrząc przed siebie surowym, nieugiętym wzrokiem.

Opat zaintonował długą łacińską modlitwę za duszę zmarłego brata, odpowiedziały mu żarliwe głosy zebranych zakonników. Tego wieczoru Fabian jadł wieczerzę przy wspólnym stole wyższych dostojników klasztoru, gdzie podano wielki udziec wołowy z grochem łuskanym. Ktoś podejmował niemrawe próby nawiązania rozmowy, opat zauważył, że nie pamięta, aby taki śnieg spadł kiedy w listopadzie. Jałmużnik brat Jude oraz prowizor Hugh, których poznałem w kapitularku, a którzy chyba zawsze siedzieli razem sprzeczali się, dyskutowali teraz, czy prawo zobowiązuje miasto do oczyszczenia ze śniegu drogi wiodącej do klasztoru, ale robili to bez zbytniego zapału. Tylko brat Edwig z ożywieniem troską rozprawiał o rurach zamarzających w latrynie o kosztach naprawy, którą

będzie przeprowadzić, kiedy zrobi się cieplej rury popękają. Niebawem dam ja ci powód do większych zmartwień, pomyślałem. Przestraszyłem się swych gwałtownych uczuć zrugłem się za nie w duchu, bo to niedobra rzecz dać się ponieść tak silnej niechęci pozwolić, aby przyćmiła obiektywny osąd.

Była wszakże tego wieczoru przy stole osoba targana jeszcze silniejszymi emocjami. Brat Gabriel ledwie tknął jedzenie. Wyglądał na zdruzgotanego wieścią o śmierci Simona, przebywał myślami gdzieś we własnym świecie. Tym bardziej mnie zdumiało, gdy nagle podniósł głowę rzucił Markowi spojrzenie tak pełne pragnienia, tak nabrzmiałe płomiennym uczuciem, że aż dreszcz mnie przeszedł. Rad byłem, że chłopak zajęty swoim talerzem tego nie zauważył.

Poczułem ulgę, kiedy w końcu odmówiono modlitwę dziękczynną wszyscy opuścili refektarz. Wiatr się podniósł, pędził w powietrzu śnieżne fale bił nimi w twarz. Dałem Markowi znak, aby poczekał w drzwiach, podczas gdy zakonnicy podnosili kaptury znikali w ciemnościach.

— Chodźmy rozmówić się z szafarzem. Masz u pasa swój miecz?

Kiwnął w odpowiedzi głową.

— To dobrze. Nie spuszczaaj dłoni z rękojeści, kiedy będę z nim mówił. Niechaj nie zapomina, że reprezentujemy tu króla. Gdzie on się podział?

Czekaliśmy jeszcze kilka minut, ale brat Edwig się nie pokazał. Wróciliśmy do sali jadalnej. Od wejścia słyszałem jękającego się szafarza, a po chwili ujrzeliśmy go pochylonego nad dużym stołem, przy którym z nachmurzoną miną siedział brat Athelstan. Szafarz pokazywał palcem jakiś dokument.

— Ten b-bilans się nie zgadza — mówił. — Zmieniłeś płatności za chmiel.

Pomachał gniewnie rachunkiem, a kiedy nas zobaczył, ukłonił się uśmiechnął nieszczercze.

— Dobry wieczór, panie komisarzu. Mam nadzieję, że moje księgi nie budzą zastrzeżeń?

— Te, które mamy, nie. Chciałbym zamienić z wami słówko, jeśli można.

— Naturalnie. Jedną chwileczkę, proszę. — Odwrócił się do swego asystenta. — Widziałem wyraźnie, żeś przerobił cyfry w lewej kolumnie, żeby sumy ci się zgadzały.

Zauważyłem, że przestaje się jąkać, kiedy się złości.

— Tylko o kilka pensów, bracie szafarzu.

— Nieważne. Masz sprawdzić każdą sumę, aż je znajdziesz. Całe dwieście. Chcę widzieć prawdziwy bilans albo żaden. A teraz już idź.

Machnął ręką młody zakonnik przemknął obok nas chyłkiem.

— Proszę wybaczyć, panie komisarzu, muszę się użerać z prawdziwymi jołopami.

Dałem znak Markowi, aby miał baczenie na drzwi młodzieniec stanął przy wejściu, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Szafarz rzucił mu niespokojne spojrzenie.

— Bracie Edwigu — powiedziałem surowo. — Muszę was oskarżyć o ukrywanie księgi rachunkowej przed królewskim komisarzem. Mówię o księdze w niebieskiej oprawie, którą próbowaliście ukryć również przed komisarzem Singletonem, zabraliście ją po jego śmierci zatailiście jej istnienie przede mną. Co macie do powiedzenia?

Edwig wybuchnął śmiechem. Jednakże wielu łotrów oskarżonych o prawdziwe przewiny śmiechem próbuje zbić z tropu swych oskarżycieli.

— Na rany Chrystusa, drwicie sobie ze mnie?! — krzyknąłem.

Szafarz uniósł dłonie w łagodnym proteście.

— Ależ skąd, panie komisarzu, proszę o wybaczenie, ale jesteście w błędzie. To nieporozumienie. Pewnie powiedziała wam to ta dziewczka Fewterer? Oczywiście, brat Athelstan mówił mi, że widziała, jak kłócił się z komisarzem Singletonem.

Zakląłem w duchu.

— To nie wasza rzecz, jak się o tym dowiedziałem. Żądam odpowiedzi. — N-n-naturalnie.

— I lepiej nie próbujcie się zacinać, aby zyskać na czasie wymyślić stosowne łgarstwa.

Westchnął splótł ręce.

— Doszło do nieporozumienia z komisarzem Singletonem, niech spoczywa w pokoju. Zażądał naszych k-k-k...

— Ksiąg rachunkowych, tak.

— ...tak jak wy. I przekazałem mu je, tak jak wam. Ale jak już wspominałem, wchodził bez pytania do naszej izby rachunkowej, kiedy drzwi były zamknięte, przetrząsał ją. Nie przeczę, że miał do tego prawo, jeno że wprowadzał zamieszanie. Tamtego dnia podszedł do Athelstana, kiedy chłopak zamykał drzwi, pomachał mu przed nosem księgą, pewnie tą, o której mówiła dziewczka. Wziął ją z mojego biura. — Rozłożył dłonie. — Jeno że to nie b-była księga rachunkowa. Od kilku lat robię w niej notatki przewidywania przyszłych dochodów, co z pewnością pan komisarz szybko by zauważył, gdyby obejrzał ją dokładniej. Mogę ją wam pokazać, jeśli sobie życzycie.

— Zabraliście ją z domu opata, nikomu o tym nie mówiąc.

— Nieprawda. Służący opata znaleźli ją w pokoju komisarza, kiedy sprząтали, zobaczyli moje pismo, więc przynieśli ją do mnie.

— Powiedzieliście mi przedtem, że nie wiecie, którą księgę zabrał do siebie komisarz.

— Z-zapomniałem. Nie ma w niej nic ważnego. Każę ją wam zanieść do infirmerii, to sami się przekonacie.

— Nie. Pójdziemy teraz do waszego biura od razu ją weźmiemy.

Szafarz milczał jakby się zawahał.

— I cóż?

— Oczywiście.

Gestem kazałem się Markowi odsunąć razem wyszliśmy za bratem Edwigiem na dziedziniec. Mark niósł lampę, aby oświetlać nam drogę. Brat Edwig otworzył drzwi do izbyrachunkowej weszliśmy po schodach do jego prywatnego gabinetu. Otworzył biurko zamykane na kluczyk wyjął z szuflady cienką, niebieską książkę.

— Oto ona. Możecie sami zobaczyć.

Zajrzałem do środka. W rzeczy samej, na stronicach próżno by szukać równych kolumn, dostrzegłem jedynie niestaranne zapiski matematyczne wyliczenia.

— Na razie zabieram ją ze sobą.

— Ależ proszę bardzo. Czy -mógłbym jednak poprosić, ponieważ jest to prywatne biuro, abyście przyszli do mnie, gdybyście chcieli wziąć jeszcze jakieś księgi? To jeno po to, żeby zapobiec kłopotliwemu zamieszaniu.

Zignorowałem to pytanie.

— Z ksiąg rachunkowych wynika, że klasztor ma dużą nadwyżkę środków, większą w tym roku niż w ubiegłym. Wpływy te zwiększa jeszcze sprzedaż ziemi. Czemu zatem nie zgadzacie się na remont kościoła proponowany przez brata Gabriela?

Szafarz popatrzył na mnie poważnie.

— Brat Gabriel wydałby na ten remont wszystko, co mamy. Wszystko inne by zaniedbał. Opat przyzna zakrystianowi pieniądze na naprawy, ale musimy utargować z nim, ile się da, w przeciwnym razie roztrwoni każdy grosz. To kwestia negocjacji.

Brzmiało to dość prawdopodobnie.

— Dobrze — rzekłem. — Jeszcze jedna sprawa. Wspomnieliście o Alice Fewterer. Ta młoda niewiasta jest pod moją specjalną opieką jeśli coś jej się stanie, zostanie natychmiast aresztowani wystąpi do Londynu na przesłuchanie.

To powiedziawszy, odwróciłem się odmaszerowałem.

— Kwestia negocjacji, też coś — burknąłem, kiedyśmy wracali z Markiem do infirmerii. — Szczwany lis z tego szafarza. — Ale on nie mógł zabić komisarza Singletona. Nie było go w klasztorze. Poza tym taki tłusty wieprzek nie zdołałby odciąć człowiekowi głowy.

— Mógł jednak zabić Simona Whelplaya. Może kilku złoczyńców działa w tej sprawie ręka w rękę.

W pokoju przystąpiliśmy do studiowania nowej książki. Zgodnie z tym, co powiedział szafarz, nie znaleźliśmy w niej nic poza szacunkowymi kalkulacjami notatkami wykonanymi jego schludnym, okrągłym pismem. Sięgały kilka lat wstecz, jak można było wnosić po wyblakłym atramencie na pierwszych stronicach. Rzuciłem ją na bok przetarłem zmęczone oczy.

— Może komisarzowi Singletonowi tylko się zdawało, że znalazł coś ważnego?

— Nie wierzę. Z tego, co mówiła Alice, wynika, że jego oskarżenia były bardzo konkretne. Podobno powiedział, że ta książka rzuca nowe światło na tegoroczne rachunki! — wykrzyknąłem walnąłem pięścią w otwartą dłoń. — Gdzie ja mam głowę? Przecież szafarz może mieć niejedną książkę w niebieskiej oprawie dał mi nie tę, co trzeba!

— Moglibyśmy teraz wrócić przetrząsnąć biuro.

— Nie. Jestem wykończony. Jutro to zrobimy. Teraz odpocznijmy, czeka nas pracowity dzień: najpierw pogrzeb Singletona, a potem musimy pojechać do Scarnsea, żeby się spotkać z sędzią Copyngerem. Chcę również porozmawiać z bratem Jerome'em. I powinniśmy jeszcze zbadać staw rybny.

Mark jęknął.

— Zaprawdę, nie zaznają spoczynku wystannicy lorda Cromwella. Dobrze przynajmniej, że będziemy zbyt zajęci, żeby się bać.

— Oby rzeczywiście tak było. Idę spać. Pomódl się, byśmy zrobili jutro wreszcie jakiś postęp.

Obudziliśmy się nazajutrz o świcie, ledwo zaczęło się rozwidniać. Wstałem zeskrobałem szron, którym pokryła sięszyba w izbie. Wschodzące słońce kładło na śniegu różowe palce. Była to piękna, lecz jakby jałowa sceneria.

— Ani śladu odwilży.

Odwrociłem się do Marka, który stał bez koszuli przy ogniu trzymając but w ręku, rozglądał się po izbie z zaintrygowanym wyrazem twarzy. Podniósł dłoń.

— Co to było? Coś słyszałem.

— Ja nie.

— Jakby odgłos kroków. Naprawdę je słyszałem.

Marszcząc czoło, otworzył raptownie drzwi, ale na korytarzu nie było żywej duszy.

Usiadłem z powrotem na łóżku. Plecy miałem sztywne obolałe.

— Zdawało ci się. To miejsce tak na ciebie działa. I nie stójże tam na wpół nagi. Świat nie ma ochoty oglądać twojego gołego brzucha, choćby sobie był najbardziej płaski pod stońcem.

— Wasza miłość, ale ja naprawdę coś słyszałem. Zdawało mi się, że to dochodziło gdzieś zza ściany.

Dumał przez chwilę, po czym podszedł do kredensu, który służył za szafkę na ubrania. Szybkim ruchem otworzył drzwiczki, ale w środku leżał jeno kurz, a w nim mysie bobki. Przyglądałem się z zazdrością gładkim, symetrycznym mięśniom grającym pod skórą na jego plecach.

— Dajże spokój — rzekłem. — To jeno myszy.

\*

Kiedyśmy siedzieli przy śniadaniu, przyszedł opat, zarumieniony na twarzy, odziany przed zimnem w futro. Towarzyszył mu doktor Goodhops. Kaprawe oczy staruszka rzucały dookoła nerwowe spojrzenia, z czubka nosa zwisała kropla wody.

— Przynoszę smutne wieści — zaczął Fabian, jak zwykle z napszonym patosem. — Jesteśmy niestety zmuszeni odwlec planowany pochówek komisarza Singletona.

— Jak to?

— Służący nie dali rady wykopać dość głębokiego dołu. Ziemia stwardniała na kamień, a teraz muszą przygotować również grób dla biednego Simona na cmentarzu zakonnym. Uporają się dzisiaj z jednym drugim, a jutro pochowamy obydwu.

— Zatem nic się na to nie zaradzi. Czy obydwu pogrzeby odbędą się jednocześnie?

Fabian milczał niezręcznie.

— Ponieważ Simon był zakonikiem, powinien mieć oddzielną ceremonię. Przepisy zezwalają na...

— Nie mam nic przeciwko.

— Chciałem również zapytać, jak przebiega pańskie śledztwo. Szafarz potrzebuje ksiąg rachunkowych najszybciej, jak to możliwe, obawiam się, że...

— Będzie musiał poczekać, jeszcze nie skończyłem. Dziś rano jadę do miasta, aby spotkać się z sędzią pokoju.

Skinął uroczyście głową.

— Dobrze. Jestem pewny, że znajdziecie zabójcę biednego komisarza w mieście, wśród przemytników innych tamtejszych szubrawców.

— Po powrocie chciałbym przesłuchać brata Jerome'a. Gdzie on jest? Nie widziałem ostatnio jego uśmiechniętego oblicza.

— Przebywa w samotności, to pokuta za jego niestosowne zachowanie. Muszę was przestrzec, panie komisarzu, jeśli pójdziecie z nim rozmawiać, narazicie się na kolejne zniewagi. Nikt z nas nie ma na niego wpływu.

— Wezmę poprawkę na jego obłąkanie. Spotkam się z nim po powrocie ze Scarnsea.

— Możecie mieć kłopot, aby dostać się tam konno. W nocy wiatr usypał ogromne zaspę. Nasz powóz musiał zawrócić, koniom nie udało się przedrzeć przez zwały śniegu.

— Wobec tego pójdziemy pieszo.

— To również może się okazać niełatwe. Usiłowałem przekonać doktora Goodhapsa...

W tym momencie odezwał się staruszek:

— Panie komisarzu, przyszedłem prosić, żebyście mi pozwolili jutro po pogrzebach wyjechać do domu. Przecie w niczym wam już nie pomogę. Pójdę do miasta, a tam może znajdzie się dla mnie miejsce w jakimś powozie, a jak nie, to wolę zatrzymać się w gospodzie, póki śniegi nie stopnieją.

Kiwnąłem głową.

— Dobrze, panie doktorze. Obawiam się jednak, że będziecie zmuszeni czekać w Scarnsea na zmianę pogody.

— Nie szkodzi, dziękuję panu komisarzowi!

Rozpromienił się skłonił głowę, aż kropla wody z koniuszka

nosa spadła mu na brodę.

— Wracajcie do Cambridge, doktorze, nikomu nie opowiadajcie o tym, co tu się wydarzyło.

— Pragnę tylko jak najszybciej o tym zapomnieć.

— Marku, czas na nas. Bracie opacie, chciałbym, abyście podczas mego pobytu w mieście przygotowali dla mnie kilka dokumentów. Mam na myśli wszystkie akty przeniesienia własności na ziemię sprzedane przez klasztor w ciągu ostatnich pięciu lat.



- Wszystkie? Będę je musiał sprowadzić...
- Tak, wszystkie. Zażądam od was przysięgi, że przedłożyliście mi dokumenty ze wszystkich sprzedaży, jakie przeprowadziliście w imieniu klasztoru.
- Naturalnie, zrobię to, jeśli pan komisarz sobie życzy.
- Dobrze. — Podniosłem się. — A teraz musimy ruszać w drogę.

Opat ukłonił się wyszedł, stary Goodhops podreptał w ślad za nim.

- Nie w smak mu było moje żądanie — stwierdziłem.
- O akty sprzedaży ziemi?
- Tak. Doszedłem do wniosku, że jeśli w klasztorze prowadzi się fałszywą księgowość, to najpewniej po to, aby ukryć dochody ze sprzedaży ziem. Tylko w ten sposób mogą zgromadzić duży kapitał. Zobaczmy, co dla nas wygrzebie opat. Wyszliśmy z kuchni. Mijając gabinet brata Guya, zajrzeliśmy do' środka Mark raptownie chwycił mnie za ramię.
- Wasza miłość, patrzcie! Co mu się stało?

Brat Guy leżał na podłodze u stóp wielkiego krzyża twarzą do dołu z rękami wyciągniętymi przed siebie. W nagiej, wygolonej czaszce odbijało się światło słoneczne. Przestraszyłem się w pierwszej chwili nie na żarty, zaraz jednak usłyszałem szmer modlitwy odmawianej po łacinie po cichu, lecz z wielką żarliwością. Poszliśmy dalej, a ja pomyślałem, że powinienem być wielce ostrożny, obdarzając zaufaniem tego hiszpańskiego Maura. Prawda, że zwierzył mi się mówił ze mną otwarcie, a ze wszystkich osób, jakie tu poznałem, budził najwięcej sympatii, jednak patrząc, jak leży na brzuchu zanoszą żarliwe błagania do kawałka drewna, przypomniałem sobie, że tak samo jak wszyscy pozostali mnisi tkwi w starych herezjach przesądach, które były największym wrogiem mych przekonań.

## Rozdział piętnasty

Kolejny poranek przyniósł szczypiący mróz czyste, błękitne niebo. W nocy wiatr usypał pod murami wysokie zaspę, przez co środek podwórca został prawie zupełnie oczyszczony ze śniegu. Dziwny był to widok. Wyszliśmy przez bramę. Odwróciwszy się za siebie, zobaczyłem, jak Bugge wystawia ciekawie głowę, po czym szybko chowają z powrotem, kiedy napotyka mój wzrok. Wydałem policzki wypuściłem powietrze.

- Uff, co za ulga, uciec od tych wszystkich obserwujących oczu.

Popatrzyłem przed siebie na drogę, która podobnie jak podwórzec klasztoru zamieniła się w morze zasp. Cały krajobraz, łącznie z bagnem, był biały, gdzieniegdzie jeno urozmaicony czarnym szkieletem drzewa lub kępą trzcin na mokradle w oddali szarym morzem. Dostałem od brata Guya nową laskę, dzierżyłem ją więc mocno w dłoni.

- Dziękować Bogu za te kalosze — powiedział Mark.
- Oj, prawda. Kiedy stopnieje śnieg, cała okolica zamieni się w jedno wielkie błotniste bajoro.
- Jeśli w ogóle kiedyś stopnieje.

Przedzieraliśmy się przez ten trudny teren z takim mozolem, że dopiero po godzinie doszliśmy do pierwszych uliczek Scarn-sea. Prawie nie rozmawialiśmy, obydwaj bowiem byliśmy w ponurych nastrojach. Miasto świeciło pustkami, a w jaskrawym świetle poranka przekonałem się jeszcze wyraźniej niż poprzednio, że zabudowania tego miasta to niewiele więcej jak rozpadające się rudery.

— Szukamy ulicy Westgate — oznajmiłem, kiedy doszliśmy na rynek.

Przy nabrzeżu stała zacumowana niewielka łódź, urzędnik w czarnej liberii przeprowadzał kontrolę ładunku złożonego z bel materiału, obok zaś grupka mieszczan przytupywała na zimnie. Na morzu, u ujścia kanału biegnącego przez bagno, czekał duży statek.

— Celnicy — zauważył Mark.

— Pewnie statek wywozi tkaniny do Francji.

Odwróciliśmy się w stronę ulicy, przy której stały nowe,

solidne domy. Na drzwiach największego z nich widniał wyrzeźbiony herb miejski. Zapukałem. Dobrze ubrana służąca, która otworzyła nam drzwi, potwierdziła, że jest to w istocie dom sędziego Copyngera. Zaprowadziła nas do ładnego salonu z drewnianymi, wyściełanymi fotelami złotą zastawą w ser-wantce.

— Dobrze mu się wiedzie — zauważył Mark.

— W istocie. — Podszedłem do ściany, na której wisiał portret jasnowłosego mężczyzny o surowym obliczu, z brodą w kształcie łopaty. — To bardzo dobry obraz. A namalowany w tym pomieszczeniu, jak można wnosić z jego wystroju.

— Zatem to bogacz... — zaczął Mark.

Urwał, bo otworzyły się drzwi do salonu wszedł pierwowzór portretu ze ściany — wysoki, postawny mężczyzna około czterdziestu lat o poważnej, surowej powierzchowności, odziany w brązową szatę obszywaną sobolami. Ucisnął mi mocno dłoń.

— To dla mnie zaszczyt, panie komisarzu Shardlake. Jestem Gilbert Copynger, sędzia pokoju tego miasta oraz oddany sługa lorda Cromwella. Znałem biednego komisarza Singletona. Dziękowałem Bogu, że was przysłano, ten klasztor to istne siedlisko zepsucia herezji.

— Prawda, że trudno tam o prostotę szczerść. — Wskazałem Marka. — To mój asystent.

Skinął krótko głową.

— Udajmy się do mego gabinetu. Mogę wam zaproponować coś na wzmocnienie? Chyba sam diabeł nasłał tę pogodę. Zapewniają wam chociaż ciepło w tym klasztorze?

— Mnisi ogrzewają każde pomieszczenie.

— O, nie wątpię w to, nie wątpię.

Powiodł nas korytarzem do przytulnej izby z oknami wychodzącymi na ulicę uprzątnął papiery ze stołków stojących przed kominkiem.

— Należę panom wina. Wybaczcie mi, proszę, nieporządek, ale praca papierkowa, którą otrzymuję z Londynu... niewielki to zarobek, prawo kiepskie... — Westchnął. — A żąda się ode mnie, abym donosił, gdy czyjeś narzekania zakrawają na zdradę stanu. Na szczęście niewiele ich się zdarza w Scarnsea. Niestety, moi informatorzy niekiedy sami prokurują zarzuty przychodzi mi tropić słowa, których nie wypowiedziano. Ale przynajmniej ludzie wiedzą, żeby się mieć na bacności.

— Lord Cromwell wie, że może spać spokojnie, mając na usługach tak lojalnych ludzi jak wy. — Copynger skinął głową z wielką powagą, słysząc ten komplement. Upiłem łyk wina. — Wyborne, bardzo dziękuję. A teraz, ponieważ czas nagli... Chciałbym uzyskać informację w kilku kwestiach.

— Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Zabójstwo komisarza Singletona było obrażą królewskiego majestatu. Ta zbrodnia woła o pomstę.

Powinienem być z ulgą przyjąć towarzystwo pokrewnej duszy zapalonego reformatora, przyznając jednak, że Gilbert Copynger nie przypadł mi do gustu. Choć prawdą jest, że Londyn obciążał sędziów nawałem obowiązków, które musieli godzić z pracą sądowniczą, to jednak czerpali również z tego niemałe zyski. Było tak od zawsze, że sędziowie odnosili profity ze swych

stanowisk, a zatem więcej obowiązków oznaczało więcej korzyści, nawet w tak niewielkiej mieścinie, o czym dobitnie świadczył dostatek w domu Copyngera. Jego pretensjonalność źle mi współgrała ze sztuczną świętoszkowatością, z jaką się obnosił. Z drugiej strony reprezentował nowy typ ludzi, jaki w tamtych czasach wychowaliśmy sobie w Anglii.

— Powiedźcie mi, proszę — zacząłem — jak tutejsi mieszkańcy odnoszą się do zakonników ze świętego Donatusa.

— Nienawidzą ich, widzą, jakie to pijawki. Nie robią niczego dla Scarnsea, nie przychodzą do miasta, chyba że muszą, a wtedy pyszną się jak sam diabeł. Dobroczyńności u nich jak na lekarstwo, a po to, co od nich kapnie, biedacy muszą w dni jałmużny iść do klasztoru. Tak czy inaczej ciężar utrzymania nędzarzy spada na tych, co płacą czynsze od ziemi.

— O ile wiem, mnisi mają monopol na piwo.

— A jakże. I ustanawiają niebotyczne ceny. Przy tym napitek jest odrażający, kury siedzą tam w browarze na grzędach ich odchody wpadają do kadzi.

— Wiem, widziałem. Zaiste musi to być obrzydliwy trunek.

— A nikomu innemu nie wolno go sprzedawać. — Rozłożył ręce. — Ziemie doją bezlitośnie, ściągają, co się tylko da. Doprawdy, nikt w tych stronach nie powie, że zakonnicy to miłosierni panowie. A od czasu, kiedy brat Edwig został szafarzem, zrobiło się jeszcze gorzej. Z pchły by wysał ostatnią kroplę tłuszczu.

— Wierzę. A skoro mowa o finansach klasztoru, donosiliście lordowi Cromwellowi o wyprzedazy ziemi za bezcen.

— Obawiam się, że nie potrafię podać szczegółów — odparł z żalem. — Słyszałem plotki, ale potem rozeszła się wieść, że badam tę sprawę, właściciele ziem nabrali wody w usta.

Skinąłem głową.

— Którzy to?

— Największym w okolicy jest sir Edward Wentworth. Utrzymuje bliskie stosunki z opatem, jest krewnym Seymourów. Jeżdżą razem na polowania. Wśród dzierżawców chodziły

r A

plotki, że klasztor sprzedał im potajemnie ziemię zarządca opata zgarnia czynsze w imieniu sir Edwarda, ale nie mam sposobu, aby to potwierdzić, taka sprawa przekracza moje kompetencje. — Zmarszczył gniewnie brwi. — Klasztor posiada ogromne tereny, również poza naszym hrabstwem. Przykro mi, panie komisarzu, gdyby moja władza sięgała dalej...

— To może wprawdzie zwiększyć zakres moich poszukiwań, ale ponieważ uprawnienia pozwalają mi badać wszystkie sprawy dotyczące klasztoru, sądzę, że mógłbym włączyć do nich kwestię wyprzedazy ziemi. Czy możecie na nowo podjąć dochodzenie na tej podstawie? Powołując się na imię lorda Cromwella?

Uśmiechnął się.

— Dźwięk tego imienia z pewnością zdoła ruszyć sprawę z miejsca. Zrobię, co w mojej mocy.

— Dziękuję. To może się okazać bardzo ważne. A przy okazji, o ile mi wiadomo, sir Edward jest kuzynem brata Jerome'a, kartuza mieszkającego w klasztorze.

— Tak. Wentworth to zatwardziały papista. Słyszałem, że ten kartuz otwarcie głosi poglądy, które powinno się uznać za zdradę stanu. Ja bym go kazał powiesić na wieży sukiennic.

Myślałem przez chwilę.

— Proszę mi powiedzieć, jak zareagowaliby ludzie, gdyby kazał pan powiesić brata Jerome'a na wieży sukiennic?

— Mieliby prawdziwe święto. Jak mówiłem, nienawidzą mnichów. Miasto zubożało, a za sprawą zakonników ubożeje coraz bardziej. Port jest tak zamulony, że ledwo można tam pływać łodzią wiosłową.

— Widziałem. Słyszałem też, że niektórzy mieszkańcy powrócili do przemytu. Według zakonników wykorzystują bagna na tyłach klasztoru do transportu towarów. Opat twierdzi, że składał w tej sprawie skargę, ale władze miejskie przymykają oko na ten proceder.

Twarz Copyngera przybrała czujny wyraz.— Opat powie wszystko, byle narobić kłopotu władzom miasta. Problem tkwi w środkach, panie komisarzu. W Scarnsea jest tylko jeden urzędnik skarbowy, nie może każdej nocy pilnować drogi na bagnach.

— Jeden z zakonników twierdzi, że ostatnio coś się tam dzieje, a opat sugerował, że przemytnicy mogli się włamać na teren klasztoru zamordować komisarza Singletona.

— Opat próbuje odwrócić waszą uwagę od tego, co się dzieje w zakonie. W tym miejscu przemyt istniał od dawna, tkaniny transportowano przez bagna, a potem łodziami rybackimi

przewożono do Francji. Ale dlaczego ktoś z tych ludzi miałby zabijać królewskiego komisarza? Przecież nie przyjechał tu walczyć z przemytnikami, prawda?

Zauważyłem nagły niepokój w oczach sędziego.

— Nie, nie po to tu przyjechał. Ja również, chyba że ta działalność okaże się mieć związek ze śmiercią komisarza Singletona. Moim zdaniem sprawcą był ktoś z klasztoru.

Wyraźnie mu ulżyło.

— Gdyby właścicielom ziemskim wolno było grodzić więcej terenów dla owiec, miasto miałoby z tego większe korzyści, a ludzie nie zwracaliby się ku przemytowi.

— Czy poza przemytem, który tu się może uprawia, miasto jest lojalne wobec króla? Nie macie na przykład kłopotów z jakimiś heretykami o skrajnych poglądach albo grupami maczającymi palce w czarnej magii? Wiecie, że w klasztorze zbezczeszczono również kościół?

Pokręcił głową.

— Nic z tych rzeczy. Gdyby coś się tu takiego działo, wiedziałbym o tym, bo opłacam pięciu informatorów. Wielu jest takich, którym nie podobają się nowe porządki, ale nie podnoszą głów. Najbardziej narzeka się na zniesienie dni świętych pańskich, ale to tylko dlatego, że ludzie mieli wolne od pracy. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś w tych okolicach parał się czarami.-r\_\_\_

— A jacyś zagorzali ewangeliści? Może ktoś przeczytał Biblię dopatrył się tajemniczego proroctwa, które jeno on może wypełnić?

— Tacy jak ci niemieccy anabaptyści, co chcą zabijać bogatych żeby wszystko było wspólne? Powinno się ich posłać na stos. Nie mamy tutaj takich rzeczy. W zeszłym roku był tu jeden szaleniec, uczeń kowala. Głosił, że dzień Sądu Ostatecznego się zbliża, aleśmy człeka tego zakuli w dyby. Siedzi w więzieniu, bo tam jego miejsce. Kazania po angielsku to jedno, ale przypuszczanie do Pisma Świętego tępych chłopów służbę przysporzy Anglii setek mąciwodów z kaznodziejów.

Uniosłem brwi.

— Więc należycie do tych, według których jeno pan domu winien mieć dozwolone czytanie Biblii?

— Wiele można by powiedzieć na korzyść tego poglądu, panie komisarzu.

— No cóż, papiści nie chcieli na to pozwalać nikomu. Wracając do kwestii klasztoru, czytałem, że swego czasu dochodziło tam do różnych występnych czynów między mnichami.

Copynger prychnął pogardliwie.

— I jestem pewien, że nadal dochodzi. Tamtejszy zakrystian, brat Gabriel, był jednym z tych grzeszników nadal mieszka w klasztorze.

— Czy był w te sprawy zamieszany ktoś z miasta?

— Nie, ale w opactwie aż roi się od sodomitów cudzołożników. Służące ze Scarnsea niejedno przeszły w ich brudnych łapskach. Żadna niewiasta poniżej trzydziestu lat nie chce tam pracować, zwłaszcza od czasu, gdy jedna dziewczka przepadła tam bez śladu.

— Naprawdę?

— Sierota z przytułku pracowała u infirmarza dwa lata temu. Dopóki była na służbie, często przychodziła do miasta, aż nagle przestała. W czasie śledztwa przeor Mortimus powiedział, że ukradła złote puchary uciekła. Opiekunka z przy-

tułku, Joan Stumpe, była przekonana, że dziewczce przytrafiło się coś złego, ale to stara plotkara, a nie było żadnego dowodu.

— Ta dziewczyna pracowała dla infirmarza? — odezwał się Mark z niepokojem w głosie.

— Tak. Nazywamy go czarnym goblinem. Pomyślałby kto, że wszyscy rodowici Anglicy mają pracę, skoro zatrudnia się kogoś takiego.

Dumałem przez chwilę.

— Czy mogę porozmawiać z tą panią Stumpe?

— Nie powinniście traktować poważnie wszystkiego, co mówi ta kobieta. Powinna być teraz w przytułku. Jutro w klasztorze jest dzień jałmużny, prawdopodobnie się do niego przygotowuje.

— Więc nie traćmy czasu — rzekłem, podnosząc się.

Copynger kazał służącemu przynieść nasze okrycia.

— Panie sędzio — powiedział Mark, kiedyśmy czekali na płaszcz. — W infirmerii pracuje teraz inna młoda kobieta, nazywa się Alice Fewterer.

— A tak, przypominam sobie.

— Słyszałem, że musiała szukać pracy, ponieważ ziemię, na której żyła jej rodzina, ogrodzono dla owiec. Wiem, że sędziowie nadzorują prawo regulujące grodzenie ziem. Ciekawi mnie, czy wszystko przeprowadzono tam zgodnie z prawem? Czy nie można by czegoś zrobić dla tej niewiasty?

Copynger uniósł brwi.

— Drogi młodzieńcze, zapewniam cię, że wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z prawem, gdyż ta ziemia należy do mnie, to ja ją grodziłem. Rodzina tej dziewczki miała starą dzierżawę, która wygasła wraz ze śmiercią matki. Musiałem zburzyć dom zrobić na tej ziemi pastwisko, żeby dawała jakiś dochód.

Rzuciłem Markowi ostrzegawcze spojrzenie.

— Jestem pewien, że zrobiliście wszystko jak należy, panie sędzio — dodałem, aby załagodzić sytuację.

— Wszyscy ludzie w tym mieście skorzystaliby — powiedział sędzia, mierząc Marka lodowatym spojrzeniem — gdyby zamknięto klasztor, wyrzucono stamtąd tę zgraję próżniaków zburzono budynki pełne bałwochwalczych posązków. A ponieważ miasto poniosłoby dodatkowe wydatki na pomoc dla bezrobotnych klasztornych służących, to jestem pewien, że lord Cromwell zgodziłby się, aby część ziem klasztornych przypadła w udziale zasłużonym obywatelom miasta.

— Skoro mowa o lordzie Cromwellu, podkreślał on, że to, co się wydarzyło w klasztorze, powinno na razie pozostać tajemnicą.

— Nikomu o tym nie mówiłem, panie komisarzu, mnisi nie pojawiają się w mieście.

— Dobrze. Opat również ma przykazane, aby o tym nie wspominać. Zapewne jednak służący z klasztoru mają kontakty w Scarnsea okolicach.

Sędzia pokręcił głową.

— Bardzo nieliczne. W zasadzie klasztorne pacholki trzymają się na uboczu, mieszczanie nie lubią ich prawie tak samo jak zakonników.

— Mimo to wieść się w końcu rozniesie. Nie ma na to rady.

— Jestem pewien, że pan komisarz rychło rozwiąże tę zagadkę — powiedział. Uśmiechnął się, policzki mu się zarumieniły. — Pozwolę sobie podkreślić, jak wielki to honor poznać osobę, która rozmawiała osobiście z wikariuszem generalnym. Powiedzcie mi, proszę, panie komisarzu, jaki on jest? Mówią, że to człek silnego charakteru mimo swego skromnego pochodzenia.

— W istocie, lord Cromwell lubi mocne słowa czyny. Otóż pański służący z naszymi okryciami — zbyłem go, bo zmęczyło mnie jego nadszkakiwanie przymilne maniery.

Przytułek leżał na obrzeżach Scarnsea. Był to długi, niski budynek rozpaczliwie domagający się remontu. Po drodze minęliśmy grupkę mężczyzn zamiatających śnieg na ulicach

pod czujnym okiem nadzorcy. Ubrani byli w szare fartuchy z naszytym herbem miasta, dużo za cienkie na taką pogodę. Ukłonili się Copyngerowi, kiedy przechodziliśmy.

— To zarejestrowani żebracy — oznajmił sędzia. — Zarządca przytułku dla mężczyzn stara się znajdować im uczciwą pracę.

Weszliśmy do budynku, który nie miał żadnego ogrzewania tak przeszedł wilgocią, że w wielu miejscach tynk odpadał od ścian. W holu grupka kobiet szyła lub przędła na kołowrotkach, w kącie pulchna jejmość w średnim wieku z grupką wychudłych dzieci sortowała stertę cuchnących szmat. Sędzia Copynger podszedł do niej zamienił z nią kilka słów, po których kobieta zaprowadziła nas do całkiem schludnej izdebki, gdzie przedstawiła się jako Joan Stumpe, opiekunka dzieci w przytułku.

— Jak mogę pomóc jaśnie wielmożnym panom?

Miała dobrotliwą, pomarszczoną twarz bystre brązowe oczy.

— Komisarz Shardlake bada obecnie pewną sprawę w klasztorze — powiedział jej Copynger. — Interesuje go los tej młodej sieroty Stonegarden.

Kobieta westchnęła.

— Biedna Sierotka.

— Znałyście ją? — spytałem.

— Wychowywałam ją. Podrzuciono ją jako noworodka na podwórze tego domu dziewiętnaście lat temu. Biedna Sierotka — powtórzyła.

— Jak miała na imię?

— Sierotka. Znajdom często daje się takie imię. Nie wiedzieliśmy, kim byli jej rodzice, więc zarządca dał jej na nazwisko Stonegarden.

— Rozumiem. I dorastała pod waszą opieką?

— Zajmuję się wszystkimi dziećmi. Wiele umiera młodo, ale Sierotka była silna świetnie się chowała. Pomagała mi w przytułku, biedactwo, zawsze była taka wesoła chętna...

Odwróciła nagle wzrok.

V

— Mów dalej, kobieto — ponaglił ją niecierpliwie Copynger. — Mówiłem ci, żeś jest za miętka dla tych dzieciaków.

— Kiedy wiele z nich tak krótko żyje na tym świecie — odparła żywo. — Czemu nie mają się nim cieszyć tak samo jak inni?

— Lepiej iść pokiereszowanym do nieba niż zdrowym do piekła — rzekł zimno sędzia. — Większość tych, które żyją, wychodzi na złodziei lub żebraków. Mów dalej.

— Kiedy skończyła szesnaście lat, zarządca powiedział, że musi iść do pracy. Szkoda, bo syn młynarza smalił do niej cholewki gdyby pozwolili jej jeszcze trochę dorosnąć, może wyszłaby za mąż.

— Czy to znaczy, że była urodziwa?

— O tak, panie. Drobnutka, z jasnymi włoskami taką delikatnusią, słodką buzią. Chyba w życiu nie widziałam ładniejszej twarzyczki. Ale brat nadzorcy pracował dla mnichów, powiedział, że infirmarz potrzebuje pomocy, więc poszła do klasztoru.

— Kiedy to było, pani Stumpe?

— Dwa lata temu. Jak tylko miała wychodne, przychodziła mnie odwiedzać, w każdy piątek. Lgnęła do mnie, niebożę, a ja do niej. A w klasztorze to jej się nie podobało.

— Dlaczego?

— Tego nie mówiła. Uczę dzieci, żeby nie krytkowały lepszych od siebie, bo spotka je kara. Ale widziałam, że się boi.

— Czego się bała?



— Nie wiem. Próbowałam ją wypytywać, ale nie chciała powiedzieć. Pracowała najpierw dla brata Aleksandra, ale potem on umarł, a na jego miejsce przyszedł brat Guy. Bała się jego dziwnego wyglądu. A najgorsze, że przestała się widywać z Adamem, synem młynarza. Przychodził do niej, ale kazała mi go odsyłać. — Spojrzała na mnie surowo. — A kiedy dziewczka tak się zachowuje, to znaczy, że ją niewłaściwie potraktowano.

— Zauważyłyście u niej jakieś ślady, sińce?— Nie, ale co przyszła, to bardziej markotna. Aż wreszcie pewnego dnia, jakieś pół roku od czasu, gdy zaczęła pracować w klasztorze, nie zjawiała się wcale. Tak samo w następny piątek.

— Pewnie się martwiłyście?

— A jakże. Zebrałam się poszłam zobaczyć, czego mi się uda dowiedzieć.

Kiwnąłem głową. Wyobraziłem sobie, jak maszeruje dziarsko, a potem stuka do bramy furtiana Bugge'a.

— Z początku nie chcieli mnie wpuścić, ale dotąd tam stałam, hałasowałam naprzykrzałam im się, aż w końcu sprowadzili przeora Mortimusa. Szkocki barbarzyńca. Powiedział mi, że Sierotka ukradła z kościoła dwa złote kielichy znikła.

Copynger przekrzywił głowę.

— I może ukradła. Z tymi bachorami często tak bywa.

— Ale nie z Sierotką, panie. To było dobre chrześcijańskie dziecko. — Pani Stumpe odwróciła się do mnie. — Spytałam przeora, czemu mnie nie poinformowano, a on na to, że nie wiedział, z kim się dziewczyna spotyka w mieście. Zagroził, że jeśli sobie nie pójdę, to oskarży ją przed sądem o kradzież każe aresztować. Zgłosiłam tę sprawę panu sędziemu Copyngerowi, ale on powiedział, że bez dowodu przestępstwa nic się nie zrobi.

Sędzia wzruszył ramionami.

— Bo to prawda. A gdyby mnisi oskarżyli ją pod przysięgą o kradzież, toby dostali jeszcze jedną broń do ręki przeciwko miastu.

— Jak myślicie, pani Stumpe, co przytrafiło się dziewczynie?

Niewiasta popatrzyła mi głęboko w oczy.

— Nie wiem, jaśnie wielmożny panie, ale boję się nawet o tym myśleć.

Powoli skinąłem głową.

— Sędzia Copynger ma rację, że bez dowodu nic nie można zrobić.

— Rozumiem, ale ja dobrze znałam Sierotkę, to nie leżało w jej naturze, żeby ukraść coś uciec.

— Jednakże w chwili desperacji...

— Przybiegłaby do mnie, a nie pchała się na stryczek za kradzież. Od półtora roku ani widu, ani słychu. Jak kamień w wodę.

— Dobrze. Dziękuję, dobra kobieto, że poświęciłaś nam czas.

Westchnąłem. Gdziekolwiek się odwróciłem, podejrzania pozostawały podejzzeniami, a ja w dalszym ciągu nie miałem się czego uchwycić, aby choć odrobinę zbliżyć się do wyjaśnienia śmierci Singletona.

Powiodła nas z powrotem do holu, gdzie dzieci przebijające w łachmanach podniosły na nas blade, smutne buzie. Odrażający smród brudnych ubrań unosił się w całym korytarzu.

— Co robią wasi podopieczni? — spytałem.

— Przeszukują łachmany, które dają ludzi. Jutro dzień jałmużny w klasztorze, szukają czegoś, co mogłyby na siebie włożyć. To ciężka droga w taką pogodę.

Pokiwałem głową.

— To prawda. Dziękuję, pani Stumpe.

Kiedyśmy przeszli przez próg, odwróciłem się za siebie. Kobieta siedziąca z powrotem przy dzieciach pomagała im grzebać w cuchnącej stercie.

Sędzia Copynger zaproponował, byśmy zjedli z nim obiad, ale odparłem, że musimy wracać do klasztoru. Wyruszyliśmy w drogę powrotną, śnieg chrząścił nam pod stopami.

— Nie zdążymy na posiłek — rzekł po krótkim czasie Mark.

— Tak, lepiej znajdziemy jakąś gospodę.

Niedaleko rynku znaleźliśmy przyzwoity zajazd. Karczmarz zaprowadził nas do stolika z widokiem na nabrzeże siedząc, patrzyłem na łódź, którą widzieliśmy uprzednio. Załadowana belami materiału płynęła przez kanał w stronę czekającego statku, pasażerowie ostrożnie wiosłowali w zamulonej wodzie.

— Na Boga, alem zgłodniał — powiedział Mark.

— Ja również. Ale nie zamówimy piwa. Czy wiedziałeś, że według pierwszej reguły świętego Benedykta mnisi powinni spożywać zimą tylko jeden posiłek, czyli obiad? Co prawda święty Benedykt ułożył tę regułę dla włoskiego klimatu, lecz początkowo przestrzegano jej również w Anglii. Przedstaw to sobie: stać zimą modlić się przez wiele godzin tylko o jednym posiłku! Naturalnie w miarę upływu czasu zakony coraz bardziej się bogaciły, wprowadzono dwa posiłki, potem trzy z mięsem winem...

— Dobrze chociaż, że się nadal modlą.

— Tak, wierzą, że modlitwami wstawiają się u Boga za duszami zmarłych. — Pomyślałem o bracie Gabrielu jego umęczoną żarliwością. — Są w błędzie.

— Przyznaję, że od tej całej teologii w głowie mi się mąci.

— A nie powinno. Bóg dał ci rozum, Marku, więc zeń korzystaj.

— Jak się wasza miłość dzisiaj czuje? Plecy wam nie dokuczają? — spytał.

Pomyślałem, że młodzik zaczyna mieć prawdziwe zdolności w zmienianiu tematu.

— Do zniesienia. Lepiej niż wczoraj.

Karczmarz przyniósł nam królika w cieście przez jakiś czas spożywaliśmy posiłek w milczeniu.

— Jak myślicie, co się stało z tą dziewczyną? — spytał w końcu Mark.

Pokręciłem głową.

— Bóg jeden raczy wiedzieć. Tyle już wątków w tej sprawie, a one nic, tylko dalej się mnożą. Miałem nadzieję uzyskać więcej informacji od Copyngera. Wiemy, że w klasztorze napastowano kobiety. Kto? Przeor Mortimus, który naprzykrzał się Alice? Inni? A co do tej Sierotki, to Copynger ma rację, nie istnieje żaden dowód na to, że rzeczywiście nie uciekła ze skradzionymi przedmiotami, a starej kobiecie nie sentyment dla wychowanki mąci trzeźwy osąd. Nie ma się czego chwycić.

— A co wasza miłość myśli o sędzim Copyngerze? — Jest reformatorem. Pomoże nam w miarę możliwości.

— Mówi o prawdziwej religii o tym, że mnisi uciskają biednych, a sam żyje jak bogacz wypędza ludzi z ziemi.

— Mnie się również nie za bardzo podobał. Ale nie powinieneś być go pytać o matkę Alice. Jest naszym jedynym wiarygodnym źródłem informacji, nie chcę go drażnić. Tak niewiele możemy tu oczekiwać pomocy. Liczę, że dowiem się od niego czegoś więcej o wyprzedaży ziemi klasztoru, a wtedy będę mógł sprawdzić wiarygodność ksiąg szafarza.

— Odniosłem wrażenie, że sędzia wiedział więcej na temat przemytników, niż się przyznał.

— Oczywiście. Bierze łapówki. Ale nie przyjechaliśmy tu tropić przemytników. Potrzebuję jego pomocy, ponieważ morderca Singletona mieszka w klasztorze, a nie w Scarnsea. Pięciu wyższych dostojników zakonnych — zacząłem wyliczać na palcach — opat Fabian, przeor Mortimus, Edwig, Gabriel Guy. Każdy z nich jest dość wysoki silny, aby wysłać komisarza na tamten świat. Co prawda brat Edwig nie mógł tego uczynić, ponieważ nie było go w klasztorze. Każdy z nich mógł zabić również nowicjusza. Naturalnie, jeśli brat Guy powiedział nam prawdę o śmiercionośnej psiance.

— Czemu miałby kłamać?

Oczami wyobraźni znowu zobaczyłem martwą twarz Simona Whelplaya, kiedyśmy go wyciągali z wanny. Myśl, że zginął, ponieważ chciał ze mną porozmawiać, nie dawała mi spokoju skręcała mi trzewia.

— Nie wiem, ale nie zamierzam przyjmować niczego na wiarę. Wszyscy oni poniosą ogromną stratę, jeśli klasztor zostanie zamknięty. Gdzie brat Guy znajdzie pracę medyka ze swoim dziwnym obliczem? Co do opata, to aż za bardzo przywiązał się do swojej pozycji. Uważam, że wszyscy inni też mają coś do ukrycia. Brat Edwig może jakieś matactwa finansowe, może ukrywa pieniądze na wypadek zamknięcia klasztoru? Ale potrzebowałby pieczęci opata na każdym akcie sprzedaży ziemi. — A przeor Mortimus?

— Myślę, że jest niewiele rzeczy, do których nie byłby zdolny. Co do brata Grabiela, to jestem pewien, że nadal go nawiedza wąż pokuszenia. Od naszego przyjazdu nie odrywa od ciebie oczu. Czuję zapewne pociąg do niektórych mnichów, nie wspomnę już o młodym Whelplayu, ale potem zjawiasz się ty w tych swoich eleganckich rajtuzach kaftanie, prezentujesz ponętne pęciny, aż biedaczek zaczyna o tobie śnić na jawie.

Mark odsunął od siebie talerz zmarszczył brwi.

— Czy wasza miłość musi się rozwodzić nad takimi szczegółami?

— Prawnicy muszą się rozwodzić nad szczegółami, nawet najbardziej odrażającymi. Gabriel może robi wrażenie łagodnego, ale to człek targany udręką, a udręczeni ludzie czynią rzeczy irracjonalne szalone. Gdyby udowodniono mu akty sodomii, czekałby go stryżek. Szorstkie przesłuchanie Singletona mogło go przywieść do desperacji, zwłaszcza jeśli pragnie również chronić innych. I jest jeszcze Jerome. Chcę się przekonać, co ma do powiedzenia. Intryguje mnie, czemu nazwał Singletona kłamcą krzywo-przysiężcą.

Mark nie odpowiedział. Nadal marszczył brwi.

— Och, obudź się wreszcie! — wybuchłem z irytacją. — Jakie to ma znaczenie, czy zakrystian typie pożądlawie na twój tyłek? I tak go raczej nie dostanie.

Oczy błysnęły Markowi gniewnie.

— Nie myślałem o sobie, wasza miłość, tylko o Alice. Ta dziewczyna, która znikła, też pracowała w infirmerii.

— Tak, ja również zwróciłem na to uwagę.

Nachylił się do mnie.

— Czy nie lepiej bezpieczniej dla wszystkich byłoby aresztować wszystkich dostojników Jerome'a jako podejrzanych? Zawieźć ich do Londynu tam wyciągnąć z nich prawdę?

— Na jakiej podstawie? Masz jakieś dowody? I jak chciałbyś

z nich wyciągnąć prawdę? Torturami? Sądziłem, że nie pochwalasz takich metod.

— Oczywiście, że nie pochwalam. Ale można by ich poddać bardzo surowemu przesłuchaniu.

— A jeśli się mylę nie zrobił tego żaden z nich? Poza tym, jak utrzymalibyśmy takie zbiorowe aresztowanie w tajemnicy?

— Ale... czas nagli niebezpieczeństwa czyhają.

— Myślisz, że o tym nie wiem?! — wybuchłem niespodziewanie gniewem. — Ale groźbą nie odkryjesz prawdy. Singleton próbował patrz, dokąd go to zaprowadziło. Aby rozsupłać węzeł, trzeba delikatnie pociągać za sznurki, a nie szarpać z całej siły, a wierzaj mi, że mamy tu węzeł, jakiegom w życiu nie widział. Ale już ja go rozplączę. Obiecuję ci.

— Przepraszam, wasza miłość, nie chciałem podważać...

— A podważaj sobie, młodzieńcze, podważaj — rzekłem z irytacją — byle rozumnie.

Gniew mnie tak ożywił, że wstałem rzuciłem monety na stół.

— Chodźmy. Marnuję tu cenne popołudnie, a tam czeka na mnie szalony stary kartuz.

Rozdział szesnasty

Niewieleśmy rozmawiali, wracając pieszo do klasztoru. Niebo na powrót szybko powlekało się chmurami. Byłem zły na siebie za ten wybuch w gospodzie, ale nerwy miałem napięte jak postronki rozsierdziła mnie do reszty naiwność mego młodego podopiecznego. Poczulem za to przyptyw nowej, zaciętej determinacji w drodze powrotnej maszerowałem zawzięcie, dopóki nie potknąłem się w zaspie, aż Mark musiał mnie podtrzymać, co zezłościło mnie jeszcze bardziej. Kiedy podeszliśmy pod mury Świętego Donatusa, zerwał się wiatr jął znowu sypać śnieg.

Załomotałem bezceremonialnie do bramy, ze stróżówki wyszedł Bugge, wycierając twarz z jedzenia w brudny rękaw.

— Chcę się zobaczyć z bratem Jerome'em. Natychmiast.

— Przeor kazał go trzymać w zamknięciu. Jest teraz na sekście.

Kiwnął głową w kierunku kościoła, skąd dochodził daleki odgłos śpiewu.

— Więc go tu sprowadźcie! — odparłem szorstko.

Furtian poszedł, mamrocząc pod nosem, my zaś owinęliśmy

się jeszcze szczelniej płaszczami pobielałymi już od śniegu czekaliśmy. Niedługo Bugge pojawił się znowu w towarzystwie Mortimusa, któremu mars wystąpił na poczerwieniałą twarz.

— Chcecie się spotkać z Jerome'em, panie komisarzu? Czy stało się coś, że trzeba mnie było wywoływać z kościoła?

— Tylko tyle, że nie mam czasu do trwonienia. Gdzie on jest?

— Po tym, jak obrzucił was zniewagami, został zamknięty w swojej celi w dormitorium.

— Więc proszę nas do niego zaprowadzić, chcę go przesłuchać.

Wyprowadził nas na wewnętrzny dziedziniec.

— Nawet nie chcę myśleć, z jakimi obelgami się pan komisarz spotka, wchodząc do jego celi. Jeśli oskarżycie go o zdradę stanu, wyświadczycie nam wielką przysługę.

— Doprawdy? Widzę, że brat Jerome nie ma tu przyjaciół.

— Ani jednego.

— Sporo tu samotnych ludzi. Na przykład nowicjusz Whel-play.

Mortimus popatrzył na mnie nieugiętym wzrokiem.

- Usiłowałem nauczyć Simona Whelplaya, co znaczy skrucha.
- Lepiej pokieraszowanym do nieba niż zdrowym do piekła — mruknął Mark.
- Co to takiego?
- Coś, co sędzia pokoju powiedział dziś mnie panu Poerowi. A swoją drogą, słyszałem, że odwiedziliście Simona wczoraj rano w infirmerii.

Przeor poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Poszedłem się za niego pomodlić. Nie chciałem, żeby umierał, jeno żeby się oczyścił z tego, co go opętało.
- Za cenę życia?

Zatrzymał się raptownie odwrócił do mnie z udręczoną twarzą. Pogoda psuła się z minuty na minutę, płatki śniegu tańczyły wokół nas razem z naszymi płaszczami, habit przeora wzdymał się na wietrze.

- Nie chciałem, żeby umarł! To nie moja wina, był opętany! Opętany. Nie umarł przeze mnie, nie pozwolę zrzucić na siebie winy za jego śmierć!

Przyjrzałem mu się. Czyżby w poczuciu winy poszedł się modlić przy łożu nowicjusza? Nie, uznałem, przeor Mortimus nie należał do ludzi, którzy podają w wątpliwość słuszność swoich postępów. Było to nader osobliwe porównanie, lecz jego bezlitosna pewność siebie przywodziła mi na myśl niektórych radykalnych luteranów, których wielu poznałem w życiu. I niewątpliwie wykształcił w sobie jakiś rodzaj intelektualnej sofistyki, która pozwalała mu molestować młode kobiety, nie mącąc spokoju własnego sumienia.

- Zimno jest — powiedziałem. — Prowadźcie dalej.

Bez dalszych konwersacji powiódł nas do dormitorium, które

mieściło się w długim, dwupiętrowym budynku wychodzącym na dziedziniec z krużgankami. Z wielu kominów unosił się dym. Nigdy przedtem nie widział sypialnej części klasztoru. Z Comperty dowiedziałem się, że wielkie zbiorowe sale sypialne pierwszych benedyktynów dawno już podzielono na wygodne pojedyncze cele tak też było w Świętym Donatusie. Szliśmy długim korytarzem z wieloma drzwiami. Niektóre stały otworem widziałem w środku płonące polana wygodne łóżka. Przeor Mortimus zatrzymał się przed jednymi, które były przymknięte.

- Zwykle zamykamy je na klucz — oznajmił — aby nie włączył się po terenie klasztoru. — Pchnął drzwi. — Jerome, pan komisarz chce się z tobą widzieć.

Cela brata Jerome'a była tyleż surowa, ile poprzednie wygodne. W pustym palenisku nie płonął ogień, poza krzyżem wiszącym nad łóżkiem bielonych ścian nic nie przyozdabiało. Stary kartuz siedział ubrany w same rajtuzy, jego kościsty tułów był tak samo skręcony nienaturalnie powykrzywiany wokół ramion jak mój, tylko że jego nosił ślady urazów, nie zaś wrodzonej deformacji. Stał nad nim brat Guy ze szmatką przemywał liczne drobne opuchlizny na jego skórze, niektóre\* P

czerwone, inne żółte nabiegłe ropą. Znad misy unosił się ostry zapach lawendy.

— Bracie infirmarzu — rzekłem — przepraszam, że przerywam wasze zabiegi.

— Już prawie skończyłem. To powinno uleczyć zakażone rany, bracie.

Kartuz rzucił mi złowróżbne spojrzenie, po czym odwrócił się do brata Guya.

— Poproszę swoją czystą koszulę.

Infirmarz westchnął.

— Osłabiasz się w ten sposób, bracie. Mógłbyś przynajmniej zmoczyć włosy, aby zmiękły.

To rzekłszy, podał mu szarą włosiennicę z czarną zwierzęcą sierścią wszytą w tkaninę po wewnętrznej stronie, sterczącą sztywną. Brat Jerome włożył ją, po czym jął się mocować z białym habitem. Infirmarz zabrał misę, ukłonił się nam wyszedł. Jerome przeor patrzyli na siebie ze wzajemną niechęcią.

— Znowu się umartwiasz, Jerome?

— Za swe grzechy, bracie przeorze. Ale nie czerpię przyjemności z umartwiania innych jak niektórzy.

Przeor rzucił mu nienawistne spojrzenie, po czym wręczył mi klucz.

— Kiedy skończycie, proszę oddać klucz furtianowi — powiedział.

Odwrócił się szybko wyszedł, z trzaskiem zamykając drzwi. Uświadomiłem sobie nagle, że zostaliśmy zamknięci w małej celi z człowiekiem, którego oczy iskrzyły nienawiścią w bladym, porytym obliczu. Rozejrzałem się za czymś do siedzenia, ale jedynym meblem w izbie było łóżko, więc stałem wsparty jeno na lasce.

— Boli cię, garbusie? — spytał niespodziewanie Jerome.

— Trochę dokucza. Mieliśmy długą drogę przez śnieg.

— Znasz powiedzenie, że dotknięcie karła przynosi pomyślność, ale dotknięcie garbusa sprowadza nieszczęście? Jesteśdrwiną z ludzkiej formy, komisarzu, podwójnie, ponieważ twoja dusza jest tak samo zgniła spaczona jak wszystkich ludzi Cromwella.

Mark zrobił kilka kroków w jego stronę.

— Na rany Chrystusa, macie plugawy język, kartuzie.

Dałem znać Markowi, aby zamilkł wpiłem w mnicha wzrok.

— Czemu mnie obrażasz, Jeromie z Londynu? Mówią, że jesteś szalony. Jesteś? Czy będziesz się zaśnaniał szaleństwem, jeśli cię każę wtrącić do Tower za zdradę stanu?

— Niczym się nie będę zaśnaniał, garbusie. Z radością przyjmę sposobność, aby się stać tym, kim powinienem być poprzednio: męczennikiem za Kościół Chrystusowy. Sram na imię króla Henryka jego uzurpację władzy papieskiej. — Roześmiał się gorzko. — Nawet Marcin Luter się go wyrzeka, wiesz o tym? Mówi, że paniczek Heinz w końcu zachce ogłosić się bogiem.

Marka aż zatchnęło. Same te słowa wystarczyłyby, aby postać Jerome'a na szubienicę.

— Zatem musisz się palić ze wstydu, skoroś złożył przysięgę uznać jego zwierzchność nad kościołem — rzekłem spokojnie.

Jerome sięgnął po swoją kulę ciężko dźwignął się z łóżka. Włożył kulę pod ramię jął powoli chodzić po celi. Kiedy się znowu odezwał, mówił głosem cichym twardym.

— Tak, garbusie, wstyd groza na mą wieczną duszę. Czy wiesz ty, kim są moi krewni? Powiedzieli ci to?

— Wiem, żeś jest spokrewniony z królową Jane, Panie, świeć nad jej duszą.

— Pan nie będzie świecić nad jej duszą. Smaży się w piekle za to, że poślubiła schizmatyka. — Odwrócił się do mnie twarzą. — Czy mam ci opowiedzieć, jak tu trafiłem? Czy mam ci przedłożyć swą sprawę, panie prawniku?

— Tak, proszę. Opowiedz mi, a ja usiądę posłucham.

Usadowiłem się na twardym łóżku. Mark stał bez ruchu

z dłonią na rękojeści miecza, podczas gdy Jerome kuśtykał po celi tam z powrotem. — Porzuciłem świat czczych rozrywek, kiedy miałem dwadzieścia lat. Moja kuzynka, której nie ma już na tym świecie, jeszcze się wtenczas nie narodziła, więc jej nie poznałem. Trzydzieści lat z okładem spędziłem w celi londyńskiej kartuzji. To było święte miejsce, nie to co ten zepsuty klasztor. Człowiek miał uczucie, że jest w niebie: miejsce poświęcone Bogu w samym środku miasta profanów.

— Czy noszenie włosiennic było tam częścią reguły?

— Abyśmy nie zapominali, że ciało jest grzeszne zepsute. Thomas More mieszkał u nas przez cztery lata. Od tamtej pory zawsze nosił włosiennicę, nawet pod świeckimi szatami, kiedy został lordem kanclerzem. Pomagała mu zachować pokorę niezłomność aż do samej śmierci, kiedy przeciwstawił się małżeństwu króla.

— I wcześniej, kiedy był lordem kanclerzem palił na stosie każdego heretyka, jakiego udało mu się znaleźć. Wszelako ty nie byłeś niezłomny, bracie Jeromie.

Kark mu zeszywniał, a kiedy się odwrócił, oczekiwałem następnego wybuchu. Tymczasem mówił dalej spokojnym głosem.

— Kiedy król zażądał od wszystkich członków zakonów, aby złożyli przysięgę uznającą go za głowę kościoła, tylko my, kartuzi, odmówiliśmy, chociaż wiedzieliśmy, co to oznacza.

Przewiercił mnie wzrokiem na wskroś.

— W istocie, wszystkie inne klasztory złożyły śluby poza waszym.

— Było nas czterdziestu, brali nas pojedynczo. Przeor Houghton pierwszy odmówił złożenia ślubu, przesłuchiwał go sam Cromwell. Czy pan wie, komisarzu? Kiedy ojciec Houghton powiedział mu, że święty Augustyn stawiał autorytet kościoła ponad Pismo Święte, Cromwell odparł, że nic go nie obchodzi kościół, a Augustyn mógł sobie gadać, co mu się żywnie podobało.



— I miał rację. Autorytet Pisma Świętego stoi ponad autorytetem scholastyków.—I opinia syna karczmarza stoi ponad opinią świętego Augustyna? — Jerome roześmiał się ironicznie. — Kiedy nasz czcigodny przeor nie chciał się poddać, osądzono go za zdradę stanu stracono na Tyburnie. Byłem tam, widziałem jego ciało pokrojone na plasterki katowskim nożem, podczas gdy on jeszcze żył. To nie był dzień szubienicz-nych uciech gawiedzi. Tłum patrzył w milczeniu, jak umiera nasz przeor.

Zerknąłem na Marka. Obserwował Jerome'a w najwyższym skupieniu ze wzburzeniem malującym się na twarzy. A kartuz ciągnął: ,

— Niewiele więcej szczęścia miał wasz Cromwell z następcą przeora Houghtona. Ojciec Middlemore wyżsi urzędnicy nadal nie chcieli złożyć ślubów, więc oni także pojechali na Tyburn. Tym razem ludzie w tłumie wznosili okrzyki przeciwko królowi. Cromwell się przestraszył, że następnym razem dojdzie do rozruchów, więc jął się chwytać każdego sposobu, aby nas nakłonić do złożenia przysięgi. Przesłał swoich ludzi, aby przejęli władzę nad klasztorem. Do bramy przybito gnijące, cuchnące ramię przeora Houghtona. Głodzili nas," szydzili z nabożeństw, darli nasze księgi, obrzucali obelgami. Wybierali jednego po drugim co krnąbrniej szych, niektórych wysyłano do bardziej uległych klasztorów, inni znikali bez śladu.

Przerwał, oparł się zdrową ręką na łożku milczał. Popatrzyłem na niego.

— Słyszałem te opowieści. To zmyślane historie.

Zignorował mnie znów zaczął krążyć po celi.

— Po buncie na północy zeszłej wiosny król wreszcie stracił do nas cierpliwość. Wszystkim pozostałym braciom kazano złożyć przysięgę pod groźbą śmierci głodowej w Newgate. Piętnastu złożyło śluby straciło dusze. Dziesięciu wtrącono do więzienia, przykuto łańcuchami do ściany pozostawiono bez jedzenia. Niektórzy przeżyli tak kilka tygodni...

Urwał nagle, zakrył dłońmi twarz stał, kołysząc się na piętach szlochając bezgłośnie.\_

}

— Słyszałem takie pogłoski — szepnął Mark. — Wszyscy mówią, że są zmyślane.

Machnąłem nań ręką, by umilkł.

— Nawet jeśli niezmyślane, to ciebie wśród nich nie było, bracie Jeromie. Przywieziono cię tutaj wcześniej.

Odwrócił się do mnie tyłem, otarł twarz rękawem habitu opierając się na kuli, patrzył przez okno. Śnieg za oknem sypał tak gęsto, jakby chciał pogrzebać cały świat.

— Tak, garbusie, byłem jednym z tych, których wywieziono po kryjomu. Widziałem, jak zabierają naszych przełożonych, wiedziałem, jak umierali, mimo codziennego poniżania my, bracia, wspieraliśmy się nawzajem. Wierzyliśmy, że przetrwamy. Byłem wtedy silnym, zdrowym mężczyzną, pyszniłem się swym hartem ducha.

Wybuchnął urywanym, historycznym śmiechem.

— Pewnego ranka przyszli po mnie żołnierze. Zabrali mnie do Tower: To było w połowie maja zeszłego roku, Annę Boleyn skazano właśnie na śmierć w Tower budowali wielki szafot. Widziałem go. Wtedy naprawdę przejął mnie lęk. Kiedy strażnicy wlekli mnie po schodach do lochów, rozumiałem, że moje postanowienie może skruszeć. Wepchnęli mnie do dużej komnaty w podziemiach rzucili na jakieś krzesło. Zobaczyłem w kącie sali koła do tortur dwóch strażników gotowych wprawić je w ruch. Dwie inne osoby siedziały za biurkiem zwrócone do mnie przodem. Jednym z nich był Kingston, naczelnik więzienia; drugim, który mierzył mnie okropnym spojrzeniem, twój zwierzchnik, Cromwell.

— Wikariusz generalny we własnej osobie? Nie wierzę ci.

— A oto, co do mnie rzekł: „Bracie Jeromie Wentworth, jesteś prawdziwym utrapieniem. Powiedz mi od razu, bez ogródek, czy złożysz przysięgę o zwierzchności króla nad kościołem”. Powiedziałem, że nie. Serce mi waliło, jakby chciało wysadzić mi pierś, kiedym tam siedział twarzą w twarz z tym człowiekiem o oczach niczym ognie piekielne, bo wygląda z nich sam diabeł. Jak możesz patrzeć mu w twarz, komisarzu, nie widzieć, kim jest?— Dość tego. Mów dalej.

— Twój mistrz, wielki, mądry kanclerz, skinął głową na łożo tortur. „Zobaczymy — powiedział. — Za kilka tygodni Jane Seymour będzie królową Anglii. Król nie pozwoli, aby jego kuzyn odmówił złożenia przysięgi. Nie chce też, aby twoje imię trafiło na listę straconych za zdradę stanu. Jedno drugie byłoby wielce kłopotliwe, bracie Jeromie. Musisz więc przysiąc albo cię do tego zmusimy”. A potem znowu pokazał głową koło. Powtórzyłem, że nie złożę przysięgi, chociaż głos mi drżał. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem się uśmiechnął. „Myślę, że złożysz — powiedział. — Panie Kingston, nie mam zbyt dużo czasu, na koło z nim”. Kingston skinął głową na oprawców — ciągnął Jerome — a ci postawili mnie na nogi. Potem rzucili mnie na koła, aż straciłem dech w piersiach. Wyciągnęli mi ręce nad głową przywiązali za dłonie stopy. — Zniżył głos do szeptu. — Wszystko odbyło się tak szybko, a żaden z nich nie wymówił ani słowa. Usłyszałem trzeszczenie, kiedy koło zaczęło się obracać, a potem poczułem w ramionach tak rozdzierający ból, jakiegom sobie w życiu nie wyobrażał. Pochłonął mnie całego.

Przerwał, delikatnie masując zdruzgotane ramię, wzrok miał pusty. Na wspomnienie tej męczarni jakby zapomniał o naszej obecności. Mark obok mnie poruszył się nerwowo.

— Krzychałem. Nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie usłyszałem swego głosu. Po chwili ciągnięcie ustało. Nadal bolało mnie okropnie, ale najgorsza fala cierpienia ustała. Podniosłem wzrok, nade mną stał Cromwell patrzył na mnie z góry.

— Przysięgnij, bracie — powiedział. — Już widzę, że niewiele w tobie wytrzymałości. Będziemy cię łamać, dopóki nie przysięgniesz. Ci ludzie mają wielką wprawę, nie pozwolą ci umrzeć, ale twoje ciało już jest zszargane, wkrótce tak je rozszarpimy, że ból cię nie opuści do końca życia. Nie ma nic wstydlivego w złożeniu ślubów, jeśli się zostało do nich zmuszonym torturami.— Kłamiesz — rzekłem do kartuza, ale on tym razem zbył milczeniem me słowa.

— Krzyknąłem, że będę znosił ból jak Chrystus na krzyżu. Cromwell jeno wzruszył ramionami skinął głową na katów, a oni zakręcili tym razem oba koła. Czułem, jak rozdzierają moje mięśnie w nogach, a kiedy koła wyrwały mi kość udową ze stawu, wrzasnąłem, że złożę przysięgę.

— Ale wszak przysięga złożona pod przymusem nie może być ważna w świetle prawa — zauważył Mark.

— Na krew Chrystusa, zamilcz! — warknąłem na niego.

Jerome drgnął przywołany do rzeczywistości uśmiechnął się.

— To był ślub złożony przed Bogiem, krzywoprzysięstwo, a ja jestem zgubiony. Jeśliś jest dobrym człowiekiem, chłopcze, powinieneś się trzymać jak najdalej od tego garbatego heretyka.

Patrzyłem nań bez zmrużenia okiem. Prawdę mówiąc, siła jego opowieści podziałała na mnie bardzo mocno, ale musiałem zachować twarz autorytet. Wstałem, skrzyżowałem ręce na piersi spojrzałem mu w oczy.

— Bracie Jeromie, dość mam twych obelg opowieści. Przeszedłem tu w sprawie ohydneho zabójstwa Robina Singletona. Nazwałeś go krzywoprzysięzcą kłamcą uczyniłeś to w obecności świadków. Chcę wiedzieć dlaczego.

Usta Jerome'a wykrzywiły się w takim grymasie, jakby kartuz zawarczał.

— Czy wiesz, heretyku, czym są tortury?

— Czy wiesz, mnichu, czym jest morderstwo? Ani słowa więcej, Marku Poerze — dodałem szybko, widząc, że otwiera usta.

— Mark. — Jerome uśmiechnął się ponuro. — Twój pomocnik nawet wygląda podobnie do swego imiennika.

— Jakiego imiennika? O czymże ty znowu bredzisz?

— Mam ci powiedzieć? Przecie nie chcesz słuchać więcej moich opowieści. Ale ta historia cię zainteresuje. Czy mogę usiąść? Jestem bardzo obolały.<sup>4</sup>

— Nie będę wysłuchiwał więcej zniewag ani słów, za które powinienem cię wysłać na stryczek.

— Żadnych zniewag, obiecuję, żadnych zdradzieckich słów. Czysta prawda.

Skinąłem głową, a on usiadł z powrotem na łóżku, podpierając się kulą. Podrapał się po piersi skrzywił z bólu wywołanego włosiennicą.

— Widzę, że moja opowieść o łamaniu kołem wprawiła cię w konsternację, prawniku. To, co usłyszysz teraz, wprawi cię w jeszcze większe pomieszanie. Młodzieniec, o którym mówiłem, nazywał się Mark Smeaton. Czy znasz to imię?

— Oczywiście. To był nadworny muzyk, który przyznał się do cudzołóstwa z królową Anną przyplacił to życiem.

— Tak, przyznał się z tych samych powodów, dla których ja złożyłem przysięgę królowi.

— Skąd miałbyś to wiedzieć?

— Zaraz ci powiem. Kiedym złożył ślub przed Cromwellem w okropnej sali tortur, konstabl rzekł mi, że przez kilka dni zostanę w Tower, abym wydobrzył, a potem dzięki staraniom mego kuzyna pojedę do Scarnsea zamieszkać tu w klasztorze jako gość. Jane Seymour dowie się tylko, że złożyłem przysięgę. Wtedy lord Cromwell przestał się mną interesować zaczął zbierać moje podpisane śluby razem z resztą dokumentów. Powiedli mi do celi ukrytej głęboko w lochach. Strażnicy musieli mnie nieść ciemnym, wilgotnym korytarzem. Położyli mnie na starym sienniku na podłodze wyszli. W głowie mi się męciło po tym, co uczyniłem, czułem okropne bóle. Od smrodu rozchodzącego się z gnijącego siennika dostałem mdłości. Jakoś udało mi się wstać pokuśtykać do drzwi, gdzie przez zakratowane okienko dochodziło z korytarza świeże powietrze. Oparłem się o drzwi zacząłem się modlić o przebaczenie za to, co uczyniłem. Wtem usłyszałem kroki, szloch wołanie. Przyszli inni strażnicy, wlekli młodego mężczyznę, mniej więcej w wieku twojego asystenta, z taką samą ładną buzią, jeno delikatniejszą zalaną łzami. Miał na sobie strzępy

eleganckich szat, toczył dookoła oczami rozwartymi z przerażenia. Spojrzał na mnie błagalnie, kiedy go ciągnęli obok mojej celi, a potem usłyszałem zgrzyt sąsiednich drzwi. „Przygotuj się, panie Smeaton — powiedział jeden ze strażników. — Spędzisz tu noc. Jutro wszystko odbędzie się szybko bez bólu”. A mówił to prawie ze współczuciem.

Śmiejąc się, Jerome odstąpił szare, zepsute zęby. Od tego śmiechu przeszedł mnie dreszcz. Przez chwilę twarz mu się zmieniała od mieszanych uczuć, po czym podjął opowieść.

— Trzasnęły drzwi od celi kroki strażników ucichły. Usłyszałem głos: „Ojcze, ojczy! Jesteś księdzem?”. „Jestem zakonikiem kartuzjańskim — odrzekłem. — A tyś jest muzykiem oskarżonym razem z królową?”. Zaczął szlochać. „Bracie, niczego nie uczyniłem! Oskarżają mnie o czyny cudzołóżne z królową, ale ja jestem niewinny!”. „Mówią, że się przyznałeś!” — zawołałem. „Bracie, zawieźli mnie do domu lorda Cromwella. Zagrozili, że zawiążą mi sznur na głowie dotąd będą go zaciskać, aż mi oczy wyjdą na wierzch”. Mówił gorączkowo, niemalże krzyczał. „Lord Cromwell kazał im łamać mnie kołem, jeno tak, aby śladów nie było. Ojcze, tak mnie boli, ale pragnę żyć. Jutro mają mnie zabić!”. Głos mu się wtedy załamał zaczął szlochać.

Jerome siedział bez ruchu, wzrok miał nieobecny.

— Ból w nodze ramieniu narastał, ale nie miałem siły się ruszyć. Oplotłem zdrowym ramieniem kraty, na wpół przytomnie oparłem się o drzwi słuchałem płaczu Smeatona. Po jakimś czasie trochę się uspokoił znów do mnie zawołał drżącym głosem. „Bracie, podpisałem fałszywe wyznanie, przez które oskarżono królową. Czy pójde za to do piekła?”. „Jeśli wymuszono je od ciebie torturami, Bóg cię nie skaże na potępienie. Fałszywe wyznanie nie jest tym samym co przysięga złożona przed Bogiem” — dodałem z goryczą. „Bracie, boję się o swą duszę. Grzeszyłem z kobietami, to było takie łatwe”. „Jeśli szczerze tego żałujesz, Bóg ci wybaczy”. „Ale ja nie żałuję, bracie”. Roześmiał się nerwowo. „To była zawsze taka

przyjemność. Nie chcę umierać nigdy więcej nie zaznać rozkoszy”. „Musisz oczyścić swą duszę — zachęcałem go. — Musisz szczerze żałować albo pochłonie cię ogień piekielny”. „I tak czeka mnie czyścić”. I znów szlochał, ale mnie w głowie się męciło coraz bardziej. Byłem tak słaby, że nie mogłem już wydobyć z siebie więcej głosu. Poczołgałem się na swe cuchnące poślanie. Nie wiedziałem, jaka jest pora dnia; tam na dole nie wpada żadne światło poza blaskiem pochodni

płonących na korytarzu. Jakiś czas spałem. Dwakroć się budziłem, kiedy strażnicy wprowadzali odwiedzających do celi Smeatona.

Oczy Jerome'a spotkały się z moimi przelotnie, lecz zaraz znów uciekły w dal.

— Obydwa razy słyszałem, jak szlocha. Kiedy się zbudziłem następnym razem, ujrzałem strażnika mijającego moją celę w towarzystwie księdza. Długo dochodził mnie szmer głosów, choć nie wiem, czy Smeaton wypowiadał się w końcu szczerze ocalił swą duszę. Znowu zapadłem w sen, a kiedy się ponownie zbudziłem w boleściach, wszędzie panowała cisza. Tam w lochach nie ma okien, ale skądś wiedziałem, że nastał ranek Smeaton nie żyje. — Znowu spojrział na mnie uważnie. — Wiedz zatem, że twój pan wymusił torturami fałszywe przyznanie się do winy niewinnego człowieka, a potem go zabił. To człek, co krew przelewa bez najmniejszych skrupułów.

— Czy opowiadałeś komuś tę historię? — spytałem.

Kartuz uśmiechnął się dziwnie, krzywo.

— Nie. Nie było po co.

— Co to znaczy?

— To nie ma znaczenia.

— Zaiste, nie ma znaczenia, albowiem twierdzą, że wszystko to jest stek kłamstw.

Wzruszył jeno ramionami.

— Odwiodłeś mnie od sprawy Robina Singletona. Mów teraz, czemuś nazwał go zdrajcą krzywoprzysięcą.

Znowu twarz mu wykrzywił ów dziwny, dziki uśmiech.

— Bo nim jest. Jest narzędziem w rękach tego potwora Cromwella, tak samo jak ty. Obaj fałszywie przysięgaliście zdradziliście posłuszeństwo prawdziwie należne papieżowi.

Wziętem głęboki oddech.

— Jeromie z Londynu, tylko jeden człowiek przychodzi mi na myśl, który mógł nienawidzić komisarza, a raczej jego urzędu tak mocno, by uknuć spisek na jego życie. Ty. Twe niedołęstwo nie pozwoliło ci samemu dokonać tego czynu, ale zdolny jesteś podjudzić innych ludzi do popełnienia zbrodni. Twierdzą, że jesteś winien jego śmierci.

Kartuz sięgnął znowu po swą kulę z wielkim bólem wstał. Położył na sercu prawą dłoń, która lekko drżała. Spojrział mi w oczy z lekkim, jakby sekretnym uśmiechem, od którego przeszedł mnie dreszcz.

— Komisarz Singleton był heretykiem okrutnym człowiekiem rad jestem, że nie żyje. I niechaj to nie daje spokoju lordowi Cromwellowi. Ale przysięgam na mą duszę, przed Bogiem z własnej, nieprzymuszonej woli, że nie miałem żadnego udziału w zabójstwie Robina Singletona, przysięgam, że nie znam żadnego męża w tym przybytku słabeuszy głupców, który by miał dość odwagi, aby to zrobić. Proszę, oto odpowiedź na twe oskarżenia. A teraz jestem zmęczony chcę się położyć spać.

To rzekłszy, rozciągnął się na łóżku.

— Niech tak będzie, Jeromie z Londynu. Ale wiedz, że się jeszcze spotkamy.

Skierowałem Marka do drzwi. Na korytarzu zamknąłem celę na klucz ruszyliśmy w drogę powrotną odprowadzani wzrokiem przez mnichów, którzy wrócili już z seksty do swych izb. Kiedyśmy doszli do wyjścia na dziedziniec, drzwi przed nami otworzyły się raptownie z zawiei do budynku spieszenie wszedł brat Athelstan w habicie obsypanym śniegiem. Na mój widok stanął jak wryty.

— A więc, bracie, odkryłem, czemuś popadł w niełaskę u brata Edwiga. Zostawiłeś jego prywatny gabinet niestrzeżony.

Athelstan przestępował z nogi na nogę, z rozwichrzonej brody kapał na maty z sitowia roztopiony śnieg.

— Tak, panie komisarzu.

— Ta informacja byłaby mi dużo bardziej użyteczna niż wasze opowieści o narzekaniach w kapitularku. Opowiedzcie mi, co się wydarzyło.

Spojrzał na mnie z lękiem.

— Nie sądziłem, że to może być ważne, wasza miłość. Wszedłem, bo miałem ważną pracę, zastałem komisarza Singletona w gabinecie brata Edwiga na górze. Zaglądał do jakiejś księgi. Prosiłem, aby jej nie zabierał albo przynajmniej pozwolił mi to zanotować, bo wiedziałem, że brat Edwig będzie się na mnie zżymał. Kiedy wrócił, zbeształ mnie, że powinienem był mieć oko na to, co robi komisarz Singleton.

Zwiesił głowę.

— Czy wiecie, co zawierała księga, którą znalazł komisarz?

— Nie, panie komisarzu. Mam do czynienia jeno z księgami rachunkowymi, które znajdują się w biurze na dole, nie wiem, co brat Edwig trzyma na górze.

— Czemu mi o tym nie powiedzieliście?

Przestąpił z nogi na nogę.

— Bałem się, wasza miłość. Bałem się, że jeśli zapytacie o to szafarza, on się domyśli, że dowiedzieliście się tego ode mnie. To bardzo surowy człowiek.

— A ty głupi. Posłuchaj dobrze mojej rady, braciszku. Dobry informator musi być gotów przekazywać wszystko, co wie, nawet z narażeniem życia. Inaczej nie zdobędzie zaufania. A teraz zejdz mi z oczu.

Pomknął biegiem w głąb korytarza. Mark ja nakryliśmy się płaszczami po same uszy wyszliśmy w zamieć. Rozejrzałem się po białym dziedzińcu.

— Wielkie nieba, widział kto taką pogodę? Chciałem pójść nad staw, ale w tę śnieżycę niepodobna. Wracajmy do infirmerii.

Po drodze zauważyłem, że Mark jest zamyślony markotny. W kuchni infirmerii zastaliśmy Alice, która parzyła zioła.— Wyglądacie, panowie, na zziębniętych. Przynieść wam grzanego wina?

— Tak, poproszę, Alice. Im cieplejsze, tym lepsze.

Kiedyśmy wrócili do naszej izby, Mark wziął poduszkę usiadł przed kominkiem, ja zdrożony usiadłem na łóżku.

— Jerome coś wie — rzekłem cicho. — On sam nie był zamieszany w morderstwo, inaczej nie złożyłby przysięgi, ale coś wie. Widać to było w jego uśmiechu.

— Tak mu się w głowie pomieszało po tym, co przeszedł, że wątpię, aby wiedział, co mówi.

— Nieprawda. Trawią go gniew hańba, ale ten człek jest przy zdrowych zmysłach.

Mark nie odrywał oczu od ognia.

— Więc to prawda, co mówił o Marku Smeatonie? Lord Cromwell zmusił go torturami do złożenia fałszywych zeznań?

— Nie — odrzekłem, zagryzając wargę. — Nie wierzę w to.

— Nie chce wasza miłość wierzyć — rzekł Mark cicho.

— Nie! I nie wierzę również, że wikariusz generalny był obecny, kiedy torturowano Jerome'a. To kłamstwo. Widziałem lorda Cromwella w tych dniach, które poprzedziły egzekucję Anny Boleyn. Nie odstępował króla na krok, nie miał czasu jeździć do Tower. I nie postępowałby tak, jak to opisał kartuz. Jerome zmyśla.

Uprzytomniłem sobie, że zaciskam dłonie w pięści. Mark spojrzął na mnie.

— Czy nie wydało się wam oczywiste, że Jerome mówił prawdę? Czy nie było tego widać po jego zachowaniu?

Milczałem niepewnie. W każdym słowie kartuza brzmiała szczerłość. Nie ulegało wątpliwości, że go torturowano, ale żeby lord Cromwell osobiście wymuszał w ten sposób fałszywe przysięgi? Nie mogłem uwierzyć w to, com usłyszał o swym mecenasie, ani w jego udział w torturowaniu Smeatona... rzekomym torturowaniu, rzekłem sobie. Przebiegłem palcami po włosach.

— Są ludzie niezwykle przekonujący w swych kłamstwach.

Występowałem kiedyś w sprawie pewnego mężczyzny, który podawał się za licencjonowanego złotnika, udało mu się oszukać nawet cech...

— To nie to samo, wasza miłość...

— Nie wierzę, że lord Cromwell mógłby sprokurować fałszywe dowody przeciwko Annie Boleyn. Zapominasz, Marku, że znam go od wielu lat. Przed wszystkim doszedł do władzy dzięki jej reformatorskim sympatiom. Była jego protektorką. Czemu miałby się przyczynić do jej śmierci?

— Ponieważ król sobie tego życzył, a lord Cromwell uczyniłby wszystko, aby zachować swoją pozycję. Takim plotki słyszał w sądach.

— Nie — powtórzyłem stanowczo. — Jest twardym politykiem, każdego dnia musi stawiać czoło przeciwnikom wrogom, ale żaden chrześcijanin nie uczyniłby czegoś takiego niewinnemu człowiekowi, a wierz mi, lord Cromwell jest chrześcijaninem. Gdyby nie on, nie byłoby reformacji. Ten zdeprawowany mnich próbował nas podżegać przeciwko naszemu mocodawcy. Lepiej, abys nie powtarzał tych kłamstw poza tą izbą.

Mark popatrzył na mnie bystro nieustępliwie. Po raz pierwszy w życiu poczułem się nieswojo pod jego spojrzeniem. Tymczasem weszła Alice z kubkami parującego wina. Podała mi jeden z uśmiechem, po czym wymieniła z Markiem spojrzenia, które miały zupełnie inną wymowę. Zauważyłem to z ukłuciem zazdrości.

— Dziękuję, Alice — rzekłem. — To nam dobrze zrobi. Rozmawialiśmy z bratem Jerome'em przyda nam się coś na pokrzepienie.

— Naprawdę? — Nie wyglądała na zainteresowaną. — Widziałam go tylko kilka razy, jak kuśtykał to tu, to tam. Powiadają, że jest szalony.

Ukloniła się wyszła, a ja odwróciłem się do Marka, który dalej wpatrywał się w ogień.

— Wasza miłość — zaczął niepewnie — chciałbym wam o czymś powiedzieć.

— Słucham?

— Kiedy wrócimy do Londynu, o ile w ogóle uda nam się wydostać z tego miejsca, nie chcę wracać do pracy w sądach. Podjąłem już decyzję. Nie zniósłbym tego dłużej.

— Czego byś nie zniósł? O czym ty mówisz?

— O korupcji, chciwości. Nieustannie nachodzą nas ludzie, którzy chcą wiedzieć, które klasztory będziemy likwidować w następnej kolejności. Piszą prośby, wystają pod drzwiami, powołują się na swą rzekomą znajomość z lordem Richem, obiecują, że jeśli przydzielimy im ziemię, zostaną oddanymi służącymi Richa albo Cromwella.

— Lorda Cromwella, Marku...

— A urzędnicy nie gadają o niczym innym, jak tylko, który z dworzan da głowę pod topór kto zajmie jego miejsce. Mierzi mnie to, wasza miłość.

— Co cię sprowokowało do takich myśli? To, co powiedział Jerome? Boisz się, że skończysz jak Mark Smeaton?

Spojrzał mi otwarcie w oczy.

— Nie, wasza miłość. Już wcześniej próbowałem wam powiedzieć, co czuję.

— Posłuchaj, Marku. Mnie również nie podoba się wiele rzeczy, które się dzieją w ostatnich czasach, ale wkrótce to wszystko się skończy. Chcemy stworzyć nowe, lepsze królestwo. — Podniosłem się stanąwszy nad nim, rozłożyłem ramiona. — Weźmy na przykład ziemie klasztorów,



sam widziałeś, co to za miejsce: spasieni mnisi oddają się wszelkim możliwym herezjom wynalezionym przez papieża, żerują na ubogich mieszczanach, modlą się do figurek, odgrywają świętoszków, a tymczasem, gdy tylko się nadarzy okazja, gotowi są oddawać się odrażającym aktom ze sobą nawzajem, z młodą Alice albo... z tobą. Wszystko to wkrótce się skończy dobrze, bo to hańba.

— Ale niektórzy z nich nie są złymi ludźmi. Brat Guy...

— Cała instytucja jest do gruntu zepsuta. Posłuchaj: jeśli lord Cromwell zdoła oddać te ziemie w ręce króla, to owszem,

część z nich dostanie się jego stronnikom. Na tym polega mecenat, tak działa społeczeństwo, nie da się tego uniknąć. Ale w grę wchodzi ogromne sumy, król dostanie dość pieniędzy, aby się uniezależnić od parlamentu. Litujesz się nad ciężką dolą biedaków, czyż nie?

— Tak, wasza miłość. To hańba, takich ludzi jak Alice wyrzuca się z domów, nędzarze pozbawieni opieki żebrzą na ulicach...

— Zgadza się, to jest haniebne. Lord Cromwell próbował zeszłego roku przeforsować w parlamencie ustawę, która naprawdę pomogłaby biedakom, utworzyć przytułki dla tych, którzy nie mogą pracować, zapewnić wielkie roboty publiczne ludziom bez pracy: budowy dróg kanałów. Parlament odrzucił ustawę, ponieważ szlachta nie chce płacić podatków, aby fundować takie przedsięwzięcia. Ale gdyby do królewskiego skarbcza wpłynęły bogactwa klasztorów, nie potrzebowałyby parlamentu. Mógłby wybudować szkoły, opłacić dostarczenie angielskiej Biblii do każdego kościoła. Przedstaw to sobie: każdy miałby pracę każdy mógłby czytać Słowo Boże. Dlatego właśnie sąd do spraw majątku likwidowanych klasztorów jest taka ważny!

Mark uśmiechnął się smutno.

— Więc nie uważacie tak jak sędzia Copynger, że tylko właścicielom ziemi powinno się pozwolić czytać Biblię? Słyszałem, że lord Rich jest tego samego zdania. Mój ojciec nie jest ziemianinem, więc nie wolno by mu było czytać Pisma Świętego. Mnie również.

— Masz szansę pewnego dnia nim zostać. Nie, nie zgadzam się z sędzią Copyngerem. A Rich to fajdak. Cromwell go teraz potrzebuje, ale już on się postara, żeby Rich nie wspiął się ani o szczebel wyżej. Wszystko się pomału ułoży.

— Czyżby?

— Musi. Musi, Marku. Trzeba się modlić. Musisz się modlić. Ja nie mogę... nie mogę się teraz zmagać ze zwątpieniem, nie teraz. Zbyt doniosłe rzeczy ważą się na szali.v -

Odwrócił się z powrotem do ognia.

— Przykro mi, że was rozzłościłem, wasza miłość.

— Więc uwierz w to, co mówię.

Dokuczały mi bóle w plecach. Długi czas milczeliśmy, podczas gdy na dworze zapadał zmierzch izba powoli pogrążała się w mroku. Nie była to błoga cisza. Rad byłem, że przemówiłem do Marka z takim zapałem, wierzyłem we wszystko, com rzekł o przyszłości, którą budujemy. W tej ciszy jednak wróciły

do mnie słowa Jerome'a jego twarz, a moja prawnicza intuicja szeptała mi, że zakonnik nie kłamał. Jednak jeśli wszystko, co powiedział, było prawdą, to ów gmach reformacji wnoszono na kłamstwach przerażającym okrucieństwie. I ja przykładalem do tego ręki. Leżąc tam w ciemności, czułem narastającą grozę. Potem jednak naszała mnie pocieszająca myśl: jeśli Jerome był obłąkany, mógł naprawdę szczerze uwierzyć w coś, co zrodziło się w jego głowie. Spotkałem się już z takimi przypadkami. Powiedziałem sobie, że to właśnie musi być odpowiedź, ale przede wszystkim muszę przestać się tym zadrećcać, ponieważ potrzebuję odpoczynku, a jutro spokojnego otwartego umysłu.

Takich sposobów chwytają się ludzie o wrażliwym sumieniu, aby podnieść się na duchu bronić przed wątpliwościami.

Rozdział siedemnasty

Ni stąd, ni zowąd poczułem, że Mark potrząsa mnie za ramię, widać zasnąłem, leżąc rozmyślając.

- Wasza miłość, przyszedł brat Guy.
- Przynoszę wam wiadomość, panie komisarzu. Opat ma wszystkie dokumenty, o które prosiliście, jak również korespondencję do wysłania. Niebawem tu przyjdzie.
- Dziękuję bratu.

Przyglądał mi się uważnie, międląc brązowymi palcami sznur od habitu zwisający mu u pasa.

- Zaraz rozpocznie się wieczorna msza za duszę Simona Whelplaya. Panie komisarzu, powinienem poinformować opata o swoich podejrzeniach związanych ze śmiercią nowicjusza. Źle się czuję, żem tego dotąd nie uczynił.

Pokręciłem głową.

- Jeszcze za wcześnie. Zabójca nie wie, że podejrzewamy morderstwo, to nam daje nad nim przewagę.
- Opat zapyta, jak umarł Simon Whelplay. Co mam mu rzec?
- Że nie jesteście pewni.

Przejechał dłonią po tonsurze. Kiedy się ponownie odezwał, w jego głosie słychać było głębokie wzruszenie.

- Panie komisarzu, nasze modlitwy powinny być podyk-towane tym, w jaki sposób umarł biedny Simon. Winniśmy prosić Pana, aby przyjął do siebie duszę człowieka zabitego, a nie zmarłego wskutek choroby. Odszedł bez spowiedzi ostatniego namaszczenia, to już wystarczające zagrożenie dla jego duszy.
- Bóg wszystko widzi. Przyjmie chłopca do nieba, jeśli taka będzie Jego wola.

Infirmarz sprawiał wrażenie, jakby zamierzał się dalej spierać, ale właśnie w tej chwili wszedł opat, za którym podążał jego stary sługa z wielką torbą przewieszoną przez ramię. Fabian zdawał się posiwiaty zmęczony. Patrzył na nas znużonym wzrokiem. Brat Guy ukłonił się przełożonemu, po czym wyszedł.

— Panie komisarzu, przyniosłem panu cztery akty sprzedaży ziemi z ubiegłego roku. Mam również korespondencję — pisma urzędowe, a także prywatne listy niektórych braci. Życzyłście sobie obejrzeć korespondencję przed wystaniem.

— Dziękuję. Proszę położyć torbę na stole.

Stał niepewnie, nerwowo zacierając dłonie.

— Czy mogę zapytać, jak się udała wasza wizyta w mieście? Czy poczyniliście jakieś postępy? Przemysłowcy...

— W pewnym sensie poczyniłem postępy. Wygląda na to, że moje dochodzenie przybiera wciąż nowe kierunki. Rozmawiałem również po południu z Jerome'em.

— Mam nadzieję, że nie był...

— Och, naturalnie, że mnie znowu obraził. Uważam, że powinien na razie pozostać zamknięty w celi.

Opat zakasłał.

— Ja również otrzymałem list — zaczął z wahaniem. — Dołączyłem go do pozostałych. To od mego starego przyjaciela, mnicha z Bisham. Ma on znajomych w klasztorze w Lewes. Podobno prowadzą negocjacje z wikariuszem generalnym w sprawie dobrowolnego zamknięcia klasztoru.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Mnisi w Anglii zawsze mieli własną sieć informacyjną. No cóż, mój panie opacie, chyba mogę powiedzieć, że klasztor w Scarnsea nie jest jedynym niechlubnym przybytkiem, który zdaniem lorda Cromwella lepiej by było zamknąć.

— To nie jest żaden niechlubny przybytek. — W jego głębokim głosie słychać było lekkie drzenie.  
— Wszystko układało się dobrze, dopóki nie pojawił się komisarz Singleton!

Przeszyłem go oburzonym spojrzeniem. Opat przygryzł wargę przełknął ślinę, a ja zrozumiałem, że patrzę na przerażonego człowieka, który odchodzi prawie od zmysłów. Czuł się poniżony zagubiony, widząc, jak jego świat drży w posadach. Uniósł dłoń.

— Przepraszam, panie komisarzu, proszę mi wybaczyć. To dla nas trudne czasy.

— Niemniej powinniście zważać na słowa.

— Raz jeszcze proszę o wybaczenie.

— Dobrze.

Wziął się w garść.

— Doktor Goodhops przygotował się już do drogi. Chce opuścić klasztor jutro rano, zaraz po pogrzebie komisarza. Za godzinę rozpocznie się nocna msza, a po niej czuwanie. Czy weźmiecie w nich udział?

- Czy czuwanie będzie się odbywało przy obydwu zmarłych?
- Tak, ale oddzielnie, ponieważ jeden był wyświęconym zakonnikiem, drugi zaś człowiekiem świeckim. Odprawimy dwie oddzielnie msze, a braci podzielimy na dwie grupy czuwające.
- I będą stać nad zwłokami przez całą noc z poświęconymi świecami, aby odganiać złe duchy?

Opat zawahał się nad odpowiedzią.

- Taka jest tradycja.
- Potępiona przez króla w dziesięciu Artykułach Wiary. Świece można zapalać przy zmarłych tylko jako symbol pamięci o łasce bożej. Komisarz Singleton nie życzyłby sobie, aby jego pogrzebowym świecom przypisywano jakieś przesady. — Przypomnę braciom o tym zastrzeżeniu
- A jeśli chodzi o pogłoski z Lewes, to proszę je zachować dla siebie.

Kiwnąłem głową, że może odejść, opat opuścił pokój. Patrzyłem za nim w zadumie.

- Zdaje mi się, że zyskałem w końcu przewagę — rzekłem do Marka. Przeszedł mnie zimny dreszcz. — Na Mękę Pańską, ależ jestem zmęczony.
- Ten człowiek budzi litość.
- Uważasz, że byłem zbyt surowy? Pamiętasz jego napszone maniery, z jakimi nas przywitał? Czasem trzeba mocno tupnąć nogą, aby pokazać swą władzę. Może to nie najmiłsze, ale konieczne.
- Kiedy mu wasza miłość powie, jak zmarł nowicjusz?
- Przede wszystkim chcę jutro zbadać staw, potem zastanowię się, co dalej. Możemy również przeszukać boczne kapliczki w kościele. Chodź, musimy przejrzeć listy dokumenty. Potem możemy zajrzeć na czuwanie przy biednym Sing-letonie. "
- Nigdy nie uczestniczyłem w nocnej mszy.

Otworzyłem torbę wysypałem na stół stos listów pergaminów.

- Powinniśmy okazać szacunek, ale nie zamierzam brać udziału w całonocnej pompie ku czci czyśca. Sam zobaczysz, co to za dziwaczna ceremonia.

■o"

W listach nie znalazłem niczego zdrożnego, pisma urzędowe handlowe dotyczyły spraw codziennych: zakupu chmielu do browaru tym podobnych rzeczy. W kilku prywatnych listach do rodziny mnisi wspominali o śmierci nowicjusza wskutek gorączki spowodowanej okropną pogodą, tę samą przyczynę zgonu podał opat w nader gładkim oficjalnym liście do rodziców Simona Whelplaya. Znów poczułem ukłucie wyrzutów sumienia z powodu jego śmierci.p

Przejrzeliśmy akty sprzedaży ziemi. Ceny nie odbiegały od przeciętnych sum za tereny uprawne, nigdzie nie znaleźliśmy dowodu na sprzedaż po zaniżonych cenach, które sugerowałyby próbę

zyskania politycznego poparcia. Zamierzałem to sprawdzić u Copyngera, ale po raz kolejny odniosłem wrażenie, że włożono bardzo dużo starań w to, aby sytuacja klasztorna nie budziła najmniejszych zastrzeżeń, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Przebiegłem palcami po czerwonej pieczęci widniejącej na dole każdego aktu przeniesienia własności po raz kolejny podziwiałem wygrawerowaną postać świętego Donatusa wskrzeszającego zmarłego do życia.

— Opat musi osobiście przykładać pieczęć na dokumencie — dumalem na głos.

— To znaczy, że każda inna osoba, robiąc to, popełniłaby fałszerstwo — zauważył Mark.

— Pamiętasz? Widzieliśmy pieczęć na jego biurku w dniu przyjazdu. Bezpieczniej byłoby ją trzymać w zamknięciu, ale przypuszczam, że Fabian lubi się afiszować symbolem swojej władzy. „Próżność, próżność, wszystko to próżność”. Rozprostowałem ramiona. — Chyba nie będę dzisiaj jadł wieczerzy w refektarzu, nadto jestem zmęczony. Jeśli chcesz, weź sobie coś do jedzenia od infirmarza. Mnie możesz przynieść trochę chleba sera.

— Uczynię to.

Wyszedł z pokoju, a ja zostałem, rozmyślając. Od czasu naszej kłótni w zajeździe Mark odnosił się do mnie z rezerwą dystansem. Prędzej czy później będę musiał powrócić do tematu jego przyszłości. Nie mogłem dopuścić do tak lekkomyślnego porzucenia kariery, czułem się za niego odpowiedzialny nie tylko wobec niego, ale przede wszystkim naszych ojców.

D'

Kiedy po dziesięciu minutach Mark nie powrócił, zacząłem się niecierpliwić. Byłem głodniejszy, niż mi się z początku zdawało. Wstałem poszedłem go szukać. Przez uchylone

drzwi kuchni infirmeryjnej zobaczyłem światło, a po chwili doszedł mnie również niewyraźny głos — cichy kobiecy płacz.

Pchnąłem drzwi na oścież. Przy stole siedziała Alice z twarzą ukrytą w dłoniach. Rozwichrzona nieporządnie włosy opadały jej wokół rąk. Szlochała cichutko żałośnie. Usłyszawszy mnie, podniosła głowę. Wokół jej oczu na policzkach widniały czerwono-białe plamy, silne, regularne rysy rozplynęły się w opuchliznie. Zaczęła się podnosić, wycierając twarz o rękaw, ale dałem jej znak, żeby usiadła.

— Nie wstawaj Alice. Powiedz mi, proszę, co cię trapi?

— To nic ważnego, panie.

Zakasała, aby ukryć łamiący się głos.

— Czy ktoś ci coś uczynił, co cię tak rozstroiło? Proszę, powiedz mi. Czy to brat Edwig?

— Nie, panie. — Spojrzała na mnie zdziwiona. — Czemu to miałby być brat Edwig?

Opowiedziałem jej o swojej rozmowie z szafarzem, jak również to, że się domyślił, od kogo dostałem informacje.

— Lecz nie obawiaj się, Alice, rzekłem mu, żeś pod moją osobistą opieką.

— Nie dlatego płaczę, panie. Chodzi o to, że... — spuściła głowę — czuję się samotna. Jestem na świecie sama jak ten palec. Nie macie pojęcia, panie, jak to jest.

— Wydaje mi się, że cię rozumiem. Ja również nie widziałem rodziny od wielu lat. Mieszkają daleko od Londynu. Wiem, że zajmuję w świecie jakąś pozycję, mimo to ja również często czuję się samotny. — Uśmiechnąłem się do niej ze smutkiem. — Nie masz żadnej rodziny? Żadnych znajomych w Scarnsea, których mogłabyś odwiedzać?

Zmarszczyła czoło, bawiąc się nitką wystającą z rękawa.

— Moja mama była ostatnią osobą z naszej rodziny. Few-tererowie nie cieszyli się w mieście zbyt dużą sympatią, ludzie stronią od znachorek. — Gorycz wkradła się w jej głos. — Ludzie przychodzą do nich ze swoimi dolegliwościami szukają pomocy, ale nie lubią potem czuć zobowiązań. Sędzia Copynger,

kiedy był młody, przychodził do mojej babki z bólami brzucha, które mu dokuczały nie chciały ustąpić. Wyleczyła go, a on potem udawał, że jej nie zauważa na ulicy. A kiedy moja mama umarła, nie przeszkodziło mu to odebrać nam dom. Musiałam sprzedać wszystkie meble, wśród których dorastałam, bo nie miałam co z nimi zrobić.

— Przykro mi. Powinno się położyć kres takim grabieżom ziemi.

— Więc nie chodzę już do Scarnsea. Nawet jak mam wychodne, to zostaję w klasztorze oglądam książki brata Guya. Próbuje mnie uczyć czytać.

— Więc jednak masz chociaż jednego przyjaciela.

Kiwnęła głową.

— Tak, to dobry człowiek.

— Powiedz mi, Alice, słyszałaś kiedyś o dziewczynie, która tu pracowała przed tobą? Nazywała się Sierotka.

— Słyszałam, że ukradła jakieś złote kielichy uciekła. Nie potępiam jej za to.

Postanowiłem nie mówić jej nic o podejrzeniach pani Stumpe, nie chciałem jej jeszcze bardziej martwić. Czułem przemożną chęć, aby się zerwać z krzesła przycisnąć ją do piersi, by obojgu nam złagodzić dojmujące uczucie osamotnienia. Zwalczyłem jednak ten impuls.

— Ty też byś mogła odejść — zasugerowałem nieśmiało. — Już raz opuściłaś Scarnsea, kiedy pojechałaś pracować u aptekarza w... Esher, prawda?

— Odeszłabym stąd, gdybym tylko mogła, zwłaszcza po tym, co tu się ostatnio wydarzyło. Pełno tu starych, opryskliwych ludzi, a w obrzędach tych zakonników nie ma ni ciepła, ni miłości. I nie daje mi spokoju myśl, co miał na myśli Simon, kiedy próbował mnie ostrzec.

— Mnie również to męczy. — Pochyliłem się do przodu. — Może mógłbym ci jakoś pomóc. Znam trochę ludzi w Scarnsea, a także w Londynie. — Spojrzała na mnie z zaciekawieniem. — Rozumiem twoją sytuację, naprawdę rozumiem. Nie chcę, abyś

czuła... — zaczerwieniłem się — wobec mnie jakieś zobowiązania, ale jeśli zechcesz przyjąć pomoc od starego, brzydkiego garbusa, to chętnie ci ją zaofiaruję.

Zaintrygowanie na jej twarzy pogłębiło się, zmarszczyła również czoło.

— Czemu nazywacie siebie starym brzydkim, panie?

Wzruszyłem ramionami.

— Dobiegam czterdziestki, Alice, zawsze mi mówiono, że jestem brzydki.

— To nieprawda — zaprzeczyła gorąco. — Jeszcze wczoraj brat Guy zauważył, że pańskie rysy twarzy osobliwie łączą w sobie wytworność smutek.

Uniosłem brwi.

— Mam nadzieję, że infirmarz nie ma skłonności brata Gabriela — rzekłem żartobliwie.

— Ależ skąd! — zawołała Alice z nagłym zapałem. — A wy nie powinniście mówić o sobie takich obraźliwych rzeczy, panie. Czy nie dość jest na świecie cierpienia?

— Przepraszam.

Zaśmiałem się niezręcznie. Czułem się zakłopotany zarazem mile poęcztany jej słowami. Siedziała patrzyła na mnie smutno wbrew własnej woli podniosłem rękę, aby położyć dłoń na jej dłoni. Wtem oboje aż podskoczyliśmy, bo rozdzwoniły się dzwony kościelne, a ich głos dudnił rozbrzmiewał echem w nocnej ciszy. Opuściłem rękę oboje roześmialiśmy się nerwowo. Otworzyły się drzwi do kuchni wszedł Mark. Alice poderwała się natychmiast podeszła do kredensu; domyśliłem się, że nie chciała, aby Mark zobaczył jej zapłakaną twarz.

— Przepraszam, że mnie nie było tak długo — powiedział do mnie, ale oczu nie odrywał od pleców dziewczyny. — Poszedłem do latryny, a po drodze zatrzymałem się w sali chorych. Ten stary mnich jest ciężko chory brat Guy przy nim czuwa.

— Brat Francis? — Alice odwróciła się błyskawicznie. — W takim razie wybaczcie mi, panowie, muszę do niego iść.-

Przemknęła obok nas już po chwili jej kroki słyhać było na korytarzu. Mark popatrzył na mnie z zatroskaną twarzą.

— Alice płakała? Co ją trapi?

— Samotność, Marku. Samotność. Chodź, te piekielne dzwony wzywają na czuwanie.

■

Przechodząc przez salę chorych, zobaczyliśmy brata Guya Alice pochylonych nad łóżkiem starego zakonnika. Ślepy brat Andrew siedział na swoim krześle jak zwykle obracał głowę to w jedną stronę, to w drugą, nasłuchując, co robią Alice brat Guy. Infirmarz podniósł głowę, kiedy się do nich zbliżyłem.

— Odchodzi — powiedział cicho. — Wygląda na to, że stracę następnego pacjenta.

— Jego czas nadszedł. — Wszyscyśmy się obejrzeni, kiedy odezwał się niewidomy mnich. — Biedny Francis, prawie sto lat patrzył, jak ten świat idzie na zatracenie. Widział nadejście Antychrysta, tak jak zostało przepowiedziane: Luter nadszedł jego pomocnik Cromwell.

Zdałem sobie sprawę, że brat Andrew nie miał pojęcia, że tu jestem. Brat Guy ruszył pospiesznie w jego stronę, ale powstrzymałem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Nie, bracie, posłuchajmy go.

— Czy to gość? — zapytał ślepiec, odwracając mlecze oczy w moim kierunku. — Znaliście brata Francisa, panie?

— Nie, bracie. Jestem... gościem.

— Kiedy przyjął święcenia, trwała jeszcze wojna Yorków z Lancasterami. Wyobraźcie sobie: powiedział mi, że w owych czasach żył w Scarnsea pewien mnich, tak stary jak Francis jest teraz, znał on innego mnicha, który tu żył w czasach wielkiej zarazy. — Uśmiechnął się łagodnie. — To musiały być wspaniałe czasy. Przeszło stu braci tu wtedy mieszkało, wszędzie słychać było wrzawę młodych mężczyzn pragnących wdziąć habit. Ów starzec opowiadał bratu Fabianowi, że kiedy przyszła zaraza, połowa zakonników umarła w ciągu tygodnia. Podzielili wtenczas refektarz, bo ci, którzy przeżyli, nie mogli znieść widoku pustych stołów. Cały świat dotknęło to nieszczęście, kolejny wielki krok ku zagładzie. — Pokręcił głową. — Próżność jeno zepsucie zostały, kiedy zbliża się koniec. Wkrótce Chrystus przyjdzie nas sądzić.

— Cicho, bracie, cicho — szepnął zaniepokojony infirmarz.

Zerknąłem na Alice, ale dziewczyna spuściła oczy. Patrzyłem

przez chwilę na starego mnicha, który leżał całkiem nieprzytomny z wyrazem spokoju na pomarszczonej twarzy.

— Chodźmy, Marku — rzekłem cicho. — Chodźmy stąd.

Opatuliliśmy się starannie wyszliśmy. Noc była cicha, lodowate powietrze nieruchome, śnieg mienił się w blasku księżyca, kiedy zmierzaliśmy w stronę kościoła. W oknach migotały, przymglone światła świec.

Nocą kościół sprawiał zupełnie odmienne wrażenie. Jakby się weszło do wielkiej jaskini, której sklepienie ginęło w mroku dudniącej przestrzeni. Dookoła nawy przed niektórymi obrazami paliły się pojedyncze punkciki światła, a dwie większe oazy blasku płonęły za ścianą tęczową na chórze oraz w nawie bocznej. W jej kierunku pociągnąłem za sobą Marka, domyśliłem się bowiem, że tam właśnie, w tej skromniejszej oprawie, spoczywają zwłoki Singletona.

Trumna leżała na stole, wokół niej stało dziewięciu lub dziesięciu mnichów z wielkimi świecami w dłoniach. Dziwny widok przedstawiały te zakapturzone, ciemne postaci o posępnych twarzach oświetlonych od spodu ruchliwymi płomykami. Kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłem brata Athelstana, który szybko spuścił głowę. Bracia Jude Hugh rozstąpili się na boki, aby zrobić nam miejsce.



Głowę Singletona nasadzono na szyję, a między nią ściankę trumny włożono drewniany kloc, aby się nie ruszała. Oczy usta mu zamknięto gdyby nie czerwona kreska wokół szyi, a

wyglądałoby, że leży w wiecznym odpoczynku po naturalnej śmierci. Skłoniłem głowę, ale zaraz poderwałem ją szybko z powrotem odstręczony smrodem, który unosił się od zwłok przebijał przez stęchły zapach mnichów. Singleton zginął ponad tydzień temu jego ciało wyniesione z krypty szybko się rozkładało. Z powagą skinąłem zakonnikom głową cofnąłem się kilka kroków.

— Idę spać — rzekłem do Marka. — Możesz zostać, jeśli chcesz.

Chłopak pokręcił głową.

— Idę z wami. To smętny widok.

— Poszedłbym pożegnać Simona Whelplaya, ale wątpię, czy jako ludzie świeccy byłibyśmy tam mile widziani.

Mark skinął głową odwróciliśmy się do wyjścia. Z chóru, gdzie leżał nowicjusz, dobiegły mnie łacińskie słowa pieśni. Rozpoznałem psalm dziewięćdziesiąty czwarty.

— Boże, Mścicielu, Panie, Boże, Mścicielu, ukazaż się!\*

Mimo wyczerpania również tej nocy spałem bardzo źle. Plecy ogromnie mi dokuczały, co chwila budziłem się, to znów zapadałem w krótką drzemkę. Mark także spał niespokojnie, stękał mamrotał przez sen. Dopiero kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, zasnąłem spokojniej, tylko po to, by godzinę później zbudził mnie Mark.

— Jezu, litości — jęknąłem. — Czy to dzień już?

— Tak, wasza miłość.

W jego głosie nadal czułem rezerwę. Podniosłem się okropny ból przeszył mój garb. Długo tak nie wytrzymam.

— I cóż? Znow jakież hałasy? — spytałem.

Nie było moją intencją się z nim droczyć, ale zaczynało mnie irytować, że moje słowa sływały po nim niczym woda po kacze.

\* Ps (94; i).

— Szczerze mówiąc, zdawało mi się, że słyszałem jakiś dźwięk kilka minut temu — odparł chłodno. — Ale już ucichł.

— Rozmyślałem nad tym, co wczoraj mówił Jerome. Wiesz, że to człek obłąkany. Może być, że sam wierzy w historie, które opowiada, a dzięki temu brzmią one wiarygodniej.

Mark popatrzył mi w oczy.

— Nie jestem pewien, czy on w ogóle jest obłąkany, wasza miłość, czy to nie cierpienia każą mu się tak zachowywać.

Miałem nadzieję, że Mark przyjmie moje wyjaśnienia, nie byłem wówczas świadom, że to ja potrzebowałem utwierdzić się w wierze.

— Tak czy inaczej — rzekłem szorstko — to, co mówił, nie ma związku ze śmiercią komisarza Singletona. Kto wie nawet, czy to nie zwykła zasłona dymna. Musimy go bardziej przycisnąć.

— Tak jest, wasza miłość.

Zanim się ogoliłem ubrałem, Mark poszedł już na śniadanie. Kiedy się zbliżyłem do kuchni, usłyszałem odgłosy rozmowy:

— Nie powinien ci kazać tak ciężko pracować — mówił Mark.

— Dzięki temu będę silniejsza — odrzekła dziewczyna głosem tak lekkim, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem. — Będę miała takie silne grube ramiona jak ty.

— To nie przystoi damie.

Z ukłuciem zazdrości zakastałem wszedłem do środka. Mark stał przy stole uśmiechał się do Alice, która ustawiała w rzędzie kamienne dzbanki z herbatą. W istocie wyglądały na ciężkie.

— Dzień dobry. Marku, czy mógłbyś odnieść te listy do opata? Powiedz, że dokumenty na razie zachowam.

— Oczywiście.

Zostawił mnie samego z Alice, która położyła na stole chleb ser. Była w wyśmienitym nastroju nie uczyniła najmniejszej aluzji do naszej rozmowy z zeszłego wieczoru. Zapytała jeno, czy dobrze się czuję tego ranka. Rozczarował mnie oficjalnyton tego pytania, albowiem to, co mówiła zeszłego wieczoru, ogromnie rozgrzało me serce, ale rad byłem, że cofnąłem wtenczas rękę — nie trzeba nam było kolejnych komplikacji.

Wszedł brat Guy.

— Alice, stary brat Augustus potrzebuje nocnika.

— Już lecę.

Dygnęta pobiegła. Na dworze odezwały się dzwony. Miałem wrażenie, jakby dudniły mi w głowie.

— Pogrzeb komisarza Singletona zacznie się za pół godziny.

— Bracie infirmarzu — rzekłem niezręcznie — czy mógłbym zasięgnąć waszej fachowej porady?

— Oczywiście, służę wszelką pomocą.

— Mam ostatnio duże kłopoty z plecami. Od czasu naszej długiej podróży wierzchem bolą mnie bardzo w miejscu, gdzie... gdzie wystają.

— Zechcecie mi je pokazać?

Wziętem głęboki, długi oddech. Bardzo nie chciałem, aby obcy człowiek oglądał moją ułomność, ale od przyjazdu tu niewymownie cierpiełem zaczynałem się niepokoić, czy nie wyrządziłem sobie jakiej trwałej krzywdy.

— Dobrze — odparłem jątem zdejmować kaftan.

Brat Guy podszedł do mnie od tyłu po chwili poczułem na skórze jego chłodne palce obmacujące me poskręcane mięśnie. Po dłuższym badaniu mruknął.

— I co? — spytałem niespokojnie.

— To długotrwały skurcz mięśni, są bardzo zaciśnięte, ale nie widzę żadnych uszkodzeń w kręgosłupie. Z czasem, jeśli dacie plecom dobrze wypocząć, wszystko wróci do normy. — Obszedł mnie dookoła przyglądał się mojej twarzy z zawodowym zainteresowaniem, podczas gdy ja się ubierałem.

— Często boli was grzbiet?

— Czasami — odrzekłem krótko. — Ale niewiele można na to poradzić.

— Pracujecie w wielkim napięciu, to nigdy nie pomaga.— Od przyjazdu tutaj ani razu dobrze nie spałem — mruknąłem. — Ale czyż można się temu dziwić?

Jego duże brązowe oczy nadal przyglądały mi się badawczo.

— A wcześniej dobrze się czuliście?

— Zwykle dominuje u mnie melancholia, a przez ostatnie miesiące bardzo się nasiliła, obawiam się, że równowaga moich humorów została bardzo zaburzona.

Pokiwał głową.

— Wasz umysł jest przeciążony, nic dziwnego, po tym, co tu widzieliście.

— Nie mogę się pozbyć myśli, że jestem odpowiedzialny za śmierć tego chłopca — rzekłem po chwili.

Nie miałem zamiaru mu się zwierzać, ale brat Guy miał w sobie coś, co skłaniało do otwartości niejako wbrew woli.

— Jeżeli ktoś jest winny śmierci Simona, to ja. Został otruty, . będąc pod moją opieką.

— Czy to, co się tu dzieje, nie napawa was lękiem? — spytałem".

Pokręcił głową.

— Kto miałby mnie skrzywdzić? Wszak jestem tylko starym Maurem. — Milczał czas jakiś. — Chodźmy do infirmerii, mam napar, który może wam pomóc. Koper włoski, chmiel kilka innych składników.

— Dziękuję bratu.

Przeszedłem za nim przez salę chorych usiadłem na stole w gabinecie infirmarza, podczas gdy on wybrał stosowne zioła postawił wodę na ogniu. Zerknąłem na hiszpański krzyż na ścianie naprzeciwko przypomniałem sobie, jak poprzedniego dnia leżał przed nim na podłodze.

— Przywieźliście go z kraju ojczystego?

— Tak, towarzyszył mi we wszystkich podróżach. — Odmierzał odpowiednią ilość ziół wrzucał je do wody. — Kiedy będzie gotowy, pijcie po trochu, ale nie za dużo, bo opadnie was senność. — Przerwał. — Jestem wdzięczny, że mi ufacie pozwalacie sobie zalecić lekarstwo.— Muszę wam ufać jako medykowi, bracie Guyu. — Umilkłem na chwilę. — Odniosłem wrażenie, że sprawiłem wam wczoraj przykrość tym, co powiedziałem o modlitwach za zmarłych.

Skłonił głowę.

— Staralem się podążać waszym rozumowaniem. Uważacie, że Bóg jest obojętny na modlitwy.

— Uważam, że człowiek może być zbawiony tylko za sprawą łaski bożej. Nie zgadzacie się ze mną? Proszę, zapomnijmy na chwilę o mojej roli porozmawiajmy jak chrześcijańscy uczeni.

— Tylko jak uczeni? Mam na to wasze słowo?

— Tak, macie moje słowo. Wielkie nieba, ależ ta mikstura cuchnie!

— Musi się chwilę powarzyć. — Splótł dłonie na piersi. — Rozumiem, dlaczego do Anglii przedostały się nowe prądy. W kościele szerzyło się zepsucie. Ale takie problemy można rozwiązać za pomocą reform, jakie przeprowadzono w Hiszpanii. Tysiące hiszpańskich braci zakonnych pracuje dziś w skrajnym ubóstwie nad nawróceniem pogan w Ameryce.

— Nie wyobrażam sobie angielskich mnichów w tej roli w takich warunkach.

— Ja również. Ale Hiszpania pokazała, że reforma jest możliwa.

— Iw nagrodę od papieża ma własną inkwizycję.

— Obawiam się, że angielski Kościół zamiast się zreformować, upadnie.

— Co właściwie waszym zdaniem miałyby upaść? Potęga papieża? Fałszywy dogmat o czyścicu?

— Królewskie Artykuły Wiary dopuszczają istnienie czyścica.

— To jedna z możliwych interpretacji. Ja uważam, że czyściec nie istnieje. Kiedy umieramy, zbawić nas może tylko łaska boża. Modlitwy żywych nie mają znaczenia.

Infirmarz pokręcił głową.— Ale w takim wypadku, co może uczynić człowiek, aby zostać zbawionym?

— Wierzyć.

— A co z miłosierdziem?

— Jeśli człowiek głęboko wierzy, miłosierdzie pojawi się samo.

— Marcin Luter utrzymuje, że nawet wiara nie ma wpływu na zbawienie. Bóg predestynuje duszę, zanim człowiek się urodzi, do zbawienia lub potępienia. To okrutna doktryna.

— W istocie tak Luter zinterpretował słowa świętego Pawła. Ja, jak również wielu innych uważamy, że się myli.

— Jednak jeśli każdemu człowiekowi wolno będzie głosić własną interpretację Biblii, to czyż nie znajdzie się wielu, którzy zaczną wcielać w życie własne, równie okrutne filozofie? Czy nie zbudujemy sobie wówczas istnej wieży Babel? Nie pogrążymy się w chaosie?

— Bóg nami pokieruje.

Wstał popatrzył na mnie. Oczy pociemniały mu od... czego? Smutku? Rozpaczy? Nie po raz pierwszy przekonałem się, że nader trudno jest przeniknąć intencje brata Guya.

— Więc odrzucacie to wszystko.

Kiwnąłem głową.

— Tak. Powiedzcie mi, bracie, czy wierzycie, tak jak stary mnich Paul, że świat zmierza ku upadkowi, ku Sądowi Ostatecznemu?

— To był od niepamiętnych czasów jeden z najważniejszych dogmatów w Kościele chrześcijańskim.

Pochyliłem się do przodu.

— Ale czy tak musi być? Czy nie można przekształcić świata, uczynić go takim, jak sobie życzył Bóg?

Brat Guy splótł przed sobą dłonie.

— Nader często na tym świecie Kościół katolicki był jedynym światłem cywilizacji. Jego doktryny obrzędy łączą każdego człowieka w braterstwo z całą cierpiącą ludzkością, a także ze wszystkimi chrześcijańskimi zmarłymi. I zachęcają do miłosierdzia, a Bóg świadkiem, że trzeba go do niej zachęcać. Wasza doktryna mówi każdemu człowiekowi, aby znalazł własne zbawienie poprzez modlitwę Biblię. Miłosierdzie braterstwo znikną z powierzchni ziemi.

Przypomniało mi się moje dzieciństwo opasy pijany ksiądz, który oświadczył mi, że nigdy nie otrzymam święceń.

— Kościół okazał mi w młodości niewiele miłosierdzia — powiedziałem z goryczą. — Szukam Boga we własnym sercu.

— I znajdujecie go tam?

— Tak. Wystarczy, że raz w nim zawitał.

Infirmary uśmiechnął się smutno.

— Aż do dzisiaj człowiek z Granady lub dowolnego innego miejsca w Europie mógł wejść do kościoła w Anglii poczuć się jak we własnym domu: usłyszał te same łacińskie słowa nabożeństwa znalazł pocieszenie. Kiedy zniknie to międzynarodowe braterstwo, kto położy kres wiecznym kłótniom książąt? Co się stanie z takim człowiekiem jak ja, zabłąkanym na nieprzyjaznej ziemi? Zdarzało się, że kiedyś jechał do Scarnsea, dzieci rzucały we mnie odpadkami. Czym zaczną we mnie rzucać, kiedy zniknie klasztor, który mi daje schronienie?

— Złe macie wyobrażenie o Anglii — zauważyłem.

— Raczej trzeźwy pogląd na upadający rodzaj ludzki. Och, wiem naturalnie, jak to wygląda z waszego punktu widzenia. Wy, reformatorzy, nie zgadzacie się na istnienie czyśćca, na msze po łacinie święte relikwie, czyli dokładnie to wszystko, co ucieleśnia klasztor, więc klasztory zostaną zamknięte. Zdaję sobie z tego sprawę.

Spojrzałem na niego bystro.

— Chcielibyście temu zapobiec?

— A niby jak mógłbym to uczynić? Wszak decyzja już zapadła. Obawiam się jednak, że bez powszechnego Kościoła, który nas wszystkich jednoczy, pewnego dnia na tej ziemi zniknie nawet wiara w Boga. Ludzie czcić będą jeno pieniądź naród. — Czyż człowiek nie powinien być lojalny wobec społeczeństwa króla?

Infirmarz wzięł do ręki miksturę, zmówił nad nią krótką modlitwę przelał ją do szklanej buteleczki. Potem popatrzył na mnie surowo.

— Czcząc swój naród, ludzie czczą samych siebie, a pogardzają innymi. To niedobry sposób myślenia.

— Srodze się mylicie co do naszych intencji. Pragniemy, aby istniała chrześcijańska wspólnota.

— Wierzę wam, panie komisarzu, obawiam się jednak, że sprawy zbaczą na inną całkiem drogę. — Wręczył mi butelkę łyżkę. — Taka jest moja opinia jako uczonego. Proszę sobie nalać lekarstwa.

Krzywiąc się, połknąłem miksturę. Smakowała tak samo gorzko, jak pachniała. Monotonne bicie dzwonów, które akompaniowało naszej rozmowie, przybrało na sile. Zegar kościelny wybił ósmą.

— Powinniśmy już iść — oznajmił brat Guy. — Niebawem zacznie się msza.

Schowałem buteleczkę do kieszeni ruszyłem za nim korytarzem. Nie odrywając wzroku od czarnych, wełnistych kędziorów wokół brązowej tonsury, pomyślałem sobie, że pod jednym względem brat Guy miał rację: wraz ze zniknięciem klasztorów w całej Anglii nie będzie dla niego bezpiecznego schronienia. Nawet jego pikantny zapach różnił się od powszechnego smrodu innych zakonników sług. Będzie musiał zabiegać o pozwolenie na wyjazd za granicę, do klasztoru we Francji lub w Hiszpanii. A może go nie otrzymać, obydwa te kraje bowiem były teraz naszymi wrogami. Kto wie, czy brat Guy nie miał więcej do stracenia niż wszyscy inni mnisi w Scarnsea, jeśli opactwo zostanie zamknięte.

Rozdział osiemnasty

Benedyktyni szli procesją w stronę kościoła prowadzeni przez opata Fabiana. Infirmarz zostawił mnie dołączył do reszty konfratrów. Wśród kilku spóźnialskich zauważyłem brata Mortimusa Edwiga spieszących przez dziedziniec od strony izby rachunkowej. Przypomniało mi się, co powiedział Goodhaps: ci dwaj mężczyźni rządzą całym klasztorem. Mimo to nie zauważyłem oznak przyjaźni między nimi. Przeor maszerował energicznie, rozkopując zasy śnieżne, obok niego niziutki szafarz na wprost biegł, żeby mu dotrzymać kroku. Dołączył do mnie Mark ze starym Goodhapsem. Doktor rzucał niespokojne spojrzenia w niebo, które znów poszarzało.

— Dzień dobry, panie komisarzu Shardlake. Myślicie, że znowu zacznie śnieżyć? — zapytał. — Chcę ruszać w drogę, gdy tylko skończy się msza.

— Gościniec do Scarnsea jest przetarty. A teraz chodźmy, bo się spóźnimy.

Poprowadziłem ich do kościoła. Zakonnicy, szurając pokas-tując, weszli do chóru. Przed ścianą tęczową na kilku krzesłach leżała otwarta trumna z Singletonem, nieco dalej otoczony świecami sarkofag Simona Whelplaya. Opat stał nieopodal zmarłego komisarza, ale nie za blisko, bo kiedy podeszliśmy, znowu doszedł nas fetor rozkładających się zwłok. — Jeśli zechcecie dołączyć do żałobników, usiądźcie przy trumnie, za chwilę rozpoczną się lamenty — powiedział poważnym tonem. — Potem wyniesiecie trumnę z kościoła. Przeor Mortimus zaoferował się, że dołączy do was jako czwarty. Naturalnie, jeśli... hm, pan komisarz może dźwigać taki ciężar...

— Oczywiście, że mogę — powiedziałem ostro, chociaż skrzywiłem się w duchu na samą tę myśl.

— Ja nie mogę — pisnął doktor Goodhaps. — Mam art-retyzm w ramieniu. Powinienem leżeć w łóżku od...

— Dobrze więc — rzekł zmęczonym głosem opat. — Znajdę kogoś, kto jako czwarty poniesie trumnę.

Po raz pierwszy ostatni wymieniłem z opatem współczujące spojrzenia nad głową zmarłego. Potem Fabian się uklonił odszedł za ścianę tęczową, a my zajęliśmy miejsca przy trumnie komisarza. Goodhaps zakasłał ukrył nos w chusteczce.

Rozpoczęła się msza. Tego ranka poczułem, jakby piękny, polifoniczny śpiew mnichów kołysał mnie do snu wrażenia tego nie zakłócił nawet fakt, że siedział przy trumnie z cuchnącymi zwłokami zamordowanego mężczyzny. Psalmi czytane fragmenty Księgi Hioba trafiły mi prosto do serca.

A ty powiadasz: Czy Bóg wie cokolwiek, czy spoza chmur może sądzić. Chmura — zasłona: Nie widzi. Chodzi po strefach niebieskich\*.

Zaiste, grube to chmury, pomyślałem. Przesłaniają mi widok tak, że nie przestaję błędzić we mgle. Potrząsnąłem sobą ze złością. To na nic, gdzie moja stanowczość? I wtem wpadło mi coś do głowy, czegom wcześniej nie brał pod rozwagę, a powinienem być. Mark doktor Goodhaps siedzieli po obu moich stronach: staruszek z nosem cały czas ukrytym w chus-

\* Hi (22; 13-14).à

tecce, Mark wpatrzony przed siebie pogrążony w myślach. Trąciłem go łokciem.

— Czy Alice będzie dziś rano w infirmerii? — szepnąłem.

— Zapewne.

— Dobrze. — Odwróciłem się do Goodhapsa. — Chciałbym, abyście wy również tam przyszli, zanim opuścicie klasztor.

Doktor spojrział na mnie udręczonym wzrokiem, ale ja odwróciłem się z powrotem w stronę ołtarza.

Śpiew stopniowo cichł odpływał, aż w końcu umilkł zupełnie. Mnisi opuścili chór, a do trumny podszedł służący, który czekał na boku. Po raz ostatni spojrziałem na surowe, zastygłe oblicze Singletona przypominały mi się jego wystąpienia w sądzie — płomienne słowa, zamaszty gest dłoni, dysputy pełne pasji. Potem służący przykrył trumnę przyśrubował wieko, a twarz komisarza znikła w ciemności na wieki. Podszedł do nas przeor z krępy mniem w średnim wieku razem z Markiem pochylił się, aby podnieść trumnę. Kiedyś ją dźwignęli, coś się w środku przetoczyło. Mark wytrzeszczył na mnie oczy.

— To jego głowa — szepnąłem. — Musiała się wysunąć.

Wynieśliśmy trumnę z kościoła, a żaden z nas nie przestawał

myśleć o tym, że w środku głowa zmarłego turla się na wszystkie strony razem z drewnianym kłosem. Za nami ciągnęła się długa procesja zakonników. Zanim wyszliśmy, zauważyłem brata Gabriela stojącego nad trumną Whelplaya pogrążonego w głębokiej modlitwie.

Przy wtórce dzwonów pogrzebowych szliśmy po śniegu na świecki cmentarz, gdzie wykopany grób ział brązową pustką pośród otaczającej bieli. Zerknąłem na przeora, który siedł obok mnie, na jego surowym obliczu odbijał się wyraz niezwykłego zamyślenia.

Przy grobie czekali służący z łopatami, wzięli od nas trumnę opuścili ją do dołu. W szarości poranka jęły wirować bezgłośnie płatki śniegu oprószać wykopaną ziemię. Odmówiono ostatnie modlitwy, pokropiono trumnę wodą święconą, a kiedy

zadudniły o drewno pierwsze grudy ziemi, zakonnicy odwrócili się w milczeniu ruszyli z powrotem w stronę kościoła. Podążyłem za nimi, a wtedy zrównał się ze mną przeor Mortimus.

— Nie mogą się doczekać, kiedy znajdą się znowu w ciepłe. Gdyby stali kiedyś na warcie w prawdziwy mróz, tak jak ja...

Pokręcił głową.

— Doprawdy? — spytałem z zainteresowaniem. — Czyżbyście byli żołnierzem?

— Czy wyglądam na takiego twardego człeka? Nie, nie, panie komisarzu, byłem kiedyś konstabłem w Tonbridge. Pomagałem szeryfowi aresztować przestępców, w nocy stałem na służbie, a w dzień pracowałem jako nauczyciel. Dziwi was, że trudniłem się uczeniem?

Uczyniłem lekki ruch głową.

— Owszem, trochę, ale to dlatego, że pielęgnujecie dość szorstkie obyczaje.

— Nie pielęgnuję ich, taki się urodziłem. — Uśmiechnął się zgryźliwie. Jestem Szkotem, nie mamy tam waszych gładkich, angielskich obyczajów. Prawdę mówiąc, prawie niczego tam nie mamy,



poza walką, przynajmniej na pograniczach, skąd pochodzę. Życie tam to ciągła walka, panowie bogacą się na wyprawach po bydło toczą wojny albo między sobą, albo z wami, Anglikami.

— Co was przywiodło do Anglii?

— Moich rodziców zabili, kiedy byłem chłopcem, nasze gospodarstwo złupili, nie Anglicy bynajmniej, jeno któryś ze szkockich możnowładców.

— Przykro mi.

— Uczyłem się wtedy w opactwie w Kelso. Chciałem wyjechać jak najdalej, ojcowie opłacili mi szkołę w Anglii. Tak więc wszystko zawdzięczam Kościołowi. — Tym razem jego wiecznie szydercze spojrzenie pozostało poważne. — Zgromadzenia zakonne stoją niczym mur pomiędzy światem przeklętym chaosem, panie komisarzy.

Kolejny uchodźca, pomyślałem, kolejny beneficjent międzynarodowej wspólnoty brata Guya.

— Co was skłoniło do przyjęcia ślubów?

— Zmęczył mnie świat ludzie: dzieciaki, które myślą jeno

o bójkach o tym, żeby uciec z lekcji, jeśli nie stoi się nad nimi z batem; przestępcy, których pomagałem chwytac, chciwi głupcy; dziesiątki innych, którzy czekają, żeby ich złapać

i powiesić. Człowiek to upadła istota, nie zasługuje na łaskę bożą. Trudniej ją utrzymać w karności niżli sforę psów. Ale przynajmniej w kościele przestrzega się boskiej dyscypliny.

— I to jest wasze powołanie na ziemi? Narzucać ludziom dyscyplinę?

— A wasze nie? Nie oburza was zabójstwo tego nieszczęśnika? Czy nie po to tu przyjechaliście, żeby znaleźć ukarać mordercę?

— A was oburzyła śmierć komisarzy?

Zatrzymał się spojrzal mi prosto w oczy.

— To kolejny krok w stronę chaosu. Uważacie mnie za nieustępliwego człowieka, ale wiercie mi, że szatan ma długie ręce nawet w kościele potrzebni są tacy ludzie jak ja, żeby go trzymać na dystans. Tak samo prawa królewskie mają utrzymywać porządek w świecie ludzi świeckich.

— A co jeśli prawa świeckie kościelne wchodzą w konflikt? — spytałem. — Tak jak ostatnio?

— W tej sytuacji modłę się, panie komisarzy, aby znaleziono takie rozwiązanie, że księżęta Kościół będą mogli na powrót żyć w zgodzie, bo kiedy ze sobą walczą, wpuszczają diabła na ten świat.

— Więc niechaj Kościół nie sprzeciwia się władzy księcia. No, muszę wracać do infirmerii. Zostawiam was, idźcie do kościoła na pogrzeb biednego nowicjusza Whelplaya — dodałem z naciskiem.

Przeor odwzajemnił moje znaczące spojrzenie.

— Będę się modlił, aby Bóg przyjął tego chłopca do niebios, kiedy uzna to za stosowne, chociaż był grzesznikiem.

Odwróciłem się przebijając wzrokiem śnieżną zasłonę, popatrzyłem na drepczącego Goodhapsa, który trzymał Marka pod ramię. Zastanawiałem się, czy doktorowi uda się dotrzeć do miasta. Czy uda mu się uciec?

W sali chorych Alice nadal zajmowała się umierającym mnichem. Starzec odzyskał przytomność dziewczyna delikatnie karmiła go kleikiem. Kiedy tak pielęgnowała chorego, jej twarz nabrała niezwykle łagodności czułości. Poprosiłem, aby poszła z nami do maleńkiej kuchenki infirmeryjnej. Zostawiłem ich tam razem, a sam udałem się do naszej izby po księgę, którą dał mi szafarz. Patrzyli na mnie wyczekująco, kiedy podniosłem księgę.

— Według szafarza to jest księga, którą komisarz Singleton znalazł tuż przed swoją śmiercią. Alice, doktorze Goodhaps, chciałbym, abyście przyjrzeni się jej powiedzieli, czy widzieliście ją wcześniej. Zauważycie, że na oprawie widnieje duża plama z 'czerwonego wina. W kościele przyszło mi do głowy, że ten, kto widział uprzednio księgę, powinien pamiętać tę plamę.

Goodhaps wziął ode mnie księgę zaczął ją obracać w rękach.

— Pamiętam, że komisarz czytał księgę w niebieskiej oprawie. Może to była ta, nie wiem.

— Można? — Alice wyciągnęła rękę wzięła od starca wolumin. Przyjrzała się oprawie, odwróciła go, po czym oświadczyła stanowczo: — To nie jest ta księga.

Serce zabiło mi szybciej.

— Jesteś pewna?

— Księga, którą brat Edwig dał komisarzowi, nie miała żadnej plamy. Zauważyłabym ją, bo szafarz lubi, żeby wszystko było czyste porządne.

— Czy przysięgłabyś to przed sądem?

— Tak, panie — odrzekła spokojnie poważnie.

— A więc teraz mogę być pewny, że szafarz mnie oszukał. — Skinąłem powoli głową. — Bardzo dobrze, Alice, raz jeszcze ci dziękuję. Proszę, abyście wszyscy zachowali to w tajemnicy.

— Mnie tak tu nie będzie — zauważył z zadowoleniem doktor.

Wyrząłem za okno, śnieg przestał padać.

— Tak, doktorze Goodhaps, myślę, że powinien pan ruszać w drogę. Marku, może odprowadziłbyś doktora do miasta?

Staruszek znacznie poweselał.

— Dziękuję wam bardzo. Z wdzięcznością przyjmę ramię, na którym będę mógł się wesprzeć, a mam torby spakowane w domu opata. Zostawiam tu konia, chciałbym, aby go odesłano do Londynu, kiedy pogoda dozwoli...

— Dobrze, dobrze. Tylko, Marku, spiesz się, proszę, bo czeka nas dużo pracy po twoim powrocie.

Młodzieniec pomógł staruszkowi wstać.

— Do widzenia, panie komisarzu — rzekł Goodhaps. — Mam nadzieję, że wróci pan bezpiecznie do domu z tego parszywego miejsca.

I z tym radosnym pożegnaniem na ustach doktor nas opuścił. Ja udałem się do swojej izby ukryłem księgę w pościeli. Byłem zadowolony. Uczyniłem wielki postęp. W następnej kolejności zamierzałem zbadać kapliczki w kościele staw. Zastanawiałem się, ile czasu może zająć Markowi podróż do Scarnsea z powrotem. W pojedynkę niewiele ponad godzinę, ale z doktorem Goodhapsem... Złajałem się w duchu za miękkie serce, ale nie potrafiłbym myśleć ze spokojnym sumieniem, że staruszek przedziera się sam przez zasy obładowany ciężkimi torbami.

Postanowiłem sprawdzić, jak się mają nasze konie, wszak od kilku dni stały pod dachem. Wyszedłem z powrotem na podwórzec skierowałem kroki do stajni. Chłopiec stajenny, który zamiatał właśnie podłogę, upewnił mnie, że zwierzęta są w doskonałej formie. W istocie zarówno Chancery, jak Marka Rudonogi wyglądały bardzo dobrze ucieszyły się na mój widok po tak długiej bezczynności. Pogłaskałem Chan-cery'ego po długim białym pysku.

— Pewnie wyszedłbyś na spacer, staruszkule? — powiedziałem łagodnie. — Wierz mi, lepiej ci się tu nudzić w stajni, niż patrzeć na to, co tam, na zewnątrz się dzieje.

Stajenny, przechodząc obok, obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

— Nigdy nie rozmawiasz z końmi? — spytałem.

Służący mruknął coś pod nosem wrócił do zamiatania.

Pożegnałem się ze zwierzakami spacerkiem ruszyłem

w stronę infirmerii. Na podwórku oczyszczono ziemię ze śniegu, wyrysowano na niej kredą różnych rozmiarów kwadraty sześcioramienne mnichów grało w klasy. Znałem tę grę z Lich-field, grały w nią wszystkie zakony benedyktynów. Polegała ona na rzucaniu kostką, a następnie wykonywaniu skomplikowanych kroków. Z boku, opierając się na łopacie, przyglądał im się Bugge. Na mój widok zakonnicy przerwali zabawę zamierzali się usunąć, ale machnąłem im ręką, aby sobie nie przeszkadzali.

Kiedym tak stał przyglądał się mnisiej rozrywce, przyczłapał do nas brat Septimus, ów głupi, otyły mnich, którego infirmarz skarcił za obżarstwo. Sapiąc dysząc, z wielkim trudem brnął po śniegu.

— Przyłącz się do nas, Septimusi! — zawołał jeden z graczy.

Jego towarzysze wybuchnęli śmiechem.

— Och nie, jeszcze mógłbym upaść.

— Chodź, gramy w bardzo łatwą odmianę, nawet taki ciołek jak ty da radę.

— Nie, nie.

Jeden z zakonników złapał go za ramię nie zważając na protesty grubasa, pociągnął go na środek placu do gry, podczas gdy inni zrobili mu miejsce. Wszyscy uśmiechali się szeroko, nawet Bugge. Niemal w tej samej chwili Septimus pośliznął się na oblodzonym kamieniu z głośnym rykiem poleciał na plecy. Jego towarzysze gruchnęli tubalnym śmiechem.

- Pomóżcie mi wstać! — ryczał Septimus.
- Wygląda jak stonoga przewrócona na plecy! No dalej, stonogo, do góry!
- Obrzućmy go śnieżkami! — zawołał któryś z mnichów. — To go postawi na nogi!

I zakonnicy jęli ciskać śnieżkami w nieszczęśnika, który przez swą wagę niedołęstwo nie mógł się podnieść. Krzyczał, kiedy śnieżne kule rozbijały się o jego masywne ciało, skręcał się turlał, tak że jeszcze bardziej niż zwykle przypominał wywróconego na grzbiet zółwia.

- Przestańcie! — wołał. — Bracia, błagam was, zaprzestańcie tego!

Oni jednak dalej ciskali weń śnieżkami naśmiewali się. To nie były już rubaszne żarty jak te, którym widział dzień wcześniej. Rozważałem właśnie, czy nie powinienem interweniować, kiedy przez hałas przebił się gromki okrzyk.

- Bracia! Przestańcie natychmiast!

Mnisi wypuścili z rąk śnieżki, widząc idącą w ich stronę wysoką sylwetkę brata Gabriela jego zmarszczone gniewnie czoło.

- Czy to tak wygląda chrześcijańskie braterstwo? Powinniście się wstydzić! Pomóżcie mu wstać!

Dwaj młodszy bracia szybko pomogli sapiącemu Septimusowi dźwignąć się na nogi.

- Do kościoła! Wszyscy! Za dziesięć minut pryma!

Zakrystian drgnął lekko, kiedy zauważył mnie wśród obserwatorów. Podszedł do mnie, kiedy mnisi się rozeszli.

- Przepraszam, panie komisarzu. Czasami mnisi zachowują się jak niegrzeczne żaki.

- Widzę. — Przypomniałem sobie rozmowę z bratem Guyem. — Nie widać było chrześcijańskiego braterstwa w tej scenie.

Spojrzałem na brata Gabriela jakby nowymi oczami, uprzy-288

tomniwszy sobie, że nie na darmo pełni w tym klasztorze funkcję wyższego urzędnika. Potrafił z łatwością narzucać mnichom swoją wolę wykorzystywać moralny autorytet, kiedy to było konieczne. Na moich oczach jednak wyraz surowej powagi zniknął z jego oblicza zastąpił go wszechogarniający smutek.

- Wydaje się powszechną regułą na tym padole, że ludzie szukają kozłów ofiarnych obiektów do drwin, nieprawdaż? A osobiwie najbardziej w czasach trudnych pełnych napięcia. Jak powiedziałem, nawet zakonnicy nie są bezpieczni od szatańskich sztuczek.

To rzekłszy, skłonił się krótko podążył za braćmi do kościoła.

Ja zaś ruszyłem dalej w drogę do infirmerii. Byłem głodny zatrzymałem się przy wejściu do kuchni, aby wziąć jabłko z miski. Kiedym to robił, mój wzrok przyciągnęła czerwona plama rozprysnięta na śniegu. Podszedłem bliżej do okna nogi się pode-mną ugięły.

W ogrodzie twarzą do ziemi leżała Alice, obok niej potłuczony dzban, a wokół kałuża krwi, która rozprzestrzeniała się szybko, parując, na śniegu.

Rozdział dziewiętnasty

Jęknąłem na głos przycisnąłem pięść do ust. Simon Whelplay zginął, ponieważ chciał ze mną rozmawiać, niechajże to nie spotka Alice! Wybiegłem na dwór, modląc się o cud — chociaż pogardzam cudami — aby świadectwo mych oczu okazało się fałszywe.

Leżała twarzą do ziemi tuż obok ścieżki. Dookoła niej, a także na jej ubraniu było tyle krwi, że przez jeden przerażający moment ujrzałem w wyobraźni jej głowę odciętą tak, jak to zrobiono Singletonowi. Przemogłem się, aby spojrzeć bliżej. Na szczęście głowa tkwiła na swoim miejscu. Stanąłem na okruchach rozbitego dzbana ukląknęłem obok niej. Niepewnie przyłożyłem dłoń do pulsu na szyi aż krzyknąłem z ulgą, kiedym poczuł pod palcami wyraźne silne tętno. Pod moim dotknięciem dziewczyna poruszyła się zajęczała, a po chwili, zamrugawszy, otworzyła oczy, które w jej zakrwawionej twarzy wydawały się jeszcze bardziej błękitne niż zwykle.

— Alice! Och, chwała Bogu, żyjesz! To cud prawdziwy!

Wyciągnąłem ramiona przycisnąłem ją do piersi ledwo łapałem powietrze z radości, czując żywe ciepło jej ciała, bicie jej serca nie zważając na metaliczny zapach krwi, który napełniał me nozdrza.

Odepchnęła dłońmi moją pierś.— Panie, co to jest, nie...

Puściłem ją usiadłem oszołomiony.

— Wybacz mi — powiedziałem, tuszując zmieszanie. — To z ulgi, jużem myślał, że nie żyjesz. Ale nie ruszaj się, to musi być ciężka rana. Gdzie ona jest?

Alice spojrzała w dół na swą sukienkę całą w cynobrowych plamach, przez chwilę patrzyła, jakby nie rozumiejąc, potem dotknęła ręką głowy. Nagle twarz jej złagodniała ku memu zdumieniu wybuchnęła śmiechem.

— Nic mi nie jest, panie, trochę mnie jeno zamroczyło. Pośliznęłam się na śniegu upadłam.

— Ale...

— Niosłam dzban, do którego infirmarz puszczał krew zakonnikom, pamiętacie, panie. Nie jestem ranna, to nie moja krew.

— Ach!

Opartem się o mur infirmerii, w głowie mi się zakręciło z ulgi.

— Chcieliśmy nią podlać zioła w ogrodzie. Trzymaliśmy ją w ciepłe, ale brat Guy powiedział, żeby poczekać, aż śnieg stopnieje. Niosłam ją do szopy.

— Tak, tak, rozumiem. — Roześmiałem się zawstydzony. — Zrobiłem z siebie głupca. Popatrzyłem na swój poplamiony kaftan. — I zniszczyłem odzienie.

— Odzienie się upierze.

— Przepraszam, że tak cię... obłąpiłem. Nie miałem złych zamiarów.

— Rozumiem, panie — powiedziała niezręcznie. — Przykro mi, że was wystraszyłam. Nigdy przedtem się nie pośliznęłam, ale ten udeptany śnieg zamienia się w prawdziwy lód. Dziękuję, że mi okazaliście tyle troski.

Skloniła głowę. Zobaczyłem, że siedzi skulona, z ukłuciem rozczarowania zrozumiałem, że mój uścisk nie był jej miły.

— Wejźmy do środka — rzekłem. — Powinnaś poleżeć w ciepłe po tym upadku. Nie masz zawrotów głowy?

— Nie. Nic mi nie jest. — Nie przyjęła mego wyciągniętego ramienia. — Myślę, że oboje powinniśmy się przebrać. Całe jej odzienie ociekało zakrwawionym śniegiem, więc poszła prosto do kuchni, a ja wróciłem do swojej izby. Widziałem drugą zmianę ubrań, którą ze sobą przywiozłem, a za-plamione rzeczy zostawiłem na podłodze. Usiadłem na łóżku czekałem na powrót Marka. Mogłem pójść do Alice poprosić ją, aby zajęła się moimi brudami, ale za bardzo się wstydzilem.

Długo czekałem. W oddali znowu usłyszałem dzwony żałobne — skończył się pogrzeb Simona Whelplaya jego także złożono do grobu. Kląłem na siebie w duchu za to, że nie pozwoliłem Goodhapsowi iść samemu do miasta. Zależało mi na zbadaniu stawu rybnego, a potem chciałem się jeszcze rozmówić z bratem Edwigiem.

Usłyszałem głosy. Zmarszczyłem brwi wyjrzałem na korytarz. Szmer rozmowy dochodził z kuchni, to byli Mark i Alice. Ruszyłem w tamtą stronę.

Suknia Alice leżała na tarce, gdzie dziewczyna ją prała, ubrana jeno w białą halkę, a oni oboje stali objęci. Ale nie śmiali się, jej twarz opartą o jego szyję przepełniał smutek, on również był poważny, jak gdyby pocieszał ją raczej, niż przytulał. Zobaczyli mnie odskoczyli od siebie jak "oparzeni. Zauważyłem, jak pod halką poruszają się jej pełne, jędrne piersi, jak twarde sutki opina ciasny materiał. Odwróciłem wzrok.

— Marku Poerze — rzekłem szorstko. — Prosiłem cię, abyś się spieszył. Czeka nas dużo pracy.

Mark zarumienił się po same uszy.

— Przepraszam, wasza miłość... ja...

— A ty, Alice? Czy to właśnie nazywasz skromnością?

— Mam jeno jedną czystą suknię, panie — powiedziała wyzywającym tonem. — A to jest jedyne miejsce, gdzie ją mogę uprać.

— Więc powinnaś zaryglować drzwi, aby nie wszedł do środka nikt niepożądany. Chodź, Marku.

Skinąłem lekko głową młodzieniec wyszedł za mną na korytarz. Kiedyśmy weszli do naszej izby, odwróciłem się do niego przodem.

— Prosiłem, abyś powstrzymał się od amorów w tym miejscu. Widzę, żeś dużo więcej konwersował z tą dziewczką, niżem sądził.

— Rozmawialiśmy z Alice, ilekroć mieliśmy ku temu sposobność. — Spojrzał mi śmiało w oczy. — Wiedziałem, że waszej miłości się to nie spodoba. Nie mogę kazać memu sercu milczeć.

— Tak jak nie mogłeś z królewską dworką? Czy tak samo się to skończy?

Poczerwieniał na twarzy.

— To całkiem co innego! — wybuchnął. — Moje uczucia do panny Fewterer są szlachetne! Nigdy przedtem do żadnej kobiety nie czułem tego co do niej. Może wasza miłość sobie kpić, ale to prawda. Nie uczyniliśmy nic grzesznego poza obejmowaniem się pocałunkiem, tak jak wasza miłość widział. Była bardzo rozstrojona po tym upadku na śniegu.

— Panna Fewterer? Zapominasz, że Alice nie jest zwykłą służką.

— To nie przeszkodziło wam jej obłąpić, kiedy upadła na śnieg! Widziałem, jak na nią patrzycie, wam też się podoba. — Zrobił krok w moją stronę, a jego twarz zapłonęła nagle gniewem. — Jesteście zazdrośni!

— Dość tego! — krzyknąłem. — Byłem dla ciebie zbyt pobłażliwy. Powiniennem cię przepędzić na cztery wiatry, żebyś zabrał wścibskiego bindasa z powrotem do Lichfield najmował się tam jako parobek!

Mark milczał, a ja starałem się opanować mówić już dalej spokojnie.

— Więc masz mnie za żałosnego, zazdrosnego kalekę. Nie przeczę, że Alice to gładka dziewczka, ale przyjechaliśmy tu z poważnym zadaniem. Co by pomyślał o tobie lord Cromwell, widząc, jak trwonisz czas na mizdrzeniu się do dziewczki służebnej?

— Życie nie kończy się na lordzie Cromwellu — burknął chłopak.

— Doprawdy? Chciałbyś może mu to powiedzieć? Ale to nie koniec. Co zamierzasz dalej uczynić? Zabrać Alice do Londynu? Mówisz, że nie chcesz wracać do sądu, więc zadowolony jesteś z pozycją służącego?

— Nie — odrzekł, spuszczaając oczy.

— A zatem...?

— Zastanawiałem się, czy wasza miłość nie zgodziłby się wziąć mnie na swego sekretarza. Pomagałem panu w pracy, mówił pan, że jestem dobry...

— Na mego sekretarza? — powtórzyłem z niedowierzaniem. — Chcesz więc być zwykłym skrybą? Czy to kres twoich ambicji?

— Wiem, że to niewłaściwy moment na taką prośbę — odparł chmurny.

— Na rany Chrystusowe, żaden moment nie byłby właściwy na taką prośbę! Okryłbyś mnie wstydem w oczach twego ojca, siebie również, za brak szczerych ambicji. Nie, Marku, nie przyjmę cię na sekretarza.

Chłopak wybuchnął z nagłym zapałem.

— Jak na kogoś, kto wiecznie prawi o dobrobycie ubogich budowaniu wspólnoty chrześcijan, ma wasza miłość nie najlepsze zdanie o prostym człowieku!

— Społeczeństwo dzieli się na wyższe niższe stany. Ludzie mają różne pochodzenie, Bóg tak urządził, nie inaczej.

— Z pewnością opat by się z wami zgodził. Jak również sędzia Copynger.

— W imię Boże, posuwasz się za daleko, młodzieńcze! — zawołałem.

Mark w milczeniu patrzył mi w oczy, chowając się za tę swą maskę niewzruszoności, która doprowadzała mnie do szału. Pogroziłem mu palcem.

— Posłuchaj mnie. Udało mi się pozyskać zaufanie brata Guya. Dzięki niemu dowiedziałem się, dlaczego zmarł Simon

Whelplay. Czy uważasz, że postąpiłby tak samo, gdyby to on zamiast mnie wszedł do kuchni ujrzał taką scenę jak ta przed chwilą? Zwłaszcza jeśli dziewczka jest pod jego opieką? He?

Nadal nie odpowiadał.

— Masz natychmiast skończyć z zalotami do Alice, rozumiesz? I nalegam, abys bardzo starannie rozważył kwestię swojej przyszłości.

— Tak jest, wasza miłość — odrzekł chłodno.

Korciło mnie, żeby mu przyłożyć w tę beznamietną twarz.

— Włóż płaszcz, idziemy obejrzeć staw rybny. A wracając, rzucimy okiem na kapliczki w kościele.

— To jak szukanie igły w stogu siana — mruknął ponuro. — Sprawca mógł zakopać te rzeczy byle gdzie.

— To nam zajmie mniej więcej godzinę. Chodź. I lepiej przygotuj się na kąpiel w lodowatej wodzie — dodałem kąśliwie. — Będzie dużo zimniejsza niż ramiona tej dziewczki.

Szliśmy w milczeniu. Gniew we mnie wrzał na bezmyślność bezczelność młodzika, ale zły byłem również na siebie, albowiem prawdę rzekł o mojej zazdrości. Widok Alice w jego ramionach, po tym zwłaszcza, jak wzdragała się przed moim objęciem, zabolał mnie wielce. Spojrzałem nań z ukosa. Najpierw Jerome, teraz Alice — jakże ten uparty młokos potrafił wzbudzać we mnie wyrzuty sumienia.



Kiedyśmy mijali kościół, mnisi wchodzili właśnie do środka podwójnym rzędem. Simona Whelplaya pochowano na cmentarzu, ale widocznie miała się odbyć jeszcze jedna msza za jego duszę, chociaż za Singletona nie odprawiono żadnej. Pomyślałem z goryczą, że młody nowicjusz byłby wdzięczny za dziesiątą choćby część przymiotów życiowych szans, jakimi Bóg obdarzył Marka. Ostatni zakonnik weszli do kościoła, drzwi zamknięto z głuchym dudnieniem, a my poszliśmy dalej w stronę świeckiego cmentarza.

Nagle Mark stanął jak wryty. — Popatrzcie, wasza miłość — powiedział. — To dziwne.

Wskazywał palcem grób Singletona, gdzie brązowa ziemia

kontrastowała z białym tłem. Wszystko dookoła pokryte było warstewką świeżego śniegu z wyjątkiem grobu.

Podeszliśmy bliżej, a ja aż krzyknąłem z oburzenia. Grób pokrywała kleista substancja mieniąca się kolorowo w bladym świetle słonecznym. Schyliłem się, ostrożnie dotknąłem dziwnego płynu, po czym podsunąłem palec pod nos. Prychnąłem gniewnie.

— To mydło! Ktoś wylał mydliny na grób komisarza, aby nie wyrosła na nim trawa. Od wody stopniał śnieg.

— Po co to zrobili?

— Czyś nie słyszał opowieści, że trawa nie rośnie na grobie grzeszników? Gdy byłem chłopcem, pewną kobietę powieszono za dzieciobójstwo. Rodzina jej męża podkradała się w nocy do grobu polewała ziemię mydlinami, aby nic na niej nie wyrosło. Cóż za nikczemna intryga!

— Kto to zrobił?

— Skąd mam wiedzieć? — warknąłem. — Na Mękę Pańską, już ja każę opatowi przysłać tu wszystkich po koleil Będą to uprzętać pod moim nadzorem, nie, pod twoim, to będzie jeszcze większe poniżenie, jeśli przyjdzie im czyścić grób pod twoim nadzorem.

Odwróciłem się z wściekłością poszliśmy dalej przez zaśnieżony cmentarz, a potem przez sad, brodząc po łydki w śniegu. Wodnisty słoneczny blask odbijał się w strumieniu w zamarzniętej tafli stawu rybnego.

Przedzierając się przez zmrożone sitowie. Powierzchnię wody pokrywała jeszcze grubsza warstwa lodu, na obrzeżach przyprószone lekkim śniegiem, jednakże schyliwszy się wysiliwszy oczy, zobaczyłem ten sam przedmiot błyszczący słabo nieopodal środka stawu.

— Marku, widzisz stertę gruzu pod miejscem, gdzie łątano mur? Przynieś jakiś większy kamień rozbij nim lód.

Chłopak westchnął, ale widząc nieustępliwość na mymobiczu, poszedł wrócił z wielką wapienną bryłą. Cofnąłem się, kiedy uniósł ją nad głowę cisnął w środek stawu. Rozległ się głośny trzask, który sprawił mi dziwne zadowolenie, chociaż skuliłem się, kiedy w powietrze wytrysnęła fontanna wody lodowych okruchów. Odczekałem, aż toń się uspokoi, a wtedy ostrożnie podszedłem do krawędzi przerębla opadłem na kolana. Pod lodem rzucały się bezładnie przestraszone ryby.

— O tam, widzisz? Błyszczący coś żółtego.

— Tak mi się zdaje — zgodził się Mark. — Tak, coś tam jest. Mam to wyłowić? Jeśli wezmę waszą łaskę, a wasza miłość przytrzyma mnie za rękę, to może uda mi się sięgnąć.

Pokręciłem głową.

— Nie, chcę, żebyś wszedł po to do wody.

Mina mu zrzędała do reszty.

— Ta woda zamarza.

— Zabójca Singletona mógł tam również wrzucić zakrwawione ubranie. No, śmiało, tu są najwyżej na trzy stopy głębokości. Przeżyjesz.

Przez chwilę sądziłem, że odmówi, ale zacisnął jeno wargi schylił się, aby zdjąć płaszcz, kalosze wreszcie buty. Kosztowne, skórzane trzewiki byłyby na nic, gdyby nasiąkły wodą. Stał przez chwilę na brzegu, trzęsąc się z zimna, jego gołe, mięsiste łydki niewiele się różniły barwą od śniegu. W końcu wziął głęboki oddech aż krzyknął na cały głos, kiedy zanurzył nogi w lodowatej toni.

Sądziłem, że woda sięgnie mu najwyżej do połowy uda, ale nie uszedł nawet kilku kroków, gdy nagle zapadł się po pierś. Znowu krzyknął. Wokół niego ku powierzchni zaczęły się wydobywać bąble cuchnącego gazu. Odór był tak okropny, że mimowolnie odsunąłem się od przerebła. Mark stał sapał głośno, podczas gdy odrażający smród rozpląwał się w powietrzu.

— Tu jest ponad stopę mułu, fu... — syknął.

— Oczywiście — rzekłem — szlam ze strumienia osiada na dnie. Widzisz to coś? Możesz to wyciągnąć? Spiorunował mnie miążdżącym spojrzeniem, po czym, jęcząc głośno, schylił się, a jego ramię znikło pod wodą. Szukał dłonią po omacku.

— Tak, jest coś... ostre...

Jego ramię wynurzyło się z powrotem na powierzchnię, trzymając w dłoni wielki miecz ze złoconą rękojeścią. Serce podskoczyło mi z emocji, kiedy rzucił oręż na brzeg.

— Dobra robota! — szepnąłem. — Sprawdź, czy jest tam coś jeszcze.

Znowu się schylił zanurzył aż po szyję, a drobne zmarszczki rozbiegły się po powierzchni.

— Jezu, ależ zimno. Zaraz... tak... coś tu jeszcze jest... miękkie, chyba jakieś ubranie.

— Ubranie zabójcy! — zawołałem półgłosem.

Wyprostował się, ciągnąc za nie, lecz po chwili stracił

równowagę z krzykiem runął do wody, podczas gdy na wierzch wypłynęło... ludzkie ciało. Dech mi zaparło z osupienia. Przez chwilę górna część tułowia oplątana długimi pasmami włosów jakby zawisała w powietrzu, po czym runęła z pluskiem w sitowie.

Spod wody wynurzyła się z powrotem głowa Marka. Krzyknął wstrząśnięty przerażony wymachując rękami, rozpaczliwie rzucił się do ucieczki. Wygramolił się na brzeg, powoli przestał krzyczeć jęczał tylko, podobnie jak ja wytrzeszczając oczy na ludzką postać leżącą w sitowiu. Były to zwłoki kobiety, sine częściowo zgniłe, ubrane w łachmany służącej, świecące pustymi oczodołami, z otwartymi ustami pozbawionymi warg odsłaniającymi szare, zaciśnięte zęby. Cienkie kosmyki włosów opadały jej na twarz.

Mark stanął niepewnie na dygoczących nogach jął się modlić, żegnając się raz po raz.

— Deus salve nos, deus salv, mater Chris ti salve nos...

— Już dobrze — rzekłem łagodnie. — Wszystko dobrze. — Cały mój gniew prysnął. Położyłem mu dłoń na ramieniu, chłopak drżał jak listek na wietrze. — Musiała leżeć zagrzebanaw mule. Zbierały się tam gazy, poruszyłeś szlamem wydobyłeś je na wierzch. Nic ci nie grozi, biedaczka nie wyrządzi nam krzywdy.

Ale mnie również głos się załamywał, kiedy patrzyłem na przerażający widok w sitowiu.

— Chodź, bo dostaniesz gorączki. Wzuj buty.

Zrobił posłusznie, co mu kazałem. Ta prosta czynność odrobinę go uspokoiła.

Zobaczyłem, że coś jeszcze wypłynęło na powierzchnię: duży czarny kawał tkaniny, wydęty gazami dobywającymi się spod mułu. Sięgnąłem laską z lękiem, czy nie wydostanę z tych fałd następnego ciała, ale był to jeno pusty mnisi habit. Wyciągnąłem go na brzeg. Materiał nosił ślady ciemnych plam, które mogły być zakrzepłą krwią. Przypomniałem sobie nagle tłustego karpia, któregośmy jedli pierwszego wieczoru, wzdrygnąłem się.

Mark nie odrywał przerażonego wzroku od zwłok.

— Kto to jest? — wykrztusił.

Wzięłem głęboki oddech.

— Domyślam się, że to szczątki Sierotki Stonegarden. — Popatrzyłem na odrażającą głowę, na szarą skórę naciągniętą na czaszkę. — „Delikatnusia, słodka buzia”, jak powiedziała dobra pani Stumpe. „W życiu nie widziała takiej ładnej twarzyczki”. No to już wiemy, co miała na myśli Simon Whelplay, kiedy próbował ostrzec Alice o niebezpieczeństwie. On wiedział.

— A więc mamy trzy trupy.

— Modłę się, aby to było ostatnie.

Przemogłem się, aby wziąć do ręki mnisi habit. Obracałem go w rękę, aż zauważyłem maleńką harfę wszytą w tkaninę. Rozpoznałem ją, to był symbol urzędu zakrystiana. Usta rozwarły mi się ze zdumienia.

— To habit brata Gabriela — szepnąłem.

Rozdział dwudziesty

Kazałem Markowi pobiec co tchu po opata, aby rozgrzała mu się krew. Patrzyłem, jak skacze po śniegu, po czym wróciłem nad staw. Powierzchnia wody nadal bulgotała od gazów wydobywających się z mułu. Zastanawiałem się, czy tam na dnie spoczywa również relikwia może kielichy, które rzekomo ukradła nieboraczka.

Zmusiłem się, aby podejść bliżej do zwłok. Na -szy nieboszczki zobaczyłem cienki srebrny łańcuszek. Po chwili wahania schyliłem się bez trudu odpiąłem zameczek. Wisiał na nim maleńki medalion z figurą mężczyzny dźwigającego na plecach ciężar. Włożyłem go do kieszeni sięgnąłem po miecz. Była to szlachecka, nader kosztowna broń. Na ostrzu widniał wyryty znak jego twórcy: kwadratowy niski budynek z czterema spiczastymi wieżami, a powyżej napis: JS. 1507.

Odszedłem na bok usiadłem na stercie kamieni pod murem. Odrętwiały od szoku patrzyłem na nasze znalezisko leżące w sitowiu. Niebawem od tego bezruchu zimna zdrętwiały mi do szczytu palce u rąk u nóg, wstałem więc zacząłem wymachiwać rękami tupać, aby przywrócić w ciele krążenie.

Chodziłem tam z powrotem po chrzęszczącym śniegu zastanawiałem się nad znaczeniem naszego odkrycia. Obraz zaczął mi się układać w głowie w pewną całość, oderwanefakty wskakiwały na właściwe miejsca. Po pewnym czasie od strony sadu doszły mnie odgłosy rozmów. Zobaczyłem Marka wracającego w towarzystwie dwóch postaci w czarnych habitach — opata przeora. Mortimus niósł ze sobą wielki koc. Na twarzy Fabiana odmalowała się groza, kiedy stanął wytrzeszczył oczy na zwłoki leżące na brzegu. Przeżegnał się zmówił modlitwę. Przeor podszedł do ciała z twarzą ściągniętą odrazą. Potem jego wzrok padł na miecz, który położyłem nieopodal.

— Tym zabito tę kobietę? — szepnął.

— Raczej nie. Ciało przechowało się w mule w stosunkowo dobrym stanie, myślę, że leży tu od dawna. Jest to natomiast oręż, którym zapewne zabito komisarza Singletona. Ten staw niejeden raz posłużył za kryjówkę dla dowodów zbrodni.

— Czyje to zwłoki? — W głosie opata zadźwięczała panika.

Zmierzyłem go długim, spokojnym spojrzeniem.

— Powiedziano mi, że dwa lata temu zaginęła poprzednia pomocnica infirmary, dziewczyna zwana Sierotką Stonegarden.

Przeor powtórnie spojrzął na zwłoki.

— Nie — wymamrotał z mieszaniną gniewu, żalu niedowierzania w głosie. — Przecież... ona uciekła. To była złodziejka...

Obejrzeliliśmy się, słysząc nadchodzące kolejne osoby. Czterech służących niosło nosze. Opat dał przeorowi znak głową Mortimus nakrył ciało kocem. Fabian pochylił się ku mnie.

— W klasztorze zapanowało wielkie zamieszanie. Bracia widzieli pana Poera biegnącego do mojego domu. Powiedział, że znaleźliście zwłoki. Proszę, czy możemy po prostu powiedzieć, że ktoś się utopił w stawie, zataić, że to kobieta?

— Na razie tak — przystałem.

Ukryłem miecz w mokrym habicie. Służący zatrzymali się w pewnej odległości zaczęli się żegnać.

— Marku, pomóż im — zakomenderowałem.

Zauważyłem, że się przebrał pod płaszczem miał niebieskąkoszulę, jaką nosili służący. Pomógł ułożyć przykryte zwłoki na noszach. Wydawały się lekkie jak papier.

— Zanieście je do infirmerii — poleciłem.

Utworzyliśmy za noszami małą procesję. Zerknąłem kilka

razy na przeora, lecz on odwrócił wzrok. Krople mętnej wody kapały ze zwłok zostawiały na śniegu brudne plamy.

W sadzie zgromadził się tłum, mnisi służący bzycceli jak pszczoły wokół ula. Przeor krzyknął do nich gniewnie, aby rozeszli się do swoich zajęć, zakonnicy oddalili się postusznie, oglądając się raz po raz na nosze. Podszedł do nas infirmarz.

— Kto to jest? Podobno ktoś się utopił w stawie.

Odwróciłem się do noszy.

— Zabierzcie ciało do infirmerii, aby brat Guy mógł je obejrzeć. Marku, idź z nimi. I weź to ze sobą, zanieś do naszej izby. — Podałem mu przemoknięty habit. — Uważaj na miecz — szepnąłem. — Jest ostry.

— Powiniennem coś powiedzieć braciom — zauważył przeor.

— Tylko tyle, że w stawie znaleziono zwłoki. A teraz, mój panie opacie, chciałbym z wami porozmawiać.

To rzekłszy, skinąłem głową w stronę jego domu.

Po raz drugi opat patrzył na mnie zza swego biurka, także teraz zarzuconego papierami, z pieczęcią opactwa spoczywającą na bryle czerwonego wosku. W ciągu tych kilku ostatnich dni twarz opata postarzała się co najmniej o dziesięć lat, rumieniec na policzkach znamionujący pewność siebie ustąpił miejsca wylęknionej szarości.

Położyłem na biurku miecz. Fabian spojrzał nań z wyrazem niesmaku. Obok złożyłem srebrny łańcuszek wskazałem nań palcem.

— Poznajecie to?

Schylił się popatrzył uważnie. — Nie. Nigdy w życiu tego nie widziałem. Czy to było na... na...

— Na zwłokach, tak. A miecz?

Pokręcił głową.

— Nie trzymamy mieczy w Domu Bożym.

— Nie zapytam, czy rozpoznajecie zwłoki Sierotki Stonegarden, bo nie da się ich rozpoznać. Będę musiał zapytać pani Stumpe, czy poznaje łańcuszek.

Opat popatrzył na mnie z przerażeniem.

— Opiekunkę z przytułku? Czy musimy ją mieszać do tej sprawy? Ona... nie darzy nas sympatią.

Wzruszyłem ramionami.

— Jej uczucia ochłodną jeszcze bardziej, gdy wyjdzie na jaw, że jej podopieczną zamordowano, a zwłoki wrzucono do stawu. Mówiła, że dziewczka była bardzo nieszczęśliwa, kiedy tu pracowała. Co macie na ten temat do powiedzenia?

W odpowiedzi Fabian ukrył twarz w dłoniach. Myślałem, że zacznie szlochać, ale on zaraz podniósł głowę.

— Niedobra to rzecz, by w klasztorach pracowały młode niewiasty. Pod tym względem zgadzam się z lordem Cromwellem. Jednak infirmarzem był u nas wtenczas brat Aleksander, starzał się potrzebował pomocy. Przesłano nam tę dziewczynę on nalegał, aby ją przyjąć.

— Może mu się podobała? Słyszałem, że była urodziwa.

Opat zakasłał.

— Na pewno nie bratu Aleksandrowi. Po prawdzie uznałem nawet, że będzie to bezpieczniejsze niż przyjęcie do pomocy chłopca. To było jeszcze przed wizytacją, kiedy... hm...

— Rozumiem. Kiedy chłopak musiałby pilnować swego zadka. Jednak jeszcze przed zniknięciem dziewczyny infirmarzem został brat Guy?

— Tak. Brata Aleksandra napiętnowano podczas wizytacji biskupa. To go bardzo załamało, wkrótce potem zmarł na serce. Wtedy zastąpił go brat Guy.<sup>4</sup>

— Więc kto niepokoił tę dziewczynę? Jestem pewien, że ktoś ją napastował.

Opat pokręcił głową.

— Panie komisarzy, to wielka pokusa mieć młodą niewiastę na terenie klasztoru. Kobiety wodzą mężczyzn na pokuszenie tak jak Ewa Adama. Mnisi są jeno ludźmi...

— Z tego, co słyszałem, ta dziewczyna nikogo nie wodziła na pokuszenie, przeciwnie, była molestowana dręczona. Pytam raz jeszcze: co na ten temat wiecie?

Przygarbił się jeszcze bardziej.

— Brat Aleksander przychodził do mnie na skargę. Podobno pewien młody mnich, brat Lukę, który pracuje w pralni, nachodził tę dziewczkę.

— Chcecie powiedzieć, że wziął ją siłą?

— Nie, nie, aż tak daleko by się nie posunął. Rozmawiałem z bratem Lukiem, zakazałem mu się do niej zbliżać, ale on nie posłuchał. Za drugim razem zagroziłem, że wydalę go z klasztoru.

— A inni? Ktoś z wyższych urzędników?

Spojrzał na mnie z przerażeniem.

— Były pewne skargi na brata Edwiga przeora Mortimusa. Ponoć czynili... czynili lubieżne uwagi, szczególnie uporczywie brat szafarz. Dałem mu ostrzeżenie.

— Edwigowi?

— Tak?

— Czy ostrzeżenie odniosło skutek?

— Jestem opatem, wasza miłość — odparł, a w jego tonie zadźwięczała nuta dawnej dumy. — Czy ta dziewczyna nie mogła się sama utopić, jeśli na przykład była... w rozpaczy.

— Rozsiewaliście pogłoski, że ukradła dwa złote kielichy uciekła.

— Bo tak myśleliśmy, kiedy zniknęła z kościoła w tym samym czasie co ona. Ale... czyż nie mogło być tak, że winowajczyni poczuła skruchę po tym, co uczyniła, wyrzuciła skradzione przedmioty, a potem sama się utopiła?...

— Chcę, aby spuszczone wodę ze stawu, ale nawet jeśli znajdziemy tam kielichy, to niczego nie dowiedzie. Jej zabójca mógł je zabrać wrzucić razem z nią do wody, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Należy dokładnie zbadać wszystkie okoliczności. Możliwe, że będę musiał włączyć w tę sprawę władze świeckie, czyli sędziego Copyngera.

Opat skłonił głowę czas jakiś siedział w milczeniu.

— A więc rzecz jest przesądzona, prawda? — rzekł nagle zduszonym głosem.

— Jaka rzecz?

— Nasze życie w tych murach. Wszystkie klasztory w Anglii zostaną zamknięte. Łudziłem się jeno, wierząc, że opactwo ocaleje, jeśli zabójcą komisarza Singletona okaże się jakiś złoczyńca z miasta.

Przemilczałem tę kwestię.

Opat wziął do ręki dokument, który leżał na jego biurku. Dłoń drżała mu lekko.

— Przyjrzałem się dzisiaj ponownie wstępnemu projektowi aktu samorozwiązania klasztoru przedłożonemu mi przez komisarza Singletona. I zacytował: „Z głębi serca czerpiemy przekonanie, że obyczaje oraz sposób życia, jakie my inni wyznawcy naszej udawanej religii praktykowaliśmy przez lata, składają się w większej części z pustych ceremonii oraz reguł narzuconych przez rzymskich, a także innych obcych dostojników”. Początkowo sądziłem, że lord Cromwell pragnie naszej ziemi bogactw, a ten ustęp jest jeno ukłonem w stronę reformatorów. — Podniósł na mnie oczy. — Ale po tym, czego się dowiedziałem z Lewes... to standardowa formuła, prawda? Wszystkie klasztory mają zostać zamknięte. A po tej historii Scarnsea jest skończone.

— Troje ludzi zginęło okropną śmiercią — rzekłem — a wy nadal zaprzątacie sobie głowę własnym losem.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Troje? Ależ pomyliliście się, dwoje jeno, a jeśli dziewczyna zabiła się sama, to tylko jedna...>

— Brat Guy uważa, że Simon Whelplay został otruty.

Fabian zmarszczył czoło.

— Zatem powinien być mnie o tym powiadomić. Jestem opatem.

— Prosiłem go, aby na razie zatrzymał tę wiadomość dla siebie.

Wytrzeszczył na mnie oczy. Kiedy się znów odezwał, mówił szeptem:

— Powinniście byli widzieć ten klasztor pięć lat temu, przed królewskim rozwodem. Życie było pełne harmonii, człowiek czuł się bezpiecznie. Modlitwy, poświęcenie Bogu, inny porządek dnia latem, inny zimą, wszystko niezmiennie od stuleci. Znalazłem u benedyktynów takie życie, jakiego nie zaznałbym nigdzie indziej na świecie: syn dostawcy okrętowego wyniesiony do godności opata. — Uśmiechnął się przelotnie. — Nie swój los jeno opłakuję, panie komisarzu, ale życie całe, tradycję. Od dwóch lat klasztor podupada. Kiedyś wszyscy wierzyliśmy w to samo, myśleliśmy tak samo, ale reformy zasiały niezgodę spory. A teraz doszło do zabójstwa. Rozwiązanie — szeptał. — Rozwiązanie. — Ujrzałem dwie wielkie łzy w kącikach jego oczu. — Podpiszę akt samorozwiązania — rzekł cicho. — Nie mam innego wyjścia, prawda?

Pokręciłem powoli głową.

— Czy dostanę pensję, tak jak obiecywał komisarz Singleton?

Zastanawiałem się, kiedy dojdziemy do tej kwestii.

— Tak, bracie opacie.

— Najpierw jednak muszę uzyskać oficjalną zgodę kon-fratrów. Musicie zrozumieć, pełnię funkcję ich powiernika.

— Proszę się z tym na razie wstrzymać. Dam wam znać wtedy im powiecie.

Kiwnął głową oszołomiony spuścił wzrok, aby ukryć łzy. Patrzyłem na niego w zamyśleniu. Zdobycz, której tak pożądał Singleton, sama wchodziła mi w ręce. Morderstwa złamały>

\*  
—

wolę opata Fabiana. Wydawało mi się, że wiem już, kto jest zabójcą, kto zabił całą trójkę.

Znalazłem brata Guya w gabinecie. Mark siedział obok niego, nie zdjawszy nawet odzienia służącego. Infirmarz mył noże w misie z brązowozieloną wodą. Zwłoki leżały na stole przykryte kocem, co przyjąłem z uczuciem ulgi. Mój młody towarzysz był biały jak ściana nawet pod smagłą cerą infirmarza zauważyć się dało bladość, jak gdyby pod skórą posypano go popiołem.



— Badałem ciało — rzekł cicho. — Nie mam pewności, ale sądząc ze wzrostu budowy, jest to Sierotka Stonegarden. Miała jasne włosy. Mogę natomiast bez najmniejszej wątpliwości powiedzieć wam, jak zginęła. Złamano jej kark.

Odchylając koc, odsłonił głowę nieboszczki, po czym obrócił ją powoli, szyja poruszała się lekko na przemieszczonych kręgach. Z trudem powstrzymałem nudności.

— A więc została zamordowana.

— Nie mogła złamać sobie karku, wpadając do stawu, pan Poer powiedział, że na dnie leży gruba warstwa mułu.

Kiwnąłem głową.

— Dziękuję bratu. Marku, czy pozostałe rzeczy, które znaleźliśmy w stawie, są w naszej izbie? Czeka nas rozmowa. Masz ubranie na zmianę?

— Tak, wasza miłość.

— Zatem idź przebierz się. Nie powinienes chodzić po klasztorze ubrany jak sługa.

Mark wyszedł, a ja wziąłem jego stołek. Infirmarz spuścił głowę na piersi.

— Najpierw otruto Simona Whelplaya tuż pod moim nosem, teraz wygląda na to, że zamordowano również tę biedaczkę, która była moją asystentką. A ja ją miałem za złodziejkę.

— Jak długo u was służyła?

— Krótko, kilka miesięcy. Ciężko pracowała, ale była zamknięta w sobie, nawet trochę opryskliwa. Zdaje mi się, że nie

wolę opata Fabiana. Wydawało mi się, że wiem już, kto jest

zabójcą, kto zabił całą trójkę.

Znalazłem brata Guya w gabinecie. Mark siedział obok niego, nie zdjęwszy nawet odzienia służącego. Infirmarz mył noże w misie z brązowozieloną wodą. Zwłoki leżały na stole przykryte kocem, co przyjąłem z uczuciem ulgi. Mój młody towarzysz był biały jak ściana nawet pod smagłą cerą infirmarza zauważyć się dało bladość, jak gdyby pod skórą posypano go popiołem.

— Badałem ciało — rzekł cicho. — Nie mam pewności, ale sądząc ze wzrostu budowy, jest to Sierotka Stonegarden. Miała jasne włosy. Mogę natomiast bez najmniejszej wątpliwości powiedzieć wam, jak zginęła. Złamano jej kark.

Odchylając koc, odsłonił głowę nieboszczki, po czym obrócił ją powoli, szyja poruszała się lekko na przemieszczonych kręgach. Z trudem powstrzymałem nudności.

— A więc została zamordowana.

— Nie mogła złamać sobie karku, wpadając do stawu, pan Poer powiedział, że na dnie leży gruba warstwa mułu.

Kiwnąłem głową.

— Dziękuję bratu. Marku, czy pozostałe rzeczy, które znaleźliśmy w stawie, są w naszej izbie? Czeka nas rozmowa. Masz ubranie na zmianę?

— Tak, wasza miłość.

— Zatem idź przebierz się. Nie powinieneś chodzić po klasztorze ubrany jak sługa.

Mark wyszedł, a ja wziąłem jego stołek. Infirmarz spuścił głowę na piersi.

— Najpierw otruto Simona Whelplaya tuż pod moim nosem, teraz wygląda na to, że zamordowano również tę biedaczkę, która była moją asystentką. A ja ją miałem za złodziejkę.

— Jak długo u was służyła?

— Krótko, kilka miesięcy. Ciężko pracowała, ale była zamknięta w sobie, nawet trochę opryskliwa. Zdaje mi się, że niewolę opata Fabiana. Wydawało mi się, że wiem już, kto jest zabójcą, kto zabił całą trójkę.

Znalazłem brata Guya w gabinecie. Mark siedział obok niego, nie zdjawszy nawet odzienia służącego. Infirmarz mył noże w misie z brązowozieloną wodą. Zwłoki leżały na stole przykryte kocem, co przyjąłem z uczuciem ulgi. Mój młody towarzysz był biały jak ściana nawet pod smagłą cerą infirmarza zauważyć się dało bladość, jak gdyby pod skórą posypano go popiołem.

— Badałem ciało — rzekł cicho. — Nie mam pewności, ale sądząc ze wzrostu budowy, jest to Sierotka Stonegarden. Miała jasne włosy. Mogę natomiast bez najmniejszej wątpliwości powiedzieć wam, jak zginęła. Złamano jej kark.

Odchylając koc, odstonił głowę nieboszczki, po czym obrócił ją powoli, szyja poruszała się lekko na przemieszczonych kręgach. Z trudem powstrzymałem nudności.

— A Więc została zamordowana.

— Nie mogła złamać sobie karku, wpadając do stawu, pan Poer powiedział, że na dnie leży gruba warstwa mułu.

Kiwnąłem głową.

— Dziękuję bratu. Marku, czy pozostałe rzeczy, które znaleźliśmy w stawie, są w naszej izbie? Czeka nas rozmowa. Masz ubranie na zmianę?

— Tak, wasza miłość.

— Zatem idź przebierz się. Nie powinieneś chodzić po klasztorze ubrany jak sługa.

Mark wyszedł, a ja wziąłem jego stołek. Infirmarz spuścił głowę na piersi.

— Najpierw otruto Simona Whelplaya tuż pod moim nosem, teraz wygląda na to, że zamordowano również tę biedaczkę, która była moją asystentką. A ja ją miałem za złodziejkę.

— Jak długo u was służyła?

— Krótko, kilka miesięcy. Ciężko pracowała, ale była zamknięta w sobie, nawet trochę opryskliwa. Zdaje mi się, że nie

ufała nikomu poza bratem Aleksandrem. Byłem podówczas zaprzętnięty porządkowaniem infirmerii, jako że mój poprzednik mocno ją zaniedbał. Nie poświęcałem dziewczynie tyle uwagi, ile powinienem.

— Czy wspominała wam o niepożądanym zainteresowaniu, które wzbudzała u mnichów?

Ściągnął brwi.

— Nie, ale któregoś dnia, kiedy wszedłem, zobaczyłem, jak mocuje się z jednym z braci. To było w korytarzu przed wejściem do jej izby. Zajmowała tę samą izbę, w której teraz mieszka Alice. Ten człowiek usiłował ją objąć, czyniąc lubieżne uwagi.

— Kto to był?

— Brat Lukę, pomocnik pracza. Odprawiłem go poszedłem złożyć skargę do opata, chociaż Sierotka prosiła, aby nie robić z tego powodu zamieszania. Opat obiecał, że porozmawia z Lukiem. Powiedział mi, że to nie był pierwszy raz. Po tym wydarzeniu Sierotka odnosiła się do mnie nieco życzliwiej, ale nadal niewiele mówiła. Niedługo potem nagle znikła.

— Nic wam nie wiadomo, aby ktoś inny ją jeszcze niepokoił?

— Nigdy więcej nie byłem świadkiem podobnej sceny, ale jak już mówiłem, nie zwierzała mi się.  
— Uśmiechnęła się smutno. — Obawiam się, że nie potrafiła przywyknąć do mego odmiennego koloru skóry. Nic dziwnego u tak młodej niewiasty z małego miasteczka.

— Po niej nastąpiła Alice?

— Tak. Postanowiłem jak najszybciej pozyskać jej zaufanie. Wierzę, że mi się to udało.

— Leczenie brata Jerome'a. Jaki jest, waszym zdaniem, stan jego umysłu?

Przyjrzał mi się uważnie.

— Tak dobry, jak może być u człowieka, który poświęcił życie wymagającym najbardziej surowym ideałom, a potem torturami został zmuszony, aby je zdradzić. Jest chory na duszy, lecz nie szalony, jeśli o to wam chodzi. — No cóż, mnie się wydaje szaleństwem jeszcze bardziej osłabiać okaleczone ciało noszeniem włosienicy. Powiedzcie mi, czy on często opowiada o swych przeżyciach w Tower.

— Nie, nigdy Ale gotów jestem przysiąc, że okrutnie łamano go kołem.

— Opowiadał mi o tym. I o innych jeszcze rzeczach, ale wydaje mi się, że kłamał, aby mnie wprowadzić w pomieszenie.

Na to brat Guy niczego nie odrzekł. Wstałem ze stołka, a kiedy to zrobiłem, bolesny skurcz przebiegł mi przez plecy. Skrzywiłem się chwyciłem stołu.

— Co się stało?

Oddychałem głęboko.

— Coś sobie skręciłem, kiedy wstawałem. Teraz będę cierpieć przez wiele dni. — Uśmiechnąłem się gorzko. — Obaj wiemy, jakie to uczucie, kiedy ludzie się na nas gapią jak na dziwadła. Wasza odmienność przynajmniej ma naturalne przyczyny nie przysparza wam bóleści. Jest taki kraj, gdzie nie różniłby się brat od innych.

'u'

Mark przebrał się w czystą koszulę kaftan siedział na moim łóżku. Twarz miał ściągniętą.

— Nic ci nie jest? — spytałem szorstko.

Pokręcił głową.

— Nic, wasza miłość. Ta biedaczka...

— Wiem. Przykro mi, że musiałeś przez to wszystko przejść. To był straszliwy wstrząs. Nie miałem pojęcia...

— Nikt nie mógł wiedzieć...

— Marku, musimy odłożyć na bok nasze różnice poglądów. Mamy jeden wspólny cel, tak mi się przynajmniej zdaje. Musimy znaleźć bezwzględnego mordercę, który chodzi wolno po tym klasztorze.

Chłopak popatrzył na mnie zdziwiony.

— Naturalnie, wasza miłość. Jak mogliście w to wątpić?

— Nie wątpię, nie wątpię. Posłuchaj mnie. Zastanawiałem się nad tym. Habit brata Gabriela mógł się znaleźć w stawie tylko z jednego powodu: ponieważ był poplamiony krwią. Morderca miał go na sobie, kiedy poszedł zabić komisarza Singletona, a potem wrzucił ubranie do wody razem z mieczem.

— Rozumiem, ale... brat Gabriel mordercą?

Potrząsnął głową.

— Czemu nie? Czemu uważasz, że to niemożliwe? Sądziłem, że gardzisz nim za jego skłonności.

— Bo tak jest. — Myślałem przez chwilę. — Ale nie wyobrażam go sobie jako mordercy. Robi wrażenie człowieka o silnych pasjach, jeśli można tak rzec, ale nie kogoś, kto zdolny byłby wyrządzać ludziom krzywdę. I był na tyle zuchwały, by napaść na królewskiego komisarza.

— O, zapewniam cię, że kiedy chce, potrafi być bardzo śmiały zdecydowany. I owszem, skrywa wielkie pasje. Powiedziałbym nawet gwałtowne. A gdzie dochodzą do głosu gwałtowne uczucia, tam może się zrodzić gwałtowna nienawiść.

Mark znowu potrząsnął głową.

- Trudno mi w to uwierzyć. Może jestem naiwny, ale nie wydaje mi się możliwe, żeby brat Gabriel był mordercą.
- Mnie również było go żal, nawet go prawie polubiłem, ale nie możemy ferować wyroków na podstawie własnych sympatii. Musimy kierować się chłodną logiką. Skąd możemy wiedzieć po kilku dniach znajomości, czy człowiek jest zdolny do popełnienia morderstwa? Szczególnie w tym miejscu, gdzie wszystkie nasze zmysły są wyostrzone przez czyhające niebezpieczeństwo.
- Mimo to nadal nie mogę sobie tego przedstawić. On się wydaje taki... łagodny.
- Równie dobrze moglibyśmy oskarżyć brata Edwiga na podstawie wrażenia, że jest odstręczającym indywiduum bardziej przypominające chodzące liczydło niż człowieka. Najwyraźniej jest również fałszywy poządlivy, ale to wszystko nie daje nam podstaw do oskarżenia go o morderstwo.
- Nie było go w klasztorze, kiedy zabito Singletona.
- A Gabriel był. I zaczynam dostrzegać pewien łańcuch motywów, które mogły go pchnąć do tego czynu. Nie, nie, stanowczo musimy odłożyć nasze uczucia na bok.
- Tak jak moje do Alice.
- To nie pora na tę dyskusję. Czy zechcesz mi towarzyszyć w rozmowie z Gabrielem?
- Naturalnie. Mnie również zależy, abyśmy schwytali zabójcę.
- Zatem przypasaj swój miecz. Ten drugi zostaw tutaj, ale weź ze sobą habit. Tylko wpierw wyźmij go nad misą. Pora poddać nasze wnioski próbie.

#### Rozdział dwudziesty pierwszy

Serce waliło mi w piersi, kiedy wyszliśmy na podwórzec, ale myślałem jasno. Dawno już minęło południe słońce wisało nisko na zamglonym niebie, czerwone wielkie, jak to się nieraz zdarza zimą, kiedy można na nie patrzeć, jakby wyplukano zeń cały ogień. I w ten mróz takie właśnie odnosiło się wrażenie.

Brat Gabriel był w kościele. Siedział w nawie razem ze starym mnichem, który w bibliotece kopiował księgi. Zakrystian oglądał stos starych woluminów. Kiedy podchodziliśmy, podnieśli obaj głowy, wzrok Gabriela przeskakiwał niespokojnie to na mnie, to na Marka.

- Następne stare księgi, bracie zakrystianie? — spytałem.
- To nasze mszały z zapisem muzycznym. Nikt ich nie drukuje, musimy je sami sobie kopiować, kiedy nam się niszczą.

Wziąłem jedną do ręki. Miała karty z pergaminu, łacińskie słowa zapisano w nich fonetycznie na przemian z czerwonymi nutami, każdemu dniu roku przypisano inne psalmy modlitwy. Inkaust stał się na krawędziach od długich lat używania. Rzuciłem książkę na ławę.

- Chciałbym wam zadać kilka pytań. — Odwróciłem się do starego mnicha. — Zechcicie nas zostawić samych. Skinął głową truchtem opuścił kościół.

— Czy coś się stało? — spytał zakrystian.

W jego głosie usłyszałem drżenie.

— Więc nie słyszeliście o zwłokach, które znaleźliśmy w stawie?

Wytrzeszczył na mnie oczy.

— Byłem zajęty. Dopiero co wróciłem z bratem Stephenem z biblioteki. Zwłoki, powiadacie?

— Sądzymy, że to ciało młodej dziewczyny, która znikła tu dwa lata temu, niejakiej Sierotki Stonegarden.

Otworzył usta ze zdumienia. Jął wstawać, ale zaraz usiadł z powrotem.

— Została zamordowana. Złamano jej kark, a ciało wrzucono do stawu. Znaleźliśmy tam również miecz, prawdopodobnie ten, którym zabito komisarza Singletona. Jak również to. — Skinąłem Markowi głowę, a on podał mi habit. Pomachałem naszywką z insygniami przed nosem brata Gabriela. — Wasz habit, bracie zakrystianie.

Siedział bez słowa z rozwartymi ustami.

— Czy to pańska odznaka?

— Tak, moja. To... to musi być mój skradziony habit.

— Skradziony?

— Dwa tygodnie temu posłałem szatę do prania, lecz nie odzyskałem jej z powrotem. Poszedłem o nią zapytać, ale nie mogli jej znaleźć. Służący czasami kradną nam ubrania, nasze zimowe habity są szyte z ciepłej wełny. Chyba nie myślicie, panie komisarzu...

Pochyliłem się nad nim.

— Gabrielu z Ashford, twierdzę, że zabiliście komisarza Singletona. Znał wasze dawne grzechy, zapewne odkrył jakieś ciężkie przestępstwo, które popełniliście za które mogliście iść pod sąd na stracenie, więc go zamordowaliście.

— Nie. — Pokręcił głową. — Nie!

— Ukryliście miecz zakrwawione szaty w jeziorze, wiedzieliście bowiem, że będzie to bezpieczna kryjówka, gdyż>

wcześniej wrzuciliście tam zwłoki zamordowanej niewiasty. Czemu zabiliście komisarza Singletona w tak okropny sposób, bracie Gabrielu? I czemu pozbawiliście życia tę dziewczynę? Czy to przez zazdrość za to, że brat Aleksander się z nią zaprzyjaźnił, wasz towarzysz sodomita? I nowicjusz Whelplay, wasz drugi przyjaciel. On wiedział, co się z nią stało, prawda? Ale nie chciał was zdradzić, dopiero na koniec, kiedy ciężko chory zaczął mówić, otruliście go. Od tamtej pory znosicie katusze człowieka trawionego wyrzutami sumienia. Wszystko to idealnie do siebie pasuje, bracie.

Podniósł się stanął ze mną twarzą w twarz, zaciskając dłoń na oparciu krzesła wciągając głęboko powietrze. Dłoń Marka spoczęła na rękojeści miecza.

— Jesteście królewskim komisarzem, ale gadacie jak tani adwokacina. Nikogo nie zabiłem. — Podniósł głos. — Nikogo! Grzesznikiem jestem, alem nie pogwałcił przez te dwa lata ani jednego z królewskich praw! Możecie przepytąć każdego człowieka w tym klasztorze w mieście również, jeśli taka wasza wola, ale niczego nie znajdziecie! Niczego!

Jego głos dudnił w całym kościele.

— Uspokójcie się, bracie — rzekłem bardziej umiarkowanym głosem. — I rączcie mi odpowiadać nieco grzeczniej.

— Brat Aleksander nie był mi ni przyjacielem, ni wrogiem, był starym leniwym głupcem. Co do nieszczęsnego Simona — westchnął tak ciężko, że prawie jęk dobył się z jego piersi — to owszem, zaprzyjaźnił się z tą dziewczyną w pierwszych dniach swego nowicjatu. Sądzę, że oboje czuli się tu samotni zagrożeni. Powiedziałem mu, że nie powinien się bratać z służbą, że nic dobrego dlań z tego nie wyniknie. Odrzekł, że dziewczyna mu się zwierzyła, jakoby ktoś ją napastował...

— Kto?

— Tego nie chciał zdradzić, podobno przyrzekł jej milczenie. Ostrzegłem go, że nie powinien się mieszać w takie sprawy, że powinien ją nakłonić, by opowiedziała o wszystkim bratu

Guyowi, który właśnie został infirmarzem. Brat Aleksander zmarł ze wstydu — dodał z goryczą.

— A potem dziewczka znikła.

Skurcz mu przebiegł przez twarz.

— Podobnie jak wszyscy inni myślałem, że uciekła. — Spojrzał na mnie posępnie, a potem przemówił innym głosem, opanowanym zimnym. — Widzę, panie komisarzu, żeście ułożyli już sobie teorię, która wam daje rozwiązanie. Teraz pewnie opłacie świadka, który złoży fałszywe zeznanie, poślecie mnie na szubienicę. Takie rzeczy są ostatnio na porządku dziennym. Wiem, co się stało z sir Thomasem More'em.

— Nie, bracie Gabrielu, nie będzie żadnych fałszywych świadków. Sam znajdę dowody, których potrzebuję. — Podeszedłem doń jeszcze bliżej. — Strzeżcie się, albowiem ciężą na was straszne podejrzenia.

— Jestem niewinny.

Patrzyłem mu długo w oczy, po czym się cofnąłem.

— Na razie was nie aresztuję, ale nie wolno wam opuszczać klasztoru. Każda próba wyjścia poza te mury będzie równoznaczna z przyznaniem się do winy. Rozumiecie?

— Nie opuszczę klasztoru.

— I bądźcie gotowi do rozmowy ze mną za każdym razem, gdy tego zażądam. Chodźmy, Marku.

Wstałem odszedłem, zostawiając brata Gabriela między stertami jego ksiąg. Kiedy wyszliśmy z kościoła, grzmotnąłem dłonią w kamienne odrzwia.

— A już myślałem, że go mam.

— Nadal wasza miłość uważa, że jest winny?

— Nie wiem. Myślałem, że jeśli rzucę mu oskarżenie prosto w twarz, to go złamię. — Pokręciłem głową. — Ale on coś ukrywa, nie ma co do tego wątpliwości. Nazwał mnie tanim adwokacina może nim jestem, ale jeśli dwadzieścia lat pracy w sądzie czegoś mnie nauczyło, to widzieć, kiedy człowiek coś ukrywa. Chodź. — Dokąd teraz?

— Do pralni. Sprawdzimy jego historię, a jednocześnie przyjrzymy się bratu Luke'owi.

Pralnia mieściła się w dużym budynku obok spiżarni. Przez kratownicę buchała para, widywałem już wcześniej służących, jak wchodzili wychodzili z koszami pełnymi ubrań. Otworzyłem ciężkie drewniane drzwi zamykane na haczyk wszedłem do środka. Mark zamknął je za sobą.

Wewnątrz było ciepło prawie zupełnie ciemno. Z początku widziałem jeno wielką komnatę, podłogę z kamiennych płyt oraz tu ówdzie porozstawiane kosze wiadra.

Nagle usłyszałem głos Marka:

— Jezu!

Dopiero wtedy zobaczyłem kilkanaście psów, tych samych ogromnych mieszańców, które pierwszego dnia, zanim spadł śnieg, wałęsały się po podwórku. W powietrzu unosił się odrażający smród odchodów. Na nasz widok wszystkie się podniosły, a dwa ruszyły w naszą stronę, warcząc, jeżąc sierść obnażając żółte kły. Mark powoli wyciągnął z pochwy miecz, ja zaś mocno ścisnąłem w rękę laskę.

Za wewnętrznymi drzwiami usłyszałem głosy zastanawiałem się, czyby nie krzyknąć, ale wychowałem się w gospodarstwie ziemskim dobrze wiedziałem, że to tylko przestraszy psy sprowokuje je do ataku. Zazgrzytałem zębami; nie wyglądało na to, że uda nam się wyjść z tej kabały bez szwanku. Wolną ręką ścisnąłem Marka za ramię. Najpierw przeżył przeze mnie chwile grozy nad stawem, a teraz wciągnąłem go w tę psią pułapkę.

Usłyszeliśmy trzask obróciliśmy się raptownie w stronę wewnętrznych drzwi, w których stanął właśnie brat Hugh z misą pełną mięsnych odpadków w pulchnej dłoni. Na nasz widok otworzył ze zdumienia usta. Patrzyliśmy na niego z desperacją, aż w końcu oprzytomniał zawołał psy. —

Brutus, August, do mnie! Szybko!

Rzucił na kamienną podłogę kilka ochłapów. Psy z początku obracały głowy to na nas, to na mnicha, aż wreszcie powoli, jeden po drugim chyłkiem podkradły się do mięsa. Najdłużej stał warczał na nas przywódca sfory, ale w końcu on odwrócił się dołączył do pozostałych. Odetchnąłem z ulgą, chociaż nogi jeszcze pode mną drżały. Brat Hugh machnął na nas niecierpliwie.

— Tutaj, do środka, panowie. Szybko, dopóki jedzą.

Okrążając z daleka śliniące się zwierzęta, podążyliśmy za



nim do przyległej izby. Hugh zamknął za nami drzwi. Znaleźliśmy się w zaparowanej pralni, gdzie służący pod nadzorem dwóch mnichów pochylali się nad kotłami pełnymi ubrań, grzejącymi się na ogniu, albo przeciskali habity koszule przez prasę. Zerkali na nas ciekawie, kiedy zdejmowaliśmy z siebie ciężkie płaszcze, bo zaczęliśmy się obficie pocić. Mark chwycił się stołu ciężko oddychał. Zbladł bardzo, aż się przestraszyłem, czy nie zemdleje, ale po chwili kolory wróciły mu na twarz. Ja także miałem nogi jak z waty, kiedy obracałem się do brata Hugh podrygującego nerwowo zaciskającego dłonie.

— Och, panie komisarzu, chwała Jezusowi, że wyszedł w porę.

Skłonił się, wymawiając imię naszego Pana, pozostali także.

— Jesteśmy bratu bardzo wdzięczni. Wszelako nie powinniście trzymać tu tych psów, mogą kogoś zabić.

— Kiedy one tu wszystkich znają, wasza miłość. Poderwały się, bo zobaczyły obcych, za przeproszeniem waszej miłości. Opat kazał je tu trzymać, póki śnieg nie stopnieje.

Otarłem pot z czoła.

— Dobrze więc, bracie prowizorze. Powiedzcie mi, wy jesteście odpowiedzialni za pralnię?

— Tak. Co mogę dla pana komisarza zrobić? Opat kazał nam jaśnie wielmożnemu panu służyć pomocą kiedy tylko możemy. Słyszałem, że ktoś się utopił w stawie.

Jego zaczerwienione oczy przepełniała ciekawość.

— Przeor ogłosi to w stosownym czasie. Ja przyszedłem zadać wam kilka pytań. Macie tu stół?

Zaprowadził nas w kąt izby, z dala od pozostałych. Dałem Markowi znak, aby wyjął ubranie zakrystiana, wskazałem palcem odznakę.

— Brat Gabriel twierdzi, że kilka tygodni temu zginął jego habit. Pamiętacie to?

Przyznaję, miałem nadzieję, że zaprzeczy, lecz on pospiesznie skinął głową.

— O tak, panie komisarzu. Wszędzieśmy go szukali, przetrząsnęliśmy każdy kąt. Szafarz bardzo się gniewa, kiedy giną rzeczy, dlatego prowadzę księgę. — Zniknął w kłębach pary po chwili wrócił z księgą. — Widzicie? Tu jest wpis, że przyszedł do prania, a tu, że zgłoszono zaginięcie.

Przyjrzałem się dacie. Trzy dni przed zabójstwem Singletona.

— Gdzie się znalazł, panie komisarzu? — spytał.

— Nieważne. Kto mógł mieć sposobność, aby go ukraść?

— Przez cały dzień tu pracujemy. W nocy pralnię zamykamy, ale...

— Ale co?

— Jakiś czas temu zginęły nam klucze. Mój pomocnik bywa, że tak powiem, trochę nieuważny. — Uśmiechnął się nerwowo dotknął narośli na swojej twarzy. — Bracie Łukę, chodź tutaj.

Wymieniliśmy z Markiem spojrzenia, kiedy podszedł do nas potężnie zbudowany, niespełna trzydziestoletni mnich. Miał rude włosy, grube rysy gburowaty wyraz twarzy.

- Słucham, bracie?
- Zgubiłeś dwa komplety kluczy, od kiedy u mnie pracujesz, prawda?
- Wypadają z kieszeni — burknął pochmurnie brat Luke.
- Owszem, jeśli się nie uważa — przytaknąłem. — Kiedy ostatnio je zgubiliście?
- Latem.
- A przedtem? Jak długo pracujecie w pralni? 318
- Cztery lata, panie. Ten pierwszy był kilka lat temu.
- Dziękuję, bracie Hugh. Chciałbym zamienić słowo z bratem Lukiem na osobności. Dokąd możemy pójść?

Lukę strzelał niespokojnie oczami na boki, kiedy brat Hugh, nieco rozczarowany, wprowadził nas do przedsionka, gdzie suszyły się ubrania. Spojrzałem surowo na młodego zakonnika.

- Czy wiecie, co znaleźliśmy w stawie?
- Mówią, że nieboszczyka.
- Kobietę. Sądzymy, że jest to młoda niewiasta, zwana Sierotką. Doszły mnie słuchy, żeście ją napastowali.

Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Raptownie upadł na kolana grubymi, czerwonymi palcami chwycił mnie za rąbek szaty.

- Ja tego nie zrobiłem, panie. Jenó z nią trochę figlowałem, nic więcej! Nie ja jeden! To była wszetecznicą, skusiła mnie!
- Puść mnie! Patrz mi w oczy!

Podniósł głowę, nie wstając z klęczek, spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczami. Pochyliłem się nad nim.

- Żądam prawdy. Na twe życie. Kusiła cię czyś ty ją napastował?
- Była... była... niewiastą, panie. Sam jej widok wodził na pokuszenie! Wszędziem ją miał przed oczami, nie mogłem przestać o niej myśleć. Szatan postawił ją na mojej drodze, aby mnie kusić. Ale się przyznał, wypowiadałem się!
- Nic mnie nie obchodzą twoje spowiedzi. Dręczyłeś ją nawet po tym, jak opat cię upomniął, tak czy nie? Brat Guy musiał iść na skargę drugi raz!
- Ale potem nic już nie zrobiłem! Opat zagroził, że mnie wyrzuci. Na krew Chrystusa, przysięgam, zostawiłem ją potem w spokoju! Na Jego świętą krew!

- Czy opat nie oddał twojej sprawy w ręce przeora?
- Nie, bo przeor...
- Tak? Co chciałeś rzec, chłopcze?
- On... on był winien tego samego występku szafarz • tako samo.
- Rozumiem. Jeszcze ktoś? Kto jeszcze uczynił jej życie takim żalnym?
- Nie wiem, panie. Przysięgam, przysięgam, że po ostrzeżeniu opata nigdy więcej nie zbliżył się do infirmerii. Na Przenajświętszą Panią...
- Na Przenajświętszą Panią? — prychnął. — Wątpię, czy nawet ona byłaby bezpieczna przed takimi jak ty, gdyby wróciła na ziemię. Precz z moich oczu!

Patrzyłem za nim gniewnie, kiedy dźwignął się z klęczek umknął do pralni.

- Przeraziłeś go do szcztu, wasza miłość — powiedział Mark, szczerząc zęby z zadowoleniem.
- Nietrudno przestraszyć takich tchórzliwych chamów. Przeor szafarz, co? Patrz, tu są drzwi, możemy tędy ominąć psy.

Wyszliśmy z powrotem na podwórzec. Czułem się wycieńczony, teraz znów ja musiałem oprzeć się na chwilę o mur. Odwróciłem się, słysząc gwar rozmów.

- Na miłość boską, co tam się znowu dzieje?

Ludzie przystawali, aby się przyjrzeć procesji zmierzającej w stronę bramy. Dwaj zakonnicy nieśli posąg świętego Donatusa w rzymskich szatach; święty miał dłonie splecione przed sobą nabożny wyraz twarzy. Za nimi szedł jałmużnik, wysoki brat Jude, ze skórzaną torbą. Na końcu kroczył sam szafarz w zimowym płaszczu nałożonym na habit rękawicach. Podeszli pod furtę, gdzie Bugge czekał, aby otworzyć bramę.

- Dzień jałmużny — orzekł Mark.

Zanim doszliśmy do bramy, Bugge już ją otworzył. Na zewnątrz czekał tłum ludzi wpatrzonych w posąg świętego Donatusa, który dwaj służący podnieśli do wysokości ramion. Brat Jude podniósł torbę zawołał:

- Patrzcie! Oto posąg waszego dobroczyńcy, świętego czczonego Donatusa umęczonego przez pogan! W imię jegoniezmierzonej dobroci rozdajemy tę jałmużnę. Módlcie się doń o odpuszczenie grzechów!

Przepchnęliśmy się przez tłum gapiów. Przed bramą, na śniegu zgromadziło się czterdzieścioro lub pięćdziesięcioro dorosłych — starych wdów, żebraków, kalek, niektórych odzianych w łachmany fioletowych na twarzy z zimna. Oddzielna grupka dzieci o buziach barwy serwatki mrowiła się wokół pulchnej sylwetki pani Stumpe. Smród był przeraźliwy od tego tłumu mimo mroźnego dnia. Po słowach mnicha morze nieszczęśników, którzy brnęli tu z miasta przez śnieżne zasy, skłoniło się przeżegnało. Zakonnik przerwał, kiedy nagle zjawił się u jego boku.

- Co wy wyprawiacie? — warknąłem.
- Ja., ja rozdaję jałmużnę...
- Każecie tym biednym duszom czcić drewniany kloc?

Przydreptał do nas brat Edwig.

- To jeno dla upamiętnienia d-dobroci świętego, panie komisarzu.
- Kazał im modlić się do posągu! Sam słyszałem. Zabrać stąd tę rzeźbę, natychmiast!

Mnisi opuścili posąg czym prędzej oddalili się z nim ku klasztorowi. Brat Jude, całkiem ogłupiały, dał znak służącym, aby przyniesiono kosze. Niektórzy ludzie z miasta uśmiechali się z zadowoleniem.

Jałmużnik jeszcze raz zawołał drżącym głosem:

- Podejdźcie bliżej po datki strawę.
- Nie przepychać się! — krzyczał Bugge, kiedy nędzarze jęli podchodzić jeden po drugim.

Każdy dostawał maleńką srebrną ćwierćpensówkę — najdrobniejszą monetą w królestwie — coś do jedzenia z koszyka. Były tam jabłka, bochenki chleba, cieniutkie plasterki bekonu.

Brat Edwig stał przy moim boku.

- N-nie chcieliśmy nic złego, kiedy wynosiliśmy świętego Donatusa. To stary obyczaj, zapomnieliśmy całkiem, co on znaczy. N-naprawimy to, panie komisarzu.— Lepiej, żeby tak było.
- R-rozdajemy jałmużnę co miesiąc. Mamy to zapisane w akcie założycielskim. Gdyby nie my, ci ludzie na oczy nie w-widzieliby mięsa.
- Przy waszych dochodach spodziewałbym się, że przeznaczacie więcej funduszy na dobroczynność.

Twarz szafarza pociemniała niespodziewanie od gniewu.

- Lord Cromwell rozdałby wszystkie nasze pieniądze swojej świcie popleczników. To się nazywa dobroczynność?

Wyrzucił z siebie te słowa bez zająknięcia, potem odwrócił się odszedł szybkim krokiem. Tłum przyglądał mi się ciekawie, podczas gdy mnisi rozdawali dalej ochłapy jedzenia, a torba z monetami brzęczała stopniowo pustoszała.

Westchnąłem. Żałowałem, że gniew na całe to widowisko wziął nade mną górę teraz wszyscy się dowiedzą, że w klasztorze wizytował królewski komisarz. Wyczerpał mnie bardzo ten wybuch. Podszedłem do pani Stumpe, która stała z dziećmi przy drodze czekała, aż skończą przyjmować jałmużnę dorośli. Ukłoniła mi się.

- Dzień dobry, jaśnie wielmożny panie.
- Proszę was na bok na słówko.

Odeszliśmy nieco dalej, aby dzieci nas nie słyszały. Kobieta patrzyła na mnie ciekawie.

— Chciałbym, aby pani obejrzała ten przedmiot powiedziała, czy go rozpoznaje.

Odwróciwszy się plecami do tłumu, wyjąłem z kieszeni srebrny łańcuszek, który zdjąłem z szyi utopionej dziewczyny. Pani Stumpe chwyciła go z okrzykiem.

— Święty Krzysztof! Dałam go Sierotce, kiedy tu szła na służbę. Znaleźliście ją, panie...?

Urwała, widząc moją minę.

— Przykro mi — rzekłem najłagodniej, jak umiałem. — Znalazłem go na zwłokach, które wyłowiliśmy dziś rano ze stawu rybnego.

Spodziewałem się łez, lecz ku memu zdziwieniu niewiasta zacisnęła jeno dłonie w pięści.

— Jak zginęła?

— Złamano jej kark. Boleję nad tym.

— Wiecie, kto to zrobił, panie? Kto to był?

Głos się jej załamał zmienił w skrzypiący pisk. Dzieci oglądały się niespokojnie na swoją opiekunkę.

— Proszę, nie tutaj. Na razie nie chcę, aby ta wiadomość się rozeszła. Dowiem się, kto to uczynił, obiecuję.

— Pomścicie ją, panie, na miłość boską, pomścicie ją. Głos ją zawiódł do reszty w końcu rozplakała się cicho.

Ująłem ją łagodnie za ramię.

— Proszę na razie nikomu nie mówić o tym ani słowa. Powiadomię sędziego Copyngera. O, dorośli już skończyli. Weźcie się w garść, dobra kobieto.

Rozdano ostatnie datki dla dorosłych rzędek ludzi wracał w stronę-miasta — czarne sylwetki w łachmanach niczym kruki stąpające po lśniąco białym śniegu. Pani Stumpe skinęła mi szybko głową, wzięła głęboki oddech powiodła dzieci w stronę jałmużnika. Wróciłem do Marka stojącego przy bramie. Bałem się, czy kobieta się znowu nie rozklei, ale usłyszałem, jak pewnym głosem zachęca dzieci, aby podchodziły po datki. Brat Edwig zniknął.

Rozdział dwudziesty drugi

Po cichu wszedłem do pogrążonego w mroku kościoła zamknąłem za sobą wielkie drzwi. Za ścianą tęczową migotały świece, wewnątrz świątyni wypełniały głosy mnichów śpiewających psalmy. Odprawiano właśnie nieszpory.

Skończywszy rozmawiać z panią Stumpe, wysłałem Marka do opata z poleceniem, aby brat Gabriel nie opuszczał klasztoru aby natychmiast zarządziło oczyszczenie grobu Singletona. Chciałem również, aby do rana spuszczone wodę ze stawu. Markowi nie w smak było wydawanie poleceń

opatowi, ale mu rzekłem, że jeśli chce coś w świecie osiągnąć, musi sobie radzić z ludźmi piastującymi wysokie stanowiska. Poszedł bez dalszych dyskusji, ale znowu trochę nadęty.

Spędziłem nieco czasu w naszej izbie, albowiem musiałem spokojnie pomyśleć. Usiadłem przed kominkiem, podczas gdy na dworze zapadał zmrok. Byłem tak zmęczony, że po chwili zacząłem zasypiać przed ciepłym, strzelającym płomieniem. Wstałem ochlapałem twarz wodą.

Srogo mnie rozczarowało, że brat Hugh potwierdził w pralni zaginięcie habitu brata Gabriela, wierzyłem bowiem, że w końcu udało mi się znaleźć winowajcę. Nadal żywiłem przekonanie, że zakrystian coś ukrywa. Przypomniało mi się, co powiedział Mark, z pewnością słusznie: brat Gabriel nie miał w sobienic z brutalnego barbarzyńcy, którym musiał być nasz morderca. „Barbarzyńca” — gdzie ja słyszałem to określenie? Przypomniałem sobie: tak pani Stumpe nazwała Mortimusa.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonów, mnisi przez godzinę będą teraz na mszy. To okazja, rzekłem sobie, aby pójść w ślady Singletona zrobić to, co dawno powinienem był przedsięwziąć: przeszukać izbę rachunkową pod nieobecność szafarza. Pomimo zmęczenia dręczącego niepokoju uprzytomniłem sobie, że czuję się znacznie lepiej, bardziej rześki mniej niemrawy umysłowo. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk mikstury, którą dostałem od brata Guya.

Cichutko szedłem ciemną nawą niezauważony przez zakonników śpiewających w chórze. Patrzyłem między kolumnami ozdobnego kamienia zaprojektowanymi tak, aby dawały świeckim wiernym biorącym udział w nabożeństwie wrażenie tajemniczego kuszącego obrzędu odprawiającego się po drugiej stronie ściany tęczowej.

Brat Gabriel dyrygował bez reszty pochłonięty muzyką. Trudno było nie podziwiać kunsztu, z jakim przewodził mnichom śpiewającym psalmy, ich głosy wznosiły się opadały harmonijnie, a oczy przeskakiwały to na jego dyrygujące dłonie, to na książeczki mszalne leżące na pulpitych. Obecny był również opat, w blasku świec zauważyłem jego nachmurzoną twarz. Przypomniało mi się jego ostatnie, wyszeptane w rozpaczy słowo: „Rozwiązanie”. Przyglądając się dalej kongregacji mnichów, dostrzegłem brata Guya, ku memu zdziwieniu, brata Jerome'a stojącego w białym habicie obok infirmarza. Jego biały habit kontrastował ostro z benedyktyńską czernią. Najwyraźniej wypuszczali go z celi na msze. Kiedy tak patrzyłem, brat Guy pochylił się przewrócił kartę w śpiewniku kalekiego kartuza. Uśmiechnął się, a brat Jerome kiwnął mu z podziękowaniem głową. Przyszło mi do głowy, że ascetyczny infirmarz ze swą żarliwą religijnością może być jedną z niewielu osób w Scarnsea, które kartuz akceptował. Może się przyjaźnili? Nie wyglądało na to, kiedy się natknąłem na brata Guya\*

opatrującego Jerome'owi rany w jego celi. Przeniósłem wzrok na Mortimusa zauważyłem, że przeor nie śpiewa, jeno wpatruje się martwo w jakiś punkt przed sobą. Przypomniało mi się, jaki był przerażony rozgniewany, kiedy zobaczył znalezione zwłoki dziewczyny. Brat Edwig dla odmiany śpiewał z wielkim zapalem, stojąc między Athelstanem swym drugim, starszym asystentem.

— Który z nich? — szepnąłem sam do siebie. — Boże, wspomóż mój mizerny rozum. — Nie poczułem w odpowiedzi żadnego natchnienia. W tamtych dniach miałem wrażenie, że Bóg nie słucha moich modlitw. — Błagam cię, aby nikt już więcej nie zginął.

Pomodliwszy się, wstałem wyszedłem z kościoła.

Dziedziniec z krużgankami był opustoszały, kiedy wkładałem klucz z napisem „Finanse” w zamek drzwi do izby rachunkowej. Wzdrygnąłem się od zimnego, wilgotnego powietrza opatuliłem szczelniej płaszczem. Pomieszczenie wyglądało tak samo jak poprzednio: biurka, półki z księgami rachunkowymi, skrzynia pod przeciwległą ścianą. Na stole została zapalona świeca, więc ją wziąłem podszedłem do skrzyni. Wybrałem następny klucz uniosłem wieko. Wnętrze podzielone było na półeczki z woreczkami, na których wypisano nominały monet oraz zawartą sumę. Wyjąłem mieszki ze złotymi aniołami, półaniołami noblami. Zajrzałem do kilku na chybił trafił, przeliczyłem porównałem z wypisaną sumą. Wszystko się zgadzało, podobnie jak całkowita kwota ze skrzyni z liczbą wykazaną w księgach. Zamknąłem wieko. Zawartość skrzyni nie różniła się zbytnio od przeciętnych kapitałów posiadanych zwykle przez inne klasztory w Anglii.

Wziąłem znowu świecę do ręki otworzyłem drzwi na schody. Przystanąłem. Skrzydło izby rachunkowej było nieco wyższe niż pozostałe zabudowania w świetle dziennym z okna widać było nie tylko cały dziedziniec, ale też staw rybny, a nawet bagna za murem. Zastanawiałem się, czy dłoń złodzieja spoczywa również na dnie jeziora. Miałem się tego dowiedzieć nazajutrz.

Otworzyłem drzwi do prywatnego sanktuarium szafarza. Postawiłem świecę na biurku jałem przeglądać księgi poustawiane na półkach maleńkiej izby bez okien. Były to zwyczajne księgi rachunkowe z poprzednich lat. Na biurku panował nienaganny porządek — papiery pióra leżały poukładane z geometryczną pedanterią. Brat Edwig robił wrażenie człowieka ogarniętego obsesją na punkcie ładu dokładności.

W biurku znajdowały się dwie głębokie szuflady. Wypróbowałem kolejne klucze, aż w końcu trafiłem na właściwy, który otwierał obydwie. W pierwszej znalazłem kilka książek po łacinie, między innymi Summa Contra Gentiles Summa Theologiae Tomasza z Akwinu. Popatrzyłem na nie z niesmakiem, jak widać szafarz miał upodobanie do zdyskredytowanej scholastyki włoskiego świętego. Oburzał mnie sam pomysł, aby za pomocą logiki udowodnić istnienie Boga, którego przecie tylko wiarą można poznać. Mogłem sobie jednak wyobrazić, że suche sylogizmy Akwinaty przemawiały do jałowego umysłu brata Edwiga.

Odłożyłem księgi na miejsce zajrzałem do drugiej szuflady. Leżały w niej jedna na drugiej kolejne księgi rachunkowe. Uśmiechnąłem się z ponurą satysfakcją: wszystkie miały niebieskie oprawy. „Dziękuję ci, Alice”, mruknąłem pod nosem. Trzy lub cztery księgi wyglądały jak ta, którą mi dał: zapisane szacunkowymi wyliczeniami prognozami sprzed kilku lat. Jedna była zaplamiona winem, ale ku memu rozczarowaniu zawierała takie same zapiski. Wyciągnąłem ostatnią, również ze śladami po winie — widocznie szafarz pił kiedyś przy pracy rozlał cały dzban trunku. Musiało go rozgniewać, że ubrudził tak swe nieskazitelne księgi.

Ostatni wolumin zawierał notatki ze sprzedaży ziem w ciągu ostatnich pięciu lat. Serce zabiło mi szybciej po całym ciele przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Położyłem tom na stole

drżącą dłonią przysunąłem sobie bliżej świecę, pokaszując od dymu. Przyglądałem się szczegółom sprzedanych terenów, nazwiskom kupców, cenom datom przybicia pieczęci na dokumentach. Odszukałem ostatnie transakcje. Wedle informacji, które miałem przed oczami, w zeszłym roku czterokrotnie dokonano dużej sprzedaży nie zostało to odnotowane w księgach rachunkowych klasztoru. Łącznie opiewały na monstrualną sumę prawie tysiąca funtów. Kupcem jednej z działek,

największej, był krewny brata Jerome'a. Wydąłem policzki. Musiałem mieć przed sobą księgę, którą znalazł Singleton.

Po krótkim namyśle wziąłem kartkę pióro szybko spisałem wszystkie dane dotyczące owych transakcji. Copynger zapewne będzie mógł potwierdzić, czy do tych transakcji rzeczywiście doszło. Koniec z kłamstwami o przewidywaniach prognozach — tym razem przedstawię bratu Edwigowi niezbite dowody.

Odłożyłem księgi na miejsce dumając, ruszyłem do wyjścia. Czyżby więc szafarz opat, który wszak ma w sw. ej opiece pieczęć klasztoru, byli zamieszani w oszustwo finansowe? Musieli przecie wiedzieć, że jeśli opactwo zostanie zamknięte jego majątek przejmie sąd do spraw likwidowanych klasztorów, oszustwa wyjdą na jaw. A może Edwig potajemnie posłużył się pieczęcią bez wiedzy opata? Nie byłoby to trudne. A co się stało z pieniędzmi? Dochód z tych czterech sprzedaży zapełniłby do połowy drugą taką skrzynię. Przystanąłem cały czas rozmyślając, przyglądałem się grzbietom starych ksiąg rachunkowych stojących na półkach ściennych.

Nagle coś przykuło mój wzrok. Płomień świecy zadrgał gwałtownie. Skądś za moimi plecami dochodził ciąg powietrza — ktoś otworzył drzwi. Odwróciłem się powoli. W progu stał brat Edwig wytrzeszczał na mnie oczy. Rzucił szybko okiem na swoje biurko, a ja ucieszyłem się w duchu, że zamknąłem z powrotem szuflady na klucz. Złożył dłonie wnętrzem do siebie rzekł:

- N-nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Przestraszyliście mnie, panie komisarzu.
- Dziwi mnie, że brat nie krzyknął.
- B-byłem za bardzo zaskoczony.
- Wolno mi wchodzić, gdzie chcę. Postanowiłem przejrzeć księgi rachunkowe, które stoją w waszym gabinecie na półkach. Dopiero co zacząłem.

Czy mógł mnie widzieć przy biurku? Nie, gdyby tak było, poczułbym przeciąg wcześniej.

- Obawiam się, że to tylko stare rachunki.
- Właśnie widzę.
- Cieszę się, że was spotykam, panie komisarzu — powiedział z tym swoim przelotnym, pozbawionym wesołości uśmiechem. — Ch-chciałem was przeprosić za swój poranny wybuch. Byłem bardzo zdenerwowany z powodu przerwanej ceremonii. Proszę, abyście raczyli puścić w niepamięć słowa wypowiedziane w bezrozumnym zapale.

Odłożyłem księgę skinąłem głową.

- Wiem, że wielu myśli tak samo jak wy, nawet jeśli tego nie mówi. Ale mylicie się, pieniądze ze zlikwidowanych opactw wpływają do królewskiego skarbcza posłużą dobru państwa.
- Doprawdy?
- Uważacie, że nie?



— W tych czasach, kiedy wszystkich ludzi zżera chciwość? Czyż nie powiedziano, że nigdy dotąd pożądlivość nie była tak zażarcie krytykowana tak ponętna? Przyjaciela króla będą się dopraszać o hojne dary, a kto zażąda rozrachunku od króla?

— Bóg. On złożył dobro poddanych w ręce monarchy.

— Ale król inne sprawy uważa za ważniejsze — spierał się Edwig. — Proszę, nie zrozumcie mnie źle, panie komisarzu. Nie krytykuję króla Henryka.

— To by zaiste było nieroztropne.

— -mówię o królach w ogólności. Wiem, jak potrafią szastać pieniędzmi. Widziałem na własne oczy, jak się je trwoni, na wojsko na przykład.

Oczy błyszcząły mu z ożywienia jak nigdy przedtem, zapłonął dziwnym, niespodziewanym zapałem do rozmowy, który uczynił go bardziej ludzkim.

— Naprawdę? — zachęciłem go. — Gdzież to brat widział?

— Mój ojciec był w wojsku płatnikiem. Dzieciństwo spędziłem, ciągnąc za armią ucząc się jego fachu. Razem z wojskiem króla Henryka brałem udział w wojnie z Francją dwadzieścia lat temu.

— Wtedy gdy król hiszpański obiecał nam pomoc zdradził?

Szafarz kiwnął głową.

— A wszystko dla chwały podboju. Widziałem, jak wojsko maszerowało przez Francję: łupiło wszystko, co napotkało na drodze. Byłem dzieckiem, kiedy patrzyłem na zielone trupy żołnierzy rozłożone rzędami w obozie, na jeńców wieszanych w b-bramach. Brałem udział w oblężeniu Therouanne.

— Wojna to straszna rzecz — zgodziłem się. — Chociaż niektórzy uważają ją za szlachetne rzemiosło.

Edwig skinął żywo głową.

— A między rannymi chodzili księża, dawali ostatnie namaszczenia, próbowali ratować to, co ludzie rozdarli na strzepy. Wtenczas postanowiłem zostać zakonnikiem, oddać swe umiejętności rachmistrzowskie w służbę kościołowi. — Uśmiechnął się tym razem jego uśmiech był żywy, chociaż cierpki. — Ludzie mówią, że jestem skąpy, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

— Dla mnie każdy grosik, który trafia do szkatuły kościoła, jest zwycięstwem Boga nad grzesznym światem. Potraficie to zrozumieć? Każdy grosik wesprze modlitwy miłosierdzie. Musimy rozdawać jałmużnę ze względu na naszą wiarę.

— A król rozdaje z wyboru? Czyż może tego nie robić?

— Tak. A pieniądze, które dostajemy na msze za zmarłych, są miłe Bogu, gdyż pomagają duszom czyścicowym, a darującemu zyskują zasługę w niebie.

— Znów mowa o czyścucu. Wierzycie w czyściec?

Skinął energicznie głowę.

— On istnieje, panie komisarzu. Ludzie go lekceważą ze strachu przed bólem, który ich czeka. Ale czyż to nie brzmi rozumnie, że Bóg kładzie na szale nasze zasługi grzechy przeprowadza bilans tak jak ja w moich księgach?

— Więc Bóg jest wielkim rachmistrzem?

Szafarz skinął głowę.

— Największym. Czyściec istnieje, leży tuż pod naszymi stopami. Nie słyszeliście o wielkich wulkanach we Włoszech, gdzie ogień czyścicowy wypływa na powierzchnię?

— Boicie się czyścica?

Powoli skinął głowę.

— Uważam, że wszyscy powinniśmy się bać. — Przerwał, opamiętał się popatrzył na mnie uważnie. — Proszę, wybaczone mi, panie komisarzu, ale Artykuły Wiary nie zaprzeczają istnieniu czyścica.

— To prawda. To, co powiedzieliście, jest dozwolone. I wielce interesujące. Czy jednak nie dawaliście przypadkiem do zrozumienia, że król nie postępuje odpowiedzialnie jako głowa Kościoła?

— Mówiłem, że mam na myśli królów w ogólności. I mówiłem o Kościele, nie o papieżu. Z całym szacunkiem, ale moje poglądy nie są herezją.

— Dobrze. Powiedzcie mi, bracie szafarzu, czy ze swym doświadczeniem w armii potrafilibyście władać mieczem?

— Takim jak ten, którym zabito komisarza Singletona?

Uniosłem brwi.

— Domyśliłem się, że takim narzędziem popełniono tę zbrodnię, gdy tylko po powrocie usłyszałem, jak wyglądały zwłoki. Widziałem w młodości ludzi, którym obcięto głowy. Ale wyrzekłem się tego świata, kiedym osiągnął wiek męski. Dość się do tego czasu naoglądałem krwi.

— Jednak życie mnicha ma swoje uciążliwości, nieprawdaż? Na przykład ślub celibatu musi być niezmiernie dotkliwy.

— Znów mowa o czyścucu. Wierzycie w czyściec?

Skinął energicznie głowę.

— On istnieje, panie komisarzu. Ludzie go lekceważą ze strachu przed bólem, który ich czeka. Ale czyż to nie brzmi rozumnie, że Bóg kładzie na szale nasze zasługi grzechy przeprowadza bilans tak jak ja w moich księgach?

— Więc Bóg jest wielkim rachmistrzem?

Szafarz skinął głową.

— Największym. Czyściec istnieje, leży tuż pod naszymi stopami. Nie słyszeliście o wielkich wulkanach we Włoszech, gdzie ogień czyścowy wypływa na powierzchnię?

— Boicie się czyścica?

Powoli skinął głową.

— Uważam, że wszyscy powinniśmy się bać. — Przerwał, opamiętał się popatrzył na mnie uważnie. — Proszę, wybaczyć mi, panie komisarzu, ale Artykuły Wiary nie zaprzeczają istnieniu czyścica.

— To prawda. To, co powiedzieliście, jest dozwolone. I wielce interesujące. Czy jednak nie dawaliście przypadkiem do zrozumienia, że król nie postępuje odpowiedzialnie jako głowa Kościoła?

— Mówiłem, że mam na myśli królów w ogólności. I mówiłem o Kościele, nie o papieżu. Z całym szacunkiem, ale moje poglądy nie są herezją.

— Dobrze. Powiedźcie mi, bracie szafarzu, czy ze swym doświadczeniem w armii potrafilibyście władać mieczem?

— Takim jak ten, którym zabito komisarza Singletona?

Uniosłem brwi.

— Domyśliłem się, że takim narzędziem popełniono tę zbrodnię, gdy tylko po powrocie usłyszałem, jak wyglądały zwłoki. Widziałem w młodości ludzi, którym obcięto głowy. Ale wyrzekłem się tego świata, kiedym osiągnął wiek męski. Dość się do tego czasu naoglądałem krwi.

— Jednak życie mnicha ma swoje uciążliwości, nieprawdaż? Na przykład ślub celibatu musi być niezmiernie dotkliwy.\*

W tym momencie brat Edwig jakby stracił całą pewność siebie.

— C-co chcecie powiedzieć, panie komisarzu?

— Prowadzę teraz śledztwo nie tylko w sprawie śmierci komisarza Singletona, lecz także pewnej młodej niewiasty.

Powiedziałem mu, czyje zwłoki wyłowiliśmy ze stawu.

— Pańskie imię wymieniono pośród kilku osób, które zachowywały się wobec niej niestosownie.

Usiadł przy biurku spuścił głowę, tak że nie mogłem widzieć jego twarzy.

— Celibat jest ciężką próbą — rzekł cicho. — Proszę nie myśleć, że jak niektórzy lubuję się w popędach, które mnie nachodzą. Nienawidzę tych szatańskich namiętności. Burzą gmach pobożnego życia, który wznosimy z takim trudem. P-przynaję, zem pożądał tej dziewczki. Jestem nieśmiałym człowiekiem, za każdym razem, k-kiedy mnie odprawiła szorstko, odchodziłem. Ale wracałem. Czułem, że mnie kusi, tak jak pragnienie chwały kusi wojowników.

- Ona was kusiała?
- Musiało tak być, wszak była niewiastą, a po co niewiasty chodzą po tej ziemi, jak nie na pokuszenie mężczyzn? — Wziął głęboki oddech. — Czy... czy ona się zabiła?
- Nie. Ktoś jej złamał kark.

Szafarz potrząsnął głową.

- N-nie powinno się było jej wpuszczać do klasztoru. Kobiety są narzędziem diabła.
- Bracie Edwigu — rzekłem spokojnie. — Możesz nazywać siebie nieśmiałym, ja jednak uważam, że jesteś jednym z najbardziej nieugiętych ludzi w tym przybytku. Teraz cię zostawię, masz bowiem rachunki do przeprowadzenia.

■u\*

Stałem czas jakiś na podeście schodów zbierałem myśli. Jeszcze niedawno byłem pewien, że zabójstwa dokonał Gabriel targany nieznośnymi namiętnościami. Tymczasem jeśli księga,

którą znalazłem w biurku, była tą samą, którą odkrył Singleton, to Edwig miał oczywisty motyw do zabicia mego poprzednika. Dwie rzeczy wszakże się nie zgadzały: ktoś, kto zamordował komisarza, uczynił to z wielką pasją, a chociaż szafarz był zapewne oszustem, nie dostrzegałem w nim żadnej pasji z wyjątkiem tej do liczb pieniędzy. Poza tym nie było go w Scarnsea tamtej nocy.

Odwracałem się właśnie do schodów, kiedy mój wzrok ściągnęły błyski na bagnach. Dwa migoczące żółte światełka zdawały się mrugać daleko w głębi mokradeł. Po raz drugi naszła mnie refleksja, że z czterech nielegalnych transakcji zebrałoby się pół skrzyni złota. I przypomniało mi się coś jeszcze: że kiedym wyszedł na bagna, spotkałem brata Edwiga. A wszak jeśli chciało się potajemnie przenieść złoto, to któż by mógł się lepiej do tego nadać jak nie prawdziwi przemytnicy? Wstrzymałem oddech pospieszyłem do infirmerii.

W infirmeryjnej kuchence siedziała Alice obcinała korzenie jakichś ziół. W pierwszej chwili spojrzała na mnie bardzo nieprzyjaźnie, dopiero po chwili zmusiła się do uśmiechu.

- Przygotowujesz miksturę dla brata Guya?
- Tak, panie.
- Czy pan Poer wrócił?
- Jest w waszej izbie, panie.

Zasmuciła mnie ta nieskrywana nieprzyjaźń wyniosłe obejście. Zatem Mark musiał jej powiedzieć o moim przykazaniu.

- Byłem w izbie rachunkowej. Z górnego okna zauważyłem światła na bagnach. Zastanawiam się, czy przemytnicy nie wznowili swojej działalności.
- Nie wiem, panie.

— Mówiłaś panu Poerowi, że mogłabyś nas przeprowadzić ścieżkami przez bagna.— Tak, panie — odrzekła ostrożnie.

— Chciałbym tam pójść. Czy możesz mi jutro towarzyszyć?

— Mam obowiązki wobec brata Guya — odparła niechętnie.

— A jeśli z nim porozmawiam?

— Jak sobie życzycie, panie.

— Chciałbym również porozmawiać z tobą o kilku sprawach. Alice, wiesz, że jestem ci życzliwy.

Odwróciła wzrok.

— Jeśli brat Guy uzna, że powinnam wam towarzyszyć, panie, to oczywiście pójdę.

— Zapytam go — odparłem równie chłodno.

Zły urażony szedłem korytarzem w stronę naszej izby. Mark ponuro wyglądał przez okno.

— Poprosiłem Alice, aby pokazała mi ścieżki na bagnach — oznajmiłem bez żadnych wstępów.

— Przed chwilą widziałem tam światła. Rozmawiała ze mną nadąsana, wnioskuje więc, żeś jej powiedział o moim zakazie.

— Powiedziałem, że uważa pan za niestosowne, abym z nią przestawał.

Zdjąłem płaszcz usiadłem ciężko na krześle.

— Bo tak jest — potwierdziłem. — Czy przekazałeś opatowi moje polecenia?

— Grób komisarza Singletona zostanie oczyszczony jutro z samego rana, a potem spuszczą wodę ze stawu.

— Chciałbym, żebyś był przy tym. Ja pójdę z Alice na bagna. A zanim powiesz coś, czego mógłbyś potem żałować, dodam, że muszę zbadać ścieżki na mokradłach, ponieważ przemytnicy mogą mieć coś wspólnego z naszym śledztwem. Potem udam się do miasta, do sędziego Copenyngera.

Opowiedziałem mu, co znalazłem w biurze szafarza.

— Chciałbym wrócić między zwyczajnych ludzi — powiedział, unikając mego wzroku. — Wszędzie, gdzie się pan zwróci w tym miejscu, znajduje pan łotra lub złodzieja.

— Czy zastanawiałeś się, jak cię prosiłem, nad tym, co zrobisz po powrocie do Londynu?— Nie, wasza miłość. — Wzruszył ramionami. — Tam również łotrów złodziejów nie brakuje.

— Więc może powinieneś zamieszkać na drzewie, między ptakami, abyś się nie zbrukał, obcując z przyziemnym światem — rzekłem szorstko. — A teraz napiję się jeszcze trochę tej cudownej mikstury od brata Guya pośpię do kolacji. Jak sięgam pamięcią, chyba nie miałem takiego długiego ciężkiego dnia.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tego wieczoru przy wieczerzy w refektarzu panował ponury nastrój. Opat wezwał braci, aby przestrzegali nakazu milczenia podczas posiłku zalecił modlitwę za duszę, jak się wyraził, nieznaną osobę, której szczątki znaleziono w stawie. Zakonnicy siedzieli przy stołach niespokojni raz po raz rzucali lękliwe spojrzenia w moim kierunku. Myślę, że właśnie tamtego dnia nieuchronność likwidacji klasztoru zaczęła powoli docierać do powszechnej świadomości.

W milczeniu wracaliśmy z Markiem do infirmerii. Obaj byliśmy bardzo zmęczeni, ale w zachowaniu mego podopiecznego wyczułem ten sam dystans, który przejawiał, od kiedy zabroniłem mu załatwić do Alice. W izbie usiadłem od razu na swym wyściełanym fotelu, Mark zaś jął podkładać drewno do ognia. Opowiedziałem mu o swojej rozmowie z bratem Edwigiem. Do tej pory jeszcze huczało mi w głowie po tym spotkaniu.

— Jutro rano każę Copyngerowi zająć się dochodzeniem w tej sprawie, pojutrze powinniśmy mieć jakąś odpowiedź. Jeśli choć jedna z tych transakcji się potwierdzi, to przyłapiemy Edwiga na oszustwie. A to mu daje poważny motyw do morderstwa.

Mark usiadł naprzeciwko mnie na poduszkach z twarzą 336

Rozdział dwudziesty trzeci

Tego wieczoru przy wieczerzy w refektarzu panował ponury nastrój. Opat wezwał braci, aby przestrzegali nakazu milczenia podczas posiłku zalecił modlitwę za duszę, jak się wyraził, nieznaną osobę, której szczątki znaleziono w stawie. Zakonnicy siedzieli przy stołach niespokojni raz po raz rzucali lękliwe spojrzenia w moim kierunku. Myślę, że właśnie tamtego dnia nieuchronność likwidacji klasztoru zaczęła powoli docierać do powszechnej świadomości.

W milczeniu wracaliśmy z Markiem do infirmerii. Obaj byliśmy bardzo zmęczeni, ale w zachowaniu mego podopiecznego wyczułem ten sam dystans, który przejawiał, od kiedy zabroniłem mu załatwić do Alice. W izbie usiadłem od razu na swym wyściełanym fotelu, Mark zaś jął podkładać drewno do ognia. Opowiedziałem mu o swojej rozmowie z bratem Edwigiem. Do tej pory jeszcze huczało mi w głowie po tym spotkaniu.

— Jutro rano każę Copyngerowi zająć się dochodzeniem w tej sprawie, pojutrze powinniśmy mieć jakąś odpowiedź. Jeśli choć jedna z tych transakcji się potwierdzi, to przyłapiemy Edwiga na oszustwie. A to mu daje poważny motyw do morderstwa.

Mark usiadł naprzeciwko mnie na poduszkach z twarzą

ożywioną zainteresowaniem. Pomimo naszych kłótni on również za wszelką cenę chciał złapać mordercę. Pragnąłem przetestować swoje rozumowanie na jego młodym umyśle, ponadto miło było znów usłyszeć jego rozentuzjasmowany głos.

— Wasza miłość, za każdym razem wracamy do tej samej kwestii: nie było go w klasztorze, kiedy popełniono zbrodnię, ani wtedy, gdy komisarz Singleton znalazł księgę.

— Wiem. Tylko Athelstan o tym wiedział zarzekał się, że nikomu nie mówił.

— Czy Athelstan mógłby być mordercą?

— Odciąć człowiekowi głowę? Królewskiemu komisarzowi? Nie. Pamiętajsz, jaki był przerażony, kiedy przyszedł mi zaoferować swoje donosicielskie usługi? Nie, Athelstan nie miałby dość odwagi, aby rzucić wyzwanie nawet myszy.

— Czy to nie jest przypadkiem emocjonalne podejście do śledztwa?

Usłyszałem nutę sarkazmu w jego głosie.

— Dobrze, niech będzie. Może trochę przesadziłem, tworząc logiczną konstrukcję z oskarżeniem brata Gabriela. Tylko że to wszystko tak zgrabnie do siebie pasowało. Owszem, musimy brać pod uwagę naszą ocenę ludzkiego charakteru, a Athelstan jest słaby, to widać na pierwszy rzut oka.

Poza tym czemu miałoby go obchodzić, czy brat Edwig pójdzie na szafot albo nawet czy zamkną klasztor. Nie należy do zbyt pobożnych mnichów.

I skąd by wziął ten miecz? Szkoda, że nie mogę prześledzić historii tego oręża. W Londynie prawdopodobnie odnalazłbym jego twórcę po sygnaturze na ostrzu. Ale przez ten śnieg tkwimy tu jak w pułapce.

— Wasza miłość, a jeśli to Singleton powiedział komuś, co znalazł w rachunkowości, oni postanowili go zabić? Na przykład opat? Jego pieczęć znajdowała się na aktach sprzedaży.

— Tak, pieczęć, która leży na samym wierzchu biurka której każdy może użyć pod jego nieobecność.

— Zatem przeor Mortimus? Jest człowiekiem bezwzględ-

nym, pasuje na mordercę. Czyż nie powiadają tu, że on brat Edwig rządzi klasztorem?

— Ci dwaj jako wspólnicy oszustwa? Ciekawe. Muszę dostać odpowiedź od Copyngera. — Westchnąłem. — Ile czasu minęło od naszego wyjazdu z Londynu? Tydzień? Mam wrażenie, jakbyśmy siedzieli tu całą wieczność.

— Jeno sześć dni.

— Szkoda, że nie mamy czasu, aby pojechać do domu. Nawet wysłanie wiadomości w tę pogodę potrwałoby kilka dni. Niech to zaraza, czy to się nigdy nie skończy?

— Na to wygląda.

Wkrótce potem Mark ułożył się na swej wysuwanej pryczy wjechał pod moje łóżko. Ja siedziałem nadal na fotelu patrzyłem na stertę płonących polan. Przez okno, które na nowo pokrywało się szronem, słychać było bicie dzwonów wzywające na kompletę. Bez względu na to, jakie koszmary rozgrywały się w tym świętym przybytku, nabożeństwa odprawiano z niezmienną regularnością.

Pomyślałem o lordzie Cromwellu, który czekał w Londynie na moją odpowiedź. Wkrótce będę musiał wysłać jakąś wiadomość, nawet jeśli nie pozostanie mi do napisania nic poza tym, że nie odkryłem prawdy, a mam za to dwa dodatkowe morderstwa do wyjaśnienia. Już sobie wyobrażałem jego rozsztoszczone oblicze, jego przekleństwa podejrzenia, czy nadal jestem tak samo lojalny jak kiedyś. Jeśli tylko Copynger potwierdzi przeprowadzone transakcje sprzedaży ziemi, będę mógł aresztować

brata Edwiga za oszustwo. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak go przesłuchuję w więzieniu w Scarnsea, skutego łańcuchami w jakiejś ciemnej norze, uprzytomniłem sobie, że ta myśl sprawia mi przyjemność. Zaniepokoiło mnie to, jałem rozmyślać, jak łatwo niechęć do człowieka wizja zdobytej nad nim przewagi mogą zwieść umysł na niepożądane ścieżki.

Zaczęły mnie dręczyć wyrzuty sumienia, a to od razu skierowało me myśli ku Markowi Alice. Czy rzeczywiście powody, dla których zabroniłem mu kontaktów z dziewczyną, były tak niewinne, jakem utrzymywał? Oczywiście wszystko, co mu rzekłem o różnicy pochodzenia jego zobowiązaniach wobec rodziny, było prawdą wierzyłem w to święcie. Mimo to czułem, że toczy mnie robak zazdrości. Stał mi przed oczami obraz tych dwojga splecionych w czułym objęciu zacisnąłem mocno oczy, aby nie oglądać drugiego widoku, jaki zamajaczył mi przed oczyma wyobraźni — Alice obejmującej mnie zamiast niego. I przez cały czas słyszałem oddech Marka, pogłębiający się stopniowo, w miarę jak zasypiał.

Modliłem się, aby Bóg pokierował moimi uczynkami na ścieżkę prawdy sprawiedliwości, taką, jaką podążałby Chrystus. Potem musiałem zasnąć, bo pamiętam jeno, że poderwałem się raptownie popatrzyłem w puste palenisko. Musiało minąć kilka godzin, bo plecy bolały mnie okropnie, a zimno przejmowało do szpiku kości. Obolały podniosłem się z krzesła, rozebrałem ciężko powlokłem do łóżka.

Zasnąłem natychmiast głęboko zbudziłem się nazajutrz rano bardziej wypoczęty niż przez cały ostatni tydzień. Lekarstwo brata Guya doskonale mi służyło. Po śniadaniu napisałem list do sędziego Copyngera dałem go Markowi.

Zanieś go do Scarnsea. Zapytaj Copyngera, czy może mi jutro dostarczyć odpowiedź.

— Myślałem, że wasza miłość chce się z nim spotkać osobiście.

— Chcę iść na bagna, póki pogoda się utrzymuje. — Spojrzałem na niebo ciemniejące od chmur.

— Powiedz opatowi, że mogą uprzętnąć grób po twoim powrocie. Czy zaczęli już przygotowania do osuszenia stawu?

— Mają zbiornik ściekowy, do którego mogą skierować

wodę ze strumienia. Wygląda na to, że wybierają muł co jakieś dziesięć lat.

— Kiedy robili to ostatnio?

— Trzy lata temu.

— A więc zwłoki mogłyby tam leżeć nieruszane jeszcze przez kilka lat, ale nie wieczność.

— Może morderca musiał się ich jak najszybciej pozbyć?

— Tak. A potem trudno je było z powrotem wydobyć.

— Nie ma już potrzeby przeszukiwać kościoła.

— Na razie nie. Pierwej osuszmy staw. Czeka cię pracowity dzień — dodałem, starając się poprawić mu nieco nastrój, ale moje usiłowania sprawiły, że jeszcze bardziej zamknął się w sobie.



— Tak, wasza miłość — rzekł cicho wyszedł.

Przejrzałem kolejną partię korespondencji, którą przysłał mi

opat, po czym poszedłem odszukać Alice. Na myśl o tym, że ją zobaczę, czułem podniecenie zdenerwowanie niczym go-łowąs jakiś. Brat Guy powiedział mi, że rozwiesza zioła w suszarni niebawem będzie wolna, wyszedłem więc na dwór sprawdzić, jak się zapowiada pogoda. Chmury utrzymywały się wysoko, miałem nadzieję, że na razie nie będzie padać. Trząśłem się już od tego nieustającego mrozu.

Moją uwagę ściągnęły czyjeś uniesione głosy. Zobaczyłem przy bramie dwie mocujące się postaci: jedną ubraną na czarno, drugą na biało. Pospieszyłem w tamtym kierunku. Przeor Mortimus trzymał brata Jerome'a w mocnym uścisku usiłował mu wyrwać dokument, który ten dzierżył w dłoni nie chciał puścić. Pomimo kalectwa kartuz walczył z szaleńczą determinacją. Nieco z boku Bugge trzymał za kołnierz młodego chłopaka, który wił się szarpał.

— Dawaj to, psubracie! — warknął przeor.

Jerome próbował wcisnąć sobie dokument do ust, ale Mortimus podciął stopą jego zdrową nogę kartuz runął plecami na śnieg. Przeor wyciągnął rękę, wyrwał mu papier z ręki wstał, dysząc ciężko.)

— Co to za tumult? — spytałem.

Zanim Mortimus zdążył odpowiedzieć, Jerome dźwignął się na łokciu splunął na niego. Ślina przylgnęła do habitu przeora, który krzyknął z obrzydzenia kopnął kartuza w żebra. Starzec krzyknął, przewrócił się na plecy leżał, jęcząc zwijając się w śniegu. Przeor wyciągnął do mnie dłoń z listem.

— Proszę, panie komisarzu. Przyłapałem go, kiedy próbował przemycić to poza klasztor.

Wziąłem pismo przeczytałem:

— Adresowane do sir Thomasa Seymoura!

— Czy to nie członek rady królewskiej?

— Owszem, a także brat zmarłej królowej.

Zerknąwszy na Jerome'a, który cały czas leżał w śniegu

typał na nas niczym wściekła bestia, otworzyłem list. Lodowate ciarki przebiegły mi po krzyżu, kiedy go czytałem. Jego autor pisał do Seymoura jako swego kuzyna, utyskiwał na uwięzienie w klasztorze pełnym zepsucia, gdzie zamordowano królewskiego komisarza, a także twierdził, że doradca króla powinien poznać prawdę o niegodziwościach lorda Cromwella. Następnie opisywał swe spotkanie w więzieniu z Markiem Smeatonem tortury, jakimi wikariusz generalny poddał nadwornego muzyka.

Trzymają mnie teraz w zamknięciu na polecenie innego z komisarzy Cromwella, ponurego garbusa. Opowiadam Ci tę historię, abyś mógł ją wykorzystać przeciwko Cromwellowi, temu narzędziu Antychrysta. Ludzie go nienawidzą zniechęcą go jeszcze bardziej, kiedy dowiedzą się o tych wypadkach.

Zgniotłem papier w rękę.

— Jak on się wydostał?

— Zniknął po prymie, więc poszedłem go szukać. W tym czasie pod bramę przyszedł ten chłopak z przytułku powiedział,

że ma zabrać wiadomość od jednego z mnichów. Nasz furtian jest podejrzliwy, więc nie wpuścił dzieciaka do środka.

Na to Bugge pokiwał z zadowoleniem głową jeszcze mocniej ścisnął wyrostka za kołnier. Chłopak przestał się wyrywać patrzył przerażony osłupiały na leżącego w śniegu Jerome'a.

— Kto cię tu przysłał? — spytałem.

— Służący z klasztoru przyniósł wiadomość, panie — odpowiedział chłopak drżącym głosem. — Prosił, żebym zabrał list do wysłania.

— Znalazłem to przy nim — powiedział Bugge.

Otworzył wolną dłoń, w której trzymał złoty pierścień.

— To twój? — spytałem kartuza.

Jerome odwrócił głowę w bok.

— Co to był za służący, chłopcze? Odpowiadaj, boś jest w poważnych tarapatach.

— Pan Grindstaff, z kuchni, wielmożny panie. Pierścień miał być na zapłatę dla mnie za powóz pocztowy do Londynu.

— Grindstaff! — prychnął przeor. — Znosi Jerome'owi jedzenie, zawsze był przeciwnikiem reform. Jeszcze dzisiaj wyrzucę go na bruk. Chyba że chcecie zastosować ostrzejsze środki, panie komisarzu.

Pokręciłem głową.

— Dopilnujcie, żeby Jerome siedział cały czas pod kluczem. Nie powinien wychodzić nawet na msze. Patrzcie, co z tego wynikło! — Odwróciłem się do Bugge'a. — Wypuście chłopca.

Bugge zaciągnął malca pod bramę trzepnąwszy po uchu, wypchnął go na drogę.

— Ty, wstawaj! — warknął Mortimus do kartuza.

Jerome jął się gramolić na nogi, ale nie dał rady znów przewrócił się w śnieg.

— Nie mogę, ty gburze.

— Pomóżcie mu — rzekłem do Bugge'a. — Zamknąć go w celi na klucz.

Furtian pociągnął kartuza do góry dość brutalnie powiódł go w stronę dormitoriiów.

— Cromwell ma wielu wrogów! — krzyknął do mnie Jerome przez ramię. — Wkrótce nadejdzie jego sprawiedliwy koniec!

Odwróciłem się do przeora.

— Czy macie tu gabinet, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

Powiódł mnie przez wewnętrzny dziedziniec do ciepłej izby

z ogniem płonącym w kominku. Na biurku zarzuconym papierami stał dzban z winem Mortimus napętnił nam obu kielichy.

— Czy to pierwszy raz Jerome zniknął po mszy?

— Tak. Nie spuszczaamy go z oka.

— Czy mógł już przedtem wysłać list poza mury klasztoru?

— Od czasu kiedy został zamknięty, znaczy od waszego przyjazdu, na pewno nie. Ale wcześniej mógł.

Skinąłem głową, gryząc paznokiec.

— Od tej pory trzeba go obserwować jeszcze baczniej. Ten list to bardzo poważna sprawa. Powinienem niezwłocznie powiadomić o nim lorda Cromwella.

Przeor spojrzał na mnie bystro.

— Czy moglibyście wspomnieć również, że pewien zakonnik, wierny królowi, udaremnił mu wysłanie listu?

— Zobaczymy. — Spojrzałem nań chłodno. — Nie o tym jednak chciałem z wami rozmawiać, tylko o Sierotce Stonegarden.

Mortimus powoli skinął głową.

— A tak, słyszałem, że o to wypytujecie.

— A więc? W tej sprawie padło między innymi wasze imię.

Wzruszył ramionami.

— Nawet ludzie długo żyjący w celibacie czasami nabierają wigoru. To była gładka dziewczka. Nie przeczę, próbowałem ją skłonić, żeby ze mną pofiglowała.

— Wy, którzy odpowiadacie za dyscyplinę w tym klasztorze jeszcze wczoraj mówiliście mi, że tylko ona chroni świat przed chaosem?

|

|

Poruszył się niespokojnie na krześle.

— Pofikać z gorącą dziewczką to co innego niż te niezdrowe zapędy, którym oddają się mnisi między sobą—odparł ostro. — Nie jestem doskonały, nikt nie jest, poza świętymi, a to nie wszystkimi.

— Są tacy, którzy rzekliby, że to słowa hipokryty.

— Och, dajcie spokój, panie komisarzu, czyż każdy mężczyzna nie jest hipokrytą? Nie życzyłem jej źle. Odprawiła mnie szybko, a ten zboczeniec Aleksander poszedł ze skargą do opata. Było mi jej potem szkoda — dodał cicho — snuła się po tych korytarzach jak widmo. Ale nigdy więcej z nią nie gadał.

— Czy ktoś ją wziął przemocą? Wiecie coś o tym? Pani Stumpe uważa, że tak.

— Nie. — Twarz mu pociemniała. — Nie wierzę w to. — Wypuścił powietrze z przeciągłym odgłosem. — Przykro było ją widzieć wczoraj... Od razu ją poznałem.

— Pani Stumpe również. — Splotłem ramiona na piersi. — Zdziwiają mnie wasze subtelne uczucia, bracie 'przeorze. Trudno uwierzyć, że ten sam człowiek pół godziny temu kopał kalekę.

— Ciężki jest los mężczyzny na tym padole, a zakonnika najcięższy. Bóg nałożył nań zobowiązania, a do tego musi się opierać zaciekłym pokusom. Kobiety to co innego, zasługują na spokojne życie, jeśli się stosownie zachowują. Sierotka była dobrą dziewczyną, nie to co ta bezczelna sekutnica, która teraz pracuje u Guya.

— Jak słyszałem, jej również się naprzykrzaliście. Przeor milczał przez chwilę.

— Nie byłem wobec niej brutalny. Znacząco wobec Sierotki. Kiedy mi odmówiła, nie naciskałem więcej.

— Ale inni tak. Na przykład brat Luke. — Przerwałem. — Brat Edwig.

— A tak, na nich też Aleksander naskarżył. Ale jego własne grzechy, dużo sroższe, rychło się na nim zemściły — dodał

złośliwie. — Opat rozmówił się z bratem Lukiem Edwigowi kazał zostawić dziewczkę w spokoju. Mnie również. Nieczęsto wydaje mi rozkazy, ale wtedy to uczynił.

— Słyszałem, że wy brat Edwig właściwie rządzą klasztorem.

— Ktoś musi. Opata Fabiana bardziej zaprzętają polowania z miejscowymi wielmożami. Obaj z szafarzem zajmujemy się przyziemnymi sprawami, dzięki którym ten klasztor działa.

Zastanawiałem się, czy nie napomknąć czegoś o finansach zakonu sprzedaży ziemi, aby zobaczyć, jak zareaguje, ale uznałem, że lepiej nie płoszyć ptaszków, póki nie będę miał niepodważalnych dowodów.

— Wiecie, tak naprawdę nigdy nie wierzyłem, że uciekła ze skradzionymi kielichami — rzekł cicho.

— Ale powiedzieliście pani Stumpe, że tak właśnie było.

— Bo tak to wyglądało tego kazał nam się trzymać opat Fabian. Bardzo go to poruszyło. Mam nadzieję, że dowiecie się, kto jej to zrobił — dodał ponuro. — A jak się dowiecie, to ja chętnie z nim pogawędzę w cztery oczy.

Spojrzałem na jego oblicze przejęte świętym oburzeniem.

— Domyślam się, że znaleźlibyście w tym przyjemność — zauważyłem lodowato. — A teraz proszę mi wybaczyć, ale jestem spóźniony na spotkanie.

■

Alice czekała w kuchni infirmerii. Na nogach miała już duże kalosze, a obok na krześle leżał stary wełniany płaszcz.

— Powinnaś wdziać coś cieplejszego niż to — rzekłem. — Jest bardzo mroźno.

— Wystarczy — powiedziała, opatulając się starannie. — Ten płaszcz należał do mojej mamy ogrzewał ją przez trzydzieści zim.

Ruszyliśmy w stronę bramy w tylnej części muru drogą, którą przebyliśmy poprzedniego dnia z Markiem. Stropiło mnie nieco, kiedy zauważyłem, że Alice jest o dobry cal wyższa odemnie. Większość mężczyzn mnie przerasta, a to z powodu moich pochylonych pleców, ale niewiastom zwykle mogę patrzeć w oczy. Zastanawiałem się, co takiego miała w sobie ta dziewczyna, co tak bardzo pociągało mnie Marka, albowiem nie była klasyczną piękną, skromną bladolicą. Mnie jednak nigdy się nie podobały uśmiechnięte głupawo, mizdrzące się jasnowłose pannice, zawsze pragnąłem raczej jakiegoś iskrzenia między dwoma silnymi duchami. Na samą tę myśl serce podskoczyło mi żywo w piersi.

Minęliśmy grób Singletona, który nadal wyróżniał się brązowo na tle otaczającej bieli. Alice zachowywała się z taką samą powściągliwością dystansem jak Mark. Rozgniewała mnie ta milcząca arogancja, aż się zacząłem zastanawiać, czy zmówili się na tę samą taktykę, czy też każdemu przyszła ona naturalnie. Z drugiej jednak strony skąpe są sposoby, jakimi może człek wyrażać niezadowolenie wobec osób dzierżących władzę.

Kiedy szliśmy przez sad, gdzie stado wygłodniałych wron krakało między nagimi gałęziami drzew, próbowałem nawiązać rozmowę. Zapytałem, jak jej się udało przeżyć dzieciństwo w pobliżu takich mokradł.

— Niedaleko naszego domu mieszkali dwaj chłopcy, bracia Noel James. Często się razem bawiliśmy. Ich rodzina od pokoleń trudniła się rybołówstwem, chłopcy znali każdą ścieżkę przez bagna, każdy szczegół, który pozwalał odnaleźć twardy grunt w morzu grzęzawisk. Ich ojciec był nie tylko rybakiem, ale przemysłowikiem. Nikt z nich już dzisiaj nie żyje, pięć lat temu ich statek zatonął podczas wielkiego sztormu.

— Przykro mi.

— Wszyscy rybacy muszą się z tym liczyć. — Odwróciła się do mnie, a w jej głosie zapłonęła iskra ożywienia. — Jeśli ludzie wywożą do Francji tkaniny, a sprowadzają z powrotem wino, to tylko dlatego, że są biedni.

— Nie zamierzam ścigać przemytników, Alice. Chcę jeno sprawdzić, czy tą drogą nie przeniesiono pieniędzy, których nie wykazały klasztorne księgi, a także skradzionej relikwii. Mijając staw rybny, zauważyłem w oddali kilku służących pracujących pod nadzorem mnicha przy małej śluzie w strumieniu. Zwróciłem uwagę, że woda w stawie już nieco opadła.

— Brat Guy powiedział mi o tamtej nieszczęsnej dziewczynie — rzekła Alice, owijając się ciasniej płaszczem. — Podobno pełniła tę samą funkcję co ja.

— Tak, ale biedaczka nie miała tu żadnych przyjaciół poza Simonem Whelplayem. Ty masz wokół siebie ludzi, którzy cię będą strzegli. — Zauważyłem w jej oczach niepokój uśmiechnąłem się pokrępiąco. — Chodź, widać już bramę. Ja mam klucz.

Przeszliśmy przez furtkę. Znów patrzyłem na biały przestwór bagien, leniwy nurt rzeki w oddali niewielkie wzgórze z ruinami mniej więcej w połowie odległości.

— Kiedy przyszedłem tu pierwszy raz, o mało się nie utopiłem. Jesteś pewna, że to bezpieczne? Nie wiem, jak można tu znaleźć drogę, kiedy wszystko jest przykryte śniegiem.

Wyciągnęła rękę.

— Widzicie te wysokie kępy trzciny, panie? Chodzi o to, żeby widzieć je cały czas z tej samej odległości. Między obszarami bagien są tu miejsca twardego gruntu układ rosnących trzciny służy za drogowskaz. — Zrobiła krok wybadała stopą grunt. — Śnieg tworzy zamrażającą warstwę, musicie uważać, panie, żeby noga nie wpadła wam do środka.

— Wiem, bo tak właśnie stało się poprzednio. — Stałem niepewnie na brzegu uśmiechałem się nerwowo. — Masz w rękach życie królewskiego komisarza, dziewczyno.

— Będę uważać, panie.

Przeszła kilka razy po ścieżce tam z powrotem, szukając najlepszej drogi, po czym przykazawszy mi, abym stawał stopy dokładnie w jej śladach, ruszyła w głąb bagniska.

Alice prowadziła powoli, lecz pewnie, zatrzymując się często, aby zorientować się w położeniu. Przynajmniej, że z początku serce waliło mi jak młot. Odległość, jaką przebyliśmy od muru

klasztornego, rosła z trwogą myślałem, że gdyby jedno z nas zapadło się w bagnisko, drugie nie zdołałoby mu pomóc. Alice jednak nie wykazywała oznak zaniepokojenia. Niekiedy, gdy przystawałem na ścieżce utworzonej przez jej ślady, czułem pod nogami twardego gruntu, innym razem zaś z rozmiękłej ziemi przesączała się oleista, czarna woda, by wypełnić zagłębienia po naszych stopach. Wydawało się, że posuwaliśmy się niezmiernie powoli, więc zdziwiłem się niemało, kiedy podniósłszy wzrok, stwierdziłem, że do wzgórza z kamiennymi ruinami zostało nam jakieś pięćdziesiąt kroków. Alice przystanąła.

— Musimy wejść na wzgórze, stamtąd druga ścieżka wiedzie ku rzece, ale jest bardziej niebezpieczna.

— Na razie wejdźmy przynajmniej na górę.

Kilka chwil później staliśmy na pewnym gruncie. Pagórek wznosił się zaledwie kilka stóp nad wodę, ale rozpościerał się stąd doskonały widok zarówno na klasztor, jak na szarą, nieruchomą rzekę. W oddali widać było morze, a ostry wiatr przyganiał w powietrzu słony zapach.

— Zatem tędy przemytnicy przenoszą towary?

— Tak, panie. Kilka lat temu celnicy z Rye ścigali ich aż tutaj, ale zgubili drogę. Dwóch ludzi utopiło się w ciągu kilku sekund, znikli bez śladu.

Podążyłem za jej wzrokiem na białą równinę zadrzałem. Potem rozejrzałem się po wzgórzu. Było mniejsze, niż sobie wyobrażałem, a ruiny budowli zdążyły zamienić się w stertę gładów. Jeden budynek, jakkolwiek bez dachu, uchował się w lepszym stanie, w środku znalazłem krąg gołej ziemi pokryty popiołem.

— Ktoś tu był bardzo niedawno — stwierdziłem, przewracając popiół.

Obmacałem laską ziemię wokół ogniska z nikłą nadzieją, że odkryję miejsce, gdzie zakopano relikwiarz lub skrzynię ze złotem, ale niczego ciekawego nie znalazłem. Alice stała przyglądała mi się w milczeniu.

• -

Wróciłem do niej, rozglądając się.

— Musiało się tu ciężko żyć pierwszym zakonnikom. Ciekawym, czemu się osiedlili akurat tutaj. Czyżby szukali bezpiecznego schronienia?

— Podobno te mokradła powstawały stopniowo, kiedy ujście rzeki coraz bardziej się zamulało. Może w tamtych czasach nie było tu jeszcze bagien, tylko zwyczajne wzniesienie nieopodal rzeki.

Nie wydawała się jednak nadmiernie zainteresowana tą kwestią.

— Byłby z tego krajobrazu ciekawy temat do obrazu. Wiesz, że w wolnym czasie maluję?

— Widziałam jeno malowidła na szybach w kościele. Mają bardzo ładne kolory, ale postaci zawsze wyglądają jakoś nieprawdziwie.

Skinąłem głową.

— To dlatego, że mają złe proporcje, poza tym brakuje im perspektywy, właściwych odległości. W dzisiejszych czasach malarze "starają się przedstawiać rzeczy takie, jakie są, aby odzwierciedlić rzeczywistość.

— Doprawdy? — Głos miała nadal chłodny daleki.

Strzepnąłem śnieg ze starego, kamiennego muru usiadłem.

— Alice, chciałbym z tobą porozmawiać. O panu Poerze.

Spojrzała na mnie ponuro.

— Wiem, że Mark się tobą bardzo interesuje, wierzę, że ma czyste intencje.

W mgnieniu oka się ożywiła.

— Więc czemu zabraniaacie mu się ze mną widywać?

— Ojciec Marka jest zarządcą w majątku mego ojca. Nie znaczy to, że mój ojciec jest bogaty, ale miałem to szczęście, że udało mi się wspiąć po drabinie prawa aż na stanowisko w służbie samego lorda Cromwella. — Sądziłem, że zrobi to na niej wrażenie, ale jej wyraz twarzy się nie zmienił. — Mój ojciec przyrzekł rodzicom Marka, że dopomogę chłopcu zajść w Londynie jak najdalej. Udało mi się. Nie była to jeno moja

zasługa, jego bystry umysł, dobre maniere uczciwość zyskały mu przychylność. — Zakasiałem delikatnie. — Niestety, sytuacja nieco się skomplikowała, Mark musiał odejść z zajmowanego stanowiska...

— Och, słyszałam o tej dworze. Mark mi opowiedział.

— Hm, doprawdy? Czyż nie rozumiesz zatem, że misja, z którą tu przyjechaliśmy, jest dla niego ostatnią szansą, aby wrócić do łask? Jeśli sprosta oczekiwaniom, może awansować, zapewnić sobie bezpieczną dostatnią przyszłość. Ale musi sobie znaleźć żonę o odpowiedniej pozycji społecznej. Alice, jesteś uroczą młodą niewiastą. Gdybyś była córką londyńskiego kupca, sprawa przedstawiałaby się inaczej. Cóż, gdyby tak było, kto wie, może miałabyś konkurenta nie tylko w Marku, ale we mnie.

Nie zamierzałem tego powiedzieć, te słowa wyrwały mi się same w nagłym przypiływie uczuć. Alice zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc. Czyżby naprawdę nie potrafiła tego pojąć? Wziąłem głęboki oddech.

— Jeśli Mark chce coś osiągnąć w świecie, nie może flirtować ze służącą. To okrutne, ale takie zasady obowiązują w społeczeństwie.

— W takim razie społeczeństwo jest podłe! — wybuchła nagłym, zimnym gniewem. — Od dawna tak uważam.

Wstałem.

— Bóg uczynił świat takim właśnie, ku naszym troskom czy radościom musimy w nim żyć. Czy chciałabyś stanąć Markowi na drodze do szczęścia, zaprzepaścić jego szansę na awans społeczny? Tak się stanie, jeśli będziesz go uwodzić.

— Nie zrobiłabym niczego, co by mu mogło stanąć na przeszkodzie — powiedziała z żarem. — Niczego niezgodnego z jego życzeniami.

— Sęk w tym, że jego własne życzenia również mogą mu stanąć na przeszkodzie.

— Może mi to sam powiedzieć. Jeno że trudno mu to uczynić, skoro nie wolno mu ze mną rozmawiać. — Zatem byłabyś gotowa zrujnować mu przyszłość? Naprawdę?

Popatrzyła na mnie uważnie z bliska, aż poczułem się nieswojo. Nigdy przedtem nie czułem się tak nieswojo pod spojrzeniem kobiety. W końcu westchnęła ciężko.



— Czasami mi się wydaje, że świat chce mi odebrać wszystkich, których kocham. Ale może taki jest los służącej — dodała gorzko.

— Mark wspominał mi, że miałaś narzeczonego, drwala, który zginął w wypadku.

— Gdyby nie zginął, żyłabym teraz spokojnie w Scarnsea miała zapewniony bezpieczny byt, bo panowie ziemscy nic ostatnio nie robią, jeno wycinają lasy. A tak utknęłam w tym okropnym miejscu.

Łzy błysnęły jej w kącikach oczu, ale wytarła je gniewnym ruchem. Miałem chęć przytulić ją pocieszyć, ale wiedziałem, że to nie moich objęć pragnęła.

— Przykro mi, Alice. W naturze świata leży, że często tracimy tych, których kochamy. Posłuchaj mnie uważnie, możliwe, że klasztor nie ma już przed sobą przyszłości. Czy chciałabyś, abym ci znalazł pracę z pomocą sędziego Copyngera? Możliwe, że spotkam się z nim jutro. Nie powinnaś tu dłużej pozostawać, dzieją się tu okropne rzeczy.

Otarła oczy popatrzyła na mnie dziwnym, pełnym uczucia wzrokiem.

— To prawda, nauczyłam się w tym miejscu, ile zła drzemie w ludzkiej naturze. To przerażająca rzecz.

Obraz owej sceny stoi mi przed oczami, kiedy piszę te słowa, dreszcz mnie przechodzi na wspomnienie tego, co się miało wydarzyć.

— Zatem pozwól, że pomogę ci się stąd wydostać.

— Trudno mi będzie okazać temu człowiekowi wdzięczność.

— Rozumiem, lecz raz jeszcze muszę powtórzyć, że taki jest ten świat.

— Boję się tego miejsca. Nawet Mark jest pełen obaw.

\*

— Wiem, ja również.

— Panie komisarzu, brat Guy powiedział, że w stawie znaleziono jeszcze inne rzeczy poza ciałem tej dziewczyny. Mogę zapytać, co to było?

— Jeno szata, która niestety nie naprowadziła nas na trop złoczyńcy, choć taką miałem nadzieję, miecz. Kazałem spuścić wodę ze stawu, aby zobaczyć, co się w nim jeszcze kryje.

— Miecz?

— Tak. Sądzę, że tym orężem zabito komisarza Singletona. Nosi znak, który pozwoliłby mi poznać jego historię, ale w tym celu musiałbym pojechać do Londynu.

— Nie jedźcie, panie, błagam — powiedziała z nagłym uczuciem. — Nie zostawiajcie nas. Proszę, wybaczcie mi, jeśli byłam wobec was zuchwałą opryskliwa, ale błagam, nie odjeżdżajcie. Jeno wasza obecność tutaj sprawia, że mogę się czuć bezpieczna.

— Obawiam się, że przeceniasz moją władzę — odparłem ponuro. — Nie zdołałem uratować Simona Whelplaya. Wszelako podróż do Londynu w tym śniegu zajęłaby mi tydzień, a tyle czasu nie mam.

Na jej obliczu odmalowała się wielka ulga. Odważyłem się schylić ku niej poklepać ją po ramieniu.

— Czuję się wzruszony, że pokładasz we mnie tyle wiary.

Alice cofnęła ramię, ale uśmiechnęła się.

— Może sami macie za mało wiary w siebie. Kto wie, w innych okolicznościach, gdyby nie było Marka...

Nie dokończyła zdania, spuściła skromnie głowę. Przyznaję, że serce dudniło mi w piersi. Czas jakiś staliśmy na pagórku w milczeniu.

— Myślę, że powinniśmy wrócić, zamiast przeprowiać się dalej ku rzece — rzekłem nareszcie. — Oczekuję wiadomości od sędziego. Alice, przyrzekam, że ci pomogę, ... dziękuję za to, co powiedziałaś.

— A ja dziękuję wam za pomoc.

Uśmiechnęła się przelotnie, po czym odwróciła się po-352

prowadziła nas w stronę klasztoru. Droga powrotna była łatwiejsza, wystarczyło iść po własnych śladach. Podążając za dziewczyną, patrzyłem na jej kark raz omal nie wyciągnąłem ręki, aby go dotknąć. Uprzytomniłem sobie, że nie tylko mnisi robili z siebie głupców nie oni jedni mogli łatwo zamienić się w hipokrytów.

Czułem się bardzo niezręcznie niewiele rozmawialiśmy w drodze powrotnej, ale było to cieplejsze przyjaźni ej sze milczenie niżli uprzednio. W sali chorych Alice oznajmiła, że czekają na nią pilne obowiązki, poszła. Brat Guy opatrywał nogę otyłego mnicha. Podniósł na mnie głowę.

— Już wróciliście? Wyglądacie na zmarzniętego.

— Bo jestem. Alice okazała mi dużą pomoc, jestem wdzięczny, że mogła mi towarzyszyć.

— Jak się wam teraz sypia?

— Znacznie lepiej dzięki miksturze, którą mi brat zalecił. Widzieliście może pana Poera?

— Minąłem go kilka minut temu. Szedł do waszej izby. Proszę brać miksturę jeszcze przez kilka dni! — zawołał za mną, kiedy wychodziłem.

Zastanawiałem się, czy powinienem powiedzieć Markowi o swojej rozmowie z Alice. Otworzyłem drzwi do naszej izby.

— Marku, byłem na... — urwałem, rozglądając się ze zdumieniem.

W pokoju nie było nikogo. Nagle skądś dobiegł mnie głos.

— Na pomoc, wasza miłość!

## Rozdział dwudziesty czwarty

— Na pomoc!

Styszałem wyraźną panikę w głosie, który jakby dobywał z pustej przestrzeni. Wtenczas spostrzegłem, że szafa została nieco odsunięta od ściany. Zajrzałem za nią w drewnianej boazerii ujrzałem drzwi. Z wielkim wysiłkiem odsunąłem szafę jeszcze dalej od ściany.

— Marku! Jesteś tam?

— Jestem tu zamknięty! Otwórzcie drzwi, wasza miłość! Szybko, bo on może lada chwila wrócić!

Przekręciłem starą, zardzewiałą rączkę. Usłyszałem kliknięcie przez otwarte drzwi wleciało do pokoju wilgotne, stęchłe powietrze, a z ciemności wyskoczył Mark, rozczochrany obsypany kurzem. Zajrzałem w ciemność za jego plecami, po czym przeniosłem wzrok z powrotem na niego.

— Na rany Chrystusa, co się stało? Kto może wrócić?

Młodzieniec sapał pokastywał.

— Zamknąłem za sobą drzwi, kiedy tam wszedłem, a potem zorientowałem się, że nie można ich otworzyć od środka. Znalazłem się w pułapce. Tu jest dziura do podglądania. Ktoś nas od dawna obserwował. Zobaczyłem, że przyszliście, zacząłem wołać.

— Opowiedz mi wszystko od początku.

Przynajmniej, pomyślałem, przestał stroić fochy. Usiadł na łóżku.

— Po waszym wyjściu poszedłem porozmawiać z przeorem

o osuszeniu stawu. Właśnie spuszczają wodę.

— Wiem, widziałem.

— Potem wróciłem do pokoju po kalosze. Kiedym je wkładał, usłyszałem znowu jakieś odgłosy.

— Popatrzył na mnie wyzywająco. — Wiedziałem, że mnie słuch nie myli.

— Masz uszy bystrzejsze niż rozum, skoro pozwoliłeś się tam zamknąć. Mów dalej.

— Za każdym razem te odgłosy dochodziły jakby z szafy. Postanowiłem ją odsunąć, żeby zobaczyć, co się za nią kryje,

i znalazłem te drzwi. Wszedłem do środka ze świecą. Tam wiedzie jakiś korytarz, chciałem zbadać, dokąd prowadzi. Zamknąłem drzwi, żeby ktoś za mną tu nie wszedł, ale kiedy to robiłem, podmuch powietrza zgasił mi świecę ostałem się w całkowitych ciemnościach. Pchałem drzwi ramieniem, ale nie chciały drgnąć. — Zarumienił się. — Do reszty straciłem ducha. Nie miałem nawet ze sobą miecza. Ale kiedy świeca zgasła, zobaczyłem świecący punkcik. Tam w ścianie jest otwór.

Wskazał niewielką dziurę w deskach. Wstałem, aby ją zbadać. Od środka wyglądała jak otwór po gwoździu.

— Jak długo siedziałeś tam zamknięty?

— Niezbyt długo. Chwała Bogu wróciliście po kilku minutach. Byliście na bagnach?

— Tak. Obozowali tam przemytnicy, znaleźliśmy ślady po ognisku. Rozmawiałem z Alice, ale o tym potem. — Zapaliłem dwie świece od ognia w kominku podałem mu jedną. — Zbadamy, dokąd wiedzie ten korytarz?

Wziął głęboki oddech.

— Tak, wasza miłość.

Zamknąłem nasz pokój na klucz, aby nikt niepowołany nie wszedł do środka, kiedy będziemy w tunelu, po czym wcisnęliśmy się za szafę otworzyliśmy tajemne drzwi. Za nimi ciągnął się ciemny, wąski korytarz.

— Brat Guy mówił, że kiedyś było przejście pomiędzy infirmerią a kuchnią — przypomniałem sobie. — Zamknięto je w czasach wielkiej zarazy.

— Tego przejścia używano całkiem niedawno.

— Tak. — W środku zobaczyłem światło wpadające przez otwór w ścianie. — Widać wszystko, co się dzieje w izbie. Tę dziurę wywiercono całkiem niedawno.

— Brat Guy wybrał dla nas pokój.

— Tak, w którym można nas było podglądać podsłuchiwać. — Obejrzałem drzwi. Zamykały się na zapadkę, którą otwierało się tylko z jednej strony. — Zabezpieczmy się tym razem, aby nie znaleźć się w pułapce.

Przymknąłem drzwi, ale w szczelinę wsunąłem chusteczkę, która blokowała je przed zatrzaśnięciem. Ruszyliśmy w głąb korytarza. Był dość wąski biegł równoległe do infirmerii, jedną jego ścianę tworzyły drewniane płyty sal chorych, drugą kamienny mur klasztoru. Na ścianach wisiały zardzewiałe resztki uchwytów na pochodnie. Wyraźnie od długiego czasu nie korzystano z tego przejścia — cuchnęło w nim wilgocią, a w kątach rosły dziwaczne, bulwiaste grzyby. Wkrótce korytarz skręcił w prawo, a następnie otworzył się na obszerne pomieszczenie. Podnieśliśmy wyżej świece, aby zobaczyć, gdzie się znaleźliśmy.

Staliśmy w kwadratowej celi więziennej pozbawionej okien. W jednym miejscu wisiały przykute do muru kajdany, a sterta zatęchłych szmat desek w kącie wskazywała, że stało tu kiedyś łóżko. Oświetliłem sobie ścianę. Wszędzie na kamiennych płytach widniały wydrapane napisy. Przeczytałem jeden rząd głęboko wydłubanych liter: Frater Petrus tristissimus. Anno 1339.

— „Brat Peter najsmutniejszy”. Ciekawym, co takiego uczynił.

— Tu jest wyjście — rzekł Mark, podchodząc do ciężkich drewnianych drzwi.

Schyliłem się do dziurki od klucza. Nie było przez nią widać światła po drugiej stronie. Przyłożyłem ucho do drzwi, ale niczego nie usłyszałem.

Powoli przekręciłem gałkę. Drzwi otworzyły się po cichu do wewnątrz; spostrzegłem, że ktoś niedawno naoliwił zawiasy. Trafiliśmy na kolejną szafę odsuniętą od drzwi na tyle, aby mógł się

tamtędy przecisnąć człowiek. Wyszliśmy na następny korytarz z podłogą z kamiennych płyt, a nieopodal zobaczyliśmy uchylone drzwi. Dochodził zza nich pomruk głosów brzęk naczyń.

— To przejście do kuchni — szepnąłem. — Wracajmy, szybko, zanim ktoś nas zauważy.

Wcisnąłem się za Markiem z powrotem do celi pokaszując od wilgotnego powietrza, schyliłem się, aby zamknąć drzwi. Nagle czyjaś dłoń zasłoniła mi usta, a druga nacisnęła na garb. Znieruchomiałem. Świece zgasty. Mark szepnął mi do ucha:

— Cicho, ktoś idzie!

Skinąłem głową, a wtedy on opuścił ręce. Niczego nie słyszałem — mój towarzysz miał zaiste słuch nietoperza. Chwilę później za zakrętem zobaczyłem blask świecy, a w nim postać odzianą w habit z kapturem na głowie. Zapadnięta, ciemna twarz patrzyła na celę więzienną. W migoczącym świetle brat Guy dojrzał nasze sylwetki wciśnięte w kąt komnaty aż podskoczył.

— Jezusie święty, co wy tu robicie?

Wystąpiłem do przodu.

— Możemy wam zadać to samo pytanie, bracie infirmarzu. Jak się tu dostaliście? Zamknęliśmy drzwi naszego pokoju na klucz.

— A ja je otworzyłem. Przyniesiono wiadomość, że woda ze stawu została spuszczone, przyszedłem was zawołać, ale nikt nie odpowiadał. Już widziałem was obydwu zamordowanych w izbie. Użyłem swojego klucza zobaczyłem za szafą otwarte drzwi.

— Pan Poer kilkakrotnie słyszał jakieś odgłosy za ścianą, a dziś rano znalazł te drzwi. Ktoś nas śledził, bracie infirmarzu. Daliście nam pokój z tajemnym przejściem ukrytym za szafą. Dlaczego? I czemu nam nie powiedzieliście, że przejście między infirmerią a kuchnią jest otwarte?

Mówiłem szorstko. Od przyjazdu traktowałem infirmarza jak sprzymierzeńca w tym nieprzyjaznym miejscu, a teraz przeklinałem się w duchu za to, że obdarzyłem zaufaniem kogoś, kto nadal był podejrzany.

Twarz mu stężała. Światło migotało niespokojnie na jego długim nosie szczupłym obliczu.

— Zapomniałem, że w waszym pokoju są drzwi do korytarza. Tego przejścia nie używano od dwustu lat.

— Użyto go dzisiaj rano! A wy daliście nam izbę, gdzie wystarczyło wyciąć otwór w ścianie, aby usłyszeć wszystko, o czym rozmawialiśmy!

— Nie tylko w tej izbie jest przejście — odrzekł spokojnie Guy. Patrzył na mnie bez mrugnięcia powieką, świeca nawet nie drgnęła w jego dłoni. — Nie zorientowaliście się, że ten korytarz biegnie obok wszystkich sal w infirmerii?

— Ale otwór jest tylko w naszej izbie. Czy wszystkich gości lokujecie w tym pokoju?

— Tych, którzy nie mieszkają u opata. Posłańcy urzędnicy z naszych majątków przyjeżdżają zwykle, aby rozmawiać o interesach.

Omiotłem ręką zawilgoconą celę.

— Co to za okropne miejsce, na Boga?

Infirmarz westchnął.

— Klasztorne więzienie. W dawnych czasach opaci wtrącali do więzienia zakonników, którzy popełnili ciężki grzech. Według prawa kanonicznego nadal mają taką władzę, lecz z niej nie korzystają.

— W istocie, trudno by się tego spodziewać w tych pobłażliwych czasach.

— Kilka miesięcy temu przeor Mortimus pytał, czy dawne więzienie jeszcze istnieje. Sugerował, że można by go używać dla karania niepoprawnych mnichów. Odpartem, że wedle mojej wiedzy, owszem, to miejsce nadal istnieje. Nie wchodziłem tu jednak od czasu, gdy obejmowałem funkcję infirmarza służący mi je pokazał. Sądziłem, że drzwi zostały zamurowane.

— Nie zostały. Więc mówi brat, że przeor wypytywał o to miejsce?

— Tak. — Głos mu ochłódł. — Byłbym skłonny podejrzewać, że pan komisarz pochwali te metody. Wikariusz generalny chciałby chyba, aby nasze życie było jak najcięższe najokrutniej sze.

Pozwoliłem, aby po tych słowach zapadła długa chwila milczenia.

— Bacz, co mówisz przy świadkach, bracie.

— Zaiste, żyjemy w świecie nowych dziwów, kiedy to król Anglii gotów jest wieszać ludzi za ich słowa — rzekł Guy, ale zaraz się opamiętał. — Przepraszam, panie komisarzu, ale wśród naszych mnichów panuje wielki lęk niepokój. Pragnę tylko żyć w pokoju, jak my wszyscy w tym przybytku.

— Nie wszyscy, bracie infirmarzu. Ktoś być może szedł tym korytarzem do kuchni, aby zamordować komisarza Singletona. Tó znaczy, że sprawca nie potrzebował klucza, aby się tu dostać. W istocie, w takich okolicznościach kuchnia okazuje się idealnym miejscem, gdzie zabójca mógł się umówić z nim na spotkanie, potem zacząć się zaatakować.

— Alice ja byliśmy całą noc na nogach, zajmowaliśmy się starym bratem Jamesem. Nikt nie mógłby przejść obok nas niezauważony.

Wyjąłem mu z ręki świecę podniosłem do jego oblicza.

— Ale wy mogliście to uczynić.

— Przysięgam na świętą krew naszego Pana, że nie zabiłem komisarza — powiedział żarliwie. — Jestem medykiem, przysięgałem chronić życie, a nie je odbierać.

— Kto jeszcze wie o tym korytarzu? Mówiliście, że przeor o niego pytał. Kiedy to było?

Przyłożył sobie dłoń do czoła.

— Poruszył tę sprawę na zebraniu dostojników. Byłem naś

nim ja, opat, przeor Mortimus, brat Edwig brat Gabriel, a także jałmużnik Jude prowizor Hugh. Przeor prawił jak zwykle o tym, że trzeba wzmocnić dyscyplinę. Powiedział, że słyszał opowieści o starej celi więziennej, która ponoć mieściła się za infirmerią. Zdaje się, że był to po części żart.

— Kto jeszcze mógł wiedzieć o tym przejściu?

— Nowicjuszom mówimy, że na terenie klasztoru ukryte jest stare więzienie. Robimy to, aby ich przestraszyć, wszelako wątpię, by ktokolwiek tak naprawdę wiedział, gdzie ono jest. Ja również o nim zapomniałem, dopóki w dniu przyjazdu nie zapytaliście mnie o to połączenie. Mówiłem już: sądziłem, że jest od lat zamknięte!

— Zatem zakonnicy wiedzieli, że istnieje. A wasz przyjaciel, brat Jerome?

Guy rozłożył ręce.

— Nie rozumiem, o czym mówicie. Nie jest mi przyjacielem.

— Widziałem, jak pomagaliście mu podczas mszy przerzucać stronicę w księżeczce do nabożeństwa.

Infirmarz pokręcił głową.

— Jest moim bratem w Chrystusie, w dodatku nieszczęsnym kaleką. Czy na to już przyszło, że pomoc okaleczonemu w odwracaniu stronic staje się przyczynkiem do oskarżenia? Miałem was za innego człowieka, komisarzu Shardlake.

— Szukam mordercy, bracie infirmarzu — rzekłem szorstko. — Wszyscy urzędnicy klasztorni są pod moją baczna obserwacją, wy również. Tak więc każda osoba obecna na tym zebraniu mogła sobie przypomnieć o istnieniu tego korytarza zacząć go szukać?

— Tak sądzę.

Raz jeszcze rozejrzałem się po ciemnej celi.

— Chodźmy stąd. Od tej wilgoci łamie mnie w kościach.

Wracaliśmy korytarzem w milczeniu. Brat Guy wyszedł do

izby pierwszy, ja się schyliłem, aby podnieść swoją chusteczkę, a wtedy zauważyłem coś migoczącego blado w świetle świecy. Poskrobałem kamienną płytę paznokciem.

— Co to jest? — spytał Mark.

Przysunąłem palec do oczu.

— Wielkie nieba, więc o to mu chodziło — szepnąłem. — Naturalnie, biblioteka!

— Co się stało?

— Później. — Wytarłem starannie palec w szatę. — Chodźmy, bo przemarzną do szpiku kości, zanim uda mi się w końcu dzisiaj usiąść przy ogniu.

Kiedy weszliśmy do izby, odprawiłem infirmarza, stanąłem przy kominku jąłem rozgrzewać sobie dłonie.

— Na Mękę Pańską, ależ tam było zimno.

— Zdziwiło mnie, kiedym usłyszał, jak brat Guy przemawia przeciwko wikariuszowi generalnemu.

— Przemawiał przeciwko polityce króla, ale musiałby krytykować głowę Kościoła, aby popełnić zradę. W chwili wzburzenia wypowiedział jeno to, co oni wszyscy tu myślą. — Wydąłem policzki. — Owszem, znalazłem pewien trop, ale wiecie on ku całkiem innej osobie.

— To znaczy komu?

Spojrzałem nań rad, że puścił w niepamięć swe poprzednie dąsy.

— Później. Chodźmy nad staw, zanim mnisi sami zaczną w nim grzebać. Musimy sprawdzić, czy coś się tam jeszcze nie kryje.

Opuściliśmy pokój, a moje myśli poczęły galopować.

■O»

Po raz kolejny przemierzyliśmy sad, kierując się ku grupce służących czekających nad stawem rybnym z długimi drągami w dłoniach. Nadzorował ich przeor Mortimus, który odezwał się do nas, kiedy podeszliśmy.

— Odwróciliśmy bieg strumienia spuściliśmy wodę ze stawu, tak jak kazaliście, panie komisarzu, ale niedługo musimy skierować strumień z powrotem, bo woda zaleje pola przylegające do bagna.

Kiwnąłem głową. Staw zamienił się w głęboką pustą nieckę. Na dnie, w grubej warstwie brunatnego mułu migotały okruchy lodu. Przywołałem do siebie służących.

— Szyling dla każdego, kto znajdzie coś w tym szlamie!

Z grupy wystąpili dwaj mężczyźni powoli z wahaniem

zanurzyli się w muł, macając dno drągami. Po jakimś czasie jeden z nich coś zawołał wyciągnął do góry rękę. Trzymał w niej dwa kielichy.

— To te, które zniknęły razem z Sierotką — szepnął Mortimus.

Miałem nadzieję, że znajdziemy skradziony relikwiarz, ale dziesięć minut dalszych poszukiwań nie przyniosło żadnych efektów, jeśli nie liczyć wyciągniętego starego sandała.

Służący znowu weszli do stawu, a mężczyzna, który znalazł kielichy, przyniósł mi je podać. Wręczyłem mu szylinga, a odwróciwszy się, ujrzałem przeora wpatrującego się pałającym wzrokiem w złote naczynia.



— To na pewno te same, nie ma wątpliwości. — Głośno wypuścił z piersi powietrze. — Proszę, pamiętajcie, panie komisarzu, jeśli znajdziecie człowieka, który zabił tę dziewczynę, chcę z nim porozmawiać w cztery oczy.

Odwrócił się odszedł. Uniosłem brwi popatrzyłem na Marka.

— Myśli wasza miłość, że on naprawdę tak przeżywa śmierć tej sieroty? — spytał.

— Niezgłębione są tajniki ludzkiego serca. Chodź, musimy iść do kościoła.

Rozdział dwudziesty piąty

Nóg prawie nie czułem ze zmęczenia plecy znowu mi dokuczały, kiedy po raz nie wiem który wlokłem się po śniegu ku klasztorowi. Zazdrościłem Markowi, który maszerował dziarsko, rozkopując zasy mocnymi kończynami. Kiedyśmy doszli w końcu na dziedziniec, przystanąłem, aby złapać oddech.

— Trop, na który trafiłem w korytarzu, prowadzi nas z powrotem do brata Gabriela. Wygląda na to, że jednak coś ukrywa. Chodźmy go poszukać. Najpierw wejdźmy do kościoła. Kiedy będę z nim rozmawiał, chcę, abyś stanął tuż poza zasięgiem słuchu.

— Jak sobie wasza miłość życzy

Widziałem, że drażniła go moja tajemniczość, ale to była część mego planu. Zaskoczyło mnie odkrycie, jakiego dokonałem w korytarzu, ale też nie mogłem się oprzeć uczuciu pewnej satysfakcji, że moje podejrzenia nie były jednak bezpodstawne. Zaprawdę, ludzkie serca skrywają dziwne niepojęte głębie.

Dzień był nadal pochmurny wewnątrz kościoła tonęło w półmroku, kiedy przemierzaliśmy nawę główną. Tym razem z bocznych kapliczek nie dochodził żaden szmer modlitw, widocznie zakonnicy mieli teraz czas wolny. W połowie nawy dostrzegłem

sylwetkę brata Gabriela. Nadzorował pracę służącego, który polerował dużą metalową tablicę na ścianie.

— Widzę, że śniędź schodzi — rozległ się w świątyni jego donośny głos, kiedy się zbliżyliśmy. — Receptura brata Guya działa doskonale.

— Bracie Gabrielu — odezwałem się. — Mam wrażenie, że nieustannie odrywam od pracy pańskich służących, ale znowu muszę z wami porozmawiać.

Westchnął kazał mężczyźnie odejść. Przeczytałem łaciński napis wyryty na tabliczce ponad rzeźbą mnicha spoczywającego na katafalku.

— Zatem tu, w ścianie kościoła, pochowano pierwszego opata?

— Tak. To wyjątkowe dzieło w metalu. — Zerknął w stronę Marka, który stał w pewnej odległości, tak jak mu kazałem. Potem odwrócił się do mnie. — Niestety, zrobione ze stopu miedzi. Na szczęście brat Guy wymyślił miksturę, którą można go doczyścić.

Mówił szybko nerwowo.

— Macie pełne ręce roboty, bracie zakrystianie: zajmujecie się zarówno muzyką, jak dekoracją kościoła. — Popatrzyłem w górę na poręcz parapetu, na rzeźbę Donatusa narzędzia leżące obok, na kosz roboczy przywiązany w płataninie lin do poręczy dzwonnicy. — Widzę, że prace nie posuwają się zbytnio do przodu. Nadal pertraktujecie z szafarzem?

— Tak. Ale domyślam się, że nie przyszłście rozmawiać ze mną na temat remontu kościoła. — W jego głos wkradło się zniecierpliwienie.

— Nie. Wczoraj przedstawiłem wam swoje podejrzenia, jak się wyraziliście: „oskarżenia taniego adwokacyny”. Było to oskarżenie o morderstwo. Powiedzieliście, że układam fałszywe teorie.

— Owszem, tak powiedziałem. Nie jestem mordercą.

— Widzi brat, my... prawnicy wykształciliśmy instynktowną umiejętność rozpoznawania, kiedy ludzie coś przed nami zatają. Pod tym względem rzadko się mylimy.

Brat Gabriel nic na to nie odrzekł, tylko obserwował mnie bacznie.

— Przedstawię wam inne przypuszczenie albo może ciąg zarzutów, wy zaś możecie mnie poprawić, jeśli pobłądzę.

— Nie rozumiem, co to za nowa sztuczka.

— To nie jest żadna sztuczka, przysięgam. Zacznijmy od pewnego spotkania urzędników klasztornych, które odbyło się kilka miesięcy temu. Przeor Mortimus wspomniał wówczas o starej celi więziennej korytarzu, który prowadził z infirmerii do kuchni.

— Tak, pamiętam tę naradę.

Oddychał teraz szybciej, częściej mrugał oczami.

— Sprawy więzienia więcej nie poruszono, ale sądzę, że nasunęło to wam pewną myśl. Poszliście do biblioteki, gdzie przechowywano wszystkie stare plany klasztoru. Widziałem je, kiedy oprowadzaliście mnie po bibliotece; pamiętam, że zależało wam, abym ich nie zauważył. Myślę, że znaleźliście ten korytarz, weszliście tam wywierciliście otwór w ścianie izby, w której teraz mieszkam z panem Poerem. Kucharz mówił, że kręciliście się koło kuchni, gdzie znajduje się wejście do tajnego korytarza.

Oblizał wyschnięte wargi.

— Nie zaprzeczacie.

— Ja... nic o tym nie wiem.

— Nie? Mark kilkakrotnie rano słyszał jakieś dźwięki, a ja drwiłem, że to myszy. Dzisiaj jednak przeszukał naszą izbę znalazł drzwi oraz otwór w ścianie. Zastanawiałem się, kto mógł się tam zakradać, podejrzewałem nawet in-firmarza, ale potem na podłodze pod wywierconą dziurą zauważyłem coś błyszczącego. Wtedy zrozumiałem, że człowiek, który się tam ukrywał, nie przychodził na przeszpiegi, tylko w całkiem innym celu.

Brat Gabriel wydał z siebie jęk, który płynął z dna jego

duszy. Zapadł się w sobie, wyglądał jak marionetka, której obcięto sznurki.

— Darzycie miłością młodych mężczyzn, bracie zakrystianie. Ta namiętność musiała was strawić na wskroś, skoro zadaliście sobie tyle trudu, aby podkraść się podglądać Marka, kiedy się rano ubierał.

Zachwiał się, myślałem że upadnie. Podparł się ręką o ścianę, aby się nie przewrócić. Kiedy na mnie popatrzył, twarz pokryła mu się śmiertelną bladością, a po chwili spłonęła palącym rumieńcem.

— To prawda — szepnął. — Panie Jezu, zmiłuj się nade mną.

— Cóż to musiała być za osobliwa droga przez tę celę cierpień z nabrzmiałym bindasem w ciemności.

— Och, błagam was, panie... — Uniósł dłoń. — Nie mówcie mu, nie mówcie chłopcu.

Podszedłem bliżej.

— Powiedzcie mi tedy, bracie zakrystianie, wszystko, co dotąd ukrywaliście. Korytarz jest tajnym przejściem do kuchni, gdzie zamordowano mego poprzednika.

— Nie chciałem się taki stać — zasyczał z nagłą pasją. — Piękno męskiego ciała prześladowało mnie od dawna, kiedy po raz pierwszy ujrzałem w kościele obraz świętego Sebastiana. Moje myśli przylgnęły do niego tak jak innych chłopców do piersi świętej Agaty. Ale oni mogli się zwrócić ze swą namiętnością ku małżeństwu, ja zostałem sam. Schroniłem się tu, by uciec przed pokusą.

— W klasztorze? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak. — Roześmiał się, ale był to smutny śmiech. — Zdrowi, młodzi mężczyźni nie zostają dziś zakonnikami, w każdym razie niewielu. Nasza profesja przyciąga najczęściej biedne istoty, takie jak Simon, które nie radzą sobie w świecie. Simon nie budził mego pożądania, a tym bardziej starszy Aleksander. Grzeszyłem dawniej z innymi mężczyznami, ale rzadko, a od czasu wizytacji ani razu. Modląc się pracując z zapalem, udało mi się nad sobą zapanować. Czasem jednak przyjeżdżają

do nas goście, urzędnicy z naszych majątków na terenie hrabstwa, posłańcy. Widuję niekiedy... widuję pięknych chłopców, którzy rozpalają we mnie płomień, a wtedy nie wiem, co czynię.

— I najczęściej mieszkają w tej samej izbie co my.

Gabriel zwiesił głowę.

— Kiedy przeor wspomniał o korytarzu, jałem się zastanawiać, czy może on biec za ścianą pokoi gościnnych. Macie rację, zaglądałem do planów. Boże, dopomóż mi, wyciąłem otwór, aby oglądać młodych mężczyzn w ich nagości. — Znowu zerknął w stronę Marka, tym razem z gniewnym, zaciętym wyrazem twarzy. — A potem zjawiliście się wy. Musiałem go zobaczyć, jest taki piękny, jest niczym kulminacja mych... poszukiwań. Poszukiwań ideału. — Mówił coraz szybciej. — Wchodziłem do korytarza, kiedy uznałem, że właśnie wstajecie. Byłem wczoraj, Boże, zmiłuj się, w dniu pogrzebu

biednego Simona. I dzisiaj rano znowu, nie potrafiłem się oprzeć. Och, kimże się stałem? Czyż może człowiek bardziej się upokorzyć w oczach Boga?

Zacisnął pięść, przycisnął ją do ust gryzł dotąd, aż spod skóry wypłynęła kropla krwi.

Przyszło mi do głowy, że widział również mnie, kiedy się ubierał, widział moje plecy, od których Mark zawsze taktownie odwracał wzrok. Nie była to przyjemna myśl.

Pochyliłem się nad nim.

— Posłuchaj mnie, bracie uważnie. Jak dotąd, nie powiedziałem o tym Markowi. Ale masz mi wyznać wszystko, co wiesz o morderstwach, które tu popełniono, wszystko, co przede mną ukrywałeś.

Gabriel odjął dłoń od twarzy popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Ależ, panie komisarzu, nie ma już niczego, co mógłbym jeszcze powiedzieć. Moim sekretem była moja hańba. Wyznałem wam całą prawdę, niczego więcej nie wiem o tych przerażających czynach. Nie szpiegowałem was. Przekradałem się przez tajemny korytarz tylko po to, by... by podglądać mężczyzn, którzy do nas przyjeżdżali. — Wziął szybki oddech. — Chciałem ich tylko zobaczyć.

— I niczego więcej nie skrywasz?

— Niczego, przysięgam. Uczyniłbym wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc wam wyjaśnić te okropne zbrodnie. Jak mi Bóg miły, to najszczęsza prawda.

Skulił się pod ścianą przejęty wstydem nie do zniesienia. Gniew mnie ogarnął, że kolejny trop zawiódł mnie w ślepy zaułek. Potrząsnąłem głową fuknąłem ze zniecierpliwieniem.

— Na rany Chrystusa, bracie Gabrielu, wywiodłeś mnie w pole. Naprawdę miałem cię za mordercę.

— Panie komisarzu, wiem, że prędzej czy później doprowadzicie do zamknięcia klasztoru, lecz zaklinam was, nie wykorzystujcie przeciw innym braciom tego, com wam powiedział. Nie chcę, by moje grzechy sprowadziły koniec na Scarnsea.

— Wyolbrzymiacie swoje grzechy, bracie zakrystianie. Ta słabostka popełniona w skrytości ducha nie starczyłaby nawet, aby wnieść sprawę do sądu. Jeśli klasztor zostanie zamknięty, to z innych przyczyn zgoła. Mogę się jeno dziwić smucić zarazem, że człowiek marnuje swe życie na tak osobliwe bałwochwalstwo. Zaprawdę nie widziałem równie niemądrej istoty stąpającej po tej ziemi jak wy.

Zamknął oczy upokorzony, potem wznosił wzrok ku górze ujrzałem, że jego usta szepczą modlitwę. Nagle szczęka mu opadła, a oczy, nadal patrzące ku górze, wyszły prawie z orbit. Zaintrygowany podszedłem bliżej. Tak błyskawicznie, że nie zdążyłem nawet drgnąć, odwrócił się z okrzykiem na ustach rzucił się ku mnie z rozpostartymi ramionami.

To, co później nastąpiło, wryło mi się w pamięć tak głęboko żywo, że nawet teraz ręka mi drży, kiedy piszę te słowa. Uderzył mnie gwałtownie w pierś. Poleciałem do tyłu upadłem na ziemię, aż dech mi

w piersiach zaparło. Przez mgnienie oka pomyślałem, że zakrystian oszalał chce mnie zabić. Podniosłem na niego wzrok ujrzałem, jak stoi nade mną z dzikim wyrazem w oczach. A potem coś runęło ze świstem: wielki kamienny postument spadł w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stałem, przygniótł Gabriela do ziemi. Po dziś dzień w uszach dzwoni mi ogłuszający gruchot kamienia uderzającego o posadzkę, mieszający się z przeraźliwym chrzęstem kości brata Gabriela.

Uniosłem się na łokciach leżałem tak z gębą głupio rozdziawioną, gapiąc się na postument świętego Donatusa roztrzaskany na szczątkach zakrystiana. Jego dłoń wystawała spod sterty kamieni, na posadzce rosła kałuża krwi. Rozłupana głowa świętego Donatusa leżała u mych stóp patrzyła na mnie z wyrazem nabożnego smutku, pod kamiennymi oczami białaty namalowane łzy.

Wtem usłyszałem głos Marka wrzeszczącego jak nigdy dotąd.

— Uciekajcie od ściany!

Spojrzałem w górę. Na krawędzi parapetu, pięćdziesiąt stóp nad moją głową kiwała się kamienna plinta, na której stał postument. Dostrzegłem za nią zakapturzoną postać. Ledwo zdążyłem się odsunąć, gdy ciężka płyta runęła na ziemię w miejscu, gdzie leżałem. Dopadł do mnie Mark ze śmiertelnie pobladłą twarzą.

— Tam na górze! — zawołał.

Podążyłem za jego wzrokiem. Słabo widoczna postać uciekała parapetem w stronę prezbiterium.

— Uratował mi życie. — Patrzyłem jak zauroczony na zdruzgotane szczątki zakrystiana leżące pod statua w kałuży krwi. — Uratował mi życie!

— Wasza miłość — szepnął natarczywie Mark. — Mamy go. Idzie po parapecie. Stamtąd można zejść tylko schodami na ścianie tęczowej, po obu stronach ołtarza.

Zebrałem rozbiegane myśli popatrzyłem na kamienne stopnie biegnące w górę po obu stronach nawy.

— Masz rację. Widziałeś, kto to?

— Nie, jeno postać w habicie w kapturze. Poszedł w stronę ołtarza. Jeśli wejdziemy po schodach, każdy po jednej stronie, to odetniemy mu odwrót. Będziemy mieć go w garści, nie uda mu się zejść na dół. Dacie radę?

— Tak. Pomóż mi wstać.

Dźwignął mnie na nogi dobył miecza, ja zaś chwyciłem mocno laskę oddychałem głęboko, aby uspokoić łomoczące serce.

— Będziemy szli równolegle, tak aby nie tracić się z oczu.

Mark kiwnął głową pobiegł do schodów po prawej stronie.

Ja oderwałem wreszcie wzrok od ciała Gabriela poszedłem na lewo. Wchodziłem powoli. Serce waliło mi w piersi tak gwałtownie, że nawet w gardle czułem pulsowanie, a przed oczami tańczyły białe

rozbłąszeni. Zdjąłem ciężki płaszcz położyłem go na schodach. Zimno przeniknęło mnie do szpiku kości, ale zyskałem większą swobodę ruchów. Potem ruszyłem dalej pod górę.

Schody prowadziły na wąski pomost biegnący wokół kościoła zrobiony z żelaznej siatki. Spojrzawszy w dół, ujrzałem świece mrugające przed ołtarzem, kapliczki z relikwiami świętych, stertę kamieni wielką, szkarłatną kałużę krwi brata Gabriela. Parapet miał może trzy stopy szerokości jedynie żelazna poręcz chroniła mnie przed upadkiem w przepaść. Przede mną leżały rozrzucone bezładnie narzędzia murarskie, a obok płatanina lin utrzymywała w powietrzu roboczy kosz wiszący nad nawą główną ławkami dla wiernych. Wysilałem w półmroku oczy, aby zobaczyć, co się kryje przede mną, kłamię w duchu na marne oświetlenie kościoła. Wszystkie okna znajdowały się poniżej parapetu, tak więc tu, w górze, panowały prawie zupełne ciemności. Niewiele przed sobą widziałem, ale ktoś się tam przede mną czał, nie miałem co do tego wątpliwości. Stawiałem kroki ostrożnie, schylałem się, aby przejść pod wiszącymi sznurami.

Parapet biegł na poziomie zwieńczenia ściany tęczowej. Taka sama półka, szeroka w tym miejscu na siedem stóp, łączyła ze sobą obydwie strony nawy. Stały na niej rzeźby, które oglądałem uprzednio z ziemi. Z dołu wydawały się małe, lecz kiedy teraz patrzyłem na nie w tym przyćmionym świetle, zorientowałem się, że w rzeczywistości były wzrostu człowieka.

Pomału, trzymając się ostrożnie poręczy, minąłem ścianę tęczową. Bariere trzeszczała co kilka kroków, a raz ugięła się pod moją dłoń. Powtarzałem sobie, że murarz jego pomocnicy chodzili tędy bezpiecznie po wielokroć, lecz nie mogłem też przestać myśleć, że spadający kamienny posąg mógł nadwątlić żelazną konstrukcję.

Po drugiej stronie nawy Marek szedł powoli równoległe do mnie. Uniósł miecz, a ja machnąłem mu laską na znak, że go widzę. Gdzieś między nami czał się złapany w pułapkę zabójca. Ścisnąłem laskę jeszcze mocniej. Nogi zaczęły pode mną drżeć, zakląłem na nie w duchu, żeby się uspokoiły.

Równym tempem posuwałem się do przodu, przesywając wzrokiem ciemności. Cisza. Pusto. Kiedy doszedłem do szczytu kościoła, parapet zakręcał łukiem niebawem patrzyliśmy na siebie z Markiem z odległości pięćdziesięciu stóp po obu stronach prezbiterium. A między nami nic, nikogo. Na twarzy Marka odmalowało się niedowierzanie.

— Szedł w tę stronę, widziałem go! — zawołał.

— Więc gdzie się podział? Na tym końcu nikogo nie ma. Musiałeś się pomylić, widocznie poszedł w przeciwną stronę, ku drzwiom.

Odwróciłem się w kierunku, skąd przyszedłem, gdzie za ścianą tęczową koniec parapetu ginął w ciemności.

— Mógłbym przysiąc, że tędy szedł. Słowo daję.

— Dobrze, dobrze. — Odetchnąłem głęboko. — Nie denerwuj się. Jeśli jest na drugim końcu, to tak mamy go w garści. Nikt nie schodził po schodach, bobyśmy usłyszeli. Wracajmy.

— Może lepiej zejść? Jeden z nas mógłby sprowadzić pomoc.

— Nie. Trudno mieć oko na obydwaj wejścia jednocześnie. Gdyby zszedł na dół, w takim wielkim miejscu łatwo mógłby się wymknąć. Zawróciliśmy ruszyliśmy z powrotem. Oczy mnie piekły od usilnego wpatrywania się w mrok. Kiedy mijalem ścianę tęczową stojące tam posągi, coś mnie nagle tknęło, ale uszedłem jeszcze spory kawałek drogi, zanim zaświtało mi w głowie, co mi tam nie pasowało: obok trzech posągów, które stały tam zawsze: świętego Jana Apostoła, Chrystusa Przenajświętszej Panienki, był tam również czwarty!

Właśnie w chwili, gdy się zatrzymałem obróciłem, zrozumiałem, że to, com wziął za czwarty posąg, było w istocie żywym człowiekiem ubranym w benedyktyński habit, coś świsnęło w powietrzu uderzyło w ścianę tuż obok mojej głowy. Na żelazną kratownicę u moich stóp upadł sztylet. Słabo widoczna postać przechodziła właśnie przez barierkę na parapet. Ruszyłem w tamtą stronę biegiem, ale noga uwięzła mi w metalowej kracie przewróciłem się na poręcz. Przez moment, wisząc głową ramionami nad nawą kościelną, patrzyłem przerażony w otchłań, zanim udało mi się dźwignąć wyprostować. Postać tymczasem znikła, usłyszałem kroki zbiegające po schodach.

— Marku! — krzyknąłem. — Po tej stronie! Ucieka!

Mark zaszedł dalej ode mnie zanim zdążył zawrócić do

schodów, zakonnik był już na dole. Usłyszałem oddalające się kroki — zabójca biegł pode mną wzdłuż ściany, więc nie mogłem go zobaczyć. Zszedłem po schodach stanąłem na dole w tej samej chwili, kiedy z przeciwnej strony pokazał się Mark. W oddali trzasnęły zamykane drzwi kościoła.

— Stał na ścianie tęczowej obok posągów! — krzyknąłem. — Widziałeś, kto to?

— Nie, wasza miłość, był już prawie na dole, kiedy do was dobiegłem. — Spojrzał w górę. — Widocznie ukrył się tam, kiedy wchodziliśmy po schodach. Na rany Chrystusa, musi to być człek odważny, żeby tak tam stać bez żadnego zabezpieczenia ani oparcia.

— Licząc, że zwolennicy reformacji odruchowo odwrócą wzrok od wizerunków świętych. Umknął nam. Spojrzałem na sztylet, który podniosłem z parapetu. Była to prosta, niezdobiona stalowa broń. Żadnych znaków, żadnych wskazówek. Grzmotnąłem pięścią w ścianę, aż ból mnie przeszył do samego ramienia.

— Wasza miłość, ale co z Gabrielem? Czy to nie jego podejrzewaliście, że jest mordercą? Co znaleźliście w ukrytym korytarzu?

Zawahałem się.

— Pomyliłem się. Srodze się myliłem. Brat Gabriel nie miał żadnych sekretów. A teraz przeze mnie zginął następny człowiek. I to pomimo moich modlitw — dodałem ze złością, zerkając ku sklepieniu. — Ale przysięgam, że to będzie ostatni.

Rozdział dwudziesty szósty

Wezwałem do kościoła czterech pozostałych dostojników. Opat Fabian, przeor Mortimus, szafarz Edwig infirmarz Guy stali razem ze mną z Markiem w nawie głównej, podczas gdy służący zdejmowali roztrzaskane resztki posągu ze zwłok brata Gabriela. Sam się sobie dziwiłem, że mogę patrzeć na ten okropny widok, taka dziwna otępiełość szok mną owładnęły. Obserwowałem reakcję zakonników:

brat Guy Mortimus stali niewzruszeni, Edwig marszczył twarz z niesmakiem, opat zaś odwrócił się z wymiotował w przejściu między ławami.

Kazałem im iść za sobą do małego gabinetu brata Gabriela, gdzie na podłodze piętrzyły się sterty ksiąg do skopiowania, a obtłuczona rzeźba Marii Panny opierała się żałośnie o ścianę. Spytałem, gdzie znajdowali się mnisi mniej więcej godzinę temu, kiedy ktoś zrzucił posąg na brata Gabriela.

— W różnych miejscach klasztoru — odrzekł przeor Mortimus. — To godzina czasu wolnego. Niewielu braci wychodzi na dwór w taką pogodę, większość siedzi w swoich celach.

— Co z Jerome'em? Czy jest bezpiecznie zamknięty?

— Od wczoraj.

— A wy czterej? Gdzie byliście?

Brat Guy powiedział, że studiował w samotności księgi w swoim gabinecie w infirmerii. Przeor również był w swoim gabinecie również sam. Brat Edwig zapewnił, że jego dwaj pomocnicy potwierdzą, iż siedział w biurze rachunkowym, opat zaś wydawał instrukcje intendentowi. Siedziałem przyglądałem się całej czwórce. Nawet ich alibi nie można było ufać; ci, którzy dla nich pracowali, mogli zostać nakłonieni lub groźbami zmuszeni do kłamstwa. To samo odnosiło się do każdego innego zakonnika, który powoływał się na świadectwo konfratra. Mogłem przesłuchać każdego mnicha służącego w klasztorze, tylko ile czasu by mi to zajęło dokąd mnie zaprowadziło? Poczuję się nagle całkiem bezradny.

— Zatem brat Gabriel pana uratował? — przerwał ciszę Mortimus.

— Tak.

— Czemu? — zapytał. — Z całym szacunkiem, panie komisarzu, ale czemu miałby oddać za pana życie?

— Być może nie ma w tym nic tak bardzo zaskakującego. Sądzę, że wpojono mu przekonanie, że jego życie nie ma żadnej wartości.

To rzekłszy, przeszyłem Mortimusa surowym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, że ten uczynek pomaga mu teraz na Sądzie Boskim. Ma wiele grzechów do zmazania.

— Być może w oczach Boga nie są one aż tak ciężkie, jak my to przedstawiamy.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi przez szparę do izby zajrzała przestraszona twarz mnicha.

— Proszę o wybaczenie, ale posłaniec przyniósł właśnie list do pana komisarza od sędziego Copyngera. Mówi, że to pilne.

— Dobrze. Panowie, poczekajcie tu, proszę. Marku, chodź ze mną.

Idąc przez kościół, zobaczyliśmy, że ciało Gabriela zostało sprzątnięte. Dwaj służący zmywali krew z kamiennych płyt podłogi, nad gorącą wodą unosiła się para. Kiedy otworzyliśmy



drzwi, stanęliśmy przed tłumem patrzących na nas twarzą mnichów służby. Wszyscy szemrali niespokojnie. Z pięćdziesięciorga ust ulatywały szare obłoki oddechów. Napotkałem błyszczące z ciekawości oczy brata Athelstana, oszołomione spojrzenie brata Septimusa wpatrzonego we mnie z niepokojem załamującego ręce. Na nasz widok brat Jude zawołał, aby zrobiono nam przejście. Szliśmy przez tłum prowadzeni przez zakonnika, który przyszedł po nas do kościoła. Przy bramie Bugge trzymał w ręku list, jego bystre małe oczka obserwowały nas ciekawie.

— Posłaniec powiedział, że to bardzo pilne, panie komisarzu. Przepraszam, że pana wyrwaliśmy. Czy to prawda, że brat Gabriel zginął w wypadku w kościele?

— Nie, panie Bugge, nie zginął w wypadku. Brat Gabriel oddał życie, ratując mnie przed śmiercią z rąk mordercy.

Wziąłem list odszedłem na środek podwórca, gdzie zatrzymałem się, aby przeczytać pismo. Czuję się bezpiecznie z dala od wysokich murów.

— To się w ciągu godziny rozejdzie po całym terenie klasztoru — zauważył Mark.

— i dobrze. Minął czas na tajemnice.

Złamałem pieczęć przeczytałem list mieszczący się na jednej stronie. Przygryzłem wargę ze zdenerwowania.

— Copynger rozpoczął śledztwo. Wysłał wezwanie do sir Edwarda oraz jeszcze jednego szlachcica wymienionego w księdze. Wróciły odpowiedzi, że obaj są odcięci od świata w swoich majątkach z powodu śnieżyc, ale skoro postać się przedostali, to oni również mogą, więc sędzia Copynger posłał po nich powtórnie. Wygląda na to, że grają na zwłokę. Ci ludzie mają coś do ukrycia.

— Możemy teraz porozmawiać z szafarzem.

— Nie mam ochoty wysłuchiwać wykrętów tego przebiegłego gada, że to wszystko to tylko wprawki przewidywania. Przedstawię mu oskarżenie, kiedy będę miał niepodważalne dowody. Ale jeśli w takim tempie będą się toczyć sprawy, to

nie zdobędę ich jutro ani nawet pojutrze. — Złożyłem list. — Marku, kto mógł wiedzieć, że idziemy do kościoła? Pamiętam, że mówiłem ci o tym nad stawem.

— Był tam przeor Mortimus, ale właśnie wtedy odchodził.

— Może ma bystry słuch, tak jak ty. Nikt inny o tym nie wiedział. Naturalnie zakładamy, że rzeczywiście ktoś tam czyhał, aby mnie zabić.

— Ale kto mógł wiedzieć, że wasza miłość stanie akurat w tym miejscu pod postumentem? — spytał Mark po chwili zastanowienia.

— Masz rację. Boże, nawet myśleć jasno nie mogę. — Jąłem masować sobie czoło palcami. — No dobrze, rozważmy inną możliwość. Może nasz zabójca wszedł tam na górę w zupełnie innym celu. A kiedy stanąłem pod rzeźbą, postanowił skorzystać z okazji, aby się mnie pozbyć.

— Ale po co miałby tam wchodzić? Nikt tam nawet teraz nie pracuje.

- Kto po śmierci Gabriela może najwięcej wiedzieć o tych robotach?
- Wszystkimi codziennymi sprawami klasztoru zajmuje się przeor Mortimus.
- W takim razie chyba powinienem z nim porozmawiać. — Przerwałem, aby schować list. — Najpierw jednak muszę ci coś powiedzieć, Marku.
- Słucham, wasza miłość.

Popatrzyłem mu poważnie w oczy.

- W liście, który zawiozłeś do sędziego Copyngera, poprosiłem, aby sprawdził, czy w najbliższym czasie wypływa do Londynu jakiś statek. Przy tej pogodzie podróż do miasta trwałaby tydzień, a ja koniecznie muszę spotkać się z lordem Cromwellem, szczególnie po tej historii z listem Jerome'a. Przyszło mi na myśl, że może płynie do miasta jakaś łódź w istocie tak jest. Wyrusza w czasie popołudniowego odpływu z ładunkiem chmielu. Powinna dotrzeć do Londynu za dwa dni dzień później wraca. Jeśli pogoda mi dopisze, nie będzie

mnie cztery dni. Nie powinienem zmarnować takiej szansy. Ale chciałbym, abyś tu został.

- Ale wobec tego wasza miłość powinien już wyruszać.

Chodziłem tam z powrotem.

- Muszę skorzystać z tej okazji. Pamiętaj, że król nie ma pojęcia o tym, co tu się wydarzyło. Jeśli Jerome wysłał jeszcze jakiś inny list dotarł on do króla, lord Cromwell może mieć kłopoty. Nie chcę wyjeżdżać, ale muszę. Poza tym jest jeszcze coś. Pamiętasz miecz?

- Ten znaleziony w stawie?

- Był na nim znak miecznika, który go wykuł. Takie miecze robi się tylko na specjalne zamówienie. Jeśli uda mi się znaleźć jego twórcę, dowiem się, dla kogo go wykonano. To jedyny trop, jaki mi pozostał.

- Poza przesłuchaniem brata Edwiga, kiedy dostaniemy dowody sprzedaży ziem.

- Tak. Nie wyobrażam sobie, aby brat Edwig miał współnika, moim zdaniem jest zbyt niezależny.

Mark milczał niepewnie.

- Komisarza Singletona mógł zabić infirmarz. Jest zyłasty, ale wygląda na silnego. No wzrost ma słuszny.

- Mógł to zrobić, ale czemu akurat on?

- Bo miał najłatwiejszy dostęp do tego korytarza. Mógł się bez trudu zakraść tamtej nocy dostać do kuchni. Nie potrzebowałby klucza.

Znowu potarłem czoło.

— Każdy z nich mógł to zrobić. Dowody nie wskazują jednoznacznie. Potrzebuję więcej informacji. Mam nadzieję, że znajdę je w Londynie. Ale chcę, aby tu ktoś został. Przeprowadzisz się do domu opata. Czytaj korespondencję miej oko na wszystko, co się tu dzieje.

Chłopak spojrzął na mnie pochmurnie.

— Wasza miłość chce mnie odesłać jak najdalej od Alice.

— Chcę cię odesłać w bezpieczne miejsce, gdzie mieszkał doktor Goodhops. Możesz zająć jego pokój. Jak dla osobyw twoim wieku jest bardzo ładnie urządzone. — Westchnąłem. — A jeśli chodzi o Alice, to owszem, chciałbym, abyś się trzymał od niej z daleka. Rozmawiałem z nią, powiedziałem jej, że wasz związek zniszczyłby ci karierę.

— Wasza miłość nie powinien tak do niej mówić! — powiedział z nagłą zapalczywością. — Mam prawo sam decydować o swojej karierze.

— Nieprawda, Marku. Masz zobowiązania wobec rodziny własnej przyszłości. Nakazuję ci przeprowadzić się do domu opata.

Zobaczyłem lodowate iskry w błękitnych oczach, które tak zniewoliły biednego brata Gabriela.

— Widziałem, jak sami wodziliście za nią pożądliwym wzrokiem — powiedział, a w jego głosie dźwięczała pogarda.

— Ale ja trzymam swe uczucia na wodzy.

Zmierzył mnie wzrokiem z góry do dołu.

— Nje macie wyboru.

Zacisnąłem zęby.

— Za to coś powiedział powinienem cię kopniakiem wyrzucić na bruk. Niestety, potrzebuję cię tu pod moją nieobecność, choć bardzo tego żałuję. Zatem czy będziesz wykonywał posłusznie moje rozkazy?

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc wam złapać człowieka, który zamordował tych ludzi. Zasłużył na stryczek. Ale nie mogę obiecać, co zrobię później. — Wziął głęboki oddech. — Może mnie wasza miłość wyrzucić na bruk, ale zamierzam poprosić Alice Fewterer o rękę.

— Wobec tego możliwe, że będę musiał to zrobić — odparłem cicho. — Bóg mi świadkiem, że nie chciałbym tego, ale nie mogę prosić lorda Cromwella, aby przyjął do pracy człowieka żonatego z dziewczką służebną.

Mark nic na to nie odrzekł. W głębi duszy wiedziałem, że gdyby przyszło do najgorszego, to nawet po tym, co mi powiedział, przyjąłbym go na swego sekretarza pomógł jemu Alice znaleźć w Londynie pokój. Nie zamierzałem mu jednak

dopomagać w podjęciu tej decyzji. Odwzajemniłem jego spojrzenie z taką samą żelazną stanowczością.

— Spakuj mi sakwę. — Zakomenderowałem krótko. — I osiodłaj Chancery'ego. Myślę, że droga jest wystarczająco przejezdna dla konia. Idę się spotkać z przeorem, a potem wyruszam.

To rzekłszy, odszedłem. Wolałbym mieć go przy sobie podczas rozmowy z Mortimusem, ale później uznałem, że lepiej, aby każdy z nas zajął się czymś innym.

Wszyscy czterej urzędnicy klasztorni siedzieli w gabinecie brata Gabriela przygnębieni jak nigdy przedtem. Uderzyło mnie, jak bardzo wydają się sobie dalecy: opat ze swą mocno nadwątłą wyniosłością; Guy samotny surowy, przeor szafarz, którzy do spótki rządzą klasztorem, a jednak wyczułem, że nie byli przyjaciółmi. Tak właśnie wyglądało ich duchowe braterstwo.

— Powinniście wiedzieć, panowie, że jadę do Londynu. Muszę powiadomić lorda Cromwella o wszystkim, co tu zaszło. Wrócę mniej więcej za pięć dni, w tym czasie będzie mnie zastępował pan Mark Poer.

— Jak chcecie się dostać do Londynu wrócić w pięć dni? — spytał przeor. — Podobno śnieg leży aż po Bristol.

— Popłynę statkiem.

— O czym zamierzacie rozmawiać z lordem Cromwellem? — zapytał nerwowo opat.

— O poufnych sprawach. Chcę, aby wszyscy się dowiedzieli, jak zginął brat Gabriel. Postanowiłem również, aby zwłoki Sierotki Stonegarden oddano do pochówku pani Stumpe. Proszę tego dopilnować.

— Ale wtedy ludzie w mieście dowiedzą się, że zmarła w klasztorze. — Opat zmarszczył czoło, jakby nie potrafił sobie poradzić z rozwiązaniem tej zagadki.

— Owszem. Sprawy zaszły za daleko, aby dłużej utrzymywać je w tajemnicy.»

Podniósł głowę spojrzął na mnie z dawną wyniosłością.

— Muszę zaprotestować, panie komisarzu. Sprawy, które dotyczą wszystkich braci, powinny zostać najpierw ze mną przedyskutowane.

— Minęły już te czasy, mój panie opacie — odrzekłem krótko. — Teraz możecie już odejść, wszyscy z wyjątkiem przeora Mortimusa.

Wstali skierowali się do wyjścia, opat popatrzył na mnie zdziwiony. Splotłem ręce na piersi odwróciłem się do przeora. Poczułem niespodziewany przyptyk jasności umysłu, choć nie wiem, skąd mi się ona wzięła.

— Zastanawiałem się, bracie przeorze, kto mógł wiedzieć, że znad stawu skieruję się prosto do kościoła. Tylko wy byliście obecni, kiedym mówił o tym swemu asystentowi.

Przeor roześmiał się z niedowierzaniem.

— Zostawiłem was odszedłem.

Przyglądałem mu się bacznie, ale widział na jego obliczu tylko gniewne zadziwienie.

— To prawda. Zatem osoba, która zrzuciła posąg, nie dybała na moje życie, lecz przyszła tam w innym celu. Kto mógł mieć powód, aby wchodzić na parapet kościoła?

— Nikt, przynajmniej dopóki nie zapadnie decyzja w sprawie remontu.

— Chciałbym, abyście weszli ze mną na górę obejrzeźli to miejsce.

Przypomniał mi się relikwiarz oraz złoto, które złoczyńca musiał gdzieś ukryć, jeśli moje odkrycie potajemnej sprzedaży ziem było prawdziwe. Czy rzeczy te mogły spoczywać schowane gdzieś na górze? Czy to dlatego zabójca wdrapywał się na parapet?

— Jak sobie życzy, panie komisarzu.

Poszedłem pierwszy ku schodom ruszyłem na górę. Serce mi waliło w piersi, kiedy znów stawiałem kroki na wąskiej półce. Na dole służący nadal czyścili posadzkę, wyciskali zakrwawione szmaty do kubła z wodą. Oto, jaki koniec nasczeka. Ogarnęły mnie nagle mdłości, aż musiałem się złapać poręczą.

— Nic wam nie jest?

Przeor stał kilka kroków ode mnie. Przyszło mi nagle do głowy, że gdyby na mnie napadł, nie dałbym mu rady, był ode mnie dużo silniejszy. Powinienem być zabrać ze sobą Marka.

Machnąłem ręką.

— Nic. Chodźmy dalej.

Popatrzyłem na stertę narzędzi, na kosz robotników wiszący wśród płataniny sznurów.

— Kiedy ostatnio coś tu robiono?

— Liny kosz podwieszono dwa miesiące temu, aby robotnicy mogli się dostać do posągu, który był w bardzo złym stanie. Mieli go zdjąć obejrzeź pęknięcie. To genialna konstrukcja z tym ruchomym koszem, murarz ją wymyślił. Ledwo zaczęli, kiedy brat Edwig kazał przerwać prace. Miał rację, Gabriel nie powinien był zaczynać, dopóki nie zatwierdzono projektów. Zaparł się wcale się nie spieszy ze wznowieniem robót, żeby pokazać zakrystianowi, kto tu rządzi.

Popatrzyłem na sieć lin.

— To niebezpieczna konstrukcja.

Wzruszył ramionami.

— Rusztowanie byłoby bezpieczniejsze, ale wyobraźcie sobie, że szafarz zaakceptowałby takie koszty?

— Nie przepadacie za szafarzem — rzuciłem jakby od niechcienia.

— Jest jak tłusta fretka myszkująca za każdym grosikiem.

— Czy często się z bratem konsultuje w sprawach dotyczących finansów klasztoru?

Obserwowałem go uważnie, ale jego wzruszenie ramion wydawało się autentycznie niedbałe.

— Z nikim się nie konsultuje poza opatem, ale za to marnuje mój czas, podobnie jak wszystkich innych, zdając nam relację z każdego wydanego pensa.

— Rozumiem. Odwróciłem się popatrzyłem w górę.

— Jak się wchodzi na dzwonnice?

— Innymi schodami z dołu. Mogę was zaprowadzić, jeśli chcecie. Wątpię, aby w obecnych okolicznościach kontynuowano roboty. Gabriel przegrał tę batalię z kretelem, kiedy dał się zabić.

Uniosłem brwi.

— Bracie przeorze, jakże to możliwe, że tak was poruszyła śmierć służącej dziewczki, a nie okazujecie ani krztyny żalu po stracie konfratra, z którym współpracowaliście przez długie lata?

— Jużem mówił, że powinności zakonnika w tym życiu to zupełnie inna sprawa niż powinności zwyczajnej niewiasty. — Spojrzał na mnie stalowym wzrokiem. — Jedną z tych powinności jest nie ulegać zboczeniom.

— Cieszę się, że nie jesteście sędzią w ławie królewskiej, bracie przeorze.

Prowadził mnie schodami na dół dalej przez inne drzwi do kręconych schodów wiodących na poziom dachu. Była to długa wspinaczka tchu mi w piersiach całkiem zabrakło, kiedy w końcu stanęliśmy w wąskim drewnianym przejściu, przed następnymi drzwiami. Z otworu w murze roztaczał się oszałamiający widok na teren przyklasztorny, na białe pola za nim, las szare morze. Musiał to być najwyższy punkt w okolicy wielu mil. Lodowaty wiatr zawodził żałośnie targał nam włosy.

— Tędy.

Wprowadził mnie do pustego pomieszczenia z drewnianą podłogą, gdzie do samej ziemi zwisały grube sznury. Podniósłszy głowę, ujrzałem zarysy ogromnych dzwonów. Pośrodku w podłodze wycięto wielką okrągłą dziurę ogrodzono balustradą. Spojrzałem w dół zobaczyłem posadzkę nawy głównej. Znajdowaliśmy się tak wysoko, że ludzie tam w dole wyglądali jak mrówki. Mniej więcej dwadzieścia stóp pod nami wisiał kosz, a w nim narzędzia kubły przykryte dużą szmatą. Liny

biegły przez otwór do pomieszczenia, w którym staliśmy, tu przymocowane były do muru wielkimi hakami.

— Gdyby nie ta dziura, to ktoś, kto pociąga za liny, całkiem by ogłuchł od dźwięku dzwonów — powiedział Mortimus. — I tak muszą wkładać zatyczki do uszu.

— Wyobrażam sobie. Nawet tam na dole niewiele brakuje, żeby postradać słuch. — Zauważyłem drewniane schody. — Tędy się idzie do dzwonów?

— Tak, właściwie wchodzi tam jeno służący, kiedy idą je czyścić konserwować.

— Wejdźmy tam. Brat pierwszy.

Schody prowadziły do następnego pomieszczenia, gdzie druga balustradka otaczała instrumenty. Były zaiste przepotężne, większe od człowieka, zawieszane u dachu na wielkich pierścieniach. Tu jednak również niczego nie ukryto. Podeszedłem do dzwonów, uważając, aby nie zbliżyć się za bardzo do barierki, bo była bardzo niska. Na bliższym, bogato grawerowanym zobaczyłem tabliczkę z napisem w dziwnym języku.

— Arrancado de la barriga del infiel, año tysiąc pięćdziesiątego dziewiątego — przeczytałem na głos.

— Wyciągnięty z brzucha niewiernego — przetłumaczył Mortimus.

Drgnąłem; nie wiedziałem, że podeszedł do mnie tak blisko.

— Panie komisarzu — zaczął. — Chciałbym was o coś prosić. Widzieliście opata?

— Tak.

— Ten człowiek się całkiem załamał. Nie nadaje się na stanowisko, które piastuje. Kiedy nadejdzie pora, aby znaleźć jego następcę, lord Cromwell będzie szukał twardego lojalnego człowieka. Wiem, że wynosi na urzędy w klasztorach swych zwolenników.

To rzekłszy, spojrzął na mnie wymownie.

Pokręciłem głową ze zdziwienia.

— Naprawdę wierzycie, że po tym wszystkim, co się tu wydarzyło, ten klasztor się ostanie?

Wyraźnie zbiłem go z tropu.

— Ale przecie... to całe nasze życie. Przecie ono nie może się tak po prostu skończyć. Żadne prawo nie może nas zmusić do rozwiązania klasztoru. Wiem, co ludzie gadają: że król likwiduje zakony. Ale to nie może być. — Pokręcił głową. — Nie może.

Podchodząc jeszcze krok bliżej, przyparł mnie do barierki. Czułem skwaśniały odór jego ciała. Serce zaczęło mi łomotać jak oszalałe.

— Bracie przeorze, proszę się cofnąć.

Wytrzeszczył na mnie oczy, po czym zrobił krok w tył.

— Panie komisarzu — rzekł z naciskiem — potrafiłbym uratować ten klasztor.

— O przyszłości tego przybytku będę rozmawiał jeno z lordem Cromwellem. — W ustach mi zaschło. Przez jeden przerażający moment myślałem, że przeor zepchnie mnie w przepaść. — Obejrzałem już wszystko, niczego tu nie ukryto. Wracajmy na dół.

Schodziliśmy w milczeniu. Nigdy przedtem tak się nie ucieszyłem, czując pod nogami twardy grunt.

— Już jedzicie? — spytał Mortimus.

— Tak. Mark Poer przejmie na ten czas moje obowiązki.

— Czy rozmawiając z lordem Cromwellem, wspomnicie mu o tym, co powiedziałem? Proszę. Mógłbym zostać jego zausznikiem.

— Mam mu bardzo wiele rzeczy do przekazania — odparłem krótko. — A teraz muszę już iść.

Odwróciłem się szybkim krokiem ruszyłem w stronę infirmerii. Dopiero teraz z całą siłą spadł na mnie szok spowodowany śmiercią brata Gabriela. Kiedy szedłem przez salę chorych w stronę naszej izby, w głowie mi się kręciło czułem, że nogi w każdej chwili gotowe są odmówić mi posłuszeństwa. Marka nie było w pokoju, ale czekała na mnie spakowana sakwa z dokumentami, jedzeniem koszulą na zmianę. Odsunąłem ją na bok, usiadłem na łóżku przez chwilę pozwoliłem

Â

swemu ciału drzeć od stóp do głów, aż w końcu poczułem, że nie potrafię powstrzymać łkania. Płakałem po Gabrielu, po Sierotce, po Simonie nawet po Singletonie. A także z trwogi.

Poczułem się spokojniejszy, obmywałem właśnie twarz nad misą, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Miałem nadzieję, że to Mark przyszedł się ze mną pożegnać, ale to była Alice. Przyjrzała się ciekawie mej zaczerwienionej twarzy.

— Służący przyprowadził waszego konia, panie. Powinniście już wyruszyć, jeśli chcecie zdążyć do miasta na statek.

— Dziękuję.

Wziąłem sakwę wstałem. Alice nie ruszyła się z miejsca.

— Nie chcę, żebyście wyjeżdżali, panie.

— Muszę wyjechać. W Londynie może uda mi się znaleźć odpowiedź na kilka pytań, które pomogą mi położyć kres temu koszmarowi.

— Chodzi o miecz?

— Tak, o miecz. — Wziąłem głęboki oddech. — Kiedy mnie nie będzie, staraj się nie opuszczać infirmerii bez potrzeby.

Nic nie odrzekła. Wyminałem ją pospiesznie wyszedłem z obawy, abym w chwili wahania nie wyrzekł czegoś, czego potem pożałuję. Kiedym ją mijał, patrzyła na mnie nieodgad-nionym wzrokiem. Przed wejściem czekał stajenny z Chan-cerym, który machnął białym ogonem zarżał na mój widok. Pogładziłem go po boku, rad, że chociaż jedna istota na tym świecie wita mnie z uczuciem. Wsiadłem, jak zwykle z wielkim trudem, ruszyłem ku bramie, którą Bugge dla mnie otworzył. Przed furtą się zatrzymałem przez długą chwilę patrzyłem na biały podwórzec, chociaż sam nie wiem, dlaczego to czyniłem. Potem odwróciwszy się, skinąłem furtianowi głową skierowałem Chancery'ego na gościniec do Scarnsea.

Rozdział dwudziesty siódmy

Podróż do Londynu upłynęła spokojnie. Wiatr nam sprzyjał, przyptyw niósł szybko mały dwumasztowy kraj er po kanale. Wszelako na morzu panował jeszcze większy ziąb, nad naszymi



głowami wisało szare niebo, wokół nas roztaczała się woda barwy ołowiu. Przez większość czasu siedziałem w kajucie, na świeże powietrze wychodziłem tylko wtedy, gdy cierpki zapach chmielu stawał się nie do zniesienia. Zarówno właściciel łodzi — ponury, małowówny człek — jak chudy wyrostek, który mu pomagał, burkliwie przyjmowali moje próby nawiązania rozmowy o życiu w Scarnsea. Podejrzewam, że przewoźnik był papistą, bo kiedy wszedł na pokład, zobaczyłem, jak mamrocze modlitwę z różańcem w rękach, który na mój widok szybko wsunął do kieszeni.

Dwie noce płynęliśmy po morzu, obydwie przespałem dobrze owinięty kocami swoim płaszczem. Mikstura od brata Guya pomogła mi znakomicie, a z dala od klasztoru uprzytomniłem sobie, jak przytłaczające było to życie w ciągłym strachu napięciu. Nic dziwnego, że w tej atmosferze rodziły się spory między mną a Markiem. Może jeszcze uda się wszystko naprawić, kiedy ten koszmar się skończy. Zapewne mój pomocnik urządza się właśnie w domu opata. Wiedziałem, że nie postucha moich zaleceń dotyczących Alice, jego słowa wyrażenia to wskazywały. Pewnie dziewczyna powie mu, że podczas wyprawy na bagna wyjawiałem jej swe uczucia, aż zaczerwieniłem się ze wstydu na samą myśl. Bałem się również o ich bezpieczeństwo, powtarzałem sobie jednak, że jeśli Mark będzie mieszkał u opata od czasu do czasu odwiedzał infirmerię, a Alice po cichu zajmie się swoimi obowiązkami, to nikt nie będzie miał powodu, aby wyrządzić im krzywdę.

Przy płynięciu do Billingsgate po południu trzeciego dnia po krótkim oczekiwaniu u ujścia Tamizy na przypiływ. Brzegi estuarium leżały przykryte śniegiem, lecz wydało mi się, że nie tak grubym jak w Scarnsea, za to stojąc na pokładzie, widziałem, że wodę przy brzegach zaczyna skuwać lód. Podążając za moim wzrokiem, przewoźnik zagadnął do mnie bodaj po raz pierwszy w czasie tej podróży:

- Czuję, że Tamiza tego roku zamarnie tak jak zeszłej zimy.
- Może macie rację.
- Rok temu król z całym dworem przejechali po zamarniętej rzece na drugi brzeg. Widzieliście to?
- Nie, byłem wówczas w sądzie. Jestem prawnikiem.

Mark opowiadał mi o tym wydarzeniu. Był w pracy, kiedy

przyszła wiadomość, że król wraz z całym dworem ma przejechać po skutej lodem Tamizie na uroczystości bożonarodzeniowe w Greenwich życzy sobie, aby w orszaku towarzyszyli mu wszyscy urzędnicy z Westminsteru. Był to rzecz jasna polityczny manewr, zawarto bowiem właśnie rozejm z rebeliantami na północy ich przywódca Robert Aske, otrzymawszy gwarancję bezpieczeństwa, przyjechał do Londynu na rokowania. Król pragnął urządzać widowisko, aby pokazać Lon-dyńczykom, że bunt nie zakłóci świątecznych obchodów. Mark nigdy nie miał dosyć opowiadania, jak wszystkich urzędników wysłano nad rzekę z plikami dokumentów zmuszono wzbraniające się konie do wejścia na lód. Jego wierzchowiec omal nie wyrzucił go z siodła akurat w momencie, kiedy przejeżdżał król — Henryk wyglądał potężnie na wielkim koniu bojowym z drobną królową Jane na stępaku u swego boku. Za nimi ciągnęli dworzanie damy dworu, jeszcze dalej służba pałacowa, a wreszcie na końcu urzędnicy pisarze, wśród których był Mark. Cały ten orszak maszerował, krzycząc wiwatując, konie powozy ślizgały się po zdradliwej powierzchni, a połowa Londynu patrzyła na ten pokaz z okien. Urzędników ściągnięto po to jeno, aby uatrakcyjnić widowisko tego samego wieczoru odesłano ich z

powrotem przez Most Londyński z księgami rachunkowymi papierami w rękach. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o tym kilka miesięcy później, gdy Aske'a aresztowano za zdradę stanu.

- Podobno mają go powiesić w łańcuchach w Yorku — oznajmił Mark.
- Zbuntował się przeciw królowi.
- Ale dostał gwarancję bezpieczeństwa! Zaproszono go nawet na dwór na zabawy bożonarodzeniowe.
- Circa regna tonat — zacytowałem Wyatta. — Wokół tronu biją gromy.

Łodzią zakołysało, zaczynał się przyptyw. Przewoźnik skierował ją na środek rzeki wkrótce ujrzeliśmy przed sobą wielką iglicę Świętego Pawła dziesięć tysięcy stłoczonych ośnieżonych dachów.

Zostawiłem Chancery'ego w Scarnsea, toteż zszedłszy z pokładu o zachodzie słońca, ruszyłem do domu na piechotę. Miecz z klasztornej stawy obijał mi się niewygodnie o nogę, ponieważ wsunąłem go do pochwy, którą pożyczyłem od Marka, a była dla tego oręża za krótka, a ponadto nie przywykłem do noszenia broni.

Tym razem z ogromną przyjemnością wmieszałem się w londyński tłum zamieniłem w jedną z tysięcy anonimowych osób. Miło było nie ściągać na siebie uwagi, nie budzić strachami nienawiści. Widok domu podniósł mnie niewymownie na duchu, a jeszcze bardziej ciepłe powitanie Joan. Nie spodziewała się mego powrotu, więc na wieczrę miała dla mnie jeno jakiegoś mizernego, gotowanego ptaka, ale cieszyłem się nawet z tego, że mogę siedzieć przy własnym stole. Po zjedzeniu położyłem się spać, albowiem miałem tylko jeden dzień na

załatwienie w mieście wszystkich spraw, a było ich dużo.

Wyjechałem z domu przed świtem na starej szkapie człapiącej inochodem. Kiedy dotarłem do Westminsteru, w biurach Cromwella huczało już niczym w ulu, przy świecach wrzała poranna praca. Oznajmiłem głównemu sekretarzowi Greyowi, że potrzebuję pilnego spotkania z wikariuszem generalnym. Ściągnął usta rzucił okiem w kierunku sanktuarium Cromwella.

- Jest u niego księżę Norfolk.

Uniosłem brwi. Norfolk był przywódcą antyreformatorskiego ugrupowania na dworze, największym wrogiem Cromwella zarazem wyniosłym arystokratą. Nie mogłem się nadziwić, że raczył odwiedzić wikariusza w jego gabinecie.

- Niemniej to bardzo pilna sprawa. Zechcicie mu przekazać wiadomość powiedzieć, że koniecznie muszę się z nim dzisiaj zobaczyć.

Urzędnik przyjrzał mi się uważnie.

- Dobrze się czujecie, panie Shardlake? Wydajecie się bardzo zmęczeni.
- Nic mi nie jest, ale muszę porozmawiać z lordem Cromwellem. Proszę mu powiedzieć, że jestem gotowy przyjechać o każdej godzinie.

Grey wiedział, że nie przerywałbym jego zwierzchnikowi spotkania bez naprawdę ważnego powodu. Zapukał nerwowo do drzwi zniknął w gabinecie. Pojawił się kilka minut później, mówiąc, że lord Cromwell przyjmie mnie o jedenastej w swoim domu w Stepney.

Korciło mnie, aby iść do sądów, dowiedzieć się, co słyhaćw środowisku prawniczym, ukoić nerwy swojskim widokiem, ale inne sprawy domagały się mojej uwagi. Poprawiłem miecz pojechałem różowym, mroźnym świtem do londyńskiej Tower.

Zamierzałem pierwotnie udać się do cechu płatnerzy mieczników, ale wiedziałem dobrze, że wszystkie cechy żyją między górami papierów, których tajemnic strzegą zazdrośnie, wydobyć od nich najprostszej informacji mogłoby zająć mi cały dzień. Kilka miesięcy temu na jakiejś uroczystości poznałem zbrojmistrza z Tower, niejakiego Oldknolla. Powiadano o nim, że nikt w całej Anglii nie wie o broni tyle co on. On również był człowiekiem Cromwella. Moje pełnomocnictwo komisarza umożliwiło mi wstęp, przeszedłem więc pod bramą wejściową wyniosłym murem londyńskim. Minąłem most nad zamarzniętą fosą prowadzący do twierdzy. Przy zwałistej bryle Białej Wieży wszystkie inne budynki wyglądały niczym karły. Nigdy nie lubiłem Tower — zawsze przywoływała we mnie myśli o tych, którzy przechodzili nad tą fosą nie wychodzili już żywi.

Lwy w Królewskiej Menażerii z rykiem dopominały się śniadania. Patrzyłem, jak po ośnieżonym placu biegną dwaj strażnicy w szkarłatno-złotyliberjach z wielkimi kubłami mięsnych odpadków. Wzdrygnąłem się na wspomnienie mego spotkania z klasztornymi psami w pralni. Zostawiłem konia w stajni ruszyłem po schodach Białej Wieży. W wielkim holu kręcili się żołnierze urzędnicy, dwaj strażnicy brutalnie ciągnęli jakiegoś starca o wyglądzie szaleńca, w podartej koszuli, w stronę schodów prowadzących do podziemi.

Pokazałem listy uwierzytelniające sierżantowi, a on powiódł mnie do pokoju Oldknolla. Był to szorstki w obejściu mężczyzna o surowej twarzy. Podniósł głowę znad sterty papierów, które studiował z ponurą miną, poprosił mnie, abym usiadł.

— Wielkie nieba, nie macie pojęcia, komisarzu Shardlake, ile papierowej roboty zrzucają nam na głowy ostatnimi czasy.

Mam nadzieję, że nie przyszłście, aby mi jej jeszcze przysporzyć.

— Nie, panie Oldknoll. Przeszedłem zasięgnąć pańskiej rady w pewnej ważnej sprawie. Wykonuję zadanie dla lorda Cromwella.

Popatrzył na mnie z całą uwagą.

— Wobec tego zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby wam pomóc. Sprawiacie wrażenie, jakbyście żyli w ogromnym napięciu, jeśli wolno mi zauważyć.

— Rzeczywiście, wszyscy mi to mówią. I mają rację. Muszę się dowiedzieć, kto wykonał ten miecz.

To powiedziawszy, wyjąłem oręż z pochwy podałem mu go bardzo ostrożnie. Oldknoll pochylał się, aby obejrzeć znak miecznika, potem podniósł na mnie przestraszony wzrok, a następnie jął się przyglądać mieczowi jeszcze uważniej.

- Skąd go macie?
- Znalazłem go w stawie rybnym pewnego klasztoru.

Podszedł do drzwi zamknął je starannie, potem położył broń na biurku.

- Wiecie, kto zrobił ten miecz? — spytałem.
- O tak.
- Czy ten człowiek żyje?

Oldknoll pokręcił głową.

- Nie, od osiemnastu miesięcy.
- Proszę mi opowiedzieć wszystko, co wiecie na temat miecza. Przede wszystkim co znaczą te litery symbole.

Nabrał powietrza.

- Widzicie ten maleńki zameczek? Znaczy on, że twórca tego miecza uczył się swojej sztuki w Toledo w Hiszpanii.

Otworzyłem szeroko oczy.

- Więc jego właściciel powinien być Hiszpanem?

Zbrojmistrz pokręcił głową.

- Niekoniecznie. Wielu ludzi z całego świata przyjeżdża do Toledo, aby tam się uczyć fachu.
- Anglicy również?
- Tak było aż do reformacji. Teraz Anglicy nie są tam mile widziani. Ale przedtem byli. Ci, którzy uczyli się w Toledo, zwykle używają mauretańskiej fortecy Alkazar jako znaku na mieczach, które przedkładają w cechu, ubiegając się o przyjęcie. To właśnie zrobił ten człowiek. To są jego inicjały.
- .S.
- Tak. — Spojrzał na mnie przeciągle. — John Smeaton.
- Jezu Chryste! Krewny Marka Smeatona, kochanka królowej Anny?
- Jego ojciec. Znałem go trochę. Prawdopodobnie wykonał ten miecz z zamiarem przystąpienia do cechu. Tysiąc pięćset siódmy, to by się mniej więcej zgadzało.
- Nie wiedziałem, że ojciec Smeatona był miecznikiem.

— Początkowo nawet całkiem niezłym. Ale kilka lat temu miał wypadek, obcięto mu koniuszki dwóch palców. Potem nie miał już tyle siły w rękach, aby kuć miecze, więc zajął się stolarstwem. Miał nieduży warsztat w Whitechapel.

— A teraz nie żyje?

— Dostał ataku serca dwa dni po egzekucji syna. Pamiętam, bo dużo się o tym mówiło. Nie miał komu zostawić warsztatu, zdaje się, że go zamknięto.

— Musiał mieć jakichś krewnych. To cenny miecz, byłby częścią jego majątku.

— Owszem, byłby.

Wziętem głęboki oddech.

— Więc śmierć Singletona miała jednak jakiś związek z Markiem Smeatonem. Naturalnie Jerome coś o tym wie, dlatego opowiedział mi tę historyjkę.

— Przepraszam, ale nie całkiem rozumiem.

— Muszę się dowiedzieć, kto dostał ten miecz po śmierci Smeatona.

— Możecie pójść do jego domu. Mieszkał nad swoim sklepem jak większość rzemieślników. Nowi właściciele muszą go kupić od wykonawcy testamentu.

— Dziękuję wam, panie Oldknoll, bardzo mi pomogliście. Wziętem miecz przypiąłem go do pasa. Muszę już iść, jestem umówiony z lordem Cromwellem.

— Rad jestem, że mogłem wam pomóc. A kiedy będziecie się widzieć z lordem Cromwellem...

Uniosłem brwi. Za każdym razem to samo — kiedy ludzie dowiadawali się, że idę na spotkanie z wikariuszem generalnym, nieodmiennie prosili mnie o jakąś przysługę.

— Chodzi o to, że... gdybyście mieli okazję, czy moglibyście poprosić, aby nie przysyłał nam tyle papierów do wypełniania? W tym tygodniu siedziałem każdego wieczoru robiłem spis całej broni, podczas gdy w kancelarii mają dokładne informacje na ten temat.

Uśmiechnąłem się.

— Zobaczę, co się da zrobić, panie Oldknoll. Niestety, to znamię naszych czasów, trudno płynąć pod prąd.

— Pewnego dnia utoniemy w morzu tych papierzysk.

Lord Cromwell mieszkał w Stepney we wspaniałej rezydencji z czerwonej cegły. Wybudował ją kilka lat temu dla siebie, żony syna, ale pod jego dachem kilkunastu młodzieńców, synów jego klientów, pobierało nauki. Miałem już okazję odwiedzać lorda Cromwella w jego posiadłości, która przypominała małe dwór królewski pełen służby, nauczycieli, urzędników nieprzerwanego strumienia gości. Podjechawszy pod bramę, zobaczyłem tłumek nędzarzy w łachmanach. Jakiś ślepiec stojący w śniegu bez butów wyciągał rękę, mówiąc:

— Co łaska, panie, co łaska, zmiłuj się, panie.

Słyszałem, że Cromwell każe służącym rozdawać zasiłki

przy bocznej bramie, aby pozyskać sobie przychylność ubogich mieszkańców Londynu. Scena, którą tu ujrzałem, niepokojąco przywiodła mi na myśl dzień jałmużny w klasztorze w Scarnsea.

Kazałem zaprowadzić konia do stajni, po czym Blithemen, życzliwy zarządca majątku, wprowadził mnie do domu oznaj— Dziękuję wam, panie Oldknoll, bardzo mi pomogliście. Wziąłem miecz przypiąłem go do pasa. Muszę już iść, jestem umówiony z lordem Cromwellem.

— Rad jestem, że mogłem wam pomóc. A kiedy będziecie się widzieć z lordem Cromwellem...

Uniosłem brwi. Za każdym razem to samo — kiedy ludzie dowiadawali się, że idę na spotkanie z wikariuszem generalnym, nieodmiennie prosili mnie o jakąś przysługę.

— Chodzi o to, że... gdybyście mieli okazję, czy moglibyście poprosić, aby nie przysyłał nam tyle papierów do wypełniania? W tym tygodniu siedziałem każdego wieczoru robiłem spis całej broni, podczas gdy w kancelarii mają dokładne informacje na ten temat.

Uśmiechnąłem się.

— Zobaczę, co się da zrobić, panie Oldknoll. Niestety, to znamię naszych czasów, trudno płynąć pod prąd.

— Pewnego dnia utoniemy w morzu tych papierzysek.

Lord Cromwell mieszkał w Stepney we wspianiałej rezydencji z czerwonej cegły. Wybudował ją kilka lat temu dla siebie, żony syna, ale pod jego dachem kilkunastu młodzieńców, synów jego klientów, pobierało nauki. Miałem już okazję odwiedzać lorda Cromwella w jego posiadłości, która przypominała maleńki dwór królewski pełen służby, nauczycieli, urzędników nieprzerwanego strumienia gości. Podjechawszy pod bramę, zobaczyłem tłumek nędzarzy w łachmanach. Jakiś ślepiec stojący w śniegu bez butów wyciągał rękę, mówiąc:

— Co łaska, panie, co łaska, zmiłuj się, panie. Słyszałem, że Cromwell każe służącym rozdawać zasiłki

przy bocznej bramie, aby pozyskać sobie przychylność ubogich mieszkańców Londynu. Scena, którą tu ujrzałem, niepokojąco przywiodła mi na myśl dzień jałmużny w klasztorze w Scarnsea.

Kazałem zaprowadzić konia do stajni, po czym Blithemen, życzliwy zarządca majątku, wprowadził mnie do domu oznaj-miwszy, że lord Cromwell trochę się spóźni, zaoferował mi wino.

— Z przyjemnością — odrzekłem.

— Może macie ochotę obejrzeć lamparta lorda Cromwella, panie komisarzy? Jego dostojność lubi go pokazywać swoim gościom. Jest w klatce na tyłach domu.

— Rzeczywiście, słyszałem, że kupił ostatnio to zwierzę. Dziękuję.

Powiódł mnie korytarzami rezydencji, gdzie na każdym kroku kręciło się pełno ludzi, w stronę podwórza po drugiej stronie domu. Nigdy w życiu nie widział lamparta, chociaż słyszałem o tych pięknych, cętkowanych zwierzętach, które biegają szybciej niż wiatr. Blithemen wyprowadził mnie na dwór z uśmiechem dumnego właściciela. Uderzył mnie w nozdra okropny odór, przed sobą ujrzałem metalową klatkę wielkości może trzydziestu stóp kwadratowych. Na kamiennej podłodze leżały ochłapy mięsa, a między nimi krążyło ogromne kocisko. Miało złote futro nakrapiane czarnymi plamami, a całe jego smukłe, wspaniale umięśnione ciało emanowało dziką potęgą. Kiedy wyszedłem na podwórze, zwierzę obróciło się zawarczało cicho, obnażając wielkie, żółte kły.

— Zaiste groźna bestia — orzekłem.

— Kosztowała mego pana piętnaście funtów.

Lampart usiadł patrzył na nas, od czasu do czasu unosząc wargi wydając głęboki, nieprzyjazny pomruk.

— Jak ma na imię? — spytałem.

— Nie ma imienia. Nie po bożemu byłoby dawać chrześcijańskie imię takiemu potworowi.

— Biedne stworzenie, musi być mu zimno.

W drzwiach stanął chłopiec w liberii powiedział coś cicho do Blithemena.

— Lord Cromwell już wrócił — rzekł zarządca. — Chodźmy, jest w swoim gabinecie.

Ostatni raz rzuciłem okiem na warczącego lamparta, po czym wszedłem za zarządcą do środka. Pomyślałem sobie, że

mój pan ma opinię człowieka równie nieposkromionego jak owo zwierzę zastanawiałem się, czy posiadanie tego dzikiego stworzenia nie jest przypadkiem umyślnym sygnałem wysyłanym światu.

Gabinet lorda Cromwella, zastawiony stołami, na których piętrzyły się sterty papierów, był nieco mniejszą kopią jego westminsterskiego biura. Zwykle panował tu półmrok, tego dnia jednak promienie słońca odbijały się od śniegu oświetlały przenikliwym białym światłem głębokie bruzdy fałdy na twarzy wikariusza generalnego. Siedział za biurkiem, a kiedy wszedłem, spojrzał na mnie wrogo z zaciśniętymi ustami gniewnie wysuniętą brodą. Nie zaproponował, abym usiadł.

— Oczekiwałem na szybsze wieści od ciebie — rzekł lodowato. — Minęło dziewięć dni. A sprawa bynajmniej wcale nie jest zakończona, widzę to w twoim spojrzeniu. — Zauważył miecz u mego boku. — Na krew Chrystusa, nosisz broń w mojej obecności?

— Ależ skąd, wasza miłość — odparłem, pospiesznie odpinając oręż. — To jeno dowód w mojej sprawie, musiałem go ze sobą przywieźć.

Położyłem miecz na stole, obok ilustrowanego wydania angielskiej Biblii otwartej na stronie z rysunkiem przedstawiającym Sodomę i Gomorę trawione płomieniami. Opowiedziałem Cromwellowi wszystko, co się wydarzyło od mojego wyjazdu: o śmierci Simona Whelplaya Gabriela, o odkryciu zwłok Sierotki Stonegarden, o zgodzie opata na rozwiązanie klasztoru, o moich podejrzeniach dotyczących wyprzedazy ziem wreszcie o liście Jerome'a, który mu wręczyłem. Z wyjątkiem chwil,

kiedy czytał list, nie przestawał przeszywać mnie tym swoim groźnym spojrzeniem niemrugających oczu. Kiedy skończyłem, prychnął.

— Wielkie nieba, toż to istny dom obłąkanych! Mam nadzieję, że ten twój chłopak będzie jeszcze żyw, kiedy wró-V

cisz — dodał bezceremonialnie. — Poświęciłem mnóstwo czasu, żeby ugłaskać Richa namówić go do przyjęcia młodzika z powrotem, wolałbym, żeby moje wysiłki nie poszły na marne.

— Uznałem, że powinienem przyjechać, aby zdać wam relację z tych wydarzeń, wasza miłość, szczególnie po tym, jak znalazłem ten list.

— Powinni mi byli przypomnieć, że tam siedzi ten kartuz. Już ja powiem Greyowi, co o tym myślę. Zajmiemy się bratem Jerome'em. Ale listy do Edwarda Seymoura martwią mnie najmniej. Teraz kiedy królowa nie żyje, wszyscy Seymourowie chcą się wkupić w moje łaski. — Pochylił się ku mnie. — Martwią mnie te niewyjaśnione zabójstwa. To się nie może przedostać na zewnątrz. Nie chcę, aby ta sprawa zakłóciła inne pertraktacje. Opactwo w Lewes już prawie kapitułuje.

— Zgadzą się na zamknięcie?

— Dostałem wczoraj wiadomość, podpiszą akt rozwiązania jeszcze w tym tygodniu. Właśnie w tym celu spotkałem się z Norfolkem. Zamierzamy podzielić ziemię między siebie. Król w zasadzie wyrazi zgodę.

— To musi być ładny szmat ziemi.

— Owszem. Ja przejmę majątki w Sussex, a księżę w Norfolk. Perspektywa otrzymania nowych ziem potrafi ściągnąć dawnych wrogów do negocjacyjnego stołu. — Wybuchnął krótkim, hałaśliwym śmiechem. — Zamierzam urządzić swego syna Gregory'ego w pięknym domu tamtejszego opata. Zrobię z niego ziemianina. — Urwał, a na jego twarz powrócił chłód. — Próbujesz odwrócić moją uwagę, Matthew, wprawić mnie w lepszy nastrój.

— Nie, wasza miłość. Wiem, że sprawa postępuje niezmiernie wolno, ale to najtrudniejsza najniebezpieczniejsza zagadka, z jaką miałem do czynienia.

— O co chodzi z tym mieczem?

Opowiedziałem mu o swoim odkryciu o rozmowie z Old-knollem. Zmarszczył brwi.

— Mark Smeaton. Nie sądziłem, że może nam przysparzać kłopotów jeszcze z za grobu. — Wstał od biurka wziął do ręki oręż. — Piękna broń. Szkoda, że nie miałem takiej, kiedyś za młodych lat walczył we Włoszech.

— Musi istnieć jakiś związek między tymi zabójstwami a Smeatonem.

— Jeden już widzę. W każdym razie między nim a zabójstwem Singletona. Zemsta. — Rozmyślał przez chwilę, po czym spojrzał na mnie surowo. — Nikt nie może się o tym dowiedzieć.

— Przysięgam na swój honor.



Odłożył miecz zaczął przemierzać pokój tam z powrotem z rękami założonymi za plecy. Jego czarna szata wydymała się wokół kostek.

— Kiedy rok temu król zwrócił się przeciw Annie Boleyn, musiałem działać szybko. Byłem z nią związany od początku, kiedy popadła w niełaskę, wiedziałem, że jeśli nie podejmę zdecydowanych kroków, papieści doprowadzą mnie do upadku. Król zaczął dawać im posłuch, musiałem się postarać, aby to dzięki mnie pozbył się królowej. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Przekonałem go, że to cudzołożnica, a przeto może być sądzona za zdradę stanu bez włączania w to spraw religijnych. Trzeba było jednak znaleźć dowody wytoczyć publiczny proces.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

— Wybrałem swoich najbardziej zaufanych ludzi przydzieliłem każdemu jednego z jej przyjaciół: Norrisa, Westona, Breretona, jej brata Rochforda Smeatona. Mieli za zadanie wydobyć od nich przyznanie się do winy albo znaleźć coś, co mogłoby posłużyć za dowód, że sypiali z królową. Singletona wyznaczyłem do rozprawienia się z Markiem Smeatonem

— Więc Singleton spreparował dowód przeciwko Smeatonowi?

— Wydawało się, że jego najłatwiej będzie zmusić do wyznania, młodzik był jeszcze. I tak się stało. Przyznał się do cudzołożenia z królową już po pierwszej sesji na kole, tym samym, z którego korzystałem, gdy przesłuchiwałem kartuza. Rzeczywiście musiał go spotkać, bo wszystko, co mówił

o Smeatonie, to prawda. — Lord Cromwell ciągnął z namysłem, bardzo rzeczowym tonem. — Jedną z osób, które słyszał, kiedy przyszedł tej nocy do jego celi, był Singleton. Wysłałem go, aby się upewnił, że Smeaton nie odwoła zeznań w ostatniej mowie na szafocie. Niestety, ta mowa to tradycja, której musimy przestrzegać. Powiedzieliśmy mu, że jeśli piśnie chociaż słowo, jego ojca spotka bardzo zły los.

Patrzyłem na mego pana z niedowierzaniem.

— Więc to, co ludzie gadają, to prawda? Królowa Anna

i ci, których oskarżono razem z nią, byli niewinni?

Lord Cromwell zmarszczył czoło. Na jego twarz padło jaskrawe światło wyszło z jego oczu wszelkie uczucie.

— Oczywiście, że byli niewinni. Nikt tego nie mówi, ale cały świat o tym wie, sędziowie, którzy ich sądzili, też wiedzieli. Nawet król na poły wiedział, jeno nie chciał się do tego przyznać, żeby nie drażnić swego bezcennego sumienia. Rany boskie, Matthew, jesteś niezmiernie naiwny jak na prawnika. Masz w sobie niewinność reformatora, tylko brak ci ognia. Lepiej mieć ogień bez niewinności, tak jak ja.

— Wierzyłem, że zarzuty były prawdziwe. Mówiłem to wiele razy.

— Dobrze ci radzę, rób to co wszyscy inni: trzymaj buzię na kłódkę.

— Może jednak w głębi serca wiedziałem — rzekłem cicho. — Jakąś cząstką duszy, do której nie sięgnął Bóg.

Cromwell patrzył na mnie z irytacją.

— Więc Singletona zamordowano z zemsty — powiedziałem w końcu. — Ktoś go zabił w taki sam sposób, jak zginęła Anna Boleyn. Ale kto to zrobił? — Nagle naszła mnie myśl. — Kto jeszcze odwiedził Smeatona w więzieniu? Jerome mówił, że pastor przyszedł go wyspowiadać, a poza nim dwie inne osoby.

— Każę przejrzeć dokumenty Singletona, zobaczymy, co nam się uda wygrzebać na temat jego rodziny. Wyślę ci je do domu za dwie godziny. Tymczasem pojedź do Whitecha-pel, gdzie mieszkał jego ojciec, to dobry ruch. Jutro wracasz do Scarnsea?

— Tak, łódź odpływa przed świtem.

— Jeśli dowiesz się czegoś przed wyjazdem, wyślij mi wiadomość. Jeszcze jedno, Matthew...

— Słucham, wasza miłość?

Wyszedł z nasłonecznionego miejsca w cień, a w jego oczach znowu zapłonął gniew.

— Znajdź tego mordercę. Za długo zwlekam z powiadomieniem króla o tej historii. Kiedy mu o niej powiem, chcę mieć nazwisko sprawcy. I zdobądź pieczęć opata na akcie dobrowolnego rozwiązania klasztoru. Tuszę, że choć w tej kwestii udało ci się coś osiągnąć.

— Tak, wasza miłość. — Milczałem chwilę z wahaniem. — Co się z nimi potem stanie?

Cromwell uśmiechnął się złowieszczo.

— To samo co ze wszystkimi innymi. Opat zakonnicy dostaną emeryturę, służący będą musieli sami znaleźć sobie inne zajęcie, dobrze im to zrobi, pazerne klasztorne sługusy. A co do budynków, to powiem ci, co umyśliłem w Le-wes. Wysłałem tam majstra od rozbiórek, każę zrównać kościół budynek klasztoru z ziemią. A kiedy ziemie zakonu znajdą się w rękach króla zaczniemy je dzierżawić, zaopatrzę umowę dzierżawy w klauzulę, że najemca musi rozebrać wszystkie poklasztorne zabudowania. Nie zostanie kamień na kamieniu po tysiącletniej historii mniszego samowładztwa w Anglii. Może jeno kilka pustych ruin na świadectwo potęgi króla.

— Jest tam kilka pięknych budynków.

— Szlachcic nie będzie mieszkał w kościele — powiedział Cromwell ze zniecierpliwieniem. — Chyba nie robisz się papistą, Shardlake? — Za nic, wasza miłość.

— Jedź zatem. I nie spraw mi zawodu tym razem. Pamiętaj, że u mego boku może rozkwitnąć kariera prawnika, ale mogę ją też zniszczyć.

Po tych słowach znowu przeszył mnie wściekłym spojrzeniem.

— Nie sprawię ci zawodu, wasza miłość.

Wziąłem miecz wyszedłem.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Opuszczając Stepney, miałem mętlik w głowie. Usiłowałem sobie przypomnieć nazwiska wszystkich mnichów mieszkających w klasztorze w Scarnsea, aby znaleźć możliwe powiązania z rodziną Smeatonów. Czy John Smeaton poznał brata Guya w Hiszpanii trzydzieści lat temu? Jeśli był wtenczas uczniem, to on infirmarz mogli być mniej więcej w tym samym wieku.

Przez cały czas, gdym rozważał w umyśle te sprawy, w mym sercu panował grobowy smutek. Wierzyłem do tej pory święcie, że Thomas Cromwell nie byłby zdolny do popełnienia owych niechrześcijańskich czynów, które przypisywano mu po upadku Anny Boleyn. A teraz on sam beztrząsco przyznał, że wszystkie pogłoski były prawdziwe. I to wcale nie Cromwell omamił mnie, abym wierzył w jego niewinność, sam to uczyniłem.

Koń stąpał ostrożnie po koleinach wyżłobionych w śniegu, ale w połowie Fleet Street zatrzymał się zaczął rzucać niespokojnie łbem. Przed nami na drodze zgromadził się tłumek ludzi blokował przejazd. Nad głowami gapiów zobaczyłem dwóch funkcjonariuszy konstabla mocujących się z jakimś młodym terminatorem, który stawiał zaciekły opór krzyczał na swych oprawców. — Wyście armią Babilonu, chcecie pojmać dzieci boże! Sprawiedliwość zwycięży, a możni potężni zostaną strąceni!

Porządkowi spętali mu ręce za plecami powlekli wierzgającego młodzieńca za sobą. Kilku ludzi w tłumie obrzucało pojmanego szyderczymi okrzykami, inni z kolei dodawali mu odwagi.

— Bądź niezłomny, bracie! Dzieci boże zatriumfują!

Usłyszałem, że podjechał do mnie inny jeździec odwróciwszy głowę, ujrzałem szyderczą twarz Peppera, mego kolegi po fachu, którego spotkał na ulicy dzień przed wyjazdem do Scarnsea.

— Ha! Shardlake! — zawołał przyjaźnie. — Widzę, że zgarnęli kolejnego natchnionego głosiciela Ewangelii. Sądząc z tych proctw, to anabaptysta. Chcieliby każdemu odebrać jego majątek, wiesz o tym?

— Czyżby znowu zorganizowano łapanki na samozwańczych kaznodziejów? Nie wiem, co tu się dzieje, bom wyjeżdżał z miasta.

— Rozeszły się plotki, że w Londynie zadomowili się anabaptyści, król rozkazał aresztować wszystkich podejrzanych. Spalili kilku na stosie, dobrze, bo gorsi są od papistów.

— Nie ma w dzisiejszych czasach bezpiecznego miejsca.

— Cromwell wykorzystał okazję, żeby przeprowadzić ogólną czystkę: złodziejaszki, wydrwigrosze, fałszywi kaznodzieje, pełno ich czało się w przeróżnych norach w tę okropną pogodę. Wikariusz generalny postanowił wyrwać te chwasty z korzeniami. Najwyższa pora. Pamiętasz tę staruchę z gadającym ptakiem, cośmy go widzieli?

— A tak, zdaje się, jakby to było wieki temu.

— Miałaś rację, ptak powtarza jeno słowa, których go nauczone. Kilka statków przyplęnęło załadowanych tymi stworzeniami, całe miasto o nich gada, każdy chce sobie takiego sprawić. Staruchę oskarżono o oszustwo, pewnie już ją ciągną za powozem chłószczą. Ale gdzieś ty się

podziewał, nie ruszałeś się od kominka w ten mróz, co?— Wyjeżdżałem z miasta w sprawie zleconej przez lorda Cromwella.

— Słyszałem, że rozgląda się już za nową narzeczoną dla króla — powiedział, ciekaw najnowszych plotek. — Gada się

o małżeństwie z niemiecką księżniczką — heską albo kliwijską. To by nas związało z luteranami.

— Nic o tym nie słyszałem. Mówiłem ci już, że wyjeżdżałem z miasta w zleconej sprawie.

Popatrzył na mnie z zazdrością.

— Nie daje ci wytchnąć. Myślisz, że znalazłby dla mnie jakąś pracę?

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Tak, Pepper, myślę, że tak.

W domu przejrzałem korespondencję, na którą zeszłego wieczoru jeno zerknąłem, bo za bardzo byłem zmęczony. Przyszło do mnie kilka listów w sprawach sądowych, które prowadziłem, ludzie prosili niecierpliwie o odpowiedzi w pewnych kwestiach. Otrzymałem również list od ojca. Plony były w tym roku bardzo marne, uprawy przyniosły niewielki zysk

i tata zastanawiał się, czy nie przeznaczyć więcej ziemi dla owiec. Wyraził nadzieję, że moje interesy kwitną że Markowi dobrze się wiedzie w sądzie — nie powiedziałem ojcu nic o jego kompromitacji. Dodał też, że na prowincji chodzą pogłoski o likwidacji kolejnych klasztorów. Ojciec Marka mówi, że to dobrze, bo jego syn będzie miał więcej pracy.

Odłożyłem list zapatrzyłem się ponuro w ogień. Pomyślałem o Marku Smeatonie, którego łamano kołem, chociaż nie popełnił żadnego przestępstwa. A także o Jeromie torturowanym na tym samym kole. Nic dziwnego, że nienawidził urzędu, który reprezentowałem. A więc wszystko, co mówił, było prawdą. Musiał wiedzieć o związku między Singletonem Markiem Smeatonem, inaczej po co opowiadałby mi tę historię? A jednak przysiągł, że nikt z klasztoru nie zabił komisarza. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak to dokładnie powiedział, ale byłem zbyt zmęczony. Moje rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi. Weszła Joan.

— Przyszedł list od lorda Cromwella, panie.

— Dziękuję, Joan.

Wziąłem od niej grubą kopertę obróciłem ją w rękach. Widniał na niej napis: „Ściśle tajne”.

— Wasza miłość... — zaczęła niepewnie. — Czy mogę o coś spytać?

— Oczywiście.

Uśmiechnąłem się do niej. Okrągła twarz mojej służącej wyrażała niepokój.

— Zastanawiam się, panie, czy dobrze się czujecie. Wyglądacie na bardzo zmartwionego. I czy panicz Mark jest bezpieczny tam na wybrzeżu?

— Mam nadzieję, że tak — odrzekłem. — Ale nie wiem, co będzie z jego przyszłością, nie chce wracać do sądu.

Kobieta pokiwała głową.

— Nie dziwota to dla mnie.

— Naprawdę, Joan? Ja jestem zaskoczony.

— Ja widziałam, że on tam jest nieszczęśliwy. Słyszałam, że to niedobre miejsce, pełno chciwych ludzi, za przeproszeniem pańskim.

— Możliwe, ale na świecie wiele jest takich miejsc. Gdybyśmy zaczęli ich wszystkich unikać siedzieć sobie przed kominkiem, rychło poszlibyśmy na żebry, nie uważasz?

Joan pokręciła głową.

— Panicz Mark jest inny.

— Czemu inny? Dajże pokój, Joan, omamił cię jak wszystkie inne niewiasty.

— O nie, panie — odparła urażona. — To nie tak. Kto wie, może ja się lepiej na nim poznałam niż wy, panie. Z wierzchu to chłopak jest grzeczny, ale pod spodem ma miękką naturę. Każda niesprawiedliwość go boli. Myślałam sobie nawet, czy on nie celowo ten skandal z dziewczuchą wywołał, żeby uciec z Westminsteru. Jak to się mówi: idealista, czasami sobie myślę, że aż za bardzo, żeby sobie dać radę na tym twardym świecie.

Uśmiechnąłem się ze smutkiem.

— A ja myślałem, że to ja jestem idealistą. Lecz oto „zdjęto mi zasłonę z oczu”.

— Że co, proszę?

— Nic, nic, Joan. Nie martw się. A teraz muszę to przeczytać.

— Oczywiście, wybaczcie mi, panie.

— Nic się nie stało. I Joan... dziękuję ci za troskę.

Z westchnieniem wróciłem do listu. Znajdowały się w nim notatki Singletona pisma do Cromwella informujące o poczynionych postępach w sprawie Marka Smeatona. Wskazywały jasno, że z zimnym wyrachowaniem uknuto plan, aby zastawić sidła na młodego muzykanta za pomocą krzywoprzysięstwa fałszywych dowodów. Wieść, że królowa cudzołożyła z człowiekiem tak niskiego stanu, będzie podwójnym wstrząsem dla społeczeństwa, pisał Singleton, więc za wszelką cenę postanowiono złapać go w sieć. Szydził ze Smeatona jako naiwnego głupca, owcy prowadzonej na rzeź. W domu Cromwella na oczach nieszczęśnika roztrzaskali jego lutnię nagiego wrzucili na noc do piwnicy, ale trzeba było dopiero tortur, aby wymusić na nim fałszywe przyznanie się do winy. Modliłem się, by znalazł w niebie wieczny odpoczynek.

Wśród dokumentów znalazłem służbową notatkę Singletona na temat rodziny Smeatona. Matka nie żyła, miał jeno ojca, żadnych innych męskich krewnych. John Smeaton miał starszą siostrę gdzieś na

provincji, ale dawno temu się pokłócili nie widzieli się od wielu lat. Singleton informował Cromwella, że brak krewnych ułatwi mu załatwienie sprawy z młodzikiem bez wszczynania hałasu. Starannie włożyłem list z powrotem do koperty. Przypomniałem sobie pogrzeb Singletona, wieko trumny zamykające się na jego doczesnych szczątkach, przyznaję, że poczułem radość. Kazałem przygotować konia. Musiałem pojechać do Whitechapel. Cieszyłem się, wkładając płaszcz wychodząc z domu, że mogę się czymś zająć oderwać się od myśli wirujących w mojej głowie.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Do Whitechapel miałem dość długą drogę, leżało ono spory kawałek za murem londyńskim, w szybko rozrastającej się dzielnicy biedoty złożonej głównie z nędznych chałup z plecionki gliny. W nieruchomym powietrzu setki cienkich pasemek dymu ulatywały ku niebu. W tym miejscu mroźna pogoda nie była jeno dokuczliwą niedogodnością; patrząc na ściągnięte, wygłodniałe twarze, myślałem sobie, że dla wielu z nich może się ona okazać jednym ciężkim doświadczeniem za dużo. Ich marne studnie musiały pozamarzać, gdyż widziałem wiele kobiet dźwigających wiadra z wodą z rzeki. Przed wyjściem przebrałem się w najtańsze odzienie, albowiem w takich miejscach jak to nie zawsze mile widziano ludzi z wyższych sfer.

Smeaton miał swoją kuźnię przy jednej z lepszych ulic w tej dzielnicy, gdzie mieściły się rozliczne warsztaty. W dokumentach Singletona wyczytałem, że mieszkał w dwupiętrowym domu obok kowala, znalazłem go więc bez trudu. Po warsztacie stolarskim nie zostało ani śladu, okiennice przybito gwoździami do ram zamalowano. Uwiązałem konia do pachołka zastukałem do cienkich, drewnianych drzwi.

Otworzył mi młody, nędznie odziany mężczyzna z czarnymi, niechlujnymi włosami okalającymi bladą, zapadniętą twarz. Bez większego zainteresowania zapytał, czego chcę, lecz gdy odparłem, że jestem komisarzem z biura lorda Cromwella, skulił się, a głowa jęła mu się trząść.

— Niczego złego nie uczynił, panie. Nic tu nie ma, co może interesować lorda Cromwella.

— Nikt was o nic nie oskarża — powiedziałem łagodnie. — Chcę wam zadać kilka pytań o poprzedniego właściciela tego domu Johna Smeatona. Wynagrodzę tych, którzy mi pomogą.

Nadal patrzył nieufnie, ale zaprosił mnie do środka.

— Przepraszam za tę skromną chałupę, jaśnie wielmożny panie — wymamrotał — ale nie mam pracy.

Wprowadził mnie do nędznej izby. Było oczywiste, że kiedyś mieścił się tu sklep, bo mieszkanie składało się z jednego długiego wąskiego pokoju o ceglanych ścianach poczerniałych od sadzy, a warsztat służył za stół. Panowało tu przejmujące zimno, w palenisku tliło się kilka kamienistych brył węgla, które dawały tyleż ciepła co dymu. Poza warsztatem w izbie stało tylko kilka krzesel, a na gołej ziemi leżał siennik. Wokół paleniska siedziała trójka wychudzonych dzieci, skulonych przy matce, która przytulała do piersi pokasłujące niemowlę. Wszyscy patrzyli na mnie z ponurymi, obojętnymi minami. Izba była ciemna, po zabiciu deskami okien od frontu jedyne światło wpadało do środka przez małe okienko w tylnej ścianie, w powietrzu unosił się zapach dymu moczu. Cała scena przepełniła mnie przejmującym smutkiem.

- Od dawna tu mieszkacie? — spytałem mężczyzny.
- Osiemnaście miesięcy, panie, od kiedy zmarł poprzedni właściciel. Człowiek, który kupił dom, wynajmuje nam tę izbę. Na górze żyje inna rodzina. Właściciel, pan Placid, mieszka przy Strand.
- Czy wiecie, kim był syn poprzedniego właściciela?
- Tak, panie. Mark Smeaton, który cudzołożył z tą wielką nierządnicą.
- Domyślam się, że pan Placid kupił dom od spadkobierców Smeatona. Czy wiecie może, kim oni byli?— Dom odziedziczyła jakaś starsza kobieta. Kiedy się wprowadziliśmy, leżało tu wiele rzeczy, które należały do Smeatona, jakieś ubrania, srebrny kielich miecz...
- Miecz?
- Tak, panie. Leżał na stercie, o, tam. — To mówiąc, wskazał kąt izby. — Jakiś człowiek od pana Placida powiedział, że siostra Johna Smeatona przyjedzie to wszystko zabrać. Kazali nam niczego nie dotykać, bo nas wyrzucą.
- I niczegośmy nie ruszali — wtrąciła się kobieta. Dziecko zaniosło się kaszlem, a ona przytuliła je do piersi.
- Cichaj, Bożylęko.

Z trudem hamowałem podniecenie.

- Czy ta starsza kobieta przyszła po swoje rzeczy?
- Tak, panie. Kilka tygodni później. Mieszka gdzieś na wsi, była onieśmielona w dużym mieście. Przywiózł ją jej prawnik.
- Pamiętacie, jak się nazywała? — spytałem żywo. — Albo skąd przyjechała? Czy to miejsce mogło się nazywać Scarnsea?

Potrząsnął głową.

- Przepraszam, ale nie wiem. Pamiętam jeno, że gdzieś z prowincji. Niska, gruba niewiasta, siwa, musiała mieć przeszło pięćdziesiąt lat. Prawie się nie odzywała. Zabrali ubrania oraz miecz poszli.
- A może pamiętacie, jak się nazywał prawnik?
- Nie, panie. Pomagał jej nieść miecz. Powiedziała nawet: szkoda, że nie mam syna, któremu mogłabym go dać.
- Dobrze. Chciałbym, żebyście spojrzeli na mój miecz. Nie bójcie się, wyjmuję go jeno, żeby wam pokazać. Powiedzcie, czy to ten sam, który zabrała siostra Smeatona?

Położyłem broń na warsztacie. Mężczyzna przyglądał się jej, kobieta również podeszła do stołu z niemowlęciem na rękach.

— Wygląda jak tamten — orzekła. Spojrzała na mnie z ukosa. — Nie wyjmowaliśmy go z pochwy, panie, jeno rzuciliśmy okiem, wcale go nie dotykaliśmy. Ale pamiętam złotą rękojeść te znaki. — Nawet żeśmy sobie gadali, że to piękna robota — dodał mężczyzna. — Prawda, Elizabeth?

Schowałem miecz do pochwy.

— Dziękuję wam obojgu, bardzo mi pomogły wasze informacje. Przykro mi, że dziecko jest chore.

Wyciągnąłem rękę, aby je pogłaskać, ale niewiasta uniosła dłoń.

— Nie tykajcie jej, panie, bo ma gnidy. Już ona nie przestanie kasłać. To przez to zimno. Jedno jużęśmy pochowali. Cichaj, Bożylęko, cichaj.

— Niezwykłe imię.

— Nasz pastor jest za reformą. Nazwał wszystkie nasze dzieci. Powiedział, że to nam w dzisiejszym świecie pomoże, jak dzieci będą miały takie imiona. Chodźcie tu, dzieci, wstańcie.

Cała trójka podniosła się od ognia stanęła chwiejnie na nóżkach, wypinając wydęte brzuszki. Ojciec pokazywał je po kolei.

— To jest Wiara, to Gorliwość, a to Powinność.

Pokiwałem głową.

— Każde dostanie po sześć pensów, a wy tu macie szylinga za pomoc.

Dzieci chwyciły zachłannie pieniądze, ojciec matka wyglądali, jakby nie dowierzali własnemu szczęściu. A ja owładnięty mieszаныmi uczuciami odwróciłem się wyszedłem czym prędzej, potem wsiadłem na konia odjechałem.

Widok tej żalosalnej sceny w domu Smeatona dręczył mnie okrutnie, z ulgą więc zwróciłem myśli na powrót ku sprawie, która mnie tu przywiodła, temu, czego się dowiedziałem. Całej tej sprawie brakowało spójności. Osobą, która odziedziczyła miecz, jedyną, jaka mogła mieć powód do zemsty na Singletonie, okazała się stara kobieta. W klasztorze nie mieszkała żadna kobieta po pięćdziesiątce, poza kilkoma służący-mi — wyschniętymi staruchami, które nie pasowały do opisu. Jedna osoba tylko, którą poznałem w Scarnsea, mniej więcej odpowiadała temu rysopisowi — pani Stumpe. Ale żadna niska, stara niewiasta nie mogłaby zadać takiego ciosu. Jednak dokumenty Singletona jednoznacznie wskazywały na to, że Smeaton nie miał żadnego męskiego krewnego. Pokręciłem głową.

Uprzytomniłem sobie, że pochłonięty myślami puściłem cugle wierzchowca, który zbaczał właśnie z drogi w kierunku rzeki. Nie miałem ochoty wracać na razie do domu, pozwoliłem więc szkapie iść, gdzie jej się podoba. Pociągnąłem nosem. Czy mi się zdawało, czy też nadchodziło wreszcie ocieplenie?

Minąłem obóz rozbity przez grupkę bezrobotnych. Ściągnęli tu pewnie, licząc na jakąś dorywczą pracę w porcie, postawili przybudówkę z dryfującego drewna wyłowionego z rzeki płótna workowego



siedzieli w kupie wokół ogniska. Rzucili mi nieprzyjazne spojrzenia, a żółty, chudy kundel, który się kręcił koło obozu, podbiegł do mnie jął obszczekiwać konia. Chabeta podrzuciła głową zarżała, jeden z mężczyzn przywołał psa do nogi, ja zaś odjechałem czym prędzej, klepiąc klacz po szyi, dopóki się nie uspokoiła.

Jechaliśmy wzdłuż brzegu rzeki, statki stały zacumowane ludzie zajmowali się rozładowywaniem towarów. Kilku miało taką samą ciemną skórę jak brat Guy. Zatrzymałem konia. Przedemną do nabrzeża stała zacumowana wielka oceaniczna karaka z szerokim dziobem ozdobionym uśmiechniętą lubieżnie nagą syreną. Mężczyźni wyciągali z ładowni pudła skrzynie. Ciekaw byłem, z jakiego odległego zakątka ziemi przyplłynął ten statek. Patrząc na ogromne maszty sieć takielunku, zauważyłem ze zdziwieniem mgłę spowijającą bocianie gniazdo. Dopiero kiedy się rozejrzałem uważniej, dostrzegłem, że kłęby mgły unoszą się nad całą powierzchnią wody. Powietrze zrobiło się wyraźnie cieplejsze.

Klacz zaczęła się znowu płoszyć, więc zawróciłem ulicą między magazynami ruszyłem w stronę miasta. Nagle przystanąłem. Od strony jednego z drewnianych budynków dochodził niezwykajny zgiełk: skrzek, krzyki cała kakofonia głosów wołających w dziwacznych językach. Niesamowite wrażenie sprawiały te nieziemskie odgłosy w mglistym powietrzu. Zaciekawiony uwiązałem klacz do kołka poszedłem w stronę magazynu, skąd dochodził również mdlący smród.

Otwarte drzwi ukazały przerażający widok. W trzech ogromnych klatkach, każda wysokości dorosłego człowieka, latały setki ptaków, takich samych jak ten, o którym przypomniał mi Pepper. Mieniły się niezliczonymi barwami: czerwonymi, zielonymi, złotymi, niebieskimi żółtymi, ale wszystkie były w żalnym stanie — skrzydła poobcinano im nierzadko aż do samej kości, a przy tym bardzo nieudolnie, tak że okaleczone końcówki zamieniły się w zaognione rany. Wiele chorowało: ciała miały w połowie ogołoczone z piór pokryte strupami, oczy ropiejące. Mniej więcej drugie tyle leżało martwych na dnie klatki pośród grubej warstwy zaschniętych odchodów. Najgorsze wrażenie sprawiały jednak ich krzyki: niektóre z tych nieszczęsnych stworzeń wydawały z siebie jeno żalnosne piski, jakby błagały o skrócenie mąk, inne wyrzaskiwały, co się dało w najróżniejszych językach. Wyłowiłem słowa łacińskie, angielskie, a także wiele w mowie, której nie rozumiałem. Szczególną moją uwagę zwróciły dwa ptaki, wczepione pazurami w druty klatki, wiszące do góry nogami wołające do siebie, jeden powtarzał bez ustanku: „Sprzyjający wiatr”, drugi odpowiadał: Maria, mater dolorosa z akcentem z Devon.

Stałem jak zahipnotyzowany tym przerażającym widokiem, dopóki nie wyrwała mnie ze stanu odrętwienia czyjaś brutalna dłoń, która spoczęła na mym ramieniu. Obróciłem się ujrzałem za sobą marynarza w brudnej kurcie, który mierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

— Czego tu szukacie? — spytał szorstko. — Jak chcecie coś kupić, to znajdźcie pana Foldska.

— Nie, nie, ja tylko tędy przejeżdżałem. Usłyszałem hałas przyszedłem zobaczyć, co wydaje takie dziwne odgłosy.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Wieża Babel, co? Gadające duchy? Głosy opętanych? Gdzie tam, tylko kolejna partia tych ptaszysk, co je teraz wszyscy panowie sobie upodobili dla zabawy.

- Te zwierzęta są w okropnym stanie.
- Tam, skąd je przywożą, latają takich tysiące. Zawsze w drodze część zdycha. Padnie ich jeszcze więcej z zimna, bo to słabe stworzenia. Ale ładne bestie, co?
- Skąd je przywozicie?
- Z wyspy Madera. Handluje nimi jeden portugalski kupiec. Zmiarkował, że jest na nie zbyt w Europie. Powinniście zobaczyć, co on tam sprzedaje kupuje. Całe statki czarnuchów z Afiki wysła jako niewolników dla brazylijskich kolonizatorów.

Wybuchnął śmiechem, odsłaniając złote zęby.

Poczułem przemożną chęć, aby uciec od tego cuchnącego, przerażającego magazynu. Wymówiłem się pośpiechem czym prędzej odjechałem. Przejmujące krzyki ptaków ich nienaturalne naśladownictwo ludzkiej mowy ścigały mnie aż do samego końca błotnistej ścieżki.

Minąłem mur wjechałem do Londynu, który ni stąd, ni zowąd spowiła szara mgła wypełniły odgłosy wody kapiącej z topniejących sopli pod okapami dachów. Zatrzymałem konia przed kościołem. Zwykle chodziłem do kościoła przynajmniej raz w tygodniu, tymczasem minęło już przeszło dziesięć dni, od kiedy nie brałem udziału we mszy, czułem silną potrzebę duchowego pokrzepienia. Zsiadłem z wierzchowca wszedłem do środka.

Była to jedna z tych bogatych świątyń, gdzie przychodzili kupcy. W tym środowisku wielu było zwolenników reformacji, więc w kościele nie paliły się świece. Postaci świętych na ścianie tęczowej zamalowano zastąpiono cytatami z Biblii:

Wie Pan, jak pobożnych wyrwać z doświadczenia, niesprawiedliwych zaś jak zachować na ukaranie w dzień sądu\*.

\* 2P (2;9).

Kościół był pusty. Wszedłem za ścianę tęczową. Ołtarz pozbawiono dekoracji, patena kielich stały na prostym, nie-zdobionym stole, na pulpicie leżał egzemplarz nowej Biblii przymocowany do niego łańcuchem. Usiadłem w ławie od razu poczułem się podniesiony na duchu swojskim otoczeniem, jakże różnym od Scarnsea. Wszelako nawet tutaj nie wszystkie znamiona dawnych obrządków znikły. Z miejsca, gdzie siedziałem, dostrzegłem dwa sarkofagi z zeszłego stulecia ustawione jeden nad drugim. Górny nakryty był wiekiem z wyrzeźbioną postacią bogatego kupca w kosztownych szatach, brodatego korpulentnego. Na niższym widniał wizerunek wysuszonych zwłok w tych samych szatach zamienionych w łańcuchy, a pod nim motto: Tym teraz jestem; tym niegdyś byłem; czym jestem teraz; tym ty będziesz.

Kiedym tak patrzył na kamienne sarkofagi, stanęły mi nagle przed oczami gnijące szczątki Sierotki Stonegarden nad stawem, a potem postacie rachitycznych, schorowanych dzieci w domu Smeatona. Uderzyła mnie przytłaczająca myśl, że cała nasza rewolucja zdziała jeno tyle, że zastąpi imiona głodujących dzieci z imion świętych na Gorliwość, Powinność Bożylękę. W pamięci stanęła mi się beztroska w głosie Cromwella, gdy opowiadał, jak preparowali fałszywe dowody, aby zaszczuć na śmierć niewinnych ludzi, a potem opowieści Marka o chciwych klientach tłoczących się w sądzie do spraw majątku likwidowanych klasztorów, aby wyrzeć dla siebie choć skrawek poklasztornych ziem.

W tym nowym świecie nie zbudowaliśmy chrześcijańskiej wspólnoty nigdy jej nie zbudujemy. W rzeczywistości ten nowy świat nie był ani trochę lepszy od starego, tak samo jak tamtym rządziły nim zachłanność próżność. Przypomniały mi się okaleczone ptaki o jaskrawych barwach wykrzykujące do siebie bezrozumnie wydały mi się one wiernym obrazem królewskiego dworu, gdzie zarówno papiści, jak reformatorzy trzepotali piórami, trajkotali walczyli ze sobą o władzę. A ja w swej dobrowolnej ślepotie nie chciałem przyjąć do wiadomości tego, co rozgrywa się na

moich oczach. Ludzie boją się chaosu tego świata, pomyślałem, ziejącej pustką wieczności, która ich potem czeka, więc układają skomplikowane wzory, aby wytłumaczyć sobie przerażające tajemnice przekonać samych siebie, że jesteśmy bezpieczni na tym świecie poza nim.

Wtedy zrozumiałem, że klapki na oczach, choć zupełnie innego rodzaju, uczyniły mnie ślepym również na to, co się działo w Scarnsea. Usnułem sobie sieć wyobrażeń o tym, jak działa świat, wystarczyło jednak zburzyć jeden element, aby miejsce gładkiej lustrzanej powierzchni zajęło krzywe zwierciadło. Otworzyłem usta ze zdumienia. Wiedziałem już, kto zabił Singletona, a z tą wiedzą wszystkie elementy układanki wskoczyły idealnie na swoje miejsca. Uprzytomniłem sobie, że mam mało czasu. Jeszcze przez chwilę siedziałem z otwartą gębą, ciężko łapiąc powietrze. Potem poderwałem się na równe nogi pogałem ile sił w końskich pęcinach w miejsce, gdzie spoczywał ostatni kawałek układanki — do Tower.

Zapaść już zmierzch, kiedy po raz drugi tego dnia przejeżdżałem nad fosą. Na trawniku Tower Green paliły się pochodnie. Niemalże biegiem wpadłem do wielkiego holu, a potem do gabinetu Oldknolla. Zbrojmistrz siedział na swoim miejscu starannie przenosił informacje z jednego dokumentu na drugi.

— Komisarz Shardlake! Tuszę, że mieliście owocny dzień, nie taki jak mój.

— Muszę pilnie porozmawiać ze strażnikiem więziennym, który nadzoruje lochy. Czy możecie mnie niezwłocznie do niego zaprowadzić? Nie mam czasu błąkać się po Tower, szukając drogi

Z mojej twarzy wyczytał, że sprawa jest wielkiej wagi.

— Zaprowadzę was.

Wziął do ręki wielki pęk kluczy wyprowadził mnie z gabinetu. Na korytarzu zabrał pochodnię przechodzącemu żół-

nierzowi. Kiedyśmy przemierzali hol, spytał mnie, czy byłem kiedyś w tutejszych lochach.

— Nie, nigdy. I cieszę się, że mogę to powiedzieć.

— To ponure miejsce, a nie pamiętam, żeby kiedyś przedtem było tak zapelnione.

— W istocie, sam się zastanawiam, dokąd to wszystko zmierza.

— Do kraju dotkniętego bezbożnymi zbrodniami, oto dokąd zmierzamy. Papiści, obłąkani kaznodzieje... Powinno się ich wszystkich powiesić.

Powiódł mnie na dół wąskimi, kręconymi schodami. Powietrze stało się przenikliwe wilgotne. Ściany pokrywał zielony, śliski nalot, grube krople wody ściekały po nich niczym strużki potu. Szliśmy teraz pod poziomem rzeki.

Na samym dole stanęliśmy przed żelazną bramą, za którą ujrzałem podziemną komnatę oświetloną płomieniami pochodni. Wokół stołu założonego stertą papierów stała grupka mężczyzn. Podeszedł do nas strażnik Oldknoll odezwał się doń przez kraty:

— Jest ze mną komisarz wikariusza generalnego. Chce się natychmiast widzieć z naczelnikiem straży więziennej Hod-gešem.

Strażnik otworzył bramę.

— Tam, panie komisarzu. Jest bardzo zajęty. Przywieźliśmy wczoraj mnóstwo podejrzanych anabaptystów.

Powiodł nas do stołu, gdzie wysoki, chudy mężczyzna sprawdzał dokumenty razem z drugim strażnikiem. Po obu stronach sali zobaczyłem ciężkie drewniane drzwi z żelaznymi prętami w małych okienkach. Zza jednych dochodził donośny głos wykrzykujący wersety Biblii:

— Oto Ja przeciw tobie! — wyrocznia Pana Zastępów — puszcze z dymem twe rydwany, a lwiątko twoje miecz pochłonie...\*

Strażnik podniósł głowę.

Na (2; 14).

\*

— Stul gębę, bo każę cię wychłostać!

Głos ucichł, a dowódca straży odwrócił się do mnie skłonił głowę.

— Proszę wybaczyć, panie komisarzu, próbuję posortować donosy na tych nowych. Niektórzy mają zostać jutro zawiezieni do lorda Cromwella na przesłuchanie, nie chcę, żeby mu dostarczono nie tych, co trzeba.

— Potrzebuję informacji na temat więźnia, który był tu osiemnaście miesięcy temu — powiedziałem. — Pamięta pan Marka Smeatona?

Mężczyzna uniósł brwi.

— Jakże mógłbym zapomnieć? Królowa Anglii wtrącona do Tower! — Umilkł, przypominając sobie minione wydarzenia. — Tak, Smeaton był tu w lochach ostatniej nocy przed egzekucją. Kazano nam go odizolować od innych więźniów. Zapowiedziano, że będzie mieć gości.

Kiwnąłem głową.

— Tak. Robin Singleton przyszedł, aby się upewnić, że nie odwoła zeznań. Ale odwiedzał go jeszcze ktoś inny. Czy macie to zapisane gdzieś w aktach?

Naczelnik wymienił spojrzenia z Oldknollem roześmiał się.

— A jakże, panie komisarzu! W dzisiejszych czasach wszystko zapisujemy w aktach, prawda, Thomasie?

— Co najmniej dwa razy.

Hodges wysłał jednego ze swoich ludzi po kilku minutach strażnik wrócił z grubą księgą.

— Szesnasty maja tysiąc pięćset trzydziestego szóstego — powiedział, otworzywszy dziennik. Przebiegł palcami po stronicy. Smeatona zamknęto w tej samej celi, gdzie teraz siedzi ten wicherzyciel.

To mówiąc, kiwnął głową w kierunku drzwi, zza których dochodziły biblijne recytacje. Teraz więzień ucichł, za kratami panowała ciemność.

— Kto go odwiedził? — dopytywałem się niecierpliwie, zaglądając mu przez ramię.

V

Hodges skulił się nieznacznie pochylił jeszcze niżej nad księgą. Może kiedyś jakiś garbus przyniósł mu pecha.

— Widzicie? Tu jest wpisany komisarz Singleton, był o szóstej, o siódmej jest napisane odzina", a potem ksiądz o ósmej. To nasz kapłan, brat Martin. Przyszedł go wypowiadać przed egzekucją. Niech zaraza pochłonie tego Fletchera, tyle razy mu mówiłem, żeby wpisywał nazwiska.

Przebiegłem palcem po stronie, przeglądając pozostałych więźniów.

— Jerome Wentworth, zwany Jerome 'em z Londynu, mnich z londyńskiego zakonu kartuzów. Jest tu również. Ale ja muszę się dowiedzieć, kim był ów krewny. To bardzo ważna pilna sprawa, panie Hodges. Kim jest ten Fletcher? Jeden z pańskich strażników?

— A jakże, jeno że nie znosi pracy papierkowej, bo nie za dobrze pisze.

— Czy ma teraz służbę?

— Nie, panie komisarzu. Dostał wolny dzień na pogrzeb ojca w Essex, wróci dopiero jutro po południu.

— I wtedy przyjdzie na służbę?

— O pierwszej.

Przygryzłem palec.

— O tej porze będę już na morzu. Poproszę o papier pióro.

Szybko skreśliłem dwa krótkie liściki podałem je Hodgesowi.

— W tej notatce proszę Fletchera, aby mi zrelacjonował wszystko, co pamięta na temat tego gościa. Proszę mu wytłumaczyć, że to sprawa najwyższej wagi. Jeśli nie umie pisać, niech ktoś inny spisze to za niego. Kiedy skończy, macie jego odpowiedź dostarczyć do biura lorda Cromwella razem z tym listem. Proszę w nim wikariusza generalnego, aby wysłał swego najszybszego jeźdźca dostarczył

mi odpowiedź Fletchera do Scarnsea. Drogi będą okropne, jeśli śnieg zacznie topnieć, ale dobry posłaniec może zdążyć z wiadomością, zanim moja łódź zawinie do portu.

ś

— Osobiście dostarczę wiadomość lordowi Cromwellowi, panie komisarzu — zadeklarował Oldknoll. — Z przyjemnością wyrwę się stąd na świeże powietrze.

— Przepraszam za Fletchera — powiedział Hodges. — Ale mamy tyle pracy z tymi papierami, że czasami dosłownie nie sposób jej wykonać jak należy.

— Dopilnujcie po prostu, abym dostał tę odpowiedź, panie Hodges.

Odwróciłem się Oldknoll wyprowadził mnie z lochu. Kiedy wchodziliśmy po schodach, usłyszałem, że człowiek w celi Smeatona znowu zaczyna wyrzaskiwać swoją litanię urywków z Biblii. Potem doszedł mnie ostry trzask, krzyk recytacja umilkła.

## Rozdział trzydziesty

W drodze powrotnej pogoda nam również sprzyjała. Kiedy wypłynęliśmy w morze, mgła się podniosła łódź sunęła niesiona łagodnym południowo-wschodnim wiatrem. Temperatura wzrosła o kilkanaście stopni, po szczypiącym mrozie panującym przez ostatnie tygodnie zdawało się wręcz ciepło. Właściciel łodzi przewoził ładunek tkanin oraz narzędzi żelaznych był w dużo lepszym nastroju.

Kiedy wieczorem drugiego dnia zbliżaliśmy się do lądu, ujrzałem linię wybrzeża spowitą w lekkiej mgłę. Serce zabiło mi szybciej, byliśmy prawie na miejscu. Większą część podróży spędziłem na rozmyślaniach. Moje dalsze poczynania zależały od tego, czy posłaniec z Londynu zdąży dotrzeć do mnie z wiadomością. Nadszedł również czas na kolejną rozmowę z Jerome'em. Z całą siłą opadł mnie teraz niepokój, który przez te kilka dni starałem się od siebie odsuwać: czy Mark Alice są cali zdrowi?

Mgła utrudniała widoczność, kiedy przebijaliśmy się kanałem przez bagno ku nabrzeżu Scarnsea. Przewoźnik spytał mnie nieśmiało, czy mógłbym wziąć żerdź ubezpieczać łódź, gdybyśmy podpłynęli za blisko brzegu. Zgodziłem się. Raz czy dwa omal nie utknęliśmy w galaretowatym mule, w którym sączyły się strumyki wody z roztopionego śniegu. Ucieszyłem

się, kiedyśmy w końcu przybili do nabrzeża. Przewoźnik pomógł mi wyjść na suchy ląd, dziękując za pomoc może myśląc nieco lepiej chociaż o jednym reformacyjnym heretyku.

■3"

Skierowałem od razu swe kroki do domu Copyngera. Właśnie zasiadał do wieczerzy z żoną dziećmi, zaprosił mnie więc, abym im towarzyszył, ale odmówiłem, tłumacząc, że muszę jechać dalej. Wprowadził mnie do luksusowego gabinetu.

— Czy coś się wydarzyło w klasztorze od mego wyjazdu? — spytałem, gdy tylko zamknąłem za nami drzwi.

— Nie, panie komisarzu.

— Nikomu nic się nie stało?

— O ile mi wiadomo, nie. Ale mam nowe informacje na temat sprzedaży gruntów.

Podszedł do biurka wziął do ręki pergamin z aktem przeniesienia własności. Przyjrzałem się ozdobnej kaligrafii, wyraźnemu odciskowi pieczęci opata na czerwonym wosku u spodu. Akt sprzedaży dotyczył wielkiej połaci ziemi ornej na drugim końcu Downs, kupił ją sir Edward Wentworth za sumę stu funtów.

— Bardzo tanio ją sprzedali — stwierdził Copynger. — To dobra ziemia.

— Żadnej z tych transakcji nie wpisano do ksiąg rachunkowych klasztoru.

— To znaczy, że złapał pan złoczyńców, panie komisarzu. — Uśmiechnął się zadowolony. — Udałem się osobiście do domu sir Edwarda wziąłem ze sobą konstabla. Wentworth przestraszył się nie na żarty, zrozumiał, że mogę go aresztować za tę arogancję. W ciągu pół godziny oddał mi akt sprzedaży, lamentując, że kupił go w najlepszej wierze.

— Kto prowadził negocjacje w imieniu klasztoru?

— O ile wiem, zarządca sir Edwarda załatwiał sprawę z szafarzem. Wiecie, że Edwig rządzi tam wszystkim, co się wiąże z pieniędzmi.<sup>4\*</sup>

— Ale opat musiał przystawić pieczęć na dokumencie. Chyba że ktoś to zrobił za niego.

— To prawda. Ale jest jeszcze coś: niepisana umowa przewidywała, że ta sprzedaż pozostanie na razie zachowana w tajemnicy, dzierżawcy zapłacą czynsz jak zwykle zarządcy klasztoru, a on je przekaże Wentworthowi.

— Potajemna sprzedaż ziemi sama w sobie nie jest przestępstwem, ale ukrywanie jej przed królewskim rewidentem owszem. — Zwinąłem pergamin schowałem go do sakwy. — Dobrze się sprawiliście, panie sędzio, jestem wam bardzo wdzięczny. Proszę kontynuować swoje dochodzenie na razie nikomu o tym nie wspominać.

— Kazałem Wentworthowi zachować w tajemnicy moją wizytę pod groźbą kłopotów z biurem lorda Cromwella. Nikomu nie piśnie ani słowa.

— To dobrze. Wkrótce podejmę odpowiednie działania, na razie jednak czekam jeszcze na wiadomość z Londynu.

Sędzią zakasał.

— Przy okazji... pani Stumpe pytała o pana komisarza. Powiedziałem jej, że powinniście dzisiaj wrócić, a wtedy ona rozgościła się w mojej kuchni po obiedzie powiedziała, że nie ruszy się stamtąd, dopóki się z wami nie zobaczy.

— Dobrze, mogę jej poświęcić kilka minut. A swoją drogą, jakie siły może pan sędzia wezwać pod swoją komendę?

— Konstabla, jego zastępcę trzech informatorów. Jednakże w mieście mieszka wielu szczerych zwolenników reform, do których mógłbym się odwołać po pomoc w razie potrzeby. — Zmrużył oczy.

— Spodziewacie się kłopotów, panie komisarzu?

— Mam nadzieję, że do nich nie dojdzie, ale zamierzam wkrótce aresztować kilka osób. Proszę dopilnować, aby pańscy ludzie byli gotowi na wezwanie w każdej chwili.

Skinął głową z uśmiechem.

— Z radością ujrzę na oczy kilku więźniów w habitach. A kiedy ta cała sprawa się skończy — spojrzał na mnieś

wymownie — czy mogę liczyć, że pan komisarz pochwali mnie przed lordem Cromwellem za moją pomoc? Mam syna, który osiągnął już prawie odpowiedni wiek, aby pojechać do Londynu.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Obawiam się, że w obecnej chwili moja rekomendacja nie na wiele się może przysłużyć.

— Ach... — rzekł sędzia z rozczarowaną miną.

— Czy mogę teraz porozmawiać z panią Stumpe?

— Nie będziecie mieć nic przeciwko spotkaniu się z nią w kuchni? Nie chcę, aby wchodziła mi na pokoje z brudnymi buciorami.

Zaprowadził mnie do kuchni, gdzie opiekunka z przytułku siedziała przy kuflu piwa. Wygonił kilka ciekawskich dziewcząt kuchennych zostawił mnie samego z panią Stumpe.

Kobieta przeszła od razu do rzeczy.

— Przepraszam, że zabieram wam czas, jaśnie wielmożny panie, ale chciałam was prosić o przysługę. Pochowaliśmy Sierotkę dwa dni temu na cmentarzu przy kościele.

— Rad jestem, że jej biedne szczątki znalazły 'wreszcie odpoczynek.

— Samam zapłaciła za pogrzeb, ale nie mam ani grosika, żeby postawić nieboracze jakiś nagrobek. Widziałam, panie, że litowaliście się nad jej losem tak żem sobie pomyślała, że... za szylinga można postawić taniutki nagrobek.

— A droższy?

— Za dwa szylingi. Mogę urządzić, żeby wysłano wam rachunek, panie.

Odliczyłem dwa szylingi.

— Coraz częściej ta moja misja czyni ze mnie dobroczyńcę — zauważyłem ze smutkiem. — Sierotka zasługuje na dobry nagrobek. Ale na mszę nie dam ani pensa.

Niewiasta prychnęła pogardliwie.

— Sierotce nie potrzeba żadnych mszy, plwam na te modły za zmarłych. Dziewka bezpieczna już jest u Pana Boga.

— Prawicie jak reformatorka, pani Stumpe.



- Bo nią jestem, panie, szcycę się tym.
- A przy okazji — dodałem od niechcienia — byliście może kiedyś w Londynie?

Popatrzyła na mnie zaintrygowana.

- Nie, panie. Raz pojechałam do Winchelsea.
- A krewnych w Londynie nie macie?
- Wszyscy moi mieszkają tu w okolicy.
- Tak myślałem. Nie martwcie się, pani Stumpe.

Odprawiłem ją, a potem pożegnałem się szybko z Copyn-

gerem, który stał się znacznie mniej wylewny, od kiedy dowiedział się, że nie jestem w łaskach u Cromwella. Odebrałem Chancery'ego ze stajni ruszyłem w drogę powrotną do klasztoru.

#### ■fi1

Czułem, że robi się coraz cieplej, kiedy jechałem powoli w ciemności. Chancery stąpał ostrożnie, bo droga była śliska od topniejącego śniegu. Dookoła słychać było wodę ciekącą strużkami do bagna. Po jakimś czasie zsiadłem jątem prowadzić konia za uzdę, bo nie uśmiechała mi się myśl, że Chancery może po ciemku zboczyć w grzędawisko. Nareszcie we mgle zamajaczyły zarysy muru klasztornego światło ze stróżówki furtiana. Kiedym zapukał, Bugge zjawił się natychmiast przy bramie z pochodnią w ręku.

- Wrócił pan komisarz. Niebezpiecznie jeździć w taką pogodę po nocy.
- Muszę się spieszyć. — Przeprowadziłem Chancery'ego przez bramę. — Czy postaniec przywiózł dla mnie wiadomość?
- Nie, panie. Nikogo nie było.
- A niech to zaraza. Czekam na jeźdźca z Londynu. Jeśli przyjedzie, macie mnie natychmiast powiadomić, nieważne, w dzień czy w nocy.
- Tak jest, jaśnie wielmożny panie. Zrobię to na pewno.
- I dopóki nie wydam innych poleceń, nikomu, powtarzam,

nikomu nie wolno opuszczać klasztoru. Czy to jasne? Jeśli ktoś będzie chciał wyjść, macie mnie natychmiast powiadomić.

Popatrzył na mnie ciekawie.

- Jak rozkażecie, panie komisarzu.

Wziąłem głęboki oddech.

- Co tu się działo przez te parę dni? Czy wszyscy zdrowi? Pan Mark?

— Tak, panie, pan Poer jest na piętrze u opata. — Łypnął na mnie bystro, oczy migotały mu w świetle pochodni. — Ale za to inni nie próżnowali.

— Co to znaczy? Przestańże mi tu gadać zagadkami, człowieku.

— Brat Jerome wczoraj wydostał się z celi zniknął.

— Chcecie powiedzieć, że uciekł?

Bugge roześmiał się złośliwie.

— Przecie nie uciekłyby daleko, a przez bramę nie przechodził. Gdzieś tu się pewnikiem ukrywa. Już przeor go dopadnie.

— Na rany Chrystusa, mieli go trzymać pod kluczem!

Zazgrzytałem zębami. Straciłem szansę przesłuchania kartuza

w sprawie gościa, który odwiedził przed śmiercią Marka Smeatona. Wszystko teraz zależało od posłańca z Londynu.

— Wiem, panie, ale niczego się tera nie robi jak należy. Służący, który miał go pilnować, zapomniał zamknąć drzwi. Wszyscy się boją, a śmierć brata Gabriela była jako ta kropla, co przepełniła dzban. I chodzą słuchy, że mają zamknąć klasztor.

— Naprawdę?

— To się nawet trzyma kupy, no nie? Te zabójstwa, wszyscy gadają, że król przejmuje klasztory... Co pan komisarz na to?

— Wielkie nieba, Bugge, czy wy naprawdę myślicie, że będę z wami rozprawiał o polityce?

Skruszony furtian spuścił wzrok.

— Upraszam o wybaczenie, panie komisarzu, nie chciałem, żeby to wypadło zuchwale, jeno że...

— urwał.

— Co takiego?— Gadają, że jak klasztory upadną, to mnisi dostaną emerytury, ale służba pójdzie na bruk. Tylko że ja zara będę nosił szósty krzyżyk, nie mam rodziny żadnego fachu w ręku, jak tylko tej bramy pilnować. A w Scarnsea nie ma pracy.

— Nic nie poradzę na to, co gadają długie języki — odparłem nieco łagodniej. — Jest wasz pomocnik?

— David? Jest.

— Kaźcie mu zaprowadzić mojego konia do stajni. Idę do opata.

Patrzyłem, jak chłopak, prowadząc Chancery'ego przez podwórzec, ostrożnie stawia nogi na śliskiej brei. Przypomniałem sobie rozmowę z Cromwellem — zarówno Bugge, jak wszyscy pozostali służący zostaną wyrzuceni na ulicę, jeśli nie znajdą sobie innej pracy. Pamiętałem dzień, kiedy byłem w przytułku, pamiętałem zarejestrowanych żebraków odśnieżających ulicę. Chociaż nie przepadałem za

Bugge'em, myśl, że przyjdzie mu zamiatać ulice straci nawet tę resztkę władzy, którą lubił się tak pysznić, nie należała do przyjemnych. Prawdopodobnie nie przeżyje tam dłużej niż pół roku.

Usłyszałem za sobą ruch odwracając się, chwyciłem za miecz Smeatona. Przez mgłę ledwo mogłem dostrzec postać stojącą pod murem.

— Kto tam? — spytałem ostro.

Z cienia wyłonił się brat Guy w kapturze zasłaniającym jego ciemną twarz.

— Widzę, że wróciliście, panie komisarzu — odezwał się z tym swoim sepleniącym akcentem.

— Po co stoicie tu tak po ciemku?

— Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Spędziłem cały dzień przy łożu brata Paula. Umarł godzinę temu.

Przeżegnał się.

— Przykro mi.

— Czas już był na niego. Na koniec sprawiał wrażenie, jakby wrócił do swego dzieciństwa. Gadał o waszych wojnach domowych z zeszłego stulecia, Yorku z Lancasterem. Widziałś

starego króla Henryka Szóstego, jak się ślinił, kiedy prowadzono go ulicami Londynu, gdy powracał na tron.

— Teraz mamy silnego króla.

— Nikt w to nie wątpi.

— Słyszałem, że Jerome uciekł.

— Tak. Jego strażnik nie zamknął drzwi. Ale znajdą go, nie zdoła się ukryć. Biedaczysko, jest jeszcze słabszy, niż na to wygląda, noc spędzona na dworze w taki ziąb bardzo mu zaszkodzi.

— Jest obłąkany. Może być niebezpieczny.

— Służący nie mają teraz głowy do obowiązków. Bracia również, wszyscy się zamartwiają, co się z nimi stanie.

— Czy z Alice wszystko w porządku?

— Tak. Oboje ciężko pracowaliśmy. Pogoda się zmienia, wszyscy zapadają na gorączkę. To przez te cuchnące wyziewy z bagien.

— Byliście może kiedyś w Toledo?

Wzruszył ramionami.

— Za czasów mego dzieciństwa nasza rodzina przenosiła się miasta do miasta. Dopiero kiedy skończyłem dwanaście lat, wyjechaliśmy do Francji tam znaleźliśmy bezpieczne schronienie. Tak,

przypominam sobie, że mieszkaliśmy przez jakiś czas w Toledo. Pamiętam wielki zamek odgłos żelaza kutego w warsztatach, których były tam chyba tysiące.

— Spotkaliście tam jakichś Anglików?

— Anglików? Raczej nie. Co nie znaczy, że byłoby w tym coś dziwnego, wielu Anglików mieszkało podówczas w Hiszpanii. Teraz już oczywiście wszyscy opuścili ten kraj.

— W istocie. Hiszpania stała się naszym wrogiem. — Zrobiłem krok do przodu zająłem głęboko w jego brązowe oczy, ale były nieprzeniknione... Poprawiłem płaszcz. — Muszę już iść, bracie.

— Czy chcecie z powrotem swoją izbę w infirmerii?

— Zobaczymy, niech brat w niej napali.

Zostawiłem go skierowałem kroki w stronę domu opata.

Idąc przez podwórzec, rzucałem niespokojne spojrzenia ku cieniom czającym się pod budynkami patrzyłem, czy nie mignie mi gdzieś biały habit kartuza. Co zamierzał teraz Jerome?

Na moje pukanie drzwi otworzył stary służący. Oznajmił, że opat jest w domu rozmawia z przeorem, a pan Mark Poer przebywa w swoim pokoju. Powiódł mnie po schodach do dawnej izby Goodhapsa pozbawionej teraz pustych butelek zapachu niemytego starego ciała. Mark pracował przy stole, gdzie leżała rozłożona sterta listów. Zwróciłem uwagę, że chłopakowi włosy urosły trochę za długie, będzie musiał iść do balwierza, jeśli chce nadal przestrzegać mody.

Powitał mnie zdawkowo, z jego oczu biły chłód czujność. Nie miałem cienia wątpliwości, że w ciągu tych ostatnich dni spędzał z Alice każdą wolną chwilę.

— Przeglądasz korespondencję opata?

— Tak, wasza miłość. Zwykłe, codzienne sprawy. — Spojrzał na mnie ciekawie spod oka. — Jak poszło w Londynie? Dowiedzieliście się czegoś o mieczu?

— Trafiłem na kilka tropów. Zbadałem sprawę oczekuję teraz na posłańca z Londynu. Na szczęście lord Cromwell nie obawia się listów Jerome'a do Seymourów. Słyszałem, że kartuz uciekł.

— Przeor przetrząsa cały klasztor z kilkoma młodszymi mnichami. Okrutnie się złości. Wczoraj im trochę pomagałem, ale nigdzie nie znaleźliśmy ani śladu.

— Wyobrażam sobie. A skąd się wzięły te pogłoski o zamykaniu klasztorów?

— Zdaje się, że w gospodzie w mieście zatrzymał się jakiś człowiek z Lewes powiadał, że likwidują tamto ogromne opactwo.

— Cromwell mówił, że ugoda jest już blisko. Prawdopodobnie rozsyła ludzi po kraju, którzy mają o tym rozpowiadać, aby posiać strach w innych klasztorach. Ale to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba. Muszę przekonać opata, że istnieje jeszcze szansa uratowania Scarnsea.

Spojrzenie Marka jeszcze bardziej ochłodziło. Nie spodobało mu się, że chcę zwodzić zakonników. Przypomniało mi się, co mówiła Joan, że chłopak jest zbyt idealistą na ten świat.

— Dostałem list z domu — oznajmiłem. — Marne zbiory były tego roku. Twój ojciec ma nadzieję, że pozamykają wszystkie klasztory, bo dzięki temu będzie dla ciebie więcej pracy w sądzie.

Mark nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie ponuro.

— Idę do opata — oznajmiłem. — Na razie się stąd nie ruszaj.

■9»

Fabian siedział za biurkiem, a naprzeciwko niego przeor. Wyglądało na to, że rozmawiają już od długiego czasu. Opat jeszcze bardziej zmizerniał na twarzy, za to poczerwieniałe oblicze przeora wyglądało jak rozgniewana maska. Obaj podnieśli się z krzesel, kiedy wszedłem.

— Witamy z powrotem, panie komisarzu — rzekł opat. — Czy udała się wam podróż?

— O tyle, że lord Cromwell nie musi się już niepokoić listami, które mógł wysłać Jerome. Słyszę wszelako, że łotr uciekł.

— Przewróciłem klasztor do góry nogami, żeby znaleźć tę kanałą. Nie wiem, w jakiej norze się zaszył, ale na pewno nie przelazł przez mur nie prześliznął się koło Bugge'a. Musi się tu gdzieś ukrywać.

— Z jakim zamiarem, jestem ciekaw.

Opat pokręcił głową.

— O tym właśnie debatowaliśmy z bratem przeorem. Może czeka na sposobność, aby się wymknąć. Brat Guy uważa, że przy swoim stanie zdrowia nie wytrzyma długo o chłodzie głódzie. — Albo może czyha, aby splatać komuś psikusa, na przykład mnie.

— Och, mam nadzieję, że nie — rzekł opat.

— Powiedziałem furtianowi, że przez najbliższe dni nikomu nie wolno opuszczać klasztoru bez mojego zezwolenia. Proszę przekazać to wszystkim braciom.

— Dlaczego, panie komisarzu?

— To niezbędny środek ostrożności. Teraz inna sprawa. Słyszę, że rozeszły się pogłoski o zamknięciu Lewes ludzie mówią, że Scarnsea będzie następne.

— Pan komisarz nie ukrywał tego przede mną — rzekł opat z westchnieniem.

Skłoniłem głowę.

— Z rozmowy z lordem Cromwellem wywnioskowałem, że nic w chwili obecnej nie jest przesądzone. Może zbyt pochopnie dałem to wam do zrozumienia.

Poczułem ukłucie sumienia, mówiąc te kłamstwa, ale w tej chwili nie miałem innego wyjścia. Nie chciałem, aby mój podejrzany pod wpływem strachu podjął pochopne działania.

Twarz opatowi się rozpromieniła, a w oczach przeora zabłyśła iskra nadziei.

- Więc nie zamkną klasztoru? Jest jeszcze nadzieja?
- Powiedzmy, że rozmowy o zamknięciu są przedwczesne należy im zapobiegać.

Opat z przejęciem pochylił się nad biurkiem.

- Może powinienem wygłosić krótką mowę przy wieczerzy? Zaczyna się za pół godziny. Mógłbym powiedzieć, że... że... nie ma obecnie planów zamknięcia klasztoru.
- To zaiste dobra myśl.
- Lepiej sobie coś przygotuj — zasugerował przeor.
- Tak, tak, naturalnie.

Opat sięgnął po pióro papier. Mój wzrok padł na pieczęć klasztoru leżącą obok jego łokcia.

- Powiedźcie mi, bracie opacie, czy drzwi do tej komnaty są zazwyczaj otwarte? Opat podniósł zdziwiony wzrok.
- Tak.
- Czy to nie jest zbyt niebezpieczne. Ktoś może tu wejść niezauważony przystawić oficjalną pieczęć klasztoru na każdym dokumencie, jaki mu się spodoba.

Popatrzył na mnie skonsternowany.

- Ale w domu zawsze są służący. Nikomu nie wolno tu wchodzić.
- Nikomu?
- Nikomu poza wyższymi urzędnikami.
- Oczywiście. Dobrze więc, zostawiam panów samych. Do zobaczenia przy wieczerzy.

■fl"

I znów obserwowałem mnichów wchodzących gęsiego do refektarza. Przypomniał mi się mój pierwszy wieczór w tym klasztorze: drżący z zimna Simon Whelplay w spiczastej czapce głupców, a za oknem padający śnieg. Dzisiaj za oknem woda kapłała z kurczących się sopli, na ziemi tworzyły się czarne łąty w topniejącym śniegu, a ścieżki zamieniały się w maleńkie potoki.

Mnisi zajmowali miejsca przy stołach milczący, skuleni w czarnych habitach. Rzucali niespokojne, wrogie spojrzenia w stronę, gdzie stałem obok opata Fabiana przy wielkim, rzeźbionym pulpicie. Kiedy przechodził obok mnie Mark, aby zająć miejsce u szczytu, złapałem go za ramię.

- Opat zamierza ogłosić, że król nie rozwiąże Scarnsea — szepnąłem. — To bardzo ważne. Mamy tu ptaszka, którego nie chcę za wcześnie wypłoszyć z kryjóWKI.
- Jestem tym wszystkim zmęczony.

Wyszarpnął rękę usiadł przy stole. Policzki mi zapłonęły z gniewu na tę jawną arogancję. Opat Fabian zaszeleścił kartkami na pulpicie, po czym z twarzą, na którą powrócił nowy rumieniec, oznajmił braciom, że pogłoski o zamknięciu wszystkich klasztorów są fałszywe. Lord Cromwell powiedział, że na razie nie czynił planów likwidacji Scarnsea pomimo okrutnych zabójstw, w sprawie których nadal toczy się śledztwo. Dodał również, że nikomu nie wolno opuszczać klasztoru.

Różne były reakcje wśród mnichów. Niektórzy, zwłaszcza ci starsi, uśmiechali się wzdychali z ulgą. Inni patrzyli z powątpiewaniem. Rozejrzałem się po stole dla wyższych urzędników. Młodszy: bracia Jude Hugh przyjęli tę wiadomość z zadowoleniem, twarz Mortimusa rozjaśniła się nadzieją. Guy jednak pokręcił lekko głową, a szafarz zmarszczył jeno czoło.

Służący wnieśli gęstą zupę warzywną, a po niej gulasz barani z ziołami. Uważnie obserwowałem, czy nalewa mi się jedzenie z tej samej wazy co innym czy nikt nie próbuje jakichś sztuczek z talerzami, kiedy podawano je sobie wzdłuż stołu. Gdy zaczęliśmy jeść, przeor Mortimus, który już sobie dogodził dwoma kieliszkami wina, odwrócił się do opata.

- Skoro jesteśmy bezpieczni, wasza dostojność, trzeba wybrać nowego zakrystiana.
- Jakże to, Mortimusi, wszak ledwie trzy dni upłynęły od pochówku biednego Gabriela.
- Ale my musimy żyć dalej. Ktoś musi negocjować z szafarzem kwestie napraw w kościele, co bracie Edwigu?

Wzniósł nieznacznie kielich w stronę szafarza, który nadal siedział nachmurzony.

- O ile w-wyberze się kogoś rozsądniej szego od G-Gabrie-la, kto zrozumie, że nie stać nas na wielkie remonty.

Przeor odwrócił się do mnie.

- Kiedy dochodzi do spraw pieniędzy, nasz szafarz jest najbardziej nieprzystępnym człowiekiem w całej Anglii. Nigdy nie zrozumie, czemuście tak protestowali przeciwko zbudowaniu rusztowań do tych robót, bracie Edwigu. Nie da się zrobić należytych napraw, używając jeno lin bloków.

Szafarz poczerwieniał, widząc, że skupiła się na nim cała uwaga przy stole.— No d-d-dobrze już, niech będzie. Zgadzam się na te r-rusztowania.

Opat wybuchnął śmiechem.

- No proszę, bracie szafarzu, a spieraliście się o to z Gabrielem przez kilka miesięcy. Nie ustąpiliście nawet, kiedy powiedział, że ktoś się może zabić na tych linach. Cóż to was teraz naszło?

- To b-była kwestia n-negocjacji. — Szafarz spuścił wzrok zmarszczył czoło, patrząc na swój talerz.

Przeor nalał sobie kolejny kielich wina obrócił na mnie zarumienioną twarz.

- Pan komisarz nie słyszał jeszcze historii o Edwigu krwawych kiszkach?

Mówił głośno mnisi przy dużym stole jęli chichotać. Pochmurna twarz szafarza spurpurowiała.

— Dajże pokój, Mortimusi — rzekł opat pobłażliwie. — Okaż miłosierdzie konfratrowi.

— Ale wszak to historia właśnie o miłosierdziu! Dwa lata temu, kiedy nadszedł dzień jałmużny, okazało się, że nie mamy mięsa, aby rozdać biednym przy bramie. Musielibyśmy ubić świnię, ale brat szafarz nie chciał o tym słyszeć. Dopiero co nastał u nas brat Guy. Puszczął właśnie krew kilku braciom zbierał ją, żeby nawozić rośliny w ogrodzie. Brat Edwig zaproponował, żeby wziąć trochę krwi, zmieszać ją z mąką rozdawać ubogim jako kiszkę. Nigdy się nie dowiedzą, że to nie była krew świni. A wszystko, żeby zaoszczędzić na świniaku!

To powiedziawszy, roześmiał się hałaśliwie.

— Ta opowieść jest nieprawdziwa — odezwał się brat Guy. — Tyle razy to powtarzałem.

Spojrzałem na brata Edwiga. Szafarz przestał jeść siedział zgarbiony nad talerzem, ściskając w dłoni łyżkę. Nagle rzucił sztućcem, aż srebro zadzwoniło o talerz, poderwał się na równe nogi. Czarne oczy płonęły mu w zaczerwienionym obliczu. W

— Głupcy! — krzyknął. — Bluźniercy głupcy! Tylko jedna krew powinna się dla was liczyć, krew naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, którą pijemy podczas każdej mszy, gdy przemieniamy ją w wino! Dzięki tej krwi świat nie rozpada się na kawałki. — Zaciśnął pulchne dłonie w pięści, twarz mieniła mu się od emocji, jękanie znikło. — Głupcy, nie będzie więcej mszy. Chwyćcie się tej nadziei jak tonący brzytwy. Jak możecie wierzyć, że Scarnsea ocaleje, skoro słyszycie, co się dzieje w całym kraju? Głupcy! Król was wszystkich zniszczy!

Grzmotnął pięściami w stół, potem odwrócił się wyszedł z refektarza. Trzasnął drzwiami, pozostawiając komnatę pogrążoną w głuchoj ciszy.

Wziąłem głęboki oddech.

— Panie przeorze, traktuję to wystąpienie jako zdradę stanu. Proszę zebrać służących nałożyć na szafarza areszt.

Mortimus spojrzał na mnie osłupiały.

— Ależ panie komisarzu, on nie ma nic przeciwko zwierzchności króla nad Kościołem.

Mark pochylił się do mnie przez stół.

— Wasza miłość, przecie te słowa nie były zdradą stanu.

— Proszę uczynić, jak rozkazałem — rzekłem do opata Fabiana.

— Zróbże to, Mortimusi, na litość boską.

Przeor zaciśnął usta, ale wstał od stołu wyszedł z sali. Siedziałem przez chwilę z głową pochyloną w zamyśleniu, świadom, że spoczywają na mnie oczy wszystkich obecnych. Potem wstałem, dając Markowi znak, aby pozostał podszedłem do drzwi w samą porę akurat, aby zobaczyć Mortimusa prowadzącego grupę służących z pochodniami w stronę rachunkowości.

Nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Obróciłem się błyskawicznie na pięcie. Za mną stał Bugge z zaafekowaną miną.



— Panie komisarzu, przybył posłaniec.

— Co?— Jezdny z Londynu. Jak żyję, nie widziałem człeka tak wymazanego błotem.

Przez chwilę stałem patrząc, jak Mortimus wali do drzwi izby rachunkowej. Nie mogłem się zdecydować, czy powinienem podążyć za nim, czy iść do posłańca. W głowie mi się mąciło, przed oczami tańczyły czarne plamy. Odetchnąłem głęboko odwróciłem się do furtiana, który łytał na mnie ciekawie.

— Chodź — rzekłem ruszyłem pierwszy w stronę bramy.

#### Rozdział trzydziesty pierwszy

Posłaniec siedział skulony przy ogniu w stróżówce. Chociaż uwalany był błotem od stóp do głów, rozpoznałem młodego człowieka, którego widywałem, jak doręczał listy w biurze Cromwella. Wikariusz generalny wiedział już, jaka była odpowiedź strażnika z Tower.

Posłaniec stanął na drżących nogach, widać bowiem było, że bardzo jest wyczerpany, ukłonił się.

— Pan komisarz Shardlake?

Skinąłem głową, bo zbyt byłem rozemocjonowany, aby przemówić.

— Mam to oddać do rąk własnych.

Wręczył mi dokument opatrzony pieczęcią Tower. Odwróciłem się plecami do obydwu mężczyzn, złamałem pieczęć przeczytałem trzy linijki, które zawierał list. Pismo potwierdziło moje domysły. Odwracając się, zmusiłem mięśnie twarzy, aby przybrały obojętny wyraz, albowiem Bugge przyglądał mi się bacznie. Posłaniec usiadł ciężko z powrotem przy ogniu.

— Panie furtianie — rzekłem — ten człek przejechał długą drogę. Proszę dopilnować, aby otrzymał dobrze ogrzaną izbę na noc odpowiednie wiktuały, jeśli sobie tego zażyczy. — Odwróciłem się do posłańca. — Jak się nazywacie?

— Hanfold, panie. — Niewykluczone, że będę miał wiadomość, którą trzeba będzie zawieźć z powrotem jutro rano. Dobrej nocy. Dobrze się sprawiliście.

Opuściłem stróżówkę, zgniatając papier w kieszeni szybkim krokiem ruszyłem z powrotem przez podwórzec. Wiedziałem, co muszę uczynić, nigdy jeszcze tego nie czyniłem z cięższym sercem.

Przystanąłem. Coś się poruszyło. Jakiś cień zauważyłem kątem oka. Obróciłem się tak szybko, że omal nie upadłem w śliską breję. Byłem pewien, że coś mignęło koło przybudówki pod kuźnią, ale teraz niczego tam nie widziałem.

— Jest tam kto? — zawołałem ostro.

Nikt mi nie odpowiedział, nie doszedł mnie żaden dźwięk poza nieustannym kapaniem wody z dachów. Mgła gęstniała. Kłębiąc się wokół budynków, zamazywała krawędzie murów, roztaczała świetliste aureole wokół okien, w których paliły się świece. Nastawiając uszu na wszelkie dźwięki, poszedłem dalej w stronę infirmerii.

Z łóżka brata Paula zdjęto pościel. Obok na krześle siedział niewidomy mnich ze zwieszoną głową. Otyły zakonnik spał. W sali chorych nie było nikogo więcej. Gabinet brata Guya również był pusty — nikt jeszcze widocznie nie wrócił z refektarza. Aresztowanie Edwiga musiało wywołać wielkie poruszenie.

Idąc dalej korytarzem, minąłem swoją dawną izbę doszedłem do pokoju Alice. Spod drzwi sączył się pasek światła. Zapukałem nacisnąłem klamkę.

Dziewczyna siedziała na wysuwającym łóżku w izbie bez okien wpychała ubrania do wielkiej sakwy podróźnej. Podniosła głowę popatrzyła na mnie ze strachem w błękitnych oczach. Jej silna, szeroka twarz jakby się zapadła przejęta tym lękiem. Poczułem rozpaczliwy smutek.

— Udajesz się w podróż? Zdumiałem się, jak normalnie zabrzmiał mój głos, spodziewałem się bowiem usłyszeć własne chrypienie.

Nie odezwała się, tylko siedziała bez ruchu z trokami sakwy w dłoniach.

— Cóż mi powiesz, Alice? — Głos mi w końcu zdrzął. — Alice Fewterer, córko kobiety o panieńskim nazwisku Smeaton?

Zarumieniła się, ale nadal się nie odzywała.

— Och, Alice, oddałbym prawą rękę za to, żeby to była nieprawda. — Nabrałem powietrza. — Alice Fewterer, muszę cię aresztować w imieniu króla za nikczemne zamordowanie jego komisarza Roberta Singletona.

Wtedy się odezwała głosem drżącym od emocji.

— To nie było morderstwo. Wymierzyłam mu sprawiedliwość.

— Zapewne tobie się tak wydaje. A więc mam rację, Mark Smeaton był twoim kuzynem?

Podniosła na mnie oczy, zmrużyła je, jakby coś kalkulowała w pamięci, a potem przemówiła głosem czystym, przepętnionym zimną bezwzględnością, jakiej nigdy nie chciałym więcej usłyszeć w ustach żadnej kobiety.

— Nie tylko kuzynem. Byliśmy kochankami.

— Co takiego?

— Jego ojciec, brat mojej matki, wyjechał szukać szczęścia w Londynie, kiedy Mark był małym chłopcem. Matka nigdy mu nie wybaczyła, że zostawił rodzinę, ale kiedy mężczyzna, za którego miałam wyjść za mąż, zmarł, pojechałam do Londynu, aby mu przypomnieć o naszym pokrewieństwie, chociaż mama próbowała mnie powstrzymać. Tutaj nie było pracy.

— Więc wzięli cię do siebie?

— John Smeaton jego żona byli dobrymi ludźmi. Naprawdę dobrymi. Przyjęli mnie do swego domu pomogli znaleźć pracę u londyńskiego aptekarza. To było cztery lata temu, Mark był już wtedy nadwornym muzykiem. Moja ciotka zmarła podczas zarazy potów, chwala Bogu, przynajmniej oszczędzone jej było doświadczyć tego, co się stało.

ły stanęły jej w oczach, ale wytarła je podniosła na mnie wzrok. Znów zauważyłem w nim jakąś badawczą czujność, której nie potrafiłem zrozumieć.

— Ale wy, panie komisarzu, musicie już o tym wszystkim wiedzieć — nigdy nie słyszałem tyle pogardy włożonej w jedno słowo „komisarz” — inaczej, co byście tu robili?

— Jeszcze pół godziny temu niczego nie byłem pewien. Miecz doprowadził mnie do Johna Smeatona, nic dziwnego, żeś mnie tamtego dnia nad stawem błagała, abym nie jechał do Londynu. Na jakiś czas moje śledztwo utknęło w martwym punkcie. Zdziwiłem się, kiedy przeczytałem w aktach, że John Smeaton nie miał żadnych krewnych płci męskiej, a jego majątek przypadł starej kobiecie. To była twoja matka, prawda?

— Tak.

— Przebiegłem w pamięci nazwiska wszystkich mieszkańców klasztoru, zastanawiając się, kto mógł mieć tyle siły wprawy we władaniu mieczem, aby ściąć człowiekowi głowę. Przez większą część mego pobytu w Londynie nie posunąłem się w śledztwie ani krok dalej. Potem wszakże pomyślałem, że może John Smeaton miał inną krewną, kobietę. Przez cały czas zakładałem, że to mężczyzna musiał popełnić tę zbrodnię, ale wtenczas pojąłem, że nie ma powodu, aby nie mogła tego uczynić młoda, silna niewiasta. To mnie doprowadziło do ciebie — zakończyłem ze smutkiem. — Przed chwilą otrzymałem wiadomość, która potwierdziła, że w przeddzień śmierci Marka Smeatona odwiedziła go w więzieniu młoda kobieta, a rysopis pasuje do ciebie. — Popatrzyłem na nią pokręciłem głowę. — To dla kobiety okropny grzech uczynić coś takiego.

Znowu odezwała się głosem lodowatym, przepętnionym goryczą.

— Doprawdy? Gorszy niż to, co on uczynił?

Podziwiałem jej opanowanie, jej niewzruszony spokój.

— Wiem, co zrobiono Markowi Smeatonowi — rzekłem. — Część opowiedział mi Jerome, reszty dowiedziałem się w Londynie.

— Jerome? A co on ma z tym wspólnego?

— Tamtej nocy Jerome siedział w celi sąsiadującej z celą twego kuzyna. Kiedy go tu przywieziono, musiał cię rozpoznać. Singletona również, dlatego nazwał go kłamcą krzywoprzysięcą. Oczywiście, kiedy mi przysięgał, że nie zna żadnego „męża” w tym klasztorze, który byłby zdolny uczynić taką rzecz, mówił prawdę, a zarazem naigrywał się z nas wszystkich. Domyślił się, że to ty.

— Nic mi nie powiedział. — Pokręciła głowę. — A powinien był. Tak mało ludzi zna prawdę wie, ile wyrządziliście zła.

— Kiedy tu przyjechałem, nie miałem pojęcia o tym, co uczyniono Markowi Smeatonowi królowej. Masz rację, to było niegodziwe okrutne.

W jej oczach błysnęła iskra nadziei.

— Więc puśćcie mnie wolno, panie. Od kiedy tu przyjechaliście, nie mogłam się wam nadziwić. Nie jesteście takim bezwzględnym łajdakiem jak Singleton inni ludzie Cromwella. Wymierzyłam jeno sprawiedliwość. Błagam, puśćcie mnie, panie.

Pokręciłam głową.

— Nie mogę. Mimo wszystko popełniłaś morderstwo. Muszę cię aresztować.

Popatrzyła na mnie błagalnie.

— Gdybyście wiedzieli wszystko, panie... Błagam, wysłuchajcie mnie.

Powinienem być się domyśleć, że próbuje zyskać na czasie, mimo to pozwoliłem jej mówić. Tak długo czekałem na to wyjaśnienie.

— Mark odwiedzał swych rodziców, gdy tylko mógł. Z chóru kardynała Wolsleya przeniósł się na dwór Anny Boleyn został jej nadwornym muzykiem. Biedny chłopak, wstydził się swego pochodzenia, a mimo to przychodził odwiedzać rodziców. Nic dziwnego, że zawróciła mu w głowie świetność królewskiego dworu. Zabrał mnie raz, abym mogła obejrzeć z bliska wielkie pałace w Greenwich Whitehall, ale za nic nie wprowadziłbymnie do środka, nawet po tym, jak zostaliśmy kochankami. Powiedział, że możemy się spotykać tylko potajemnie. Byłam zadowolona. A potem pewnego dnia wróciłam po skończonej pracy w domu mego owdowiałego wuja zastałam Robina Singletona z oddziałem żołnierzy. Próbował wymusić na nim zeznanie, że jego syn wyznał mu, iż sypiał z królową. Kiedy zrozumiałam, co się dzieje, podbiegłam do Singletona uderzyłam go, aż żołnierze musieli mnie odciągać. — Zmarszczyła brwi. — Wtedy pierwszy raz poczułam, że drzemie we mnie okropny gniew. Rzucili mnie gdzieś w kąt, ale wuj nie powiedział im, co mnie łączyło z Markiem ani że jestem jego kuzynką, bo mnie również próbowaliby zastraszyć zmusić do milczenia. Biedny wuj zmarł dwa dni po śmierci Marka. Byłam na procesie, widziałam, jak sędziowie się bali, od początku nie było wątpliwości, jaki zapadnie wyrok. Próbowałam odwiedzić Marka w Tower, ale nie chcieli mnie wpuścić, aż w końcu strażnik ulitował się nade mną w ostatnią noc. Mark leżał zakuty w kajdany w tym swoim pięknym ubraniu całkowicie podartym w strzępy.

— Wiem, Jerome mi opowiadał.

— Kiedy go aresztowali, Singleton obiecał, że król go ułaskawi, jeśli przyzna się, że sypiał z królową. Początkowo wierzył niczym głupiec, że skoro nie uczynił nic złego, to prawo go ochroni! — Roześmiała się zimno. — W Anglii prawo jest kołem, na którym łamie się niewinnych ludzi! Dotąd go torturowali, aż cały jego świat wypełnił się krzykiem. W końcu się przyznał, a oni, okaleczonemu, dali dwa tygodnie życia, aby mógł stanąć przed sądem, a potem obcięli mu głowę. Widziałam to, stałam wśród tłumu. Przrzekłam mu, że moja twarz będzie ostatnią rzeczą, jaką zobaczy przed śmiercią. — Potrząsnęła głową. — Tyle tam było krwi. Strumienie tryskały w powietrze. Zawsze jest tyle krwi.

— To prawda.

Przypomniało mi się, jak Jerome mówił, że Smeaton sypiał z wieloma kobietami. Alice chowała w sercu wielce wyidealizowany obraz swego ukochanego, ale przecież nie mogłem jej tego wyjawić.

— A potem Singleton zjawił się tutaj — powiedziałem.

— Możecie sobie przedstawić, panie, co poczułam, kiedy idąc pewnego dnia przez podwórzec, ujrzałam go, jak klóci się z asystentem szafarza? Słyszałam, że do opata przyjechał komisarz, ale przez myśl mi nie przeszło, że to może być on...

— Więc postanowiłaś go zamordować?

— Wiele razy marzyłam, aby zabić to wcielenie zła. Wiedziałam, że muszę to uczynić. Na świecie powinna zapanować sprawiedliwość.

— Nader często jej nie ma, Alice.

Twarz jej przybrała zawzięty lodowaty wyraz.

— Więc tym razem była.

— Komisarz cię nie rozpoznał?

Roześmiała się.

— Skądże. Zobaczył dziewczkę służebną dźwigającą jakiś worek, jeżeli w ogóle mnie zauważył. Od przeszło roku pomagałam tu bratu Guyowi. Aptekarz w Londynie mnie zwolnił, bo byłam krewną Smeatona. Wróciłam do matki. Dostała list od prawnika pojechała do Londynu zabrać rzeczy, które zostały po wuju. A potem zmarła na atak serca, tak samo jak jej brat. Copynger mnie wyrzucił, więc przyszłam tutaj.

— Czy ludzie w mieście nie wiedzieli o twoim pokrewieństwie ze Smeatonami?

— Trzydzieści lat minęło od wyjazdu wuju, matka zmieniła nazwisko. Przeszłość poszła w zapomnienie, a ja nie chciałam jej nikomu przypominać. Powiedziałam, że pracowałam w Esher u aptekarza, który potem zmarł.

— Zachowałaś miecz.

— Z sentymentu. Czasami wieczorem wuj pokazywał nam niektóre ruchy fechtistrów. Nauczyłam się trochę o równowadze, krokach, kierunkach siły. Kiedym ujrzała Singletona, zrozumiałam, że muszę zrobić z tej wiedzy użytek. — Na Boga, niewiasto, twoja odwaga budzi grozę.

— To było łatwe. Nie miałam kluczy do kuchni, ale przypomniały mi się opowieści o starym korytarzu.

— Wiem, że go znalazłaś.

— Tak. Przeszukałam wszystkie izby. Potem napisałam anonimowy list do Singletona, że chciałabym się z nim spotkać w nocy w kuchni, że mam mu do wyjawienia ważny sekret. — Uśmiechnęła się w taki sposób, że ciarki przebiegły mi po krzyżu. — A on pomyślał, że to od kogoś z mnichów. — Nagle jej uśmiech zrzędł. — Wiedziałam, że będzie dużo krwi, więc poszłam do pralni ukraść habit. Kiedy zamieszkałam w tej izbie, znalazłam w szufladzie klucz do pralni.

— Zgubił go pewnie brat Luke, kiedy się szamotał z Sierotką Stonegarden. Widocznie go zachowała.

— Biedaczka. Lepiej poszukalibyście tego, kto zabił tę dziewczynę, zamiast ścigać zabójcę łajdaka Singletona. — Wpiła we mnie spojrzenie. — Wdziałam habit, wzięłam miecz weszłam ukrytym korytarzem do kuchni. Razem z bratem Guyem doglądaliśmy tamtej nocy starego mnicha. Powiedziałam, że chciałabym godzinę odpocząć. Tak łatwo to wszystko poszło. Stałam za kredensem kiedy komisarz przechodził obok, zamachnęłam się. — Uśmiechnęła się z satysfakcją mrozącą krew w żyłach. — Dobrze naostrzyłam miecz, więc głowa spadła po pierwszym cięciu.

— Tak jak Annie Boleyn.

— Tak jak Marka. — Zmieniła się na twarzy. Zmarszczyła brwi. — Tyle krwi. Miałam nadzieję, że krew Singletona zmyje mój gniew, ale tak się nie stało. Nadal we śnie widzę twarz mego kuzyna.

Wtem oczy jej rozbłysły głośno odetchnęła z ulgą. Czyjaś dłoń chwyciła mnie od tyłu za nadgarstek wykręciła mi rękę za plecy, tak że mój sztylet upadł z brzękiem na podłogę. Druga ręka owinęła mi się wokół szyi. Spojrzawszy w dół, ujrzałem nóż przyłożony do mego gardła.— Jerome? — zaskrzeczałem.

— Nie, wasza miłość — odpowiedział mi głos Marka. — Proszę nie krzyczeć. — Nóż przyłgnął mocniej do mego gardła. — Niech wasza miłość podejdzie do łóżka usiądzie. Powoli.

Chwiejąc się na nogach, zrobiłem kilka kroków osunąłem się na wysuwaną pryczę. Alice wstała, podeszła do Marka objęła go ramieniem.

— Już myślałam, że nigdy się nie zjawisz. Musiałam go ciągle zagadywać.

Mark zamknął drzwi stał, kołysząc się na piętach, trzymając sztylet w pobliżu mojej szyi, gotów w każdej chwili rzucić się poderżnąć mi gardło. Na jego obliczu nie widać było nienawiści, lecz determinację. Podniosłem na niego wzrok.

— Więc to ciebie słyszałem na podwórku? Szedłeś za mną?

— Tak. Kto inny mógł o tym wiedzieć, wasza miłość?

Nadal mówił do mnie „wasza miłość”. Omal nie wybuchnąłem śmiechem.

— List przywiózł postaniec lorda Cromwella. Wikariusz generalny zna już prawdę. Rozumiem, że wiesz, co ona zrobiła?

— Powiedziała mi w dniu, kiedy zostaliśmy kochankami. Tego samego wieczoru, gdy wyjechaliście do Londynu. Wiedziałem, że jesteście bystrym człowiekiem, że zbliżacie się do odkrycia prawdy, więc poczyniliśmy wszystkie przygotowania, aby dziś wieczorem uciec. Gdyby wasza miłość przyjechał kilka godzin później, już by nas tu nie zastał. Szkoda, że tak się nie stało.

— Nie macie dokąd uciec. Nie znajdziecie schronienia w Anglii.

— Nie zostaniemy w Anglii. Na rzece czeka na nas łódź, którą popłyniemy do Francji.

— Przemytnicy?

— Tak — odparła rzeczowo Alice. — Skłamałam wam, mówiąc, że moi towarzysze zabaw z dzieciństwa utonęli na morzu. Do dziś są moimi przyjaciółmi. Na morzu czeka fran-

cuski statek, jutro wieczorem zabiera ładunek z klasztoru, ale dziś wieczorem przyślą po nas łódź.

Drgnąłem.

— Z klasztoru? Czy wiesz, co to za ładunek? I kto go wysłał?

— Nie obchodzi mnie to. Na statku zaczekamy do jutra, a potem odpłyniemy do Francji.

— Marku, czy ty wiesz, co to za towar?

— Nie. — Przygryzł wargę. — Przykro mi, wasza miłość, ale teraz liczy się dla mnie jeno Alice nasza ucieczka.

— We Francji nie przepadają za angielskimi reformatorami.

Popatrzył na mnie z politowaniem.

— Nie jestem reformatorem, wasza miłość, nigdy nim nie byłem, a już najmniej po tym, jakim poznał postępkę Cromwella.

— Jesteś zdrajcą — rzekłem mu. — Wobec króla wobec mnie, którym cię traktował jak syna.

Popatrzył na mnie ze współczuciem.

— Nie jestem waszym synem. Nigdy nie zgadzałem się z waszą religią. Wiedzielibyście o tym, gdybyście mnie kiedykolwiek słuchali, miał traktować mnie niczym pudło rezonansowe dla swych własnych idei.

Jęknąłem.

— Nie zasłużyłem sobie na to, co mi czynisz. Ty również, Alice.

— Kto wie, na co człowiek zasługuje? — rzekł nagle porywczo Mark. — Na tym świecie nie ma sprawiedliwości ni ładu. Widzielibyście to sami, wasza miłość, gdybyście nie byli tak zaślepieni. Po tym, co mi opowiedziała Alice, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Uciekam razem z nią, podjąłem tę decyzję cztery dni temu.

Mimo to widziałem na jego twarzy wahanie, wstyd, a także to, że uczucie, jakim mnie darzył, nie znikło zupełnie.

— Więc zostałeś papistą? Nie jestem tak ślepy, jak ci się wydaje, Marku, nieraz się zastanawiałem, w co naprawdę\*

wierzysz. Co wobec tego myślisz o tej młodej kobiecie, która zbezczeszczyła kościół? Tyś to zrobiła, prawda, Alice? Położyłaś zabitego koguta na ołtarzu po zabiciu Singletona, aby zmylić trop.

— Tak — odrzekła. — Jednak jeśli uważacie, że Mark ja jesteśmy papistami, to się mylicie. Jesteście wszyscy tacy sami — reformatorzy papiści. Wymyślacie religijne reguły zmuszacie innych, by w nie wierzyli pod karą śmierci, a tak naprawdę walczyacie jeno o władzę, ziemię pieniądze, tylko tego pragniecie.

— Tylko tego pragnę?

— Może wy nie. Macie dobre serce było mi przykro, kiedy musiałam wam kłamać. Ale w sprawie tego, co się dzieje w Anglii, jesteście ślepi jak nowo narodzone kocię. — W jej głosie żal mieszał się z gniewem. — Powinnicie widzieć sprawy oczami zwykłych ludzi, ale tacy jak wy tego nie potrafiać. Myślicie, że dbam o jakikolwiek kościół po tym wszystkim, co widziałam? Więcej żalu czułam, zabijając tego koguta, niżli kładąc jego truchło na ołtarzu.

— Więc co będzie dalej? — spytałem. — Zabijecie mnie?

Mark przełknął ślinę.

— Nie uczynię tego, jeśli mnie wasza miłość nie zmusi. — Odwrócił się do Alice. — Możemy go związać, zakneblować ukryć w twojej szafie. Będą go szukać, ale nie przyjdzie im do głowy, aby zaglądać do twojej izby. Kiedy brat Guy odkryje twoje zniknięcie?

— Powiedziałam, że chcę się wcześniej położyć. Nie zauważy, że mnie nie ma, aż do siódmej, kiedy powinnam się zjawić w jego gabinecie. Wtenczas będziemy już na morzu.

Usiłowałem pozbierać myśli.

— Marku, posłuchaj mnie, proszę. Zapomniałeś o bracie Gabrielu, Simonie Whelplayu, Sierotce Stonegarden.

— Nie mam nic wspólnego z ich śmiercią! — zawołała żywo Alice.

— Wiem o tym. Nieraz rozważałem możliwość, że dwóch zabójców działało wspólnie, ale ni razu nie przyszło mi do głowy, że mogło być dwóch całkiem niezależnych morderców. Marku, pomyśl o tym, co widziałeś: o Sierotce Stonegarden wyciągniętej ze stawu, o Gabrielu zgniecionym jak robak, o Simonie doprowadzonym do obłędu przez truciznę. Pomagałeś mi, stałeś u mego boku. Pozwolisz, aby wszystko to uszło mordercy na sucho?

— Zamierzaliśmy zostawić waszej miłości list z wyznaniem, że Alice zabiła Singletona.

— Słuchajże mnie, czy zamknęli brata Edwiga?

Mark pokręcił głową.

— Nie. Poszedłem za wami do drzwi refektarza usłyszałem, jak Bugge mówi, że przyszła wiadomość. Zakradłem się do bramy, widziałem, jak czytacie list, jak wracacie w stronę infirmerii. Wtedy podszedł do mnie przeor powiedział, że nie znaleźli Edwiga ani w izbie rachunkowej, ani w jego celi. Wygląda na to, że uciekł. Dlatego mnie tak długo nie było, Alice.

— To niedobrze — powiedziałem nagłym tonem. — Sprzedał ziemię, jak sądzę, bez wiedzy opata. Ma gdzieś ukryte tysiąc funtów. Tym waszym statkiem ma uciec do Francji. Grał na zwłokę, czekając, aż przypłynie jego transport. Dlatego zabił nowicjusza Whelplaya: bał się, że chłopak opowie mi o Sierotce Stonegarden, a ja każę go aresztować.

Mark opuścił sztylet patrzył na mnie osłupiały. Widziałem, że udało mi się ściągnąć jego uwagę.

— To brat Edwig ją zabił?



— Tak! Potem w kościele próbował zabić mnie. Przy tej pogodzie minęłoby wiele dni, a może nawet tygodni, zanim przysłałiby kogoś z Londynu na moje miejsce. Płynąłbyś na tym statku razem z mordercą!

— Jesteście tego pewni? — spytał Mark.

— Tak. Usnułem fałszywą historię wokół brata Gabriela, ale prawda jest taka, jak mówię. To, co usłyszałem od was o statku, przypieczętowało sprawę. Edwig jest mordercą złodziejem. Nie możesz ze spokojnym sumieniem pozwolić mu uciec.

Przez ułamek sekundy widziałem, że się waha.

— Jesteście pewni, że to brat Edwig zabił tę dziewczynę? — spytała Alice.

— Absolutnie. Musiał to być jeden z wyższych urzędników, którzy odwiedzili Simona Whelplaya. Zarówno przeor, jak Edwig mieli kłopoty za napastowanie kobiet. Mortimus naprzykrzał się również tobie, ale szafarz nie. To dlatego, że bał się stracić nad sobą panowanie, tak jak z Sierotką.

Mark przygryzł wargę.

— Alice, nie możemy pozwolić mu uciec.

Dziewczyna popatrzyła na mnie z rozpaczą.

— Powieszają mnie albo spalą na stosie. Powiedzą, że jestem wiedźmą, bom zabiła tego koguta.

— Zrobimy tak — rzekł Mark. — Dostaniemy się na statek powiemy im, żeby nie czekali odpływali dzisiaj. Wtedy Edwig nie zdoła uciec ze swoim parszywym złotem. Nie będą chcieli czekać na mordercę.

— Tak, tak — zgodziła się gorliwie Alice. — Możemy tak zrobić.

— Ale on nadal będzie na wolności — powiedziałem.

Mark wziął głęboki oddech.

— Więc musicie go złapać sami, wasza miłość. Przykro mi.

— Musimy już iść — ponagliła go Alice. — Niedługo zaczną się odpływy.

— Mamy jeszcze czas. Jest ósma, zdążymy przeprowić się przez bagno.

— Przez bagno? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Tak — odparła Alice. — Ścieżką, którą wam pokazywałam. Łódź czeka u ujścia.

— Ależ nie możecie! — zawołałem. — Nie widzieliście, że pogoda się zmienia? Śnieg prawie całkiem stopniał. Na bagnie wszystkie ścieżki zamieniły się w śliską breję. Płynąłem po południu kanałem, widziałem, jak to wygląda, a teraz będzie jeszcze gorzej. Woda z roztopów spływa z całego Downs. W dodatku mgła się podnosi. Nie uda się wam przeprowić, uwierzcie mi! — Znam te ścieżki bardzo dobrze — odrzekła Alice. — Znajdę drogę.

Mimo to w jej głosie zadźwięczała niepewność.

— Marku, uwierz mi, na Boga, idziecie na pewną śmierć!

Młodzieniec nabrał powietrza.

— Alice zna drogę. Poza tym, czyż tutaj również nie czeka nas śmierć?

Wziętem głęboki oddech.

— Więc pozwólmy jej uciec. Niech idzie szuka szczęścia, gdzie jej wola. Nikomu nie powiem o twoim udziale, przysięgam. Jeśli to zrobię, będę współsprawcą, nadstawię własnego karku za was oboje, ale nie idź na bagno!

Alice popatrzyła na niego z rozpaczą.

— Marku, nie zostawiaj mnie. Przeprowadzę nas oboje.

— Nie dasz rady, dziewczyno. Nie widziałaś, co tam się dzieje!

Mark dręczony niezdecydowaniem przenosił wzrok to na mnie, to na nią. Stoi mi teraz przed oczami ta scena myślę sobie, jaki był wtenczas młody, zbyt młody, aby w tej jednej chwili zdecydować o losie ich obojga. Twarz mu" zastygła w wyrazie zaciętej determinacji, a ja podupadłem na duchu.

— Musimy was związać. Postaram się, aby was nie bolało. Alice, gdzie jest twoja koszula nocna?

Wyjęła bieliznę spod poduszki, a Mark rozciął ją sztyletem na długie pasy.

— Połóżcie się na brzuchu, wasza miłość.

— Marku, na miłość boską...

Złapał mnie za ramię obrócił. Mocno związał mi ręce za plecami, potem nogi, a potem odkręcił mnie z powrotem na plecy.

— Marku, nie idź tam...

To były ostatnie słowa, jakie do niego wyrzekłem. Wcisnął mi w usta kawał materiału, o mało mnie nie dusząc, Alice otworzyła drzwi od szafy wsadzili mnie do środka. Mark popatrzył na mnie z góry.—

Poczekaj chwilę. Będą go bolały plecy.

Alice czekała niecierpliwie, a on wziął z łóżka poduszkę wsunął mi ją z tyłu.

— Przepraszam — szepnął.

Potem odwrócił się, zamknął drzwi zostawił mnie w ciemności. Chwilę później usłyszałem cichy trzask zamka.

Zrobiło mi się niedobrze, ale wiedziałem, że nie mogę zwymiotować, jeśli nie chcę się udusić.

Opartem się na poduszce jąłem oddychać głęboko przez nos. Alice powiedziała, że brat infirmarz zacznie jej szukać o siódmej rano, kiedy nie zjawi się w jego gabinecie. Miałem więc przed sobą jedenaście godzin czekania.

## Rozdział trzydziesty drugi

Dwukrotnie podczas tej długiej zimnej nocy zdawało mi się, że słyszę dalekie krzyki. Prawdopodobnie szukano Marka mnie, a także Edwiga. Musiałem zasnąć, bo śniła mi się twarz Jerome'a, który patrzył na mnie z góry, jak leżę związany, rechotał obłąkańczo. Obudziłem się przestraszony, ale nadal leżałem sam w nieprzeniknionym mroku ze związanymi nadgarstkami.

Nie spałem już od kilku godzin, kiedy w końcu usłyszałem w pokoju kroki. Zebrałem wszystkie siły i zacząłem kopać piętami w drzwiczki szafy, dopóki ich nie otwarto, a wtedy, krzywiąc się, mrużyłem oczy oślepiony blaskiem dziennego światła. Z ustami otwartymi ze zdumienia patrzył na mnie z góry brat Guy, a ja pomyślałem mało przytomnie, za to z podziwem, że udało mu się w wieku średnim zachować wszystkie zęby.

Rozwiązał mnie pomógł mi wstać, ostrzegłszy, abym poruszał się powoli, bo każdy gwałtowny ruch może sprawić, że zrobię sobie krzywdę w zdrętwiałe plecy. Zaprowadził mnie do mojej izby, gdzie z przyjemnością usiadłem przy ogniu, bom całkiem zeszytniał z zimna. Opowiedziałem mu, co się wydarzyło, a kiedy dowiedział się, że Alice zamordowała Singletona, jęknął usiadł na łóżku.

— Pamiętam, jak sam opowiedziałem jej o tym korytarzu, kiedy się u nas zjawiła. Próbowałem pozyskać jej zaufanie, wydawała się taka zagubiona samotna. I pomyśleć, że zostawiałem jej pod opieką swoich pacjentów.

— Sądzę, że nikomu poza Singletonem nigdy nic z jej strony nie groziło. Bracie infirmarzu, powiedzcie mi, proszę, czy Edwig jest nadal na wolności?

— Tak, przepadł bez śladu, tak samo jak Jerome. Ale on mógł uciec. Bugge zostawił niestrzeżoną bramę, kiedy wybuchło zamieszanie. Mógł również wymknąć się tylną bramą na bagna. Nie rozumiem jednak, czemuście się tak zawzięli, aby go aresztować. Wszak od swego przyjazdu słyszeliście dużo gorszych słów.

— On zabił Gabriela, Simona, jak sądzę, również tę dziewczynę, Sierotkę. Ukradł także prawdziwą fortunę w złocie.

Guy siedział osłupiały, a potem ukrył głowę w dłoniach.

— Dobry Boże, czymże się stał ten Dom Boży, że skrywał dwoje morderców?

— Alice nie zostałaaby zabójczynią, gdyby nie okrutne czasy, w jakich żyjemy. Edwig również by nie uciekł ze skradzionymi pieniędzmi, gdyby sytuacja w kraju nie była tak niepewna. Równie dobrze możecie zapytać, czymże się stała Anglia. A ja również mam w tym swój udział.

Podniósł wzrok.

— Opat Fabian załamał się zeszłej nocy, kiedy kazaliście aresztować Edwiga. Nic nie robi, z nikim nie chce rozmawiać, siedzi jeno w swoim gabinecie patrzy w pustkę.

Westchnąłem.

— Nigdy tak naprawdę nie nadawał się do tej roli. Brat Edwig ukradł jego pieczęć sprzedał ziemię w imieniu klasztoru. Kazał przysiąc nabywcom, że dochowają tajemnicy, a oni zapewne sądzili, że opat o wszystkim wie.

Dźwignąłem się na nogi.

— Musisz mi pomóc bracie infirmarzu. Chcę wyjść na bagna, aby zobaczyć, czy Alice Markowi mogła się powieść ta ucieczka.

Guy wyraził wątpliwość, czy nadaję się na taką wycieczkę, ale ja się uparłem, więc pomógł mi wstać. Wziąłem laskę wyszliśmy na dwór. Nad klasztorem rozpościerało się pochmurne niebo, powietrze było łagodne wilgotne. Cały teren przeobraził się nie do poznania. Na podwórku stały kałuże wody sterty brudnej brei, która pozostała po wczorajszych zaspach śniegu.

Ludzie kręcący się po dziedzińcu przystawali patrzyli, jak utykam. Podeszedł do mnie szybkim krokiem przeor Mortimus.

— Panie komisarzu! Jużśmy myśleli, że nie żyjecie, jak Singleton. A gdzie wasz asystent?

I znowu opowiedziałem całą historię wstrząśniętej grupce mnichów służących, która się zgromadziła wokół mnie. Kazałem przeorowi posłać po sędziego Copyngera; jeżeli Edwig uciekł, trzeba będzie postawić na nogi ludzi w mieście wszcząć poszukiwania.

Sam nie wiem, jak udało mi się przekuśtykać przez sad. Nie zdołałbym tego dokonać bez pomocy brata Guya, bo po nocy spędzonej w szafie, plecy paliły mnie jak ogień, a całe ciało miałem słabe. W końcu udało nam się dojść do muru, otworzyłem furtkę wyszedłem.

Przedemną rozpościerało się prawdziwe jezioro, szerokie na milę. Rzekę dało się odróżnić tylko jako wstęgę bystrego płynącego pośrodku wielkiej połaci wody sięgającej nam pod same nogi. Przewód ów musiał mieć nie więcej niż stopę głębokości, bo wszędzie wystawały kępy trzcin poruszane słabym wiatrem, ale miękki grunt, który znalazł się pod wodą prawdopodobnie rozmókł jeszcze bardziej.

— Patrzcie!

Infirmarz wskazał palcem dwie pary śladów, jedne większe, drugie nieco mniejsze, odcisnięte w błocie tuż przy bramie. Prowadziły najpierw wzdłuż brzegu, a potem do wody

— Słodki Jezu — powiedział Guy. — Weszli tam.

— Niemożliwe, żeby uszli dalej niż sto jardów — szepnąłem. — Po ciemku, we mgle, w tej wodzie...

— Tam coś leży!

Brat Guy wyciągnął rękę w stronę przedmiotu unoszącego się na powierzchni.

— To lampka! Taki mały świecznik z infirmerii. Musieli nim przyświecać sobie w drodze. O Boże!

Musiałem się przytrzymać infirmarza, żeby nie upaść, bo pociemniało mi przed oczami na myśl, że Mark Alice stracili w tym miejscu grunt pod nogami, zapadli się w błoto spoczywają teraz gdzieś na dnie tego grzęzawiska.

Brat Guy pomału opuścił mnie na ziemię, usiadłem oddychając z trudem, czekałem, aż wrócą mi zmysły. Podniosłem wzrok zobaczyłem, że infirmarz modli się cicho po łacinie z dłońmi splecionymi przed sobą, z oczami utkwionymi w lampie unoszonej łagodnie przez wodę.

Z pomocą Guya wróciłem do infirmerii, gdzie benedyktyn nalegał, abym odpoczął posilił się. Posadził mnie w swojej kuchni jął obsługiwać. Jedzenie picie ożywiło me ciało, wszelako serce czułem w piersi martwe niczym kamień. Wszędzie widziałem Marka: roześmianego, żartującego ze mną wesoło podczas podróży, sprzecającego się ze mną w izbie, obłapiającego Alice w infirmeryjnej kuchni.

— W bramie widać było ślady dwóch osób wychodzących przez furtę — odezwał się po dłuższym czasie Guy. — Wygląda na to, że Edwig tamtędy nie przechodził.

— Tak — odrzekłem z goryczą. — Szafarz wymknął się przez główną bramę, kiedy Bugge stał odwrócony plecami. — Zaciśnięm pięści. — Znajdę go, choćby przyszło mi tropić do końca żywota.

Rozległo się pukanie w drzwiach stanął z ponurą miną Mortimus.

— Posłaliście po Copyngera? — spytałem.

— Tak, powinien tu być lada chwila. Ale... znaleźliśmy...

— Edwiga? — Nie. Jerome'a. Jest w kościele. Powinniście tam pójść sami zobaczyć.

— Jesteście zbyt słabi... — zaczął infirmarz, ale odtrąciłem jego dłoń złapałem laskę.

Poszedłem za przeorem do kościoła, gdzie przed wejściem zebrał się tłum gapiów. Przy drzwiach pełnił wartę brat Jude nikogo nie wpuszczał do środka. Mortimus przepchnął się przez ciżbę weszliśmy do świątyni.

Poza odgłosem kapiącej wody słychać było czyjś żalony, cichy lament. Idąc nawą za przeorem, mijałem kapliczki pełne migoczących świec, a nasze kroki dudniły w ogromnej, pustej przestrzeni. Zatrzymaliśmy się przed wnęką, gdzie stał relikwiarz z dłonią złodzieja. Kule aparaty dla kalek, które kiedyś leżały poukładane wokół cokołu, zostały porzucane dookoła po podłodze. Zauważyłem teraz, że wokół cokołu widniało wgłębienie w podłodze, a w nim miejsca wystarczyło, aby zmieścić się tam dorosły mężczyzna. W środku kucał skulony Jerome w podartym brudnym habicie. Ścisnął coś w ramionach, a smród od niego bił nie do wytrzymania, kiedy tak siedział szlochał żałośnie.

— Znalazłem go pół godziny temu — oznajmił przeor. — Wlazł tam zasłonił się laskami, żeby go nie było widać. Przeszukiwałem kościół przypomniałem sobie o tej dziurze.

— Co on tam trzyma. Czy to...?

Mortimus kiwnął głową.

— Skradziona relikwia. Dłoń ukrzyżowanego złodzieja.

Kucnąłem koło Jerome'a, krzywiąc się, bo okropny ból

przeszył moje stawy. W prostokątnej skrzynce, wysadzonej klejnotami migoczącej w blasku świec, widać było niewyraźny, ciemny kształt.

— Bracie — rzekłem łagodnie — czyś to ty zabrał z kościoła relikwię?

Po raz pierwszy, od kiedy go poznałem, Jerome przemówił głosem pełnym spokoju.

— Tak. To drogocenny skarb całego kościoła. Uleczył wielu ludzi.— Więc zabrałeś ją, kiedy wybuchło zamieszanie po śmierci Singletona.

— Ukryłem ją tu, aby ocalić ten święty przedmiot, który Bóg nam dał na znak swego wybaczenia.  
— Przycisnął relikwiarz do piersi jeszcze mocniej. — Wiem, że Cromwell go zniszczy. Kiedy mnie zamknęli w celi, przestraszyłem się, że możecie ją znaleźć. Musiałem ją uratować. A teraz jest stracona, stracona na wieki. Nie mogę się dłużej opierać, jestem taki zmęczony — dodał smutnym, rzeczowym tonem.

Potrząsnął głową patrzył w pustkę martwym wzrokiem.

Przeor Mortimus wyciągnął rękę złapał go pod ramię.

— Chodź, Jerome, już po wszystkim. Zostaw to chodź ze mną.

Ku memu zdziwieniu kartuz zrobił to bez sprzeciwu. Krzywiąc się z bólu, wygramolił się z dziury, wyciągnął swoją kulę, po czym ucałował szkatułę, postawił ją na podłodze.

— Zaprowadzę go z powrotem do celi — oznajmił przeor.

Skinąłem głową.

— Tak, zróbcie to.

Nie spoglądając już więcej ani na mnie, ani na relikwiarz, powłócząc boleśnie nogami, Jerome pozwolił przeorowi poprowadzić się w stronę wyjścia. Odprowadziłem go wzrokiem. Gdyby kartuz powiedział mi, kiedyś go przesłuchiwał, że widział Alice odwiedzającą Smeatona w Tower, zamiast uprawiać ze mną te dziwne gry w półprawdę, aresztowałbym dziewczynę z miejsca, a mając rozwiązana zagadkę śmierci Singletona, dużo szybciej złapałbym również Edwiga. Nie zginąłby Mark ani Gabriel. Mimo to z jakiegoś powodu nie czułem do niego gniewu, w ogóle miałem wrażenie, jakby wyciekły ze mnie wszelkie uczucia.

Przykląkłem przyjrzałem się relikwii stojącej na podłodze. Szkatułę wykonano z bogato zdobionego złota, nigdy w życiu nie widziałem tak wielkich szmaragdów jak te, którymi ozdobiono relikwiarz. Przez szybkę zobaczyłem w środku purpurową, aksamitną poduszeczkę, a na niej dłoń przybitą w nadgarstku do kawałka szerniałego drewna wielkim gwoździem

o szerokiej główce. Była to brązowa, zmumifikowana kończyna, która nie straciła swego kształtu, a wydało mi się nawet, że na palcach widać odciski. Czy mogła to być w istocie ręka złodzieja, który zginął na krzyżu razem z Chrystusem uznał go przed śmiercią za Zbawiciela? Dotknąłem szybki z jakąś obłąkaną, przelotną nadzieją, że ulotni się ból, który czułem w każdym stawie, garb zniknie, a moje plecy odzyskają normalny kształt upodobnią się do pleców nieszczęsnego Marka, który budził we mnie taką zazdrość. Nic się jednak nie wydarzyło, jeno odgłos mojego pukania rozszedł się po nawie.

Nagle kątem oka zauważyłem maleńki błysk złotego światła spływający z góry, a zaraz potem coś z brzękiem upadło na kamienne płyty kilka stóp ode mnie, zakręciło się w miejscu

i znieruchomiło. Wytrzeszczyłem oczy — z podłogi patrzył na mnie król Henryk wybity na złotym noblu. Podniosłem głowę. Stałem dokładnie pod dzwonnica, nade mną rozciągała się plątanina sznurów bloczków, które stały się przedmiotem żartów z Edwiga podczas wieczerzy. Coś się jednak zmieniło. Kosz robotników został podciągnięty ku dzwonnicy.

— Tam jest! — szepnąłem.

A więc to tam szafarz ukrył złoto — w koszu z narzędziami. Powinienem być uważniej obejrzeć jego zawartość, kiedy wszedłem z Mortimusem na dzwonnica. Była to nader sprytna kryjówka. Oto czemu szafarz wstrzymał prace przy remoncie.

Bąłem się, kiedym wchodził z Mortimusem po krętych schodach na dzwonnica, teraz wszelako czułem jeno wściekły, zacięty gniew, wdrapując się pod górę nie zważając na protesty obolałego ciała. Widać emocje nie wyciekły ze mnie do reszty, jeno czekały w uśpieniu, bo zbudziła się we mnie taka furia, jakiej jeszcze nie znałem. Doszedłem do poziomu, gdzie zwiślały sznury od dzwonów. Pusty kosz leżał prze-wrócony na bok, a na deskach błyszczało kilka złotych monet. Pomieszczenie było puste. Spojrzałem na schody wiodące do izby z dzwonami. Leżało na nich jeszcze więcej monet. Uprzytomniłem sobie, że jeśli ktoś tu był, to musiał mnie słyszeć. Czy wycofał się na górę?

Ruszyłem ostrożnie po schodach, ściskając mocno laskę przed sobą. Przekręciłem gałkę w drzwiach, po czym szybko się cofnąłem, a drzwi otworzyłem laską. Dobrze zrobiłem, bo w tej samej chwili ze środka wyskoczył człowiek wymachując niezapaloną pochodnią skoczył w miejsce, gdzie powinienem stać. Prowizoryczna pałka nieszkodliwie śmignęła w powietrzu nie robiąc mi krzywdy, uderzyła w laskę. Mignęła mi przed oczami czerwona, wściekła twarz Edwiga jego okropnie wytrzeszczone oczy.

— Zostałeś zdemaskowany, bracie szafarzu! — zawołałem. — Wiem o statku, który miał cię zabrać do Francji. Aresztuję cię w imieniu króla za kradzież morderstwo!

Rzucił się z powrotem do środka, usłyszałem jego kroki na drewnianej podłodze towarzyszący im brzęk monet.

— To już koniec! — zawołałem. — Nie ma stąd innego wyjścia.

Wszedłem na ostatnie stopnie zajrzałem do środka, starając się go dostrzec, ale z tego miejsca widziałem tylko podłogę ogromne dzwony za balustradą. Wszędzie leżały porozrzucane złote monety.

Uprzytomniłem sobie, że znaleźliśmy się w impasie: Edwig nie mógł się obok mnie przemknąć, ale ja również utknąłem w pułapce. Gdybym zaczął schodzić, szafarz mógłby mnie bez trudu zaatakować z góry, a wszak człek ten, któregom wziął początkowo za zwykłego, skąpego księgowego, był zdolny do wszystkiego. Ruszyłem dalej do izby, wymachując przed sobą laską.

Stał po drugiej stronie, za dzwonami. Kiedy się zza nich wyłonił, zobaczyłem, że wokół szyi wiszą mu połączone sznurem dwie sakwy podróżne. Kiedy się poruszał, z torebdoływał się dźwięk dzwoniącego złota. Dyszał ciężko wywijał pochodnią, którą ściskał w prawym ręku, aż pobiełały mu kostki na dłoniach.

— Jaki miałeś plan, bracie? — zawołałem. — Zabrać pieniądze ze sprzedaży ziem, uciec do Francji rozpocząć tam nowe życie?

Zrobiłem krok naprzód, aby odwrócić jego uwagę, ale był czujny jak kot machnął na mnie pałką.

— N-nieprawda! — wykrzyczał to słowo jak niesłusznie oskarżone dziecko. — To moja opłata za wstęp do nieba!

— Co takiego?

— Odrzącała mnie odrzącała, a potem diabeł napełnił moją duszę gniewem zabiłem ją! Wiecie, jak łatwo kogoś zabić, komisarzy? — Roześmiał się dziko. — Kiedy byłem dzieckiem, oglądałem dużo zabijania, ono otworzyło drzwi diabłu w mojej duszy. Diabeł napełnia krwią moje sny!

Twarz mu spurpurowiała, żyły wystąpiły mu na szyi, kiedy na mnie wrzeszczał. Stracił nad sobą panowanie. Gdyby udało mi się go zaskoczyć zadzwonić w dzwony...

— Trudno będzie ci przekonać o tym sędziów!— zawołałem.

— Niech zaraza pochłonie sędziów! — Jąkanie znikło, zaczął krzyczeć. — Papież, który jest pasterzem bożym na ziemi, pozwala kupować odpuszczenie grzechów! Bóg rozlicza nasze dusze w niebie, liczy, co człowiek winien, liczy jego zasługi! A ja mu zrobię taki podarunek, że posadzi mnie po prawicy swojej! Ofiaruję tysiąc funtów kościołowi we Francji, tysiąc funtów wydarte waszemu heretyckiemu królowi! To wielka zasługa przed Bogiem. — Wlepił we mnie wściekłe spojrzenie. — Nie powstrzymacie mnie!

— Czy tysiąc funtów kupi ci odpuszczenie również za śmierć Simona Gabriela?

Wycelował we mnie pochodnią.

— Whelplay domyślił się, co zrobiłem tej dziewczynie, nie mogłem ryzykować, że ci wygada. Musiał umrzeć, abym mógł dokończyć swe dzieło! A ty, garbusie, powinienes zginąć zamiast Gabriela! To ciebie Bóg rozliczy za jego śmierć!

— Jesteś szalony! — krzyknąłem. — Zamknę cię w przytułku dla obłąkanych będę pokazywał jako ostrzeżenie przed tym, do czego doprowadza fałszywa religia!

Złapał pochodnię obiema rękami ruszył na mnie z przeraźliwym krzykiem. Dopadłby mnie, gdyby go nie spowolniły ciężkie sakwy zawieszane na szyi. Udało mi się uskoczyć w bok, a wtedy on odwrócił się znowu zaatakował. Wzniosłem laskę, ale wytrącił mi ją pochodnią. Kiedy moja broń zastukała

o ziemię, uprzytomniłem sobie, że Edwig stanął pomiędzy mną a drzwiami. Szedł ku mnie powoli, wymachując pochodnią, a ja oparłem się o niską barierkę oddzielającą mnie od dzwonów

i otworu z ziejącą przepaścią. Ochłonął nieco, widziałem, jak jego niegodziwe, czarne oczy szacują odległość między nami wysokość barierki.

— Gdzie twój chłopak? — zapytał ze złym uśmiechem. — Nie przyszedł cię bronić?

Wtedy skoczył na mnie, grzmotnął mnie w ramię, kiedy uniosłem je, aby się zasłonić. Popchnął mnie z całej siły w pierś, a ja poleciałem w tył przez barierkę runąłem w przepaść.



Do dziś dnia wracam w snach do tego uczucia, kiedy, skręcając się, leciałem w tył, a ręce próbowały uchwycić się pustego powietrza. Za każdym razem słyszę w uszach triumfalny krzyk brata Edwiga. W ostatniej chwili jednak moje ręce trafiły na mosiężny korpus dzwonu, instynktownie objąłem go ramionami przywarłem do metalowej powierzchni, wczepiając się palcami w bogate zdobienia. To powstrzymało mój upadek, ale ponieważ ręce miałem śliskie od potu, zacząłem się osuwać.

Potem poczułem pod stopą oparcie zatrzymałem się. Z wielkim trudem udało mi się objąć dzwon po drugiej stronie złączyć palce. Szybki rzut oka w dół powiedział mi, że moja stopa spoczęła na pamiątkowej tabliczce z wygrawerowanym napisem. Rozpłaszczyłem się jeszcze rozpaczliwiej na mosiężnej powierzchni. dokończyć swe dzieło! A ty, garbusie, powinieneś zginąć zamiast Gabriela! To ciebie Bóg rozliczy za jego śmierć!

— Jesteś szalony! — krzyknąłem. — Zamknę cię w przytułku dla obłąkanych będę pokazywał jako ostrzeżenie przed tym, do czego doprowadza fałszywa religia!

Złapał pochodnię obiema rękami ruszył na mnie z przeraźliwym krzykiem. Dopadłby mnie, gdyby go nie spowolniły ciężkie sakwy zawieszane na szyi. Udało mi się uskoczyć w bok, a wtedy on odwrócił się znowu zaatakował. Wzniosłem laskę, ale wytrącił mi ją pochodnią. Kiedy moja broń zastukała

o ziemię, uprzytomniłem sobie, że Edwig stanął pomiędzy mną a drzwiami. Szedł ku mnie powoli, wymachując pochodnią, a ja oparłem się o niską barierkę oddzielającą mnie od dzwonów

i otworu z ziejącą przepaścią. Ochłonął nieco, widziałem, jak jego niegodziwe, czarne oczy szacują odległość między nami wysokość barierki.

— Gdzie twój chłopak? — zapytał ze złym uśmiechem. — Nie przyszedł cię bronić?

Wtedy skoczył na mnie, grzmotnął mnie w ramię, kiedy uniosłem je, aby się zasłonić. Popchnął mnie z całej siły w pierś, a ja poleciałem w tył przez barierkę runąłem w przepaść.

Do dziś dnia wracam w snach do tego uczucia, kiedy, skręcając się, leciałem w tył, a ręce próbowały uchwycić się pustego powietrza. Za każdym razem słyszę w uszach triumfalny krzyk brata Edwiga. W ostatniej chwili jednak moje ręce trafiły na mosiężny korpus dzwonu, instynktownie objąłem go ramionami przywarłem do metalowej powierzchni, wczepiając się palcami w bogate zdobienia. To powstrzymało mój upadek, ale ponieważ ręce miałem śliskie od potu, zacząłem się osuwać.

Potem poczułem pod stopą oparcie zatrzymałem się. Z wielkim trudem udało mi się objąć dzwon po drugiej stronie złączyć palce. Szybki rzut oka w dół powiedział mi, że moja stopa spoczęła na pamiątkowej tabliczce z wygrawerowanym napisem. Rozpłaszczyłem się jeszcze rozpaczliwiej na mosiężnej powierzchni. Nagle poczułem, że dzwon zaczyna się poruszać. To mój ciężar wprowadził go w ruch. Metalowa krawędź uderzyła w czaszę drugiego, bliźniaczego instrumentu w dzwonnicy rozległ się ogłuszający szcęk, a ja omal nie spadłem pod wpływem drgającego wstrząsu. Dzwon tymczasem zakołysał się w drugą stronę, ze mną przyczepionym doń niczym rzep do psiego ogona. Zauważyłem, że Edwig zdjął sakwę ze złotem schylił się, aby pozbierać z podłogi porozrzucane monety, jednocześnie jednak nie przestawał rzucać mi złowrogich spojrzeń. Wiedział, że nie zdołam się utrzymać w tej pozycji zbyt długo. Daleko pod sobą usłyszałem nikłe głosy, tłum zebrany przed kościołem musiał wbiec do środka na dźwięk dzwonów, nie odważyłem się jednak spojrzeć w dół. Dzwon zakołysał się z powrotem znów uderzył w swego sąsiada, tym razem jeszcze mocniej. Miałem

wrażenie, że hałas rozsadzi mi uszy, a drganie metalowego płaszcza sprawiło, że moje dłonie zaczęły się osuwać.

Wówczas uczyniłem najbardziej desperacką rzecz w życiu. Zdołałem się na nią, ponieważ wiedziałem, że w przeciwnym razie czeka mnie pewna śmierć. Powierzając swą duszę Bogu sądząc, że będzie to ostatnia moja myśl w tym życiu, rozłączyłem dłonie, skręciłem się w powietrzu odepchnąwszy się stopą od mosiężnej tabliczki, skoczyłem w stronę barierki.

Uderzyłem o poręcz brzuchem, aż uszło ze mnie całe powietrze, a barierka zadygotała pod moim ciężarem. Chwytiłem się jej rozpaczliwie przeciągnąłem na drugą stronę, chociaż sam nie wiem, jakem to zdołał uczynić. Upadłem na ziemię leżałem tam bezwładnie niczym tobół. Na drugim końcu pomieszczenia Edwig klęczał, ściskając w ręku garść monet patrząc na mnie z gniewną konsternacją, a drgający dźwięk dzwonów grał nam w uszach wstrząsał deskami podłogi.

Edwig skoczył na równe nogi, złapał sakwę pobiegł do drzwi. Skoczyłem za nim rzuciłem mu się do oczu. Odepchnął mnie, ale pod ciężarem toreb, które dźwigał, stracił równowagę. Zachwiał się tak jak ja minutę przedtem zatoczył się na barierkę. Z ręki wyśliznęły mu się skórzane sakwy runęływ przepaść. Z krzykiem przechylił się przez poręcz chwycił linę łączącą obydwie sakwy, ale wtedy ich ciężar przeważał go do przodu. Przez krótką chwilę balansował nad balustradą niczym orzeł z rozpostartymi skrzydłami sądzę, że gdyby puścił pojemniki ze złotem, mógłby się uratować. W końcu ciężar skarbu pociągnął go w dół szafarz runął głową do przodu, obił się o dzwon, po czym zniknął mi z oczu z krzykiem grozy gniewu, jakby zrozumiał w tej ostatniej sekundzie, że oto stanie przed Stwórcą nie zdążywszy złożyć swego wielkiego daru. Podbiegłem do barierki jeszczem ujrzał go w locie, jego habit wzdymany przez pęd powietrza, a wokół niego deszcz złotych monet. Tłum rozpierzchnął się przerażony, kiedy Edwig runął na ziemię w eksplozji krwi złota.

Przechyliłem się przez poręcz spocony zdyszany. Tłum powoli z powrotem się wokół niego zamykał, niektórzy spoglądali w dół na roztrzaskane szczątki szafarza, inni ku górze, gdzie stałem. Z odrazą zobaczyłem, że służący, a także niektórzy mnisi upadli na kolana na czworakach jęli zbierać garściami złote monety.

w przepaść. Z krzykiem przechylił się przez poręcz chwycił linę łączącą obydwie sakwy, ale wtedy ich ciężar przeważał go do przodu. Przez krótką chwilę balansował nad balustradą niczym orzeł z rozpostartymi skrzydłami sądzę, że gdyby puścił pojemniki ze złotem, mógłby się uratować. W końcu ciężar skarbu pociągnął go w dół szafarz runął głową do przodu, obił się o dzwon, po czym zniknął mi z oczu z krzykiem grozy gniewu, jakby zrozumiał w tej ostatniej sekundzie, że oto stanie przed Stwórcą, nie zdążywszy złożyć swego wielkiego daru. Podbiegłem do barierki jeszczem ujrzał go w locie, jego habit wzdymany przez pęd powietrza, a wokół niego deszcz złotych monet. Tłum rozpierzchnął się przerażony, kiedy Edwig runął na ziemię w eksplozji krwi złota.

Przechyliłem się przez poręcz spocony zdyszany. Tłum powoli z powrotem się wokół niego zamykał, niektórzy spoglądali w dół na roztrzaskane szczątki szafarza, inni ku górze, gdzie stałem. Z odrazą zobaczyłem, że służący, a także niektórzy mnisi upadli na kolana na czworakach jęli zbierać garściami złote monety.

Epilog

Luty 1538, trzy miesiące później

Kiedym wszedł na podwórzec klasztoru, ujrzałem, że wielkie dzwony kościelne zostały zdjęte z dzwonnicy, rozbite na drobne części zebrane w wielką stertę ozdobnego metalu czekały na przetopienie. Prawdopodobnie odcięto je po prostu od pierścieni, które podtrzymywały je pod dachem, pozwolono, aby spadły na kamienną posadzkę świątyni. To musiała narobić przeraźliwego hałasu.

Cromwell miał rację — zamknięcie klasztorów wczesną zimą przekonało inne zakony, że opór nie ma sensu każdego dnia przychodziły teraz wieści o kolejnych likwidacjach. Wkrótce nie ostanie się ani jeden. W całej Anglii opaci przechodzili na tłuste pensje, inni bracia albo obejmowali stanowiska świeckich duchownych, albo również przechodzili na znacznie skromniejsze emerytury. Nie brakowało opowieści o chaosie, jaki przy tych okazjach powstawał. W gospodzie w Scarnsea usłyszałem, że gdy mnisi opuszczali klasztor trzy miesiące wcześniej, kilku zakonników, starszych lub zbyt schorowanych, aby udać się w dalszą podróż, wynajęto tu izby, po czym odmówiło wyprowadzenia się, kiedy zabrakło im pieniędzy. Konstabl ze swoimi ludźmi musieli wyrzucić ich na drogę siłą. Był wśród nich ów otyły zakonnik z wrzodami na nogach oraz biedny głupiec Septimus. Kiedy król Henryk dowiedział się o wydarzeniach, do jakich doszło w klasztorze Świętego Donatusa, podjął decyzję, że całe opactwo ma zostać zrównane z ziemią Włoski inżynier Cromwella, Portinari, który zajmował się obecnie rozbiórką opactwa w Lewes, miał następnie przyjechać do Scarnsea nadzorować burzenie tamtejszych budynków. Słyszałem, że jest to człek o wielkiej wiedzy. Ponoć w Lewes tak umiejętnie podłożył proch pod fundamenty kościoła, że cały gmach runął naraz w wielkiej chmurze pyłu. W Scarnsea opowiadali, że był to wspaniały przerażający zarazem widok, tak więc z niecierpliwością oczekiwałem, kiedy będę mógł zobaczyć ów niezwykły spektakl na własne oczy.

Zima była ciężka Portinariemu nie udało się przewieźć swoich ludzi sprzętu przed nadejściem wiosny. Mieli przybyć do Scarnsea za tydzień, wpierw jednak musieli na miejsce przyjechać ludzie z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów, aby zabrać z opactwa wszystkie rzeczy przedstawiające jakąś wartość, łącznie z ołowianym pokryciem dachu kościoła mosiądzem z przetopionych dzwonów. To właśnie jeden z tamtejszych urzędników przywiatał mnie przy bramie sprawdził moje pełnomocnictwa. Bugge pozostali służący dawno zostali zwolnieni.

Zdziwiłem się, otrzymawszy list od Cromwella oddelegujący mnie do nadzorowania prac w Scarnsea. Nie miałem odeń prawie żadnych wieści od grudnia, kiedym to złożył krótką wizytę w Westminsterze mającą na celu przedyskutowanie mego raportu z misji w Scarnsea. Przeżył — jak mi wtenczas oznajmił — wielce niemiłe pół godziny z królem, kiedy Henryk dowiedział się, że przez tydzień tajono przed nim wielką awanturę w klasztorze, morderstwo jego komisarza oraz ucieczkę asystenta innego komisarza z morderczynią. Kto wie, może król trzepnął swego namiestnika po uchu, słyszałem bowiem, że miał taki zwyczaj, w każdym razie Cromwell zachował się wobec mnie szorstko odprawił mnie bez po-dziękowania. Wywnioskowałem z tego, że ostatecznie wypadł z jego task.

Chociaż oficjalnie zachowałem tytuł komisarza, nie byłem już potrzebny w biurze wikariusza generalnego, urzędnicy z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów bez najmniejszego trudu radzili sobie z wypełnianiem obowiązków, przyszło mi więc do głowy, że Cromwell kazał mi wracać na miejsce mych okropnych doświadczeń, aby mnie ukarać za swoje wielce niemiłe pół godziny. Było to bardzo do niego podobne.

Sędzia Copynger, obecnie dzierżawca poklasztornych włości królewskich, stał nieopodal mnie z drugim mężczyzną przeglądali razem plany. Podeszedłem doń, minąwszy kilku urzędników, którzy dźwigali naręcza ksiąg z biblioteki, a następnie rzucali je na wielką stertę na podwórku przygotowaną do spalenia.

Copynger złapał mnie za rękę.

— Panie komisarzu, jakże się miewacie? Pogoda trochę lepsza, niż kiedyście byli tu ostatnio, he?

— Zaiste. Wiosna już blisko, chociaż wiatr od morza wieje okrutny. Jak się wam podoba dom opata?

— Urządziłem się w nim z największą przyjemnością. Opat Fabian dobrze o niego dbał. Kiedy zburzą klasztor, będę miał wspaniały widok na kanał. — Machnął ręką w kierunku cmentarza, gdzie parobcy wykopywali nagrobki. — O tam, widzicie, tam zrobię padok dla koni, kupiłem całą stajnię zakonników za bardzo rozsądną cenę.

— Mam nadzieję, że nie wysłaliście do tej pracy ludzi z Westminsteru, sir Gilbercie — rzekłem z uśmiechem.

Na Boże Narodzenie Copynger otrzymał tytuł szlachecki, król Henryk osobiście dotknął mieczem jego ramienia — Cromwell potrzebował teraz lojalnych ludzi w hrabstwach bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

— Ależ nie, to moi parobcy, sam im zapłaciłem. — Obrzucił mnie wyniosłym spojrzeniem. — Było mi przykro, że nie chcieliście u mnie zamieszkać na czas pobytu w Scarnsea. dziękowania. Wynioskowałem z tego, że ostatecznie wypadł z jego łask.

Chociaż oficjalnie zachowałem tytuł komisarza, nie byłem już potrzebny w biurze wikariusza generalnego, urzędnicy z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów bez najmniejszego trudu radzili sobie z wypełnianiem obowiązków, przyszło mi więc do głowy, że Cromwell kazał mi wracać na miejsce mych okropnych doświadczeń, aby mnie ukarać za swoje wielce niemiłe pół godziny. Było to bardzo do niego podobne.

Sędzia Copynger, obecnie dzierżawca poklasztornych włości królewskich, stał nieopodal mnie z drugim mężczyzną przeglądali razem plany. Podeszedłem doń, minąwszy kilku urzędników, którzy dźwigali naręcza ksiąg z biblioteki, a następnie rzucali je na wielką stertę na podwórku przygotowaną do spalenia.

Copynger złapał mnie za rękę.

— Panie komisarzu, jakże się miewacie? Pogoda trochę lepsza, niż kiedyście byli tu ostatnio, he?

— Zaiste. Wiosna już blisko, chociaż wiatr od morza wieje okrutny. Jak się wam podoba dom opata?

— Urządziłem się w nim z największą przyjemnością. Opat Fabian dobrze o niego dbał. Kiedy zburzą klasztor, będę miał wspaniały widok na kanał. — Machnął ręką w kierunku cmentarza, gdzie parobcy wykopywali nagrobki. — O tam, widzicie, tam zrobię padok dla koni, kupiłem całą stajnię zakonników za bardzo rozsądną cenę.

— Mam nadzieję, że nie wysłaliście do tej pracy ludzi z Westminsteru, sir Gilbercie — rzekłem z uśmiechem.

Na Boże Narodzenie Copynger otrzymał tytuł szlachecki, król Henryk osobiście dotknął mieczem jego ramienia — Cromwell potrzebował teraz lojalnych ludzi w hrabstwach bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

— Ależ nie, to moi parobcy, sam im zapłaciłem. — Obrzucił mnie wyniosłym spojrzeniem. — Było mi przykro, że nie chcieliście u mnie zamieszkać na czas pobytu w Scarnsea. — Z tym miejscem wiążą się dla mnie niemiłe wspomnienia. Lepiej się czuję w mieście, tuszę, że to zrozumiecie.

— Dobrze już, dobrze — rzekł protekcjonalnie. — Ale mam nadzieję, że przyłączycie się do mnie podczas posiłku. Chciałbym wam pokazać plany, które przygotował dla mnie mój mierniczy. Chcemy przerobić niektóre budynki na zagrody dla owiec, kiedy wyburzą klasztor kościół. To ci będzie widowisko, co? Już za kilka dni.

— To prawda. A teraz zechcicie mi wybaczyć.

Ukłoniłem się odszedłem, owijając się płaszczem od wiatru.

Wszedłem do klasztoru. Wewnętrzny dziedziniec był zaniedbany ubłocony. W refektarzu założył sobie stanowisko rewident księgowy z Westminsteru William Glench. Jego ludzie znosili mu talerze, pozłacane posążki, złote krzyże gobeliny, kapy alby, nawet pościel mnichów — wszystko, co mogło mieć jakąś wartość iść na licytację, która miała się odbyć za dwa dni.

Refektarz ogołocoło z wszelkiego sprzętu, za to zastawiono go pudłami skrzyniami. William Glench siedział odwrócony plecami do trzaskającego ognia dyskutował ze skrybą na temat jakiegoś wpisu w ogromnej księdze rachunkowej. Był to wysoki, szczupły mężczyzna w okularach, o nadmiernie żywym iemperamencie. Zimą wielu takich ludzi przyjęto do sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów. Przedstawiłem się. Glench wstał ukłonił mi się, odznaczywszy przedtem starannie miejsce w swojej księdze.

— Widzę, że wszystko sobie doskonale zorganizowaliście — zauważyłem.

Z powagą skinął głową.

— Wszyscyuteńko, panie komisarzu, aż do najmniejszego rondelka z tutejszej kuchni.

Jego słowa sposób bycia przypomniały mi Edwiga. Wzdrygnąłem się, ale szybko odsunąłem od siebie tę myśl.

— Widziałem, że na podwórku przygotowują księgi do spalenia. Czy to konieczne? Czy nie mogą przedstawiać jakiejś wartości? Pokręcił stanowczo głową.

— Nie. Wszystkie księgi trzeba zniszczyć. To narzędzie kultu papistów. Nie ma tam ani jednej książki w ucziwej angielszczyźnie.

Odwrociłem się otworzyłem na chybił trafił jedną skrzynię. Wypełniały ją ozdoby kościelne. Wziąłem do ręki pięknie rzeźbiony, złoty kielich, jeden z tych, które Edwig wrzucił do stawu razem ze zwłokami Sierotki. Obracałem go w dłoni.

— Te rzeczy nie pójdą na sprzedaż — odezwał się Glench. — Złoto srebro wysyłamy do mennicy w Tower do przetopienia. Sir Gilbert próbował odkupić niektóre przedmioty. Mówił, że są pięknie zdobione może ma rację, ale wszystko to są świecidełka z papistowskich ceremonii. Sam powinien to wiedzieć.

— To prawda — odrzekłem — powinien.

Odłożyłem kielich na miejsce. Tymczasem dwóch ludzi przyniosło ogromny wiklinowy kosz rewident jął wykladać na stół mnisie habity.

— Mogli je uprać — powiedział ze złością. — Więcej by się za nie dostało.

Wyczułem, że niecierpliwi się, aby wrócić do pracy.

— Pójdę już. Proszę o niczym nie zapomnieć — dodałem, czerpiąc pewną przyjemność z jego urażonego spojrzenia.

Przeszedłem przez dziedziniec skierowałem się do kościoła, nie spuszczać oczu z mężczyzn wdrapujących się na dach świątyni, bo na ziemi leżało już niemało pozruczanych dachówek. W kościele światło nadal sączyło się do środka przez kolorowe witraże, wciąż tworzyło na podłodze kalejdoskop ciepłych barw, ale ściany kapliczki ogołocoło już ze wszystkiego, co się dało wynieść. Z góry dochodziły odgłosy rozmów walenia młotem. W przedniej części nawy popękane kamienne płyty tworzyły bezładną, potrzaskaną masę. W tym miejscu upadł najpierw Edwig, a potem dzwony, kiedy odcięto je z dzwonnicy. Spojrzałem w górę, w ziejącą pustkę wspomniałem niedawne wydarzenia. Wszedłem za ścianę tęczową, skąd wyniesiono już pulpity nawet wielkie organy. Pokręciłem głową odwróciłem się ku wyjściu. Wtedy jednak w kącie chóru zauważyłem postać w kapturze siedzącą w ławie odwróconą w drugą stronę. W pierwszej chwili przeszedł mnie lęk, kiedym sobie przesądnie wyobraził, że to Gabriel powrócił z zaświatów, aby opłakiwać ruiny czegoś, co było dziełem jego życia. Potem postać się odwróciła w pierwszej chwili omal nie krzyknąłem, bo pod kapturem nie dojrzałem żadnej twarzy. Dopiero ochłonąwszy nieco, poznałem wychudłe oblicze brata Guya. Powstał z ławy ukłonił się.

— Bracie infirmarzu — rzekłem — przez chwilę wzięłem cię za ducha.

Uśmiechnął się smutno.

— Na swój sposób nim jestem.

Podszedłem bliżej, usiadłem dałem mu znak, aby do mnie dołączył.

— Rad jestem, że cię widzę, komisarzu — odezwał się. — Chciałem ci podziękować za pensję. Spodziewam się, że to za twoją sprawą otrzymałem zwiększone świadczenie.

— W końcu zostałeś wybrany na opata, kiedy uznano, że Fabian jest niezdolny do pełnienia tej funkcji. Należała ci się większa emerytura, nawet jeśli piastowałeś ten urząd tylko kilka tygodni.

— Przeor Mortimus był bardzo niezadowolony, kiedy kon-fratry wybrali mnie, a nie jego. Wiesz, że powrócił do uczenia w Devon?

— Niechaj Bóg ma w opiece jego wychowanków.

— Miałem wątpliwości, czy powinienem przyjąć wyższą pensję, kiedy inni bracia muszą żyć za pięć funtów rocznie, ale nawet gdybym odmówił, nie dostaliby ani pensa więcej. A mnie... no cóż, z moją twarzą czeka mnie niełatwe życie. Myślę, że pozostanę przy swym zakonnym imieniu Guy z Malton. Lepšie to, niż powracać do prawdziwego nazwiska Al--Akbar. Czy wolno mi to uczynić, mimo że zakazano nam używać tytułu „brat”?— Oczywiście.

— Zetrzyj z twarzy ten wyraz zakłopotania, przyjacielu... bo jesteś mi przyjacielem, prawda?

Skinąłem głową.

— Jestem. Wierź mi, że nie wracałem tu z przyjemnością, nie chcę już dłużej być komisarzem.

— Wzdrygnąłem się. — Okrutny ziąb.

Guy pokiwał głową.

— To prawda. Za długo tu siedziałem. Rozmyślałem o braciach, którzy zasiadali w tych ławach codziennie przez czterysta lat, modlili się śpiewali. O tych chciwych, leniwych, pobożnych o tych, którzy mieli wszystkie te cechy. Trudno się tu jednak skupić.

To rzekłszy, wskazał ręką dach, skąd dochodziło stukanie dzwoniennię. Właśnie, kiedyśmy podnieśli głowy, rozległ się głośniejszy tomot posypał się nam na głowy deszcz pyłu. Na podłogę z łoskotem spadły kawałki tynku nagle przez otwór wpadł do środka gruby snop słonecznego światła.

— Przebiliśmy się do środka, chłopy! — zadudnił w górze głos. — Uwaga tam na dole!

Guy wydał dziwny dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a jękiem. Dotknąłem jego ramienia.

— Chodźmy stąd. Zaraz zacznie się tu sypać jeszcze więcej tynku.

Wyszliśmy na podwórzec, Guy szedł obok mnie z miną ponurą, lecz spokojną. Copynger skinął mu oziębłe głową, kiedy skierowaliśmy się w stronę domu opata.

— Kiedy mnisi opuścili klasztor pod koniec listopada — rzekł infirmarz — sir Gilbert poprosił mnie, abym został. Polecono mi mieć pieczę nad tym miejscem, dopóki nie przyjadą ludzie Portinarięgo, chciał, abym mu pomógł. W styczniu staw rybny okropnie wylał, pomogłem mu osuszyć teren.

— Musiało ci być ciężko mieszkać tu samemu, kiedy klasztor opustoszał.— Nie było tak źle, dopóki nie zjawili się w tym tygodniu ludzie z sądu do spraw majątków likwidowanych klasztorów nie zaczęli ogałacać tego miejsca. Przez całą zimę miałem uczucie, jakby klasztor czekał na powrót mnichów.

Skrzywił się, kiedy wielki kawał ołowiu runął za naszymi plecami na ziemię.

— Liczyłeś na cofnięcie decyzji o likwidacji?

Wzruszył ramionami.

— Człowiek ma nadzieję do samego końca. Poza tym nie miałem dokąd iść. Przez cały czas czekałem na zgodę na wyjazd do Francji.

— Mogę ci pomóc, jeśli nastąpiła jakaś zwłoka.

Guy pokręcił głową.

— Nie ma potrzeby, dostałem odpowiedź tydzień temu. Nie pozwolili mi na wyjazd. Chodzą pogłoski o nowym przymierzu między Francją Hiszpanią. Powinienem raczej zamienić ten habit na kaftan rajtuzy. To będzie dziwne uczucie po tylu latach. I zapuszczę włosy!

Opuścił kaptur przejechał dłonią po łysinie. Ujrzałem, że czarny krąg włosów pod tonsurą usiany był teraz bielą.

— Więc co zrobisz?

— Chcę stąd wyjechać jak najszybciej. Nie mógłbym patrzeć, jak burzą te budynki. Zejdzie się tu całe miasto; szykują jarmark na ten dzień. Jakże musieli nas nienawidzić. — Westchnął. — Może pojedę do Londynu, tam egzotyczne twarze nie budzą takiej sensacji.

— Mógłbyś zostać medykiem, masz przecie tytuł z Louvian.

— Ale czy Kolegium Medyków zechce mnie przyjąć? Albo choć cech aptekarzy? Były mnich, w dodatku o skórze koloru błota?

Uniósł brwi uśmiechnął się smutno.

— Mam klienta, który jest medykiem. Mógłbym się wstawić w twojej sprawie.

Zawahał się, a po chwili jego uśmiech poweselał.

— Dziękuję. Byłbym ci bardzo wdzięczny. — Może udałoby mi się też znaleźć ci jakiś dach nad głową. Zostawię ci swój adres przed wyjazdem. Zajdź do mnie, kiedy przyjedziesz do Londynu. Dobrze?

— Czy nie narazisz się na kłopoty, widując się ze mną?

— Nie będę więcej pracował dla Cromwella. Zamierzam powrócić do prywatnej praktyki, żyć sobie spokojnie, może zająć się malowaniem.

— Bądź ostrożny, Matthew. — Zerknął przez ramię. — Nie jestem pewien, czy to bezpieczne nawet dla ciebie ucinać sobie ze mną przyjacielską pogawędkę na oczach sir Gilberta.

— Do czarta z Copyngerem. Mam dość oleju w głowie, żeby nie złamać prawa. Nawet jeśli nie będę już takim reformatorem jak kiedyś, to nie ma obawy, abym został papistą.

— W dzisiejszych czasach to za mało, aby czuć się bezpiecznie.

— Może za mało, ale jeśli nikt nie jest dziś bezpieczny, to ja przynajmniej nie będę bezpieczny we własnym domu, prowadząc własny interes.



Doszlismy do rezydencji opata teraz nalezacej do Copyngera. Ogrodnik starannie pielagnowal roze, rozrzucajac wokol krzakow koński nawóz.

— Duzo ziemi wydzierzawil sir Gilbert? — spytalem.

— Duzo. I bardzo tanio.

— Mial szczescie.

— A tobie nic nie kapnelo w nagrode?

— Nie. Znalazlem Cromwellowi morderce, skradzione zloto podałem na tacy klasztor gotowy do likwidacji, ale za dlugo mi to zajelo. — Urwałem, przypomniawszy sobie wszystkich, ktorzy tu zgineli.

— Zaiste, za dlugo.

— Zrobiles wszystko, co bylo w ludzkiej mocy.

— Byc moze. Wiesz, czesto sobie mysle, ze przejrzałym Edwiga duzo szybciej, gdybym nie darzył go taką niechęcią. Staralem się być aż nadto obiektywny pozbyć się nawet cienia wątpliwości. Nawet dzisiaj trudno mi uwierzyć, że ten człowiek, taki uporządkowany skrupulatny, mógł być w głębi ducha takim bezzwględnym szaleńcem. Zastanawiam się, czy\*

to zamiłowanie do porzadku, ta obsesja na punkcie liczb pieniędzy nie służyły mu do tego, aby nad sobą panować. Moze się bał swoich krwawych snów.

— Chciałbym, aby tak było.

— Tylko koniec końców ta obsesja na punkcie liczb w końcu sprowadziła nań szaleństwo. — Westchnąłem. — Niełatwo jest odkrywać tak pokręte prawdy.

Guy skinął głową.

— Trzeba na to cierpliwości, odwagi wiele wysiłku. Jeśli rzeczywiście chce się poznać prawdę.

— Wiesz, że Jerome nie żyje?

— Nie. Nie docierały tu do mnie żadne wiadomości, od kiedy zabrano go w listopadzie.

— Cromwell kazał go wtrącić do więzienia Newgate, gdzie jego konfratrów zagłodzono na śmierć. Niedługo potem zmarł.

— Niech Bóg się zlituje nad jego umęczoną duszą — rzekł Guy. Milczał przez chwilę, patrząc na mnie z wahaniem. — Nie wiesz może, co się stało z dłonią złodzieja? Zabrali ją razem z Jerome'em.

— Nie wiem. Zapewne wyjęli kamienie, a relikwiarz przetopili. Dłoń prawdopodobnie została już spalona.

— Wiesz, że to naprawdę była dłoń złodzieja ukrzyżowanego razem z naszym Panem? Są na to mocne dowody.

— Naprawdę nadal wierzysz, że potrafiła działać cuda?

Nie odpowiedział czas jakiś szliśmy dalej w milczeniu

w kierunku klasztornej cmentarza, gdzie parobcy Copyngera uprzętał nagrobki. Zauważyłem, że na świeckim cmentarzu krypty rodzinne zostały obrócone w stertę gruzu.

— Powiedz mi — rzekłem w końcu — co się stało z opatem Fabianem? Wiem, że nie przyznano mu emerytury opata, ponieważ to nie on podpisał akt rozwiązania klasztoru.

Guy pokręcił ze smutkiem głową.

— Siostra wzięła go do siebie, jest szwaczką w Londynie. Żle się z nim dzieje. Czasami przychodzi do niej oświadcza, że jedzie na polowanie z miejscowymi możnymi władcami albożłożyć wizytę jakiemuś notablowski biedna kobiecina musi go siłą powstrzymywać, żeby nie wsiadł na ich nędzną chabetę, odziany w łachmany, w jakich teraz chodzi. Przepisałem mu kilka lekarstw, ale nie na wiele się zdają. Do reszty pomieszało mu się w głowie.

— Jakże zginąć mogli waleczni\* — zacytowałem Biblię.

Uprzymniłem sobie, że nieświadomie wiodłem nas w stronę

sadu, przed nami widać było mur na tyłach klasztoru. Przystanąłem, ścisnęło mnie w żołądku.

— Może zawróćmy — zaproponował łagodnie Guy.

— Nie. Chodźmy dalej.

Doszliśmy do bramy prowadzącej na bagna. Miałem ze sobą klucze, więc otworzyłem furtkę. Wyszliśmy za mur przystanęliśmy, rozglądając się po posępnym krajobrazie. Listopadowe roztopy zdążyły już dawno opaść mokradło rozciągało się przed nami brązowe milczące, kępy trzcin falujące łagodnie na wietrze odbijały się w nieruchomych rozlewiskach. Na rzece kołysało się ptactwo wodne, a wiatr od morza targał im pióra.

— Nawiedzają mnie w snach — rzekłem cicho. — Mark Alice. Widzę, jak rzucają się w wodzie, jak toną, jak wołają o pomoc. Czasami zrywam się w nocy z krzykiem. — Głos mi się załamał. — Kochałem ich oboje, każde na swój sposób.

Brat Guy patrzył na mnie przez długą chwilę, po czym sięgnął ręką w głąb habitu podał mi złożoną, wymiętą kartkę papieru.

— Długo się wahałem, czy ci to pokazać. Nie wiedziałem, czy bardziej cię nie zrani, kiedy to przeczytasz.

— Co to jest?

— Znalazłem to na stole w moim gabinecie miesiąc temu. Myślę, że któryś z przemytników przekupił jednego z ludzi Copyngera, aby mi go dostarczył. List jest od Alice, ale to Mark go pisał.

Rozłożyłem papier zacząłem czytać słowa skreślone wyraźnym, okrągłym pismem mego byłego podopiecznego.

\* 2 Sm (i;25).Bracie Guyu,

poprosiłam Marka, aby to dla mnie napisał, ponieważ lepiej sobie radzi z literami niż ja. Wysyłam ten list przez jednego z mieszkańców Scarnsea, który bywa niekiedy we Francji, lepiej abyście nie wiedzieli kto to.

Błagam, byście mi wybaczyli, że do Was piszę. Jesteśmy z Markiem bezpieczni we Francji. Sama nie wiem, jakim cudem udało nam się przeżyć bagno tamtej nocy. Raz nawet Mark zapadł się w wodzie musiałam go wyciągać. Ale dotarliśmy do łodzi.

Pobraliśmy się w zeszłym miesiącu. Mark zna trochę francuski bardzo szybko się uczy, mam nadzieję, że wkrótce uda mu się dostać posadę urzędnika w naszym małym miasteczku, nie napiszę, jak się nazywa. Jesteśmy szczęśliwi pomału powraca mi spokój, jakiego nie zaznałam od śmierci mego kuzyna. Nie wiem tylko, czy w tych niespokojnych czasach świat pozwoli nam się nim długo cieszyć.

Wiem, że nie ma powodu, aby obchodziło Was to wszystko, o czym piszę, ale chcę, byście wiedzieli, że było mi bardzo źle, kiedy Was oszukiwałam, Was, którzyście mnie chronili tak wiele nauczyli. Żałuję, że musiałam to robić, ale nie żałuję, że zabiłam tamtego człowieka; jeśli ktoś kiedyś zasługiwał na śmierć, to właśnie on. Nie wiem, jak się Wam ułoży życie, ale modlę się do Pana Naszego Jezusa Chrystusa, aby miał Was w swojej opiece.

Alice Poer

Dwudziesty piąty stycznia 1538

Złożyłem list patrzyłem w milczeniu na ujście rzeki.

- Ani słowem nie wspomnieli o mnie.
- To był list Alice do mnie. Nie wiedzieli, że się spotkamy po tak długim czasie.
- A więc żyją są szczęśliwi, niech ich zaraza. Może teraz przestaną mnie nękać te okropne sny. Czy mogę powiadomić o tym ojca Marka? Popadł w srogą rozpacz. Powiem mu jeno, że dostałem potajemną wiadomość, że jego syn żyje.
- Oczywiście.
- Alice ma rację, nie ma dzisiaj na świecie bezpiecznego miejsca ani niczego pewnego. Zdarza mi się rozmyślać o bracie Edwigu jego szaleństwie. Wierzył, że dwoma sakwami skradzionego złota kupi sobie u Boga przebaczenie za popełnione morderstwa. Może wszyscy jesteśmy trochę szaleni. Biblia mówi, że Bóg stworzył człowieka na swe podobieństwo, ale ja myślę, że to my ciągle go stwarzamy, a potem przerabiamy na nowo, aby pasował do naszych zmiennych potrzeb. Ciekawym, czy On o tym wie czy w ogóle się o to troszczy. Świat się rozpada, bracie.

Staliśmy w milczeniu, obserwując ptaki kołyszące się na rzece, a gdzieś za naszymi plecami dochodził hurgot rozbijanego dachu świątyni.

Nota historyczna

Likwidację angielskich zakonów w latach 1536—40 zaplanował przeprowadził wikariusz generalny namiestnik króla Henryka VIII Thomas Cromwell. Po przeprowadzeniu wizytacji, podczas których zebrano ogromny materiał obciążający, w 1536 roku Cromwell przeforsował akt parlamentarny

rozwiązujący pomniejsze klasztory. Gdy jednak wysłannicy Cromwella zaczęli go wcielać w życie, na północy Anglii doszło do zbiorowego buntu zwanego Pielgrzymką Łaski. Henryk VIII Cromwell stłumili bunt fortem: zaprosili przywódców do negocjacji, a jednocześnie grając na zwłokę, zebrali armię zdolną do rozgromienia rebeliantów.

Szturm na największe klasztory przypuszczono rok później, wywierając presję, aby rozwiązały się dobrowolnie, tak jak zostało to opisane w powieści. Przełomowym momentem okazało się zastraszenie opactwa w Lewes w listopadzie 1537 roku. W ciągu następnych trzech lat jeden po drugim bez sprzeciwu poddały się wszystkie pozostałe klasztory. W 1540 roku w Anglii nie został już żaden zakon, budynki pozostawiono, aby niszczały, ludzie z sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów pozrywali z dachów łożone blachy, mnichów wysłano na emeryturę, a tych nielicznych, którzy się opierali, potraktowano z całą bezwzględnością. Prawdopodobnie większość opatów dostojników klasztorów bardziej się bała komisarzy Cromwella, którzy rzeczywiście byli w większości brutalnymi ludźmi, niż mnisi ze Scarnsea Shardlake'a. Scarnsea nie jest jednak przeciętnym klasztorem ani Shardlake przeciętnym komisarzem.

Powszechnie przyjmuje się, że oskarżenia przeciwko królowej Annie Boleyn o wielokrotne cudzołóstwo zostały sfabrykowane przez Cromwella na użytek Henryka VIII, który miał dosyć swojej małżonki. Mark Smeaton jako jedyny z jej domniemanych kochanków przyznał się do winy, prawdopodobnie pod wpływem tortur. Ojciec jego był stolarzem, nie miecznikiem, którą to profesję sam dla niego wymyśliłem.

Angielska reformacja do dziś budzi wiele kontrowersji. Poglądom starszych historyków, że Kościół katolicki był w owych czasach instytucją przegniłą upadającą takie lub inne radykalne reformy były konieczne, a może nieuniknione, przeciwstawia się ostatnio wielu autorów, wśród nich szczególnie C. Haigh w *English Reformations* (Oxford University Press, 1993) oraz E. Duffy w *The Stripping of the Altars* (Yale University Press, 1992), którzy odmalowują w swych książkach obraz Kościoła rozkwitającego cieszącego się ogromną popularnością. Myślę, że zwłaszcza Duffy znacznie ubarwił romantyzm średniowiecznego katolicyzmu. Na uwagę zasługuje fakt, że żaden z tych uczonych nie wspomina o likwidacji klasztorów; ostatnie obszerne studium na ten temat napisał David Knowles w latach pięćdziesiątych: *The Religious Orders in England: The Tudor Age* (Cambridge University Press, 1959). W tej niezwyklej pracy profesor Knowles, który sam był katolickim zakonikiem, przyznaje, że większość mnichów wiodła w dużych klasztorach skandalicznie łatwe życie. Choć ubolewa nad przymusowym

wymarciem tej profesji, podkreśla, że praktyka zakonna tak bardzo oddaliła się od swych pierwotnych ideałów, iż nie zasługiwała na przetrwanie w ówczesnej formie.

Nikt tak naprawdę nie wie, co myśleli Anglicy o reformacji. Tendencje protestanckie były niezwykle silne w Londynie oraz w niektórych południowo-wschodnich rejonach; północ oraz część południowego zachodu pozostały skrajnie katolickie. Jednakże ogromne połacie kraju „gdzieś pomiędzy” pozostają terra incognita. Moim zdaniem ogromna większość społeczeństwa, tak jak Mark Alice, uważała zachodzące zmiany za narzucone siłą z góry: przemiany wprowadzone siłą przez klasy rządzące, które jak zawsze usiłowały narzucać ludziom, co mają robić myśleć. Zmiany zachodziły w tym okresie tak często — najpierw ku radykalnemu protestantyzmowi, następnie z powrotem na katolicyzm pod rządami Marii Tudor, znów ku protestantyzmowi za czasów Elżbiety I — że mało kto w tych okolicznościach mógł się ustrzec cynizmu. Ludzie siedzieli cicho, ponieważ, rzecz jasna, mało

kogo interesowały ich opinie, a choć Elżbieta może nie" próbowała wybijać okien w ich duszach, to jej poprzednicy owszem, czynili to — ogniem toporem.

Najbardziej na reformacji skorzystali „nowi ludzie” — wyłaniająca się warstwa kapitalistów biurokratów, ludzi zamożnych, lecz niskiego stanu. Sądzę, że wielu narodziło się Copenyngów w tym środkowym okresie panowania Tudorów. Reformacja miała również zmienić strukturę społeczną kraju. To dziś niemodny pogląd, nie wypada wszak mówić o klasach, dyskutując na tematy historyczne, lecz mody się zmieniają zmieniają się jeszcze nieraz.

15®

Matthew Shardlake jest też bohaterem powieści

#### ALCHEMIK

Anglia, rok 1540. Potężny kanclerz Thomas Cromwell popada w niełaskę u króla Henryka VIII; jego rządy dobiegają końca. Prawnik Matthew Shardlake podejmuje się obrony Elizabeth Wentworth oskarżonej o zamordowanie nastoletniego kuzyna. Zdesperowany milczeniem dziewczyny, której los jest już przesądzony, Shardlake przystaje na propozycję Cromwella - odroczenie wyroku śmierci na młodej kobiecie w zamian za wykonanie przez niego tajnej misji.

Akcja przejmowania majątków kościelnych zainicjowana przez króla przyniosła nieoczekiwany rezultat. W klasztorze Świętego Bartłomieja urzędnik sądowy Gristwood odnalazł podczas inwentaryzacji beczkę z legendarnym ogniem greckim, przed wiekami używanym do walki z niewiernymi, oraz formułę jego wytwarzania. Anglia, skonfliktowana z Rzymem oraz katolicką Francją i Hiszpanią, dramatycznie potrzebuje nowej broni, a Cromwell sposobu, by powrócić do królewskich łask. W imieniu Cromwella Shardlake ma przejąć formułę, ale kiedy udaje się do domu Gristwooda, znajduje zmasakrowane zwłoki gospodarza. Obok leżą zwłoki jego brata - alchemika. Tajemnica wytwarzania greckiego ognia przepada wraz z mordercą. Matthew jego pomocnik Jack Barak mają niecałe dwa tygodnie, by rozwiązać tę zagadkę ocalić Elizabeth. Niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku...

C.. Sansom (ur. 1952) współczesny pisarz brytyjski. Ukończył University of Birmingham, gdzie obronił pracę doktorską z historii. Do 2003 wykonywał zawód adwokata, potem poświęcił się karierze literackiej. Napisał 6 powieści przetłoczonych na 20 języków thriller Zima w Madrycie oraz 5 kryminałów historycznych, których akcja toczy się w okresie rządów dynastii Tudorów: Komisarz, Alchemik, Rebelia, Przepowiednia Heart-stone. Na ich podstawie BBC realizuje serial telewizyjny z Kennethem Branag-hem w roli Matthew Shardlake'a, średniowiecznego prawnika detektywa. Powieści Sansoma zdobyły popularność w wielu krajach. Pisarz był trzykrotnie nominowany do prestiżowej nagrody Ellis Peters Historical Dagger przyznawanej przez Stowarzyszenie Autorów Powieści Kryminalnych CWA otrzymał ją za Alchemika.